

HONOR HARRINGTON

POCZĄTKI



DAVID WEBER

CHARLES E. GANNON

JOELLE PRESBY TIMOTHY ZAHN

© David B. Weber 5/13

David Weber
Charles E. Gannon, Joelle Presby,
Timothy Zahn

HONOR HARRINGTON

Początki

Przełożył Radosław Kot

Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału: *Beginnings*

Copyright © 2013 by Words of Weber, Inc.

"By the Book" Copyright © 2013 by Charles E. Gannon, "A Call to Arms" Copyright © 2013 by Timothy Zahn, "Beauty and the Beast" Copyright © 2013 by Words of Weber, Inc., "Best Laid Plans" Copyright © 2013 by Words of Weber, Inc., "Obligated Service" Copyright © 2013 by Joelle Presby.
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Anna Poniedziałek

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: David B. Mattingly

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Początki*, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-378-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

CHARLES E. GANNON

Zgodnie z zasadami

TIMOTHY ZAHN

Do broni

Prolog

I

II

III

IV

EPILOG

HMS Phoenix

HMS Casey

DAVID WEBER

Piękna i bestia

DAVID WEBER

Idealny plan

JOELLE PRESBY

Obowiązkowa służba wojskowa

Cykl Honor Harrington

CHARLES E. GANNON



Zgodnie z zasadami

Cztery dni drogi od Hygei, 12 sierpnia 2352 AD (250 PD)

Chyba utknęliśmy, skipper – powiedział Brian Lewis, najmłodszy członek załogi, i westchnął tak ciężko, że wizjer jego hełmu na chwilę zaparował.

Porucznik Lee Strong spojrzął na blokujące im drogę i nieskłonne do współpracy zewnętrzne drzwi śluzy.

– Dlaczego po prostu ich nie wysadzimy? – spytał inny marynarz, mający już za sobą trzy lata służby Roderigo Burns. – Kilka ładunków i wejdziemy do środka.

– A dlatego, idioto, że jeśli wywalimy dziurę w tej blaszance, możemy załatwić tych, którzy ewentualnie tam przeżyli – odparł ostrym tonem Jan Finder, najstarszy podoficer porucznika i zarazem pokładowy specjalista od spacerów w próżni.

– Ale wewnętrzne drzwi...

– Posłuchajcie mnie uważnie, rekrucie. Ponieważ nie widzimy tamtych drzwi, nie wiemy, czy są zamknięte. A skoro nie wiemy, nie wolno nam niczego zakładać z góry. Nawet nasz szanowny, chociaż całkiem zielony oficer to rozumie. I nie tylko to, że dodam na marginesie.

Był to najlepszy rodzaj zakamuflowanego, i tym samym bezpiecznego komplementu, na jaki Lee mógł liczyć ze strony Findera. Miał okazję poznać już zasady, zgodnie z którymi podoficerowie odnosili się do nowych poruczników. Jeśli ich nie cierpieli, zwracali się do nich z szacunkiem, oficjalnie po cichu obrabiając im cztery litery za plecami. Jeśli jednak któregoś polubili, mogli mu czasem wbić szpilę, ale zawsze akcentowali,

kto tu jest wyższy stopniem, i dawali do zrozumienia, że nowy oficer na pokładzie wydaje się dobrym nabytkiem; lepiej więc będzie, jeśli wszyscy jak najszybciej to rozumieją.

Burns nie poczuł się przekonany.

– Dobrze, ale nawet jeśli wewnętrzne drzwi śluzy są otwarte, to gdy wywalimy zewnętrzne, czujniki na pokładzie zanotują spadek ciśnienia i natychmiast zamkną wszystkie włazy.

– Czujniki zadziałają tylko wówczas, jeśli będą sprawne, Roderigo – powiedział cicho Lee. – A skoro wiemy, że statek został opanowany przemocą, musimy założyć, że przynajmniej część jego systemów uległa uszkodzeniu.

– No... tak, sir. Pewnie mogło tak być.

Lee usłyszał aprobowane chrząknięcie Findera i był pewien, że podoficer lekko się przy tym uśmiechnął. Zerknął na jego masywną sylwetkę, która czerniała na tle gwiazdzistego nieba, z jasnym Jowiszem wiszącym nad jego lewym ramieniem. – Co by pan zaproponował, sierżancie?

Sylwetka ani drgnęła.

– Moglibyśmy wyciąć otwór we włazie – dało się słyszeć. – To bezpieczniejszy sposób. Tyle że zajmie więcej czasu i zdążą się zorientować, że tu jesteśmy. A to byłoby niedobrze.

– Mówi pan, jakby miał pan już kiedyś do czynienia z podobną sytuacją, sierżancie FINDER.

– Tak. Gdy byłem zielonym rekrutem, pewien oficer spróbował identycznie rozwiązać taki problem.

– A porywacze wyczuli, co się dzieje, i zabili zakładników?

– Gorzej, poruczniku. Wpuścili nas na pokład, po czym wzięli młodą dziewczynę i zabili ją na naszych oczach. Zagrozili, że jeśli podejmiemy

bliżej, będą mordować kolejnych ludzi. Zagadali naszego oficera, wciągnęli go w negocjacje, podczas gdy inna ich grupa przeszła przewodami wentylacyjnymi na nasze tyły. Załatwili połowę naszego zespołu.

– I założyłbym się, że z ratowania zakładników nic nie wyszło.

– Wygrałby pan ten zakład, sir. O ile znalazłby pan kogoś na tyle głupiego, by się w tej sprawie zakładać. Chociaż obecny tu Burns nie jest zbyt bystry i podobno lubi się zakładać...

– No nie... – zaczął jękliwie Roderigo.

– Wystarczy – uciął Lee. – Nie możemy użyć ładunków wybuchowych i wychodzi na to, że palników też nie.

– No to utknęliśmy – orzekł Lewis takim tonem, jakby chciał udowodnić, że od początku miał rację. – Nic tu po nas.

– Wcale nie – stwierdził Lee. – Jest jeszcze inna droga. – Omiótł wzrokiem burtę wiszącego przed nimi pozaukładowego liniowca pasażerskiego o nazwie *Fragrant Blossom*. Z mieszczącego się w przedniej części kadłuba skupiska habitatów i modułów sterowania, obok których się znajdowali, wybiegały w kierunku rufy walcowate zbiorniki paliwa objęte czterema dźwigarami, łączącymi całość z modułami silnikowymi. Lee wskazał w ich stronę i rzucił najstarszy chyba rozkaz wydawany od prawieków przez młodszych oficerów. – Za mną.

Odepchnął się od poszycia liniowca, który ledwie dwa tygodnie wcześniej wystartował z Marsa, i manewrując silniczkami skafandra, skierował się ku rufie.



Spojrzeli na czerniejący nad nimi otwór w poszyciu dolnej części modułu głównego napędu.

– Chyba nie mówi pan poważnie – sapnął Roderigo Burns.

– Obawiam się, że to śmiertelnie poważna propozycja – odezwał się Finder.

– To mało pomocna uwaga, sierżancie – stwierdził Lee.

– Przepraszam, sir. Ale to mało standardowa procedura.

– Mało standardowa? – pisnął Brian Lewis. – Sir, to wbrew regulaminowi. Zagrożenie radiacyjne klasy pierwszej i jeśli...

– Zamknij się, Lewis – warknął Finder tonem zaprawionego w takich rozmowach sierżanta. – Regulaminy nie obowiązują w trakcie akcji ratunkowych. I nie mów do mnie „sir”. Nie jestem oficerem, robię tu dla chleba. A teraz bądź uprzejmy nastawić ucha na to, co mówi pan porucznik, bo inaczej ja nastawię ci dupę w poprzek.

Lee badał krawędzie mrocznego otworu.

– Żadnych śladów zużycia – powiedział. – Pewnie korzystali z niego tylko raz, podczas prób zdawczo-odbiorczych.

– Wręcz wspaniale – jęknął Lewis.

– Spokojnie, Brian – mruknął Lee. – Takie próby przeprowadza się na zimnym jądrze reaktora. Pokazują tylko, czy system odrzucania działa. Sierżancie, proszę sprawdzić odczyt.

Finder mruknął zgodnie, ale Roderigo Burns wyglądał na przerażonego. Jego rozszerzone z przejęcia oczy lśniły pod fotochromatycznym szkłem wizjera.

– Ależ sir, oni na pewno usuwali tędy odpady radioaktywne.

Lee ledwo powstrzymał się przed głośnym wyrażeniem swojego sądu o tym, co ostatnimi czasy uznawano na Ziemi za niepodważalną prawdę.

– Nie, Burns. System odrzucania reaktora może zostać wykorzystany tylko w jeden sposób: by pozbyć się z pokładu niesprawnego

i zagrażającego skażeniem radioaktywnym urządzenia. – Była to zresztą procedura całkowicie automatyczna, zarządzana w przypadku najmniejszej nawet awarii. Głupota stosowana, pasująca niestety do tego, co działo się w całym Układzie Słonecznym. Od kiedy Zieloni i Neoluddyści doszli do władzy, „energia nuklearna” zaczęła być postrzegana jako siła wręcz demoniczna. Perspektywa narażenia się na oddziaływanie jakiegokolwiek rodzaju radioaktywności budziła paniczny strach. Skrajni Neoluddyści bali się nawet zwykłego prześwietlenia. Lęki nie pozwalały im także na skorzystanie z rezonansu magnetycznego i na nic zdawały się tłumaczenia, że nie stosuje się przy nim żadnych radioizotopów. Jak można było oczekiwać, średnia długości życia tych grup zaczęła znacząco spadać.

Finder opuścił wielkie jak jego dłoń urządzenie będące zarazem czujnikiem promieniowania i licznikiem Geigera.

– Odczyty wskazują osiemnaście remów na godzinę. Stała wartość. Nie rośnie.

Lee spojrział na marynarzy.

– Przejście zajmie nam dziesięć minut, dostaniemy góra po trzy remy. To nie zostawia żadnego śladu.

Burns i Lewis próbowali udawać dzielnych, ale niezbyt im to wychodziło. Przekonania wpajane im przez całe życie nie mogły zniknąć ot tak, w ciągu minuty czy dwóch.

– Dobrze, poruczniku – powiedział Finder, podleciawszy bliżej. – Wchodzimy w ten kanał i co dalej? Jestem cholernie pewien, że tam nie będzie żadnej śluzy.

– Zgadza się, sierżancie, na pewno trafimy jednak na włązy kontrolne. A teraz za mną.

W szumy falki nośnej zwykle rozlegające się w słuchawkach hełmów wplotły się dodatkowe trzaski i posykiwania.

– Sir – odezwał się Finder, korzystając z kanału zastrzeżonego dla rozmów między oficerami a podoficerami. – Jestem specjalistą od takich wycieczek i robię tu za twardego sierżanta. Mogę objąć prowadzenie?

W pierwszej chwili Lee chciał się żywiołowo sprzeciwić, by pokazać swoim ludziom, że nie uchyla się od ryzyka, na które ich wystawia, a przede wszystkim udowodnić, że zasadniczo żadnego ryzyka tu nie ma. Przynajmniej związanego z promieniotwórczością. Niemniej sugestia pochodziła od naprawdę doświadczonego sierżanta i przekazana została taktownie, dzięki czemu porucznik szybko poszedł po rozum do głowy. Ruchem brody zamknął zastrzeżony kanał, odchrząknął i zwrócił się do całego zespołu.

– Sierzancie Finder, tak po namyśle. Chyba dobrze będzie, jeśli pójdzie pan przodem ze swoim czujnikiem. Na wypadek, gdybyśmy trafili na gorętsze miejsce.

– Żebyśmy mogli wycofać się w porę? – spytał z nadzieją w głosie Burns.

– Nie – odparł Lee, wydobywając z kabury masywną broń o kalibrze dziesięciu milimetrów. – Żeby przejść je dwa razy szybciej.



Szyb służący do awaryjnego odrzucania reaktora nie nosił śladów zużycia ani też żadnej konserwacji. Widocznie lęk przed jakimkolwiek kontaktem z czającą się niedaleko bestią był na tyle silny, że nawet ekipy zobowiązane do regularnej kontroli sprawności i drożności tego modułu wolały się do niego nie zbliżać. Był to jeszcze jeden przykład szkodliwych skutków fobii rozbudzonej przez Zielonych i Neoluddystów. W świecie,

w którym zależność od technologii stała się regułą, utrzymanie sporej części technosfery opierało się na budzących grozę rytuałach i tym samym nie miało wiele wspólnego z prawdziwym serwisem.

Lee nie miał wątpliwości, że gdyby tylko Zielonym udało się wynaleźć inną technologię umożliwiającą szybkie podróże na większe dystanse, czyli poza orbitę Księżyca, zaraz by je wykorzystali. Tyle że jako niechętni skupianiu publicznej uwagi na jakimkolwiek postępie technologicznym niemal wszędzie musieli ostatecznie godzić się na ograniczone wykorzystanie napędu atomowego przy dalszych przelotach. Niestety, z racji drapieżnej retoryki czyniącej z techniki demona, mało kto na Ziemi był zainteresowany czy wręcz dość odważny, by kształcić się w kierunkach inżynierskich. Tak zatem „brudne” prace były wykonywane z reguły przez ludzi wywodzących się spoza Ziemi, urodzonych na Księżycu, na Marsie albo w którymś z orbitalnych habitatów. Oni utrzymywali satelity, pracowali w kopalniach w Pasie Asteroid oraz budowali prymitywne i zawodne podświetlne statki, którymi grupki kolonistów wybierały się zasiedlać światy w innych układach gwiazdnych.

W tych warunkach jednostek z napędem atomowym nadal było stosunkowo niewiele. W całym Układzie Słonecznym latało ich zapewne około pięćdziesięciu sztuk, wliczywszy w to wszystkie możliwe ich typy. Do wewnątrzukładowego przewozu frachtu wykorzystywano statki z napędem VASIMIR, przy mniejszych dystansach korzystano z silników magnetoplazmodynamicznych. Tylko tam, gdzie trzeba było wyruszać w głęboką próżnię, napęd atomowy nie miał konkurencji. W przeciwnym razie rejsy, które obecnie trwały po kilka tygodni, zabrałyby miesiące, a czasem nawet i lata.

Oczywiście ziemscy przywódcy nie byli szczęśliwi z tego powodu. Nie mogąc ścierpieć faktu, że nie zdołają nijak wyegzorcyzmować nuklearnego

diabła, robili co tylko w ich mocy, by przedstawić wszystkich mających z nim cokolwiek wspólnego w jak najgorszym świetle.

I dlatego właśnie jego zwykle chłodni i kompetentni podwładni w osobach Burnsa i Lewisa kulili się teraz, starając za żadne skarby nie musnąć boków szybu. Lee nie zdziwiłby się nawet, gdyby któryś z tej dwójki trwożnie się przeżegnał.

U krańca przewodu Finder włączył silniczki skafandra i zawisł bez ruchu przed olbrzymim włazem z masywnymi bolcami.

– W tej chwili mamy dwadzieścia trzy jednostki na godzinę – zameldował na zastrzeżonym kanale. – Wolno rośnie. I co dalej, poruczniku? Nie mam dość dużego klucza, by ruszyć te bolce.

– Nie będzie potrzebny. Nie pójdziemy tędy.

– Nie?

– W żadnym razie. Proszę spojrzeć w lewo. Widzi pan ten właz kontrolny, dokładnie wpasowany w ścianę?

– A tak. I wgłębione bolce. Ale do tych potrzebny jest specjalny klucz, a tego też nie mam...

– Pan nie ma, ale ja tak – stwierdził Lee, zerkając na sierżanta, wiszącego teraz między Burnsem a Lewisem. Sięgnął do zamykanej na rzepy kieszonki na lewym nadgarstku i ostrożnie wyjął stamtąd klucz z dowiązaną linką zabezpieczającą.

– Nieźle – mruknął sierżant na zastrzeżonym kanale. – Pewnie dlatego jest pan oficerem – dodał z uśmiechem widocznym nawet przez przyciemniony wizjer.

– W tym przypadku owszem. Nasze wielkie szychy z Genewy skąpią ludziom wiedzy na temat urządzeń nuklearnych. A o takich włazach zwykle mało kto wie.

– I zaufali porucznikowi, który przed opuszczeniem Luny nie widział nawet stosu atomowego? Bez obrazy, sir, ale większość z was, z Ziemi, nie wykazuje się specjalnym rozsądkiem. Wyjąwszy moje aktualne towarzystwo, oczywiście.

– Oczywiście. Ani myślę się z panem nie zgadzać, sierżancie. – Uprzejmość wobec podoficera, którego opinia mogła zaważyć na karierze zwykłego porucznika pod koniec pierwszego roku służby w głębokiej próżni, była zwykle wskazana, ale z drugiej strony, nie pochodzący z Ziemi Finder miał po prostu rację, jakkolwiek wielu ludzi uważało podobne podejście za efekt zwykłych uprzedzeń. Niemniej poddawszy najpierw dzieciaki skutecznej indoktrynacji, mającej obrzydzić wszystko, co związane było z techniką, a zwłaszcza techniką kosmiczną czy nuklearną, Agencja Kosmiczna miała wielkie problemy z pozyskaniem młodych kadr oficerskich. Kobiet nie dopuszczano do pracy w próżni, by nie narażać ich jajników na szkodliwe oddziaływanie promieniowania kosmicznego, mężczyźni zaś częściej celowali w poprawności politycznej niż w umiejętnościach technicznych. Niemniej, chociaż często nie byli w stanie sprostać wymogom kompetencyjnym, to oni właśnie otrzymywali etaty oficerskie na placówkach kosmicznych, mając pod sobą niemal wyłącznie ludzi urodzonych poza Ziemią. Byli strażnikami. Tak naprawdę mieli zadbać o to, by wykonujący brudną robotę pracownicy nie poczuli się nazbyt wolni i nie kusiło ich, by zakwestionować rządy ziemskich władców.

Lee skończył manipulacje kluczem. Właz został otwarty.

– Poruczniku, czy jeśli ci buntownicy, porywacze, piraci czy ktokolwiek to jest, zorientują się, że tu jesteśmy, mogą wypuścić na nas strumień radioaktywnego gazu? – spytał zduszonym głosem Burns.

Porucznikowi niemal opadły ręce i najchętniej pokręciłby głową nad tą ignorancją. Opanował się jednak i przeszedł na kanał ogólny.

– Nie, Roderigo. To nie tak działa. Reaktor statku kosmicznego jest umieszczony w osobnym, silnie ekranowanym module. Owszem, w razie potrzeby może zostać odrzucony w próżnię, ale do celowego zainicjowania takiego procesu potrzebna jest naprawdę specjalistyczna wiedza. Tylko kilku członków załogi wiedziałoby, jak to zrobić. Poza tym wątpię, by którykolwiek z tych piratów kręcił się akurat po przedziale maszynowym.

– Jasne, skipper, ale gdyby... to jest chyba jakiś sposób ręcznego odstrzelenia reaktora?

W sumie było to pocieszające, że ledwie dwa miesiące po rozpoczęciu pierwszego w życiu rejsu kosmicznego podkomendni zwracali się do niego „skipper”.

– Owszem, istnieje taka procedura, na wypadek gdyby coś się zacięło, ale byłaby to samobójcza misja. Chętny wystawiłby się na zbyt wysoki poziom promieniowania.

Finder usunął bolce i odchylił zakrzywiony właz na zewnątrz, odsłaniając wąskie, kwadratowe w przekroju przejście. Kilka metrów dalej korytarz skręcał w prawo.

Burns spojrzął ponad ramieniem porucznika.

– Czy tam za zakrętem jest śluza?

Lee pokręcił głową.

– Nie ma. Za rogiem trafimy na kolejny właz, który prowadzi do przewodu wentylacyjnego biegnącego dookoła całego modułu. Potem będziemy musieli pokonać jeszcze dwa podwójne włazy, nim wejdziemy do środka. A teraz ruszajmy, jeśli nie chcecie dostać tu więcej jednostek.

Burns spojrzął trwożnie wkoło, po czym wystrzelił w kierunku włazu.

– Dobry oficer zawsze wie, jak zmotywować swoich ludzi – mruknął Finder. – Proszę przodem, poruczniku.



Gdy pokonali zakręt, ujrzeli przed sobą właz oznaczony znajomym symbolem ostrzegającym przed promieniowaniem. Wokół widniało sześć pomarańczowych bolców. Lewis przyjrzał się im dokładnie.

– Czy dobrze rozumiem, że aby wejść do środka, musimy odpalić ładunki tych sześciu bolców, po czym kawał blachy, będący wcześniej włazem, wystrzeli nam prosto w twarz?

Lee pokręcił głową.

– Pomarańczowy kolor nie oznacza bolców eksplodujących, Lewis. Mamy przed sobą specjalne łamliwe bolce, które możemy wyciągnąć z tej strony jeden po drugim. W ten sposób powietrze będzie uchodzić stopniowo i nie wymiecie nas z powrotem w próżnię.

Burns spojrział ze zdumieniem na swojego dowódcę.

– Skąd pan to wszystko wie, skipper?

– Godzinę temu przeczytałem odnośną instrukcję.

– Poza tym nasz porucznik jest rasowym oficerem w służbie Patrolu Celnego – dodał żywiołowo Jan. – Najlepszej formacji stworzonej kiedykolwiek przez krnąbrnych i nieprzystosowanych. Niech żyje Patrol Celny.

– Niech żyje – powtórzyli Burns i Lewis z takim entuzjazmem, jakby mieli otrzymać w nagrodę tygodniowy przydział do czyszczenia latryn.

– Podoba mi się ten zapach – powiedział Lee, zerkając z uśmiechem na Findera. – Bierzmy się do roboty.



Ostatni z włazów, prowadzący już do samej maszynowni, okazał się równie skłonny do współpracy jak wszystkie poprzednie. Lewis spiął kable panelu sterowania i rozszczelnił pomieszczenie, podczas gdy Lee przygotowywał swoją gromadkę do wejścia na pokład.

– Ja pierwszy – powiedział, zerkając na Findera, który szybko zrozumiał, że w tym przypadku nie ma się co spierać. – Sierżant zapewni osłonę ogniową, podczas gdy ty, Burns, pójdziesz za mną. Przekradniemy się na środek przedziału, gdzie jest wiele dobrych kryjówek. – Burns przytaknął nerwowo, myśląc zapewne bardziej o bliskości reaktora niż ewentualnej walce. – Lewis, ruszamy na trzy. Raz, dwa...

Na „trzy” Lewis zwolnił zamek włazu, który odchylił się do wewnątrz. Lee odbił się nogami i szybko pokonał trzymetrowy dystans dzielący go od podłogi. Nie tracąc czasu, dotarł do osłony reaktora i schował się za pulpitem kontrolnym. Kilka sekund później Burns też się tam wcisnął.

– Dobra, Roderigo – mruknął Lee. – Sprawdzimy pomieszczenie; ty zaczynasz od dwunastej, ja od szóstej – dodał, pokazując kierunki.

Zajrzeli we wszystkie zakamarki, nie znajdując żywej duszy. Lee połączył się z Finderem.

– I co, sierżancie?

– Nic. Gdyby coś się działo, powiedziałbym. Ale cisza.

– Dobra. Wejdźcie z Lewisem i zamknijcie za sobą właz. Potem sprawdźcie resztę pomieszczenia, tam, gdzie nas nie było. Będziemy osłaniać was z Burnesem.

– Aye, aye, skipper.

Dwadzieścia pełnych napięcia sekund później wiedzieli już, że maszynownia na pewno jest pusta. Finder zameldował promieniowanie rzędu trzech miliremów na godzinę.

– Zatem reaktor nie cieknie – stwierdził z ulgą Lewis.

– No i nie ma tu żadnych ciał – dodał Finder. – I co teraz, poruczniku?

Lee spojrział na wejście do korytarza, który biegł przez całą długość statku, aż do modułów mieszkalnych.

– Idziemy w kierunku dziobu. Ale jedyna droga to ta długa na pięćdziesiąt metrów strzelnica.

– Rozumiem – odparł szybko Finder. – Dobra, słuchajcie, młodzieży. Porucznik mówi, że idziemy do przodu. Burns, zamień się na broń z Lewisem. Tym razem pójdiesz ze mną. Lewis, będziesz nas osłaniał, idąc dziesięć metrów za prowadzącym. Cały czas trzymaj się przy ścianie, nie ma co wystawiać się na strzał jak kaczką. Zgoda, poruczniku?

Lee pokiwał głową, chociaż w duchu zastanawiał się, co ten Finder kombinuje. Owszem, oficer był od wskazania celu, sierżant od organizacji ataku, ale Finder wyskoczył z tym czemuś zbyt szybko, jakby chciał mieć pewność, że jego plan zostanie przyjęty. Poza tym to Burns, nie Lewis, był lepszym strzelcem.

– Sierżancie... – zaczął, przełączywszy kanał.

– Proszę mi zaufać, poruczniku – przerwał mu Finder. – Wiem, że Lewis nie jest najlepszy w strzelaniu, ale nie to jest w tej chwili ważne.

– A co jest ważne...?

– Po prostu niech mi pan zaufa, poruczniku.

– Dobra, sierżancie. Pod warunkiem, że wyjaśnimy to sobie po akcji.

Finder pokiwał głową.

– Pan tu rządzi. – Przełączył się na kanał ogólny. – Lewis, skoro ty nas osłaniasz, wchodzisz tam pierwszy. Gdy będziesz w środku, zaraz pod ścianę. Gdy będzie już bezpiecznie, trzymaj się prawej. Poruczniku, pan ostatni, proszę trzymać się lewej. Ruszamy na pana sygnał, sir.

– Lewis, ruszasz na „trzy” – powiedział Lee. – Raz, dwa...

Na „trzy” Burns szarpnął dźwignię otwierającą drzwi i Lewis wpłynął do środka. Równocześnie Lee poczuł, że ktoś szarpie jego dłoń. Spojrzał w dół i zobaczył, że sierżant podaje mu jakąś dziwnie wyglądającą broń, która mgliście przypominała pistolet. Była to jakby anorektycznie chuda rura z magazynkiem na jednym końcu. Najbardziej ze wszystkiego kojarzyła się mu z podejrzaną samoróbką.

– Co to...?

– Osiem ładunków, amunicja raketowa. Bez odrzutu, specjalnie do użycia w warunkach zerowej grawitacji. Swojej dziesiątki niech pan lepiej nie używa. Lepiej zostać żywym – dodał sierżant i zaraz podążył za Burnsem, wykrzykując kolejne rozkazy. Lewis był tak zaskoczony, że omal nie zapomniał, po co tu przyszedł.

Gdy zdołał już ruszyć się z miejsca, ujrzał pozostałych członków zespołu skulonych na swoich pozycjach. Sam też przyłgnął zaraz do ściany za drzwiami.

– Czysto, poruczniku – zameldował Finder. – I bardzo cicho jak na porwanie.

Lee spojrział w głąb korytarza.

– Dziwnie i nie – powiedział. – Nie oczekiwałem, że źli chłopcy będą się tu kręcić. Ale ciał załogi się spodziewałem. I jedno chyba tam jest. – Wskazał przed siebie.

Burns przymrużył oczy i pokiwał głową.

– Tak. Wygląda na nieboszczyka. Niemal na samym końcu korytarza.

– Dwadzieścia trzy metry od nas – zameldował Lewis, odsuwając prawe oko od celownika broni.

– Wyłącz wszystkie aktywne systemy, Lewis – rozkazał Lee. – Mogą nie patrolować tej części statku, ale kto wie, jakie czujniki tu zostawili. Od tej chwili działamy według starej szkoły. Żadnych aktywnych systemów, żadnej komunikacji radiowej, tylko gesty dłońmi.

– Ale poruczniku... – zaczął Burns.

Lee przesunął kantem lewej dłoni po swojej szyi, co ucięło wszelkie protesty.

Finder przytaknął, wskazał na Lee i Lewisa i wykonał gest, jakby odpychał kogoś dłonią z rozpostartymi palcami. Potem uniósł kciuk i czekał.

Lee bez trudu zrozumiał, że mają razem z Lewisem poruszać się dziesięć metrów za sierżantem. Uniósł kciuk w odpowiedzi.

Finder pokiwał głową, klepnął Burnsa w ramię i z wprawą odepchnął się pod niewielkim kątem od pokładu, od razu skręcając trochę w prawo. Burns powtórzył jego manewr, ale dryfując w lewo. Lee odczekał, aż oddali się na jakieś osiem metrów, po czym skinął na Lewisa i uczynili to samo.

Jako jedyny Ziemniak w oddziale, Lee nie zdołał wykonać manewru z analogiczną precyzją co pozostali. Musiał jeszcze odepchnąć się od ściany, zanim dotarł do miejsca, gdzie unosił się martwy załogant. Finder wysłał już Burnsa, by ten zabezpieczył wejście do modułu mieszkalnego i sprawdził obrażenia zabitego. Lee musiał przepłynąć przez obłok drobnych, czerwonych kropeł, nim dojrzał małą strzałę z kuszy, tkwiącą w boku załoganta, tuż nad biodrem. To jednak nie była śmiertelna rana. Przyczyną śmierci był któryś z dwóch ciosów, które dosięgły karku i mostka.

Lee pochylił się, by dojrzeć identyfikator na piersi zabitego. Tak jak podejrzewał, był to inżynier, który pełnił zapewne służbę przy reaktorze

i słysząc wezwania o pomoc, pobiegł na dziób. Albo też porywacze go tu zwabili. Tak czy siak, został przez nich zaskoczony i obezwładniony, chyba strzałem z kuszy. Potem tamci podeszli bliżej i załatwili go nożem. Użycie ostrza przy zerowej grawitacji sugerowało, że napastnicy nie pochodzili z Ziemi. Mało kto umiał posługiwać się bronią białą w stanie nieważkości, a do jej skutecznego użycia konieczne było olbrzymie doświadczenie, nie tylko w walce, ale i w życiu w podobnych warunkach.

Finder pochylił się, by dotknąć swoim hełmem hełmu porucznika. Jego głos dochodził do niego cichy i zniekształcony.

– To robota Górniaków. Nie ma żadnych wątpliwości.

– Ten tak, ale to nie znaczy jeszcze, że wszyscy oni są stamtąd.

Finder uniósł brwi, ale zaraz przytaknął.

– Też prawda. Od tej chwili Lewis niech trzyma się trochę bardziej za nami, zgoda?

– Fajnie będzie w komplecie pogadać później o tej akcji.

Finder odpowiedział wzruszeniem ramion i uśmiechem, po czym pokazał podwładnemu dziesięć i jeszcze pięć palców. Potem klepnął porucznika w ramię i przygotował się do skoku. Gdy tylko Lee ustawił się tak samo, sierżant skinął głową i wystartował; poleciał korytarzem na wysokości ludzkich bioder.

Lee skoczył tym razem trochę zgrabniej, może dlatego, że mniej próbował trzymać się ściany. Napotkane dotąd ślady nie sugerowały, by napastnicy patrolowali tę część statku. Skoro zaś ich tu nie było, zapewne uważali, że doliczyli się wszystkich pasażerów i członków załogi. To pozwalało wysnuć już jakieś pewniejsze przypuszczenia co do sytuacji taktycznej.

Po pierwsze, napastnicy gotowi byli zabijać z byle powodu, albo i bez powodu. Nie wyglądało na to, by zabity inżynier miał jakąś broń. Albo że próbował pomóc reszcie załogi czy pasażerom, ewentualnie zamierzał zabarykadować się w maszynowni, skąd mógłby nękać piratów wyłącznikami klimatyzacji, blokadą przejść i innymi niespodziankami, które znacznie utrudniłyby im robotę. Wydawało się raczej, że atak był na tyle gwałtowny, że nikt nie zdążył go ostrzec. Co więcej, stan ubrania i wciąż porządnie uczesane włosy wskazywały, że został zabity przez kogoś, komu wcześniej pozwolił podejść całkiem blisko. Kogoś, kogo znał i komu ufał.

Co z kolei mogło oznaczać, że w załodze lub wśród pasażerów był zdrajca albo zdrajcy. Albo przywódcy napaści, albo pomocnicy napastników, wcześniej udający zwykłych podróżnych. A skoro wszystko poszło im chyba jak z płatka, to sugerowało coś jeszcze gorszego: że nie o zakładników tutaj chodziło. Nikt nie zgłosił dotąd żadnych żądań okupu albo ustępstw w zamian za uwolnienie jeńców. Po prawdzie, porywacze w ogóle nie próbowali póki co kontaktować się z władzami. Lee został wysłany tylko i wyłącznie dlatego, że kapitan *Fragrant Blossom* nie nawiązał umówionego połączenia ze swoim przyjacielem z Kallisto, który całkowitym przypadkiem był też Głównym Administratorem do spraw Operacji Zewnętrznych. Wszystko to pozwalało sądzić, że nikt z załogi i pasażerów nie został przy życiu.

Po dotarciu do wejścia Lee wyhamował z pomocą lewej ręki. Finder dał znać, że muszą zamienić kilka słów, więc wszyscy zetknęli się hełmami.

– Dobrze. I co mamy teraz robić, poruczniku?

– Nie ma wielkiego wyboru, sierżancie. Idziemy sprawdzać kolejno pomieszczenia. I musimy działać szybko. Nie sądzę, by tamci trudzili się

wystawianiem straży, chyba że z samego przodu, na mostku, skąd obserwują pewnie nasz statek. I czekają na swoich.

– Słucham? – spytał Burns.

– Na jakieś swoje towarzystwo – wyjaśnił Lee. – Gdyby chcieli zabrać się dokądś tym statkiem, już by to zrobili. Nic nie zmusza ich, by tu wisieć. Przekonaliśmy się, że panują nad systemami na tyle, by zablokować przed nami śluzę, i że silniki są w najlepszym porządku. Mogliby więc od razu dokądś ruszyć. To oznacza, że czekają na kogoś.

Lewis i Burns wymienili zaskoczone spojrzenia. Finder tylko się uśmiechnął.

– Widzę, że tym razem mieliśmy szczęście i wylosowaliśmy dobrego dowódcę. Raz dla odmiany. Co jeszcze, sir?

– To, że nie szukają z nami kontaktu i nie grożą zabiciem zakładników, sugeruje, że zrobili to z marszu. Przypuszczam zatem, że mamy czystą sytuację ogniową. Nie wiemy jednak tego na pewno, poza tym zdecydowanie wolałbym dorwać tych drani żywych. Raz, że regulamin tak nakazuje, a dwa, musimy ich przesłuchać.

– Co? Dlaczego? – spytał Lewis.

– Bo chociaż zdarzają się w próżni bunty i akty piractwa, to nie takie. Tym gościom nie zależało na załodze ani na samym statku, a więc rozgrywają jakąś swoją grę. Jeśli z nimi nie porozmawiamy, nie dowiemy się, o co chodzi. Proszę przygotować grupę do wejścia, sierżancie.

– Tak, sir. Burns, poprowadzisz przy kontroli kabin ze swoim rozpylaczem.

Roderigo zaraz zdjął z ramienia coś, co wyglądało na zaopatrzonej w szeroką lufę miotacz granatów.

– Daj maksymalne rozproszenie z silnymi ładunkami usypiającymi.

– Hm... Sierżancie, na kursie mówili nam, że jeśli cel jest mały, ranny albo w krytycznym sta...

Finder spojrział na Burnsa z drapieżnym uśmiechem na ustach.

– Dranie czasem giną i mówi się trudno. Będziemy ostrożni, poza tym przy maksymalnym rozproszeniu ognia trudno oczekiwać, by jakikolwiek cel dostał zbyt wiele ładunków. Grunt, że jedna kapsułka żelowa starczy na powalenie dowolnego obiektu. Serwuj więc ten koktajl bez wahania.

– Tak jest, sierżancie.

– Porucznik i ja będziemy strzelać ostrymi, żeby oczyścić przejście. Poruszamy się skokami.

Lewis zmarszczył czoło.

– A ja?

– Ty trzymasz swoją armatę w gotowości. Będziesz naszym asem w rękawie. Gdyby rozpylacz się zaciął albo nam zdarzyło się kogoś przeoczyć i ten ktoś próbował zająć nas od tyłu, robisz za straż pożarną. W razie potrzeby pošlemy cię, byś zaszedł ich z boku, albo poprosimy o bezpośrednie wsparcie ogniowe.

– Mam więc trzymać się z tyłu?

– Tak. Także na wypadek, gdyby wszystko się popieprzyło i musielibyśmy szybko się wycofywać. Zapewnisz nam drogę odwrotu.

Lewis wzruszył ramionami.

– Tak jest, sierżancie.

– Dobrze. Poruczniku, proszę o sygnał, gdy będzie pan gotowy.

Lee skinął głową.

– Jest sygnał.



Było niemal dokładnie tak, jak Lee oczekiwał. Nikt nie próbował nawet zatrzymać ich na głównym pokładzie. Napotkali jedynie dryfujące w chmurach krwawych kropel ciała i poruszające się zgodnie kamery monitoringu.

Porywacze zabili całą załogę i wszystkich pasażerów. Jeden z nich, sądząc po smukłej budowie, zapewne Luniak, nie mógł mieć więcej niż czternaście lat. Lee zacisnął zęby i przepchnął się przez Morze Sargassowe zwłok.

Zostawiając na mijanych włazach małe moduły alarmowe, mające ostrzec ich, gdyby ktoś tamtędy przechodził, starali się jak najszybciej dotrzeć na mostek...

Byli w połowie drogi, gdy natknęli się na dwóch nieogolonych mężczyzn, którzy najwyraźniej śledzili ich wędrówkę na monitorach. Szczęściem obaj dysponowali tylko lekkim uzbrojeniem. Jeden miał zwykły, dziesięciomilimetrový pistolet, drugi jakiś samopowtarzalny wynalazek na sprężone powietrze. Gorzej, że byli w skafandrach kosmicznych, co czyniło rozpylacz Roderiga bezużytecznym, chyba że zdołałby trafić któregoś prosto w twarz.

Cholera, pomyślał Lee, i zaraz obrócił się do Burnsa.

– Przełącz na zabijanie! Ognia!

Podobnie jak zwykle w boju spotkaniowym większość pocisków obu stron chybiła. Poza tym przy zerowej grawitacji zawsze strzelało się inaczej. Zanim Burns przestawił swoją broń, dostał strzałką w lewe ramię i jęknął, ale trudno było powiedzieć, czy grot przebił wzmocniony kombinezon, czy tylko nabił jego właścicielowi potężnego siniaka. Tak czy siak, chwilę później Burns zaczął wreszcie strzelać.

Finder rzucił się do przodu, wprost na pierwszego z napastników. Lee uczynił to samo, w przelocie doceniając zalety całkiem nieregularnej postawy, w której się poruszał. Raz, że stanowił dzięki temu mniejszy cel, a dwa, łatwiej mu było strzelać dzięki mniejszemu oddziaływaniu odrzutu broni na trajektorię jego lotu.

Finder też miał dzięki temu mniejszy kłopot z celowaniem. Podczas gdy dziesięciomilimetrowe pociski przemykały nad ich głowami, sierżant wystrzelił dwa razy, a po chwili jeszcze trzeci raz. Właściciel pistoletu poleciał do tyłu, rozpaczliwie próbując się przy tym obrócić, by móc znowu użyć broni. Finder zakończył jego szamotaninę czwartym strzałem.

Lee jednak tego nie widział, zajęty swoim przeciwnikiem. Celując wzdłuż lufy, namierzył gościa bronią na strzałki i wypalił. Nie poczuł prawie odrzutu, tylko falę nadciśnienia, która omiotła mu dłoń. Były to gazy raketowego pocisku, odprowadzone bocznymi otworami i równoważące odrzut. Moment później ognista smuga pomknęła w kierunku przeciwnika.

Trafiła w gródź tuż nad głową gościa. Teraz jednak Lee rozumiał już, czemu sierżant przerwał na chwilę ogień po oddaniu dwóch strzałów. Potrzebował tej chwili na skorygowanie namiarów celu w trójwymiarowej przestrzeni. Lee wystrzelił dwa razy do przeciwnika, który znowu podnosił broń.

Pierwszy pocisk trafił go w ramię i obrócił gwałtownie. Kolejny poleciał diabli wiedzą dokąd, na nowo ucząc porucznika pokory. Mierząc ostrożnie, Lee przygotował się do czwartego strzału...

Gdzieś blisko za jego plecami trzy razy odezwał się pistolet. Co najmniej jeden pocisk musiał trafić pirata w sam środek kadłuba. Krew wytrysnęła cienkim strumieniem, a szamotanina zmieniła się w chaotyczne drgawki.

Lee obrócił się, by podziękować Burnsowi; ten machał rozpaczliwie rękami, starając się dosięgnąć ściany i przerwać koziółkowanie spowodowane odrzutem jego broni. Lee postanowił mu pomóc...

– Mieliśmy iść czym prędzej do przodu, prawda, poruczniku? – odezwał się nagle sierżant.

Lee zamarł, obrócił się w kierunku mostka i odepchnął się od pokładu.

Płynąc przed siebie, usłyszał jeszcze kilka słów, które sierżant wypowiedział na zastrzeżonym kanale, i nie zdołał opanować uśmiechu.

– Całkiem nieźle jak na nowego, skipper.



Atak na mostek nie przebiegł już równie interesująco. Chociaż dwóch przebywających tam piratów miało dziesięciomilimetrowe pistolety i otworzyło ogień zaraz po tym, jak Finder cisnął do środka pustą rękawicę od znalezionej kombinezonu. Każdy oddał tylko po trzy strzały, ale to wystarczyło, by grupa porucznika zyskała przewagę. Gdy wdarła się do środka, tamci walczyli wciąż o ustabilizowanie swoich ciał, by móc znowu otworzyć ogień.

– Skoro są chwilowo bezradni, może zdołamy wziąć ich żywcem? – spytał porucznik.

– Nie – odparł sierżant. – Już łapią orientację. To muszą być Górniacy albo ktoś po dobrym treningu w walce w próżni. Za kilka sekund będą gotowi...

– Ognia – rzucił Lee i westchnął.

Dwa pociski od każdego z nich załatwiły sprawę.

Dokładnie w tej samej chwili gdzieś z tyłu dobiegł ich alarm modułu pozostawionego na którychś drzwiach. Finder i Lee obrócili się o sto

osiemdziesiąt stopni i skierowali w tamtą stronę.

Nim dotarli do miejsca pierwszej potyczki, dojrzeliby Burnsa szukającego osłony za włazem i usłyszeli charakterystyczne poszczekiwanie dziesięciomilimetrowego pistoletu, które kazało Roderigowi schować się jeszcze głębiej. Zaraz potem gdzieś dalej ryknęła seria pocisków o znacznie większej prędkości początkowej.

– Czysto – odezwał się Lewis na otwartym kanale. – Był tylko jeden. Dostałem go, sierżancie. Trafiłem go wszystkimi trzema pociskami, chociaż odrzut trochę mnie sponiewierał...

– Świetna robota, Lewis. – Finder spojrział na porucznika. – I to by było na tyle w kwestii przesłuchania jeńców, poruczniku.

– Parszywy pech. – Lee pokręcił głową.

– Zakładając, że ten ostatni zginął czystym przypadkiem – dodał sierżant na zastrzeżonym kanale, zerkając znacząco w stronę Lewisa.

Tak, pomyślał Lee. Będą musieli potem pogadać.



Wróciwszy na mostek swojego kutra, Lee zwolnił zastępcę, oficera imieniem Bernardo de los Reyes, z pełnienia obowiązków dowódcy i podziękował mu salutem.

– Zaczynaliśmy się już o was martwić, skipper – powiedział de los Reyes.

Lee powoli ściągał rękawice skafandra.

– Jakies dwie godziny temu musiałem zarządzić ciszę radiową, żeby spokojnie załatwić sprawę. Było ich pięciu.

– Ale czemu milczeliście przez resztę tych dwóch godzin? – spytał oficer, co było jakby częścią rytuału obowiązującego na mostku. Sam

świetnie rozumiał, że skoro dowódca zachował pełną ciszę radiową nawet po walce, musiał być po temu jakiś powód. Zapewne bardzo ważny.

– Nie pora o tym gawędzić, Bernie. Mamy jeszcze coś do zrobienia.

Finder też zjawił się na mostku. Wciąż jeszcze był w skafandrze.

– Porucznik Strong doszedł do bardzo ciekawych wniosków, Bernie.

– Naprawdę? – mruknął znacznie młodszy od sierżanta oficer. Obaj znali się jeszcze z dawnych czasów. Zgodnie z prawem starszeństwa oraz w zwykłych okolicznościach to Finder powinien być teraz pierwszym oficerem kutra *Venerated Gaia*. Sierżant zdołał jednak przez lata na tyle zaleźć za skórę różnym durnym oficerkom z Ziemi, że ci zrobili, co było w ich mocy, żeby nigdy nie awansował wyżej miejsca, które zajmował w tej chwili.

Lee przepłynął przez mostek, by zawisnąć ponad ramieniem nawigatora.

– Wolny?

– Tak, poruczniku?

– Proszę sprawdzić, dokąd przy obecnej trajektorii *Fragrant Blossom* dotrze w ciągu najbliższych trzech tygodni.

– Ależ sir, *Fragrant Blossom* leży w dryfie. Napęd jest nieczynny i trudno mówić o jakimś kursie...

– Wiem. Ale i tak sprawdź. Nawet jeśli to tylko moja zachcianka.

– Tak, sir.

Nawigator zabrał się do pracy i Bernie oraz Finder podpłynęli bliżej, by śledzić jego postępy.

Ekran komputera zamigotał i pokazał krzywą kursową, która prowadziła do czerwonego kręgu oznaczającego możliwe spotkanie ze znajdującym się na kartach nieba obiektem.

– Proszę obraz na główny ekran – powiedział Lee, wskazując brodą na komputer.

Wychodziło na to, że przy obecnym kursie *Fragrant Blossom* miał wyjść z części pasa asteroid leżącej przy Jowiszu, wcześniej jednak mijając jeden z tych okruchów skalnych, oznaczony jako 216 Kleopatra.

Lee spojrział na swoich dwóch podwładnych.

– Porywacze nie ustawili liniowca w dryfie. Gdyby tak było, nadal znajdowałyby się na kursie w kierunku na Kallisto. Jest jednak inaczej, a to oznacza, że po przejściu statku uruchomili napęd i dokonali zmiany kursowej, mierząc w ten kamyk. – Wskazał na zakreśloną na czerwono Kleopatrze.

– Ale dlaczego? – spytał nawigator.

– Bo ktoś tam na nich czeka – zasugerował Lee.



Bernie i Finder jako jedyni przeszli wraz z Lee do klaustrofobicznej sali odpraw. Ledwo weszli, Bernie sięgnął pod obudowę świetlnego stołu nakresowego, który pokazywał już kurs na Kleopatrze, i pstryknął przełącznikiem, włączając generator białego szumu. Produkowany przez niego hałas bardziej czuło się, niż słyszało.

Lee spojrział na Berniego.

– Coś ten dzień cały jest na bakier z regulaminem. Same niespodzianki.

Bernie wzruszył ramionami.

– Pewnie tak, sir. Kiedy dotrzemy do Kleopatry?

– Za dwie godziny i osiem minut – odparł Lee. – To oznacza, że nie zdążę omówić z wami wszystkiego, co znaleźliśmy na *Blossom*. Do diabła,

nie starczy nawet czasu na nawiązanie kontaktu z Marsem, by poprosić o dalsze instrukcje.

Bernie pokiwał głową. Mars znajdował się obecnie w odległości ponad dwudziestu minut świetlnych, co gwarantowało niemal godzinne, a w praktyce nawet większe opóźnienie w rozmowie.

– Zanim dojdą do czegoś sensownego, my już będziemy musieli działać – zgodził się. – Jedyne wyjście to przedsięwziąć coś na własną rękę, ale jeśli noga się nam powinie, oberwiemy za to, że nie czekaliśmy na odpowiedź. Jeśli zaś zdążą nam przysłać chociaż ogólne instrukcje, to w razie niepowodzenia okaże się, że nasz meldunek był niekompletny, a wykonanie rozkazów pozostawiało wiele do życzenia. Czy o tym pan myśli, skipper?

– Mniej więcej – zgodził się Lee.

– Czyli tak czy siak, mamy przesrane – mruknął Finder.

– Ja mam, panowie. Ja mam przesrane – westchnął Lee. – Chętnie podzieliłbym się z wami odpowiedzialnością, a tym samym i najpewniej winą, ale ja tu dowodzę. A skoro to ja podpisuję rozkazy, mnie będą z nich rozliczać.

Bernie spojrzał na Findera i uśmiechnął się przebiegle.

– A właśnie, czy nadal mamy problemy z łączem laserowym?

W pierwszej chwili Finder nie zdołał opanować zdumienia, ale zaraz pokiwał ze smutkiem głową.

– A tak. Mamy. I ciągle nie udaje się ustalić, co tam się porobiło.

– A zapisałeś wczoraj w dzienniku, że odmówiło posłuszeństwa?

– Chyba nie. Będę musiał sprawdzić. W razie czego dokonam wstecznej korekty – dodał z szerokim uśmiechem.

– Obu was powinienem postawić do raportu – odezwał się Lee, jakimś cudem opanowując radosny grymas twarzy.

– Bezwarunkowo – zgodził się Bernie. – Z całą surowością.

– Dobrze – powiedział Lee. – Zatem łącze laserowe „ożyje” dopiero po naszym podejściu do Kleopatry. Za późno, byśmy mogli czekać na jakiegokolwiek rozkazy z Marsa, ale akurat w porę, by posłać im w miarę kompletny meldunek o naszych znaleziskach. Z radia zaś akurat korzystać nie możemy, skoro istnieje duże prawdopodobieństwo obecności wrogiej jednostki w naszej okolicy.

– Aye, sir – zgodził się Bernie. – Wszystko zgodnie z regulaminem. Zawsze się go trzymamy.

– Zauważyłem.

– Ale pan od samego początku podejrzewał, że porwanie tego liniowca było jakieś dziwne – spytał Finder. – Dlaczego?

Lee wzruszył ramionami.

– Logicznie rzecz biorąc, mając statek ze sprawnym napędem, źli chłopcy powinni jak najszybciej uciec do jakiejś dziury. Tyle że wówczas dostrzeglibyśmy ich z daleka. Albo przez sygnaturę czynnego napędu, albo promieniowanie podczerwone ciepłych jeszcze dysz. Oni jednak zadbali, by nie rzucać się w oczy na naszych ekranach.

– Sugeruje więc pan, że spodziewali się naszej obecności? – spytał Bernie. – Ale skąd mogliby wiedzieć...?

– I to jest właśnie dziwne, wręcz podejrzane. Szliśmy na zimno, bez żadnych emisji. Bez dostępu do niejawnych materiałów nie mieli żadnej szansy, by się o nas dowiedzieć. Musieli chyba znać plan naszego patrolu.

– Cholera – mruknął Finder. – To byłaby grubsza afera.

– Owszem, ale wszystko na to wskazuje. Nie tylko wiedzieli, że jesteśmy w okolicy, ale na dodatek zabezpieczyli się na wypadek podjęcia przez nas próby abordażu w typowy sposób.

– To znaczy? – spytał Bernie i zmarszczył czoło.

– Gdy załatwiliśmy już porywaczy i zabezpieczyliśmy statek, znaleźliśmy miny pułapki blokujące wszystkie zwykłe drogi na pokład – wyjaśnił Finder. – Poza tą jedną, o której albo nie wiedzieli, albo zapomnieli.

– W szybie układu odrzucania reaktora? – Bernie pokręcił głową. – Pewnie nie sądzili, że ktokolwiek z nas będzie na tyle szalony, żeby się do niego zbliżyć.

– A dokładniej rzecz określając, że zawierzyli sile naszych przesądów? – rzucił z uśmiechem Lee. – Przesądów silniejszych niż prawa fizyki.

– Tak. – Bernie podrapał się za uchem. – Ale skoro już o tym mówimy, poruczniku, od jakiegoś czasu zauważamy z sierżantem, że różni się pan trochę od oficerów przysyłanych tu zwykle z Ziemi.

– Mówiąc wprost, próbujecie zrozumieć, dlaczego nie okazałem się aroganckim dupkiem?

Finder parsknął śmiechem, Bernie uśmiechnął się szeroko.

– No... coś w tym rodzaju.

– To długa historia, ale na razie powiedzmy, że moja rodzina nie cieszy się szczególnym zaufaniem ziemskich polityków.

– A skąd jest ta rodzina, poruczniku?

– Najpierw Tacoma, potem Vancouver, ostatnio Amherst.

Finder i Bernie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Ta tradycja wichrzycieli z Nowego Świata? – spytał Bernie.

Lee pokręcił głową.

– Ja akurat nie, ale moja rodzina owszem. Obawiam się jednak, że to wymierający gatunek.

– Odnoszę wrażenie, że duch niezależności nie umiera łatwo w „koloniach”.

– Może i niełatwo. – Lee spróbował się uśmiechnąć, ale daleko mu było do wesołości. – W sumie jednak umiera. Wolnomyśliciele nie mają teraz łatwego życia. A gdy ktoś został opisany w aktach jako „recydywista”, staje się obywatelem drugiej kategorii.

Bernie z Finderem znowu wymienili spojrzenia.

– Tak, wiemy.

Lee oparł się w fotelu. Już od jakiegoś czasu szykował się do odbycia z Finderem „dłuższej rozmowy”, ale teraz okazało się, że Bernie też powinien wziąć w niej udział.

– Mówicie więc, że mnie obserwowaliście?

Finder uśmiechnął się, napełniając kulisty pojemnik kawą.

– Dopiero teraz się pan zorientował? Taki bystrzak?

– Nie. Ale nie wiedziałem, że robiliście to aż tak metodycznie. I ciekawi mnie, czego jeszcze nie wiem.

Bernie pokręcił głową.

– Na razie nie wie pan nawet połowy, poruczniku.

– Wierzę na słowo, ale ta sprawa musi poczekać. – Lee spojrzął na czasomierz. – Za dwie godziny przejdziemy obok Kleopatry i mamy jeszcze sporo roboty.

– Na przykład co? – spytał Bernie. – Na mój gust najlepiej byśmy zrobili, trzymając się po cichu ogona *Blossom* i czekając, aż ktoś zjawi się,

by podjąć grupę szturmową. Wtedy moglibyśmy uderzyć na nich w chwili przesiadki i...

Lee pokręcił głową.

– Zakłada pan, że po dotarciu do Kleopatry mieli się zatrzymać na dłuższe posiedzenie, porywacze zaś czekali by na pokładzie liniowca na podjęcie. Bardziej prawdopodobny wydaje mi się plan, w którym wyszliby sami w próżnię, by czekać tam na zdalnie sterowany holownik. W ten sposób ich macierzysty statek mógłby cały czas ukrywać się w cieniu asteroidy.

Bernie i Finder raz jeszcze spojrzeli po sobie.

– On ma rację – mruknął w końcu sierżant.

– Jak by nie patrzeć – przytaknął Bernie. – Świat się kończy. Facet „z dołu” uczy mnie działań w próżni. Gdy wrócę na Marsa, mama mnie do domu nie wpuści.

– Może nic jej o tym nie mów – zaproponował Lee. – Ale chwilowo nie ta operacja martwi mnie najbardziej.

– Nie? – spytał Finder, w jednej chwili zapominając o kawie.

– Nie. Skoro porywaczom nie chodziło o zakładników i najwyraźniej nie zależało im też na samym statku, pozostaje pytanie o ich motywację. Ich cel, wciąż dla nas nieznany.

Bernie wzruszył ramionami.

– Rozumiem, ale czy to ma znaczenie?

– Tak. Skoro postarali się o dostęp do naszych niejawnych informacji, musi chodzić o jakąś naprawdę wielką operację, którą starają się utrzymać w tajemnicy, albo przynajmniej w cieniu. Mogą więc być gotowi do podjęcia różnych środków zapobiegawczych, by sprawa się nie rozniosła.

– Cholera – westchnął Finder. – Nasz chłopak... to znaczy porucznik, ma najpewniej rację. Może być nawet tak, że przejście obok Kleopatry posłuży jedynie za potwierdzenie, że robota się udała. I sygnął, że można już ekipę porywaczy, czyli potencjalnych niewygodnych świadków, usunąć.

– A tak – zgodził się Bernie i pokiwał głową. – To by pasowało. – Założył ręce na piersi. – Co więc zrobimy, skipper?

– Czy wszystkie nasze własne zdalnie sterowane holowniki są sprawne?

– Pełna gotowość, sir.

– Świetnie. Ile zestawów pasywnych sensorów mamy w magazynie?

– Sześć, sir. Różnych typów.

Lee pochylił się nad stołem.

– Dobrze zatem. Oto, co zrobimy...



Niemal dwie godziny później na pokładzie kutra *Venerated Gaia* ogłoszony został alarm bojowy, jednak poza tym niewiele się zmieniło i załoga za nic nie rozumiała, dlaczego porucznik Strong wahał się z podjęciem bardziej zdecydowanych działań. Przez cały czas stateczek, przezwany już dawno temu *Venerael Gato*, sunął powoli przed siebie, skryty w cieniu liniowca.

Wraz z nimi w przestrzeni dryfowały najróżniejsze śmieci, pochodzące z ładowni *Fragrant Blossom*. Większość rozmiarów przeciętnej kanapy. Podążały niemal równoległym kursem, ale z czasem oddalały się coraz bardziej od obu jednostek.

Gato był niemal tak cichy jak przestrzeń, którą przemierzał. Wobec braku gwaru ludzkich głosów szum komputerów i połączony z lekką wibracją pomruk urządzeń pokładowych, pracujących obecnie na zasilaniu

z akumulatorów, były szczególnie słyszalne. Atmosfera była nerwowa, co wiązało się głównie z perspektywą możliwej walki, w której mało kto miał jakiegokolwiek doświadczenie. Starcia w próżni były na tyle rzadkie, że dla wielu cała sytuacja była wręcz surrealistyczna. Na dodatek nie mieli zielonego pojęcia, z kim właściwie przyjdzie im się zmierzyć. Wszyscy wbijali wręcz spojrzenia w ekrany i przebierali palcami, gotowi do wykonania rozkazów.

Na razie wachta na mostku mogła obserwować tylko Kleopatę, długi na 217 kilometrów sople skalny, mierzący w najszerszym miejscu 94 kilometry. Z każdą chwilą stawał się coraz większy. Koziółkował z wolna; pełen obrót zajmował mu pięć godzin. W niejakiej odległości od niego krążyły jeszcze dwa „kamienie”, jeden o średnicy trzech, drugi pięciu kilometrów. Widać też było sporo gruzu pozostałego po pracach wydobywczych. Te kawałki były różnych gabarytów, od odłamków wielkości piłki po złomy rozmiarów kamienicy. Jeśli był tu jakiś wrogi statek, miał do wyboru aż kilkadziesiąt obiektów, za którymi można było się ukryć. Oczywiście z samą Kleopatą na czele.

– Asteroida jest już w zewnętrznej strefie zasięgu naszego uzbrojenia, skipper – zameldował oficer ogniowy, wyraźnie walcząc przy tym z suchością w gardle.

– Jak czujniki? – spytał Lee, nie odwracając głowy od ekranu.

– Bez zmian, sir. Gdybyśmy włączyli aktywne, mielibyśmy oczywiście lepsze dane...

– Niech pan nawet o tym nie myśli! – przerwał mu Lee. – Zero emisji, aż dam rozkaz.

– Tak, sir, ale...

– Zdaję sobie sprawę z faktu, że użycie biernych czujników ogranicza nasze możliwości bojowe i utrudnia branie namiarów ogniowych. Niemniej na razie proszę pilnować łączny laserowych z naszymi sondami i meldować na bieżąco o zmianach.

– Tak, sir.

Bernie podpłynął bliżej oficera.

– Poruczniku, bez wątpienia bierze pan pod uwagę i taką ewentualność, że nikt nie czeka tutaj na porywaczy. Być może planowali przesiąść się jedynie na jakiś stateczek, który wcześniej tu zostawili. Jeśli tak jest, możemy go łatwo przeoczyć.

– Tak, to możliwe – zgodził się Lee.

– Ale nie kupuje pan tej teorii?

– Nie kupuję. Biorąc pod uwagę, ile zainwestowali dotąd w całą operację, nie przypuszczam...

– Poruczniku! – odezwał się z przejęciem technik od czujników, dostrzegłszy blask bijący z za drugiego końca asteroidy. Łuna była pomarańczowa, ale ekran nie przekazywał im obrazu w rzeczywistych kolorach. Ta barwa oznaczała intensywne promieniowanie podczerwone.

– Widzę. Proszę o triangulację źródła ciepła.

– Nie dam rady, sir. Nie z obecnie używanymi czujnikami.

Bernie przygryzł wargę i wpatrzył się w pomarańczowy poblask.

– To musi być coś dużego, jeśli te sensory tak to widzą – powiedział. – Może nawet...

– Napęd nuklearny – stwierdził wprost Lee.

– Tego właśnie pan oczekiwał? – spytał Finder, pojawiając się na mostku.

– Sierzancie, w czasie alarmu bojowego pana posterunek jest na rezerwowym stanowisku dowodzenia! – rzucił mu porucznik. – Gdyby mostek został zniszczony...

Niektórzy stojący obok dowódcy gwałtownie pobledli. Finder zasalutował energicznie. Na ile to było możliwe, oczywiście.

– Właśnie tam zdążam, sir.

Bernie uśmiechnął się lekko, ale spoważniał, gdy porucznik spojrział w jego stronę.

– Panie de los Reyes, jest pan jedyną osobą na mostku, która nie zapięła jeszcze pasów. Proszę natychmiast to uczynić.

Bernie przełknął ciężko ślinę i posłuchał rozkazu.

Smukły Marsjanin obsługujący konsolę czujników miał chyba coraz większe kłopoty z oddychaniem.

– Ta łuna ma coraz wyższą temperaturę – powiedział zduszonym głosem. – Wykrywamy wysokoenergetyczne cząstki...

– Jasne, że tak – mruknął Lee. – Przygotować się do zmiany szyku biernych czujników. Ale ostrożnie, by nie roztrącić śmieci, między którymi je ukryliśmy.

– Aye, sir. Holowniki są gotowe przesunąć maskowanie, by nie zasłaniało pola czujnikom.

Rozkaz padł w idealnej chwili. Źródło blasku wychynęło zza asteroidy pod postacią wściekle czerwonego punktu.

– Wampir, wampir! – wykrzyknął technik. – Prędkość... kurde mole!

Lee zignorował nieregularny okrzyk.

– Uzbrojenie, od tej chwili przejmujecie czujniki. Triangulacja pasywnymi na źródło promieniowania.

- Ale to nie da nam użytecznych namiarów celu, sir.
 - Wiem o tym. Na razie nie musi. A jak długo nasze aktywne czujniki są wyłączone, tamten nie może nawet przypuszczać, że go namierzyliśmy. Chyba że ktoś tam ma zdolności paranormalne i wywącha jakoś, że te śmieci wkoło skrywają nasze sondy.
 - Które na dodatek wzmacniają odbiór – dodał z podziwem Bernie.
 - Tak, o to też chodziło. Ster, w gotowości. Nawigacja, przygotować zwrot na kurs od wampira.
 - Uciekamy... sir?
 - Nie, narzucamy dystans. A jeśli będę jeszcze choć sekundę dłużej czekać na ten kurs, uznam to za zaniedbywanie obowiązków, jasne?
 - Tak jest, sir! Już przygotowuję kurs, sir!
 - Mam uruchomić napęd? – spytał technik maszynowy, zwilżając językiem wargi.
 - Jeszcze nie. W tej chwili wydzielamy mniej ciepła niż siłownia liniowca. Na razie niech tak zostanie.
 - Kryjemy się w jego emanacji cieplnej – rzucił z uśmiechem Bernie.
 - Mam nadzieję. Uzbrojenie, zaprogramować szeroki rozrzut pocisków.
 - Ile ptaszków mamy wystrzelić, sir?
 - Wszystkie jedną salwą.
 - Sir?
 - A jak szybko on nadciąga? Czy w tej sytuacji będzie szansa na drugą salwę?
- Technik przełknął ciężko ślinę.
- Aye, sir, wszystkie w jednej salwie.

Czerwony punkt urósł wyraźnie i przestał być tak jednowymiarowy, jego czerwień zaś przybierała na intensywności.

- Ten cholernik ma dwa razy większy ciąg niż my – mruknął sternik.
- Jeśli się nie mylę, to pięć razy większy, i zostawia silnie radioaktywny ślad, który niemalże świeci w ciemności.
- Kurna... tak, sir. Chyba tak jest – odezwał się technik od czujników.
- Uzbrojenie, mamy wstępny namiar celu?
- Jeszcze nad nim pracuję, sir. Przy tych czujnikach interpolacja...
- Czy wampir uruchomił swoje aktywne czujniki?
- Nie... chociaż powinien już to zrobić, sir. Ma zasięg. Może coś mu się uszkodziło...?
- Pewnie ma na pokładzie tylko pociski amatorskiej roboty, o mniejszym zasięgu niż nasze. Ma nadzieję, że spanikujemy, widząc go zbliżającego się z taką prędkością, i wypalimy na ślepo z maksymalnego dystansu.

Bernie pokiwał głową.

– Tak, chce nas sprowokować do strzału już teraz, gdy namierzamy tylko jego ślad cieplny. A jeśli to zrobimy, przejdzie w tryb aktywny, szybko złapie namiar na nasze źródła emisji i złoży nam dupę.

Lee przytaknął. Coraz bardziej pocił się pod pachami i nie było to przyjemne.

- Uzbrojenie, ponownie, mamy wstępny namiar?
- Jeszcze... Jest! Marny i niepewny, ale jest. Tyle że bez gwarancji trafienia, sir.
- Odpalić salwę. Pociski na sterowanie wiązką prowadzącą.
- Ale sir, jeśli mają go trafić, musimy przejść na aktywne...

– Nie teraz. Dopiero, gdy nasze pociski pokonają pięćdziesiąt procent drogi do celu.

– Właśnie dochodzą do tej granicy... Już!

– Włączyć aktywne. Przekazać dokładne namiary celu pociskom. Maszynownia, pełna moc. Ster, kurs do wampira.

– Pociski przechodzą na aktywne śledzenie celu – zameldował technik. – Osiemdziesiąt procent z nich nadal ma szansę na przechwycenie.

Odległe już mocno pociski przestały podążać niemal na ślepo, naprowadzane jedynie na ślad cieplny tajemniczego statku. Teraz dysponowały pełnym zestawem danych, który wiódł je precyzyjnie, jak po sznurku. Wcześniejszy, prowizoryczny namiar okazał się na tyle dokładny, że aż osiem z dziesięciu rakiet miało szansę na wykonanie swego zadania. Obecnie pokonały już sześćdziesiąt procent dystansu.

Tamten bez wątpienia oczekiwał, że *Gato* uruchomi aktywne czujniki już w momencie odpalenia salwy, i sądził, że będzie miał dość czasu na skuteczną reakcję. Niemniej wobec ośmiu nadciągających rakiet musiał skupić się na unikach. Wykręciwszy kadłub o dziewięćdziesiąt stopni, dał pełny ciąg, by jak najszybciej zmienić zasadniczy wektor lotu. Ale olbrzymia prędkość postępową, rozwiniętą wcześniej dla zmniejszenia dystansu od przeciwnika, teraz działała przeciwko niemu. Wprawdzie odchodził z wolna w bok, ale zasadniczy kierunek lotu zmieniał się bardzo wolno. Na tyle wolno, że głowice pocisków nie miały większych kłopotów z obliczaniem poprawek kursowych.

W ostatniej chwili wypuścił jeszcze salwę własnych rakiet, po czym zginął w krótkim, gwałtownym rozbłysku.

Na mostku kutra rozległy się wiwaty, uciszone zaraz ostrym pytaniem porucznika.

- Ile ciągnie na nas?
- Trzy, sir. Zagłuszamy, ale trzymają namiar celu.
- Pewnie idą teraz na własnym naprowadzaniu i kierują się na nasze źródła emisji. Wystrzelić pozoratory i flary.
- I to jest jeszcze jeden powód, dla którego tak późno kazał pan włączyć nasz napęd – mruknął Bernie. – Gdybyśmy grzali go od godziny, byłby wyraźniejszym celem niż flary.

Niemal w tej samej chwili usłyszeli meldunek, że jeden z pocisków skierował się na pozorator emitujący fale radiowe, a dwa skręciły w kierunku flar.

Lee rozpiął pasy i wstał.

– Odbój alarmu. – Pochylił się i włączył interkom. – Sierżant Finder natychmiast do mnie. Ster?

– Tak, sir?

– Jako najstarszy stopniem przejmuje pan mostek. Będę w kabine odpraw z panem de los Reyesem. Gdy sierżant do nas dołączy, zajmiemy się przygotowaniem raportu z akcji.



Gdy tylko drzwi zamknęły się za sierżantem, Lee spojrzał na swoich dwóch podoficerów.

– Dobrze, panowie, mamy teraz kilka chwil na spokojną rozmowę i oczekuję pewnych wyjaśnień. Po pierwsze, skąd wzięła się ta bezodrzutowa broń, którą dał mi pan na liniowcu, sierżancie. Po drugie, dlaczego zadbał pan, żeby Lewis nie znalazł się w grupie, która szła na dziób *Blossoma*. Ten sam Lewis, który później, jak pan sugerował, strzelił trzy razy do porywacza nie z nadmiaru zapału bojowego, ale dla uzyskania

pewności, że nie będziemy mieli kogo przesłuchiwać. A potem jeszcze ten generator białego szumu, który zainstalował pan w tej kabinie, panie de los Reyes. Dość niezwykła modyfikacja w wykonaniu kogoś, kto zawsze trzyma się regulaminów.

Porucznik usiadł.

– Oczekuję, że uświadomicie mnie, zwykłego Ziemniaka, w tych sprawach. I to teraz, zanim jeszcze Mars odpowie na raport, który właśnie wysłałem.

Założył ramiona na piersi i czekał.

– Cóż – westchnął po chwili Bernie. – Nie sądziliśmy, że okaże się pan na tyle zdecydowaną osobą.

– Przykro mi, że was zaskoczyłem. Ale sam też czuję się zaskoczony, więc jesteśmy kwita i chcę wiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje?

Finder pomasaował naznaczoną odciskami dłoń.

– Poruczniku, żeby nie marnować czasu na powtarzanie tego, co być może i tak pan wie, czy to pan nam mógłby powiedzieć, co pana zdaniem tu się dzieje?

– Na pewno wiem jedno, że wszystko, co mówi się o was na Ziemi, jest zafałszowane i mocno niekompletne za sprawą tych, którzy tam rządzą, czyli Zielonych. To oni kontrolują obieg informacji. Neoluddyści nie mają do tego drygu ani środków. Nie mają też dość cierpliwości, by wnikać we wszystkie niuanse propagandy. Jeśli zaś chodzi o moje podejrzenia, to sądzę że Patrol Celny nie jest jedyną organizacją Unii Ziemskiej służącą w próżni za „uszy i oczy Terry”. Najpewniej istnieją jeszcze inne, mniej oficjalne struktury.

Bernie wzruszył ramionami.

– Wiemy, komu winni są lojalność nasi oficerowie. I trudno, by było inaczej, skoro wszyscy jesteście z jednego miejsca. Bez obrazy, panie poruczniku.

– Nie czuję się obrażony. Ale to oznacza, że bardziej niepokoją was informatorzy we własnej grupie, grupie Górniaków. – Lee spojrzał na Findera. – I o to chodziło z Lewisem. Podejrzewa pan, że jest szpiclem działającym na rzecz ziemskich.

Finder pokiwał poważnie głową.

– Tak. Jest tutaj nowy i nikt nie zna jego rodziny. Nawet inni Luniacy.

– On jest Luniakiem? Nie wygląda.

– Bo nie urodził się na Księżycu. Niemniej zbyt dobrze radzi sobie w stanie nieważkości, by mógł pochodzić z Ziemi.

Lee zastanowił się nad tym.

– A może wychował się w którymś z orbitalnych habitatów? Tak jak pan, sierżancie?

– Więc już mnie pan wyczuł? – spytał z uśmiechem Finder. – Trafił pan.

– Wystarczyło usłyszeć ten akcent, z jakim odezwał się pan podczas akcji. Bardzo przypomina ten używany w habitacie L-4. No i nie dorobiłby się pan tych mięśni w środowisku o ciężeniu mniejszym od ziemskiego. A to wskazuje na jeden z wielkich torusów mieszkalnych. I rodzina Lewisa też może być stamtąd, od niedawna dopiero na Księżycu. To by wyjaśniało jego umiejętności godne Górniaka.

Bernie pokiwał głową.

– Taki układ czyniłby go idealnym kandydatem na szpicla Zielonych.

– Dlaczego?

– Unia Ziemiska mocno pilnuje limitów migracyjnych. Ale z racji zasług można załapać się poza kolejką.

– Gotowość do współpracy byłaby taką zasługą?

– Na przykład. Ale to nie jedyne, czego żądają, zwłaszcza gdy ludziom naprawdę zaczyna zależeć na zmianie miejsca zamieszkania. Chociażby z przyczyn medycznych.

– Medycznych?

Bernie pochylił się, szerzej rozsunął nogi i splótł palce obu dłoni na wysokości kolan.

– Na pewno chce pan to usłyszeć, poruczniku? To może zmienić pańskie widzenie świata na tyle, że potem trudno będzie się cofnąć i wrócić na Ziemię.

– Nie wiem, czy chcę tam wracać. Chociaż nie wiem też, czy mam ochotę zostać Górnikiem.

– Głupia sprawa – mruknął Finder. – Niewiele innych opcji jest do wyboru.

– Tak, i wiecie, co mnie dręczy – odparł z uśmiechem Lee. – Ale słucham. Jak Unia Ziemiska stosuje szantaż medyczny?

Bernie wzruszył ramionami.

– Dobrze, ale proszę pamiętać, że sam pan chciał. Gdy dorastałem na Marsie, dwie kopuły dalej mieliśmy pewnych sąsiadów. Mili ludzie, z dwójką dzieci, w tym jedną córką, która wpadła mi w oko. Gdy miała dwanaście lat, zdiagnozowano u niej białaczkę wywołaną wpływem środowiska.

Lee zmarszczył brwi.

– Myślałem, że habitaty na Marsie muszą spełniać rygorystyczne normy ochrony przed promieniowaniem.

– Tak, podobnie jak wszystkie marsjańskie świnie mają skrzydła. Prawdę mówiąc, może i spełniały te normy w chwili budowy. Tyle że

niektóre z nich mają już dwieście lat. Materiał ulega degradacji i traci wcześniejsze właściwości, a podłoże budowli ulega erozji. Oczywiście staramy się utrzymywać wszystko w jak najlepszym stanie, ale Ziemia zawsze znajduje jakieś wymówki, by opóźnić dostawę potrzebnych materiałów albo wręcz odwołać przesyłkę.

– Także w przypadku osłon dla habitatów?

– W przypadku wszystkiego. Włączając w to również lekarstwa, że wrócę do mojej historii. Moja śliczna sąsiadka z białaczką powinna dostawać co tydzień konkretny zestaw leków, jednak ich zapasy na Marsie skończyły się po pięciu tygodniach kuracji. Musiała czekać kolejne dziesięć na nową ich dostawę. W razie regularnych powtórek takiej sytuacji za dwa do trzech lat byłoby już po niej.

– Więc jej rodzice poszli na układ? – spytał Lee przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście. Pan by nie poszedł? Dostali zgodę na przesiedlenie do jednego z niskograwitacyjnych habitatów w pobliżu ziemskich Planetoid Trojańskich. Zapewne nadal tam mieszkają, węsząc dla Unii Ziemskiej. Ale z Lewisem mogło być prościej.

– Dlaczego?

– Szczerze mówiąc dlatego, że jest Luniakiem. To najbogatsza grupa Górniaków. Łatwy dostęp do dóbr importowanych z Ziemi, co rusz jakaś premia lojalnościowa, regularny kontakt z Ziemniakami i tak dalej. A skoro znajdują się tylko o sekundę świetlną od Ziemi, to mają dostęp do tej samej sieci, więc Unia Ziemska robi wszystko, by ułatwić życie na Księżycu, tak by nie zaczęły napływać stamtąd żadne nieprzyjemne wieści. Luniacy mają dostęp do tych samych przywilejów socjalnych i mało czego im brakuje. A skoro są i przywileje, i pieniądze, nietrudno o ludzi sympatyzujących z ziemskim rządem.

– Jeśli mamy tu szpicla Unii, to Luniak jest najpewniejszym kandydatem – dodał Finder. – Dlatego nie wszystko im mówimy. Także o naszej broni, produkowanej po cichu specjalnie do użytku w warunkach bezgrawitacyjnych.

– To całkiem inna wersja historii podboju kosmosu – powiedział Lee. – Tego u nas w szkołach nie uczą.

– Z pewnością – przytaknął sierżant. – Ale jakoś musimy sobie radzić. Mamy długą tradycję zmagania z pokoleniami pańskich poprzedników. Co roku przysyłają nam nowych. Niemniej w ten sposób wracamy do zagadki, która nas gnębi. Jak pan się taki uchował? Taki, czyli z bardziej otwartym umysłem?

Lee wzruszył ramionami.

– Tak jakoś wyszło, że część moich krewnych należy do Piątaków.

Teraz Bernie spojrzał na niego pytająco.

– Piątaków?

– Tak. Osób twardo powołujących się na swoje prawa wynikające z Piątej Poprawki.

– Co to jest Piąta Poprawka?

– Jeśli dobrze pamiętam, to poprawka do amerykańskiej konstytucji, dająca człowiekowi prawo do odmowy odpowiedzi na jakieś pytanie czy nawet zeznań w sądzie, jeśli ta odpowiedź mogłaby mu w jakiś sposób zaszkodzić albo zostać wykorzystana przeciwko niemu.

– Nieźle – mruknął Bernie. – I co zrobili z tym prawem?

– W Stanach Zjednoczonych ciągle obowiązuje, przynajmniej na papierze – powiedział Lee. – Jednak ze sto lat temu, gdy Zieloni umacniali swoją władzę przed zagarnięciem Narodów Zjednoczonych, zdołali przewalczyć wprowadzenie w większości krajów czegoś na kształt lojalki.

W niektórych państwach, jak w północnych Chinach, trzeba było na takie pytania odpowiadać. W innych brak odpowiedzi traktowano jak przyznanie się do winy, naginając przy tym starą zasadę prawną. W niektórych trzeba było wyjaśnić, dlaczego odmawia się zeznań. Tylko w Stanach nadal można było po prostu milczeć, powołując się na Piątą Poprawkę. Od tamtej pory każdego, kto nie wykazywał się pełną lojalnością wobec rządzących, nazywano Piątakiem.

– Rozumiem. Bogata tradycja rodzinna. Ale to nie wyjaśnia, jakim cudem jest pan jednocześnie kompetentnym oficerem.

Porucznik wzruszył ramionami. Nie miał powodu, by to ukrywać.

– To zapewne dlatego, że w młodości miałem dostęp do biblioteki mojego pradziadka pełnej wywrotowych dzieł. Połowy z nich nigdzie indziej nie dałoby się znaleźć.

– A jakie to książki Zieloni i Neoluddyci uznali za szkodliwe dla ludzkości? – spytał Bernie.

– Najróżniejsze. Porządne opracowania historyczne. Prozę, dramaty i poezję, w których bohaterowie nie zachowują się wystarczająco prospołecznie.

– Co? Więc Szekspira też wywalili? – spytał Finder.

– Tak, ale na innej podstawie. Wszystko, co powstało przed dziewiętnastym stuleciem, uchodzi za produkt „kultury prymitywnej”.

– Cholera – mruknął Bernie. – Myślałem, że to klasyka literatury.

– Kiedyś. Do czasu, aż komitety Standardów Behawioralnych uznały, że wszyscy bohaterowie naszych dzieł muszą reprezentować „wartościowe postawy”. Wszyscy inni zostali okrzyknięci barbarzyńcami, chociaż przyznano, że to nie ich wina. Powstali przecież w czasach przed Zielonym Przebudzeniem.

Finder znowu zmarszczył czoło.

– Rosjanie też chyba tak traktowali książki w czasach, gdy próbowali zaprowadzić komunizm?

– Trudno powiedzieć – odparł Lee, kręcąc głową. – Trudno o wiarygodne źródła historyczne opisujące okres od 1800 roku do dzisiaj. Mieliśmy ich trochę w bibliotece pradziadka, ale dotyczyły głównie historii Ameryki i toczonych przez nią wojen. Ale było też sporo prozy...

Lee przypomniał sobie ciągnące się pod ścianami regały z ciemnego drewna, które były dla niego bramą do innych światów, całkiem odmiennych od otaczającej go szarej rzeczywistości. Światów ożywianych śmiałymi ideami motywującymi do równie śmiałych działań, które inni postrzegali jako wichrzycielskie i burzące właściwy porządek rzeczy. W tamtych książkach imperia wzrastały i upadały, odważni ludzie ratowali całe miasta, odkrywali kontynenty, badali odległe planety...

– Jest pan tu jeszcze, poruczniku?

Ciche słowa Berniego wyrwały Lee z zamyślenia.

– Tak więc postanowiłem żyć na podobieństwo tych, o których tyle czytałem.

Finder aż uniósł brwi.

– I jakim cudem się panu udało?

– Zaraz po studiach zgłosiłem się do jedynej służby, która wciąż nie budziła kontrowersji: Straży Wybrzeża. Ich specjalność to nadal SAR, a Unia zawsze sprzyja tym, którzy chcą zajmować się operacjami poszukiwawczymi i ratowniczymi. Zwłaszcza gdy chodzi o materiał na oficera. Mało zdolnych ludzi próbuje się tam dostać. Ryzyko nie jest obecnie w cenie, nawet gdy chodzi o ratowanie czyjegoś życia.

– Cóż, to wyjaśnia, dlaczego zachował pan zimną krew na mostku, podczas gdy tamci do nas strzelali. Cholera, nawet Górniacy nie pchają się tam, gdzie niebezpiecznie. W razie czego wolimy umykać, ile sił w nogach. O ile tylko można.

– Zatem zyskał pan szlify, walcząc z huraganami – stwierdził z uśmiechem Finder.

– Można tak powiedzieć – odparł Lee. – Bez tego nigdy nie przyjęliby mnie do służby w próżni.

– Na której panu zależało. Dlaczego?

Lee spojrział na Berniego.

– Chciałem robić to, co teraz robię. Znaleźć się na tyle daleko od Ziemi, żeby globalna biurokracja nie mogła kontrolować każdego mojego kroku. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem.

– Cóż, witamy w naszym szambie, poruczniku – westchnął Bernie. – Sam tego chciałeś.

– Skipper, mamy transmisję przychodzącą – rozległ się głos dyżurnego łącznościowca.

– Skoro mowa o szambie... – odezwał się Finder.

Lee spojrział na niego ostro i odebrał połączenie.

– Proszę dać to na ekran w kabinie odpraw.

– Tylko w sumie nie ma czego, sir. To tylko polecenie ponownego przesłania raportu z operacji, tyle że do innego odbiorcy.

– Nowego odbiorcy? Gdzie?

– Mam tylko koordynaty, ale chodzi zapewne o Hygeję.

Bernie i Finder wyglądali na równie zaskoczonych jak Lee.

– Dobrze, wykonać. – Zakończył rozmowę i spojrzął na pozostałych. – Hygeja?

– Najdalej leżąca z większych skał w Pasie Asteroid. Posterunek obserwacyjny, stacja paliw i zaopatrzenia, mekka szemranych przedsiębiorców i wolnych górników.

– To wiem. Czytałem wykaz. Ale jacy „szemrani przedsiębiorcy”? I jacy „wolni górnicy”?

– Powtarzam tylko to, co wszyscy tutaj świetnie wiedzą. Nie każda osoba urodzona poza Ziemią trafia na oficjalne listy spisowe Unii. Sporo dzieje się bez jej wiedzy, gdy chodzi o interesy, budowę statków czy utrzymywanie społeczności.

– Ale chodzi o to, że działają bez licencji, czy w ogóle bez kontroli władz?

– Jedno i drugie. Istnieją tylko dzięki temu, że trzymają się poniżej horyzontu radarowego, że tak powiem.

– Aha. I niektórzy z nich zjawiają się na Hygei, by prowadzić tam swoje interesy?

– Interesy i nie tylko. Przy takich dystansach jak w Pasie więzi społeczne też mocno obrywają; proszę kiedyś spytać kogoś stamtąd, jak to wygląda. Ktoś musi zajmować się swataniem.

– Rozumiem – mruknął Lee z uśmiechem. – Ale dlaczego góra kazała nam przesłać meldunek na Hygeję?

Finder spojrzął na swoje buty.

– Mogę opierać się tylko na plotkach, skipper.

– Tak? – rzucił ze zdumieniem Bernie. – Co przede mną skrywasz?

– Słuchaj no – powiedział mu sierżant. – Gdybym wyjawiał ci wszystko, co wiem, byłbyś tak mądry jak ja. Albo prawie. Pozwól mi więc zachować

trochę sekretów na starość. – Zerknął na porucznika. – Chodzą słuchy, że widuje się w tej okolicy statki Unii, znacznie większe niż nasze kutry, które zajmują się jakimiś swoimi sprawami i mają tajne bazy na większych planetoidach albo w ich pobliżu. W tym także na Hygei.

– Jednostki nie należące do Patrolu Celnego?

– Tak i nie – odparł Finder. – Podobno są pod kontrolą tajnego działu Patrolu Celnego, który podlega bezpośrednio Komitetowi Kierowniczemu Unii. I są obsadzone przez ludzi takich jak pan, byłych kapitanów kutrów i innych Ziemniaków, którzy mają doświadczenie ze służby w próżni.

Lee zmarszczył czoło.

– I co tu robią?

– Wszystko, co im politycy każą.

Porucznik poczuł, że nagle zrobiło mu się zimno.

– Tacy próżni pretorianie?

– Tak jakby. Albo Kozacy. Według pogłosek.

– Myślałem, że to tylko takie gadanie, bajki do straszenia dzieci – powiedział Bernie.

Finder spojrział na niego z wyrzutem.

– Jeśli choć połowa z tego, co słyszałem, to prawda, oni nie próbują nikogo straszyć. Od razu zabijają.

Lee zastanowił się chwilę.

– Jeśli te statki rzeczywiście istnieją, to mógł być jeden z nich. Jak na razie wszystko wskazuje na to, że porwanie liniowca było częścią jakiegoś większego planu. To by pasowało.

– Może, ale jeśli to był statek pretorian, zostaje jeszcze pytanie, dla kogo oni pracują? Dla góry czy dla dołu?

- Chyba że jeszcze ktoś inny rozdaje tu karty – mruknął Lee.
- Na przykład kto? – spytał Bernie.
- Wiadomość przychodząca, sir – pisnął głośnik. – Tym razem z opóźnieniem czterdziestu sekund.

Bernie przesunął palcem po górnej wardze.

- Nadawca jest dwadzieścia sekund świetlnych stąd. Bliżej niż Hygeja, ale niewiele.

Ekran ścienny pojaśniał, ukazując mężczyznę o całkiem zwykłych rysach, w standardowym garniturze, ze zwykłym, biurowym widokiem w tle.

- Witam, poruczniku Strong. Jestem okręgowym koordynatorem działań Patrołu Celnego. Nazywam się Stephan Mann.

Wysyłanie odpowiedzi przed obejrzeniem całości przekazu nie miałyby sensu, zatem Bernie mógł spokojnie podzielić się tym, co wiedział o człowieku.

- Słyszałem o gościu. Pochodzenie szwajcarsko-belgijskie. Jest tu gdzieś od pięciu lat. Ile razy się pokazuje, zaraz potem gównem leci z nieba. Nie kocha Górniaków, zielony jak szczypiorek na wiosnę.

Lee pokiwał głową i uświadomił sobie, że nie widział nazwiska Manna na żadnej oficjalnej rozpisce decydentów Patrołu Celnego. Musiał zajmować się operacjami specjalnymi. Należało na niego uważać.

- Odebraliśmy pański raport o zdarzeniach, poruczniku. Dowiódł pan swojej kompetencji i zasłużył na pochwałę.

- On chyba chce nam pogratulować, że skopaliśmy dupę złym chłopcom – mruknął Bernie.

- Niemniej pańskie zaniedbanie związane z utrzymaniem wszystkich systemów kutra w stanie pełnej gotowości musi spotkać się z negatywną

oceną. Ufamy, że w przyszłości nie dopuści pan do podobnej sytuacji – ciągnął Mann.

– Zaniedbanie? – spytał Finder. – Jakie zaniedbanie?

– Ten moduł łączy laserowego, który od wczoraj jest popsuty – wyjaśnił Lee. – Zapomniał pan?

– A, to – mruknął sierżant, robiąc zakłopotaną minę, podobnie jak i Bernie. – Przykro mi, ale tego nie przewidzieliśmy, poruczniku.

– I pan ważny nie da nam ciasteczek. Wielka mi sprawa.

Nadprogramowa ważna osoba w nijakim garniturze jeszcze nie skończyła.

– Jednak najbardziej nas zasmuciło, że nie zdołał pan ująć żadnych jeńców. Ich przesłuchanie mogłoby pomóc w wykryciu wszystkich sprawców tej bezmyślnej i okrutnej zbrodni popełnionej na pokładzie *Fragrant Blossom*.

Lee aż unióśł brwi. Bezmyślnej i okrutnej? To sugerowało jednoznacznie, że Mann miał zabójstwo pasażerów i załogi liniowca za akt żywiołowego barbarzyństwa, nie element głęboko przemyślanego planu i działanie z pełną premedytacją. Dziwne, chociaż może wiele mówiące.

– Co się zaś tyczy pańskich spekulacji na temat napędu zniszczonego przez was statku, konkretnie modelu termonuklearnego, opartego na wyrzucie gazu, ale zdolnego do pracy zarówno w trybie zamkniętym, jak i otwartym, który w razie rekonfiguracji pozwala na błyskawiczne zwiększenie mocy ciągu, to muszę przekazać, że zdaniem naszych inżynierów taki napęd jak na razie nie istnieje, chociaż jest hipotetycznie możliwy do skonstruowania. Pańska niczym nie uzasadniona sugestia, jakoby konstruktorzy Górniaków byli w stanie samodzielnie rozwinąć tę technologię i dysponowali wystarczającymi zasobami materiałów

rozszczepialnych, żeby ją stosować, została uznana przez naszych specjalistów za niewartą analizowania. Niemniej gdyby natrafił pan na kolejne dowody wspierające pańską teorię, proszę je teraz przekazać.

I na tym wiadomość się zakończyła. Lee spojrzał na swoich podoficerów.

– Albo zwariowałem, albo słuch mnie zawodzi. Dobrze rozumiem, że on z jednej strony orzekł, jakoby przedstawiona przeze mnie teoria była całkiem niedorzeczna, z drugiej zaś domaga się kolejnych dowodów na jej trafność?

– Tak to jakoś wychodzi – przytaknął Bernie.

Lee pokręcił głową.

– Proszę nagrać odpowiedź – przekazał technikowi.

– Sir, kamera włączona, tryb nadawania.

Lee wyprostował się nieco.

– Koordynatorze Mann, dziękuję za tak szybką reakcję na mój raport. W kwestii możliwości napędu i pochodzenia wrogiego statku opieram się na informacjach pochodzących z teoretycznych prac opublikowanych niemal trzy wieki temu oraz powszechnie dostępnych danych na temat ograniczonych możliwości Patrolu Celnego, który nie jest w stanie nadzorować w pełni działalności Górniaków tak daleko od Ziemi.

Czuł na sobie spojrzenie Berniego i Findera, zastanawiających się na pewno, ile z tego, co właśnie od nich usłyszał, zdecyduje się wyjawić.

– Niemniej, chociaż nie mam żadnych dowodów na istnienie centrów badawczych czy produkcyjnych działających bez nadzoru Patrolu Celnego czy innych wyznaczonych przez Unię instytucji zarządzających...

Z tyłu dobiegły go dwa ledwie słyszalne westchnienia ulgi.

– ...uwazam za warte odnotowania, że silna radioaktywność wyrzucanej przez dysze tamtego statku materii oraz jego zdolność do błyskawicznego zwiększenia siły ciągu sugerują całkiem inną konstrukcję napędu, mocno zbieżną z dawnymi teoretycznymi opracowaniami na temat nuklearnego napędu rekonfigurowalnego. Pozwolę sobie też zauważyć, że taki właśnie napęd byłby idealny do podobnych operacji, dając szansę na uzyskanie przewagi taktycznej dzięki zdolności do utrzymywania, przynajmniej przez krótki czas, siły ciągu o wartości równej pięciuset procentom ciągu naszego kutra. Ostatecznie, z tego, co udało nam się ustalić po oględzinach, wynika, że chociaż porywacze wykazali się pogardą dla ludzkiego życia, ich działania nie robiły wrażenia „bezmyślnych”. Każdy etap ich planu wydawał się głęboko przemyślany, z pełną dyscypliną podczas jego metodycznego wykonywania. Włącznie z ustawieniem liniowca na kursie na Kleopatę zamiast pospiesznej ucieczki. Wszystko to skłania mnie do odrzucenia wersji, że sprawcami byli zwykli piraci; bardziej byłbym skłonny wiązać ich z jakimiś politycznymi radykałami.

Wyłączył mikrofon, usiadł i... nagle zauważył, że Finder i Bernie pilnie omijają go spojrzeniami.

– Dobra – powiedział cicho. – O co chodzi tym razem? Czyżby rzeczywiście istniały jakieś radykalne frakcje Górniaków?

– Cóż, może nie zorganizowane frakcje, ale jest coś takiego. Nazywają się Kosmakami.

– Dlaczego tak?

Bernie zatarł ze złością dłonie.

– Bo ich zdaniem to kosmos jest prawdziwym domem ludzkości, nie Ziemia. Najbardziej skrajni spośród nich uważają, że przywiązanie ludzi do zielonej planety nie tylko jest przeżytkiem, ale na dodatek stwarza poważne

zagrożenie. Twierdzą, że właśnie dlatego Ziemiaki traktują Górniaków jak śmieci. Czują się od nich lepsi, bo zamieszkują kolebkę ludzkości.

Finder pokiwał głową.

– Ich plan zakłada odwrócenie się plecami do Ziemi i pozwolenie, by utonęła we własnych śmieciach i zadławiła się tą dumą.

Cholera, naprawdę niewiele wiem o tym, co tu się dzieje, pomyślał Lee.

– Nie wydaje mi się jednak, żeby Kosmaki byli w stanie zaplanować podobne porwanie, skipper – dodał Bernie. – Z drugiej strony ma pan rację, że ktokolwiek napadł na *Blossom*, nie zrobił tego dla pieniędzy. Nie chodziło też o pozyskanie statku czy chwilowe ustępstwa wymuszone groźbami wobec zakładników. Też zastanawia mnie, o co właściwie im chodziło.

Finder aż się zakołysał, przytakując intensywnie.

– Tak. I dlaczego czekał na nich tutaj ten nielegalny statek o diabelskim napędzie i z raketami w wyrzutniach?

– Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi – mruknął Lee. – Obawiam się jednak, że nawet ponowne przeszukanie statku wiele nam nie pomoże. Trzeba będzie więc rozszerzyć poszukiwania.

– W jaki sposób?

– Udając się do miejsca, które było pierwotnym portem docelowym liniowca, na Kallisto.

– Sądzi pan, że to wszystko zrobiono właśnie po to, żeby tam nie dotarł?

– Dokładniej, aby powstrzymać kogoś albo coś przed dotarciem tamże – rzekł Bernie.

– Zatem przypuszcza pan, że ktoś czeka na Kallisto na jego ładunek? – mruknął Finder. – Może ten gość, który zawiadomił Patrol o spóźnieniu liniowca?

Bernie pokręcił głową.

– Nie, to byłoby zbyt proste. Poza tym na Kallisto jest mały ruch, góra cztery statki rocznie. Za każdym razem masa ludzi oczekuje tam na przesyłki, dostawy, nowy personel i tak dalej.

– Niemniej gdzieś w lukach ładunkowych *Blossom* jest zapewne coś, co spowodowało całą sytuację. Może to igła w stogu siana, ale igła zapewne nielegalna, nie widniejąca w manifeście pokładowym.

– Skipper, mamy odpowiedź na pański ostatni przekaz – odezwał się znowu technik.

– Dziękuję, proszę przekazać tutaj.

Ekran znowu pojaśniał. Mann nadal siedział na swoim biurowym fotelu, ale wyglądał na mocno podminowanego.

– Poruczniku Strong, z perspektywy mojego doświadczenia zawodowego gotów jestem przyznać, że jako młody oficer został pan niedawno wystawiony na działanie silnego stresu, zatem nie powinno nas dziwić, że dostrzega pan podejrzane działania, spiski i polityczne frakcje renegatów tam, gdzie niczego takiego nie ma. To zrozumiałe po walce, ale musi się pan już otrząsnąć i porzucić te fantazmaty. Obecnie najważniejszym zadaniem jest dla pana dokończenie patrolu. Ma pan wziąć *Fragrant Blossom* na hol i z najwyższą możliwą prędkością doprowadzić liniowiec do najbliższego stałego posterunku Unii Ziemskiej. Proszę nie prowadzić dalszych przeszukiwań statku, tym zajmą się już odpowiednie osoby na miejscu. Wymianę wiadomości w tej sprawie uznaję za zakończoną, wyjąwszy pańskie nawiązanie łączności z administracją posterunku, któremu przekaze pan liniowiec. Jeśli po przekazaniu wstępnego, jak sam pan to określił, raportu w sprawie *Fragrant Blossom* wykrył pan jeszcze jakieś anomalie czy cokolwiek niezwykłego, proszę przekazać to teraz. Oczekuję pańskiego ostatecznego meldunku.

– Sir, mam nagrywać odpowiedź? – spytał po kilku sekundach technik.

Lee wypuścił powoli powietrze i odsunął się od konsoli łączności.

– Nie będę wysyłał osobistej odpowiedzi – powiedział. – Proszę tylko przekazać, że zrozumiałem i przyjąłem rozkazy oraz że w ciągu godziny wyruszę w kierunku najbliższego stałego posterunku Unii Ziemskiej. Z pozdrowieniami i podziękowaniami dla koordynatora Manna.

Finder wskazał palcem na pusty ekran.

– Ten drań powinien pozwolić nam na dalsze poszukiwania i dokończenie śledztwa.

– Ależ pozwolił – stwierdził Lee z uśmiechem. – Sięgnął do interkomu.

– Ster?

– Tak, skipper?

– Przygotować natychmiast *Fragrant Blossom* do holowania. Nawigacja?

– Jestem, sir!

– Obliczyć kurs na Kallisto. Gdy tylko sternik przekaze, że liniowiec jest na holu, ruszać z maksymalną dostępną prędkością.

– Tak jest, sir!

– Chce pan trafić przed sąd? – spytał z autentycznym zaciekawieniem Bernie, opanowując żywiołowy chichot.

– Wykonuję tylko rozkazy – odparł Lee. – Sam pan powiedział, że na *Gato* zawsze trzymamy się regulaminów. Tym razem wręcz dosłownie.

Finder wreszcie zrozumiał i twarz mu pojaśniała.

– Mann kazał nam dostarczyć statek do najbliższego stałego posterunku Unii. A przy naszej pozycji to akurat Kallisto.

– Tak. Może to kwestia tylko tysiąca kilometrów, ale zawsze.

– Ale pan wie, skipper, że Mann nie brał w ogóle Kallisto pod uwagę – powiedział Bernie.

– Naprawdę? Powiedział „najbliższego”. Gdyby uwzględniał jakieś wyjątki, zgodnie z regulaminem powinien to zaznaczyć.

– Kallisto jest strefą zamkniętą, sir. Nie wolno nam tam latać.

– I tu się pan myli, Bernie. Panu nie wolno. Podobnie jak każdemu Górniakowi. Chyba że jest na służbie rządowej i pracuje przy budowie statków kolonizacyjnych. Niemniej ja, jako oficer Patrolu Celnego, mam prawo wstępu do takiej placówki i dokonania inspekcji, jeśli uznam to za konieczne ze względów bezpieczeństwa.

– A obecnie występuje taka konieczność?

– Nie musi, Bernie. Z jednej strony, mam prawo tam lecieć. Z drugiej, otrzymałem właśnie jednoznaczny rozkaz wydany przez koordynatora Manna, by zmierzać do najbliższego posterunku. A jest nim właśnie Kallisto.

Bernie spojrzał na sierżanta, który wzruszył ramionami.

– Z tego, co kojarzę, wszystko jest zgodne z regulaminem.

– Jasne, nasz skipper trzyma się litery prawa, ale całkiem je przy tym wypacza. – Bernie odwrócił się ponownie do porucznika. – Jeśli wolno mi zauważyć, nie mamy wielu oficerów takich jak pan. Tak zupełnie samolubnie i dla dobra załogi, prosiłbym o zrewidowanie tego planu. Sam pan wie, że usmażą pana na grzankę za sprowadzenie Górniaków w zakazane miejsce.

– Niechętnie to mówię, skipper, ale Bernie ma rację – odezwał się Finder. – Też chciałbym się dowiedzieć, co właściwie zaszło na *Blossom*, ale Unia wiele razy dobitnie pokazywała, że nie zamierza ujawniać Górniakom technologii stosowanych przy budowie statków

kolonizacyjnych. Sam pan rozumie dlaczego. Jeśli pana przypuszczenia są słuszne, nasi ludzie zdołali całkiem niezależnie udoskonalić zwykły napęd nuklearny i zbudować rajdera, który kilka godzin temu omal nas nie załatwił. Jak pan sądzi, co mogliby zrobić z napędem fuzyjnym i modułami stosów atomowych zaprojektowanymi dla statków pozaukładowych? Albo systemami ich chłodzenia czy automatyką pokładową? – Rozłożył szeroko ręce. – Poruczniku, pana przełożeni świetnie wiedzą, że jeśli Górnicy dostaną kompletne dane na temat tych urządzeń, w kilka lat je skopiują. Na razie wiedzą niewiele, tyle, ile trzeba, by produkować niektóre podzespoły. Ale jeśli to się zmieni, szybko będą mogli skutecznie zwalczać kutry w rodzaju naszej jednostki, gdyby ktoś chciał zmusić ich do posłuchu. Z napędem fuzyjnym do dyspozycji w jedną noc zapanują nad próżnią. I domyśla się pan, co to będzie oznaczało.

– Panowanie także i nad Ziemią – odparł Lee. – Lub co najmniej możliwość wysuwania poważnych gróźb pod jej adresem.

– Proszę więc nie przeginać z tym trzymaniem się regulaminu, poruczniku – powiedział Bernie. – Unia zniszczy pana za to, nawet jeśli będzie trzeba sfabrykować oskarżenia czy sfałszować dowody. Nie mogą tolerować nikogo pakującego nos w podobne sprawy.

Lee pokiwał głową.

– To prawda, ale z drugiej strony, nie będą mogli wiele zrobić, jeśli wykażę ponad wszelką wątpliwość, że porwanie *Blossom* było częścią większego spisku. Domyślcie się, jak wtedy to sprzedadzą? Powiedzą, że koordynator Mann wykazał się nadzwyczajną przenikliwością, decydując się na wydanie bezprecedensowego rozkazu, żeby liniowiec został odholowany na Kallisto, dając tym samym porucznikowi Strongowi szansę na przeprowadzenie śledztwa, dzięki któremu udało się ujawnić tożsamość i cele elementów wywrotowych.

– Ale nie musi pan tego robić, poruczniku – stwierdził Bernie, kręcąc głową. – Cholernie pan ryzykuje. I po co? Żeby dowieść, że pańscy pobratymcy z Ziemi nie mają racji?

– Nie – powiedział Lee, patrząc zdecydowanie na podwładnego. – Ponieważ tak należy zrobić. Ponieważ znalezienie winnych tej zbrodni należy do naszych obowiązków. Nieważne, co powiedzą nasi mydłkowaci przełożeni; to jest właśnie nasze zadanie. Zadanie, które wykonamy.

– Niech to – mruknął Finder. – Naprawdę lubi pan brać kurs na huragan.



– Administrator Perlenmann zgłasza się na otwartym kanale, sir. Opóźnienie jest naprawdę minimalne.

Lee pochylił się do mikrofonu.

– Witam, panie Perlenmann. Przykro mi, że aż tak godne pożałowania okoliczności mnie tu sprowadziły.

– Poruczniku, na ile znam regulamin, żadne okoliczności nie uprawniają pana do przylotu na Kallisto. To obszar zakazany dla Górniaków.

– To prawda, panie Perlenmann. Ale po pierwsze, nie jestem Górniakiem. Po drugie, otrzymałem jednoznaczny rozkaz, żeby zaholować *Blossom* do najbliższego stałego posterunku Unii.

– To dlaczego nie zostałem wcześniej poinformowany o pana przybyciu?

– Znowu, kwestia rozkazów. Zostałem poinstruowany, żeby nie przekazywać żadnych wiadomości dotyczących losu *Blossom*, jak długo nie dotrę do najbliższego posterunku Unii i nie będę gotowy do przekazania liniowca.

– Nie żebym był niechętny gościom, ale pańska obecność tutaj, podobnie jak i te rozkazy, to coś niecodziennego. Niemniej jesteśmy panu wdzięczni

za doprowadzenie *Blossom* właśnie do nas, zarówno z powodów formalnych, jak i osobistych.

– Domyślam się, że część pasażerów statku była związana z rodzinami, które tu pracują.

– Zgadza się. Będą chcieli jak najszybciej odebrać ciała. Jaki jest szacowany czas pańskiego przybycia, poruczniku?

– Za niecałe trzy godziny, sir.

– Dobrze. Gdy kontrola obszaru wprowadzi pana na orbitę, wyślę nasz wahadłowiec, by przycumował do *Blossom* i...

– Przepraszam, panie Perlenmann, ale to nie będzie możliwe.

Na chwilę zapadła cisza.

– A dlaczego?

– Niestety podczas przestawiania podejrzanych kontenerów, które porywacze ewidentnie przemycili na pokład liniowca, doszło do rozszczelnienia jednego z pojemników, co mogło doprowadzić do skażenia biologicznego jednostki.

Lee spojrzał na Findera, który czekał z zepsutą racją żywnościową. Otworzył ją i zaraz zmarszczył nos.

– To naprawdę cuchnie skażeniem – mruknął cicho.

Lee opanował uśmiech.

– Mam nadzieję, że nie jest to żaden groźny patogen, poruczniku? – spytał z wyraźnym niepokojem administrator.

– Za wcześnie, by o tym orzekać, nadal badamy sprawę. Jednak zanim coś ustalimy i dowiemy się, na ile skuteczne były nasze wysiłki, żeby zneutralizować skażenie, zmuszony jestem zarządzić kwarantannę.

– Co oznacza swoisty impas. My nie możemy bezpiecznie przylecieć do was, wy nie możecie zejść na dół.

– To niezupełnie tak, panie Perlenmann. Osobiście nie miałem kontaktu z patogenem, a jako obywatel Ziemi i oficer Patrolu Celnego jestem uprawniony do odwiedzenia Kallisto.

Znowu zapadła dłuższa chwila ciszy.

– Dobrze, chociaż to nie rozwiązuje problemu odzyskania przez rodziny ciał pomordowanych czy dostępu do pilnie oczekiwanych przez nas dostaw. Rocznie docierają do nas tylko cztery statki z podzespołami produkowanymi w habitatach między Księżycem a Ziemią. Bez tych dostaw nie mielibyśmy co robić.

– Sądzę, że da się znaleźć rozwiązanie, panie administratorze. Zabiorę ze sobą na Kallisto wszystkie dokumenty, których będziemy potrzebowali, by przekazać ciała. Tyle że potem będą one musiały pozostawać przez siedemdziesiąt dwie godziny pod obserwacją dla uzyskania pewności, że nie stanowią źródła żadnego szczególnego zagrożenia biologicznego.

A my w tym czasie będziemy mogli upewnić się, że poszukiwana przez nas igła nie została ukryta w żadnym z tych ciał, dodał w myślach.

– A jeśli chodzi o ładunek, czy mam przysłać ludzi do zabrania go z pokładu liniowca, czy wy go wyładujecie? – spytał z namysłem administrator.

– Z tym, sir, sprawa jest trochę bardziej złożona.

– Nie rozumiem, poruczniku.

– Porywacze uszkodzili poważnie komputery na statku. Najbardziej oberwało się zapisom zawierającym manifest okrętowy, zapis zawartości magazynów oraz przedmiotów osobistych. Niestety nie udało nam się zlokalizować ich kopii zapasowych. A ponieważ część ładunku

przeznaczona jest dla innych portów docelowych niż Kallisto, nie możemy po prostu wydać wam wszystkiego jak leci. Najpierw będę musiał poprosić o szczegółową listę wszystkiego, czego dostawy oczekiwaliście, jak i o wykazy przedmiotów będących własnością osobistą zabitych. Przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin, czyli wymaganego czasu kwarantanny, powinniśmy dać radę zlokalizować wszystkie wskazane przez was ładunki, które zostaną czym prędzej przygotowane do przekazania.

A przy tym dokładnie przeszukane na wypadek, gdyby było w nich coś niespodziewanego.

Perlenmann nie odpowiedział od razu. Bernie i Finder też czekali w milczeniu, a sierżant nawet skrzyżował palce na szczęście.

– Dobrze, poruczniku – odparł w końcu administrator. – Dla nas to dodatkowy kłopot, ale trudno. Zatem kiedy zjawi się pan u nas ze wspomnianymi dokumentami?



Administrator Perlenmann czekał na niego u wejścia do przestronnych lodowych jaskiń Kallisto, gdzie mieściły się też zakłady produkcyjne. Przywitał się, chociaż nie udało mu się przy tym przekrzyczeć huku powodowanego przez instalację pozyskiwania wody, po czym skinął głową na znak, żeby gość poszedł za nim. Ubrani w skafandry robotnicy śledzili ich spojrzeniami, ale ich skryte za przesłonami twarze niczego nie wyrażały. Wprawdzie wewnątrz rafinerii panował ziemski niemal mikroklimat, ale od panujących na powierzchni Kallisto warunków dzieliła ich tylko cienka ściana i wszyscy bez wyjątku musieli nosić stroje próżniowe.

Lee chciał właśnie spytać brodatego gospodarza, jaka jest dzienna wydajność instalacji, gdy znajdujący się w głębi pomieszczenia zbiornik

oczyszczania wodoru eksplodował. Fala uderzeniowa podziałała niczym masywny taran i wyrzuciła go w powietrze. Poleciał, koziółkując i uderzając lewym ramieniem w kamienistą podłogę. Nie mógł się zatrzymać, pęd niósł go coraz dalej, aż w końcu wyuczone podczas treningu na Księżycu odruchy wzięły górę. Sporo siniaków wtedy sobie nabił i nie raz groziły mu torsje, ale było warto. Gdy znowu znalazł się w pozycji z głową w górze, rozstawił szeroko nogi, dzięki czemu obracał się teraz szybciej, ale mniej gwałtownie. Równocześnie uniósł lewą rękę (tę mniej na co dzień potrzebną), by zgiąć ją w łokciu z luźnym nadgarstkiem. Miała osłabić impet nieuniknionego upadku. Prawą dłonią zatrzasnął wizjer hełmu.

Ledwo to zrobił, ogarnęła go fala płonącego wodoru, która jeszcze przyspieszyła jego lot. Wylądował twardo na lewej ręce, w której coś chrupnęło. Poczul silne ukłucie bólu.

Nogi zdołał utrzymać rozstawione, a biodra sztywne, chociaż stopy znowu się uniosły, by porwać go do następnego salta. Nie poddawał się jednak bez walki. Prawa ręka szukała jakiegoś punktu oparcia, podczas gdy lewa chroniła wizjer hełmu. Kilka razy trzepnęło nim jeszcze o podłoże, aż wreszcie obrócił się na grzbiet i wyhamował do końca pośladkami.

Chmura płonącego wodoru przemknęła w parę sekund, ale zbiła wszystkich z nóg. Niektórzy robotnicy próbowali teraz chwiejnie wstać, inni leżeli dalej. Niepewne palce opuszczały przesłony hełmów, ponieważ powietrze robiło się coraz rzadsze i pojawiły się w nim płatki śniegu. Wyraźny znak, że pomieszczenie straciło hermetyczność, niemniej tempo spadku ciśnienia sugerowało, iż była to niewielka szczelina, zapewne gdzieś za zniszczonym zbiornikiem.

Lee wstał, co nie było przy szczątkowej grawitacji szczególnie trudne, i poszukał wzrokiem Perlenmanna. Administrator zbierał się z podłogi kilka

metrów od niego. Porucznik pomógł mu wstać i otrzepał swój kombinezon z kurzu.

Perlenmann spojrział nań z wdzięcznością zza pękniętego wizjera, a siwy kosmyk włosów zakołysał się na jego czole.

– Witamy na Kallisto, poruczniku.



Para unosiła się z rurki okrągłego naczynia na kawę, które stało przed Lee. Wyglądało na jeszcze bardziej zużyte niż te na pokładzie *Gato*. Myty w nieskończoność i napełniany ponownie plastik pokrył się siatką pęknięć przypominającą odsłonięte korzenie.

Po drugiej stronie stołu siedział administrator Perlenmann i patrzył gdzieś w bok, podczas gdy główny inżynier kończył przedstawiać raport po awarii. Wieści nie były najlepsze.

– ...i tak, według moich szacunków nasza moc produkcyjna spadła o czterdzieści osiem procent. To była największa instalacja oczyszczania wodoru.

Perlenmann pokiwał powoli głową.

– Nie możemy dostosować żadnego ze zwykłych zbiorników do funkcji oczyszczania?

Inżynier pokręcił głową i potarł poparzony policzek. Był w hali podczas eksplozji i nie zdążył zamknąć wizjera na czas.

– Nie da się, panie administratorze.

– Dlaczego?

Mężczyzna znów dotknął policzka, skrzywił się i odsunął gwałtownie dłoń od twarzy.

– Ponieważ zwykle zbiorniki mają zbyt cienkie ścianki, żeby wytrzymać siły powstające podczas takiego procesu.

– Rozumiem, panie Carroll. – Administrator zwrócił się teraz do mężczyzny i kobiety siedzących na końcu stołu. Skinął lekko głową w stronę kobiety. – Doktor Iseult?

Kobieta miała chyba koło trzydziestki i była raczej niewysoka. Wyprostowała się energicznie, ale raczej nie po to, by lepiej się prezentować. Robiła wrażenie najeżonej.

– Ofiar jest mniej, niż można by oczekiwać. Jeden robotnik, Grigori Panachuk, znajduje się ciągle w izbie chorych. Szczerze: to cud, że nie leży teraz w kostnicy. W momencie eksplozji stał trzydzieści metrów od zbiornika, bez rękawic i z otwartym wizjerem. Tyle że szczęśliwie patrzył akurat w inną stronę, poprawiając obiema dłońmi obrożę komunikatora. W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie zostałyby bez twarzy albo bez dłoni – dokończył za nią siedzący obok mężczyzna.

Doktor spojrzała niego z irytacją, ale pokiwała głową.

– Przypuszczenie pana Parsonsa jest całkiem trafne. Niemniej Panachuk i tak ma poważne oparzenia i szereg urazów wewnętrznych. Jeden odłamek przebił mu skafander na plecach. Siedemnaście osób potrzebowało pomocy z powodu oparzeń, kolejnych dziewiętnaście z powodu złamań, wliczając w to porucznika Stronga. – Zerknęła ostro, bez sympatii, w stronę oficera. – Już tak nie boli?

Zanim Lee zdążył się odezwać i podziękować za troskę, wróciła do swojego raportu.

– Oparzeń pierwszego stopnia i drobniejszych urazów nawet jeszcze nie policzyłam.

Perlenmann skinął na siedzącego obok niej masywnego mężczyznę.

– Panie Parsons?

Wywołany poruszył się w fotelu, spojrzął na swoje naczynie z kawą i wytarł dłoń o spłowiałą, szarą kurtkę. Wyraźnie nie spieszył się z odpowiedzią albo niezbyt przejmował się spotkaniem z administratorem.

– Pański raport, panie Parsons – odezwał się Perlenmann z lekko wyczuwalnym niemieckim akcentem, wymawiając nazwisko tamtego bardziej jak „Parsuntz”.

Parsons wzruszył ramionami.

– Mój raport? Dobrze. Wśród ofiar dominują technicy paliwowi. Wszyscy to Górniacy i moi ludzie – dodał tonem oskarżenia.

– Z tego co wiem, panie Parsons, było tam również z sześciu innych techników oraz dwóch ludzi z działu utrzymania i wszyscy oni odnieśli jakieś obrażenia. Oni akurat są z Ziemi. Wątpię więc, by ta eksplozja była zamachem akurat na pana ludzi.

Lee przerwał picie kawy w połowie łyku. Zamach? Czyli to był akt terrorystyczny? Sabotaż? Tutaj też?

Parsons skrzywił się ponuro.

– Perlenmann, gdyby nie był pan tak wykształconym Zielonym, gotów byłbym uwierzyć, że oddał pan duszę Solarnym. Jak może pan nawet wątpić, kto za tym stoi? To był sabotaż Solarnych, bez dwóch zdań.

Porucznik odstawił z rozmachem swoje naczynie, aż uderzyło głośno o blat. Wszyscy spojrzeli w jego stronę.

– Przepraszam, ale czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co dzieje się w tej tak solidnie zabezpieczonej przed intruzami placówce? Oraz kim są Solarni?

Iseult, Parsons i Carroll wymienili pełne zakłopotania spojrzenia. Perlenmann zdawał się czekać na ich ruch. W końcu to Parsons się

odezwał.

– Nic wam nie mówili, zanim was tu wysłali? Chociaż chwilę, zapomniałem. To byłoby poniżej godności Ziemiaków, by uczyć się czegoś o Górniakach.

Parsons wyraźnie prosił się o kłopoty, jednak Lee nie miał zamiaru dawać mu tej satysfakcji.

– Panie Parsons, gdy tylko otrzymałem przydział na *Gato*, przeczytałem wszystko, co było dostępne, na temat społeczności Górniaków i ich spraw. I ma pan rację, informacje rozpowszechniane na Ziemi są mocno niekompletne albo przeinaczone. Niemniej miałem też okazję porozmawiać trochę z Górniakami, dzięki czemu usłyszałem nieco więcej, niż podają oficjalne źródła, na przykład o Kosmakach. – Parsons zamrugał powiekami. – Nigdy jednak nie słyszałem o Solarnych, dlatego prosiłbym pana o naświetlenie sprawy.

– Nie wiem, czy przeciętny Ziemiak coś z tego zrozumie, ale spróbuję – odparł Parsons, wydymając wargi. – Pomijając ustanowioną przez Zielonych administrację tej placówki... – tu zerknął przelotnie na Perlenmanna – ...mamy na Kallisto trzy łatwe do wyróżnienia grupy. Najmniejsza to Ziemiaki na kontraktach robotniczych. Największa to Górniacy tacy jak ja, przy czym jest zapewne wśród nich trochę zakamuflowanych Kosmaków. Potem mamy jeszcze Zewnętrznych, którzy czekają na odlot swoich statków, by pozostawić nas na łasce Zielonych i Neoluddystów. No i zapewne także garstkę Solarnych, uważających przeciętnych Górniaków za mięczaków, Zewnętrznych zaś za bandę tchórzliwych zdrajców.

Iseult skrzywiła się i spojrzała w bok. Lee wykorzystał sposobność.

– Czy pani widzi to inaczej, doktor Iseult?

Zmierzyła go spojrzeniem, jakby zastanawiała się, czy w ogóle warto zaczynać, ale ostatecznie wzruszyła ramionami i zdecydowała się odezwać.

– Większość personelu tutaj reprezentuje jedną z dwóch postaw: albo sprzyja dołowi, albo górze. Niemniej nie rodziło to nigdy większych konfliktów między nimi. Zdecydowana większość Górniaków chce pozostać na Kallisto i pracować na rzecz Zewnętrznych. Mają świadomość, że gdyby nie możliwość pozbycia się z Ziemi najbogatszych dysydentów, odlatujących stąd regularnie do gwiazd, Zieloni i Neoluddyści zapewne już dawno zaprzestaliby jakiegokolwiek działalności w próżni. Ziemniacy zostali tu przysłani, by nadzorować utajnione przed resztą procesy technologiczne, związane z konstruowaniem statków kolonizacyjnych, jak i zajmować się samymi Zewnętrznymi. Zewnętrzni obawiają się tego samego co Górniacy, ale wierzą słusznie, że udzielanie umiarkowanego poparcia Zielonym z Komitetu Kierowniczego Unii Ziemskiej może ochronić stocznię Kallisto przed zamknięciem. Jak długo oni będą u władzy, wielkie statki będą budowane.

– A Solarni?

– To ekstremiści prowadzący własną grę. Sami ustawili się w centrum całego układu i uważają, że należy zamknąć stocznię, tak by umiarkowani Górniacy nie byli dłużej kuszeni lukratywnymi kontraktami i doszli do takiego poziomu desperacji, że pomogą Solarnym obalić Unię Ziemską. – Wzruszyła ramionami. – Nie pochwalam ich metod, ale trudno ich winić. Wiedzą, co nadchodzi.

Ostatnie zdanie zabrzmiało w uszach porucznika wyjątkowo złowieszczo.

– A co nadchodzi?

– Wojna – odparła Iseult z powagą.

– Z kim?

– *Mon Dieu*, czy można być aż tak ślepym? Z Ziemią oczywiście. Górniacy mogą jej nie cierpieć, ale pracują dla niej, i to już od blisko trzech stuleci. Przez cały ten czas rośli w siłę, gromadząc wiedzę i rozwijając własne technologie, dzięki którym staną się niebawem mniej zależni od Ziemi. A może nawet całkiem niezależni. Niemniej gdy ten dzień nadejdzie... – Zadrżała, chociaż w sali było całkiem ciepło.

– I wierzą, że jest już tak źle, że lepiej będzie doprowadzić do wojny teraz, na przykład przez akty sabotażu?

– Poruczniku, nawet tutaj, na Kallisto, dociera do nas retoryka stosowana przez genewski komitet. Komitety Standardów Behawioralnych doszły nawet do tego, że zaczęły cenzurować książki dostępne dla Górniaków, włączając w to również zasoby bibliotek umieszczanych na statkach kolonizacyjnych. Zauważalna przez ostatnie stulecie tendencja do zwiększania zakresu swobód czy uwalniania handlu i obiegu informacji została ostatnio powstrzymana i obserwujemy drastyczną zmianę kursu. A Solarni nie chcą, by zostało to doprowadzone do końca. Jeśli to oni stoją za dzisiejszą eksplozją, zamierzali w ten sposób zwrócić uwagę na niepokojące zmiany i coraz bardziej możliwy konflikt z Ziemią. Ale takiej wojny nie będzie i Solarni świetnie o tym wiedzą. – Parsons skrzywił się nieprzyjemnie. – Bądźmy realistami. Wy, Ziemniacy, świetnie wiecie, że jeśli posuniecie się za daleko, zamieszkujący Księżyc Górniacy mogą spróbować rzucania kamieniami w stylu zaproponowanym kiedyś przez Heinleina. Solarni robią z igły widły. Gdy zrobi się zbyt ciężko, Unia Ziemska po prostu się zawali.

Iseult pokręciła głową.

– Zanim porucznik Kotsukov został ostatecznie „przeniesiony”, mówił dokładnie to samo o Górniakach: że koniec końców ukorzą się przed

Ziemią, ponieważ są od niej zależni. – Doktor uśmiechnęła się gorzko. – Jeśli liderzy obu stron okażą się równie odporni na wiedzę jak ty i Kotsukov, wojna będzie nieunikniona.

Parsons prychnął, ale nie podjął wątku.

Lee spojrział ponownie na Iseult.

– A kim był porucznik Kotsukov i dlaczego został „przeniesiony”?

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, przerywanej w końcu przez cichy głos Perlenmanna.

– Był szefem tutejszego działu bezpieczeństwa. Wcześniej pracował w Patrolu Celnym i dostał mały oddział ludzi, którzy mieli pomagać mu w wykonywaniu obowiązków.

– Górniaków?

– Nie, z Ziemi, tak jak on. Zostali zwerbowani w siłach bezpieczeństwa różnych krajów.

Lee wiedział, co o tym myśleć, ale zachował spokojną twarz. Musiało chodzić o zwykłych bojówkarzy, zatrudnianych powszechnie do prześladowania dysydentów.

– Rozumiem, że był zdeklarowanym zwolennikiem koalicji Zielonych i Neoluddystów?

– Był ziemskim faszystą – rzucił Parsons. – Polityka nic go nie obchodziła, poza jednym: Ziemia ma pozostać centrum władzy i wszyscy mają ją podziwiać. Nie krył przy tym, że jego zdaniem Zieloni to miękkie dydki, a Neoluddyści to idioci i ani jednym, ani drugim nie można ufać. Podejrzewam, że nie zyskał tym poklasku wśród przełożonych.

Lee zmarszczył brwi.

– Ciekaw jestem, jak się o tym dowiedzieli? Jak zauważył pan Perlenmann, Kallisto znajduje się raczej na odludziu.

– Pewnie jakiś zatroskany obywatel złożył na niego skargę – odparł Parsons z drapieżnym uśmiechem.

Lee uznał, że tym kimś był najpewniej sam Parsons. Ciekawe, pomyślał porucznik, ponownie sięgając po kawę. – Ale dobrze. Macie tu więc potencjalnie niebezpiecznych ekstremistów zarówno po stronie Górniaków, jak i Ziemiaków, żywe resentymenty wobec Ziemi, jak i Zewnętrznych, i jeszcze kogoś, kto chciał zatrzymać statek z waszym ładunkiem, jeden z tych czterech przybywających w ciągu roku, co zapewne zahamowałyby na jakiś czas prace w stoczni.

– Zgadza się – przytaknął Perlenmann.

– Jak sądzicie, dlaczego doszło do tego właśnie teraz? I kto może za tym stać?

– Mamy nadzieję, że pan to ustali w toku swojego śledztwa, poruczniku – powiedział z uśmiechem administrator.

Lee omal nie zakrztusił się gorącą kawą.

– Słucham? – wychrypiał po chwili.

Perlenmann nawet nie przestał się uśmiechać i nie odpowiedział. Za to Parsons nie wytrzymał.

– Jezu przenajświętszy – jęknął bolesciwym tonem. – Naprawdę zamierza mu pan powierzyć śledztwo? – Wskazał oskarżycielsko na porucznika. – Temu gołowąsowi z brakami w edukacji, który przyleciał tu z Ziemi niecałe trzy godziny temu?

Zanim Lee zdążył się oburzyć na te inwektywy, administrator już wziął go w obronę.

– Dossier porucznika Stronga sugeruje, że nie jest on „odpadem”, jak był pan uprzejmy zasugerować.

– No to co tu robi? Wszyscy wiedzą, że do tej służby wysyłani są tylko najgorsi, którzy nie nadają się do niczego innego.

Teraz Lee nie starał się zachować uprzejmego tonu.

– Panie Parsons, moi rodzice są Amerykanami i Piątakami, działającymi aktywnie w Ruchu Przywrócenia Konstytucji. Mój przydział był z pewnością spowodowany po części chęcią odesłania mnie jak najdalej od tych „recydywistów”.

Parsons uniósł oczy ku niebu.

– Wspaniale, mamy więc amerykańską wersję Kotsukova. Jankesa gotowego walczyć za gwiazdy i pasy. Specjalnie go pan zamówił, Perlenmann, czy jak?

– Pan Perlenmann nie ma nic wspólnego z moim przybyciem – odparł spokojniej już Lee. – To był czysty zbieg okoliczności. Co więcej, osobiście nie jestem zaangażowany w Ruch Przywrócenia Konstytucji. – Spojrzał na administratora. – A co do śledztwa, to nie wiem, czy sprawa nie leży poza zasięgiem moich kompetencji. Chodzi przecież o śledztwo cywilne.

Perlenmann uśmiechnął się lekko i Lee odniósł wrażenie, że zaraz usłyszy, jak bardzo się myli. I rzeczywiście.

– Poruczniku, jakkolwiek oficjalnie podlegamy pod Zarząd Operacji Zewnętrznych, czyli agencję zaiste cywilną, nasza działalność jest regulowana przez przepisy obejmujące placówki o „specjalnym statusie bezpieczeństwa”, których egzekwowanie jest jednym z zadań Patrolu Celnego. W tych warunkach pańskie uprawnienia nie budzą wątpliwości.

Niech to cholera, pomyślał Lee. Gdyby placówka na Kallisto była zwykłą stacją paliwową, jakich wiele znajdowało się w Pasie, wszystko to byłoby czysto lokalnym problemem. Była jednak stoczną, wykorzystującą wciąż strzeżone technologie, zatem Patrol rzeczywiście musiał tu mieć

wiele do powiedzenia. Czyli prowadzenie śledztwa należało wręcz do jego obowiązków.

– Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że jeżeli przejmę tę sprawę, to nie jako przypadek aktu terroryzmu czy sabotażu przemysłowego. Z oczywistych przyczyn zostanie ona zakwalifikowana jako zdrada stanu.

Tylko Perlenmann pokiwał głową. Pozostali wyglądali na mocno zdziwionych i zmieszanych.

– Panie Perlenmann, wszyscy obecni wydają się pewni, że eksplozja była wynikiem sabotażu – powiedział porucznik. – Nikt nie mówi o zwykłym wypadku przemysłowym. Dlaczego?

– Zapewne dlatego, że jeden, wprawdzie znacznie mniej poważny, taki wypadek już mieliśmy – odparł administrator, wzruszając ramionami. – I to był sabotaż. W zeszłym miesiącu ktoś uszkodził nasz skaner do tajnych dokumentów. Nowe urządzenie powinno znajdować się w ładowni liniowca. Trafił pan na nie przy przeglądzie ładunku?

– Owszem – przytaknął Lee. – I zapamiętałem to, bo zdziwiła mnie jego obecność. Na dodatek według tych fragmentarycznych wykazów ładunku, które udało nam się odzyskać, jest to przesyłka priorytetowa – dodał, omal nie krzyżując przy tym palców, by z niczym się nie wysypać. – Zastanawiam się jednak, czy te dwa wypadki może coś łączyć. Ostatecznie dlaczego Solarni, Kosmacy czy ziemscy fanatycy mieliby psuć skaner?

Perlenmann założył ręce na piersi.

– Władze Unii Ziemskiej wymagają, żebyśmy korzystali ze skanera jako prostej, ale skutecznej bariery przeciwko wirusom komputerowym. Wszystkie cyfrowe dane, które otrzymujemy, trafiają do jednego komputera, który nie ma żadnego połączenia z naszą siecią, i tam są drukowane. Te wydruki trafiają następnie do skanera, który sczytuje

wszystko i analizuje treść w poszukiwaniu elementów podejrzanego kodu. W ten sposób żadne ukryte w plikach wirusy nie mają szansy przeniknąć do naszej sieci.

– Ale kto miałby jakiś interes w dokonaniu tego sabotażu? – spytał Lee.

– Wszyscy ekstremiści tutaj mocno boją się nad tym, że administrator otrzymuje wiadomości, do których oni nie mają od razu dostępu – odezwał się Parsons. – Gdy nie ma skanera, zakodowane informacje muszą czekać, bo nie ma sposobu, żeby je odczytać. Gdyby Neoluddyści zyskali większość w Komitecie i przeforsowali decyzję o zamknięciu stoczni, musiałaby ona zostać przesłana otwartym tekstem, co dałoby Zewnętrznym dość czasu na działanie.

– A Solarni?

– Oni obawiają się czegoś wręcz przeciwnego – powiedziała Iseult. – Że umiarkowana frakcja Zielonych w Komitecie może postawić na rozwój programu i nakazać zintensyfikowanie prac przy statkach kolonizacyjnych. Solarni uznaliby to za działanie wymierzone przeciwko nim i spróbowaliby zahamować te zmiany poprzez akty terroryzmu.

– Rozumiem. Obie strony miały powody, by uszkodzić skaner. Domyślam się, że przeprowadziliście już własne śledztwo, które niczego nie dało?

Perlenmann przytaknął.

– Może chociaż domyślacie się, jak doszło do dzisiejszej eksplozji? Jaki rodzaj ładunku został użyty?

Jack Carroll wyciągnął z kieszonki na piersi plastikowy woreczek z jakimś poczerńiałym przedmiotem w środku.

– Nie było żadnej bomby. Sabotażysta użył elektrycznego zapalnika połączonego ze zwykłym zegarkiem.

Iseult aż pochyliła się nad stołem.

– *Que?* Jak można wywołać taką eksplozję bez materiałów wybuchowych?

– Tam, gdzie chodzi o wodór, wystarczy zwykle tylko iskra. Domyślałam się, że sabotażysta najpierw zajął się wskaźnikiem wypełnienia zbiornika, który zbyt wcześnie dał znak, że zbiornik jest pusty. Pompy nie usunęły więc po ostatnim cyklu produkcyjnym całego wodoru. Równocześnie wyłączone zostało chłodzenie zbiornika i pozostały na dnie płynny wodór zaczął parować. Gdy zgromadziło się go dość w formie gazowej, trzeba było tylko iskry, by doprowadzić do zapłonu.

– Kto na Kallisto dysponuje wystarczającą wiedzą i umiejętnościami, by dokonać takiego sabotażu? – spytał Lee.

Carroll zachował kamienną twarz, ale ton jego głosu nie pozostawiał złudzeń, co myśli o takim pytaniu, które mogło zostać zadane tylko przez kogoś mającego bardzo mgliste pojęcie o działaniu tej placówki.

– Każdy, poruczniku. Może poza doktor Iseult i kilkoma jej podwładnymi. Łatwo u nas o takie zapalniki, bo wykorzystujemy je co rusz do spalania odpadów gazowych, rozruchu napędu pomocniczego i tak dalej. Każdy ma do nich dostęp.

Lee tylko westchnął. Proste tropy prowadziły donikąd.

Parsons wstał, głośno szurając krzesłem.

– Jeśli wszystko już sobie wyjaśniliśmy, chciałbym pójść do izby chorych. – Powiedział. – Muszę odwiedzić swoich ludzi.

Zanim jeszcze Perlenmann kiwnął głową na znak zgody, Parsons był już przy drzwiach. Iseult i Carroll poszli w jego ślady. Lee też zaczął wstawać.

– Jeśli można jeszcze na chwilę, poruczniku – odezwał się Perlenmann. Lee usiadł ponownie. – Przypuszczam, że spotykał się pan w swojej

karierze z cieplejszym przyjęciem. Chociaż po prawdzie ciągle niezbyt rozumiem, jak w ogóle pan się tu znalazł.

– Ślepy traf, panie Perlenmann. Rozpiska patroli i tak dalej.

– Nie o tym myślę, poruczniku. Zastanawia mnie, skąd wziął się pan w Patrolu Celnym.

– A, to. Cóż, jeśli wcześniej pan nie blefował, to zna pan już moje akta.

– Owszem. I dlatego właśnie pytam. Zainteresowania historyczne i literackie, rodzice dysydenci. Dziwi mnie, że w ogóle pozwolili panu pójść na studia.

Lee uśmiechnął się. Sam wiedział, że dziwnie to wyglądało.

– Muszę przyznać, że pańskie podejście różni się od prezentowanego zwykle przez Zielonych. Rzadko trafia się wśród nich ktoś podobnie szczery.

Perlenmann wzruszył ramionami.

– Nie przypominam sobie, żebym deklarował się jako Zielony. Ani jakkolwiek inaczej, skoro już o tym mowa. Niemniej w toku swojego śledztwa szybko pan odkryje, jak popularne jest tu stereotypowe rozumowanie. Przylepianie ludziom etykietek. Przypuszczam, że pan jest wolny od takiego myślenia, ale i tak pozwolę sobie przypomnieć, że podobne postrzeganie innych nie ułatwia nigdy pracy śledczemu.

– Zapewne, jak i administratorowi, nawet tak elokwentnemu jak pan, panie Perlenmann. Może więc powie pan, co pan robi w tak zakazanym miejscu?

Administrator pogładził z namysłem brodę.

– Siedzę i starzeję się z wolna, poruczniku. Pod pewnymi względami moja historia przypomina pańską. Zaczynałem jako młody wykładowca w Cambridge. Zajmowałem się naukami politycznymi, ale zdaniem

przełożonych moje poglądy były zbyt radykalne. Nalegałem na sięganie do pełnych wydań tekstów źródłowych, co było niemile widziane w przypadku takich prac jak *Federalista* czy *Umowa społeczna* Rousseau.

– Jest pan Anglikiem?

– W połowie. Moja matka mieszkała w Monachium i tam dorastałem, zanim poszedłem do szkoły we Włoszech. Takie dziecko Unii Europejskiej. W każdym razie zostałem oskarżony o podsuwanie młodzieży zakazanego owocu wolnomyślicielstwa, więc mnie tu zesłali.

– Milton poszedł chyba w zapomnienie, skoro takie kary wymyślają teraz w Unii Ziemskiej dla czcicieli diabelskiej idei wolności.

Perlenmann zaśmiał się.

– Mimo sabotażu i politycznego bagna, które nas wciąga, cieszę się, że to pan właśnie się u nas zjawiał. W każdej chwili może zwrócić się pan do mnie z prośbą o pomoc, gdyby była panu potrzebna. Albo gdyby chciał pan pożyczyć jakąś książkę. – Wskazał na ustawione pod wszystkimi czterema ścianami regały pełne tomów we wszystkich chyba możliwych formatach, barwach grzbietów i grubości.

Lee przypomniał sobie nagle tę chwilę, gdy po raz pierwszy stanął w drzwiach biblioteki pradziadka.

– Może się zdarzyć, że skorzystam z pańskiej propozycji.

– I dobrze. A teraz pozwoli pan, że przedstawię mu nasz personel z sekcji bezpieczeństwa. Ostatecznie na czas pańskiego pobytu na Kallisto będzie pan ich przełożonym. Tutaj ma pan ich akta. Dodam, że nie poinformowałem ich jeszcze o pańskim przybyciu – dodał Perlenmann z uśmiechem. – Niespodziewana inspekcja zawsze dobrze wpływa na morale, prawda?



W pomieszczeniu dyżurnego panował godny podziwu bałagan. Przepelnione popielniczki, talerze z zaschłymi resztkami i cała masa papierów ze starymi plamami od kawy to było pierwsze, co rzucało się w oczy. Z otwartych drzwi na drugim końcu pomieszczenia dobiegał dziewczęcy śmiech. Lee podszedł na palcach do tych drzwi.

Po obu ich stronach stały piętrowe prycze, z których był dobry widok na zawieszony na przeciwległej ścianie (całkiem wbrew regulaminowi) szeroki ekran. Obecnie szalała na nim jakaś gwiazdka filmowa o pełnej sylwetce i w kostiumie Little Bo Peep, opędzająca się przed pożądanymi zalotami trzech młodzianków w skórzanych odzieniach.

Dolne piętra obu prycz były zajęte. Lewą wypełniała szalenie masywna postać z wyraźnie zaznaczonym mięśniem piwnym, na prawej spoczywał nienaturalnie chudy mężczyzna, komentujący radośnie film po angielsku z dodatkiem portugalskiego.

On też zerwał się pierwszy i uczynił to na tyle energicznie, że wyrznął głową w sufit, po czym odbił się od niego, zrykoszetował po obrzeżu górnej pryczy i wylądował na swoim roślejszym towarzyszu, który też zaczął już wstawać. Ten spróbował kopnąć go w głowę i omal nie stracił przy tym równowagi.

– *Izwierk!* – rzucił po rosyjsku, po czym spojrzał na Lee i przeszedł na angielski. – Co ładujesz się do nas bez pukania...?

Zaraz jednak dostrzegł złoty pasek na lewym ramieniu porucznika i zamilkł w pół zdania.

– Chciał pan mnie o coś spytać, sierżancie Bulganin?

Wielki Rosjanin zamknął usta z takim impetem, że aż zadzwonił zębami.

– *Niet...* To znaczy nie, sir. Nie mam żadnych pytań.

Zaraz potem stanął na baczność, ale nie uniósł regulaminowo głowy, a jego ciemnobrązowe oczy wyrażały głównie upór i gotowość do buntu.

Lee spojrział na mniejszego z podkomendnych, który przeniósł co rusz spojrzenie z porucznika na sierżanta i z powrotem. Cały czujny czekał, kto weźmie górę w tym sporze o władzę i kogo lepiej będzie posłuchać, niezależnie od stopnia. Lee wrócił do Rosjanina.

– Domyślam się, sierżancie, że nikt nie poinformował was o moim przybyciu.

– Zgadza się... sir.

Długa pauza przed „sir” sugerowała, że wyzwanie zostało już rzucone. Dobrze. Pewne sprawy należało załatwiać od razu.

– Zawsze utrzymujecie taki porządek w swojej kwa-terze?

Bulganin wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Lee wyczuwał, że jego towarzysz był coraz bardziej napięty, być może spodziewał się wręcz walki.

– Zadałem pytanie, sierżancie.

– Powiedziałem „nie”, sir – odezwał się w końcu Rosjanin. – Przepraszam, widocznie zbyt cicho mówię.

Lee postąpił krok w jego stronę.

– To dziwne, sierżancie. Jakoś nie narzekam na słuch, a pan nie wygląda mi na kogoś bojącego się podnieść głos. Chyba że sflaczał pan na tyle, że nawet mówić zaczął szeptem – dodał, spoglądając na imponujący brzuch podoficera.

Ciemne oczy rozbłysły złością.

– Przepraszam za wścibstwo, panie poruczniku, ale widzę tylko mundur i wciąż nie wiem, kim pan właściwie jest.

Lee mimowolnie poczuł podziw dla Rosjanina, który za nic nie chciał się poddać. Musiał mieć jednak swój rozum. Mimo obecnej rozlazłości był zapewne dobrym żołnierzem. Porucznik rzucił swoją kartę identyfikacyjną na jego pryczę.

– Porucznik Lee Strong, Patrol Celny, Stany Zjednoczone, Wspólnota Nowego Świata. Teraz ja tu dowodzę.

– Rozumiem – powiedział Bulganin z lekkim uśmiechem.

– Nie, nie rozumie pan. Ale zrozumie. Cabral! – rzucił Lee, patrząc wciąż na Rosjanina.

Chudy mężczyzna aż podskoczył i zaraz stanął na baczność.

– Tak, sir!

– Eduardo Cabral, starszy szeregowy – wyrecytował Lee, przywołując to, co wyczytał w aktach. – Trzeci Miejski Batalion Sił Bezpieczeństwa, Brazylia. Obecnie na przydziale w Patrolu Celnym. – Wcześniej był pewnie zakapiorem do wynajęcia, jakich pełno było w każdej faweli. – Z Rio, panie Cabral?

– Tak, sir!

– Podoba się panu ten przydział?

– Tak, sir!

– To chyba nigdy nie nauczono pana myśleć. Bulganin! – Rosjanin nawet nie drgnął. – Imię: Arkadij. Sierżant. Osiemnasta Grupa Wydzielona Ochrony. Dwadzieścia cztery lata służby. Upomnienia za bójki, pijaństwo i „polityczną agitację”. *Prawilno, towarzysz?*

Bulganin spojrział na porucznika spod przymrużonych powiek, gdy tylko usłyszał tak chętnie i często stosowane przez Neoluddystów określenie z jego rodzimego języka.

– Jeśli mamy zwracać się do siebie nieregulaminowo, wolałbym „*gaspadin*”.

Uparty i niesubordynowany, ale miał jaja.

– Może powinienem wspomnieć o pańskiej preferencji w najbliższym raporcie. Moskiewska ekipa Neoluddystów raczej pana za to nie pochwali.

– Już jestem na zesłaniu – powiedział Bulganin, rozglądając się wokół. – Dokąd jeszcze mogliby mnie wysłać?

– A na przykład przez służę na zewnątrz – zauważył z uśmiechem Lee. – Dyscyplina znowu w cenie w matuszce Rosji. Wasi Neoluddyści coraz bardziej hołubią dawny komunizm i pilnie potrzebują kontrrewolucjonistów do zwalczania. Czas płynie, a pewne rzeczy jakby w ogóle się nie zmieniały – stwierdził. – Ale obecnie nic mnie to nie obchodzi. Interesuje mnie tylko to, co dzieje się tutaj. I teraz.

– Z całym szacunkiem, sir – powiedział Bulganin tonem, który jednak niezbyt sugerował szacunek – ale muszę spytać, co pan wie o tym, co dzieje się tutaj i teraz?

– Na razie wiem już na pewno, że dyscyplina wojskowa ulotniła się bez śladu i wasz skromny pododdział nie jest zdolny do wypełniania wyznaczonych zadań.

– Ten pododdział, jak pan się wyraził, robi swoje, chociaż przez ponad rok musieliśmy radzić sobie bez oficera – stwierdził Rosjanin z sarkastycznym uśmiechem.

Lee odpowiedział tym samym.

– Zatem jesteście w pełnej gotowości? A jak z przygotowaniem do działań w warunkach pełnego ciężenia? Rozumiem, że zgodnie z regulaminem odbywacie ćwiczenia w trenażerze? Godzinę dziennie?

Bulganin przestał się uśmiechać.

– Jak jest, sierżancie?

Rosjanin spojrział w bok.

– Trener uległ awarii...

– Naprawdę? Zatem pewnie ucieszy pana nowina, że idąc tutaj, natrafiłem akurat na taki, który jest w pełni sprawny. Oczekuję, że obaj zgłosicie się tam na podwójną porcję ćwiczeń.

W oczach Bulganina błysnął lęk.

– Kiedy?

– Zaraz.



Iseult zerknęła z zaciekawieniem na Lee, gdy przyszło jej złapać Bulganina za stopę i pomóc podwładnym wyciągnąć bezwładne ciało Rosjanina z trenera. Cabral stał z boku, zdyszany i spocony. Drżąca łydka sugerowała skrajne wyczerpanie i zaawansowany niedobór elektrolitów, niemniej drobny Brazylijczyk twardo trzymał się na nogach.

– Cabral?

Szeregowy odwrócił się od drzwi i stanął na baczność, unosząc przy tym brodę i całym ciałem wyrażając gotowość do podjęcia dalszych działań. Lee powstrzymał uśmiech. Cabral był jak pies, który słuchał silniejszego.

– Spocznij.

Ta pozycja była dla niego chyba jeszcze bardziej niewygodna niż poprzednia.

– Nie, można usiąść.

Cabral zerknął niespokojnie na bok, wyraźnie niepewny, czy oficer go nie podpuszcza. Dopiero gdy Lee sam usiadł na ławce, szeregowy podszedł i opadł na nią z westchnieniem ulgi.

– Jak pana nazywają, Cabral?

– Mnie, sir? Eduardo.

– Nie, pytam o przezwisko.

Eduardo uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

– Szybki Eddie, sir.

– Dobra, Szybki Eddie. Nieźle sobie dziś poradziłeś. Kiedy ostatnio odpracowałaś swoje... pięćdziesiąt minut gimnastyki? – spytał, zerknąwszy na czasomierz.

– Dawno, sir – odparł szeregowy po chwili namysłu.

– Od teraz to będzie co najmniej godzina dziennie. Wracamy do przestrzegania zasad służby. Regulamin rządzi.

Całkiem niespodziewanie Cabral się roześmiał.

– Powiedziałem coś zabawnego, szeregowy?

– Och nie, sir. To znaczy tak, ale zapewne nie wie pan nawet, że to mogło być śmieszne. Pan Perlenmann też ciągle powołuje się na regulamin i robotnicy nawet go tak nazywają. Pan Regulamin. A że jeszcze ma całą masę książek w swoim gabinecie...

Lee przesunął językiem po górnej wardze, która wciąż była bardzo słona. Dziwne. Sam nie był skłonny oceniać administratora w ten sposób.

– A co sądzisz o tym niedawnym sabotażu? Kto mógł to zrobić, twardogłowi z Ziemi czy Solarni?

Brazylijczyk wzruszył ramionami.

– Nie wiem, poruczniku. Jedni i drudzy mi pasują.

– A Górniacy na kontraktach? Czy któremuś z nich mogłoby zależeć na zamknięciu zakładów na Kallisto?

– Nie wiem, sir. Nie widzę powodu, dla którego mieliby to robić.

– Ja też nie. A Zewnętrzni?

– Zewnętrzni? Ale po co? Gdy zabraknie paliwa, nie będą mogli odlecieć.

To prawda, Eddie, pomyślał porucznik. I dlatego nikt nie będzie ich nawet podejrzewał o niszczenie paliwa, chociaż mogliby się na to porwać, żeby wrobić Solarnych, pragnących zatrzymać ich w Układzie Słonecznym, dążących do wzrostu napięcia i tak dalej.

– Poza tym – ciągnął Eddie – przywódcy Zewnętrznych, Briggs, Kerkonnen, nawet Xi, są miłymi ludźmi, prawdziwymi *pacifico*. Nigdy nie zrobiliby czegoś takiego, czegoś grożącego rozlewem krwi.

Wyglądało na to, że opieranie śledztwa na opiniach Szybkiego Eddiego nie rokowało. Lepiej będzie wrócić do podstaw, pomyślał porucznik.

– Kiedy ostatni raz strzelałeś?

– Dawno, sir. Z sześć miesięcy temu – dodał Eddie z uśmiechem sugerującym, że tak naprawdę zawsze lubił bawić się bronią.

– Pora odświeżyć sobie te umiejętności, szeregowy. Macie tu jakąś strzelnicę?



Rankiem następnego dnia łącznościowiec Kallisto wywołał Lee, który spędził tę noc w przydzielonej mu kwaterze.

– *Gato* pana wywołuje. Włączyć dekodację?

– Tak, proszę. I przekazać rozmowę tutaj.

Chwilę później ujrzał na ekranie twarze Berniego i Findera, tłoczących się przed kamerą.

– Cześć, skipper. Jak tam żarcie na dole?

– Dziwnie podobne do tego, co mamy na pokładzie.

- Tak źle? Chyba nie opłaca się zostawać oficerem.
- Pewnie nie. Macie coś nowego dla mnie?
- Jasne, skipper. Cała ta historia z porwaniem robi się coraz dziwniejsza. Lee nie bardzo wiedział, co jeszcze może ją udziwnić.
- Mianowicie?
- Gdy wysłaliśmy profile DNA porywaczy na Ziemię, otrzymały najniższy możliwy priorytet w kolejce do sprawdzenia.
- Dziwne. To nie jest nic trudnego, poza tym oczekiwałbym najwyższego priorytetu.
- Też tak pomyślałem. Pozwoliliśmy więc sobie wysłać dane do paru naszych przyjaciół Górniaków. Jeden pracuje w dziale informatycznym na L-5, drugi w archiwum imigracyjnym Marsa. Szybko przekazali nam konkretne wyniki.
- Czy to oznacza, że porywacze byli już notowani?
- Bingo. Nawet więcej. Wszyscy byli sądzeni, niektórzy nawet skazani.
- Czyli ktoś najął ich do tej roboty. Można było się tego spodziewać.
- Owszem, ale okazało się też, że wszyscy byli Górniakami. Pochodzili albo z habitatów na orbicie podksiężycowej, albo z Pasa. Same społeczne typy, część z diagnozą możliwej socjopatii. Czy to się jakoś układa, skipper?
- Niezbyt. Urodzili się Górniakami i zostali zapewne zwerbowani przez innych Górniaków, na przykład Kosmaków, którzy potrzebowali ludzi do mokrej roboty. Jednak z drugiej strony wygląda na to, że w sprawę zamieszany jest też ktoś z Ziemi, ktoś mający na tyle dobre dojścia, by wypuścić ich z więzienia albo darować kary w zamian za zgodę na udział w akcji.
- Ale dlaczego?

– Jak długo nie dowiemy się, po co porwali *Blossom*, co ich tam naprawdę przyciągnęło, nie zbliżymy się do odpowiedzi na to pytanie. A właśnie; było coś ciekawego na liście ładunku przysłanej z Kallisto?

– Nic szczególnego. Zbadaliśmy wszystko, kawałek po kawałku, szukając skrytek. Elektronikę poddaliśmy pełnej analizie. Jak dotąd nic.

– A nasze zwierzchnictwo? Nie podnoszą wrzawy, że poleciliśmy na Kallisto?

– Z ich strony jest aż podejrzenie cicho. Dostaliśmy tylko zwykłe rozkazy operacyjne.

– Jakie?

– Takie, jakich można było oczekiwać. Najpierw rozkaz, że mamy jak najszybciej wznowić działalność patrolową, a potem poprawkę będącą reakcją na nasz meldunek o kwarantannie. Dali nam jeszcze sto godzin pobytu tutaj. No i załatwiłem jeszcze dwa dni ekstra.

– W jaki sposób, Bernie?

– Wyjaśniłem, że nie mamy wystarczających uprawnień, żeby żądać dopełnienia zbiorników z rezerwy Kallisto, a skoro instalacja im siadła, potrzebują teraz każdej kropli dla najbliższego statku kolonizacyjnego i to się szybko nie zmienia.

Lee zmarszczył brwi.

– Dziwi mnie, że nie posłali tego wyżej z prośbą o nadanie nam stosownych uprawnień.

– Nie dałem im szansy, sir. W tej samej wiadomości podałem jeszcze, że zaczęliśmy przygotowania do pobrania paliwa ze zbiorników *Blossom*. Oczywiście za ich oficjalną zgodą, bo to może zostać zinterpretowane jako naruszenie stanu dowodu rzeczowego w sprawie.

Lee był pod wrażeniem „dyplomacji” Berniego.

– I co zrobili wobec takiego konfliktu prerogatyw z priorytetami?

– To, co biurokraci potrafią najlepiej: zwalili sprawę na kogoś innego. W tym przypadku na Perlenmanna. On zastanowił się chwilę i przesłał do dowództwa oraz do nas wiadomość, że zgadza się na pobranie paliwa ze zbiorników liniowca. Co, jak pan wie, będzie musiało trochę potrwać, skoro nie mamy specjalnych złączy do takiego przetaczania płynnego wodoru.

– To prawda. Ale Perlenmann ma tender paliwowy. Pewnie nawet niejeden.

– Też tak sądzę, ale nie zaproponował użyczenia, a my nie pytaliśmy.

Lee uśmiechnął się.

– Na ile uda się wydłużyć tę operację?

– Dowództwo zdecydowało, że z powodu „wymogów sytuacyjnych” dostajemy na to dwa dni, co daje łącznie sześć. Potem będzie pan musiał wrócić z wakacji na Kallisto i...

– Nie, Bernie. Zostaję tutaj.

– Nie wiem, czy dobrze usłyszałem, sir. Czy pan powiedział, że zostaje?

– Perlenmann zwerbował mnie do poprowadzenia śledztwa w sprawie aktu sabotażu, który miał miejsce w zakładzie. Zgodnie z regulaminem służby nie mogłem odmówić. Ale możemy obrócić to na naszą korzyść. Czy dowództwo powiedziało, że muszę wrócić na *Gato* w ciągu sześciu dni?

– No nie, ale skoro jest pan dowódcą kutra, wydaje się to oczywiste i pewnie założyli...

– Cokolwiek założyli, to ich problem. Jeśli nie wyrobię się tutaj w sześć dni, wznowicie patrol według grafika z panem pełniącym obowiązki dowódcy. Zyskam więcej czasu na Kallisto i sprawdzenie, czy był jakiś związek między porwaniem liniowca i tutejszym aktem sabotażu. Jeśli

okaże się, że to dwa elementy jednej układanki, może wówczas uda się dojść w śledztwie do tego, kto i co miał przejąć z *Blossom*.

– Może, skipper. Pewnie nie muszę uświadamiać panu, że to będzie kolejny krok, który nie zachwyci naszych przełożonych.

– Tym razem będą musieli zgłaszać reklamacje do Perlenmanna. – Lee miał nadzieję, że to uchroni go przed największym gniewem przełożonych, jednak nie był tak całkiem pewien. Nie umiał dobrze kłamać. – Jeśli nie wrócę na pokład za sześć dni, kierujcie się z ograniczoną prędkością na Hygeję.

– Dlaczego tam, sir?

– Żeby nadal być blisko, gdy wezwę was, byście mnie zabrali.

– Rozumiem, skipper. Czy możemy zrobić dla pana coś jeszcze?

– Nie, chyba że wierzycie w moc modlitwy albo magię króliczej łapki.

– W co?

– To taka barbarzyńska ziemską tradycją.

– Kojarzy się raczej z Neoluddystami.

– Pewnie słusznie. I szukajcie tej igły.

– Będziemy, skipper. Tylko niech się pan nie wychyla za bardzo.

– Mądra rada. Bez odbioru.



Cabral i Bulganin oswoili się na nowo z centryfugą dopiero po kilku dniach. Podobnie wyszło z wojskową dyscypliną. Rosjanin pozostał milkliwy i trochę arogancki, ale słuchał rozkazów i chyba nabrał nawet nieco szacunku do porucznika.

Gorzej poszło z Górniami pracującymi na Kallisto. Ich pisemne odpowiedzi na zadane przez Lee pytania na temat eksplozji były tak skąpe,

że praktycznie bezużyteczne. Na korytarzach unikali patrzenia mu w oczy i ledwo mruzcili coś, gdy ich witał. Ziemniacy nie byli wiele lepsi, Zewnętrzni zaś zdawali się przebywać już w innym świecie i nie mogli doczekać się chwili, kiedy wreszcie zostawią ten polityczny burdel za sobą.

Jedyną osobą, która okazała się naprawdę pomocna, był Perlenmann. Udostępnił nawet porucznikowi swoje osobiste archiwum. Zgodnie z jego zapiskami animozje między Górniakami a Ziemniakami nigdy wcześniej nie weszły na Kallisto w fazę prawdziwego konfliktu. Nie było aktów przemocy ani sabotażu. Niemniej od dnia eksplozji technicy Parsonsa sprowokowali co najmniej dwie publiczne konfrontacje z Ziemniakami, utrzymując przy tym, że zamach był wymierzony przede wszystkim w nich, i zapowiadając zemstę. Tak naprawdę chcieli chyba dołożyć komukolwiek, nie tylko domniemanym sprawcom.

W połowie drugiego tygodnia Jack Carroll ukończył pełny raport na temat metody działania zamachowców, który Lee i Perlenmann postanowili zataić do czasu, gdy będą już bliżej rozwiązania sprawy. W tej chwili niepotrzebnie poinformowaliby tylko sabotażystę, ile wiedzą. Albo raczej jak wielu rzeczy nie udało im się jeszcze ustalić.

Przejrzawszy raport, Lee westchnął ciężko, porzucając ostatki nadziei na szybkie ukończenie śledztwa. Po dziesięciu dniach nadal niczego nie mieli. Nadszedł czas, by przycisnąć kilka osób i przekonać się, co z tego wyniknie.



Przestronny zbiornik wodoru rozbrzmiewał echemi działań robotników zajętych remontem instalacji. Lee odchylił głowę, żeby spojrzeć na znajdujący się dziesięć metrów nad jego głową „sufit”, po czym skierował kroki w kierunku biało-niebieskiego poblasku palników.

Kilkanaście kroków dalej natknął się na mroczną sylwetkę widoczną głównie dzięki ognikom w tle.

– Czego tu szukasz, Ziemniaku? – spytał Parsons swoim zwykłym, nieprzyjemnym głosem. – Moi ludzie wypełnili już te twoje kretyńskie raporty, więc zostaw ich w spokoju.

– Chciałbym, panie Parsons, ale obawiam się, że pańscy ludzie nie podeszli do tych kwestionariuszy poważnie. Dokładnie rzecz biorąc, nie podali nawet jednego nazwiska osób, które podejrzewają o radykalne postawy. Ani tych z góry, ani tych z dołu. A ja zastanawiam się, dlaczego tak postąpili.

– A kombinuj pan, jak chcesz. – Splunięcie Parsonsa na metalowe podłoże zabrzmiało echem tak silnym, jakby to kamyk upadł na stalowe blachy. – Nie jesteśmy kapusiami. Jeśli tego właśnie od nas oczekujesz, to wynoś się do diabła.

– Jeśli pan albo pańscy ludzie żywicie jakieś konkretne podejrzenia, doradzałbym nie zatrzymywać ich dla siebie. Każdy, kto tak postępuje, utrudnia oficjalne śledztwo i staje się współwinny aktu sabotażu oraz narażania na szwank życia i zdrowia wszystkich, którzy tu pracują.

Zgodnie do oczekiwaniami Lee, ostatni argument okazał się najbardziej celny.

– Chce mnie pan oskarżyć o działanie na szkodę moich ludzi? – spytał ze złością Parsons. – Chociaż wszyscy oni to Górniacy? Cóż, niezły pomysł, panie poruczniku. Ale powiem panu jedno: sami dbamy o siebie tutaj, na Kallisto, a jeśli trafiają się problemy, też sami je rozwiązujemy. Pan jest tu nowy i niewiele rozumie, a gdy ktoś tak mało rozumie, łatwo może wpakować się w coś przykrego. Czy to dla pana jasne?

– Wysuwanie gróźb pod adresem oficera Patrolu Celnego to poważne przewinienie, panie Parsons. Zastanawiam się nawet, czy nie rozszerzyć zakresu mojego śledztwa, czyniąc pana głównym podejrzanym.

Parsons zaśmiał się szyderczo.

– Pan mi grozi, poruczniku? Nie przypominam sobie, abym powiedział cokolwiek, co by to uzasadniało. Starłem się tylko uświadomić panu, że dla kogoś z zewnątrz wejście w świat naszych problemów może być niełatwe. Jeśli zaś chodzi o objęcie mojej osoby śledztwem, to proszę bardzo – dodał kpiącym tonem. – Niech zgadnę. Czy pana zdaniem jestem tajnym agentem radykalnych frakcji Ziemiaków? Naprawdę zamierza pan marnować czas na dochodzenie przeciwko ludziom, dzięki którym ta placówka jeszcze istnieje, chociaż Zieloni i Neoluddyści krok po kroku zmierzają do jej likwidacji? Utrudni nam pan życie i być może praca też przez to ucierpi. Różne szyszki Zielonych w Komitecie też będą miały trudniej, bo każdy tutejszy kłopot dostarcza amunicji Neoluddystom. Dla nich dowolne trudności pojawiające się na zarządzanym przez Zielonych Kallisto to coś, co należy wykorzystać. Ostatecznie może to doprowadzić do poważniejszego śledztwa i tym razem to pan będzie miał kłopoty. I to spore. – Przerwał i pochylił się ku Lee. – Rozumie pan, do czego zmierzam?

– Owszem – odparł śmiało Lee. – I mam nadzieję, że pan rozumie moje intencje. Jestem tutaj, by egzekwować prawo i odnaleźć sabotażystę. I zamierzam doprowadzić rzecz do końca, z pańską pomocą albo bez niej.

Ich twarze znalazły się ledwie trzy cale od siebie. Wokół zalegała cisza, przerywana tylko chropawym syczeniem palników. W końcu Parsons przestąpił z nogi na nogę, co dało mu pretekst, by trochę się odsunąć.

– Życzę więc dobrej zabawy, gdy będzie pan sobie kopał grób – rzucił ze śmiechem, odwrócił się w kierunku frontu robót i odpłynął do swoich,

wykrzykując po drodze jakieś polecenia.



Doktor Iseult aż uniosła brwi, widząc Lee wchodzącego do jej gabinetu.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, panie poruczniku?

Lee uśmiechnął się niepewnie.

– Czy mogę usiąść, pani doktor?

Iseult posłała mu spojrzenie sugerujące, że chętnie by odmówiła, ostatecznie jednak westchnęła i wskazała na krzesło po drugiej stronie biurka.

– Cóż, niech pan siada. O co chodzi?

– Pani doktor, nie jest chyba tajemnicą, że nie poczyniłem dotąd wielkich postępów w moim śledztwie.

Lekarka uśmiechnęła się szczerze, chociaż zdecydowanie kwaśno.

– Jest pan mistrzem nieudomówień, poruczniku. Z tego, co słyszałam, śledztwo stoi w miejscu bez jakichkolwiek postępów, natomiast pan robi sobie coraz więcej wrogów.

Lee pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że pani okaże się bardziej pomocna niż inni.

– Tak? – spytała z niedowierzaniem Iseult. – A to dlaczego?

– Ponieważ jest pani lekarzem.

– I dlatego miałabym okazać słabość wobec munduru? Wystarczy, że nie raz musiałam sprzątać po podobnych do pana dużych dzieciakach.

– Nie wątpię. Jednak w tym przypadku myślę przede wszystkim o narastającym zagrożeniu aktami przemocy tutaj, na Kallisto. Oczekiwałam, że będzie pani skłonna podjąć działania w celu

zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi. To chyba lepsze, niż później opatrywać rannych. Możliwe jednak, że źle panią oceniłem.

Iseult przestała się uśmiechać, a potem pokazała zęby w grymasie złości.

– *Merde!* To czysta bezczelność, by próbować wymuszać na mnie współpracę w taki sposób!

– Jak wspomniałem, pani doktor, dałem pani tylko sposobność, by łatwiejszym sposobem ocalić komuś życie – stwierdził Lee i wstał.

– *Mou Dieu*, ale pan jest arogancki! Nie, proszę siadać. Siadaj pan, do cholery! – Zacisnęła pięść, aż jej knykcie zbieleły, ale chwilę później znów panowała nad swoimi emocjami. Spojrzała lodowato na porucznika. – Niestety, ale ma pan rację. Ludzie Parsonsa są coraz bardziej wzburzeni. Obawiam się, że jeszcze trochę, a dojdą do przekonania, że powinni uprzędzić kolejny ruch Ziemniaków, czy nawet Zewnętrznych, i zaatakować przeciwników. Wprost i fizycznie.

– I to panią martwi.

Lekarka zamruwała ze zdumienia.

– Oczywiście. Jak pan trafnie zauważył, jestem adeptką medycyny.

– Nie, martwi to panią, ponieważ sympatyzuje pani z Zewnętrznymi.

Po pierwszej chwili zaskoczenia przymrużyła powieki.

– Szuka pan mojej pomocy czy chce mnie pan przesłuchiwać?

– Jedno i drugie jest dla mnie ważne. Pamiętam, że gdy pierwszy raz się spotkaliśmy i Parsons rzucił jakąś uwagę o Zewnętrznych, żywo pani zareagowała.

Iseult zastukała smukłymi palcami po blacie i zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

– Ich stanowisko jest mi rzeczywiście dość bliskie, podobnie zresztą jak wszystkich umiarkowanych frakcji. To ekstremiści i ich bojówki są

naprawdę groźne. Kosmaki, Patrol Celny, Solarni i proziemscy faszyci to tak naprawdę jedna banda, gotowa przy byle okazji brać się za łby. A gdy dojdzie w końcu do otwartej walki, zwykli ludzie mieszkający na Kallisto i w wielu innych, podobnych miejscach znajdą się między młotem a kowadłem. A nawet bez tej idiotycznej wojny może być źle. My tutaj codziennie toczymy walkę o życie. Jeśli atmosfera polityczna na Ziemi znacząco się popsuje, program kolonizacyjny będzie pierwszy do odstrzału. Nasze zakłady zostaną zamknięte. To samo spotka wiele innych stacji rozsianych po Układzie Słonecznym. Tych, które pracują tylko na nasze potrzeby. W tej sytuacji wielu Górniaków straci pracę i sporo z nich, zapewne większość, trzeba będzie przesiedlić na Ziemię. Żadne inne miejsce nie zdoła wchłonąć tak licznej grupy imigrantów.

– Ale jak ludzie urodzeni w stanie nieważkości mieliby poradzić sobie na Ziemi? – spytał Lee. – Nawet w zbiornikach wypornościowych byłoby im ciężko.

– Jestem lekarzem, nie specem od polityki społecznej. Nie wiem, jak to zrobić.

Odwróciła głowę i oparła brodę na zwiniętej w pięść dłoni.

Lee przelotnie rzucił na nią okiem. Uznał, że lekarka była szczerze zaniepokojona, ale nie wiedziała jeszcze, jak powinna postąpić. Miała wątpliwości, co sugerowało, że nie zwykła hołdować ukochanym przez ekstremistów dogmatom. A skoro tak, nie powinien więcej naciskać.

– Przepraszam, pani doktor. Nie chciałem pani niepokoić.

– Brzydko jest kłamać, panie poruczniku. A marne kłamstwo to podwójny grzech. Jestem pewna, że zasianie niepokoju było pańskim podstawowym zamiarem.

Lee poczuł gorąco na twarzy.

– Owszem, pani doktor. Niemniej musiałem.

– Rumieni się pan. Cóż, dobre i to. Widać zostało w panu jeszcze coś ludzkiego, poruczniku Strong.

– Jestem Lee.

Prawie się uśmiechnęła.

– I dobrze, Lee. Jeśli skończyłeś już ze swoimi prowokacjami, możesz mówić do mnie Genevieve.

– Skończyłem.

– Tym lepiej. A teraz, jak mogę pomóc?

– Na przykład podając Panachukowi coś na uspokojenie – odezwał się nagle nowy głos. – Upiera się, żeby wstać z łóżka i wrócić do pracy – dodał Perlenmann, wychodząc z izby chorych i opierając się o futrynę. – Jak tam śledztwo, poruczniku?

– Jakoś idzie, panie Perlenmann, chociaż niezbyt szybko. Miałem nadzieję, że doktor Iseult podsunie mi coś nowego, zwłaszcza w sprawie Zewnętrznych.

Administrator pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby przywódcy Zewnętrznych, pan Briggs i pan Kerkonnen, opowiedzieli się za jakąkolwiek formą przemocy.

– A pani Xi?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jest najbardziej impulsywna wśród Zewnętrznych i wszyscy o tym wiedzą, ale to raczej odsuwa od niej podejrzenia, nie sądzi pan?

– Mogła nie zrobić tego sama. Gdyby znalazła kogoś dość wściekłego, by wykonać jej polecenia... – Kątem oka Lee dostrzegł, że lekarka skrzywiła się sceptycznie, Perlenmann zaś ponownie wzruszył ramionami.

– Może, ale jedyny motyw, jaki przychodzi mi do głowy, czyli że mogłoby chodzić o dyskredytację Solarnych i Kosmaków, wydaje mi się zbyt naciągany. A teraz przepraszam, muszę wracać do siebie. Tonę w różnych papierzyskach.

Administrator wypłynął z gabinetu Iseult. Lee odprowadził go spojrzeniem.

– Co z nim? – spytał, gdy drzwi już się zamknęły.

– Co masz na myśli?

– Czy mógłby okazać się utajnionym faszystą dołu, czekającym tylko na wystarczającą wymówkę, żeby zamknąć ten interes?

– Perlenmann? Faszystą albo wtyczką Neoluddystów? Oszalałeś? – spytała i zaśmiała się melodyjnie.

– Co w tym zabawnego?

– Poruczniku, nawet jeśli Perlenmann sympatyzuje z jakimiś ekstremistami, nigdy nie działałby na ich rzecz. On zawsze działa zgodnie z zasadami i jasno widzi swoje obowiązki. Ma dopilnować, by aktywność kolonizacyjna przebiegała jak najsprawniej. Mimo ograniczeń dostaw, powodowanych przez genewską klikę Neoluddystów, trzyma się niemal oryginalnego planu wylotów. Proszę mi uwierzyć, że to nie jest łatwe.

– Wierzę.

– No to masz i swoją odpowiedź. Perlenmann trzyma się swojej roli, a ta nie zostawia mu wiele swobody.

Lee pokiwał głową.

– Tak, ale wyjątek potwierdza regułę. I może to właśnie jest ten wyjątek.

Iseult pokręciła energicznie głową.

– Nie. Posłuchaj. Znam wielu ludzi o radykalnych poglądach, nawet jeśli nie zawsze deklarują je głośno. Nie jestem ich zwolenniczką, ale wiem, że

wszyscy oni mają Perlenmanna za przedstawiciela umiarkowanych Zielonych i zgadzają się co do jednego: że jest to człowiek, który nigdy nie złamie zasad.

– Cóż, musiałem spytać.

– I spytałeś. Coś jeszcze?

– Na razie nie. – Lee lekko uniósł się z krzesła.

– Dobrze. Zatem teraz ty mi pomożesz. – Lekarka sięgnęła do biurka i wyjęła małą buteleczkę z pastylkami. Podała ją porucznikowi.

– To dla sierżanta Bulganina – powiedziała.

– Pigułki odchudzające? – spytał z uśmiechem Lee.

– To nic zabawnego – odparła poważnie. – Proszę dopilnować, żeby zaczął je brać. Od razu.

– Co to jest? – spytał porucznik, marszcząc czoło.

– Naprawdę nie wiesz? – spytała Iseult, odrywając spojrzenie od ekranu komputera, ku któremu zdążyła się już zwrócić.

Lee pokręcił głową.

– Nie powiedział ci?

– O czym?

– *Mou Dieu*, mężczyźni są tacy dziecinni! Sierżant Bulganin cierpi na astmę, a nakazane przez ciebie ćwiczenia jeszcze pogarszają jego stan. Zdecydowanie pogarszają.

Lee przypomniał sobie nagle, jak sierżant co rusz bladł i zieleniał podczas ćwiczeń, a na jego twarzy odbijał się grymas skrywanego bólu. Lee wiązał to dotąd z nadwagą Rosjanina, ale teraz sprawa zaczęła wyglądać inaczej. I wyjaśniło się, dlaczego mimo upływu czasu jego kondycja nijak się nie poprawiała. Brakowało mu powietrza.

Lee zamknął buteleczkę w dłoni.

– Dziękuję. Dopilnuję, żeby zaczął je stosować.



Gdy Lee wszedł do idealnie uporządkowanej dyżurki, Bulganin stanął na baczność. Porucznik machnął mu na spocznij.

– Niech pana siada – polecił i sierżant spojrzał na niego podejrzliwie, ale powoli opadł na krzesło i wrócił spojrzeniem do komputera.

Lee wyciągnął rękę ponad biurkiem i rozprostował palce, ukazując buteleczkę z lekarstwem.

– To chyba dla pana, sierżancie. – Bulganin raptownie poczerwieniał na twarzy i zacisnął mocno szczęki. Wyciągnął niedźwiedzią łapę, bez pośpiechu wziął środek i schował go do kieszonki na piersi. Potem pokiwał głową i poprawił się na fotelu, by wrócić do pracy.

– Dlaczego nie poinformował mnie pan o swoim schorzeniu, sierżancie?

Bulganin przez chwilę tylko poruszał lekko ustami, nim odpowiedział.

– To nic poważnego, sir – wymamrotał.

– To nieprawda, do cholery, i świetnie pan o tym wie. Co więcej, teraz wiem o tym i ja.

Bulganin nie podniósł głowy.

– Czy zamierza pan wykluczyć mnie ze służby?

– Nie, sierżancie. Żadne takie. Zresztą nawet gdybym chciał, nic nie mógłbym zrobić. Nie stać mnie na to, by się pana pozbyć. – Bulganin jakby trochę się uspokoił. – Ale chcę wiedzieć, od kiedy pan to ma i dlaczego nic mi pan nie powiedział.

Rosjanin oderwał wreszcie spojrzenie od komputera.

– Czy mogę szczerze, sir?

– Nawet pan powinien.

– Nie powiedziałem, ponieważ chciałem uniknąć poniżenia związanego ze zwolnieniem od ćwiczeń, sir.

– Nie ja ustanawiałem przepisy w tej sprawie, sierżancie. Taki jest regulamin Patrolu Celnego.

Bulganin pokiwał powoli głową.

– Tak, wiem. Jednak po pańskim przybyciu... nie chciałem być specjalnie traktowany, sir.

– Chyba rozumiem – stwierdził Lee. – Mam jednak nadzieję, że doszliśmy już w miarę do porozumienia. Nadal oczekuję, że będzie pan przestrzegał reżimu godziny treningu w warunkach grawitacyjnych dziennie. Ale od teraz w trzech dwudziestominutowych turach z co najmniej godziną zajęć niewymagających wysiłku fizycznego pomiędzy.

Bulganin już chciał zaprotestować, ale Lee uniósł dłoń.

– To rozkaz, Arkadij.

Sierżant zamknął usta i uśmiechnął się lekko.

– Miło będzie znowu oddychać bez wysiłku.

– Też tak sądzę. Od jak dawna tak jest i dlaczego nie ma o tym ani słowa w pańskich aktach?

– Nie ma, bo nigdy o tym nie zameldowałem – wyznał Bulganin.

– Ryzykowałeś.

– Bardziej bym ryzykował, gdybym to wyjawiał – stwierdził Rosjanin z westchnieniem. – Jak pan wspomniał, moje akta obfitują w negatywne wpisy, włączając w to wzmianki o udziale w protestach przeciwko władzy Neoluddystów. Gdyby doszedł jeszcze do tego zapis o poważnym stadium astmy, byłby to pretekst do zwolnienia mnie z służby. I co wtedy? Jestem żołnierzem i niczego innego nie umiem. Zgłosiłem się więc do służby

w próżni i zapisałem na ochotnika do wysłania na najbardziej oddalony posterunek.

– Mając nadzieję, że tam zdoła pan ukryć swój problem albo przynajmniej pański przełożony nie uzna za stosowne, by zameldować o tym wyżej.

– *Da...* To znaczy tak. Właśnie tak.

– Zatem spokojnie. Nie zamierzam dodawać zapisu na ten temat.

Bulganin zamrugnął i uśmiechnął się szeroko.

– *Spasiba*, poruczniku. – Potem skrzepowany odwrócił spojrzenie.

– Co jest, sierżancie?

– Obawiam się, sir, że... zapomniałem powiedzieć o czymś, co może być ważne dla śledztwa, sir.

Aha, chyba do czegoś dochodzimy, pomyślał Lee.

– Rozumiem, że przez ostatnie dni mógł mieć pan kłopoty z koncentracją i tym samym z pamięcią, sierżancie. To był bardzo pracowity czas.

Bulganin uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Chodzi o Kotsukova, sir. Był związany z Zewnętrznymi. Nie podzielali nigdy jego upodobania do ziemskiej dominacji, ale na pewno też byli mocno zainteresowani utrzymaniem działalności placówki.

– Ale i tak powinien ich chyba traktować jak zdrajców? Logicznie rzecz biorąc, nie powinien się z nimi wiązać.

– I tak też o nich myślał, ale to praktyczny gość. Mieli tych samych wrogów, czyli Solarnych. Poza tym przez jakiś czas Kotsukov skłonny był popierać akcję usuwania z Ziemi dysydentów, którzy tracili tym samym wpływ na cokolwiek. Ostatecznie pomagał im nawet organizować jakieś tajne spotkania.

- Tajne spotkania? W jakim sensie tajne?
- Wydaje mi się, że Zewnętrzni próbowali stworzyć swój plan działania na wypadek, gdyby Ziemia zdecydowała o zaprzestaniu wysyłania statków kolonizacyjnych.
- Brali pod uwagę jakąś akcję zbrojną?
- Nie jestem pewien, sir, ale niektórzy pewnie tak. Kotsukov zaś... on...
- Tak?
- Powiedział mi, gdzie odbywają się te spotkania.



Gdy łopaty wentylatora wreszcie się zatrzymały, Bulganin odblokował zawiasy i pchnął stelaż, który odchylił się z piskiem zardzewiałych zawiasów, pokazując szeroki moze na metr przewód wentylacyjny. Sierżant wsunął się do środka i pokiwał na porucznika.

Droga nie była łatwa. Ze trzy razy Lee pożałował, że to nie Szybki Eddie okazał się znawcą systemu wentylacyjnego bazy na Kallisto. Na pewno sprawniej by się poruszał w tych przewodach niż masywny Bulganin.

Po półgodzinie wędrówki dotarli do końca, gdzie przewód rozszerzał się przed kolejnym pracującym wentylatorem. Po odcięciu zasilania znieruchomiał, chociaż trwało to chwilę. Potem dał się odchylić do środka, ukazując gęstą siatkę. Obaj mężczyźni podpełzli jak najbliżej.

W pomieszczeniu po drugiej stronie siedziało w nieregularnym półokręgu około trzydziestu pięciu osób. Bulganin wskazał kilka z nich.

– Ten to Briggs, przywódca i najbystrzejszy z nich. Po jego prawej Kerkonnen. Dalej Xi, dobra mówczyni. Ma tylko dwadzieścia siedem lat; atrakcyjna, zwłaszcza dla młodych. – Reszta zgromadzonych reprezentowała różne grupy wiekowe zawodowe i etniczne.

Lee sięgnął do boku. Znowu nosił standardowy dziesięciomilimetrowy pistolet z nabojami bezłuskowymi. Wolał nie pokazywać się z niezwykłą bronią Górniaków, której posiadanie mogłoby zostać odczytane jako swoisty manifest przekonań.

Przez chwilę próbował podsłuchiwać, o czym tamci rozmawiali, ale nic mu z tego nie wyszło.

– Słyszycie ich pan, sierżancie? – spytał.

– Nie, za duży hałas. I jeszcze echo.

Lee sprawdził godzinę.

– Cóż, niebawem dowiemy się, jaki jest temat zebrania. Wchodzimy za dwie minuty. Sprawdź broń i upewnij się, że w magazynku są ładunki ogłuszające.

– Na pewno woli pan ogłuszające? – spytał z troską Bulganin.

– Na pewno. A w razie czego mamy pod ręką też zwykłe.

Rosjanin przytaknął i wyjął swój pistolet, po czym usiadł z nogami zapartymi o siatkę.

Lee śledził umykające sekundy.

– Idź za mną, jak szybko zdołasz – powiedział. – Tylko nie skacz daleko. I udanego lądowania. Dopiero potem odbezpiecz broń. Dobra. Pora na przedstawienie. Kop siatkę.

Lee ustawił się w parodii pozycji biegacza. Gdy sierżant rozprostował gwałtownie nogi, rama z siatką urwała się z mocowań i pokoziołkowała gdzieś daleko. Lee wystrzelił z otworu i wylądował na ugiętych nogach jakieś siedem metrów dalej. Zaraz przesunął bezpiecznik broni i omal nie uśmiechnął się szeroko, widząc półkole postaci z otwartymi szeroko ustami.

– Zgodnie z paragrafem 1770B2 kodeksu Unii Ziemskiej dokonuję niniejszym tymczasowego zatrzymania wszystkich zebranych tu osób.

Proszę nie...

Xi i dwóch innych wystartowali ku dużym drzwiom pomieszczenia, znajdującym się dokładnie naprzeciwko otworu wentylacyjnego, którym wszedł porucznik.

– Kropnąć ich? – spytał Bulganin, ledwo wylądował z łomotem kilka stóp od Lee.

– Nie trzeba, sierżancie. Wystarczy pilnować.

Xi i jej kompani dotarli do drzwi w chwili, gdy te otworzyły się do środka. W progu pojawiły się dwie kolejne spanikowane osoby, krzyczące coś o napaści, ale zaraz wpadły do wewnątrz z impetem zawdzięczanym ciężkiemu obuwiu Szybkiego Eddiego. Xi zawróciła w kierunku, z którego przybiegła.

Ale dwa pozostałe wyjścia były już zablokowane przez Lee i Bulganina. Xi skończyła swój rajd ledwie parę kroków od miejsca, z którego wystartowała. Zacisnęła mocno usta i wpatrzyła się w wymierzoną w jej osobę broń sierżanta. Stojący za kobietą Briggs i Kerkonnen wymienili spojrzenia i powoli unieśli ręce do góry.

Lee schował broń, ale nie przesunął wcześniej bezpiecznika.

– Tak lepiej. A teraz wybaczcie, ale mam kilka pytań...



Perlenmann spojrzał na Lee ponad splecionymi palcami dłoni opartych na zaściełających blat biurka książkach.

– I dokąd nas to doprowadziło?

– Praktycznie do punktu wyjścia.

Administrator zamknął kilka książek, odkrywając kolejne, leżące pod spodem. Na samym blacie leżał nowy skaner, dostarczony niedawno

z liniowca.

– Jest pan pewien, że żaden z Zewnętrznych nie był zamieszany w sabotaż?

– Czy jestem pewien? Niczego nie jestem pewien – stwierdził z westchnieniem porucznik i zastanowił się, co skaner robił właśnie tutaj, pośród cennych książek Perlenmanna. – Niemniej wychodzi na to, że jeśli nawet któryś był w to zamieszany, to w tajemnicy przed liderami frakcji.

– A co z panią Xi? Zdaje się być ich radykalnym skrzydłem. Może jest bardziej wojownicza, niż się wydaje?

Lee pokręcił głową.

– Mało prawdopodobne. Poza tym ma całkiem dobre alibi obejmujące całe siedemdziesiąt dwie godziny przed wybuchem.

– Tak?

– Była w domu, chora. Jakiś paskudny wirus krąży w okolicy i Iseult nakazała jej leżenie w łóżku. Wielu ją odwiedzało i ma całą masę świadków gotowych zaświadczyć, że widzieli ją w domu, którego w ogóle wtedy nie opuszczała.

Perlenmann wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że w tej sytuacji musimy wykluczyć Zewnętrznych jako sabotażystów.

– I kto nam wtedy zostaje? Solarni? O ile jest choć jeden na Kallisto. Czy samotnie działający psychopata?

Znowu wzruszenie ramionami.

– Pierwsza możliwość brzmi prawdopodobnie. W drugą mocno wątpię. Ziemscy urzędnicy sprawdzają wszystkich solidnie przed wysłaniem na Kallisto. Mała szansa, by dostał się tu ktoś niezrównoważony.

– No to skończyła mi się lista podejrzanych.

Perlenmann rozplótł palce.

– Cóż, jeśli uznany, że eksplozja nie była dziełem działającego na ślepo szaleńca, to oznacza, że miała czemuś służyć. Tylko czemu, skoro sprawcą nie był Ziemniak, Zewnętrzny ani nawet Solarny?

– Najwyraźniej nie był.

– Skoro więc brak nam pasującego sprawcy, może trzeba zmienić podejście. Spróbujmy zmusić tego kogoś, by sam się ujawnił.

– Nie rozumiem... – zaczął Lee, marszcząc czoło. Nagle jednak pojął. Przecież nie chodziło tylko o sabotaż, ale także o porwanie *Fragrant Blossom*. – Panie Perlenmann, muszę czym prędzej porozmawiać z *Gato* na bezpiecznym kanale. Potem naradzę się z doktor Iseult i zwołam dyskretne spotkanie w wąskim gronie...



Gdy Lee wszedł kilka godzin później do gabinetu Perlenmanna, zrobił to z odpowiednio ponurym wyrazem twarzy. Iseult i administrator odpowiedzieli na jego powitalne skinienie, ale Parsons tylko się skrzywił. Briggs i Xi wyglądali na zaniepokojonych.

Porucznik usiadł, odsuwając na bok kilka leżących przed nim książek.

– Dziękuję wszystkim za przybycie w tak krótkim czasie.

Parsons nie dał się udobruchać.

– Tak, ale mam sporo roboty, więc...

– Zatem przejdziemy od razu do rzeczy. Doktor Iseult?

Genevieve założyła ręce, ale podniosła oczy.

– Pan Panachuk zmarł kilka godzin temu – powiedziała matowym głosem.

Oczy Perlenmanna rozszerzyły się z zaskoczenia. Briggs jakby posmutniał, Xi wyglądała na zatroskaną. Parsonsa zatkało na tyle, że dopiero po chwili zdołał wykrztusić:

– Co?

– Gdy zbiornik eksplodował, Panachuk dostał dwoma odłamkami lecącymi z dużą prędkością. Oba przypominały igły i poruszały się po tej samej trajektorii. Większy zauważyliśmy i usunęliśmy, ale mniejszy uszedł naszej uwagi, zwłaszcza że była tylko jedna rana wlotowa. Utkwił wysoko w lewym płucu. Gdy Panachuk dostał w pewnej chwili krwawego kaszlu, uznaliśmy to za objaw tej samej infekcji wirusowej, która gnębiła ostatnio panią Xi i wielu innych. Z racji dotkliwych oparzeń system odpornościowy Panachuka musiał być mniej skuteczny w zwalczaniu takich infekcji. On sam pewnie nie czuł, jak odłamek przedzierał się coraz głębiej, za sprawą środków przeciwbólowych podawanych mu z powodu oparzeń. A jeśli nawet coś czuł, nie chciał mówić zbyt wiele, by nie uznano go za niezdolnego do pracy tutaj. W każdym razie pierwszym sygnałem, że dzieje się coś złego, były nagle zaburzenia systemu krążenia, które wystąpiły w chwili, gdy odłamek dotarł do serca. Zanim udało nam się zdiagnozować problem i zacząć operację, pacjent zmarł.

Parsons zbladł gwałtownie.

– Jezu Chryste. Biedny Panachuk. Jego żona Marta jest...

– To będzie musiało poczekać, panie Parsons – przerwał mu Lee. – Najpierw musimy zmierzyć się z większym problemem.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Śmierć Panachuka oznacza, że to, co było przypadkiem zwykłego sabotażu, staje się zbrodnią. Której ofiarą padł jeden z pańskich ludzi. Jak pan sądzi, jak długo pozostali będą skłonni cierpliwie czekać, aż machina

sprawiedliwości ruszy z miejsca? Dlatego właśnie zaprosiłem pana na to zebranie. Jeśli szybko nie znajdziemy zabójcy, mogą wziąć sprawy w swoje ręce i poszukać kozła ofiarnego. Tak się jednak szczęśliwie składa, że chyba mamy już podejrzanego.

Briggs zamrugał powiekami, a Xi drgnęła niespokojnie.

– Kogo? – spytała.

– Jacka Carrolła, głównego inżyniera.

– Jacka? – Parsons spojrział ze zdumieniem na Lee. – Chyba pan żartuje.

– Wcale nie. Wiedział, jak to zrobić, miał po temu sposobność i posiadamy dowód, że próbował przeinaczać wyniki oględzin.

– W jaki sposób?

Lee wyprostował się na krześle.

– W swoim raporcie utrzymywał, że nie był w stanie zidentyfikować typu zegarka wykorzystanego przez zamachowca do uruchomienia zapalnika. Sam przejrzałem dowody i jestem pewien, że udało mi się to ustalić. Chodziło o zegarek identyczny jak ten noszony jeszcze niedawno przez Carrolla. Twierdził, że zgubił go krótko przed eksplozją.

Parsons wzdrygnął się i pokręcił głową.

– Myli się pan. Nawet jeśli Carroll to zrobił, na pewno nie chciał nikogo zabić. Raczej starałby się zapobiec tragedii.

Lee zmarszczył brwi.

– Chyba nie pojmuję, w jaki sposób doszedł pan do tego wniosku, panie Parsons.

– Gdyby naprawdę to on był autorem zamachu, użyłby iskrowego zapalnika, nie magnetycznego...

Parsons przerwał nagle w pół zdania. Lee uśmiechnął się, a administrator uniósł pytająco lewą brew.

– Proszę mi powiedzieć, panie Parsons, skąd pan wie, że zamachowiec użył zapalnika magnetycznego, a nie iskrowego?

Blady dotąd Parsons upodobnił się z twarzy do trupa.

– Na pewno nie z raportu Carrolla, gdyż ten został utajniony jako mający wpływ na śledztwo. A pan na naszym pierwszym spotkaniu nie potrafił powiedzieć, jaki to był zapalnik. Carroll spędził dwie godziny nad mikroskopem, nim mu się to udało. Pytam więc raz jeszcze, panie Parsons, jakim cudem wiedział pan, że zastosowano w tym przypadku model magnetyczno-indukcyjny?

Parsons nie odpowiedział. Rozejrzał się po obecnych, zaczynając od Lee, kończąc na Perlenmannie. Potem chciał wstać, ale w tej samej chwili drzwi się uchyliły i pojawił się w nich czuwający na korytarzu Szybki Eddie. W obu dłoniach trzymał pistolet, wymierzony aktualnie w pierś Parsonsa. Mężczyzna usiadł powoli.

Lee westchnął z ulgą.

– Panie Parsons, raz jeszcze zadam panu to pytanie...



Przyznanie się do winy nie zabrało Parsonsowi wiele czasu, zwłaszcza gdy dowiedział się, że Panachuk nie tylko żyje, ale już następnego dnia ma zostać wypisany z izby chorych. Parsons zareagował też złością (choć i z ulgą) na informację, że tak naprawdę Carroll nigdy nie był o nic podejrzewany. Nawet jeśli nie do końca był w porządku. Prawdziwy sprawca wyraźnie nie chciał, by ktokolwiek niewinny odpowiadał za jego czyny.

Jego opowieść pokrywała się z grubsza z oczekiwaniami Lee. Wprawdzie miał Solarnych za niebezpiecznych ekstremistów, ale był zdeklarowanym Kosmakiem i martwiła go uległość Górniaków wobec ich ziemskich władców. Obmyślił więc plan, który miał rozwiązać oba problemy za jednym zamachem.

Wysadzenie zbiornika miało zostać uznane za polityczne działanie Solarnych mających sprowokować Unię Ziemską do szeroko zakrojonych akcji prewencyjnych wobec wszystkich Górniaków. On jednak zamierzał równocześnie zacząć nawoływać do wprowadzenia „patroli czujności”, mających skutecznie położyć kres „terrorowi Solarnych” na Kallisto. Umiarkowani Zieloni bez wątpienia byliby gotowi przyklasnąć tej inicjatywie i wykorzystać propagandowo argument, że sami Górniacy przyczynili się do naprawy sytuacji, zatem w dalszej perspektywie mogą okazać się cennymi sojusznikami, wspierającymi interesy Unii Ziemskiej.

Oczywiście pozwoliloby to także uwierzyć Górniakom, że przy właściwym podejściu zdołają sporo dla siebie uzyskać, na dłuższą metę zaś być może Ziemia skłonna byłaby na tyle im zaufać, by oddać zarządzanie Kallisto całkowicie w ich ręce. W ten sposób Górniacy uzyskaliby dostęp do technologii przydatnym Kosmakom żyjących w swoich niezależnych enklawach w Pasie Asteroid. Tam dałoby się te technologie rozwinąć na tyle, by stały się kartą przetargową w trakcie dalszych rozmów z Unią Ziemską.

– Ale z uszkodzeniem skanera nie miałem nic wspólnego – dodał na koniec Parsons. – Dla mnie żaden z tego pożytek. Tak więc nie ciągnijmy tego dalej.

– Czego nie mamy ciągnąć? – spytał Perlenmann, przekrzywiając głowę.

– Proszę mnie nie podpuszczać. Wiem, co powinno teraz nastąpić. Ja się przyznałem, wy jesteście od wyroku. To część pańskich obowiązków jako

administratora.

Lee znowu odetchnął z ulgą, że uporał się chociaż z częścią roboty. Może teraz coś zacznie się naprawdę klarować...

Niestety, Perlenmann zaraz zniweczył jego nadzieje.

– Panie Parsons, skłonny jestem poniechać wydawania werdyktu i na stałe utajnić przebieg naszego spotkania, podobnie jak i śledztwa porucznika Stronga, o ile zgodzi się pan wziąć udział w pewnym projekcie, który może przysłużyć się naszej społeczności.

Iseult spojrzała uważnie na Lee.

– Może to zrobić?

Lee przytaknął, zastanawiając się gorączkowo, o jaki projekt mogło chodzić.

– Tak, może. Nawet jeśli to ja prowadziłem śledztwo, administrator Perlenmann posiada *de facto* uprawnienia właściwe najwyższej instancji prawnej.

Administrator pokiwał głową, potwierdzając prawdziwość słów porucznika.

– Właśnie. Zatem jak, panie Parsons, jest pan zainteresowany?

Oskarżony wpatrywał się przez chwilę w rozmówcę w taki sposób, jakby wyrosła mu nagle druga głowa.

– No... jasne. Tak.

– Zatem, panie Parsons, oto, co musi pan zrobić. Zorganizuje pan grupę opiniotwórczą złożoną nie tylko z Górniaków i Kosmaków, ale także Zewnętrznych i Ziemiaków. Pierwszym waszym działaniem będzie publiczne potępienie aktów przemocy. Potem wykorzystają pan tę grupę do wyrażenia głośno tego, co pana trapi. I wezwie do dyskusji. Dzięki temu poznamy również stanowiska pana adwersarzy. Jeśli osiągnie pan chociaż,

albo aż tyle, będę usatysfakcjonowany. Potrzebujemy tutaj otwartej wymiany poglądów. Poglądów, nie ciosów.

Perlenmann spojrział z uśmiechem na Lee. Porucznik odpowiedział tym samym i pokiwał głową. Teraz już rozumiał. Dobrze rozumiał.

– Zgadza się pan na te warunki, panie Parsons?

– No... tak. Jasne – odparł tamten, ciągle trochę ogłupiały.

Lee skinął na administratora.

– Wszystko zgodnie z zasadami?

– Jak najbardziej. – Perlenmann znowu się uśmiechnął. – Potem spojrział na Parsonsa. – Skoro zgodził się pan na moją propozycję, jest pan wolny. Ale ostrzegam. Jeśli wróci pan do stosowania przemocy albo zacznie do tego nakłaniać tutaj, na Kallisto, wówczas otworzę ponownie sprawę, aresztuję pana i odeślę na Ziemię celem właściwego ukarania za sabotaż i zdradę.

Parsons wstał, chcąc jak najszybciej opuścić pomieszczenie. Lee uśmiechnął się w duchu. Pewnie chciał uciec, zanim administrator się opamięta i ciśnie w niego jakąś książką. Co w sumie powinien uczynić.

– Może pan iść – powiedział Perlenmann.

Parsons zniknął, a w ślad za nim wyszli Briggs, Xi i Cabral. Mały Brazylijczyk wciąż miał oko na Parsonsa i trzymał dłoń na kaburze. Iseult spojrzała znacząco na Lee i też wyszła.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Lee pokręcił głową.

– Brawo, panie Perlenmann. To był pokaz prawdziwego dowodzenia.

– Chyba nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć – odparł administrator, a jego uśmiech trochę przygasł.

– Wie pan świetnie. Przejrzał mnie pan na tyle, by kontrolować mnie niczym marionetkę, chociaż niczego nie podejrzewałem. Tyle że przy

okazji naruszył pan prawo. I to pana ostatecznie zdradziło.

– Co takiego przeoczyłem?

– To nie było przeoczenie. Po prostu nie miał pan wyboru. Chodzi o skaner, panie Perlenmann. To pan go uszkodził.

– A dlaczego miałbym to robić? – spytał administrator z szerokim uśmiechem.

Lee wskazał na zarzucone tomami biurko.

– Częściowo przez nie. Ziemska cenzura nie pozwala obecnie na rozpowszechnianie wielu z nich.

Perlenmann wzruszył ramionami.

– Chyba nie rozumiem. Po co miałbym skanować książki, które już mam? I które są obecne w bibliotekach wielu Górników.

– Nie chodzi panu o czytelnictwo Górników, panie Perlenmann. Martwi się pan o Zewnętrznych, zwłaszcza z tych pokoleń, które dopiero nadejdą, urodzone na zasiedlonych przez ludzi planetach. Nie będą miały szansy poznać wagi swojego dziedzictwa, jego innowacyjności, wyobraźni przodków, ponieważ to ziemscy cenzorzy decydują, co powinno znaleźć się w zasobach informatycznych wyruszających stąd statków kolonizacyjnych. Uznał pan, że jedynym sposobem na obejście tych nakazów będzie stworzenie własnych zasobów nieocenzurowanych tekstów. Ale stary skaner niezbyt się do tego nadawał. Był zbyt wolny. Potrzebował pan urządzenia, które w mgnieniu oka zaczyta stronę książki. Ich zapisy są zapewne ukrywane pod fałszywymi nazwami plików albo w katalogach z jakimiś rutynowymi danymi.

– Lepiej – odparł Perlenmann. – Zostały skompresowane wraz z zapasowymi kopiami oprogramowania nawigacyjnego. Zewnętrzni przez kilka lat podróży nie będą nawet podejrzewać ich istnienia. Dowiedzą się

o wszystkim w chwili, gdy archiwa rozpakują się w wyznaczonym czasie. Zatem odkrył pan moją przebrzydłą zbrodnię. Znalazłem się na pańskiej łasce.

– Proszę sobie nie żartować, ponieważ jeszcze nie skończyłem – powiedział Lee. – Widzi pan, zrozumienie, że to pan uszkodził skaner, pomogło mi rozwikłać kolejną tajemnicę związaną z porwaniem *Fragrant Blossom*.

Perlenmann aż uniósł brwi.

– Więc uważa pan, że piraci szukali właśnie skanera? Nie wiedziałem, że są obecnie aż tak wysoko cenionym towarem.

– Po prawdzie tylko pan wiedział, ile naprawdę był on wart. Piraci nie mieli o tym pojęcia. Ale nie ma co dłużej ich tak nazywać. To byli najemni mordercy wysłani, by odzyskać coś, czego nie zdołali odnaleźć. I to coś było ukryte właśnie w pana skanerze. – Lee wskazał na urządzenie.

Perlenmann przestał się uśmiechać.

– Powiadają, że wielką zbrodnię najlepiej ukryć w mniejszej – powiedział porucznik, w powolnym rytmie stukając palcem w skaner. – I to właśnie pan zrobił. Jasne, sam skaner też był potrzebny i gdyby coś wykryto, mógłby pan uśmiechnąć się niewinnie i sprawy by nie było. Nikt jednak nie wpadł na pomysł, by przyjrzeć się nowemu skanerowi bezpieczeństwa, który był w gruncie rzeczy przekaźnikiem danych. Oczywiście zamierzał go pan wykorzystać także do skanowania książek, ale chodziło przede wszystkim o informacje ukryte w zakodowanych „obrazach testowych” w jego pamięci. O ile się nie mylę, to ich właśnie szukali zabójcy na liniowcu. To dlatego nie wzięli zakładników i nie ukradli statku. Pozwolili mu dryfować i przetrząsali pokłady w poszukiwaniu tych danych. I to dlatego w pobliżu Kleopatry czekał na nich szybki i uzbrojony statek. Miał upewnić się, że informacje zostały odzyskane, wypytać

porywaczy i potem zapewne ich zlikwidować. My zaś owszem, znaleźliśmy w skanerze bogaty zasób obrazów testowych. Przegraliśmy je, ale same w sobie nic nam nie mówiły. Gdybyśmy znali klucz ich kodowania, wówczas zapewne zdołalibyśmy zrozumieć, dlaczego dla kogoś były aż tak cenne, że wysłał zabójców w celu ich odzyskania. I dlaczego pan aż tyle ryzykował.

– Ciekaw jestem, poruczniku, co nasunęło panu wniosek, że to właśnie ja miałem być odbiorcą tych tajemniczych danych?

Lee wzruszył ramionami.

– W ramach śledztwa sprawdziłem też zapis pańskich działań służbowych. Cofnąłem się do poprzednich rejsów *Fragrant Blossom*. Wtedy z rzadka nawiązywał pan z nim kontakt. Jednak tym razem, ledwie opuścił Marsa, zaraz wysłał pan pierwszą wiadomość. Oczywiście znał pan kapitana i mieliście sporo do pogadania, co było dla pana szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Dla nas też, bo gdyby nie pana zaniepokojenie utratą kontaktu, minęłoby trochę czasu, nim ktokolwiek zainteresowałby się losem liniowca.

– Te częste seanse łączności to nie był skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, poruczniku – powiedział administrator. – Chcieliśmy zniechęcić w ten sposób zabójców do działania. Obawialiśmy się, że mogli już być na pokładzie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Lee.

– Mimo braku ostatecznych dowodów kapitan statku miał pewne podejrzenia co do pasażerów, którzy kupili bilety na krótko przed odlotem. Doszło też do paru nagłych podmian w składzie załogi. Podzielił się ze mną tymi obawami i dlatego całkiem jawnie urządzaliśmy możliwie częste seanse łączności. W ich trakcie wspomnieliśmy nawet kilka razy o obecności pana kutra w okolicy, podobnie jak i o rejsie siostrzanej

jednostki, *Revered Timberland*, lecącej na trochę podobnym kursie. Niestety, nie doceniliśmy determinacji przeciwników.

– Niech pan się nie oskarża – powiedział ze współczuciem Lee. – Ci zabójcy gotowi byli na wszystko, żeby tylko zrealizować plan.

Perlenmann pokiwał głową.

– Nie wie pan nawet, jak trafna jest pańska uwaga, poruczniku. Dwa dni przed atakiem *Revered Timberland*, czy też *Ravenous Tiburon*, jak mawiają niektórzy, odebrał prośbę o pomoc medyczną wysłaną z małej, tymczasowej kopalni gdzieś w Pasie.

– I co z tego? Cały czas odbieramy takie wezwania.

– Ale nie z placówek, które nie istnieją. Niemniej ktoś włożył sporo pracy w uwiarygodnienie tego oszustwa. Sygnał miał nawet aktualny symbol autoryzacji Patrolu. A gdy *Tiburon* zmienił kurs, w okolicy został tylko pański kuter.

– Co pan sugeruje? – spytał Lee, czując zimny dreszcz na grzbiecie.

Perlenmann złożył dłonie.

– To chyba oczywiste. Jednostka znajdująca się najbliżej *Fragrant Blossom* dwa dni przed napaścią została skierowana gdzieś daleko. I kto pozostał? Samotny kuter z młodym dowódcą bez doświadczenia bojowego, za to z wątpliwym politycznie pochodzeniem. Ktoś, kto według raportów aż za dobrze dogadywał się ze swoją załogą. Wiedział pan, że pozytywne opinie, wystawiane panu przez podwładnych, mocno niepokoiły pańskich przełożonych?

Lee przełknął ciężko ślinę. Tego nie wiedział, ale słowa administratora miały sens. Zwłaszcza w obliczu tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni. Z perspektywy Unii Ziemskiej sytuacja, kiedy załoga Górniaków

zaczyna ufać swojemu ziemskiemu dowódcy, mogła być zapowiedzią kłopotów.

– Pańskie sugestie są... mało budujące – powiedział.

– Siłą rzeczy.

– Wynikałoby z nich, że autorzy wiadomości przeznaczonej dla *Tiburona* mają kogoś w Patrołu. Dzięki temu wiedzieli też wiele o nas i dlatego właśnie nie zmienili planu. Uważali, że znajdą się zbyt daleko, byśmy zdołali cokolwiek wykryć albo wpadli na nich przypadkiem, o ile *Blossom* nie zdąży wysłać wezwania o pomoc, oni zaś zachowają ciszę. I dlatego też byli przygotowani na wszystkie typowe próby wejścia na pokład. Ktoś powiedział im dokładnie, czego mogli oczekiwać. Ale z drugiej strony, nigdy byśmy ich nie znaleźli, i w ogóle o niczym byśmy nie wiedzieli, gdyby nie pan – dodał, spoglądając znacząco na administratora. – Nikt z autorów spisku nie mógł przewidzieć, że skontaktuje się pan ze mną bezpośrednio. Oraz że będzie pan cokolwiek podejrzewał i znał jeszcze do tego moją pozycję, by wycelować w kuter łączem laserowym. – Lee pokręcił głową. – Już wtedy powinienem zwrócić uwagę, że coś tu nie gra. Skoro miał pan tak dokładny zamiar, musiał śledzić nas pan wcześniej. Tak samo jak źli chłopcy.

Perlenmann przytaknął.

– I sam pan rozumie, co z tego wszystkiego wynika, jak sądzę.

– Chodzi o to, że jest pan zapewne członkiem jakiejś większej organizacji? To oczywiste, ale co to za grupa? I po czyjej jest stronie?

– Ta organizacja nie wspiera żadnej frakcji. Troszczymy się o dobro całego Układu Słonecznego. Jeśli ma być zdrowy, wszyscy muszą cieszyć się w nim takim samym zakresem swobód. Najważniejsze zaś wśród nich to prawo do czytania, pisania i wypowiedania tego, co ktoś uważa w danej

chwili za właściwe. Bez tego inne swobody nie tyle tracą na znaczeniu, ile w ogóle są bezużyteczne.

Lee uśmiechnął się krzywo.

– Zaczyna pan przemawiać jak moi rodzice.

– Nie było to moją intencją, ale chyba nie powinienem być zaskoczony.

Lee usiadł wygodniej i pomyślał, że pierwszy raz od wielu lat zdarzyła mu się rozmowa, której wyniku nie mógł być pewien. I naprawdę nie wiedział, dokąd go ona zaprowadzi.

– Co więc było w skanerze? Wasze tajne plany czy plany waszych nieprzyjaciół?

– Jedne i drugie, niestety – odparł Perlenmann z westchnieniem. – Chociaż nie tak miało być. Nasze miały być ostatnią taką przesyłką przewożoną przez *Blossom* i same w sobie nie zwróciłyby niczyjej uwagi. Los jednak sprawił, że doszła jeszcze jedna partia danych, dotyczących tajnej operacji przygotowywanej przez Zielonych.

– Dobrze, zatem po kolei. Jakiej tajnej operacji Zielonych?

– Mającej zneutralizować za jednym zamachem zarówno nadmierną pewność siebie Górniaków, jak i polityczną przewagę uzyskaną ostatnio przez Neoluddystów. Plan genialny w swojej prostocie. Otrzymał kryptonim „Przypadek czerwony”.

– A jak te dane znalazły się na liniowcu?

– Jeden z naszych agentów na nie trafił. Całkiem niespodziewanie, zapewne wręcz przypadkiem. I musiał przesłać je gdzieś poza obszar działania aparatu bezpieczeństwa Zielonych.

– Nie sił bezpieczeństwa Unii Ziemskiej?

Perlenmann pokręcił głową.

– Nie. Zieloni nie mogli zlecić tej sprawy oficjalnym agendom Unii Ziemskiej. Gdyby to zrobili i operacja by się udała, ktoś zajrzyłby przecież do środka i wyszłoby na jaw, że Zieloni zamierzają wysadzić swoich politycznych sojuszników z siodła.

– Zatem Zieloni mają własny aparat bezpieczeństwa. I to pewnie on stał za porwaniem, pojawieniem się tego dziwnego statku i wezwaniem wysłanym *Tiburonowi*.

– Bez wątplenia. Wszystko po to, by ukryć dwulicowe zamiary zarówno przed Górniami, jak i Neoluddystami. Gdy więc nasi dowiedzieli się o istnieniu „Przypadku czerwonego”, zapewne musieli działać tak szybko, jak tylko było to możliwe.

– Przekazali więc dane kapitanowi *Fragrant Blossom*.

– Tak. Przy czym Zieloni musieli wiedzieć, że był on jakoś związany z naszą organizacją, chociaż nie znali jego roli. Był zaś tylko kurierem, dostarczającym od jakiegoś czasu tajne dokumenty na Kallisto. Stało się więc tak, że nagle musieliśmy wpakować wszystkie jajka do jednego koszyka na jego liniowcu.

– I chociaż Zieloni wytropili, dokąd trafiły dokumenty, nie mogli nic zrobić, jak długo *Blossom* nie znalazł się w próżni i na kursie – skomentował Lee.

– Zgadza się. Umieścili więc na pokładzie dwóch agentów i grupkę najemnych zbirów. Agenci zjawili się jako nowi członkowie załogi, bandyci jako pasażerowie. Kapitan podejrzewał ich, ale miał związane ręce. Wszyscy posiadali mocne papiery, dostarczone przez Zielonych. To oni kontrolują wszystkie bazy danych osobowych.

Lee wszystko to doskonale zgadzało się z tym, co ujrzał na pokładzie liniowca.

– Ich ludzie poczekali, aż liniowiec znalazł się w głębokiej próżni, opanowali go, po czym przesłuchali załogę i resztę pasażerów, szukając planów „Przypadku czerwonego”. Gdy nic nie uzyskali, zamordowali wszystkich i wzięli się do poszukiwań na własną rękę. Możliwe, że koordynator Mann odwodził nas od głębszego badania sprawy, ponieważ sam jest agentem Zielonych. Mógł być nawet tą osobą, która zorganizowała porwanie.

– Trudno o pewność, ale miał taką możliwość i wystarczający zakres władzy.

Lee powiódł wzrokiem po stojących dookoła książkach.

– A teraz wracając do waszych tajnych dokumentów; czego one dotyczą?

Perlenmann założył ręce na piersi.

– To fragment kodu, ostatni z całego szeregu fragmentów kodu zbyt istotnego, by przesyłać go na Kallisto w jakikolwiek inny sposób.

– Dlaczego jest on aż tak istotny?

– Zna pan taki termin informatyczny jak „tylne wejście”, poruczniku?

– Jasne. To kod dopisany do programu, zwykle jakiegoś systemu operacyjnego, który daje autorowi możliwość skrytego uzyskania kontroli nad systemem albo obejścia oficjalnych zabezpieczeń.

– Właśnie. Od niemal pięciu lat kompletowaliśmy taki właśnie kod.

– Który otwiera tylne wejście do...?

– Do oprogramowania zarządzania rynkami finansowymi w Unii Ziemskiej.

Lee spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Jak udało wam się zdobyć coś takiego? Przecież to powinno być nieosiągalne.

– I jest. Nawet dla Zielonych.

– Proszę przestać mówić zagadkami, panie Perlenmann.

– Ale to czysta prawda. Zieloni nie wiedzą nawet o istnieniu tego tylnego wejścia. Bo widzi pan, kilka dekad przed ekonomiczną zapaścią w dwudziestym pierwszym wieku informatycy odpowiedzialni za oprogramowanie finansowe używane na większości rynków zrozumieli, że przyjdzie taki dzień, kiedy światowi przywódcy zechcą podjąć interwencję w celu uniknięcia globalnego krachu finansowego. Dodali więc tylne wejścia do wszystkich wypuszczanych programów.

– I zabezpieczenia tych programów ani pisnęły?

– Nie miały prawa. Kod został ukryty w segmentach odpowiedzialnych za zabezpieczenie oprogramowania.

– Aha – mruknął Lee, który coraz mniej z tego rozumiał.

– Gdy pokolenie później doszło w końcu do tej zapaści, kody uruchamiające drzwi zostały już w większości zapomniane, a reszta informacji o nich niemal przepadła w późniejszym chaosie. I w zasadzie to byłby koniec całej historii, gdyby nie kilka krajów, głównie europejskich, które zdecydowały się na nacjonalizację zobowiązań i awaryjne przejście na gospodarkę planową. One pozostały na tyle stabilne, że mogły handlować między sobą. Z czasem pozwoliło to na odrodzenie globalnego rynku, tyle że teraz już pod kontrolą Zielonych. Zrodzona w międzyczasie fobia na punkcie dobrodziejstw techniki sprawiła dodatkowo, że nikt nie miał ochoty inwestować w rozwój nowego oprogramowania integrującego przepływ informacji między rynkami finansowymi. Wykorzystano więc stary software, zainstalowany na nowych maszynach, zbudowanych na wzór tych dawnych.

Lee zachichotał.

– I nadal tego używają? Programów sprzed niemal dwustu lat?

Perlenmann wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? One ciągle działają, a zastąpienie ich czymś nowoczesnym oznaczałoby olbrzymie nakłady, na które Neoluddyci po prostu nie pozwolą, zwłaszcza że wielu z nich w ogóle nie rozumie roli pieniądza. Te programy zostały oczywiście zmodyfikowane, ale zasadnicza część kodu jest wciąż ta sama. I tylne drzwi czekają, aż ktoś do nich zapuka.

– I wasza organizacja trafiła na klucz do nich? W jaki sposób?

Perlenmann uśmiechnął się niczym wąż planujący kampanię reklamową owoców, zwłaszcza jabłek.

– Ten kod nigdy nie przepadł tak całkiem, chociaż mało kto rozumiał, co on naprawdę daje. Gdy Zieloni doszli do władzy, wiedza na ten temat uległa rozproszeniu. Przez cztery pokolenia nie było sposobności ani istotnej potrzeby, żeby go użyć. Aż do niedawna wydawało się, że ludzkość z czasem stanie na nogi, Zieloni stracą na znaczeniu i wróci jakaś równowaga między troską o ekologię a rozwojem technicznym i nawet opór Neoluddystów tego nie zmieni. Jednak potem zaczęły docierać do nas fragmentaryczne meldunki o nowym planie Zielonych. W jego nazwie przywołali czerwień, ponieważ zacząć ma się on od zdławienia tak zwanej „rewolty ludowej” na Marsie. Potem przewiduje pozbawienie jakiegokolwiek autonomii także innych ludzkich skupisk Górników, którzy zdołali jednak uzyskać przez ostatnie stulecie trochę swobody. To ma być jak cofnięcie ich wszystkich o cały ten wiek. Dodatkowo zmiana ma wyglądać na pomysł Neoluddystów.

– Zaczęliście więc zbierać te rozproszone okruchy, żeby rozbić struktury finansowe Unii Ziemskiej, zanim ponownie zdoła podporządkować sobie Górników.

– Tak. Ale nie robimy tego tylko dla Górniaków. Próbujemy uratować także Ziemię.

– Jak zniszczenie ziemskich rynków może ją uratować?

Perlenmann udał zdziwienie.

– Myślałem, że studiował pan historię, poruczniku?

– Owszem. I uważam, że to, co planujecie, będzie miało równie dotkliwy skutek jak wielki kryzys w dwudziestym wieku albo nawet załamanie systemów monetarnych w dwudziestym pierwszym, które wyniosło ostatecznie Zielonych do władzy.

– Zgadza się. Ale czy w historii ludzkości nie było żadnych większych kataklizmów?

Lee wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że były. Upadek Imperium Rzymskiego doprowadził do średniowiecza. Wieków upadku i trwania w przekonaniu, że ludzkość zawsze już będzie cieniem dawnej siebie i nigdy nie odzyska tego, co utraciła.

– O, właśnie. A teraz, co było bardziej dotkliwe, upadek Rzymu czy kryzysy ekonomiczne dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku?

– Trudno je w ogóle porównywać – odparł zaskoczony Lee. – Kryzys rynków oznacza dysfunkcję jednego tylko elementu większego, zintegrowanego systemu. – W końcu zaczął dostrzegać, ku czemu zmierzał administrator. – Nie powoduje całkowitego załamania ładu społecznego, bo chociaż może być dotkliwy, nie oznacza awarii systemu. Wprowadza się konieczne poprawki i system znowu jest wydajny.

– Właśnie. Oczywiście ci, którym dane jest poczuć to na własnej skórze, zwykle widzą sprawy trochę inaczej. Jednak możemy być pewni, że mieszkańcy Europy koło roku 500 znaleźli się w znacznie gorszej sytuacji,

gdy cały ich świat popadł w ruinę przed nastaniem długiej i beznadziejnej nocy.

Lee pokiwał głową.

– Kurs obrany przez Zielonych wiedzie do czegoś bardzo podobnego. Zmieszenie całej opozycji będzie oznaczać zanik innowacyjności i stagnację ekonomiczną oraz kulturalną, a następnie zapaść cywilizacyjną.

– Załóżmy nawet, że Zieloni nie wprowadzą swego planu w życie – powiedział Perlenmann. – Jeśli Unia Ziemska będzie podążać tym samym kursem przez kolejne stulecie, co najpewniej nastąpi?

Lee odchrząknął. Dziwnie zaschło mu w gardle.

– To samo. Stagnacja i załamanie. Wielki kryzys, średniowiecze i upadek Rzymu w jednym. W konsekwencji zapanuje anarchia, zdziczenie obyczajów, powrót barbarzyństwa.

– Straszna perspektywa, na dodatek nieunikniona i trudna do odwrócenia. Podobnie jak w Rzymie, system jest na tyle potężny, że przy obecnej bezwładności nie zatrzyma się w jednej chwili. Będzie upadać po tysiącokroć w wielu miejscach jednocześnie, aż w końcu się rozsypie.

Lee spojrzał na niego ostro.

– Mam więc uwierzyć, że niszczycielskie wykorzystanie tych tylnych drzwi będzie w gruncie rzeczy aktem miłosierdzia?

– Jak najbardziej, chociaż może wydawać się to dziwne. Wielkie załamanie rynków zabije tysiące ludzi i przyniesie sporo złego. Nie będzie jednak upadkiem cywilizacyjnym, który w przeciwnym razie nadejdzie za pięćdziesiąt do stu lat i cofnie nas do czasów barbarzyństwa. Chyba że zaczyna pan powątpiewać we własne wnioski, poruczniku?

Lee pokręcił głową i zastanowił się chwilę.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego tutaj właśnie odtwarzacie ten kod. Kallisto to Ultima Thule, kresy imperium. Statki dolatują tu tylko cztery razy w roku, a wizyty jednostek Patrolu Celnego są tak rzadkie, że każda przechodzi do legendy. Jakie więc miejsce byłoby lepsze, zwłaszcza jeśli zajmuje się tym oficjalny przedstawiciel Unii Ziemskiej, stanowiący całe miejscowe prawo?

Perlenmann przytaknął i przyjrzał się uważnie porucznikowi. Zdawał się na coś czekać. Lee pojął, w czym rzecz.

– A teraz, gdy skończyliście już robotę, oczekujecie, że zaniosę tę maszynę piekielną z powrotem, by wasi ludzie mogli wprowadzić ją we właściwej chwili do systemu i aktywować.

– Nie mogę nalegać. Nawet gdybym mógł panu to rozkazać, też bym nie próbował. Byłoby to proszenie się o klęskę.

– A jeśli odmówię zostania waszym kurierem?

– Może trafi się inna sposobność dostarczenia kodu tam, gdzie będzie potrzebny. Może nie. Ale szczerze mówiąc, czas gra kluczową rolę. Staramy się uprzędzić katastrofę.

– Co pan ma na myśli?

– A to, że Zieloni założą najpewniej, iż ich plan przestał być tajny, i niemal na pewno przyspieszą jego realizację. Pierwotny plan zakładał, że stanie się to za pięć do sześciu lat, ale teraz należy oczekiwać, że mamy dwa, góra trzy lata. Może mniej.

– I nic nie zrobicie?

– Jedyne, co możemy zrobić, to jak najszybsze rozprowadzenie kodu. Co oznacza, że będzie pan musiał niebawem podjąć decyzję, poruczniku. Naprawdę niebawem.

Lee zastanowił się. Podejmując się roli kuriera, popełniłby zdradę stanu. Jeśli po prostu wróci na *Gato* i odleci, nie ujawniając spisku, też dopuści się zdrady. Zgodnie z zasadami powinien niezwłocznie aresztować Perlenmanna.

Z drugiej strony, Unia Ziemiska złamała swoje uroczyste zobowiązania już tyle razy i w na tyle dotkliwy sposób, okazując przy tym tyle pogardy wobec wszystkich, którzy jej służyli, że dotrzymanie własnych zobowiązań mogło uchodzić za sztukę dla sztuki. Niemniej nawet w tej sytuacji złamanie ślubowania było decyzją ważką i może nie należało czynić tego skrycie, tylko wystąpić z otwartą przyłbicą...

– Panie poruczniku, przez lata miałem okazję obserwować wiele ludzkich twarzy i jeśli dobrze się domyślam, zmaga się pan teraz z własnym sumieniem. Może więc wyjaśnię kilka spraw. Jeśli otwarcie wypowie pan teraz służbę, zniweczy pan całą naszą pracę. Taki gest przyciągnie uwagę, a my raczej powinniśmy tego unikać. Przykro mi to mówić, ale potrzebujemy nie tylko pańskiej pomocy, ale także milczenia. Przynajmniej do chwili wprowadzenia danych.

Lee rozważył jego słowa. Tak, to w pewien sposób upraszczało sprawę. Jeśli i tak zamierzał złamać ślubowanie, to lepiej na całego, jako konspirator. Nie jako jawny wróg stanu, ale rzeczywisty zdrajca i szpieg. Przez chwilę pożałował jednak, że zaczął w ogóle wnikać w to, jak naprawdę żyje się Górniakom.

– Obawiam się, że nie ma pan wielkiego wyboru – odezwał się znowu Perlenmann. – Wie pan, jakie są moje przewiny. Albo mnie pan aresztuje, albo w jakiś sposób złamie dane słowo.

Lee usadowił się wygodniej na krześle i spojrzał na książki, a potem na twarz administratora. Widać na niej było cień jego obaw. Potem zerknął na skaner.

– Nawet z tą nową maszynką wprowadzanie tak wielu książek potrwa wieki.

– Nie jest aż tak źle, ale to żmudna robota. Zeskanować, obrócić stronę, zeskanować i tak dalej.

Lee przytaknął i sięgnął po książkę. Była to *Gra szklanych paciorków* Hessego.

– Biorąc pod uwagę, ile ich pan tu ma, chyba przyda się dodatkowa para rąk.

– Tak, nawet bardzo. I to na wiele sposobów. – Administrator podał mu cieńszy tom. *Sztukę wojny* Sun Tzu. – Na bardzo wiele sposobów.



Nagle załamanie się całego systemu finansowego Starej Ziemi, które dokonało się w ciągu niewielu godzin 26 lipca 252 roku PD (2354 roku według starego kalendarza), wyrządziło wielkie szkody wszystkim ziemskim rynkom i systemom ekonomicznym niemal wszystkich krajów. „Ekonomiczna zima”, która nastąpiła potem, doprowadziła w ciągu półtorej doby do upadku ponad jednej trzeciej wielkich korporacji. Wysiłki poczynione dla zatrzymania czy chociaż spowolnienia tempa upadku gospodarczego okazały się bezskuteczne. Już 1 sierpnia było wiadomo, że ponad połowa międzynarodowych korporacji znalazła się w fazie upadku. Stara Ziemia nie doświadczyła nigdy wcześniej tak masowej lawiny bankructw przedsiębiorstw i banków. Wszelkie próby chociaż częściowej reorganizacji struktur ekonomicznych i przywrócenia ładu finansowego spełzły na niczym wobec awarii sieci komputerowych, których oprogramowanie zawodziło wobec skali katastrofy i odrzucało napływające dane.

Głoszone przez partie rządzące twierdzenia, jakoby tragiczny bieg wydarzeń był wynikiem spisku i został świadomie sprowokowany przez „terrorystów”, zostały początkowo przyjęte z niedowierzaniem, później zaś ze złością, jako próba znalezienia kozła ofiarnego, na którego dałoby się rzucić całą odpowiedzialność. Tłumy wyszły na ulice, początkowo w sposób niezorganizowany, wiedzione jedynie wściekłością i desperacją, jednak szybko wyłonili się liderzy. W ciągu kilku tygodni doszło do zawiązania pierwszych Komitetów Odrodzenia w Ameryce Północnej. W ciągu miesięcy sytuacja niedawnych przywódców Zielonych i Neoluddystów, tworzących koalicję GRASP, zmieniła się na tyle, że musieli zacząć walczyć o przeżycie. Plany niedawnych elit, by schronić się w habitatach orbitalnych Starej Ziemi, nie doczekały się realizacji. Oficerowie Patrołu Celnego, których skierowano do wsparcia działań policji Unii Ziemskiej przeciwko uzbrojonym zwolennikom tworzonych coraz powszechniej komitetów, masowo odmawiali wykonania rozkazów albo zostawali pozbawieni dowództwa przez własne załogi. Społeczności Górniaków, od Marsa po Kallisto, zadeklarowały wsparcie dla rewolucji. Po trzech tygodniach zażartych walk również Luna wraz ze swoimi habitatami przyłączyła się do opozycji.

W styczniu 253 roku PD Unia Ziemska praktycznie już nie istniała. Dawne państwa, które nigdy nie zostały w pełni zlikwidowane, ogłaszały kolejno niepodległość, a żyjący jeszcze przywódcy Zielonych i Neoluddystów nie sprawowali już żadnej realnej władzy. Skierowany przeciwko nim gniew rozpalał się coraz mocniej, w miarę jak obywatele Ziemi zdawali sobie sprawę ze stagnacji, w której przyszło im tkwić za sprawą panującej ideologii. Wielu z tych przywódców musiało się ukrywać albo, jak na ironię, zostało zmuszonych do emigracji na pokładach statków

kolonizacyjnych, które w 257 roku PD zaczęły być ponownie wyprawiane w drogę.

Ekonomiczna Zima spowodowała niewyobrażalne cierpienia. Ocenia się, że w ciągu niecałych dwóch tygodni utracono dorobek odpowiadający ponad stuleciu gromadzenia kapitału. Liczba ofiar śmiertelnych nigdy nie została precyzyjnie ustalona, wiadomo jednak, że w skali planety życie straciły setki tysięcy ludzi. Tych, którzy utracili cały dorobek, trudno byłoby nawet policzyć. Niemniej mimo potężnego ciosu, który dotknął Układ Słoneczny, w okresie po zająciach aktywność i kreatywność ludzkości wzrosła niepomniernie. W roku 261 PD globalny system ekonomiczny doszedł już niemal do siebie po Ekonomicznej Zimie. Zaczął się trwający dwa stulecia okres bezprecedensowego rozwoju ekonomicznego, technologicznego i intelektualnego, połączony z ekspansją ludzkości, której odrodzenie nie ograniczyło się tylko do Układu Słonecznego. Wprawdzie gdzieś w dalekiej przyszłości czaił się koszmar ostatecznej wojny (której oczywiście nikt wtedy nie przewidywał), niemniej przez następnych sześć wieków, aż do rozpętania nowego szaleństwa ideologicznego, zapoczątkowanego w polityce podpisaniem deklaracji woroneskiej w 850 roku PD, nadzieje, marzenia i aspiracje rodzaju ludzkiego jaśniały blaskiem dorównującym promieniom samego Słońca.

– Wyjątek z:

Z mroku z powrotem ku gwiazdom:

upadek Neoluddystów.

Doktor Ephraim Bousquet,
Péllisard et Fils, Nouveau Paris,

Haven, 1597 PD

TIMOTHY ZAHN



Do broni

Prolog



Już od najmłodszych lat Jeremiah Llyn cierpiał z powodu swojego niskiego wzrostu.

Nie żeby było bardzo źle. Do średniej planetarnej brakowało mu dziewięciu czy dziesięciu centymetrów, jednak było to dość, by stać się ofiarą różnych żartów w podstawówce i agresywnych zaczepek w szkole średniej. Jako nastolatek musiał znosić bardziej wyrafinowane szykany. Gdy wszedł we wczesną dorosłość, było już trochę lepiej, głównie dzięki cywilizowanym nawykom otoczenia, które nie dokuczało mu wprost. Jednak niski wzrost sprawiał, że gorzej wypadał w oczach przełożonych, którzy pomijali go w awansach, mniejsze miał też szanse na naprawdę lukratywne posady.

Teraz, jako pięćdziesięciolatek, którego życie nauczyło dystansu, uznawał swój wzrost za zaletę, dającą mu nawet niejaką przewagę. Przekonał się, że nawet zasadniczo inteligentni ludzie mieli skłonność do niedoceniań niższych od siebie.

A przy jego obecnej pozycji bywało to często przydatne.

Siedzący po drugiej stronie biurka Cutler Gensonne poprawił się na krześle, błyskając przy tym admirałskimi pagonami, które sam sobie przypisał.

– Ciekawe – powiedział, nie odrywając oczu od tabletu, w którego ekran wpatrywał się od blisko kwadransa.

Llyn odczekał chwilę, ciekaw, czy usłyszy coś więcej. Jednak Gensonne przeszedł na następną stronę. Zmarszczył brwi.

– Ciekawe, w dobrym czy złym sensie? – spytał w końcu Llyn.

– Dobrze na pewno nie jest – mruknął Gensonne. – Wychodzi na to, że w okolicy tego systemu może znajdować się do trzydziestu okrętów wojennych. W tym sześć do dziewięciu krążowników liniowych. Rozumie pan, co to znaczy? – Przechylił lekko głowę. – To potężna siła, panie Llyn.

Llyn uśmiechnął się. Było to stare zagranie najemników, z którym spotkał się już co najmniej dwa razy. Przeceniając potencjalne ryzyko, mieli nadzieję na podbicie stawki wynagrodzenia.

– Musiał pan chyba ominąć sekcje piętnastą i szesnastą – powiedział. – Większość tej grupy stanowią jednostki wycofane z użycia i oczekujące w kolejce do stoczni złomowej. Pozostałe są częściowo rozbrojone albo bez pełnych załóg. Czasem jedno i drugie. Według naszych ocen realna siła nie przekracza ośmiu okrętów, z których jeden ewentualnie może być krążownikiem liniowym.

– Przeczytałem sekcje piętnastą i szesnastą, dziękuję za przypomnienie – odparował Gensonne. – Zauważyłem też, że wspomniane dane pochodzą sprzed ponad piętnastu miesięcy.

– Rozumiem. – Llyn wstał, pochylił się nad biurkiem i wyjął tablet z dłoni rozmówcy. – Najwyraźniej to nie was szukamy, admirale. Powodzenia w przyszłych kontraktach.

– Chwilę – zaprotestował Gensonne, sięgając po tablet. Llyn był na to przygotowany i zgrabnie wymanewrował dłoń tamtego. – Nie powiedziałem, że nie weźmiemy tej roboty.

– Naprawdę? – spytał Llyn. Nadeszła pora, by zagrać trochę według własnych reguł. – Odniosłem wrażenie, jakby sprawa pana przerastała.

– Nie ma takich spraw – powiedział z urazą Gensonne i wstał, jakby zamierzał ścigać Llyn do drzwi, a nawet dalej, żeby ostatecznie odebrać mu tablet. W rzeczywistości Llyn nawet nie ruszył się z fotela. – Zaznaczyłem tylko, że wasz wywiad ma stare dane i każdy dowódca najemników chciałby ich uaktualnienia przed akcją.

– Tylko o to panu chodziło? – spytał z udawanym zdumieniem Llyn. – To dlaczego wspomniał pan o rzekomej sile bojowej przeciwnika...? – Przerwał, by przywołać uśmiech na usta. – A, rozumiem. Próbował pan podbić stawkę.

Llyn wiedział świetnie, że mało kto lubi, gdy wypomina mu się równie niskie pobudki, zwłaszcza wtedy, gdy oskarżenie jest słuszne, jednak Gensonne nawet nie drgnął. Wyraźnie chciał uchodzić za twardziela, który nigdy nie przeprosza i niczego nie żałuje. Pasowało to do dossier tego człowieka, które przejrzał przed spotkaniem.

– Oczywiście – odparł w końcu. – Ale zależy mi też na świeższych informacjach. – Skinął w stronę tabletu. – Możemy tym się zająć, pytanie tylko, o co tu chodzi?

– Dobre pytanie – stwierdził Llyn, który nie miał najmniejszego zamiaru wprowadzać dowódcy najemników w wewnętrzne sprawy i plany Axelrod Corporation. – Wybacz pan, ale na nie nie odpowiem.

Gensonne przymrużył lekko powieki i Llyn sądził przez chwilę, że tamten znowu spróbuje jakichś sztuczek, ale nie.

– To jasne postawienie sprawy – powiedział spokojnie i wzruszył ramionami. – Ostatecznie szuka pan najemników, nie inwestorów.

– Właśnie – zgodził się Llyn, a jego ocena admirała znacząco wzrosła. Gensonne wiedział, jak rozgrywać takie rozmowy, ale znał też granice,

poza które nie należało wychodzić. – Jak więc będzie? Mogę uznać, że Volsung bierze tę robotę, czy mam szukać dalej?

Gensonne parsknął cichym śmiechem.

– Volsung Mercenaries podejmuje się wykonania tej pracy, panie Llyn. Usiądźmy i porozmawiajmy o pieniądzach.

I



Panie Long? – rozległo się na korytarzu HMS *Phoenix*. – Sir?

Porucznik Travis Uriah Long zatrzymał się niechętnie i swoim zwyczajem odetchnął głęboko dla uspokojenia. Starszy bosman Lorelei Osterman z działu ogniowego była utrapieniem okrętu, i to pomimo faktu, że walka o status najbardziej upierdliwej osoby na pokładzie była tu całkiem popularną rozrywką.

– Tak, pani bosman? – odpowiedział, ściskając dłonią jeden z uchwyty ścienne i zawisając nad podłogą.

Osterman była jakieś dwadzieścia metrów od niego i zbliżała się, przeskakując od uchwytu do uchwytu i starając się przy tym uniknąć zderzeń w ciasnej przestrzeni z innymi członkami załogi, którzy nie zawsze dobrze radzili sobie w stanie nieważkości. Ci nowi wciąż obijali się o ściany, ale weterani w rodzaju Osterman poruszali się szybko i sprawnie.

Niemniej w tej chwili najwyraźniej nie zależało jej na szybkości. Zdawała się wręcz starać poruszać jak najwolniej. Travis czekał cierpliwie, walcząc z chęcią ostrej reakcji, ale też był kiedyś po tamtej stronie i pamiętał, jak paskudnie można się poczuć, gdy oficer wpadnie na pomysł zrugania kogoś młodszego stopniem.

Ostatecznie Osterman dotarła do niego cała zadowolona.

– Chciałam tylko przekazać, sir, że kapitan Castillo życzy sobie pana widzieć – powiedziała tonem, któremu brakowało nieco do służbowego.

Travis zmarszczył brwi i spojrzał na komunikator. Tak, był włączony.

– Nie dostałem żadnego wezwania.

– To dlatego, że kapitan nie wie jeszcze, że jest pan na pokładzie – odparła spokojnie. – Ale zapewniam, że niebawem się dowie.

Zatem nawet jej dział usłyszał już swoje.

– Chorąży Locatelli już zgłosił się do raportu – odparł Travis zdecydowanym głosem. A przynajmniej takim właśnie starał się odezwać, bo sam czuł, że mimowolnie przeszedł w tym momencie do obrony. Osterman też musiała być tego świadoma.

– To był jeden z trzech niezależnych sensorów śledzenia – przypomniała mu. Następna wachta zauważyłaby to od razu po uruchomieniu procedury diagnostycznej.

– Czyli dopiero po dwóch godzinach – odparował Travis. – A co by się stało, gdyby właśnie wtedy trzeba było otworzyć ogień?

– Do...? – spytała Osterman, unosząc brwi.

– Dowolnego celu wskazanego przez kapitana Castillo.

Osterman skrzywiła się kwaśno. Był to bardzo nieprzyjemny widok. Jednak trudno było się jej dziwić.

Rzecz w tym, że *Phoenix* nie miał po prostu do czego strzelać. W okolicy od dawna nie było żadnych najeźdźców czy innych wrogów, nawet wewnętrznych. Ostatni cel, który wszedł komukolwiek pod wyrzutnie, zniknął w gwiazdnym pyłe blisko stulecie temu.

Co jednak stanowiło kwestię drugorzędną, by nie rzecz nieistotną. Wszyscy noszący mundur Royal Manticoran Navy powinni być zawsze gotowi do wypełniania swoich obowiązków.

– Myśli pan, że nigdy się nie myli, sir? – spytała uprzejmym tonem.

– Nie, oczywiście nie, ale...

Przerwał, słysząc brzęczenie komunikatora. Włączył go i uniósł do ust.

– Long – rzucił w mikrofon.

– Bajek – rozległ się głos jego bezpośredniej przełożonej. – Melduj się zaraz w dziennej kabinie kapitana.

– Aye, aye, ma'am – odparł Travis i przełknął ciężko ślinę.

– Komandor Bajek? – spytała Osterman, nie spodziewając się innej odpowiedzi.

– Tak – mruknął kwaśno Travis. Czy ta cholerna bosman zawsze musiała mieć rację? – Dziękuję za rozmowę, pani bosman.

– Na układy nie ma rady, poruczniku – rzuciła mu, gdy już się oddalał, i Trávisa prawie krew zalała. Zawsze słyszał o tych układach i o tym, że musi nauczyć się z nimi żyć. Bo niby ciągle jeszcze nie znał życia. I nieważne było, co działo się poza tym. Jak życie naprawdę się toczyło. Liczyła się tylko gra, dobra czy zła, czysta czy brudna. Gra była wszystkim.

Za cholerę nie miał ochoty na przyjęcie jej reguł.

Jazda wyciągiem w centralnym szybie *Phoeniksa* była jak zwykle mało przyjemna. Raptowna zmiana efektywnego ciężenia zawsze obijała się nieprzyjemnie na jego uchu wewnętrznym. Przez całą drogę starał się patrzeć prosto przed siebie i klął przy tym w duchu na prawa fizyki i fizyków, którzy panowali nad silnymi polami grawitacyjnymi i potrafili zaprojektować moduły niwelujące przyspieszenie rzędu dwustu g, ale dopiero teraz zaczynali dochodzić do wiedzy, jak uzyskać normalne ziemskie ciężenie na pokładzie jednostki kosmicznej. Obecne rozwiązanie, czyli lokowanie kwater w obrotowych sekcjach kadłuba, było lepsze niż nic, gdyż pozwalało na spędzanie czasu i sen przy ciężeniu o wartości połowy g, ale przemieszczając się na stanowiska bojowe, człowiek upodabniał się do ryby, co zawsze wiązało się z niemiłymi sensacjami.

Porucznik komandor Bajek, oficer uzbrojenia okrętu, czekała już na niego w gabinecie kapitana.

– Proszę wejść, poruczniku – powiedział Castillo, widząc Trvisa. – Rozumiem, że zamierza pan zgłosić porucznika Locatello do raportu – dodał zaraz oficjalnym tonem.

Travis otwierał już usta, gdy dotarło do niego znaczenie słów kapitana. Nie, nie zamierzał tego zrobić. On już to zrobił. Albo przynajmniej tak mu się wydawało.

– Tak, sir – odpowiedział. – Czy to jakiś problem?

Przez chwilę wydawało mu się, że przesadził. Kapitan nie zareagował, ale Bajek poruszyła się niespokojnie, a rzadko zdarzało jej się okazywać niepokój.

– Zakładam, iż wie pan, że wujem porucznika Locatello jest admirał Carlton Locatelli – powiedział kapitan i nie było to wcale pytanie.

– Tak, sir, wiem – odparł Travis i przez chwilę zastanawiał się nawet, co to pokrewieństwo może mieć do przestrzegania procedur, ale wolał się nie odzywać. Miał wrażenie, że i tak narobił sobie kłopotów. I miał rację.

– W rodzinie admirała Locatello istnieje długa tradycja służby w Royal Manticoran Navy – rzekł Castillo takim tonem, jakby czytał hasło w encyklopedii. – W tym pokoleniu reprezentantem rodu jest właśnie porucznik Locatelli. Admirał bardzo liczy na to, że dorówna on swoim poprzednikom. – Castillo uniósł brwi w niemal identycznym geście, co kilka chwil wcześniej Osterman. – Czy muszę mówić więcej, poruczniku?

Travis zaczerpnął głęboko powietrza. Nie, takich spraw nie trzeba było nikomu w RMN tłumaczyć.

– Nie, sir.

– W parlamencie coraz częściej słychać głosy namawiające do dalszego zmniejszenia nakładów na flotę – powiedział Castillo, który mimo zapewnienia Trávisa miał widać ochotę na mały wykład. – Osoby takie jak admirał Locatelli i jego rodzina oraz ich zwolennicy bronią naszych miejsc pracy. Również pańskiego miejsca pracy, poruczniku.

Co jest diabła warte, pomyślał Long, skoro na skutek protekcji tych samych ludzi w szeregach pozostawały osoby niezdolne do wykonywania swoich obowiązków. Albo niemające na to ochoty.

– Rozumiem, sir.

– Dobrze – stwierdził Castillo. – Nie chciałbym przerywać pana obiecującej kariery. – Zamilkł na chwilę i zacisnął usta. – I proszę pamiętać, że są jeszcze inne sposoby, żeby radzić sobie z niekompetencją czy brakiem obowiązkowości podwładnych. Takie, które nie zostawiają śladów w oficjalnych aktach. Może dobrze byłoby, gdyby postarał się je pan opanować.

– Tak, sir – odparł Travis. Doskonale znał te metody. Czasem działały, czasem niekoniecznie.

– Dobrze – powtórzył Castillo i spojrzał na Bajek. – Porucznik jest wciąż na służbie?

– Tak, sir – stwierdziła Bajek, nie odrywając spojrzenia od Trávisa. Castillo skinął głową.

– Proszę wracać na stanowisko, poruczniku. Odmaszerować.

Reszta wachty minęła w napiętej atmosferze, ale w sumie nie było tak źle, jak Travis mógł się obawiać. Nikt z jego działu nie próbował się nawet odzywać, chociaż czasem szeptali coś po kątach. Sam Locatelli schodził mu z oczu. Porucznik przypomniał sobie powiedzenie, by „nie przypisywać

złośliwości temu, co mogło być skutkiem zwykłej głupoty”. Możliwe, że Locatelli nie był arogancki, ale po prostu wolno się uczył.

Travis miał nadzieję, że w grę wchodzi ta druga opcja. Powolność można było skorygować przy odpowiedniej dozie cierpliwości, no i jeśli miało się na to czas. Arogancja wymagała zwykle bata.

Gdy przyszło do kończącej wachnię kontrolni systemów, był w znacznie lepszym nastroju niż wcześniej.

I tak było do chwili, gdy odkrył, że główny czujnik śledzenia celu w module dziobowego działła znów się rozkalibrował.

Może należałoby jednak poszukać tego bata, pomyślał, wracając zmęczonym krokiem do swojej kabiny.



– Frachtowiec *Hosney*, macie zgodę na opuszczenie orbity – odezwał się z głośnika na mostku dyżurny Kontrolni Obszaru Manticore. Głos brzmiał całkiem ciekawie, jak uznał Tash McConnovitch. Z jednej strony wyrażał radość, z drugiej żal. Radość wiązała się z faktem, że goście zaglądali do tego układu średnio dwa razy w miesiącu, solarny frachtowiec stanowił więc miłe urozmaicenie w nudnej pracy kontrolera. Po jego odlocie miał znowu zapanować zwykły marazm, stąd żal.

Cierpliwości, pomyślał McConnovitch. Zatemsknicie jeszcze za tą nudą i rutynowymi dyżurami. Niebawem się wami zajmiemy.

Albo i nie. Ostatnie informacje otrzymane od szpiegów Axelroda sugerowały, że Manticore miało około dziesięciu okrętów wojennych, z czego najwyżej jeden był gotowym do działań zbrojnych krążownikiem liniowym.

Tyle że były to stare dane. Zbyt stare, jak się okazało. Z powodów, które McConnovitch miał dopiero ustalić, Król Edward zainicjował ambitny program powiększenia stanu floty. Jednostki znajdujące się dotąd w rezerwie miały wrócić do aktywnej służby, Akademia zaś otrzymała środki na szkolenie nowych załóg.

Akcja nie została jeszcze zakończona i chociaż RMN wyglądała coraz lepiej na papierze, żadna ze zmodernizowanych jednostek nie osiągnęła jeszcze gotowości bojowej. Nie powinny sprawić Volsungowi większych kłopotów.

Owszem, najemnicy mogli patrzeć na to inaczej, ale to już nie było zmartwienie McConnovitcha. On miał tylko udać się do umówionego układu planetarnego, w którym zbierała się flota najemników, i przekazać im najnowsze dane wywiadowcze. Decyzja o rozpoczęciu działań albo odwołaniu akcji należała już do tego pokurcza Llyna.

– Zeszliśmy z orbity, sir – zameldował sternik. – Kurs wprowadzony.

– I dobrze – mruknął z przekonaniem McConnovitch. Z radością opuszczał ten prowincjonalny układ. – Proszę nie szczędzić przyspieszenia, Hermie. Nie chcę, żeby pan Llyn zbyt długo na nas czekał.



Travis skończył rozszczelnić jeden but i zabrał się do drugiego, gdy Brad Fornier, młody człowiek wylegujący się na górnej koi w ich kabinie, oderwał uwagę od swojego tabletu na tyle, że zauważył w końcu powrót współmieszkańca.

– A, jesteś – rzucił, zerkając znad krawędzi swojego legowiska. – Bajek dała ci powtórkę służby? Czy może zacząłeś już świętować?

– A co mamy świętować? – spytał Travis.

– Nasze nieodległe urlopy, oczywiście – odparł Fornier. – Nie mów mi, że nie masz ochoty na kilka tygodni na dole.

Travis wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od tego, czy sensor działa numer dwa zostanie wyznaczony do wymiany. Jeśli tak, to owszem. Jeśli nie, to tak sobie.

– Hm – mruknął Fornier. – Przynajmniej przestałeś winić za wszystko Locatellego.

Travis skrzywił się. Nie, nie winił młodego podoficera za wadliwe działanie czujników. Przynajmniej nie bezpośrednio.

– Niemniej to on powinien był zauważyć problem i naprawić go albo zameldować o awarii.

– Ilu masz ludzi w swojej sekcji, Travis? – spytał Fornier przemądrzałym tonem.

– Dziewięciu, włącznie ze mną.

– A ilu z nich to protegowani w rodzaju Locatellego?

Travis skrzywił się lekko. Wiedział, co jego współlokator chce udowodnić.

– Może dwóch.

– Może dwóch – powtórzył Fornier. – To powiedzmy, że półtorej osoby. Półtorej z dziewięciu. Skoro ty też nie trafiłeś tutaj dzięki znajomościom i poparciu. To daje siedemnaście procent zipiarzy. Jak się zastanowić, to wcale nie najgorzej.

– Pewnie nie – przyznał Travis, chociaż Fornier zdawał się ignorować fakt, że im wyżej zipiarze się wspinali, tym bardziej byli dokuczliwi i obniżali gotowość bojową floty. A ostatnio ich przybywało. Przy usiłowaniach parlamentu, by obniżyć jak najbardziej nakłady na flotę, wszyscy ci protegowani, marzący o zrobieniu kariery dzięki

„znajomościom i poparciu”, byli w stanie zejść nawet daleko, zanim ktoś przytomny miał szansę odesłać ich niżej.

Może Król Edward jakoś temu zaradzi. Jego nowy program werbunku i szkolenia przynosił coraz lepsze efekty.

Travis widział jednak ileś podobnych akcji, które z latami traciły impet i kończyło się jak zwykle. Nie żywił wielkich nadziei, że teraz będzie inaczej. Earlowie i baronowie nie dadzą się przecież zepchnąć na bok. Nadal będą chcieli załapywać się na ciepłe posadki w wyższych strukturach dowodzenia.

Może był to zresztą normalny los każdych sił zbrojnych w dłuższym okresie pokoju, gdy armia zaczynała być kartą przetargową polityków, a wielu ludzi dochodziło do wniosku, że to całkiem dobre miejsce, by przepędzić wygodnie życie. Być może jedynym, co mogłoby to zmienić, byłaby jakaś wojna.

Pewnie ciekawie byłoby zobaczyć, jak ci oportuniści poradziliby sobie w walce, ale Travis wcale nie pragnął uwikłania Gwiezdnego Królestwa w jakąkolwiek wojnę. W ogóle nikomu tego nie życzył.

– Zaufaj mi, to wcale nie jest zła sytuacja – rzucił Fornier. – I żeby było jasne, ja wcale nie ironizuję.

Travis zgromił go spojrzeniem.

– Tylko nie zaczynaj wykładu.

– Przepraszam – odparł Fornier, nie przestając się jednak uśmiechać. – Ale przy tobie trudno się powstrzymać. A swoją drogą, jak ty się taki uchowałeś?

– To długa historia – rzucił Travis, wracając do swoich butów.

– Dobra, nie musisz mówić – powiedział pojednawczo Fornier. – Ale poważnie, spójrz na to z punktu widzenia kogoś, kto spędził wcześniej dwa

lata w handlu detalicznym. Spróbuj przyjrzeć się wszystkim sklepikarzom, akwizytorom, urzędasom i pomniejszych ważniakom, których spotkasz na dole w ciągu dwóch tygodni urlopu. Jestem pewien, że jest wśród nich znacznie więcej dupków niż tylko siedemnaście procent...

Nagle rozległo się wycie klaksonu. Przed dwie sekundy grzmiał pełną mocą, po czym przycichł na tyle, by dało się słyszeć coś jeszcze.

– Alarm bojowy! – odezwał się komandor Vance Sladek, pierwszy oficer *Phoeniksa*. – Alarm bojowy! Wszyscy na stanowiska!

Fornier zeskoczył z łupnięciem na podłogę, Travis zaś rzucił się do szafki, w której przechowywano skafandry próżniowe. Rzucił jeden Fornierowi i zaczął wbijać się we własny.

– Świetna chwila na ćwiczenia! – warknął Fornier.

– O ile to ćwiczenia – zauważył Travis.

– Sladek nie powiedział, że to naprawdę.

– Ale też nie zaprzeczył. Tak czy siak, obedrze nas żywcem ze skóry, jeśli się spóźnimy. Ruszaj się!

Gdy Travis przybył na swoje stanowisko, czworo z jego ludzi już tam było. Porucznika Locatellogo, jak zaraz zauważył całkiem bez radości, brakowało.

– Diagnostyka? – spytał, wpływając do pozbawionego grawitacji dziobowego przedziału.

– W toku – zameldował chorąży Tomasello. – Drugi moduł śledzenia celu ciągle grymasi.

– Long! – rozległ się w ciasnym wnętrzu głos Bajek. – Poruczniku Long!

– Jestem, ma'am – odezwał się Travis, wyglądając zza szerokiego przewodu chłodziwa.

– Kapitan chce cię widzieć na mostku – rzuciła krótko Bajek. –
Przejmuję stanowisko. Ruszaj.

– Tak, ma’am. – Travis przecisnął się obok niej i podciągając się na
uchwytach, popłynął korytarzem w kierunku mostka. Ścisnęło go
w żołądku. Nie wiedział, o co może chodzić, ale skoro Castillo wezwał go
w takiej chwili, musiał mieć po temu ważny powód.

Jak wszyscy oficerowie na *Phoeniksie*, Travis od samego początku pełnił
regularnie wachty na mostku, nigdy jednak nie przebywał tam w czasie
alarmu bojowego i pierwsze, co go uderzyło, gdy tam wpłynął, był
niezwykły spokój obecnych. Meldunki i rozkazy przekazywano
stanowczymi głosami, ale wszyscy wyraźnie nad sobą panowali. Kapitan
Castillo siedział przypasany na swoim stanowisku i metodycznie przebiegał
spojrzeniem cały szereg wyświetlaczy. Komandor Sladek stał u jego boku,
obaj co chwila wymieniali się komentarzami. Główne ekrany ukazywały
pozycję okrętu, jego kurs i przyspieszenie, jak i status dwóch wyrzutni
pocisków, lasera grzbietowego i trzech baterii defensywnych dział.

Pośrodku głównego ekranu widniała ikona symbolizująca zbliżającego
się przeciwnika.

Był to okręt wojenny, co do tego sygnatura nie pozostawiała
najmniejszych wątpliwości. Poruszał się z przyspieszeniem stu dwudziestu
g, co nie mówiło wiele Travisowi. Praktycznie każda jednostka floty była
w stanie rozwinąć takie przyspieszenie, a większość radziła sobie nawet
lepiej. Dystans wynosił trochę pod czterysta tysięcy kilometrów, co przy
obecnym kursie oznaczało spotkanie za jakieś dwanaście minut.

W pierwszej chwili Travis odetchnął z ulgą. Żadna jednostka nie była
w stanie podejść tak blisko bez wcześniejszego wykrycia przez sensory
Phoeniksa. To rzeczywiście musiały być ćwiczenia.

Ale dlaczego kapitan wezwał go podczas alarmu bojowego na mostek? Czy chciał przetestować umiejętności Bajek w dowodzeniu obsadą działka? To było naprawdę dziwne.

– Analiza, panie Long?

Travis wyprostował się, jakby stawał na baczność. Castillo i Sladek zakończyli cichą rozmowę i obaj spojrzeli na porucznika.

Travis przełknął ciężko ślinę. Czego od niego chcieli?

– To bez wątplenia okręt wojenny, sir – powiedział, starając się ogarnąć spojrzeniem wszystkie ekrany i znaleźć coś sensownego do przekazania. Analiza napływających danych powinna pozwolić już na zidentyfikowanie obcego, ale na wyświetlaczach nie pojawiało się nic nowego. Być może był to skutek kolejnej awarii na pokładzie *Phoenixa*. – Nie wydaje się agresywny – dodał, starając się zyskać na czasie. – Przy przyspieszeniu stu dwudziestu g wykorzystuje zapewne około siedemdziesięciu procent swoich standardowych możliwości.

– Jak dotąd nie odpowiada na nasze wywołania – poinformował Sladek.

– Jak pan by postąpił?

W tej samej chwili pojawił się na ekranie odczyt identyfikacyjny i Travis odetchnął w duchu. Nadciągającą jednostką był krążownik liniowy typu *Triumph*. Dokładnie rzecz biorąc, był to HMS *Invincible*, jednostka flagowa 1. Zespołu Zielonego.

Dodatkowo ulżyło mu, że to naprawdę ćwiczenia, ale chwilę później przypomniał sobie coś jeszcze i nerwowość wróciła.

Zieloną jedyneką dowodził admirał Carlton Locatelli, wuj porucznika Fentona Locatello. Obecnego utrapienia Trávisa.

Który przebywał właśnie na mostku i miał powiedzieć, jak zareagowałyby na symulowany atak przeprowadzany przez admirała.

Co tu się, u diabła, wyrabiało?

– Panie Long? – ponaglił go Castillo.

Travis zmusił się do myślenia, chociaż nie było to łatwe.

– Czy wiemy na pewno, że jest sam? – spytał, patrząc na ekrany. Wszystko sugerowało, że *Invincible* nie miał towarzystwa, ale Travis nie był skłonny tak całkiem ufać odczytom.

– Tak – odparł Sladek. – W zasięgu naszych czujników nie ma nikogo więcej.

– Ślad odpalenia! – rzucił ktoś.

Travis przeniósł spojrzenie na ekran taktyczny. Pojawił się na nim nowy symbol powiązany z pociskiem zmierzającym prosto na *Phoeniksa*.

– Przyspieszenie trzy i pół tysiąca g, szacowany czas uderzenia za dwie minuty czterdzieści sekund – zameldował obsługujący panel.

– Gotowość systemów defensywnych – rozkazał spokojnie Castillo. – Otworzyć ogień z działka na piętnaście sekund przed oczekiwanym czasem spotkania.

Travis wciągnął ciężko powietrze. To była standardowa odpowiedź na atak raketowy. Przy efektywnym zasięgu stu pięćdziesięciu kilometrów samonaprowadzające się pociski z działka automatycznego miały szansę eksplodować na kursie nadlatującego pocisku, produkując niezliczone odłamki, które potrafiły przy zderzeniu zniszczyć każdy obiekt nadlatujący z prędkością rzędu pięciu tysięcy kilometrów na sekundę.

W każdym razie tak głosiła teoria. Biorąc pod uwagę, że pocisk wchodził w zasięg działka ledwie dwie setne sekundy przed uderzeniem w cel, metoda była w praktyce albo bardzo skuteczna, albo zawodziła całkowicie. Ciekawe, że częściej się jednak udawało.

Tyle że tym razem działko numer dwa nie było w pełni sprawne...

– Ma pan jakieś obiekcje, panie Long? – spytał Castillo.

Travis drgnął. Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział coś głośno.

– Nasze działko sprawia ostatnio problemy, sir – odezwał się. – Sądzę...

– Przerwał, uświadamiając sobie nagle dziwaczność tej sytuacji. On, młodszy oficer, miał doradzać kapitanowi, jak należy dowodzić?

Jednak jeśli Castillo miał coś przeciwko temu, nie zdradził się ani słowem.

– Proszę kontynuować – powiedział.

Travis przygarbił się. Skoro sami pytają...

– Sądzę, że najlepiej będzie ustawić się do pocisku ekranem – rzekł trochę bełkotliwie, ale nerwy miał napięte do granic. – Przy tym kącie kursowym działko może nie być zdolne go zatrzymać.

Castillo jakby skrzywił się lekko, ale przy tej odległości trudno było mieć pewność w tej kwestii.

– Ster, nachylenie dwadzieścia sześć stopni, wektor górny.

– Nachylenie dwadzieścia sześć stopni, wektor górny – potwierdził wachtowy. Wykonuję pochylenie dwadzieścia sześć stopni, wektor górny.

Na ekranie taktycznym widać było przebieg wykonywania manewru. *Phoenix* zmieniał swoje położenie rozpaczliwie wolno, unosząc dziób ku górnej krawędzi ekranu. Pocisk nadciągał z coraz większą prędkością i trudno było powiedzieć, czy zdążą przed jego przybyciem.

Zdążyli. Pocisk był ciągle dwadzieścia sekund od nich, gdy zniknął za krawędzią ekranu napędu.

– Kontynuować odliczanie do uderzenia pocisku – rozkazał Castillo. – Manewr unikowy o jeden kilometr na lewą burtę.

Travis zmarszczył czoło, słysząc, jak sternik powtarza rozkaz. Jednostka zachowywała pewną swobodę manewru między ekranami, zwłaszcza przy

zerowym przyspieszeniu, ale każdy taki ruch był ryzykowny i ograniczał manewrowość. O co chodziło kapitanowi?

– Pocisk uderzył w ekran – zameldował taktyczny. – Rozkazy?

Castillo spojrział na Trávisa.

– Jakies propozycje, panie Long?

Travis wpatrzył się w ekran, na którym *Invincible* przedstawiał się teraz jako czerwony, migający punkt, którego położenie znane było tylko z grubsza na podstawie słabych sygnałów grawitacyjnych. Żadne inne sygnały nie przenikały przez ekran. W tej chwili obie jednostki znalazły się w klinczu. *Phoenix* nie mógł strzelać do celu, którego prawie nie widział, ale sam też był chroniony od spodu przed wszystkim, czym krążownik liniowy mógłby go zaatakować.

Tyle że niszczyciel HMS *Phoenix* był okrętem Royal Manticoran Navy i nie po to latał w próżni, by się chować. Miał chronić Gwiezdne Królestwo i jego mieszkańców. Wprawdzie Locatelli nie zdołał ich dotąd pokonać, ale siedząc cały czas za ekranem, nie mieli szansy na pozytywną ocenę ćwiczeń.

– Sugeruję przeciwny obrót dla odzyskania pełnych namiarów na przeciwnika, sir. Sugeruję też gotowość na wyrzutniach. – Zawahał się, czy dodać, że mają one zostać załadowane pociskami ćwiczebnymi, a nie takimi z głowicami bojowymi. Ale to obsługa sama powinna już wiedzieć.

– Zgoda – powiedział kapitan. – Coś jeszcze?

Travis zmarszczył brwi. Sądząc po tonie kapitana, powinien jeszcze o czymś wspomnieć. Czujniki, ekran, pociski... A tak, oczywiście.

– Sugeruję też, żeby działko położyło ogień zaporowy, gdy będziemy wracać do poprzedniego położenia.

– Dobrze. – Castillo skinął na sternika. – Nachylenie dwadzieścia sześć stopni, wektor dolny; gotowość obsługi wyrzutni i działka.

– Nachylenie dwadzieścia sześć stopni, wektor dolny, sir.

– Gotowość wyrzutni i działka, sir.

Obraz na ekranie taktycznym ponownie zaczął się przesuwać. Travis śledził zmiany, zacisnąwszy do bólu kciuki. Z daleka dobiegł go łomot działka, które otworzyło ogień. Punkt oznaczający *Invincible* przestał pulsować czerwienią, gdy tylko sensory odzyskały konkretne namiary...

– Pocisk! – wykrzyknął wachtowy.

Travis zamrugał powiekami. To wszystko działo się zbyt szybko jak na jego możliwości postrzegania, ale na ekranie faktycznie pojawił się symbol pocisku, który minął o włos krawędź dolnego ekranu, przeszedł trochę nad strumieniem pocisków z nieprecyzyjnie celującego działka numer dwa, przemknął jedenaście kilometrów od niszczyciela i uległ dezintegracji na bliższej płaszczyźnie górnego ekranu.

Porucznik wpatrywał się ze zdumieniem w linię wyznaczającą trajektorię pocisku i nie pojmował, jakim cudem ta rakietka zdołała podejść tak blisko niezauważona. Nagle na ekranie pojawiło się nowe okno, które ukazało oblicze admirała Locatellogo.

– Chyba mogę zaliczyć trafienie, kapitanie – rozległ się gromki głos.

– Było blisko, admirale – odparł spokojnie Castillo. – Obawiam się jednak, że pański pocisk nie osiągnął strefy gwarantującej zniszczenie celu.

Admirał zmarszczył brwi i spojrzał gdzieś w bok. Jego uśmiech trochę zbladł.

– To prawda – przyznał niechętnie po zakłopotanym chrząknięciu. – Niemniej jesteście teraz ślepi. Radarowy system śledzenia został zniszczony. Telemetria też.

– Wciąż mogę odpalać pociski – zaznaczył Castillo.

– Tyle że jakaś inna jednostka musiałaby je naprowadzać – odparował Locatelli. – W tym przypadku nie miałyby kto tego zrobić. – Pokręcił głową. – Tak czy siak, pańska reakcja była trochę zbyt wolna. Sugeruję poprawić grafik ćwiczeń oficera taktycznego.

– Tej akcji nie prowadził mój zwykły zespół – powiedział kapitan. – Poprosiłem o to jednego z moich oficerów.

Locatelli prychnął pogardliwie.

– To będzie musiał jeszcze sporo się nauczyć.

– Tak, sir. – Castillo spojrział w kierunku Trávisa. Pozornie bez jakichkolwiek intencji, jednak porucznik był przekonany, że daleko tu było do neutralności. – Chyba już sam o tym wie.

Travis nie dowierzał, że to wszystko dzieje się naprawdę. Był przygotowany, albo prawie, na docinki ze strony admirała, ale że jego własny kapitan też przyłączy się do przedstawienia, by poniżyć podwładnego, tego się nie spodziewał. I że jeszcze zrobi to przed pełną obsadą mostka...

Musiał jednak przełknąć tę gorzką pigułkę. Castillo był tutaj dowódcą i najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi.

– Tak, sir – wydusił z siebie Travis.

– Dążenie do perfekcji to szlachetny cel – powiedział kapitan, nadal spoglądając na Trávisa. – Jednak czasem zapominamy, że najważniejsze jest to, co osiągamy po drodze, nie sam cel.

Nigdy nie twierdziłem, że dążę do doskonałości, zaprotestował w myślach Travis. Najwyraźniej był to odwet za sugestią, że chorąży Locatelli mógłby zacząć wywiązywać się z obowiązków. I nikt, ani kapitan, ani admirał, nie był zainteresowany zdaniem Trávisa.

Ani też żalonymi wymówkami, za które uznana zostałaby jakakolwiek próba wytłumaczenia sytuacji.

– Rozumiem, sir – powiedział głośno Travis. – Zapamiętam sobie dzisiejszą lekcję.

– Nie wątpię, że tak będzie. – Castillo obrócił się znów do ekranu. – Jeszcze jakieś rozkazy, admirale?

– W tej chwili to wszystko – odparł Locatelli z wyczuwalną satysfakcją w głosie. Nawet jeśli taki właśnie przebieg ćwiczeń był pomysłem Castilla, admirał bez wątpienia musiał wiedzieć, co tu się rozegrało. – Weźcie kurs na Manticore. Oczekuję jak najszybszego sporządzenia raportu o jakości reakcji załogi na te niespodziewane ćwiczenia.

– Będzie gotowy na pański powrót, sir – obiecał Castillo.

– Świetnie – rzucił Locatelli. – To tyle. – Sięgnął gdzieś poza kadr i jego obraz zniknął.

– Odbój alarmu bojowego – rozkazał Castillo. – Wziąć ponownie kurs na Manticore i przywrócić ruch obrotowy sekcji mieszkalnej. – Potem spojrział na Trávisa. – Pierwsza lekcja na temat walki: zawsze bądź gotowy na niespodzianki. W tym przypadku, ponieważ nie przyspieszaliśmy i leżeliśmy na łatwo przewidywalnym kursie, *Invincible* mógł posłać kolejny pocisk w ślad za pierwszym. Jeśli atakujący dobrze zgra salwę, drugi pocisk może dojść do fazy lotu beznapedowego dokładnie w tej samej chwili, gdy pierwszy trafi w ekran. W ten sposób cel nie będzie nawet podejrzewał istnienia tego drugiego pocisku i najpewniej nie zdoła go wymanewrować.

– Czasem można wykryć go dzięki słabemu echu napędu – dodał komandor Sladek. – Albo gorszej manewrowości pierwszego pocisku,

którego telemetria ulega zaburzeniom przez obecność lecącego z tyłu i tym samym kursem kompana.

– Tak, sir – odparł Travis. A jeśli pocisk był odpalany z pomocą dodatkowych ładunków, błysk ich eksplozji mógł zdradzić ten moment. Podobnie jak i lekki spadek przyspieszenia atakujących jednostek, żeby pocisk mógł odejść na bezpieczny dystans przed włączeniem własnych ekranów. Wszystko to było wykładane podczas zajęć z taktyki w Oficerskiej Szkole Kandydatów, ale Travis niewiele z tego pamiętał. Poza tym rola dowódcy spadła na niego zbyt niespodziewanie...

Przerwał ten potok myśli. Czy też wymówek. Dostał zadanie i zawiódł. To proste i jasne.

Gdyby to nie były ćwiczenia i oba te pociski przenosiły prawdziwe głowice, załoga *Phoeniksa* byłaby już zapewne martwa.

– Tak, sir – powiedział raz jeszcze. – Przykro mi, sir.

Castillo chrząknął i odpiął pasy.

– Nie musi być panu przykro, poruczniku. Trzeba tylko się uczyć. – Wskazał na ekran taktyczny. – Jak wspomniałem, ta sztuczka wymaga starannego zgrania i sporej wprawy. Wymaga też jednak dużej dozy szczęścia. Pańskim zadaniem, jako oficera RMN, jest zadbać o jedno i drugie. I zawsze trzeba przyjmować, że przeciwnik tak samo podchodzi do rzeczy.

Kapitan uniósł się z fotela, ustabilizował pozycję i odepchnął się, by przelecieć przez cały mostek

– Panie Sladek, wracamy do piątego stopnia gotowości – zawołał przez ramię. – Panie Travis, może pan wracać na swoje stanowisko i przeprowadzić odprawę po ćwiczeniach.

– Tak, sir – powiedział porucznik. Lekcja dobiegła końca i kapitan wracał do swoich spraw.

Travis zamierzał tę lekcję zapamiętać. Dobrze i na długo.



Przez następne dwa dni chodził jak struty, w każdej chwili oczekując ostatecznych skutków swojego niepowodzenia.

Ku jego zdumieniu nic takiego nie następowało. Czy przynajmniej o niczym nie słyszał. Krążyły jakieś plotki, że kapitan Castillo spędzał ostatnio więcej czasu w swojej kabinie, rozmawiając o czymś z dowództwem, ale nikt nie znał szczegółów, a kapitan jakoś nie wzywał Trávisa. Biorąc pod uwagę, że *Phoenix* miał teraz spędzić jakiś czas w stoczni, rozmowy mogły dotyczyć planowanych modyfikacji.

Gdy niszczyciel zajął już wyznaczone miejsce na orbicie, Travis niemal odetchnął z ulgą. I wtedy właśnie się zaczęło.



– Żartujesz? – spytał Fornier, patrząc na współmieszkańca z osłupieniem. – Po tym wszystkim dostałeś awans?

– Przeniesienie – poprawił go kwaśnym tonem Travis. – Nie wspomniałem nic o awansie.

– Tak? Jeśli przeniesienie na *Caseya* nie jest awansem, to czym niby?

– Nie wiem – mruknął Travis i ułożył starannie kurtkę mundurową w torbie podróżnej. – Ale jeśli stoi za tym Locatelli, to może być przeniesienie w okolice piekła.

Fornier pokręcił głową.

– Jesteś o wiele za młody na cynizm – powiedział. – Poza tym skąd wiesz, czy Locatelli maczał w tym palce? Może to Castillo polecił cię na pomocnika oficera taktycznego na *Caseyu*?

– Po tym popisie na mostku? – parsknął Travis. – Marne szanse.

– Dobrze – mruknął Fornier, wyraźnie tracąc cierpliwość, której miał zwykle spore zasoby. – No to może Castillo postanowił nauczyć cię pokory. Witaj między ludźmi. Jednak w trakcie zauważył w tobie coś ciekawego, jakiś potencjał, którego wcześniej nie dostrzegął.

– Wątpię. Jedyne, co mi się udało, to pokaz nieuctwa. Z połowa tego, co kiedyś studiowałem, wyleciała mi jakoś z głowy. Nie, biorąc pod uwagę reputację Heissmana, pewnie ma być dla mnie odmianą po „ojcowskim” podejściu Castilla. Trochę wojska zamiast harcerstwa.

Fornier zamilkł na chwilę, Travis zaś rozejrzał się po kabinie, by sprawdzić, czy niczego nie zostawił. W myśli odtworzył listę tego, co zostało już spakowane.

– Są dwa podejścia do życia, Travis – powiedział w końcu jego współlokator. – Jedno to takie, że na wszystkich patrzysz podejrzliwie i jesteś cały czujny, bo przecież w każdej chwili ktoś może chcieć ci dokopać. Przy drugim zaś pozwalasz sobie na założenie, że ludzie są w większości przyjaźnie albo chociaż neutralnie do ciebie nastawieni i zwykle daje się z nimi dogadać.

– Ta druga wersja to proszenie się o kłopoty.

– Och, kłopoty zawsze mogą się zdarzyć – odparł z uśmiechem Fornier. – Ostatecznie jesteśmy oficerami RMN, kłopoty to nasza specjalność. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli zawsze będziesz oczekiwał ciosu z za węgła, nigdy nie zdołasz nikomu zaufać. – Wzruszył ramionami. – A z własnego

doświadczenia wiem, że jest całkiem sporo ludzi wartych zaufania. Nie wszyscy, ale jednak.

– Może – rzucił Travis, zamykając torbę i zarzucając ją na ramię. – Wezmę to pod uwagę. – Wyciągnął dłoń. – Miło było dzielić z tobą kabinę, Brad. Zobaczymy się jeszcze, prawda?

– Na pewno – obiecał Fornier, ściskając mocno dłoń Trávisa. – Powodzenia.

II



Ślad wyjścia z nadprzestrzeni! – oznajmił kapitan Ngo. – Wektor się zgadza, to zapewne *Hosney*.

Llyn przytaknął i spojrział na wyświetlacz. Wreszcie. Zgrupowanie floty Volsunga tkwiło już w tym niezamieszkanym układzie czerwonego karła od dwóch tygodni i brakowało już tylko jednego krążownika liniowego, Gensonne zaś zaczynał się niecierpliwić. Najnowsze dane McConnovitcha na temat Manticore powinny rozwiać obawy admirała co do sił, z jakimi przyjdzie mu się zmierzyć. – Mamy już jakiś przekaz od niego?

– Nie, sir – powiedział Ngo z lekką nutą zniecierpliwienia w głosie. – To wciąż minutę świetlną stąd.

– Nie pytałem o niego – odparł Llyn. – Gensonne powinien się już zgłosić ze swoją połajanką wygłaszaną co dwie godziny, a on też przecież zarejestrował ślad przybycia *Hosneya*.

– Nie, sir. Żadnej transmisji od kogokolwiek.

Llyn wiedział, że ta cisza nie potrwa długo. McConnovitch był jednym z najlepszych w swoim fachu. Jednak Gensonne'a nic to nie obchodziło. Miał swoje własne zdanie na temat tego, jaki powinien być porządek wszechświata, i bez skrupowania dzielił się z Llynem opinią o wszystkich, którzy nie pasowali do jego obrazka. McConnovitch też do nich należał.

Tyle że niebawem miało się to skończyć. Gdy tylko McConnovitch potwierdzi słabość RMN, Llyn spuści Volsunga ze smyczy, sam zaś poleci

tam, gdzie jego przełożeni z Axelrodu czekali na meldunek o rozpoczęciu operacji. Nim dotrą ze swoją ekipą na Manticore, ludzie Gensonne'a powinni opanować Landing i skłonić tamtejszy rząd do uległości. Pozostanie tylko przejąć wszystko od nich.

– Mam przekaz – zawołał Ngo. – Odbieram pakiet danych z *Hosneya*.

Llyn poczuł mrowienie na karku. Żadnego pozdrowienia czy chociaż identyfikacji, od razu pakiet danych? To było niepodobne do McConnovitcha.

Meldunek wyświetlił się na jego ekranie. Llyn zmarszczył brwi i zaczął czytać.

Chwilę później poczuł dreszcz na plecach.

Pierwszy Zespół Zielony, zwiadowczy: cztery jednostki.

Drugi Zespół Zielony, trzon sił floty, chroniący Manticore i Sphinksa: dziewięć jednostek, w tym dwa krążowniki liniowe. Nie jeden, ale dwa.

Zespół Czerwony, chroniący Gryphona: cztery jednostki, w tym kolejny krążownik liniowy.

Zamiast dziesięciu okrętów z jednym tylko krążownikiem liniowym, Gensonne miał oczekiwać powitania przez siedemnaście jednostek z co najmniej trzema krążownikami liniowymi. A do tego dochodziły jeszcze trzy kolejne krążowniki liniowe i sześć innych okrętów, które przechodziły obecnie modernizację.

Gensonne miał prawo się zdenerwować. I to bardzo. W sumie mógł wkurzyć się na tyle, by obrócić się na pięcie i wrócić do domu.

Co więcej, przy tak znaczącej zmianie liczebności jednostek RMN nie tylko mógł zgodnie z kontraktem, który podpisali, zrezygnować ze zlecenia, ale miał jeszcze prawo zażądać od Axelroda sowitej rekompensaty.

Llyn żadną miarą nie mógł do tego dopuścić. Nie teraz, gdy zaszli tak daleko. Wziął głęboki oddech i zaczął metodycznie sprawdzać szczegóły.

W sumie nie było aż tak źle. Naprawdę. Oba Zespoły Zielone były niby silne, ale skoro działały jako dwie osobne grupy, Gensonne mógł zająć się każdym z nich z osobna. A nawet gdyby mu się nie udało, zawsze były to dwa krążowniki liniowe przeciwko trzem, którymi dysponował Volsung. Co więcej, Zespół Czerwony znajdował się daleko, w układzie Manticore B, i miał szansę zjawić się na miejscu dopiero długo po bitwie. A okręty tkwiące w stoczniach w ogóle się nie liczyły.

Nie, Gensonne nie powinien natrafić na większe trudności. Nie z trzema krążownikami liniowymi i czternastoma innymi jednostkami. Oraz z jego wielką pewnością siebie.

Nie należało zawracać mu głowy zbyt zbytecznymi wyliczankami i nieuzasadnionymi obawami.

Gensonne odezwał się, gdy Llyn skończył już czytać raport.

– Tak, admirale, już go rozkodowałem – powiedział spokojnie. – Właśnie go panu wysyłam.

– Dziękuję – odparł Gensonne. – Ufam, że nic się nie zmieniło od czasu ostatniego meldunku?

– Żadnych znaczących zmian – zapewnił go Llyn. – Wszystko po staremu.



Komodor Rudolph Heissman, dowódca zespołu Janus, składającego się z lekkiego krążownika HMS *Casey* i jeszcze trzech jednostek z Zielonej Dwójki, był bez wątpienia bardzo zajęтым człowiekiem, ale zarezerwował sobie naprawdę sporo czasu na przestudiowanie rozkazu przeniesienia

Travisa. Siedząca obok niego komandor Celia Belokas, jego zastępczyni, chyba także nigdzie się akurat nie spieszyła.

Po kilku minutach, które Travisowi zdały się połową wieczności, Heissman podniósł głowę znad biurka.

– Według tego, co tu czytam, drzemie w panu wielki potencjał, poruczniku Long – powiedział całkiem neutralnym tonem i przerwał, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Dziękuję, sir. – To było wszystko, na co porucznik się zdobył, ale i tak poczuł się jak idiota, gdy sam usłyszał, co powiedział.

Heissman też chyba tak pomyślał.

– Wie pan, co przychodzi mi do głowy, gdy mowa jest o czymś „wielkim potencjale”? – spytał z tą samą kamienną twarzą. – Że chodzi o wymówkę. Danie do zrozumienia, że zabrakło tej pracy, która zamienia potencjał w rzeczywistość. A to oznacza kogoś, kto nie należy do Royal Manticoran Navy. I dla kogo nie ma miejsca na pokładzie HMS *Casey*.

– Tak, sir – odparł Travis, chociaż nie zabrzmiało to wcale lepiej.

– Nie interesuje mnie potencjał – kontynuował Heissman. – Chcę widzieć wyniki. – Przechylił głowę. – Wie pan, na czym polega praca oficera taktycznego?

– Tak, sir. – Teraz wreszcie mówił bardziej na temat. – Wspomagać kapitana podczas manewrów bojowych oraz...

– To opis obowiązków – przerwał mu Heissman. – To, czym naprawdę zajmuje się oficer taktyczny, to wyszukiwanie prawidłowości w zachowaniach przeciwnika i tropienie jego słabych punktów. Orz dbanie o to, by jego jednostka nie miała tych słabych punktów. – Spojrzał Travisowi w oczy i jego głos jakby stwardniał. – Kapitan Castillo

wspomina ciągle o szczęśliwym trafie. Nie chcę nawet słyszeć tego określenia na pokładzie mojego okrętu. Zrozumiano?

– Tak, sir.

– Dobrze – powiedział Heissman. – Jak nadmieniałem, częścią pańskiej pracy będzie tropienie naszych słabych punktów i ich likwidacja. Pierwszym krokiem w tej działalności jest oczywiście poznanie okrętu. – Skinął na swoją zastępczynię. – Komandor Belokas była tak uprzejma i zgodziła się pana oprowadzić. Proszę słuchać pilnie każdego jej słowa. Potem czeka pana wiele godzin lektury specyfikacji technicznej. I to będzie dopiero wstęp do przejścia obowiązków.

– Tak, sir – odparł Travis i spojrzał na panią komandor. – Ma'am.

Heissman uniósł delikatnie brwi.

– Chyba że spędził pan już trochę czasu nad dokumentacją – dodał, jakby dopiero teraz pomyślał o takiej możliwości. – Tak było?

– Prawdę mówiąc tak, sir – potwierdził Travis, próbując się nie krzywić. Osiemdziesiąt procent z tych dwóch wolnych tygodni poświęcił na wyszukiwanie wszystkich dostępnych materiałów na temat *Caseya* i jego wyposażenia. O czym Heissman zasadniczo powinien wiedzieć, ponieważ dostęp do niektórych danych był zastrzeżony i wymagał zgody przełożonych. – Chociaż były to tylko ogólne informacje, oczywiście.

– W takim razie to pan poprowadzi – orzekł Heissman. – Opowie pan komandor Belokas, czego zdołał się pan dowiedzieć, ona doda zaś to, czego pan nie wie. Brzmi sensownie?

– Tak, sir.

– W porządku. To ruszajcie. Najlepiej od razu. Za dwie godziny ma się pan zameldować u komandora porucznika Woodburna. – Kiwnął energicznie głową i pochylił się nad dokumentami. – Odmaszerować.

III



Admirale Gensonne?

Nie odrywając spojrzenia od raportu, admirał sięgnął ręką, by włączyć komunikator.

– Co jest, Imbar?

– Ślad wyjścia z nadprzestrzeni, sir – zameldował kapitan Sweeney Imbar, dowódca *Odina*. – Wydaje się, że *Tyr* wreszcie do nas dołączył.

Wreszcie, kurna, pomyślał Gensonne i chrząknął głośno. Czekali na Blakely’ego już cztery długie tygodnie i reszta kapitanów zaczęła dostawać od tego wysypki. Teraz, z trzecim krążownikiem liniowym w zespole, byli ostatecznie gotowi do rozpoczęcia operacji. – Prześlij kapitanowi Blakely’emu moje pozdrowienia – polecił. – I powiedz mu, by ruszył zaraz swoją żalosną dupę i zaczął załadunek amunicji oraz zaopatrzenia. Za pięć dni ruszamy na Manticore i jeśli nie będzie do tego czasu gotowy, zostawimy go tutaj.

– Aye, admirale!

Gensonne wyobrażał sobie towarzyszący temu grymas. Imbar uwielbiał podobne rozkazy.

Admirał wyłączył komunikator i z kwaśną miną powrócił do lektury otrzymanego od Llyna raportu.

Volsung Mercenaries ruszali do walki z siedemnastoma jednostkami: trzema krążownikami liniowymi, sześcioma krążownikami, siedmioma

niszczycielami i jednym transportowcem desantowym. Manticore mogło stawić im czoło tylko trzynastoma okrętami.

Po prawdzie siedemnastoma, gdyby dodać zgrupowanie Gryphona. Tyle że te jednostki były daleko, w układzie Manticore B. Jeśli Volsung niczego nie zawali, nie będą się liczyć podczas tej walki. Szpiedzy Llyna nie zdołali rozpoznać precyzyjnie klas okrętów w obu grupach przypisanych do Manticore A, ale wcześniejsze raporty podawały, że tylko większa z nich dysponowała jednym krążownikiem liniowym i nie było sygnałów, że to się zmieniło. Dodatkowe jednostki musiały zatem należeć do lżejszych klas, jak niszczyciele czy korwety.

Do tego należało pamiętać, że największy nawet entuzjazm to za mało, by z dnia na dzień wyszkolić nowe załogi czy wyremontować jednostki z napędem impellerowym. Jeśli szacunki Llyna były w jakiś sposób nieściste, to góra o dwie do trzech jednostek, zatem flota Manticore nie miała szansy przebić liczebnością sił Volsunga.

Niemniej...

Genosone zaklął pod nosem. Był w tym pewien haczyk, którego Llyn albo nie zauważył, albo celowo zignorował. Chodziło o HMS *Casey*. Ogólny wykaz podawał, że był to typowy dla swojej klasy lekki krążownik, niemniej szczegółowe specyfikacje zaprzeczały jego typowości. Przynajmniej w porównaniu z tym, co zwykle spotykało się w równie prowincjonalnych układach planetarnych. Manticore zdołało wyposażyć go w nowoczesny moduł mieszkalny ze sztuczną grawitacją, efektywny system chłodzenia i zmodernizowane, znacznie dłuższe wyrzutnie. Mogło chodzić o system elektromagnetycznego odpalania pocisków, chociaż bardziej prawdopodobne wydawało się, że to były tylko osłony tłumiące błysk towarzyszący zwykłemu odpaleniu. Tak czy siak, nic rewolucyjnego, co mogłoby sprawić wielkie kłopoty.

Z drugiej strony, jak na drugorzędną flotę, było to nowoczesne rozwiązanie, którym Volsung nie mógł się pochwalić. Większość jednostek najemników pochodziła z wyprzedaży nadwyżek czy przeróbek jednostek wycofanych przez pierwotnych użytkowników. Meldunek nie podawał szczegółów na temat uzbrojenia krążownika, ale Gensonne nie miał wątpliwości, że miejscowi inżynierowie musieli poważnie podejść do zagadnienia.

Jeśli zaś Król Edward cieszył się rzeczywistym autorytetem, a do tego miał głowę na karku i wystarczające zasoby gotówki, mógł potraktować w ten sam sposób kwestię modernizacji pozostałych jednostek przywracanych obecnie do służby.

Najrozsądniej byłoby odłożyć operację do czasu, gdy Gensonne zdoła wysłać na Manticore własnych szpiegów. Działanie na podstawie raportu Llyna zmuszało do wzięcia pewnych spraw na wiarę. Niemniej przelot cywilnej jednostki na Manticore i z powrotem zająłby ponad rok, a Llyn chciał działać już teraz.

Skoro tak, należało jak najszybciej odnaleźć tego *Caseya*, by wyeliminować go z walki już na samym początku. Jeśli to była najnowocześniejsza jednostka Manticore, jej zniszczenie mogło dodatkowo osłabić ducha obrońców i skłonić ich do szybszego podjęcia rokowań.

Co byłoby bardzo pożyteczne. Zasady prowadzenia wojny kosmicznej głosiły, że jeśli przestrzeń okołoplanetarna znalazła się pod kontrolą przeciwnika, planeta powinna się poddać. Chodziło o uniknięcie masakry cywilów, nieuniknionej przy dłuższej walce czy desancie. Likwidacja *Caseya* powinna przyspieszyć przejęcie tej kontroli, a gdy Gensonne uzyska już podpis Króla Edwarda na oficjalnym akcie kapitulacji, pozostałe siły będą zmuszone do poniesienia działań.

Gensonne lubił szybkie kapitulacje. Oszczędzało się wtedy na ludziach i sprzęcie, zyski zaś rosły.

A jeśli Casey nie był jednak niczym szczególnym?

Gensonne wzruszył ramionami. To już bez znaczenia. Skoro miał zostać zniszczony, to tak czy siak zostanie.

– Admirale, mamy odpowiedź od kapitana Blakely’ego – odezwał się znowu Imbar. – Przesyła pozdrowienia i dodaje, cytuję, że „w piekle się spotkamy”.

– Odpowiedź, że skoro tak, to jesteśmy umówieni – odparł z uśmiechem Gensonne. – Pozna mnie po tym, że będę ubrany na biało.

IV



Nocna wachta była formalnie pierwszą wachtą doby pokładowej, ale zależnie od funkcjonowania własnego zegara biologicznego niektórzy załoganci mieli ją za późnonocną, inni za wczesnoporanną. Tym samym część unikała jej jak ognia, podczas gdy dla innych była wachtą jak każda inna.

Travis nie miał nic przeciwko nocnej wachcie. Wręcz przeciwnie, lubił ją. Godziny między północą a czwartą rano były najspokojniejszym czasem na okręcie. Większość załogi spała w module mieszkalnym i na nogach byli tylko ci, którzy nadzorowali absolutnie niezbędne systemy.

Pora ta była dobra też do tego, by sobie pomilczeć i pomyśleć.

Travis z pewnością miał o czym dumać. Przez ostatnie sześć tygodni większość wolnego czasu poświęcał na naukę, starając się dowiedzieć jak najwięcej o *Caseyu*, jego uzbrojeniu, możliwościach i załodze. Porucznik komandor Alfred Woodburn, oficer taktyczny niszczyciela, nie miał dla Trávisa taryfy ulgowej, jednak w odróżnieniu od niektórych oficerów z *Phoeniksa*, miał uczciwe podejście do ludzi. Starał się przede wszystkim uczyć, nie zaś dowodzić swojej wyższości nad głupim podwładnym.

Cała obsada wachty siedziała przypasana przy swoich stanowiskach, czujna nawet teraz, gdy nic się nie działo i wszędzie zalegała cisza. *Casey* nie był niczym domem, co było odczuwalne zwłaszcza dla Trávisa, który w ogóle nie potrafił sobie wyobrazić jakiegokolwiek miejsca, które mógłby nazwać w ten sposób, niemniej z wolna zaczynał odnajdywać

w zachowaniach załogi coś sugerującego domową atmosferę. Niewiele było tu irytujących postaci, przy czym Travis z większością z nich nie miał nawet kontaktu. Na dodatek załoga wydawała się zasadniczo zgrana.

Szczególnie dobrze było to widać w przypadku części kadrowej. Kapitan Heissman zwykł zachowywać się na mostku całkiem inaczej niż Castillo. Nie gustował w oficjalnych formułkach, do podwładnych zwracał się zwykle po imieniu albo nawet przezwiskiem. Genezy czy znaczenia części z tych przezwisk Travis nie zdołał jeszcze rozszyfrować. Atmosfera była jakby rodzinna i przypominała to, co porucznik poznał trochę w szkole i o czym czytał w różnych książkach poświęconych dawnym bitwom i dowódcom.

Niemniej owa familiarność miała swoje granice. Do Trávisa wciąż wszyscy zwracali się oficjalnie i tego samego oczekiwano po nim. Możliwe, że był tu jeszcze zbyt krótko i wciąż przechodził „okres próbny”, a w jakiejś chwili zostanie przyjęty do „rodziny” *Caseya*.

Chyba że tak naprawdę wszystko opierało się na tych samych zipowskich zasadach co na *Phoeniksie*, tyle że tutaj bez porównania dyskretniej. Jeśli tak, to trudno. Travis nie miał nic przeciwko zostaniu pokładowym „brzydkim kaczątkiem”.

– Pierwszy na mostku – oznajmił porucznik Rusk znad panelu czujników.

Travis uniósł głowę znad swojej konsoli i ujrzał komandor Belokas wpływającą na mostek.

– Ma’am – przywitał się, odruchowo sięgając do zapieć pasów. Szczęśliwie w porę się powstrzymał. Regulamin powiadał, że przy wejściu przełożonego na mostek młodszy stopniem powinni stawać na baczność, i kapitan Castillo wymagał tego na *Phoeniksie*. Heissman i Belokas

odpuszczali sobie takie ceremonie, ale Travis nie zdążył jeszcze do tego przywyknąć.

Przelotnie zastanowił się, czy oficerowie na *Invincible* także musieli prężyć się w stanie nieważkości za każdym razem, gdy dane było im spotkać admirała Locatello. Przypuszczał, że tak.

– Czym możemy służyć, ma'am? – spytał, gdy rozglądająca się po monitorach Belokas była już blisko.

– Jestem ciekawa, czy wiemy cokolwiek więcej na temat tego błysku zaobserwowanego w północno-zachodnim sektorze szesnaście godzin temu.

– Nie przypuszczam – odparł Travis, zerkając na zapis logowy. Przejmując służbę, sprawdzał zapisy poprzedniej wachty i nie znalazł w nich nic szczególnego.

Trudno zresztą, by coś się pojawiło. Słaby błysk, o którym wspomniała Belokas, zarejestrowany został właściwie przypadkiem i tylko dlatego, że wachta nie miała akurat nic pilnego do roboty, tło wszechświata zaś było w tym miejscu spokojne. Technik z wachty skłonny był uznać zjawisko za samowzбудne echo czujnika, oficer techniczny, który zbadał rzecz zaraz potem, sugerował, że chodziło o ducha nadprzestrzennego, zjawisko słabo poznane, którego aparatura pokładowa nie była w stanie poprawnie zidentyfikować. Do takich obserwacji potrzebne były wielkie obserwatoria próżniowe, złożone z wielu dryfujących czujników. Jak dotąd Gwiazdne Królestwo nie przymierzało się nawet, by zakupić podobny sprzęt.

Sądząc jednak po wyrazie twarzy Belokas, pani komandor nie poczuła się uspokojona dotychczasowymi wyjaśnieniami. Było to trochę dziwne, biorąc pod uwagę, że duchy nadprzestrzenne nie były niczym specjalnie rzadkim.

– Nie ma niczego nowego, ma’am – odparł Travis. – Mamy powtórzyć procedury diagnostyczne czujników?

Belokas nie odpowiedziała od razu, płynąc wciąż w kierunku stanowiska dowodzenia. Travis poczuł się niepewnie. Wciąż był tu nowy, ale przekonał się już, że kiepsko radzi sobie z odczytywaniem mowy ciała i mimiki pierwszej oficer. Może sam powinien uruchomić program diagnostyczny? Czy może nie odpowiadała dlatego, że chciała porozmawiać z nim twarzą w twarz, na spokojnie i cichszym głosem, bez zwracania uwagi całej obsady mostka?

– Kolejne zapuszczenie diagnostyki nic nam nie da – powiedziała w końcu, zaciskając dłoń na uchwycie obok jego stanowiska i zawisając w powietrzu. – Spróbujemy czegoś innego. Niech pan pokaże mi symulację wyjścia z nadprzestrzeni w odległości piętnastu minut od nas. Jaki dałoby to ślad?

– Tak, ma’am. – Travis obrócił się do konsoli. Z raportu wynikało, że brano już taką możliwość pod rozwagę, tyle że potem hipoteza została porzucona na rzecz teorii o duchu nadprzestrzennym. Nic nie wskazywało, by ktokolwiek próbował symulacji czy porównywał chociaż profil odczytu z profilem typowego wyjścia z nadprzestrzeni.

Robota nie była szczęśliwie trudna. Większość bazowych symulacji była już w pamięci kompa. Po paru minutach prezentacja była gotowa.

– Proszę; dałem przegląd przy dystansach od trzynastu do osiemnastu minut. W razie potrzeby mogę poszerzyć granicę...

– Ślad wyjścia z nadprzestrzeni! – zameldował Rusk.

W pierwszej chwili Travis pomyślał, że dyżurny odnosi się do treści prezentacji, ale po chwili zrozumiał swój błąd.

– Przyjąłem – powiedział, spoglądając na wyświetlacz. To rzeczywiście było wyjście. Ślad był wyraźny i jednoznaczny.

Na dodatek widniał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej zaobserwowali swój błysk. Północno-zachodni sektor.

– Wiemy, kto to? – spytał.

– Coś dużego – odparł Rusk, marszcząc czoło nad wyświetlaczem. – Ekran o niskiej mocy, małe przyspieszenie. Zapewne frachtowiec, może liniowiec. Ale jego ekran jest jakiś dziwny, z arytmicznymi fluktuacjami mocy. Może mieć problemy z reaktorem.

Travis spojrział na Belokas i zastanowił się, czy komandor przejmie teraz dowodzenie. Na Manticore tacy goście należeli do rzadkości.

Ona jednak patrzyła tylko w milczeniu na ekrany. Wyraźnie czekała, aż wachtowy sam zareaguje. Travis lekko się przygarbił.

– Proszę wysłać prośbę o identyfikację i podanie statusu oraz poinformować pozostałe jednostki Janusa, że mamy gościa – rozkazał. – Potem przesłać sygnał alarmowy do dowództwa. – Zerknął na wyświetlacz taktyczny. – Jak daleko jest od nas? Jakies dziesięć minut?

– Tak, sir, niemal dokładnie – potwierdził Rusk. – Odpowiedź może nadejść za jakieś dwadzieścia minut.

– Chyba że naprawdę mają problemy – powiedziała Belokas. – W takim razie sami mogli zacząć nadawać. – Postukała z zastanowieniem w konsolę. – Gdzie jest teraz *Aegis*?

Aegis było kodową nazwą Zielonej Jedyńki admirała Locatellego.

– Po drugiej stronie Manticore – odparł Travis. – Około dwudziestu minut od nas i trzynastu albo czternastu minut od obiektu. Mam go zaalarmować?

– To może być dobry pomysł – przytaknęła Belokas. – Jeśli chodzi o ewentualną pomoc, to my znajdujemy się najbliżej. Ale zależnie od rozwoju wypadków admirał też może chcieć zareagować. – Zacisnęła na chwilę wargi. – A skoro już o tym mowa, sugeruję też wezwanie komodora Heissmana na mostek.



– ...i chyba jeszcze zabezpieczenie elektromagnetyczne reaktora zaczyna zawodzić – powiedział nerwowym głosem kapitan Olver. – Mój inżynier mówi, że w każdej chwili może puścić.

Genosone słuchał dobiegających z głośnika słów, starając się ignorować szumy i trzaski niedostrojonego nadajnika radiowego, którym Olver wspomagał swoje łącze laserowe. Zgodnie z instrukcją starał się robić wrażenie mocno zaniepokojonego i w wielkiej potrzebie, ale nie spanikowanego. Takich spanikowanych i skamlących nie lubili nawet ci, którzy zawodowo ryzykowali dla ratowania cudzego życia. Opanowanie załogi *Naglfara* powinno zachęcić tych z *Manticore* do podjęcia akcji ratunkowej. Jak najszybciej i bez zachowywania dodatkowych środków bezpieczeństwa.

– Powtarzam, tutaj statek pasażerski *Leviathan* na kursie do sektora Haven z trzema tysiącami pasażerów na pokładzie – kontynuował Olver. – Nagły skok mocy uszkodził nasz węzeł alfa i zabezpieczenia reaktora, a ponadto osłabił wydajność naszych systemów podtrzymywania życia. Próbujemy je naprawić, ale sprawa nie wygląda dobrze i nie wiemy, ile potrwa, aż całkowicie zawiodą. Jeśli macie jakieś jednostki w naszym rejonie, skierujcie je tutaj, na miłość boską. Idziemy z maksymalnym dostępnym w tej chwili przyspieszeniem, ale w każdej chwili możemy być zmuszeni do wyłączenia ekranów, a jesteśmy wciąż głęboko w próżni.

Ktokolwiek nas słyszy, liniowiec, frachtowiec czy okręt wojenny, prosimy o podejście i zabranie pasażerów...

Jego przemowa urwała się nagle i jeden z załogantów Olvera złożył w tle meldunek o ostatecznej awarii zabezpieczeń reaktora. Zaraz potem Gensonne wyłączył głośnik. Ciągłe byli daleko od wewnętrznych planet układu, ale najbliższy zespół floty Manticore znajdował się około dziesięciu minut świetlnych od nich. Co znaczyło, że za niecałe dwadzieścia minut powinien odpowiedzieć.

Ciekawe, jak zareagują, pomyślał Gensonne, chociaż poza tym miał chwilowo szereg innych spraw na głowie.

– Gdzie są główne siły? – spytał.

– Chwilowo nie mamy z nimi kontaktu, admirale – odkrzyknął Imbar. – Bez wątpienia są gdzieś za nami, ale straciliśmy ich namiar, gdy wyłączyli ekrany.

Gensonne odchrząknął i spojrzał na bezużyteczne ekrany. Oczywiście o to właśnie chodziło: żeby trudno było ich dostrzec, ale sam wolałby wiedzieć jak najwięcej.

Zapewne przez to właśnie nie myślał zbyt ciepło o Imbarze i obsłudze sensorów. Czternaście jednostek tworzących grupę uderzeniową i przednią szpicę razem wyszło z nadprzestrzeni kilka godzin temu, czyniąc to zdecydowanie po cichu czterdzieści minut świetlnych od Manticore A, gdzie czujniki RMN nie powinny ich namierzyć. Owszem, wielkie bierne systemy, stosowane w bardziej rozwiniętych układach, mogłyby coś wykryć, ale pokładowe systemy nie miały takich możliwości. Potem przybysze podzielili się na dwie grupy. Przednią, dowodzoną przez Gensonne'a, i główną, z *Thorem* w składzie. Pierwsza liczyła sześć jednostek, druga osiem. Dwoma falami skierowali się ku wewnętrznym planetom układu. Kilka godzin lotu z przyspieszeniem pozwoliło na

uzyskanie znaczącej prędkości. Potem wszystkie jednostki wyłączyły ekrany. Nawet wiedząc, gdzie patrzeć, ledwie widziało się ich sylwetki w słabym blasku odległej gwiazdy.

Teraz, gdy wszyscy byli już na miejscach, miało zacząć się najważniejsze. Wysforowany przed oba zespoły *Naglfar* wszedł do układu, porzucając jakąkolwiek dyskrecję, wręcz starając się narobić jak najwięcej hałasu i ściągnąć na siebie uwagę wszystkich jednostek RMN obecnych w okolicy. To oraz błagalny głos Olvera, donoszący o poważnych problemach na pokładzie, powinno skłonić miejscowe jednostki do jak najszybszego przyjścia z pomocą uszkodzonemu liniowcowi.

Oczywiście mieliby ciekawe miny, gdyby wiedzieli, że zamiast przerażonych pasażerów spotkaliby tam pięć batalionów piechoty Volsunga. Niestety, Gensonne nie miał szansy ujrzeć ich reakcji. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, oddziały lądowe pokażą się dopiero podczas zajmowania pałacu królewskiego w Landing.

Tyle że wtedy nie będzie to już żadne zaskoczenie i raczej nie będzie na co patrzeć. Niemniej to była wojna, nie kabaret. Ich celem było w pierwszym rzędzie wyeliminowanie Royal Manticoran Navy, potem zaś przejęcie centrów władzy. Po uporaniu się z pierwszym zadaniem, drugie miało być już tylko formalnością.

– Mam zamiar na *Naglfara*, admirale – oznajmił Imbar. – Jesteśmy na kursie przechwycenia. Miniemy go za jakieś dziewięćdziesiąt siedem minut.

Gensonne zerknął na rozpiskę taktyczną. Dziewięćdziesiąt siedem minut to było mniej, niż zakładali, ale w granicach tolerancji.

– Niech Olver zwiększy przyspieszenie do dziewięćdziesięciu pięciu g – polecił Imbarowi. Zawsze mógł potem zwolnić, gdyby trzeba było ponownie skorygować czas wyminięcia. – Jakies ruchy przeciwnika?

– Nie, sir. Ale grupa pierwsza powinna już odebrać wezwanie Olvera.

– Miej na nich oko – polecił Gensonne. – Gdy będziesz miał już ich czas gotowości do skoku i przyspieszenie, wyliczysz koordynaty bezpośredniego przechwycenia. Chcę mieć pewność, że będziemy wtedy dość daleko za ich plecami, żeby nam się nie wymknęli, gdy już nas zauważą.

Ryzyko, że im się uda, było jednak i tak niewielkie za sprawą drugiej niespodzianki szykowanej przez admirała. Jeśli tylko niszczyciele *Umbriel* i *Miranda* wyszły z nadprzestrzeni w zakładanych miejscach, to przy odpowiednim zgraniu powinny być zdolne do odcięcia tamtym jakiegokolwiek drogi odwrotu.

– Tak, sir – odparł Imbar. – Wychwytujemy też sygnatury napędów drugiej grupy, idącej teraz kursem zero, dwa, jeden na zero, jeden osiem. Ta grupa wydaje się liczniejsza. Zapewne to ich drugi zespół bojowy.

– Dystans?

– Trochę poniżej czternastu minut świetlnych.

Gensonne przytaknął z satysfakcją. W ostatnim raporcie Llyn wspomniał, że grupy są dwie i będą rozlokowane właśnie w ten sposób stosunku do Manticore i Sphinksa, i na tym też oparty został plan ataku. Trudno jednak było wcześniej stwierdzić, czy oczekiwania odpowiadały prawdzie.

Teraz, gdy pozycje obrońców układu zostały potwierdzone, plan mógł naprawdę wejść w fazę realizacji. Jeśli pierwsza grupa jednostek RMN kupiła opowiastkę Olvera, powinna zostać szybko zniszczona przez *Odina* i resztę sił przednich. Gdy nadciągnie tutaj druga grupa, trafi także na główne siły, które dołączą w tym czasie do szpicy.

Jeśli nawet pierwsza spróbuje uniknąć walki i rzuci się do ucieczki, końcowy rezultat będzie ten sam, tyle że stanie się to kilka godzin później.

Tak czy siak, bitwę o Manticore można było uznać już za wygraną.

Llyn będzie zadowolony, a co więcej, jego przełożeni będą musieli wypłacić Volsungowi stosowną premię.

Gensonne uśmiechnął się lekko, usiadł w fotelu i czekał, aż tamci złapią przynętę.



– Idziemy z maksymalnym dostępnym w tej chwili przyspieszeniem, ale w każdej chwili możemy być zmuszeni do wyłączenia ekranów, a jesteśmy wciąż głęboko w próżni. Ktokolwiek nas słyszy, liniowiec, frachtowiec czy okręt wojenny, prosimy o podejście i zabranie pasażerów...

Heissman skinął na łącznościowca, by zmniejszył głośność.

– Pierwsza? – spytał, zerkając na Belokas.

– Wszystkie jednostki zgłaszają gotowość.

– Ilu pasażerów możemy według waszych ocen przyjąć?

Belokas wypuściła głośno powietrze.

– Gdy podliczyć cały zespół, to co najmniej pięciuset. O ile ciasno ich upakujemy. To nie będzie luksusowa podróż.

– Lepsze to niż oddychanie próżnią – zauważył Woodburn.

– Na pewno – zgodził się Heissman. – Przesłać kopię ich wezwania zespołowi *Aegis* wraz z prośbą o pomoc. Są dalej, ale mają znacznie więcej miejsca.

– Zakładając, że *Leviathan* wytrzyma do chwili, gdy Locatelli tutaj przybędzie – ostrzegła Belokas.

– Nic na to nie poradzimy – powiedział Woodburn.

– Więc ostatecznie lecimy do nich? – spytał Travis i wszyscy na niego spojrzeli.

– Ma pan jakieś argumenty przeciwko temu, poruczniku? – spytał Heissman.

– Poważne argumenty – dodał Woodburn. – Bo przecucia to...

Heissman przerwał mu gestem.

– Proszę kontynuować – powiedział do Trávisa.

– Bo coś tu jest nie tak, sir – powiedział z wahaniem porucznik, mając jednak nadzieję, że tym razem nie wyjdzie na idiotę. Szczególnie wobec ostrzeżenia udzielonego przez Woodburna. – Zgranie wydarzeń, ten sam wektor, w którym wcześniej zanotowaliśmy pojawienie się ducha nadprzestrzennego. I to, że lecą właśnie tutaj, zamiast spróbować dotrzeć do bardziej uczęszczanego miejsca...

– Ich ekran wykazuje symptomy awarii – przypomniał Heissman. – Odczyty potwierdzają zaś, że to frachtowiec albo liniowiec, nie okręt wojenny.

– Sir, mamy kurs na przechwycenie i podejście – zameldował sternik.

– Przekazać na resztę jednostek i przyspieszyć – powiedział Heissman i spojrzał na Trávisa. – I ogłosić drugi stopień gotowości – dodał. – Na wszelki wypadek.



– Lecą w naszą stronę – oznajmił Imbar. – Wektor... Za wcześnie na pewność, ale chyba chcą podejść bezpośrednio do *Naglfara*.

– Wyśmienicie – powiedział Gensonne z szerokim uśmiechem. Przeciwnik połknął haczyk. – Mamy namiar *Umbriela* i *Mirandy*?

– Jeszcze nie. Ale monitorujemy obszar, w którym powinny się znajdować. Zakładając, że wyszły na pozycje, to gdzieś w przeciągu

najbliższych dwóch godzin powinny uruchomić na chwilę napęd, żeby dokonać korekty kursu wobec celu numer jeden.

Gensonne pokiwał głową. Dwa dodatkowe niszczyciele, zdolne pochwycić przeciwnika w krzyżowy ogień, byłyby bardzo przydatne, ale nie miały wielkiego znaczenia dla realizacji jego planu. Nawet jeśli spóźnią się na ten pierwszy atak, przydadzą się przy następnym starciu. Gdyby zaś i wtedy jeszcze ich nie było, zatrudni je w roli zwiadowców, gdy ruszą już w kierunku planety Manticore. Sprawdzą, czy na pewno nic już nie zostało w próżni.

Tak czy siak, każda jednostka jego zespołu miała dzisiaj zarobić na żołąd.



Zespół Janus był jeszcze w odległości dwóch godzin lotu od *Leviathana* i dokonywał właśnie drobnej korekty kursu, gdy *Gorgon* zameldował o wykryciu sygnatur dwóch dodatkowych napędów.

– Shapira mówi, że wyłapali je czystym przypadkiem – przekazała Belokas, zawisając obok Heissmana i wraz z resztą wpatrując się w nieoczekiwane i według Trávisa niepokojące dane, otrzymane właśnie z niszczyciela. – Nasze ekrany zasłaniały niemal ten obszar podczas zwrotu, załoga zaś była zajęta manewrem, więc to chyba rzeczywiście był traf.

– Kapitan Shapira zbyt często przypisuje szczęściu to, co powinno wynikać z wyszkolenia i czujności – zauważył w zamyśleniu Heissman. – Zapisać, żeby otrzymała za to wyróżnienie. Ona i cała wachta na mostku. Co my tam mamy?

– Te jednostki są zdecydowanie mniejsze niż *Leviathan* – powiedziała Belokas. – Może małe frachtowce. Na pewno nie masowce z rudą ani nic w rodzaju tego, co zwykle tutaj lata.

– Albo małe jednostki wojenne – dodał Woodburn. – Niszczyciele, lekkie krążowniki. I właśnie tam! Ciekawe, prawda?

Travis przymrużył powieki. Symbole zniknęły tak samo gwałtownie, jak się pojawiły. Całkiem jakby nieznane jednostki zakończyły jakiś manewr i chciały czym prędzej schować się w międzygwiazdowym mroku.

Woodburn wyraźnie pomyślał o tym samym.

– Ukrywają się, to jasne. Na dodatek, jak mogliście zauważyć, przeprowadzili ten swój manewr dokładnie w tym samym czasie, gdy my dokonywaliśmy poprawki kursowej, i teoretycznie mogliśmy mniej zwracać uwagę na otoczenie. Z całym szacunkiem, pani komodor, to chyba jednak nie jest misja ratunkowa. Coraz bardziej wygląda mi to na próbę inwazji.

– Zgadzam się – powiedział Heissman. – Panie Long, jak przedstawia się stan naszych zapasów amunicji?

– Gorzej, niżby mógł, sir – odparł Travis i zaraz pożałował swoich słów. To, że zespół Janus nie był w pełni wyposażony, wynikało z obecnych decyzji parlamentu, nie dowództwa RMN. Niemniej podobna uwaga mogła zostać odczytana jako krytyka najwyższych przełożonych. Albo i gorzej, jako krytyka własnego dowódcy. Takie wypowiedzi nigdy nie były tolerowane, zwłaszcza na mostku.

Szczęśliwie Heissman nie odebrał tego tak.

– Nie ma co się nad tym rozwodzić, poruczniku. Słuchamy pana.

– I bez komentarzy – dodała surowym tonem Belokas.

– Tak, ma'am – odparł Travis i skrzywił się lekko. – Przepraszam. Mamy tylko osiemnaście pocisków, ale oba lasery, przedni i rufowy, są w pełni sprawne. Podobnie jak burtowe wyrzutnie pocisków. Jedno z czterech działek automatycznych ma problemy z chłodzeniem, ale

technicy już nad tym pracują. Mamy też dziewiętnaście antyrakiet i cztery sprawne wyrzutnie do nich.

– A inne jednostki? – spytała Belokas.

– *Gorgon* ma osiem pocisków, *Hercules* i *Gemini* po cztery. Ich systemy defensywne mają mniej więcej identyczne możliwości co nasz.

– Ile z tych pocisków to ćwiczebne? – spytał Heissman.

– Chwilę, nie ściągałem tych danych – powiedział Travis. – Nie myślałem, że będą potrzebne.

– Każdy z nich wygląda jak prawdziwy, nawet jeśli zasadniczo jest niegroźny – zauważył Heissman. – Ile ich jest?

– My mamy cztery, *Gorgon* dwa, *Hercules* jeden, *Gemini* dwa – wyliczył Travis bez przekonania. Bo przecież co komu po pocisku bez głowicy bojowej...?

Te wątpliwości musiały jakoś odbić się na jego twarzy, gdyż Heissman i Woodburn równocześnie nagrodzili go lekkimi uśmiechami.

– Blef też ma swoją wartość, poruczniku – powiedział komandor. – W najgorszym razie taki pocisk zmusi przeciwnika do zmarnowania kilku antyrakiet czy pocisków z działek. W najlepszym może naruszyć kadłub dowolnej jednostki, jeśli zahaczy go swoim ekranem – dodał i uśmiech zniknął z jego twarzy. – Tak więc jesteśmy niedozbrojeni, z niepełną załogą i nawet z *Aegisem* lecącym tutaj całą mocą reaktorów nie możemy liczyć na szybkie wzmocnienie. Jakież rekomendacje?

– Najbezpieczniej byłoby się wycofać – stwierdził z wahaniem Woodburn. – Nasz kulawy liniowiec może być naprawdę wszystkim, nawet krążownikiem liniowym. Nie stwierdzimy tego, aż będziemy za blisko, by się oderwać. – Wskazał na ekran. – No i mamy te jednostki, bawiące się z nami w chowanego. W dobrych miesiącach miewamy do dwóch gości,

a tutaj nagle zjawia się trzech, i to tego samego dnia. I na domiar wszystkiego ich manewry okazują się być skoordynowane...

– Sugerujesz więc zawiadomienie dowództwa i zawrócenie w kierunku *Aegisa*? – spytał spokojnie Heissman.

– Powiedziałem tylko, że tak byłoby najbezpieczniej – poprawił go Woodburn równie spokojnym głosem. – Ale nie płacą nam za szukanie bezpiecznych kątów. Mamy szukać kłopotów, a gdy je znajdziemy, mamy sobie z nimi poradzić.

– Czyli lot wprost w paszczę bestii? – spytała Belokas.

– Właśnie – przytaknął Woodburn. – Ale proponowałbym też, by *Gorgon* został trochę z tyłu za nami i korwetami. Nie za bardzo, bo wtedy nasi przyjaciele od razu się zorientują i zaczną coś podejrzewać. Akurat tak, by zagwarantować łączność między nami, gdy uruchomimy już osłony burtowe. – Zacisnął na moment wargi. – Jest szansa, że zdoła utrzymać się tam na tyle długo, żeby wysłać do naszych pełen raport z przebiegu walki.

Travis przełknął ciężko ślinę. Sprawa była jasna. Woodburn nie oczekiwał, że *Casey* i jego dwie korwety zdołają przetrwać to starcie.

Z drugiej strony, Janus był tutaj właśnie po to, żeby walczyć.

– Pierwsza? – spytał Heissman.

– Zgadzam się z komandorem Woodburnem i jego propozycjami – odparła oficjalnym tonem Belokas.

– Dobrze zatem – stwierdził podobnym głosem kapitan. – Przekazać to na pozostałe jednostki i niech będą gotowe na dalsze rozkazy. Albercie, przygotuj propozycję kursową dla *Gorgona* i schemat naszego szyku do walki. Pierwsza, pozostajemy w drugim stopniu gotowości, ale uprzedź załogę, że w każdej chwili może zostać podniesiony do pierwszego. Jeśli

mamy na pokładzie jakieś zapasowe głowice, niech technicy zaczną montować je na pociskach ćwiczebnych.

– Tak, sir. – Woodburn skinął na Trávisa. – Proszę ze mną, poruczniku. Mamy trochę do zrobienia. – Puścił uchwyt i odpłynął w stronę drzwi.

Travis podążył za nim. Dzięki długiej praktyce nie obijał się o przełożonego, chociaż prawie deptał mu po piętach.

– Można zadać pytanie, sir? – spytał.

– Dlaczego *Gorgon* zamiast którejś z korwet?

– Tak, sir – odparł Travis z lekką tremą. – *Gorgon* ma więcej pocisków, lepszy pancerz i silniejsze pola burtowe. W walce byłby z niego większy pożytek.

– Ma też rufowe działko – przypomniał mu Woodburn. – Jeśli zostanie samotnie na placu boju i będzie musiał uciekać, będzie miał większe szanse poradzić sobie z nadlatującymi od rufy pociskami.

Travis przytaknął i dziwna myśl przebiegła mu przez głowę. Casey też miał rufowe działko i największą szansę przetrwania ze wszystkich czterech jednostek zespołu. Gdyby chodziło jedynie o zebranie informacji o przeciwniku i ucieczkę, to on właśnie powinien zająć miejsce w ariergardzie. Natomiast podczas walki różnica mogła być niewielka albo zgoła żadna, zależnie od tego, jakie właściwie jednostki czały się za rzekomo okaleczonym liniowcem.

Ciekawe, czy Heissman pomyślał także i o tym. Albo Woodburn czy Belokas. Zapewne nie. Byli dowódcami i zamierzali skierować swój okręt do walki niezależnie od tego, co mogło się z nim stać później.

Niemniej Travisowi przyszło coś podobnego do głowy.

Czy to znaczyło, że był tchórzem?

Zerknął ukradkiem na profil Woodburna. Na jego twarzy, zwłaszcza wkoło oczu, widać było ślady napięcia. Travis dopiero teraz pomyślał, że zapewne nikt z oficerów *Caseya* nie brał nigdy udziału w prawdziwej walce. Prowincjonalne Gwiazdne Królestwo od dawna pędziło pokojowe życie i chyba nikt nie oczekiwał, żeby miało się to zmienić. Takie założenie przyjęła zresztą frakcja, która dążyła do dalszych redukcji floty.

Może *Leviathan* naprawdę był uszkodzonym liniowcem. Może istniało jakieś logiczne i całkiem niegroźne wytłumaczenie obecności tych dwóch skrywających się jednostek. Może był to tylko jakiś przedziwny zbieg okoliczności, z którego będą się kiedyś śmiać przy piwie.

Ale jeśli nie... Jeśli nie, Royal Manticoran Navy miała po raz pierwszy sprawdzić się w realnej, a nie symulowanej bitwie.

Kiedyś, jeszcze na *Phoeniksie*, Travis zastanawiał się czasem, jaki wpływ miałyby takie zdarzenie na pełną samozadowolenia beztroskę, która zdawała się tak powszechnie występować w Gwiazdnym Królestwie. Wyglądało na to, że niebawem się dowie.



Nadeszła już ta chwila.

Gensonne ostatni raz przebiegł spojrzeniem po ekranach na mostku *Odina*. Razem z *Tyrem* zajęli już pozycje do walki. Oba krążowniki liniowe były ustawione jeden „nad” drugim w odległości tysiąca kilometrów, co dawało optymalne pola ostrzału dla pocisków i działek. Dwa ciężkie krążowniki, *Copperhead* i *Adder*, znajdowały się tysiąc kilometrów z przodu i trochę ponad i poniżej większych braci, by chronić ich w razie potrzeby ogniem antyrakiet. Piętnaście tysięcy kilometrów przed krążownikami i tysiąc kilometrów z prawej niszczyciel *Ganymede* strzegł flanki zespołu.

Idealnie byłoby mieć *Phobosa* w analogicznej pozycji na lewej flance, ale wobec zwykłych kłopotów z łącznością po uruchomieniu osłon burtowych w tej chwili lepiej było pozostawić go z tyłu, gdzie mógł służyć jako przekaźnik. W ogniu walki każde zaburzenie przepływu informacji, nawet najkrótsze, mogło mieć katastrofalne skutki. Jedynym sposobem, aby tego uniknąć, było utrzymywanie jakiejś jednostki w rufowej ćwiartce, skąd mogła wyłapywać sygnały i przekazywać je dalej ku antenom na nieosłoniętych ekranami oraz polami partiach kadłuba.

Poza tym do tej potyczki nie potrzebowali zespołu w pełnym składzie. W zasadzie *Odin* i jeden krążownik to powinno być dość, żeby załatwić te cztery niewielkie jednostki, które znajdowały się już całkiem blisko. I tak pewnie żadna z nich nie zdoła nawet zadrapać farby na kadłubach okrętów *Volsunga*.

Z drugiej strony, zdecydowana przewaga miała swoje dobre strony. Jeśli istniało coś lepszego niż łatwe zwycięstwo, było to łatwe i szybkie zwycięstwo.

Gensonne włączył mikrofon.

– Admirał do wszystkich jednostek – powiedział. – Alarm bojowy. Meldować status.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem zaczęły napływać meldunki. Oczywiście w poprawnej kolejności. Najpierw na zielono zapalił się symbol *Odina*, potem *Tyra*. *Copperhead*...

Gensonne przymrużył powieki. Zostały jeszcze dwa czerwone punkty.

– Kapitanie Imbar?

– To ich dolne działko – odezwał się Imbar ze stanowiska łączności. – Prawoburtowy sensor się rozkalibrował. Pracują nad tym.

Gensonne zaklął bezgłośnie i spojrział ponownie na tablicę statusów, gdzie już tylko *Copperhead* jarzył się na czerwono. Dać mu jeszcze kilka minut? Jednostki Manticore wytracały już prędkość, wystawiając się rufami do Volsunga. Jeśli Gensonne nakazałby teraz *Naglfarowi* zwiększenie przyspieszenia, tamci zareagowaliby pewnie gwałtowniejszą deceleracją, co odsunęłoby trochę bliski już moment, w którym ich sensory byłyby zdolne dostrzec ukryte za frachtowcem okręty wojenne.

Admirał wyprostował się i poczuł, jak wystający ponad kryzę hełmu kołnierz munduru ociera mu szyję. Też sytuacja. Z drugiej strony, i bez *Copperheada* mieli wystarczającą przewagę.

Na dodatek znacznie liczniejszy drugi zespół RMN był coraz bliżej. Im dłużej będą marudzić z pierwszym, tym mniej czasu zostanie im na rozpracowanie kolejnego przeciwnika i ponowne uzbrojenie wyrzutni.

Pierwszy cel był już niemal w zasięgu.

Nadeszła chwila, by tamci zginęli.

– Przekazać *Copperheadowi*, by pracowali dalej nad usunięciem awarii – warknął na Imbara. Potem ponownie włączył mikrofon. – Do wszystkich: włączyć ekrany.



Heissman odesłał Belokas i Woodburna na chwilę z mostka, by trochę odetchnęli, i akurat Travis siedział przy konsoli taktycznej, gdy nadszedł ten moment, na który wszyscy czekali.

Tyle że rzeczywistość okazała się znacznie gorsza, niż mogli się wcześniej spodziewać.

– Nowy kontakt! – zawołał Rusk ze stanowiska rozpoznania. Wszystkie toczone szeptem rozmowy na mostku urwały się gwałtownie. – Łącznie

sześć jednostek na kursie przechwycenia, przyspieszenie dwieście piętnaście g. Do granicy zasięgu pocisków zostało około szesnastu minut.

– Do wszystkich, zwiększyć decelerację do dwóch kilometrów na sekundę, pierwszy poziom gotowości – powiedział Heissman do mikrofonu. Jego spokojny głos mocno kontrastował z biciem serca Trávisa.
– Panie Long?

Porucznik pomacał ukradkiem hełm skafandra, przypięty z boku jego konsoli. Jego obecność zwiększała odrobinę poczucie bezpieczeństwa.

– Potwierdzam sześć jednostek w zespole – powiedział, przebiegając spojrzeniem przez wyświetlacze z analizą komputerową napływających danych. Jedną z wielu zasad, które Woodburn wpoił mu w ostatnich tygodniach, był odruch analizy sytuacji bez czekania na to, co powie komputer. – Moc ekranów sugeruje, że dwie z nich to krążowniki liniowe. Do tego dwa ciężkie krążowniki i dwa lekkie krążowniki albo niszczyciele. Jeden z tych ostatnich znajduje się z tyłu na pozycji przekaznikowej.

– Co potwierdza ostatecznie, że mamy przed sobą zgrupowanie floty – zauważył Woodburn znad ramienia Trávisa.

Porucznik obejrzał się na oficera taktycznego, który unosił się tuż za nim i przesuwiał chłodnym spojrzeniem po wyświetlaczach.

– Tak, sir – powiedział, sięgając do zapieć pasów.

Ku jego zdumieniu, Woodburn kazał mu gestem pozostać na stanowisku.

– Jakiegokolwiek domysły co do pochodzenia albo typów? – spytał Heissman.

– Nie, sir – odparł Woodburn, zawisając obok Trávisa. – Ale ustawienie krążowników liniowych i pozycja ciężkich krążowników wskazują na wyszkolenie zgodnie z solarną doktryną.

– Co niczego jeszcze nie przesądza – zauważyła Belokas, podpływając do swojego stanowiska. – Wielu z niej korzysta.

– Może będą tak uprzejmi i sami się przedstawią – zastanowił się głośno Heissman. – Teraz cisza, patrzeć tylko i słuchać. – Wyciągnął dłoń i włączył mikrofon. – Do niezidentyfikowanych jednostek, mówi komodor Rudolph Heissman z Royal Manticoran Navy. Proszę o identyfikację i sprecyzowanie powodu, dla którego znaleźliście się w przestrzeni kontrolowanej przez Gwiazdne Królestwo Manticore.

Cisza trwała tylko jakieś piętnaście sekund, bo tyle tylko było potrzeba, by wiadomość przebiegła w obie strony. Dowódca przeciwnika musiał oczekiwać podobnego wywołania i miał przygotowany tekst.

– Witam, komandorze Heissman – rozległo się basowo z głośników na mostku.

Travis spojrział na monitor łączności. Wypełniał go teraz obraz twarzy mężczyzny o bladej skórze, typowy dla kogoś, kto rzadko wychodził na słońce. Miał niebieskie oczy i sardonicznie wykrzywione usta. Po zmarszczkach Travis ocenił, że grymas musiał być częsty i odzwierciedlał najpewniej cechę charakteru. Głowę wieńczyły jasne włosy przystrzyżone w wojskowym stylu. Poniżej brody widać było kołnierz kurtki mundurowej, wystający ponad kryzę skafandra.

– Stalowoszary kołnierz, czarne obszycie – szepnął Woodburn. Travis pokiwał głową, wprowadzając już tę informację do kompa, by porównać ją z danymi z archiwum.

– Moje nazwisko i pochodzenie nie mają znaczenia – powiedział mężczyzna. – Na potrzeby tej rozmowy przedstawię się jednak jako admirał Tamerlane. Co do powodu mojej obecności, to z przykrością muszę wyznać, że moim zadaniem jest zniszczenie pańskiego zgrupowania floty. Niemniej gotów jestem podyskutować o warunkach waszej kapitulacji. Jeśli

uznacie tę propozycję za interesującą, możecie potwierdzić to, wyłączając napęd i przygotowując się do przyjęcia oddziałów abordażowych.

Przechylił lekko głowę, ukazując przy tym osobliwe insygnia na wyłogu kołnierza. Była to kometa z zakrzywionym ogonem i gwiazdą wewnątrz półkola. Travis dodał to do wyszukiwanych haseł.

– Oczywiście ta oferta będzie aktualna przez ograniczony czas – dodał Tamerlane. – Z tego, co widzę, wejdziecie w zasięg pocisków za jakieś osiemnaście minut. Może mniej, jeśli przerwiecie bezcelową ucieczkę i zdecydujecie się przyjąć walkę. Do tego czasu będę czekał na waszą odpowiedź. – Mężczyzna sięgnął poza kadr i obraz zniknął.

– Pewny siebie, drań skubany – skomentował Heissman. – Ktoś rozpoznał jego akcent?

Nikt nie odpowiedział, tylko niektórzy pokręcili głowami.

– Panie Long? – spytał Heissman.

– Mundur może być solarny – potwierdził Travis, przeglądając rezultaty wyszukiwania. – Ale wiele flot ze światów centralnych przyjęło podobny styl uniformów. Insygnia przypominają te używane przez flotę Tahzeebu.

– Zatem najpewniej najemnicy – powiedziała Belokas.

– Zapewne – zgodził się Woodburn. – Nie wiem tylko, co chciał powiedzieć, przedstawiając się jako Tamerlane. Ten dawny był wielkim wodzem na Starej Ziemi. Ponad dwa tysiące lat temu podbił sporą część znanego świata.

– Był też uważany za geniusza wojskowości – dodał Heissman. – Zastanawiam się, o który z tych elementów bardziej mu chodziło.

– Tak czy siak, to bez dwóch zdań megaloman – podsumowała Belokas. – Pewny siebie, ale pewnie nie aż tak zarozumiały, żebyśmy mogli skłonić go do wyznania, co zamierza zrobić z Manticore, gdy już nas pokona.

– Na pewno nie zrobi tego, jak długo nie będzie pewny, że nie zdołamy przekazać niczego dowództwu – zgodził się Heissman. – A skoro o tym mowa. Ile obecnie zostało do spotkania z grupą *Aegis*?

– Nadal blisko dwie godziny – powiedziała Belokas. – Możemy opóźnić walkę, obciążając nasze kompensatory do czerwonej kreski, ale nie kupimy w ten sposób dosyć czasu. I tak nie dotrą tutaj przed naszym spotkaniem z tamtymi.

– A co z tym drugim zespołem? – spytał Heissman.

– Nie pokazali się od ostatniej poprawki kursu – powiedział Woodburn. – Zależnie od wektora wejdą w zasięg naszych sensorów za dziesięć do dwudziestu minut.

– Zatem nie sojusznicy, ale raczej kolejni wrogowie – mruknął Heissman. – W takim razie nie ma sensu odwlekać nieuniknionego. – Włączył mikrofon. – Do wszystkich jednostek, mówi komodor. Zostaliśmy zmuszeni do walki i zamierzam sprawić przeciwnikowi najkrwawszą z możliwych łaźni. *Gorgon*, zostajesz na obecnym kursie i trzymasz przyspieszenie. Masz zadbać, aby zapis wszystkiego, co będzie się tu działo, dotarł na *Manticore*. *Hercules* i *Gemini*, gotowość do skoordynowanego zwrotu pochyleniowego o sto osiemdziesiąt stopni. Wykonanie manewru na mój rozkaz.

Travis zmarszczył brwi. „Zwrot pochyleniowy?”, powtórzył szeptem. Większość zwrotów, jakie dotąd widywał, polegała na odchyleniu dziobu okrętu w prawo lub w lewo, a nie manewrach, które powodowały koziołkowanie całego kadłuba, chociaż te ostatnie pozwalały na zwrócenie się ku znajdującemu się z przodu przeciwnikowi nieprzebijalnym ekranem, który był jednak także trudno przenikalny dla sensorów.

– Tak, zwrot pochyleniowy – potwierdził Woodburn z niejakim zrozumieniem w głosie. – Możemy wystrzelić salwę w chwili, gdy nasz

opadający ekran odetnie ich skanery. Dzięki czemu nie dostrzegą błysku odpalenia. Nim wykonamy obrót, pociski będą już czekały w próżni, gotowe skierować się na wybrany przez komodora cel.

Travis przytaknął. Casey miał elektromagnetyczne wyrzutnie, przy których odpaleniu nie towarzyszył zdradziecki błysk, ale obie korwety stosowały tradycyjne rakiety chemiczne dla wyrzucenia pocisków na odległość konieczną dla bezpiecznego uruchomienia ich ekranów. Jeśli zespół zdołałby wystrzelić salwę całkiem niepostrzeżenie, zyskałby chociaż chwilową przewagę.

– Rozpocząć zwrot! – rozkazał Heissman. – Gotowość odpalenia pocisków. Po dwa z każdej korwety, cztery od nas. Także na mój znak.

Travis spojrział na ekran taktyczny. Cały zespół wykonywał jednoczesny zwrot, odsadzając się tym samym przed *Gorgona* przez zmniejszenie deceleracji. Przeciwnik zbliżał się tym samym znacznie szybciej i poniekąd zyskiwał na tym manewrze. Jakikolwiek zwrot o sto osiemdziesiąt stopni musiał zająć około dwóch minut.

– Odpalenie na mój znak – powiedział cicho Heissman ze spojrzeniem wbitym w ekran taktyczny.

– Gotowe – potwierdziła Belokas. – Cele?

Kapitan wpatrywał się jeszcze chwilę w schemat sytuacji, po czym odwrócił się do Woodburna.

– Jakież propozycje, Alfredzie?

– Dałbym wszystkie osiem na jeden z krążowników – powiedział oficer. – Ich szyk sugeruje, że krążowniki liniowe liczą raczej na osłonę ze strony krążowników niż na własne antyrakiety. Jeśli zdołamy któryś z nich wyeliminować, może uda nam się dosięgnąć i dużych sztuk.

– Jestem pewna, że admirał Locatelli byłby wdzięczny za jakieś osłabienie tych gości – dodała oschle Belokas. – Tym razem popieram Alfreda.

Heissman spojrzał na Trávisa.

– Panie Long?

Porucznik zerknął raz jeszcze na ekran taktyczny. Trzy małe jednostki przeciwko sześciu...

– Ja dałbym po cztery na każdy z krążowników, sir.

– Powód?

– Jeśli to są najemnicy, mogą dysponować okrętami różnych typów o niezunifikowanych możliwościach. Obserwacja, jak radzą sobie w obronie, może podpowiedzieć, jak najlepiej ich zaatakować. Przy zaatakowaniu dwóch jednocześnie uzyskamy te dane szybciej.

– Alfredzie? – spytał Heissman.

– Wolałbym przyłożyć mocniej jednemu – odparł Woodburn. – Szczerze mówiąc, sir, nie zdołamy przecież odpalić zbyt wielu salw. Powinniśmy koncentrować je na celach, które mamy szansę zniszczyć.

– Możesz mieć rację – zgodził się Heissman. – Ale pan Long też ma rację. Przede wszystkim musimy zdobyć jak najwięcej informacji o przeciwniku, tak dla nas, jak i dla admirała Locatello. Sądzę, że warto zaryzykować. – Włączył mikrofon. – *Hercules* i *Gemini*. Każdy z was odpala po jednym pocisku do każdego z prowadzących krążowników. My damy im jeszcze po dwa.

Nagrodził Trávisa lekkim uśmiechem.

– Teraz zobaczymy, jak admirał Tamerlane radzi sobie z tańcem.



Trzy jednostki Manticore zakończyły zwrot, dość niezwykle zresztą, bo pochyleniowy, i znowu ustawiły się nieosłoniętymi dziobami do okrętów Volsunga.

– Gotowość na wyrzutniach! – zawołał Gensonne. Już zdecydował, że pierwsza salwa będzie dla *Caseya*. Telemetria *Odina* mogła kontrolować tylko sześć pocisków jednocześnie i chociaż w zwykłych okolicznościach wolałby skierować na lekki krążownik cięższą nawałę, na razie chciał przekonać się, jak tamci poradzą sobie z takim, lekkim stosunkowo atakiem. – Salwa od jedyńki do szóstki, cel...

– Pociski! – rzucił Imbar.

Oczywiście, że pociski, pomyślał w pierwszej chwili Gensonne. Zaraz będziemy strzelać. Nagle jednak zrozumiał i poderwał głowę, by spojrzeć na ekran.

Tamci odpalili pierwsi. Osiem pocisków, na razie z wyłączonym napędem i względnie niewielką prędkością. Admirał otworzył usta, by domagać się od Imbara wyjaśnień, skąd te rakiety wzięły się tak nagle i dlaczego tak sobie wisały w próżni...

W tej samej chwili cała ósemka poderwała się i runęła w kierunku zespołu Volsunga.

– Skąd one się, u diabła, wzięły? – warknął Imbar. – Podobno tamci nie mają wyrzutni elektromagnetycznych.

– To ten zwrot – powiedział Gensonne, który w końcu zrozumiał. Spojrzał na wyświetlacz podający czas dojścia do celu. Pokazywał sto osiemdziesiąt trzy sekundy. – Wystrzelili, gdy ekrany zasłoniły na chwilę wyrzutnie.

– Sprytnie – mruknął Imbar.

– Bardzo – dodał ponuro Gensonne. – Ale w sumie żadne zmartwienie. My też potrafimy być sprytni.

Tyle że przez najbliższe sto kilka sekund nie mieli po temu szans. Sześćdziesiąt sekund przed kontaktem z pociskami *Copperhead* i *Adder* powinny wystrzelić antyrakiety. Czterdzieści pięć sekund później otworzyć ogień z działek do tych pocisków, które by jeszcze ocalały.

Ale na razie nie wiedzieli, na którą jednostkę nakierowana była ta salwa. Frustrująca sytuacja. Można było tylko przypuszczać, że jeśli Heissman znał się choć trochę na rzeczy, skierował salwę na jeden z czołowych krążowników. Może na oba. Kompetentny oficer flagowy powinien już się połapać, że to ciężkie krążowniki były odpowiedzialne za odpalenie antyrakiet, i jeśli ktokolwiek chciałby trafić *Odina* albo *Tyra*, najpierw musiał zneutralizować ich osłonę.

Cóż, niech próbują. Ciężkie krążowniki miały pełen zapas antyrakiet i jeśli Heissman chciał marnować swoje pociski na testy, to tym lepiej...

Chyba że...

Gensonne zaklął i spojrzał na tablicę statusów. Nadal widniały tam czerwone punkty informujące o niesprawności dolnego działka krążownika.

Jeśli któryś z pocisków nadleci przypadkiem akurat od jego strony...

– Do wszystkich, na mój znak zmniejszyć przyspieszenie. – Spojrzał znowu na ekran taktyczny. Istniały dwie możliwe reakcje na podobne zagrożenie. *Copperhead* mógł albo obrócić się na prawą burtę, by ustawić się sprawnymi czujnikami do pocisków, albo obrócić wokół osi podłużnej, by odgrodzić się od nich ekranem. Tyle że skoro leciał w zespole, a zespół przyspieszał, natychmiast rozbiłoby to formację. Aby temu jakoś przeciwdziałać, należało zmniejszyć przyspieszenie całego zespołu.

Oczywiście dawało to przeciwnikowi chwilę oddechu, jednak trudno było sobie wyobrazić taki rozwój sytuacji, który cokolwiek naprawdę by zmienił. Owszem, ostatnia jednostka Heissmana, wyznaczona wyraźnie do zbierania i przekazywania danych, mogła w tych warunkach odsadzić się trochę bardziej od grupy, ale w sumie i dla niej było już za późno na ratunek.

Pozostałe jednostki musiałyby wykonać ponownie manewr w pionie, jeśli chciałyby coś wskórać. Ale to dałoby się od razu zauważyć i zawsze zajmowało sporo czasu.

Nie, zespół Heissmana nie miał żadnej swobody wyboru. Gensonne mógł działać wedle swego uznania.

– Do wszystkich, zmniejszenie przyspieszenia, teraz. Imbar?

– Wszystkie jednostki zwalniają – zameldował tamten. – Formacja utrzymana.

Gensonne przytaknął i zerknął na ekran taktyczny. *Copperhead* wykorzystał sposobność i wykonywał już obrót na prawą burzę.

Do diabła, pomyślał Gensonne. Skoro już musieli zwolnić, to w sumie marnowanie rakiet nie miało sensu.

– Von Belling, dziób w dół – rzucił do mikrofonu. – Ekranem do pocisków.

– Dam radę – dobiegł go głos von Bellinga.

– Powiedziałem pociski na ekran – warknął Gensonne.

– Aye, aye, sir – odparł tamten z wyraźną niechęcią. – Wykonuję.

Widoczny na ekranie taktycznym *Copperhead* pochylił dziób, chroniąc się za górnym ekranem. Jeśli przypadkiem zrobił to za późno, pomyślał Gensonne, to lepiej, żeby go te pociski dopadły, bo inaczej ja się nim zajmę.

W sumie jednak nie było aż tak źle. Krążownik wykonał manewr ze sporym wyprzedzeniem, pociski zaś rozdzieliły się na dwie grupy, po cztery na każdy z krążowników. Te skierowane na *Copperheada* uległy nieszkodliwie dezintegracji na jego ekranie, *Adder* poradził sobie z pomocą antyrakiet i działek. *Odin* też otworzył chwilę wcześniej ogień z działka, ale jak się okazało, całkiem niepotrzebnie. *Copperhead* wrócił z wolna do normalnego położenia i chwilę później zespół mógł ponownie zwiększyć przyspieszenie.

Nie było już żadnych przeciwwskazań do rozpoczęcia walki.

- Pociski gotowe? – spytał Gensonne.
- Gotowe – potwierdził Imbar.
- Sześć w lekki krążownik. Ognia.



– Wszystkie pociski zostały zniszczone – zameldował Rusk. – Brak trafień.

– Przyjąłem – odparł Heissman. – Alfredzie? Czego się dowiedzieliśmy?

– Ich systemy defensywne są chyba porównywalne z naszymi – stwierdził Woodburn, wczytując się w analizę. – Antyrakiety na krążownikach, reszta ma tylko działka. Wszystko w miarę nowoczesne. ECM też niezłe. Przynajmniej raz udało im się zmylić nasz pocisk. Może dwa razy. Nie szczędzą również amunicji do działek.

– Ani rakiet – dodał Rusk. – Mamy dwa odpalenia, trzysta pięćdziesiąt g, oczekiwany kontakt za sto pięćdziesiąt trzy sekundy. Już cztery pociski, te same dane. Teraz sześć. Sześć pocisków za sto czterdzieści osiem sekund.

Travis aż się skrzywił. Sześć pocisków na cztery jednostki Manticore, które miały obronę sprawną tylko w osiemdziesięciu procentach.

Woodburn musiał chyba pomyśleć o tym samym.

– Nie sądzę, abyśmy mogli poradzić sobie z tyloma ptaszkami, komodorze.

– Zgadzam się – odparł Heissman. – Ale musimy też zebrać trochę danych na temat ich możliwości.

– Więc przyjmujemy na siebie? – spytała Belokas.

– Niezupełnie – sprecyzował Heissman. – Zaczniemy zwrot na lewą burzę, niewielki, tylko kilka stopni. Chcę wystawić się do nich prawoburtową osłoną. Te, które pójną kursem z boku, zneutralizujemy antyrakietami. W ten sposób przyjrzymy się ich możliwościom bojowym, nie ryzykując przyjęcia zbyt wielu jednocześnie.

Travis zerknął na Woodburna, czekając, aż oficer taktyczny zgłosi oczywiste zastrzeżenie: że wiązało się to ze zbyt wielkim ryzykiem, zwłaszcza jeśli tamte pociski miały przewidywane właściwości penetrujące. Cztery albo pięć głowic trafiających w boczne pole osłonowe. Prosta droga do katastrofy.

W normalnych okolicznościach podobne manewry obronne byłyby igraniem z losem wobec zawodności bocznych osłon. A co dopiero teraz, gdy zagrożenie miało więcej niż jedną postać. I tak naprawdę nie wiedzieli jeszcze, czym Tamerlane do nich strzelał.

Jednak Woodburn nie przerywał milczenia. Co było zresztą logiczne, skoro komodor już wcześniej zgodził się z Travisem, że Casey ma przede wszystkim zebrać dane o przeciwniku i pomóc w ten sposób Locatellemu odeprzeć inwazję.

Pociski były coraz bliżej. Travis obserwował na ekranie, jak Belokas ustawiała krążownik na ich drodze, gdy nagle coś przyszło mu do głowy. Jeśli tylko obserwacje, które poczynił przy okazji odpalenia ich pierwszej salwy, były trafne, jeśli mu się nie zdawało...

Przeanalizował przebieg tamtej akcji na kompie. Tak, zgadzało się. To może zadziałać. Byłaby to chytra sztuczka, i to sztuczka wymagająca idealnego zgrania czasowego, ale miałyby prawo zadziałać.

Kondensatory wyrzutni zamruczały basowo, gdy Casey odpalał salwę antyrakiet. I tej samej chwili Travis pomyślał, że jeśli manewr Heissmana nie zadziała, nie dowie się nawet, czy jego pomysł miał jakiś sens. Przy prędkości, z jaką poruszały się pociski, antyrakiety miały tylko dwie dziesiąte sekundy, by spełnić swoje zadanie. Jeśli im się nie uda albo boczne osłony nie wytrzymają...

Na ekranie pojawiły się dwa jasne rozbłyski oznaczające zniszczenie dwóch pocisków. Niemal w tej samej chwili pokład drgnął gwałtownie i panującą na mostku ciszę przerwało wycie alarmów.

Travis sprawdził status systemów niszcyciela. Żaden z czterech pocisków nie dosięgnął burty, ale dwa z nich eksplodowały na mikrosekundę przed dotarciem do osłony burtowej i fala uderzeniowa przeładowała i zapewne zniszczyła przedni generator.

– Dwójka nie działa! – zawołała Belokas ponad hałasem alarmów. – Czwórka uszkodzona, przejmuje osłonę.

– Mamy ofiary – dodał z przejęciem Kebiro znad panelu łączności. – Siedem osób, stan nieznany. Sanitariusze już w drodze, załoga sprawdza resztę uszkodzeń.

Travis zaklął bezgłośnie. Na każdej burcie mieli po dwa generatory, przy czym do utrzymania osłony wystarczał tylko jeden. Jednak jak wiadomo,

dwoje może żyć za te same pieniądze co jeden, ale dwa razy krócej. Prawoburtowa osłona *Caseya* była aktywna, ale *de facto* działała na połowę mocy. Jeszcze jeden taki atak, a padnie.

A krążowniki przeciwnika zdawały się mieć całkiem spory zapas pocisków i nie próbowały ich oszczędzać.

Alarmy umilkły.

– Alfredzie? – spytał Heissman ze zwykłym spokojem.

– Pociski podobne do naszych – powiedział Woodburn, chyba trochę bardziej spięty. – Trochę lepsze EMC, ale nasze rakiety spokojnie sobie z nimi poradziły.

– To znowu sugeruje raczej najemników, nie regularną flotę – stwierdził Heissman. – A już na pewno nie jest to flota powiązana z Ligą Solarną. Oni nie używaliby tak przestarzałego sprzętu.

– I to jest dobra wiadomość – odezwał się Woodburn trochę donośniej, zawisając tuż obok Trávisa. – Zła jest taka, że mają chyba spory zapas tych pocisków.

– Ciekawe, na co czekają – mruknął Rusk. – Przecież to idealna chwila, by wystrzelić drugą salwę.

– Pewnie analizują jeszcze dane – powiedziała Belokas. – Wyobrażam sobie, że są nie mniej ciekawi naszych możliwości niż my ich. Szukają naszych słabych punktów. A to znaczy, że nie chcą jednak marnować zbyt wiele amunicji. No i szykują się w ten sposób do walki z Aegisem.

– A skoro nie możemy ich zatrzymać, najlepiej chyba zrobimy, spowalniając ich na tyle, by *Gorgon* dał radę umknąć z jak największym zasobem informacji – stwierdził Heissman. – A przy okazji może uda nam się zadać im jakieś straty.

– Wraz z korwetami mamy jeszcze dwadzieścia pocisków, plus siedem ćwiczebnych – zauważyła Belokas. – Jeśli wystrzelimy wszystkie, powinniśmy załatwić chociaż jeden z tych bliższych krążowników.

– Nie zdołamy kontrolować tylu pocisków jednocześnie – przypomniał Woodburn.

– Jak długo jednostki Tamerlane’a nie przyspieszają, to nie ma większego znaczenia – zauważyła Belokas. – Będą musieli się bronić i nawet jeśli im się uda, stracą sporo antyrakiet. Już to jest coś warte.

– Chociaż może uda się zrobić coś więcej – powiedział Woodburn. – Pan Long ma pewien pomysł.

– Sir? – spytał porucznik, obracając się ze zdumieniem w stronę przełożonego.

Woodburn pokazał na ekran, gdzie jaśniała zaprogramowana przez porucznika symulacja.

– Powiedz im.

Travis poczuł nagłą suchość w gardle. Nagle poczuł się jak wtedy, na mostku *Phoenixa*, gdy przyszło mu doradzać kapitanowi Castillo, nie mając nawet chwili na przemyślenie sytuacji.

Niemniej Heissman nie przypominał Castilla, a gdyby kombinacja zadziałała...

– Sądzę, że górny ciężki krążownik ma problemy z podkadłubowym działkiem – powiedział. – Jeśli tak jest, wówczas...

– Skąd możemy to wiedzieć? – przerwała mu Belokas i zmarszczyła brwi. – Nawet z niego nie wystrzelili.

– Niemniej przygotowując się do odparcia naszej salwy, najpierw zaczęli zwrot na prawą burzę, który jednak przerwali i ustawili się do nas ekranem – wyjaśnił Travis. – Całkiem jakby przygotowywali się do klasycznej

obrony, po czym coś skłoniło ich do zmiany planu. Miałem trochę doświadczenia z opornym działkiem na *Phoeniksie* i to też wygląda mi na problem z tracącym kalibrację sensorem.

– Alfredzie?

– On może mieć rację – powiedział Woodburn. – Też sprawdziłem i to przerwanie manewru miało miejsce.

– Zakładając, że ma pan rację. Co wtedy? – spytał Heissman.

– Z początku przyjęliśmy, że Tamerlane jest tak bystry, jak mu się wydaje – stwierdził Travis. – Jeśli tak, to też pewnie dojrzał ten niedokończony zwrot i doszedł do prawidłowych wniosków. Może więc oczekiwać, że spróbujemy wykorzystać tę słabość krążownika, strzelając w niego pełną salwą.

– Okręt zaś albo zaryzykuje obronę z niezupełnie sprawnym działkiem, albo zareaguje podobnie jak wcześniej, czyli pokaże nam ekran – odezwał się Woodburn, przełączając symulację na ekran dowódcy. – W drugim przypadku możemy ich zaskoczyć.

Heissman wpatrywał się dłuższą chwilę w wyświetlacz, aż w końcu lekko się uśmiechnął.

– Owszem, rozumiem. To będzie strzał na dystans, ale gdy nie ma się wyboru, trzeba spróbować i tego. – Skinął głową. – Przygotować plan salwy.



– Analiza zakończona, admirale – oznajmił Imbar, wiszący u ramienia oficera taktycznego Clymesa. – Antyrakiety analogiczne do naszych, z zasięgiem około tysiąca trzystu kilometrów, typ amunicji podobny do działek.

Gensonne uśmiechnął się lekko. Casey miał minimalnie gorsze uzbrojenie niż *Copperhead* i *Adder*. Jeśli zaś Llyn miał rację i ten krążownik był najnowocześniejszym we flocie Manticore, to by znaczyło, że duże jednostki, znajdujące się w dalszym zespole, który leciał im na spotkanie, powinny okazać się łatwiejszymi przeciwnikami.

I dobrze, bo mogło być znacznie gorzej. Chociaż z drugiej strony, mogło też być lepiej. Stracił masę czasu, namawiając Llyna, by dostarczył im lepsze uzbrojenie, ale ten cholerny urzędnik był ciągle na nie. Powtarzał, że Volsung nie potrzebuje niczego bardziej zaawansowanego, a na dodatek Liga Solarna dałaby im popalić, gdyby coś takiego trafiło w ich ręce.

To ostatnie było oczywiście zwykłym wykrętem. Axelrod Corporation była dość silna i wpływowa, by żaden z biurokratów odpowiedzialnych za egzekwowanie regulacji dotyczących handlu bronią nie śmiał jej podskoczyć. Llyn nie chciał po prostu, żeby jakaś banda najemników nazbyt się wzmocniła.

Ale to się zmieni, pomyślał Gensonne. Gdy tylko Llyn zobaczy, jak szybko i skutecznie załatwili tę sprawę, Axelrod na pewno będzie chciał ich mieć pod ręką i zleci Volsungowi jeszcze niejedną robotę.

I Llyn mógł być pewien, że kwestia nowoczesnego uzbrojenia ponownie znajdzie się na tapecie.

– Salwa gotowa, sir – oznajmił Imbar.

– Przyjąłem – odparł Gensonne. Teraz ważne było pytanie, czy zebrali już wszystkie dane, które Casey mógł im dostarczyć. Jeśli tak, należało kończyć tę zabawę. Jeśli nie, można było trochę jeszcze się z nimi podrażnić.

– Pociski – oznajmił Clymes. – Po dwa z każdej korwety.

Gensonne obrócił się do ekranu. Rzeczywiście, przy obu mniejszych jednostkach pokazały się rozbłyски chemicznych rakiet. Marnowanie czasu, chociaż z drugiej strony, co innego mieliby robić?

– Sześć pocisków na krążownik – rozkazał. – Strzelać, gdy będziecie gotowi. – Tamte pociski wyszły poza obrys ekranów korwet i włączyły własny napęd.

Dwa pociski z każdej korwety. Ale nic z krążownika?

Gensonne zmarszczył brwi. Czyżby *Casey* został tak mocno uszkodzony, że nawet system wyrzutni oberwał? Llyn wspomniał, że jednostka była miejscowego projektu. Może jego konstruktorzy popełnili mimowolnie jakiś błąd, który teraz dał o sobie znać?

– Uszkodzenia *Caseya*? – spytał.

– Prawoburtowa osłona działa na pół mocy – zameldował Imbar. – Już o tym rozmawialiśmy...

– Kolejne rozbłyски – przerwał mu Clymes. – Po jednym przy każdej z korwet.

– I ciągle nic z *Caseya*?

– Nie, sir.

To nie miało sensu, chyba że krążownik naprawdę stracił zdolność odpalania pocisków. Niewątpliwie cenna informacja, zwłaszcza jeśli inne jednostki *Manticore* mogły być obciążone podobną słabością.

Chociaż tak naprawdę nie miało znaczenia, które teraz strzelały, a które nie. Bardziej intrygował fakt, że przeciwnik próbował tej samej sztuczki co wcześniej i łatwo można było się domyślić, kogo zamierzał teraz zaatakować. Heissman musiał być dobrym obserwatorem i nieumiejętny manewr von Bellinga nie uszedł jego uwagi. Tamci wiedzieli już, gdzie jest słaby punkt krążownika.

Co też nie było właściwie problemem.

– Nakazać *Copperheadowi* ustawić się ekranem do przeciwnika – powiedział do Imbara. – *Adder* przygotowuje antyrakiety, reszta gotowość na działkach.

Począł na potwierdzenie przyjęcia rozkazów i skupił uwagę na sześciu pociskach mknących w stronę jego formacji z przyspieszeniem trzech tysięcy pięciuset g. Ich czas lotu wynosił minutę i piętnaście sekund, przy czym czterdzieści sekund wcześniej powinny albo skręcić w stronę *Copperheada*, albo rozdzielić się, by zaatakować także *Addera*. Wtedy okaże się, czy rzeczywiście dostrzegli słabość krążownika, czy też może Heissman znał tylko jedną sztuczkę i nie umiał nic więcej.

Co byłoby żałosne, ale przecież spotykane. *Manticore* zbyt długo cieszyło się pokojem. O wiele za długo. Wojna czyni mężczyzn silnymi i przebiegłymi, pokój rozlazłymi. Naturalne prawo, iż lepiej przystosowany ma największe szanse na przetrwanie, nie działa wtedy tak, jak powinno, i to są skutki.

Czy właśnie dlatego Axelrod wybrał *Manticore* na cel swojej operacji? Może szukali takiego właśnie układu i doszli do wniosku, że nikt nie zwróci większej uwagi, jeśli na tej zapadłej prowincji dojdzie nagle do zmiany rządów?

Jeśli tak, to było wyrzucanie pieniędzy w błoto. Z drugiej strony, korporacja spała na pieniądzach. Jeśli chcieli zmarnować ich trochę na ustanowienie własnego królestwa, nikt nie mógł im tego zabronić.

Copperhead dokończył manewr, ustawiając się górnym ekranem do nadlatujących pocisków. Te trzymały wciąż formację, a ich kurs nie zdradzał, dokąd właściwie zmierzały. Cokolwiek Heissman kombinował, musiał chyba pogodzić się z losem i wiedział, że nie wyjdzie z tego żywy.

Zapewne wymyślił sobie, że będzie nękał Volsunga pociskami, by zmusić przeciwnika chociaż do marnowania amunicji...

Gensonne spojrział znowu na ekran i lekko przymrużył powieki. Tamci wystrzelili sześć pocisków, Clymes zresztą to potwierdził. I na wyświetlaczach też widać było sześć sygnatur ekranów.

Tyle że te sygnatury napędów były trochę zbyt silne. Dlaczego?

Adder wystrzelił rój antyrakiet, które rozeszły się, tworząc stożek zniszczenia, mający ochronić odległe o tysiąc kilometrów krążowniki liniowe...

Gensonne poczuł nagły przypływ adrenaliny. Stożek był tylko jeden, podczas gdy to dopiero konfiguracja dwóch takich stożków dawała ciężkim jednostkom skuteczną ochronę. Zwrócony ekranem do nieprzyjaciela *Copperhead* nie wystrzelił swoich antyrakiet.

Sensory nadal nie pokazywały niczego szczególnie podejrzanego, nie odnotowały też zmiany kursu pocisków. Jednak Gensonne był wojownikiem i miał ten instynkt, któremu często zawdzięcza się przetrwanie. On to krzyczał teraz wielkim głosem, że dzieje się coś złego, i był bardziej przekonujący niż wszystkie możliwe odczyty.

Ta salwa nie była wymierzona w *Copperheada*. Szła na *Odina*.

– Uruchomić działka! – wykrzyknął i spojrział na ekran. Pomyślał, żeby nakazać nagły zwrot, ale wiedział, że jest już za późno. W głębi ducha był pewien, że te sześć pocisków to nie była cała salwa. *Casey* też jakimś sposobem wystrzelił swoje. Teraz leciały, ukryte umiejętnie pomiędzy pociskami z korwet.

Działka krążownika zaczęły wypluwać pociski, wypełniając przestrzeń przed dziobem drobinami metalu. Wściekły Gensonne patrzył bezsilnie, jak pociski ominęły szerokim łukiem ekran *Copperheada*, zahaczyły ledwie

o stożek antyrakiet *Addera* i zanurkowały prosto ku dziobowej części *Odina*...

Rozległ się potężny huk, po którym na całym okręcie zawyły sygnały alarmowe.



– Trafiliśmy go! – wykrzyknął Rusk z triumfem, ale i niedowierzaniem w głosie. – Jeden się przebił.

– Uszkodzenia? – spytał Heissman.

– Właśnie oceniamy – odparł Woodburn. – Widać całą masę śmieci, ale przy jednostce tych rozmiarów to naturalne.

– Odpalenie – zameldowała Belokas. – Sześć w drodze.

– Antyrakiety i działka w gotowości – potwierdził Woodburn.

– Obraz trochę się oczyścił – powiedział Rusk. – Chyba dostał w dziób. Zapewne stracił telemetrię, a przy odrobinie szczęścia także jedną wyrzutnię i może przedni laser.

– Świetnie – powiedział Heissman. – Odpalić jeszcze cztery, zobaczymy, co się uda zrobić, zanim ten górny krążownik połapie się w sytuacji i wróci do pozycji osłonowej.

– Aye, sir – odparł Travis, sprawdzając kurs nadlatujących pocisków. Odczuwał ponurą satysfakcję, że chociaż i tak najpewniej niebawem umrą, zdołali chociaż rozkwasić Tamerlane’owi nos.

Pokład zawibrował od salw działek.

– Wszystkie pociski zniszczone – oznajmił Woodburn. – Cztery bezpośrednio, dwa zgubiły cel. Nasze ciągle na kursie.

Travis wpatrywał się w formację przeciwnika, próbując wykoncypować, na co teraz zdecyduje się Tamerlane, gdy na skraju ekranu pojawiły się dwa

nowe symbole.

Zjawily się te okręty, które wcześniej ujawnily na krótko swoje istnienie.



– Nadajniki telemetrii zniszczone – rozległo się z głośnika ponad słyszalną w tle kakofonią krzyków i przekleństw. – Laser numer jeden niesprawny, dwójka siądzie pewnie przy pierwszym użyciu. Działka numer jeden i trzy nadają się tylko na złom.

– Odczyty wskazują, że w tej salwie było dziesięć pocisków – rzucił Imbar. – Jakim cudem mogło ich być aż dziesięć?

– A takim, że *Casey* ma elektromagnetyczne wyrzutnie – warknął Gensonne, wciąż jeszcze parujący złością. – Dzięki temu wystrzelili te cztery, których nie zdołaliśmy dostrzec.

Imbar zaklął.

– I dlatego szły tak dziwnie.

– Sądziysz? – zakpił Gensonne. Ta cholerna sztuczka kosztowała *Odina* niemal połowę przedniego uzbrojenia defensywnego.

– Kolejne cztery pociski w drodze – ostrzegł Clymes. – *Copperhead* kończy manewr. *Copperhead* na pozycji.

– Wreszcie – mruknął Gensonne. Przebiegł spojrzeniem raport o uszkodzeniach, potem zerknął na ekran taktyczny.

Ledwie antyrakiety *Copperheada* zajęły się ostatnią salwą *Caseya*, na taktycznym pojawiła się para nowych sygnatur, zmierzających z flanki ku zespołowi Manticore.

Dwa spóźnione niszczyciele, *Umbriel* i *Miranda*, zjawily się wreszcie na placu boju.

– Admirale? – spytał Imbar.

– Widzę – rzucił Gensonne, uśmiechając się drapieżnie. – Przygotować salwę. Do diabła. Teraz niech wszyscy już strzelają.



W tej jednej strasznej chwili wszystko się zmieniło.

– Odpalenia pocisków! – zameldował ponurym głosem Rusk. – Cztery z drugiej pary, celują chyba w *Gorgona*. Trzecia grupa też strzela... dziesięć pocisków.

– Dowiedzieli się wszystkiego, co chcieli, i uznali, że czas kończyć – skomentował Heissman. – Skoro tak, na nas też pora. – Włączył mikrofon. – *Hercules*, *Gemini*: rozejście promieniami. Powtarzam: rozejście promieniami. Powodzenia.

Travis skrzywił się lekko. Rozejście promieniami było oficjalnym określeniem na manewr, który stosowało się w podobnych sytuacjach. Korwety miały rozejść się w przeciwnych kierunkach w ten sposób, aby jedna znalazła się nad formacją przeciwnika, druga poniżej tej formacji. Istniała wówczas szansa, że żaden z wrogich okrętów nie zdoła wykonać obrotu dość szybko, żeby odpalić rakiety w nieosłonięte rufy korwet.

Przy zasięgu i prędkości nowoczesnych pocisków i tak mogło się nie udać, niemniej obecność dwóch nowych jednostek jeszcze bardziej pogarszała sprawę. Znajdowały się z flanki i teoretycznie cały czas mogły razić ogniem uciekające korwety.

Dla *Caseya* ich przybycie też było złą wiadomością. Znajdowały się akurat z tej burty, która osłaniana była przez pole zasilane tylko jednym generatorem. Jedno trafienie mogło go wyłączyć, wystawiając nagi kadłub na dalsze ciosy

Na ekranie widać było, jak *Hercules* i *Gemini* oddalają się coraz bardziej. Pozostający w tyle *Gorgon* wykonał obrót, odgradzając się

ekranem od dwóch nowych jednostek, niemniej z rufą na wprost głównych sił Tamerlane'a.

I tak Casey został sam.

– Komodorze? – odezwała się nerwowo Belokas.

– Trzymać stały wektor – polecił Heissman, śledząc jednocześnie dwie grupy pocisków zmierzających w ich stronę. – Odpalimy ostatnią salwę antyrakiet, żeby przy odrobinie szczęścia zdjąć dwa, które zostały wycelowane w rufę *Gorgona*.

– Na nas też idą dwa z prawej burty – ostrzegł Woodburn. – Jeśli za bardzo rozdzielimy ogień, możemy żadnego nie trafić.

– Rozumiem – mruknął Heissman. – Gotowość na wyrzutniach antyrakiet... ognia. Pochylenie, dziewięćdziesiąt stopni, dół, przyspieszenie zerowe.

Travis dostrzegł kątem oka, że wszystkie głowy zwróciły się w stronę dowódcy.

– Pochylenie, dziewięćdziesiąt stopni, dół, przyspieszenie zerowe, aye, sir – potwierdził sternik. – Jest pochylenie dziewięćdziesiąt stopni, dół, przyspieszenie zerowe.

– Przyspieszenie zerowe? – spytała cicho Belokas.

– A tak – potwierdził Heissman. – Przejdziemy prosto przez środek ich formacji. Może spowodujemy w ten sposób trochę zamieszania i pomożemy korwetom uciec.

Zapadła chwila ciszy i tylko Woodburn mruknął coś pod nosem.

– Rozumiem, sir – odparła Belokas.

– Pociski z prawej idą wprost na nas – rzucił Rusk. – Nie wiem, czy osłona burtowa zdoła je zatrzymać.

– Zatem spróbujmy czegoś szalonego – powiedział Heissman. – Gdy tylko znajdą się w zasięgu torped energetycznych, wyłączysz na moment osłonę i wystrzelisz dwie wzdłuż wektora lotu pocisków. Potem zaraz włączysz osłonę. Może wyeliminujemy w ten sposób chociaż jeden z nich.

Travis poczuł, jak ścisnęło go w żołądku. Torpedy energetyczne, czyli ładunek plazmy pobranej wprost z reaktora, były na krótki dystans bardzo skuteczną bronią. Tyle że nie stosowano ich zwykle do zwalczania pocisków.

Woodburn też o tym wiedział.

– To strzał na spory dystans – uprzedził. – No i możemy nie zdążyć z reaktywacją osłony. Jeśli całkiem chybimy, oba dorwą nam się wprost do burty.

– Owszem – przytaknął Heissman. – Ale jedyna opcja to pokładać nadzieję w osłabionej osłonie. – Uśmiechnął się słabo. – Jak dotąd takie strzały na duży dystans nieźle nam wychodzą.

– Też prawda – stwierdził Woodburn, odwzajemniając uśmiech. – Dobrze, sir. Torpedy energetyczne w gotowości.

Symbol *Gorgona* zamigotał nagle na ekranie taktycznym i zniknął.

– Straciliśmy *Gorgona*, sir – zameldował cicho Rusk. – Dolny krążownik obraca się, żeby strzelać w *Gemini*.

– Gotowość komputera do chwilowego wyłączenia osłony i wystrzelenia torped energetycznych – powiedział Woodburn.

– Przyjąłem – odparł Heissman. – Komputer na auto.

– Komputer na auto, aye, sir – potwierdził Woodburn. – Teraz...

Travis poczuł lekką wibrację pokładu, gdy Casey wypuścił dwie torpedy w próżnię. Były zdumiewająco szybkie i niewiele ustępowały pokładowym

laserom, emitującym promienie rentgenowskie. Kolejna wibracja oznaczała drugą salwę.

– Osłona podniesiona – oznajmił Woodburn.

Travis wstrzymał oddech.

Nadzieja i skrzyżowane palce niewiele tutaj znaczyły. Chwilę później cały krążownik drgnął gwałtownie. Wszyscy wiedzieli, co to oznaczało.

Pociski zostały zatrzymane, ale drugi prawoburtowy generator nie wytrzymał i też wysiadł.

– Uszkodzenia? – spytał Heissman, gdy znowu zawyły alarmy.

– Generator nie działa – zameldowała Belokas. – Wtórne uszkodzenia w tym samym sektorze. Brak meldunków o ofiarach.

Teraz Travis czuł ucisk w piersi. Bez prawej osłony, z niecałą połową pocisków i na balistycznej trajektorii wprost na formację przeciwnika, który znajdzie się dość blisko, by zagrozić im laserami... Dla krążownika to było jak walka na białą broń. I to w sytuacji, gdy byli częściowo obnażeni. Tamerlane mógł spokojnie się namyślić, komu powierzy zaszczyt wykończenia jednostki RMN.

Travis spojrzał na ekran taktyczny i zmarszczył brwi. Tamten dał się już poznać jako bystry, ale rozsądny i ostrożny dowódca. Musiał pamiętać o laserach na dziobie i rufie krążownika, zatem zaatakuje raczej od prawej burty, gdzie nie było żadnej broni defensywnej oprócz torped energetycznych. Poza tym w boczną sylwetkę łatwiej było wycelować niż wówczas, gdy strzelało się dokładnie od rufy czy od dziobu.

Casey miał już tylko osiem bojowych pocisków, ale były jeszcze cztery ćwiczebne. Przy elektromagnetycznych wyrzutniach można było również i te wypchnąć niezauważenie w próżnię. A skoro tak...

Odchrząknął głośno.

– Komodorze Heissman? Mam pewien pomysł.



– Bo ja będę miał czysty strzał, a ty nie – powiedział kapitan Blakely w swój zwykły irytujący sposób. Jako osoba pedantyczna zawsze uważał się za kogoś lepszego. – Chcesz załatwić Heissmana, jasne. Ale ty dowodzisz tą potyczką i nie możesz tak sobie opuszczać szyku, ile razy przyjdzie ci na to ochota. Nie teraz, gdy ten drugi zespół jest już całkiem blisko. Masz siedzieć tam, gdzie jesteś, i robić za admirała. – Przerwał na chwilę i uśmiechnął się szyderczo. – I dumnie wystawić się pierwszy na strzał.

Gensonne spojrzał wściekle na ekran. Gdyby tylko mógł, rzuciłby się na rozmówcę z pięściami.

Jednak niestety tamten miał rację. *Casey* poruszał się po płaskiej trajektorii i zasadniczo był łatwym i tłustym kąskiem, jednak to *Tyr* był na idealnej pozycji, żeby otworzyć ogień, *Odin* zaś nie.

Co równie ważne, *Tyr* miał sprawne uzbrojenie pościgowe, *Odin* nie.

– Niech będzie – warknął Gensonne. – Tylko miej się na baczności. Znajdziesz się w zasięgu jego broni energetycznej. Z plazmową czapeczką będziesz wyglądał jeszcze bardziej kretyńsko niż teraz.

– Chcesz potrzymać mnie za rączkę? – odparował Blakely. – Wiem, jak nadziać świnie na rożen. Poza tym będę używał dziobowych celowników, on zaś burtowych, co da mi co najmniej pół, może nawet trzy czwarte sekundy przewagi. Zakładając, że zostały mu jeszcze jakieś celowniki po tym, gdy oberwał w burtę. – Machnął niecierpliwie ręką. – Ty lepiej pomyśl o tym nowym towarzystwie i dopilnuj *Llyna*, żeby nam zapłacił bez obsuwy po tej robocie. Ja zajmę się Heissmanem i jego cennym *Caseyem*.

– Niech będzie – powtórzył Gensonne. – Tylko uwijaj się z tym. Będziemy musieli jeszcze zgrać wszystko z głównymi siłami, nim tamci się zjawią. Masz być już wtedy z powrotem na swoim miejscu.

– Nawet nie zauważysz, jak wrócę – rzucił Blakely. – Jakbyś się nudził, niech ci Imbar przyniesie jakąś książkę.

Gensonne zaklął pod nosem i wyłączył wyświetlacz. Przez chwilę krzywił się jeszcze do pustego ekranu, po czym zajął się analizą taktyczną. I w tej materii Blakely miał rację. Czujniki i systemy naprowadzające wyrzutni torped energetycznych były ze swej technicznej natury wolniejsze niż systemy laserowe. Heissman spróbuje zapewne jak najszybciej ustawić swój okręt ekranem do *Tyra*, ale potrzebował na strzał tylko pół sekundy od chwili dostrzeżenia celu, zatem należało oczekiwać, że wybebeszy krążownik, zanim jeszcze tamten zdoła oddać salwę.

Ale niezależnie od tego wychodziło na to, że Blakely chciał utrzić Gensonne'owi nosa, niszcząc niewielką jednostkę, która wcześniej zdołała nabić *Odinowi* sporego guza. Dobrze. Gensonne był ponad to. Widział wszystko w szerszej perspektywie. Dlatego był admirałem, podczas gdy Blakely tylko kapitanem.

A jeśli Blakely miał swoje ambicje i marzył mu się awans?

Gensonne uśmiechnął się przebiegle. Lepiej, żeby o tym nie myślał.



Trzy czwarte sekundy.

Travis raz jeszcze sprawdził obliczenia. Podobnie jak Woodburn, Heissman i chyba wszyscy na mostku. Jednak liczby były bezlitosne i ciągle oznaczały to samo. Że *Casey* jest skazany na zagładę.

Wrogi krążownik liniowy dokończył obrót i jego dziobowy laser mierzył już w miejsce, w którym *Casey* miał znaleźć się za dziewięćdziesiąt sekund. Dystans był morderczo mały, ledwie tysiąc kilometrów. W dobie pocisków dalekiego zasięgu i wysokoenergetycznych laserów wręcz śmieszny.

Kapitan tamtego okrętu bez wątplenia zdawał sobie sprawę z ryzyka, ale także potrafił liczyć. Wiedział, że od chwili, gdy jego przedni grzbietowy laser uzyska możliwość czystego strzału poniżej ekranu *Caseya*, system prowadzenia ognia sam zlokalizuje cel, prześle dane do baterii i wystrzeli. Udział człowieka nie był wymagany, a jeśli elektronika pokładowa była w miarę nowoczesna, wszystko nie powinno zająć więcej niż ćwierć do pół sekundy.

Strzał będzie tylko jeden, zważywszy na czas ładowania kondensatora, ale przy dwusekundowym oknie starczy i ten jeden.

Ogień *Caseya* też będzie prowadzony automatycznie, czyli najszybciej, jak to możliwe, proces celowania i odpalania zajmował w przypadku torped energetycznych więcej czasu, co oznaczało, że krążownik odda strzał blisko pół sekundy później niż przeciwnik.

Inaczej mówiąc, będzie gotów do salwy dopiero pół sekundy po swojej zagładzie.

Chyba że zdoła kupić jakoś trzy czwarte sekundy życia.

Travis wiedział, co laser rentgenowski potrafił zrobić z okrętem. Jeśli *Casey* zostanie trafiony, promień przebije burtę i dotrze do przedziałów wewnętrznych, patrosząc jednostkę jak rybę. Jeśli trafi przy tym w reaktor, wszystko skończy się w wielkiej, ognistej kuli. Jeśli nie trafi, śmierć nadejdzie trochę później. Niektórzy zginą, gdy powietrze ulotni się z zamkniętych dotąd pomieszczeń, innym przyjdzie umierać w błakającym się już na zawsze w próżni wraku.

Jedyne, co mogło ich ocalić, to powodzenie wariackiego planu Trávisa. No i determinacja Heissmana, który zaaprobował ten plan.

Trzy czwarte sekundy.

– Dziesięć sekund – oznajmił Woodburn.

Travis ostatni raz spojrział na panel i odruchowo zaczął odliczać. Dziesięć kilometrów za *Caseyem* i dwadzieścia kilometrów z prawej burty wisiał w próżni jeden z pocisków ćwiczebnych, prowadzony na razie promieniem ściągającym. Przy przeciwniku odległym o tysiąc kilometrów pocisk potrzebował siedem i pół sekundy, żeby dotrzeć do niego po włączeniu napędu. W obecnej sytuacji to była cała wieczność.

Szczęśliwie nie musiał lecieć aż tak daleko.

Travis obejrzał się na ekran taktyczny, zastanawiając się, jakim cudem przy obecnym stanie ducha zdołał wprowadzić te wszystkie dane. Adrenalina nie pomagała w ustaleniu czegoś tak precyzyjnego jak kurs pocisku. W myślach doliczył do zera...

Krażownik liniowy pojawił się na ekranie tuż poniżej ekranu *Caseya*. Gotów do otwarcia ognia. Travis ocenił, że stanie się to po jednej czwartej sekundy po uzyskaniu kontaktu.

W tej samej chwili wiszący niedaleko pocisk ruszył przed siebie.

Nie kierował się na krążownik liniowy, tylko podążał kursem równoległym, tak by przejść dokładnie między obiema jednostkami.

Pociski miały dwa tryby pracy napędu. Długodystansowy, z przyspieszeniem trzech i pół tysiąca g, i sprinterski z dziesięcioma tysiącami g. Nie można było ich przestroić, przynajmniej w warunkach pokładowych, ale nawet przy niższej wartości pocisk musiał błyskawicznie wyprzedzić lekki krążownik.

Tyle że musiał mu wcale długo towarzyszyć. Z ekranem o szerokości dziesięciu kilometrów bez trudu mógł zasłonić długi na trzysta siedemdziesiąt metrów okręt na cały ten czas, gdy punkt celowania lasera przesunął się wzdłuż kadłuba.

Czyli przez kluczowe trzy czwarte sekundy.

Travis nie widział, gdy tamten oddał strzał. Ekran pocisku całkowicie odgrodził *Caseya* od przeciwnika. Potem jednak pocisk pognał dalej, a krążownik liniowy znalazł się dokładnie naprzeciwko burty jednostki Travisa.

I w tej samej chwili *Casey* oddał śmiertelnośną salwę.



Gensonne zamarł z otwartymi ustami i spojrzeniem wbitym w ekran taktyczny. Wciąż nie wierzył w to, co widział przecież na własne oczy. To było niemożliwe. Suche liczby dowodziły, że to nie mogło się zdarzyć. *Tyr* nie miał prawa chybić, a *Casey* nie miał prawa strzelić pierwszy.

Liczby kłamały. Jakimś cudem nie mówiły prawdy.

Ku wielkiemu przerażeniu Gensonne'a *Tyr* zaczął się rozpadać.

Najpierw stracił osłonę dziobową, gdy kula supergorącej plazmy wgryzła się w płyty poszycia, rozdzierając grube blachy jak papier. Nim jeszcze ogarnęła elementy konstrukcji kadłuba, w to samo miejsce trafił drugi ładunek, docierając jeszcze głębiej. Przedni pierścień impellerów rozpadł się momentalnie i ekrany krążownika zniknęły, zostawiając po sobie tylko burzę grawitacyjnych zawirowań. Potem nadleciała kolejna torpeda, i następna, i jeszcze jedna. Gensonne ciągle jeszcze żywił nadzieję, że jeśli żadna nie trafi w podwójny reaktor umieszczony w rufowej ćwiartce jednostki, to może ktoś chociaż tam ocaleje.

Ale nie. Ostatni ładunek trafił bliżej rufy...

I *Tyr* zmienił się w puchnącą błyskawicznie kulę ognia z rozlatującymi się na wszystkie strony strzępami metalu i kawałkami ludzkich ciał.

Przez dłuższą chwilę nikt na mostku *Odina* nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Gensonne spojrział na *Caseya*, dryfującego niespiesznie przez formację.

A raczej to, co z niej zostało.

– Admirale? – odezwał się zduszonym głosem Imbar. – *Casey* zbliża się do *Phobosa*. Mają otworzyć ogień?

Tak, chciał w pierwszej chwili krzyknąć Gensonne. Załatwić ich, zabić!

Jednak nie mógł wydać tego rozkazu, skoro nie wiedział, jakiej to magii użył Heissman, żeby pokonać *Tyra*. A skoro skorzystał z niej raz, równie dobrze mógł powtórzyć to przy spotkaniu z *Phobosem*. Gensonne nie mógł ryzykować utraty drugiej jednostki.

– Nie – powiedział przez ściśnięte gardło. – Przekazać *Phobosowi*, by ustawił się do nich ekranem i pozwolił odlecieć.

Wyprostował kark, trąc skórą o kołnierz kurtki. Poza tym główna formacja była już niedaleko, a *Casey* dryfował właśnie w jej stronę. Niebawem miała włączyć napędy i pomóc w walce z drugim zespołem floty *Manticore*. Może przy okazji załatwią też *Caseya*.

Spojrzał na rozpraszającą się chmurę szczątków pozostałych po *Tyrze*.

– Do zobaczenia w piekle – mruknął. – Ja będę tym ubranym na biało.



Zanim denny ekran *Caseya* zasłonił widok, wynik starcia był przesądzony. Travis z napięciem obserwował, jak zbliżali się do tylnej jednostki formacji, i zastanawiał się, czy znowu przyjdzie im walczyć.

Jednak utrata krążownika liniowego musiała chyba wstrząsnąć Tamerlane'em. Casey przemknął obok jednostki, która na dodatek ustawiła się do niego ekranem.

To, co rozległo się na mostku krążownika, nie było dokładnie westchnieniem ulgi, ale napięcie wyraźnie osłabło.

Pierwsza przerwała milczenie Belokas.

– I co teraz, sir?

– Nie wiem – powiedział z zastanowieniem Heissman. – Podręczniki walki poświęcają zdumiewająco mało miejsca sytuacji, gdy ktoś znajdzie się na tyłach zespołu przeciwnika. Może dlatego, że coś takiego zdarza się naprawdę rzadko.

– Ale zawsze możemy improwizować – zasugerował Woodburn.

– I to nam zostaje – zgodził się Heissman. – W każdym razie spróbujemy. Na początek może oddalmy się stąd trochę, a potem zobaczymy, co da się zrobić.

EPILOG



Chcę, abyś wiedział, że wnioskowałem dla ciebie o CGM, Medal za Wybitną Odwagę – powiedział Heissman z trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

– Dziękuję, sir – odparł siedzący po drugiej stronie biurka Travis, któremu zrobiło się nagle dziwnie ciepło na sercu.

Niemniej jak wszystkie emocje, które żywił przez ostatnie dwa tygodnie, czyli od zakończenia bitwy, i ta naznaczona była smutkiem.

Oczywiście tak jak inni cieszył się z przetrwania, ale nie potrafił zapomnieć o tych wszystkich ludziach z załóg obu zespołów, którym się to nie udało. A było ich wielu, zatrważająco wielu.

RMN została więcej niż zdziesiątkowana. Straty były tak poważne, że niewiele dzieliło ich od przegranej. Ocalenie zawdzięczali zapewne łasce Boga oraz temu, że Tamerlane najwyraźniej nie spodziewał się aż tak zażartego oporu ani tak wysokiego poziomu wyszkolenia RMN. Zamiast walczyć do końca, wolał się wycofać.

Zaraz po ucieczce Travis zakładał, że bitwa dobiegła zasadniczo końca, a nadciągający zespół Locatellego łatwo upora się z pozostałymi jednostkami przeciwnika. Jednak Tamerlane okazał się sprytniejszy, niż oczekiwali. Gdy tylko admirał dotarł na miejsce i podjął przygotowania do walki, z tyłu ujawniła się druga grupa inwazyjna, której istnienia nikt wcześniej nie podejrzewał.

Zaskoczony Casey znalazł się nagle między dwoma zespołami wroga i gdyby nie sporo szczęścia oraz umiejętności nawigacyjne Heissmana, pewnie już by tam został.

A bitwa o Manticore tak naprawdę wtedy się zaczęła.

Dopiero dużo później, gdy wszystkie pociski dosięgły już celów i promienie laserów przestały przecinać próżnię, zrozumiano, jak wielki był koszt obrony niepodległości Królestwa.

W tych okolicznościach rozmowy o odznaczeniach czy nagrodach wydawały się mocno przedwczesne. Może nawet niestosowne. Niemniej admirał Locatelli zdążył już przypisać sobie lwią część sukcesu i głośno chwalił się nim tak w parlamencie, jak i w mediach. Należało zadbać o to, by reszta bohaterów tego dnia, prawdziwych bohaterów, też została zauważona, zanim admirał zgarnie wszystkie zaszczyty dla siebie.

– Ale nie podniecaj się za bardzo – powiedział ze smutkiem Heissman. – Wniosek został odrzucony.

Uczucie ciepła zniknęło.

– Sir? – spytał zmieszany Travis.

– Pewne osoby na odpowiednich stanowiskach stwierdziły, że ich zdaniem to wszystko było kwestią szczęśliwych zbiegów okoliczności, a twoje pomysły nie miały większego znaczenia. Że wszystko zawdzięczamy szczęściu i umiejętnej współpracy całej załogi i oficerów Casey.

– Tak, sir – powiedział Travis. – To znaczy... jasne, że to był wspólny wysiłek. Same pomysły są nic niewarte bez zespołowego działania...

– A zespołowe działanie jest nic niewarte bez dobrych pomysłów – przerwał mu Heissman. – Zwłaszcza w beznadziejnej sytuacji. Staralem się to podkreślić. Oczywiście Royal Unit Citation dostaniesz tak samo jak

reszta załogi, tego nie mogli ci odebrać, ale obawiam się, że pozostanie to niezauważone. – Spojrzał poważnie na Travisa. – Wydaje mi się, że masz paru wysoko postawionych wrogów.

Travis skrzywił się lekko. Co kapitan chciał przez to powiedzieć?

– Nigdy nie starałem się świadomie wywoływać animozji, sir – powiedział, starannie dobierając słowa.

– Świadomie czy nie, najwyraźniej ci się to nie udało – stwierdził Heissman. – Domyślam się, że ma to związek z twoim poprzednim przydziałem na *Phoenixa*.

Nawet na pewno, pomyślał Travis. Musiało chodzić o nieodżałowanego chorążego Fentona Locatellogo, krewniaka obecnego bohatera narodowego Manticore. Jeszcze przed bitwą admirał zapewne chętnie skreśliłby go z każdej możliwej listy wyróżnień. Teraz było to praktycznie nieuniknione.

Tyle że Travis nie mógł nic z tym zrobić. A nawet gdyby mógł, wolałby nie próbować. Przy tak wielkiej ofierze życia obrońców ojczyzny miał swój udział za mało istotny.

– Doceniam pańskie starania, sir – powiedział. – Jeśli to wszystko...

– Nie – odparł zdecydowanym tonem Heissman. – Pozwól, że zacznę od oczywistego. Wiem, że takie sytuacje są jak nagły kop w dupę, ale nie zwracałbym na to większej uwagi. We flocie jest wielu popapranych polityków, ale gdy się zastanowić, nas jest więcej.

Czy przez „nas” rozumiał ludzi, którzy chcieli wykonywać swoją robotę najlepiej, jak tylko potrafili? Czy też może zaliczał do tej grupy kombinatorów, którym było wszystko jedno, jak długo żołąd wpływał na konto? Bo tych też było całkiem sporo.

– Tak, sir – powiedział głośno.

– I nie myślę przy tym o szeregu inteligentnych inaczej, którzy zawsze psują krew – dodał Heissman. – O nich pomyślałeś, prawda? O ludziach, którzy mają gdzieś właściwe procedury.

– W jakimś celu te procedury wymyślono, sir.

– I są ważne nawet wtedy, gdy tego celu akurat nie widać?

– Cel zawsze istnieje – odparł oficjalnym tonem Travis. – Nawet jeśli nie zawsze jest oczywisty.

– Podziwiam twój optymizm w tej materii – powiedział Heissman. – Niemniej muszę też nadmienić, że takie podejście czyni z ciebie swoiste kuriozum. Zwykle jest tak, że ludzie silnie przywiązani do przestrzegania procedur okazują się zamknięci na wszystko, co wykracza poza sztywne schematy. Nie tylko służbowo, ale i w prywatnym życiu. Ty zaś jesteś zdolny nie tylko do myślenia poza schematami, ale potrafisz także często czynić to według własnych reguł.

– Dziękuję, sir – powiedział Travis, zastanawiając się, do czego te wszystkie komplementy mają prowadzić. – Nie wydaje mi się, żebym zrobił cokolwiek niezwykłego.

– Prawdziwie utalentowani ludzie nigdy nie uważają tego za niezwykłe – odparł rzeczowo Heissman. – Przede wszystkim chodzi mi jednak o coś innego. Taka postawa czyni często niepopularnym, przynajmniej w pewnych kręgach. Niemniej pozostali, którzy cenią podobne podejście, zawsze zauważą je i docenią. To ma swoją wartość.

– Dziękuję, sir, ale proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie wstąpiłem do RMN dla sławy i pochwał. Zrobiłem to, żeby chronić Gwiazdne Królestwo. – Zawahał się. – I nawet zginąć w jego obronie, jeśli zajdzie taka konieczność.

– Wiem – powiedział trochę bardziej smutnym tonem Heissman. – Niestety, i taka postawa bywa ostatnio niepopularna. Prawdziwy patriotyzm to coś kłopotliwego dla cynicznych manipulatorów. Ale to nasuwa mi pewne pytanie. Kiedy to się dla ciebie zaczęło? I jak sobie wcześniej z tym radziłeś?

Travis westchnął.

– Zaczęło się jeszcze w szkole. A jak sobie radziłem? Jakoś musiałem, sir. Na przykład jeden z naszych nauczycieli ciągle wymyślał uczniom przezwiska. Sądził, że stanie się w ten sposób naszym kumplem. Ja nazywam się Travis Uriah Long, Travis U. Long. On wymawiał to bardziej jako Travis Oolung, co skojarzyło mu się z gatunkiem herbaty ze Starej Ziemi. No i czasem słyszałem potem „Gdzieżeś się taki ulung”.

– Ulung – mruknął Heissman, uśmiechając się lekko. – Przypuszczam, że przy twoim dążeniu do przestrzegania regulaminów było to wręcz nieuniknione.

– Tak, sir – odparł Travis. – Ale byłbym wdzięczny za nierozpowszechnianie tej historii.

– Oczywiście – przytaknął Heissman. – A wracając do najważniejszego. Otrzymałem informację, że Casey spędzi w stoczni jeszcze co najmniej miesiąc, zatem wszystkie nasze urlopy ulegną wydłużeniu. Jednak w każdej chwili możesz zostać wezwany w celu złożenia dodatkowych zeznań. Nie oddalaj się więc za bardzo z Landing.

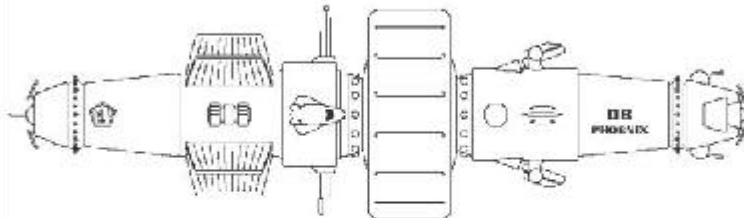
Nagle wstał, ku sporemu zresztą zdumieniu Travisa.

– To była dobra robota – powiedział, gdy wymieniali się salutami. – Tak jak ty czekam niecierpliwie, aż będziemy mogli wrócić na pokład. Najszybciej, jak się da. – Spojrzał gdzieś w przestrzeń. – Mam przeczucie, że coś się skończyło. Manticore nie będzie już nigdy takie jak wcześniej.

Skończyły się złote czasy na spokojnej prowincji. Nie wiem właściwie dlaczego. Chyba nikt z nas tego nie wie. Ale jedno jest oczywiste. O ile jeszcze dwa tygodnie temu Royal Manticoran Navy mogła być zabawką w rękach polityków, od teraz będzie ich oczkiem w głowie. Ktoś wziął nas na celownik i musimy dowiedzieć się kto. Wspomniałeś o gotowości oddania życia za Manticore. Kto wie, czy nie będziesz jeszcze miał po temu okazji – dodał z powagą w głosie.

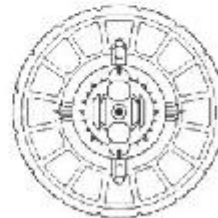
KONIEC

HMS Phoenix [00-08] Niszczyciel typu Salamandra

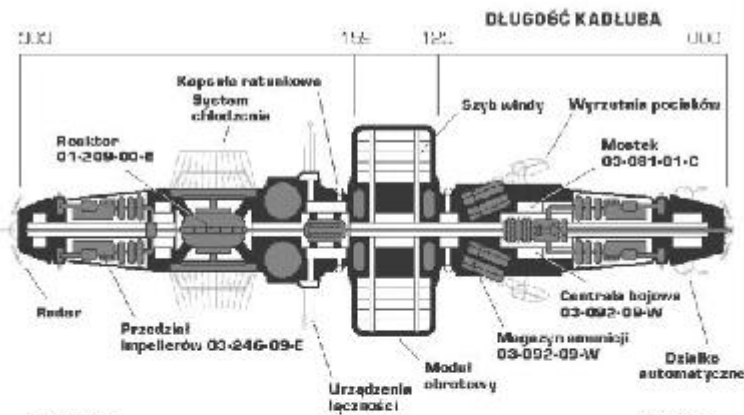


Specyfikacja

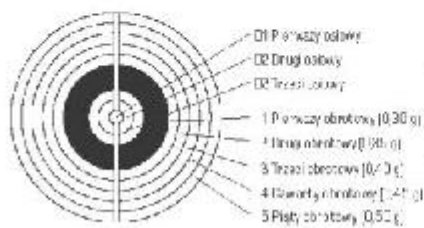
Masa: 43 700 ton
Wymiary kadłuba: 90,8x31 m
Przyspieszenie: 213,4 g (2093 km/s²)
Przyspieszenie 80%: 170,7 g (1674 km/s²)
Uzbrojenie: 2 WP (36), 1L, 2WAH



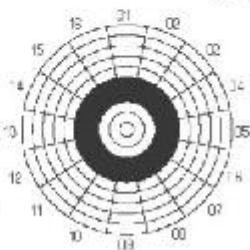
Przekrój podłużny



POKŁADY

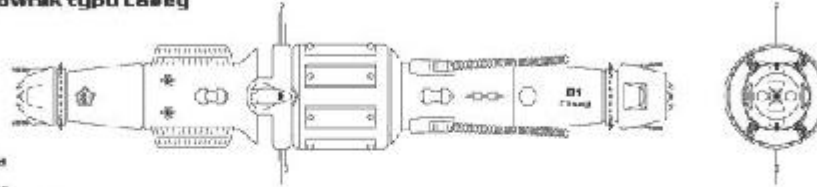


SEKCJE



HM5 Casey (CL-01) po modern. 1535 PD

Lekki krążownik typu Casey



Specyfikacja

Masa: 23000 ton

Wymiary kadłuba: 265x59 m

Przyspieszenie: 50:5 g (2009 m/s²)

Przyspieszenie 80%: 16,5 g (163 km/h²)

Uzbrojenie: 4 WZ (4) 2L / WNR 2W / E

DATA INOWE



Archiwum RMN
1493 - 1980 PD



ZAM S.D. (1) 80 HC 91 CE

HM Casey - 3. MW DOD. C

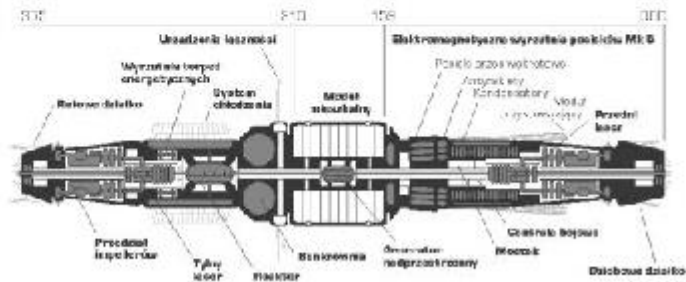
RZ.1000/IV

1287

AUTORIZACJA:

H. P.

Przekrój podłużny



DAVID WEBER



Piękna i bestia



Porucznik Harrington?

Alfred Harrington odwrócił się gwałtownie. Chociaż minęły już dwa lata, od kiedy przestano tytułować go „strzelcem”, ciągle nie mógł przyzwyczać się do bycia oficerem. Z czasem oczywiście miało się to zmienić. Jak wszystko.

– Tak? – spytał, unosząc brwi i spoglądając na nieznanego.

Mężczyzna był raczej niski, mierzył chyba nie więcej niż sto pięćdziesiąt sześć centymetrów, no może pięćdziesiąt osiem. Niewiele w porównaniu z dwoma metrami Alfreda. Podobnie jak większość mieszkańców Beowulfa miał migdałowe w kształcie oczy, typowe dla ziemskiego Dalekiego Wschodu, i ciemną barwę skóry kojarzącą się Alfredowi z drewnem rosnącego na Sphinksie dębu sandałowego. Mimo mikrej postury miał w sobie coś sugerującego, że charakter ma równie silny jak ten dąb. Nie był to żaden szczególny znak; może sprawiała to jego postawa, może dobrze rozwinięta muskulatura. Albo oczy. Tak, to pewnie oczy. Miały trochę odmienny kształt i kolor, ale było w nich coś.

– Jestem Jacques Benton-Ramirez y Chou – przedstawił się mężczyzna.

– Na zdrowie – odparł Alfred, zanim zdążył ugryźć się w język, po czym pokręcił głową. – Przepraszam. Pewnie jako oficer floty nie powinienem się do tego przyznawać, ale jestem trochę zmęczony po przelocie. Chociaż pewnie nie ja pierwszy tak głupio zażartowałem.

– Tutaj, na Beowulfie, chyba jednak pierwszy – powiedział Benton-Ramirez i przekrzywił głowę, żeby spojrzeć na znacznie wyższego

Harringtona w taki sposób, w jaki drwał mógł spoglądać na pień dębu królewskiego. Po paru chwilach uśmiechnął się jednak, a w jego oczach błysnęło rozbawienie. – Poza Beowulfem to owszem, zdarzało się.

– Cóż. – Alfred wyciągnął dłoń, pamiętając, by powściągnąć przy tym siłę mięśni typowych dla mieszkańca Sphinksa i nie połamać rozmówcy kości. – Na przyszłość postaram się lepiej zachowywać, panie Benton-Ramirez y Chou.

– Tylko proszę z tym nie przesadzić – odparł Benton-Ramirez y Chou poważnie, zaskakująco silnie ściskając dłoń Harringtona. – Nie chciałbym odpowiadać za awarię pańskich synaps.

Alfred uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

– Postaram się nie przegrzać moich przepracowanych szarych komórek – zapewnił. – Niemniej powietrze jest tu dość rozrzedzone i chyba zacznam odczuwać skutki niedotlenienia.

– Albo choroby wysokościowej – podsunął Benton-Ramirez y Chou, zerkając do góry.

– Może – zgodził się Alfred ze śmiechem. – Całkiem możliwe.

Mężczyzna uśmiechnął się i puścił dłoń Alfreda, ten zaś poczuł, że jego sympatia do gospodarza, odczuwana już od paru chwil, znacząco się ugruntowała. Dawno już, zdecydowanie zbyt dawno, nie zdarzyło mu się poznać kogoś tak sympatycznego. Warto było nad tym popracować.

– Czy mogę założyć, że czekał pan właśnie na mnie, a nie zagadnął przypadkiem, widząc moją plakietkę? – spytał.

– Przyznaję się – odparł Benton-Ramirez y Chou. – Poproszono mnie, bym wyszedł po pana i odwiózł pana do kampusu.

– Tak? – zdumiał się Alfred. – Nikt mnie nie uprzedzał, że dostanę eskortę!

– Proszę uznać to za wyraz wojskowej uprzejmości. Jestem tutaj nie tyle jako „pan Benton-Ramirez y Chou”, ale „kapitan Benton-Ramirez y Chou”. Korpus Zwiadu Biologicznego.

Alfred wyprostował się odruchowo. To wiele wyjaśniało. Gospodarz był w cywilnym ubraniu, ale nie sprawiał wrażenia cywila. I nic dziwnego. Zwiad Biologiczny, chociaż z nazwy wcale nie musiał kojarzyć się z wojskiem, był jedną z najlepszych służb specjalnych w Lidze Solarnej. Krążyły nawet plotki, że nie wszystkie jego operacje przebiegają zgodnie z oficjalnymi zasadami głoszonymi przez Ligę Solarną. Na dodatek była to formacja tradycyjnie bardzo nieliczna. Jeśli Benton-Ramirez y Chou był kapitanem w jej szeregach, to na pewno nie awansował dzięki ujmującemu uśmiechowi.

– Miło mi pana poznać, sir – powiedział bardziej oficjalnym tonem i Benton-Ramirez y Chou pokręcił głową.

– Kapitanem jestem od niedawna, pan zaś za jakieś pięć miesięcy dostanie pełnego porucznika, ponadto nosi pan na piersi baretkę Osterman Cross – stwierdził całkiem poważnie. – Sądzę, że możemy dać sobie spokój z oficjalnymi formami.

Alfred zacisnął wargi i poczuł ukłucie złości, tym silniejszej, że w głosie gospodarza pobrzmiwała czysta szczerłość. Złość ta była całkiem irracjonalna i Harrington świetnie o tym wiedział, pokiwał więc tylko głową.

– Moja rodzina ma bardzo dobre układy z medyczną elitą Beowulfa – kontynuował Benton-Ramirez y Chou. Jeśli nawet zauważył coś dziwnego w zachowaniu Alfreda, nie dał tego po sobie poznać. – Oczywiście u nas praktycznie każdy ma jakieś związki z BioSciences, ale są i tacy na Beowulfie, których nic nie łączy z medycyną. Może trudno w to uwierzyć,

ale jednak. Zwykle trzymamy ich w specjalnych podziemiach z szeregiem dobrze zamkniętych cel, by nikt nie poznał naszego wstydliwego sekretu.

– Rozumiem – odparł lekko rozbawiony Alfred. Potem nagle go oświeciło. Benton-Ramirez y Chou? I on mówił o dobrych układach z medyczną elitą planety? Każdy z członów jego nazwiska należał do wielkiego rodu, a każdy z tych rodów odegrał znaczącą rolę w rozwoju nauk biologicznych, z których Beowulf słynął od blisko dziewięciuset lat standardowych. I to tego właśnie człowieka wyznaczono na niańkę podporucznika Royal Manticoran Navy, który miał zostać studentem medycyny?

– Wstydlivy sekret pańskiego świata jest bezpieczny, kapitanie – powiedział głośno.

– Dziękuję – odparł Benton-Ramirez y Chou z powagą. – A wracając do tematu, właśnie wspomniane powiązania oraz fakt, że sprzeniewierzyłem się tradycji rodzinnej, wybierając sobie inne pole działalności, stały się powodem, że uznano mnie za właściwą osobę do przeprowadzenia pana przez kontrolę celną i dostarczenia następnie na kampus, żeby nam się pan gdzieś nie zgubił.

– Rozumiem – powtórzył Alfred, chociaż był dziwnie pewien, że wyjaśnienie, mimo że prawdziwe, nie było wyczerpujące. Nie wiedział nawet, skąd wzięło się to przekonanie, ale zwykł wierzyć swojej intuicji i zdolności do wyczuwania ludzi. Ostatecznie nie raz dzięki temu właśnie uszedł z życiem.

Znów wezbrała w nim fala ciemności, ale zdołał ją zatrzymać. Teraz przychodziło mu to już łatwiej. Może z czasem zacznie robić to odruchowo, w ogóle o tym nie myśląc. Tylko czy to będzie źle, czy dobrze?

– Zaiste, wolałbym nie zgubić się w miejskiej dżungli Grendel – powiedział. – Z wdzięcznością przyjmuję pańską propozycję. Muszę tylko

odebrać bagaż.



Sporo później tego samego dnia Alfred siedział na małym balkonie w swoim mieszkaniu i spoglądał ponad zabudowaniami kampusu Ignaz Semmelweis University na masywne, pastelowe wieżowce miasta Grendel. Miękkie światło zachodzącego słońca malowało je w złocie i cieniach. Wprawdzie żartował tylko, wspominając o zgubieniu się w miejskiej dżungli, ale Grendel zrobił na nim wielkie wrażenie. Młode lata spędził w lasach Sphinksa. Landing na Manticore też miało swój klimat, ale było o połowę mniejsze od stolicy Beowulfa i nie tak stare. W centrum miasta nadal stały budynki wzniesione w pierwszym okresie kolonizacji, liczące czterdzieści do pięćdziesięciu pięter, starannie przy tym utrzymane i konserwowane jako ważne dla planety zabytki. Zasłużyły sobie na to, skoro przetrwały blisko dwa tysiące lat. Przypominały wszystkim gościom, że Beowulf był pierwszą zasiedloną przez ludzi planetą poza Układem Słonecznym.

Było tu cieplej niż na Sphinksie, chociaż i tak chłodniej niż na Manticore. Harrington wolałby bardziej umiarkowany klimat, ale nie miał powodów do narzekania. Wyrósł na planecie, której siła ciężenia była o dwadzieścia trzy procent wyższa niż na Beowulfie, czuł się więc tutaj dziwnie lekki. Powietrze pachniało przyjemnie dzięki wszechobecnej zieleni i kwietnym krzewom, rosnącym na pięknie urządzonej terenie uniwersytetu. Tylko ptaki mu się nie podobały. Te sprowadzone z Ziemi nie były takie złe, ich miejscowe odpowiedniki zaś mogły nawet cieszyć oko, zwykły były jednak gwizdać przenikliwie w sposób kojarzący mu się ze skalnymi krukami z Clematisa, a było to niesympatyczne skojarzenie.

Łyknął piwa z trzymanej w dłoni szklanki. W domu pijał je w temperaturze pokojowej, ale temperatura pokojowa na Sphinksie była znacząco niższa niż tutaj. Już podczas studiów oficerskich na Manticore zaczął sięgać po chłodzone piwo i wszystko sugerowało, że utrzyma ten zwyczaj na Beowulfie. Przynajmniej samo piwo było dobre. Nie tak dobre jak na Sphinksie oczywiście, ale importowany Old Tilman był dostępny w handlu i należało tylko przeprogramować lodówkę. Z drugiej strony, lista win też wyglądała interesująco. Alfred był wybredny, gdy chodziło o wina. Kumple z Korpusu śmiali się czasem z jego gustów alkoholowych, ale on się nie zrażał. Tutaj zaś znalazł już co najmniej dwa tuziny marek, o których nigdy dotąd nie słyszał. Zamierzał spróbować każdej z nich, ale póki co piwo mu wystarczało.

Przełknął łyk i ciesząc się smakiem, wrócił do przebiegu tego dnia.

Uniwersytet imienia Ignaza Semmelweisa na Beowulfie był zapewne najbardziej prestiżową uczelnią medyczną w zasiedlonym przez człowieka kawałku wszechświata. Dostać się tutaj było bardzo trudno i Alfred podejrzewał, że niektórzy koledzy będą co najmniej zdziwieni jego obecnością.

W pobliżu Beowulfa znajdował się jeden z krańcowych terminali Manticore Wormhole Junction. Liga Solarna nie pałała szczególną sympatią do Królestwa, nieustannie rozwijającego swą flotę handlową, ale relacje Beowulfa z Manticore od stuleci były bardzo bliskie. Co rusz odnotowywano mieszane małżeństwa zawierane przez obywateli tych układów, Siły Obrony Beowulfa zaś i formacje Gwiezdnego Królestwa współpracowały, darząc się przy tym wzajemnym szacunkiem. Nierzadkie były nawet wspólne operacje przeprowadzane przez agendy Manticore i Zwiad Biologiczny, chociaż zwykle mało było o nich słyhać, głównie za sprawą specyfiki niektórych działań Korpusu. Wszystko to wyjaśniało,

dlaczego Royal Manticoran Navy mogła co roku kierować pewną liczbę studentów na uniwersytet Beowulfa. Nie wszystkim się to podobało i było pewne jak słońce na niebie, że prędzej czy później znajdzie się ktoś gotów tłumaczyć obecność Alfreda tylko i wyłącznie potrzebą wypełnienia przyznanego limitu. Przecież taki przerośnięty osobnik, który przerwał wcześniejszą edukację, żeby wstąpić do Marines, nie może być pełnowartościowym studentem!

W sumie jednak nie było wcale tak źle. Spodziewał się, że nie pójdzie mu jak z płatka, zważywszy na uniwersyteckie standardy, ale w trakcie studiów licencjackich utrzymywał średnią 4,0, miał za sobą dwa lata przygotowania medycznego w RMN, na dodatek zdał celująco egzaminy wstępne i testy przydatności zawodowej. Tyle że trochę gorzej poszło mu na części ustnej i dwoje członków komisji, reprezentujących Beowulfa, nie dało mu najwyższej oceny. Wyraźnie wyczuł, że nie byli zadowoleni z jego wyjaśnień, dlaczego chciałby specjalizować się w neurochirurgii. Nie żeby mu nie wierzyli albo żeby powiedział coś kontrowersyjnego, ale uznali, że nie był z nimi do końca szczery.

I mieli rację.

Zacisnął palce mocniej na szklance i spojrzał na kampus oraz zalane zachodzącym słońcem wieżowce Grendel. W istocie jednak widział w tej chwili coś całkiem innego. Clematis. Przypomniawszy sobie płomienie trawiące miasto Hope. Słyszał eksplozje i krzyki. I to wszystko, co mogły wywołać neurodestruktory. Nagle piwo przestało mu smakować i żołądek ścisnął się, jakby w zapowiedzi torsji. I pojawił się jeszcze ten straszliwy, palący gniew. Poczucie służenia wyższemu celowi. Trująca, zabijająca duszę radość.

Przymknął powieki i odstawił szklanicę ostrożnie na stolik, tuż obok łokcia. Czuł, jak emocje, które powróciły na chwilę, z wolna się ulatniały.

Puls wracał niespiesznie do normy. Wciągnął głęboko powietrze i przytrzymał je w płucach, raz jeszcze zmuszając się do spokoju. Gdy demony wreszcie skapitulowały, odważył się otworzyć oczy.

Blisko było, pomyślał. Pewnie dlatego, że jestem zmęczony. Ale już dobrze. W sumie jest coraz łatwiej. I nie powinienem za bardzo narzekać. W końcu wróciłem żywy, prawda?

Skrzywił usta i odetchnął ponownie. Pewnie sam siebie oszukiwał, zwalając aż tyle na zmęczenie, ale faktycznie czuł się wyczerpany. Cóż, może jutro rano wszechświat będzie prezentował się lepiej.

Wstał z fotela, spojrzał raz jeszcze na miasto i skierował się do łóżka.



– Domyślam się, że został pan już zakwaterowany, poruczniku Harrington?

– Tak, sir. Dziękuję, sir.

– I dobrze.

Kapitan Howard Young, attaché wojskowy Manticore, był dalekim krewnym rodu North Hollow, jak podawały źródła, do których Alfred sięgnął przed odlotem. Nie wyglądał na ucieszonego widokiem wysokiego eks-marine na swoim ekranie, ale przynajmniej zdawał się nie zadzierać nosa jak niektórzy pochodzący z arystokracji oficerowie Royal Manticoran Navy.

– I dobrze – powtórzył. Prawą dłonią bawił się klasycznym przyciskiem do papieru leżącym na blacie biurka i chyba szukał właściwych słów. Alfredowi wydało się to trochę dziwne. W końcu to Young odezwał się do niego, by oficjalnie powitać go na Beowulfie. Trudno byłoby znaleźć jakiś racjonalny powód, dla którego kapitan z listy miałby czuć się onieśmielony

rozmową ze zwykłym podporucznikiem, który zjawiał się tu jako student. Ale Alfred czekał cierpliwie. To było coś, czego nauczył się już dawno temu podczas polowań na Sphinksie, chociaż później przydawało się już raczej w odmiennych okolicznościach.

– Wczoraj przypomniano mi o czymś, poruczniku – odezwał się wreszcie Young. – Chodzi o kwestie bezpieczeństwa. – Przymrużył nagle powieki, patrząc wprost na Alfreda.

– Tak, sir – odparł porucznik oficjalnym tonem. Jeszcze przed odlotem sekcja wywiadu wytrwale wbijała mu do głowy, by trzymał język za zębami. Wracali do tematu tyle razy, że w końcu nabrał ochoty, by zająć się ich użębieniem. Rozumiał przecież, o co chodzi, nie był idiotą, podpisał zobowiązanie. Dlaczego wałkowali go tyle razy?

Zacisnął pozostające poza zasięgiem kamery dłonie w pięści i poczuł narastające napięcie mięśni twarzy.

Przesadzasz, pomyślał. Znowu przesadzasz. Young ma tylko sprawę do odfajkowania i tyle. Albo obija sobie dupę blachą na wypadek, gdyby ktoś podpadający pod jego opiekę jednak coś chlapnął.

– Zostałem szczegółowo poinstruowany w tej kwestii jeszcze przed opuszczeniem Gwiezdnego Królestwa – rzekł neutralnym tonem Alfred.

– A, to dobrze – odparł Young i chyba mu ulżyło. Potem pokręcił głową. – Przepraszam, sierżancie, nie chciałem być nachalny. Niestety, mój współpracownik w Admiralicji nie zaznaczył tego w przekazanych mi materiałach. Powiedział, że ja powinienem się tym zająć, i nic więcej. W tej sytuacji woląłem spytać i sprawdzić, oszczędzając nam obu ewentualnych kłopotów w przyszłości.

– Rozumiem, sir. – Alfred też trochę się rozluźnił i wciągnął głęboko powietrze. – Niemniej i tak nie chodzi o coś, o czym miałbym ochotę

z kimkolwiek rozmawiać.

Young chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta, pokręcił głową i chyba postanowił zmienić temat.

– Jak pan pewnie się domyśla, w razie jakiegokolwiek potrzeby ambasada gotowa jest służyć panu pomocą podczas pańskiego pobytu na Beowulfie. Zdaje się, że na kampusie nie ma teraz wielu naszych oficerów?

– Z tego, co wiem, to nikogo poza mną, sir.

– Tak też myślałem. – Young uśmiechnął się niemal naturalnie. – Też zdarzyło mi się kilka razy znaleźć wyłącznie między cywilami, poruczniku. Gdyby miał pan ochotę pogadać trochę z innym mundurowym, to zapraszam. Bez tego można czasem oszaleć, wie pan. Mamy tu nawet dwoje Marines w składzie, możemy urządzić partyjkę pokera.

– Dziękuję, sir – odparł z uśmiechem Alfred. – Będę o tym pamiętał. Niemniej tak całkiem na pustyni nie jestem. Nawiązałem już jeden kontakt z tutejszymi organizacjami militarnymi.

– Tak? – spytał Young, unosząc brwi.

– Tak, sir. I muszę przyznać, że aż zastanowiłem się później, na ile było to dziełem przypadku.

– Dlaczego?

– Ponieważ ktoś czekał na mnie na lądowisku. Niejaki Benton-Ramirez y Chou. Powiedział, że jest kapitanem w Korpusie Zwiadu Biologicznego.

– Jacques Benton-Ramirez y Chou? – powtórzył z głębokim zastanowieniem Young.

– Tak, sir. – Alfred wzruszył w duchu ramionami. Jako młodszy oficer korpusu medycznego i ktoś bez dostępu do tajnych danych (poza Clematisem oczywiście, pomyślał chłodno), nie był zobowiązany do meldowania o wszystkich swoich spotkaniach z obcokrajowcami. Inna

sprawa, że nie szkodziło o tym wspomnieć, jeśli już miało to miejsce. Nawet jeśli rzecz sprowadzała się do czysto urzędniczej formalności. – Powiedział, że podjął się tego z uprzejmości, żebym nie błędził po mieście w drodze na kampus. I dodał, że ma niejaki znajomości w medycznych kręgach Beowulfa.

– Z całą pewnością ma – stwierdził z zamyśloną miną Young. – Chyba dobrze, że mi pan o tym powiedział, poruczniku, ale nie sądzę, by kryło się za tym cokolwiek... oficjalnego. Benton-Ramirez y Chou jest człowiekiem z natury dociekliwym i ma opinię osoby uwielbiającej pakować nos dosłownie we wszystko. Może słyszał jakieś plotki, ale wątpię, by ktokolwiek na Beowulfie był naprawdę zainteresowany szczegółami. Z drugiej strony, jego rodzina jest nie tylko jedną z najbardziej prominentnych, ale działa też aktywnie w ruchu abolicjonistycznym, lepiej więc zachować wobec nich niejaki dystans. Gdyby znowu spotkał go pan „przypadkiem”, proszę mnie o tym poinformować, dobrze?

– Tak, sir. Tak zrobię.

– W porządku. – Young znów się uśmiechnął. – A teraz, skoro ma pan dzisiaj spotkanie orientacyjne, daję już panu spokój. Powodzenia, poruczniku!



– Patrz, gdzie leziesz! – wykrzyknął ktoś głosem pełnym irytacji, niemniej z dziwnie znajomym akcentem. Alfred odwrócił się, żeby zobaczyć, kto na niego wpadł, i ujrzał jasnowłosego i szczupłego młodego człowieka w podobnym zapewne wieku (o ile obaj byli z pierwszego pokolenia poddanego prolongowi), ale dobre ćwierć metra niższego. Był też supermodnie ubrany, chyba w same markowe rzeczy. Włosy miał starannie

przycięte i ułożone, oczy niebieskie i bardzo nieprzyjemny grymas na twarzy.

– Słucham? – spytał Alfred. – Pan mówi do mnie?

Specjalnie podkreślił swój akcent ze Sphinksa, chociaż pewnie lepiej byłoby nie podgrzewać atmosfery. Jednak nie mógł się powstrzymać. Akcent tamtego był typowy dla arystokratycznych sfer Manticore, co w połączeniu z aroganckim zachowaniem sprawiało, że miał ochotę utrzcęć mu nosa.

– Tak. Nie jest pan tu sam!

– Sądzę, że ma pan rację – zgodził się Alfred, zerkając na wypełnione ludźmi wnętrze Benton Hall. Potem znowu spojrzał na nieznanego. – Dziwne. Nie zauważyłem, że to aż taki duży obiekt. Dziękuję za zwrócenie na to uwagi.

Obcy niemal zagotował się ze złości. Alfred nie potrzebował intuicji, żeby to stwierdzić.

– Za to niektórzy w ogóle nie powinni się tu znaleźć! – stwierdził mężczyzna lodowatym tonem.

– Przesadza pan. Jestem pewien, że pańska obecność im nie przeszkadza – odparł Alfred. – A swoją drogą, co pan tu robi?

– Słuchaj, ty...

Alfred uniósł brwi i zmienił lekko ustawienie nóg. Drobny, ale przemyślany gest. Tamten urwał w pół zdania, gdy potężny przybysz ze Sphinksa pochylił nad nim głowę.

Przez chwilę jeszcze patrzył ze złością na Alfreda, po czym prychnął pogardliwie, zawrócił na pięcie i czym prędzej odszedł. Porucznik odprowadził go spojrzeniem, zachodząc w głowę, co faceta właściwie napadło.

Najwyraźniej mu się nie spodobałeś, Alfredzie, pomyślał w końcu. I nawet nie spróbowałeś sprawy załagodzić. Zachowałeś się jak zwykle, prawda?

Wciągnął głęboko powietrze, zmuszając się do wyciszenia emocji. Przypomniwał sobie, że kiedyś (wydawało mu się, że bardzo, bardzo dawno temu) zignorowałyby natręta. To były dobre czasy i szkoda, że nie mogły wrócić. Musiał więc nauczyć się żyć z tym, co było w nim teraz.

Obrócił się, by znowu zająć miejsce w przesuwającej się z wolna kolejce, i obiecał sobie, że będzie pracował nad swoimi emocjami.



– Przepraszam za ten incydent, Allison – powiedział Franz Iliescu, zajmując puste krzesło. W sumie już żałował, że tak się uniósł, i starał się to okazać. Nie żeby ten dupek sobie na to nie zasłużył. Nie. Było to jednak dziecinne zachowanie, mocno poniżej godności Iliescu.

– A o co poszło? – spytała piękna kobieta siedząca po drugiej stronie stolika. – Byliście za daleko, żebym cokolwiek usłyszała, ale miałam wrażenie, że nie przypadliście sobie do gustu.

– Trudno żeby! – parsknął Iliescu i obejrzał się na roslą postać w mundurze Royal Manticoran Navy. Trzeba być idiotą, by paradować tak w mundurze na terenie kampusu uczelni. – Prawdę mówiąc, nigdy dotąd go nie widziałem. I mam nadzieję, że więcej już nie spotkam.

– Aż tak? – Kobieta przechyliła głowę i zastanowiła się nad jego słowami. – Nie raz i nie dwa przekonałam się już, że takie deklaracje miewają moc samospełniających się przepowiedni.

Iliescu jakby się nastroszył, ale ostatecznie odetchnął głęboko i zaczął się uspokajać.

– Może i masz rację – powiedział. Jego towarzyszka wyglądała zdecydowanie za młodo jak na kogoś, kto już skończył studia, ale to zapewne dlatego, że należała do drugiego pokolenia poddanego prolongowi. W takim przypadku terapia mogła rozpocząć się znacznie wcześniej. Iliescu jednak musiał co rusz uświadamiać sobie, że mimo prezencji nastolatki jego rozmówczyni była niemal dokładnie w jego wieku.

– Przyznaję, że pewne moje... poglądy zaważyły nieco na mojej reakcji. W zwykłych okolicznościach zapewne żaden z nas nie zwróciłby uwagi na drugiego.

– Może nie. – Upiła ostrożnie łyk herbaty z parującej filiżanki i skrzywiła się lekko. Kantyna w Benton Hall nie słynęła z najlepszych naparów i w sumie szkoda, że nie spotkali się gdzie indziej. Nie tylko z powodu kiepskiej herbaty. Jednak skoro już tu była, mogła trochę porozmawiać, zanim wpadnie na pomysł, jak zgrabnie się wymknąć.– A jakie to poglądy były w tym przypadku tak znaczące? – spytała.

– Widok dupka, który nosi mundur na terenie cywilnej uczelni. I to w kolejce do rejestracji – powiedział Iliescu. – Aż wstyd mi w tej chwili, że też jestem z Manticore.

– Masz coś przeciwko mundurom?

– Nie, o ile ktoś nosi je we właściwym miejscu. Ale to nie jest takie miejsce. Rozumiem, że ktoś może wstąpić do marynarki albo piechoty morskiej, i pewnie nie ma w tym nic wstydliwego. Ale ta uczelnia przeznaczona jest dla ludzi, którzy chcą pomagać innym. Leczyć innych ludzi, nie trudnić się zabijaniem ich! A o tym gościu trochę już słyszałem. Nie było to nic sympatycznego.

– Słyszałeś? Co takiego mogłeś o nim słyszeć? – Coś błysnęło niebezpiecznie w jej ciemnobrązowych oczach, ale Iliescu niczego nie zauważył.

– Nic, o czym dobrze rozmawiałoby się przy stole – odparł. – U nas w ogóle omijają temat, co jest dość znamienne. To była jakaś dziwna sprawa, bardzo szybko wyciszona, ale podobno wiązała się ze śmiercią masy osób. Koronie całość bardzo się nie podobała i chociaż Królowa dała mu medal, uroczystość była prywatna, tylko dla rodziny i tak dalej. Nie było nawet komunikatu po fakcie. Komuś wyraźnie zależało, żeby media nic nie zważały.

– Naprawdę? – Obejrzała się. Mężczyzna w czarnym mundurze ze złoceniami zniknął właśnie w drzwiach.

– Naprawdę. A potem wykorzystał ten medal, żeby dostać się na Semmelweisa – rzucił z pogardą Iliescu i upił nerwowo łyk z własnej filiżanki. – Ponieważ RMN ma swój przydział miejsc, to jakoś mu się udało. Nie cierpię takich preferencyjnych przepisów. Albo ktoś jest dość dobry, albo go tu nie ma. A na pewno nie powinno się tu przyjmować kogoś dlatego, że dostał taką czy inną wstążkę i nosi ją na mundurze. Tutaj kształci się lekarzy, nie specjalistów od zabijania. Popieprzony system. Jakby nie dość było im przywilejów. Gadają, że to ciężka robota, ale przecież nikt ich nie zmuszał, by ją przyjąć. Dlaczego więc mamy traktować ich lepiej niż zwykłych ludzi, którzy nie chcą do nikogo strzelać?

Kobieta mruknęła coś pod nosem. Usiłowała sobie przypomnieć, czy to Iliescu nie zdał w swoim czasie egzaminów wstępnych na uniwersytet i został odrzucony, czy może spotkało to kogoś z jego bliskich. Niemniej rozumiała teraz, jak to się stało, że ten wysoki porucznik wywołał jego wściekłą reakcję.

Cóż, jakkolwiek się tu dostał, mam nadzieję, że wykorzysta okazję, pomyślała o nieznanym. Ktoś, kto wzbudził taką złość Franza, nie mógł być całkiem do niczego.



– Proszę mi powiedzieć, panie poruczniku Harrington, dlaczego chce się pan specjalizować w neurochirurgii?

Doktor Penelope Mwo-chi oparła się na krześle stojącym przy jej biurku, Alfred siedział po drugiej stronie blatu. Ten wywiad był ważniejszy niż większość innych. Ignaz Semmelweis University miał własne zwyczaje, a jednym z nich było przykładanie wagi do bezpośredniego kontaktu wykładowców ze studentami. Zdaniem Alfreda nie było to wcale lepsze niż kontakty poprzez sieć, ale nie zamierzał krytykować uczelni, która wykształciła najlepszych lekarzy ludzkości i istniała dłużej niż Gwiazdne Królestwo Manticore. Poza tym intuicja rzadko podpowiadała mu coś przy rozmowie przez sieć, doktor Mwo-chi zaś zdawała się traktować swoje pytanie znacznie poważniej, niż można byłoby sądzić po tonie jej głosu.

– To chyba kwestia wyzwań właściwych tej dziedzinie – odparł po chwili. – Lubię wyzwania. Uważam też, że to bardzo istotna dziedzina, zwłaszcza od chwili, gdy prolong stał się powszechnie dostępny. Jednak moje zainteresowania dotyczą nie tyle geriatricznej czy profilaktyki starzenia, ile problemu, jak na znaczące wydłużanie życia zareagują drogi nerwowe i synapsy. Możliwe, że nie napotkamy żadnych problemów, tak jak przewidują terapeuci prolongu, ale może też stać się inaczej. Nie jestem szczególnie entuzjastą sięgania po syntetyczne substytuty, ale gdyby okazało się to konieczne, będzie to propozycja warta rozważenia. Najbardziej jednak interesuje mnie zagadnienie rekonstrukcji i przywracania funkcji neurologicznych, zwłaszcza po doświadczonej traumie. Sądzę, że będziemy w stanie na tyle udoskonalić protezy neurologiczne, żeby mogły płynnie współpracować z naturalnymi elementami układu nerwowego.

– Rozumiem. – Mwo-chi odsunęła krzesło trochę dalej i splotła dłonie pod brodą. Mimo nazwiska miała jasne włosy i błękitne oczy, które teraz wpatrywały się badawczo w Alfreda. – To całkiem satysfakcjonująca odpowiedź, poruczniku. Tylko dlaczego odnoszę wrażenie, że nie jest to odpowiedź pełna?

Alfred zeszywniał i spojrzał na panią doktor. Na pewno nie zadała tego pytania przypadkiem, musiało kryć się za nim coś, co było dla niej bardzo ważne. Tyle wyczuwał, ale nie wiedział już, co to mogło być. Mógł spróbować uniku, chociaż wolałby tego nie robić. Nie chciał też wyjawiać całej prawdy, ale głównie dlatego, że pragnął trzymać się jak najdalej od pewnych wspomnień. Poza tym nie było w nich nic wstydliwego, nawet jeśli nie zdołał się jeszcze uwolnić od związanego z nimi poczucia winy. Z drugiej strony, to właśnie Mwo-chi była zasadniczym powodem, dla którego zdecydował się startować na Semmelweisa. W galaktyce mógł być jeszcze jeden lekarz o lepszych kwalifikacjach niż ona, ale dwóch to już na pewno nie. Od wyniku tej rozmowy miało zaś zależeć, czy Mwo-chi zaakceptuje go jako studenta znajdującego się pod jej osobistą opieką.

– Ja... widziałem trochę skutków obrażeń bojowych, pani doktor – powiedział w końcu. – Także w przypadku ludzi... którzy nie byli mi obojętni. – Spojrzał jej prosto w oczy. – To jest powód, dla którego zainteresowałem się rekonstrukcją i postępami w protetyce neurologicznej oraz metodami funkcjonalnego łączenia sztucznej i naturalnej tkanki.

– Ale to nie jedyne, co pana interesuje, poruczniku? – spytała łagodnym tonem.

– Nie – przyznał. Na chwilę przymknął powieki, potem znowu spojrzał na Mwo-chi. – Widziałem też skutki działania neurodestruktorów – dodał bardzo cicho.

– Poruczniku – zaczęła pani doktor niemal ze współczuciem. – Neurodestruktory nie zostawiają nam prawie żadnej szansy na udzielenie pomocy. Nie ma już czego reperować. Dlatego tak właśnie się nazywają. Zniszczenia zachodzą na poziomie komórkowym, jak pan na pewno wie. W przypadku zwykłej chirurgii zniszczoną kończynę można amputować i wyhodować w jej miejsce nową. Od siedemdziesięciu lat jest to standardowa procedura. Tam zaś, gdzie regeneracja jest niemożliwa, czy też gdzie nie umiemy jeszcze zastosować tej metody, jedyną alternatywą jest transplantacja nerwów, a w przypadku odrzucania przeszczepu zastosowanie sztucznych elementów układu nerwowego. Przez ostatnie sto lat poczyniliśmy na tym polu spory postęp i potrafimy z każdym rokiem coraz więcej, ale jesteśmy jeszcze szalenie daleko od uzyskania w pełni funkcjonalnych zamienników naturalnych elementów. Niemal zawsze następuje jakaś utrata funkcji czy upośledzenie zmysłów. Niektórzy zaś nie są zdolni nauczyć się posługiwania nimi, jakkolwiek by próbowali. Niemniej na razie nie znamy innego sposobu, a biorąc pod uwagę skalę zniszczeń powodowanych przez neurodestruktory, jeśli nie unicestwią po prostu całego autonomicznego układu nerwowego, to wszelkie próby pomocy dają dobre rezultaty ledwie w dwudziestu do trzydziestu procent przypadków.

– Znam tę statystykę, pani doktor – odparł Alfred może ostrzejszym tonem, niżby chciał, ale oczekiwał takiego wykładu i na poły obawiał się go. To dlatego zachowywał się raczej wstrzemięźliwie podczas rozmowy. Nie chciał być uznany za marzyciela, który dążył do realizacji niemożliwego. Komisja mogła go odrzucić na rzecz innych, wyznaczających sobie bardziej praktyczne cele. – Znam tę statystykę – powtórzył głosem bardziej zbliżonym do normalnego. – Nie widzę jednak powodu, by akceptować ją jako coś niezmiennego, danego raz na zawsze.

Był przecież czas, gdy nie mieliśmy szczepionki na raka. Nie wiedzieliśmy nic o prolangu. A jeśli sięgnąć dalej, kiedyś nie wiedzieliśmy też, jak zapobiegać infekcjom, w tym gorączce połogowej! Semmelweis skończył w szpitalu psychiatrycznym, ponieważ nikt nie wierzył w jego słowa, że można uniknąć zakażeń i zapobiec gorączce połogowej, po prostu myjąc ręce, które przyjmują poród, i sterylizując narzędzia. Ale przecież to nie on się mylił.

– Widzę, że zna pan trochę historię – zauważyła Mwo-chi. Poruszyła lekko krzesłem obrotowym w obie strony, a na jej twarzy pojawił się jakby cień uśmiechu. – Niemniej, jakkolwiek podziwiam naszego patrona, muszę zauważyć, że Ignaz Semmelweis był jedną z najbardziej aroganckich postaci w świecie medycyny. Próbował narzucać innym swoje zdanie, wygłaszał je w sposób nie znoszący sprzeciwu. Miał rację, i ostatecznie świat medyczny to zrozumiał, ale w swoich czasach nie zdołał wprowadzić wielkich zmian. Przynajmniej nie poza szpitalem, w którym pracował.

– Nie chcę zmieniać świata, pani doktor – powiedział Alfred. – Nie miałbym nic przeciwko takiej możliwości, jak sama pani rozumie, ale nie przymierzam się do tego i nie sądzę, żeby cokolwiek takiego nastąpiło. Chcę tylko umieć pomagać. Naprawiać pewne uszkodzenia, które... widziałem. – To słowo podmienił naprawdę w ostatniej chwili. – Nie chodzi mi o magiczne formuły, ale o coś wartego wysiłku. Wartego spróbowania.

– I gotów jest pan zaryzykować zmarnowanie trzech lat pańskiego życia na coś, co niemal na pewno nie przyniesie rezultatów?

– To moje życie – odparł. – Czy chcę je „zmarnować”? Oczywiście, że nie. Ale nikt, kto ukończył Wydział Neurochirurgii Semmelweisa, nie może mieć tego czasu za zmarnowany. Może nie znajdę sposobu na naprawę zniszczeń wywołanych przez neurodestruktory, jak wszyscy mi to powtarzają, ale i tak będę zdolny pomóc niejednemu potrzebującemu.

– Ale tak naprawdę chce pan szukać sposobu naprawy tej galarety, która zostaje po użyciu neurodestruktorów? – spytała prowokacyjnie Mwo-chi.

Spojrzał jej w oczy i znów ujrzał miasto Hope i padające ciała, usłyszał tamte krzyki, wyczuł zapach dymu. Penelope Mwo-chi zawsze miała bardzo nieliczną grupkę studentów, mniejszą nawet niż grupa jej asystentów. Sam fakt, że nie przerwała jeszcze rozmowy, można było odczytać pozytywnie, chociaż zawdzięczał to pewnie i po trosze baretce widocznej na piersi, ale na pewno nie zamierzała marnować czasu na kogoś, kto na poważnie zamierzał szukać metod naprawy tkanki nerwowej zmienionej bezpowrotnie w „galarete”. Alfred wiedział o tym, jednak nie chciał kłamać, poza tym wydawało mu się, że pytanie Mwo-chi miało pewien głębszy sens. Że nie padło po to, żeby zdobyć pretekst do odmowy. Pokiwał więc stanowczo głową.

– Tak, pani doktor – powiedział. – O to chodzi.

Przez chwilę odwzajemniała jego spojrzenie, po czym wyprostowała się, położyła dłonie płasko na blacie i pokiwała głową.

– Dobrze – powiedziała cicho. – Niech będzie, poruczniku Harrington. – Uśmiechnęła się, widząc zdumienie, które odbiło się jednak na jego twarzy. Był to skromny, ale ciepły uśmiech, który Alfred odruchowo odwzajemnił. – Jest pan zapewne szalony, poruczniku. Ale medycyna potrzebuje szaleńców. Potrzebuje marzeń... a tylko szaleńcy nie zwykli ich porzucać. Przez ostatnie dziesięć lat sama prowadziłam trochę badań, z których część dotyczyła bezpośrednio zniszczeń powodowanych przez neurodestruktory. Nie doszłam do przełomowych wyników, ale pewien postęp udało mi się osiągnąć. Jeśli jest pan tym naprawdę zainteresowany, to chyba znajdzie pan u mnie miejsce jako asystent.



– W tym twoim poruczniku Harringtonie musi jednak coś być – powiedziała Allison lekko złośliwie i uśmiechnęła się, gdy Franz Iliescu na nią spojrział. – Nie słyszałeś? Doktor Mwo-chi przyjęła go na swojego asystenta.

Iliescu spojrział na nią z irytacją i chyba chciał powiedzieć coś niemiłego, ale rozmyślił się i zamiast tego wciągnął głęboko powietrze oraz wzruszył ramionami.

– Doktor Mwo-chi może przyjmować na asystenta, kogo tylko zechce – powiedział. – Możesz mieć rację, że ten gość jest coś wart. Z pewnością trudno podejrzewać doktor Mwo-chi o to, że gotowa byłaby wybrać na asystenta kogoś bez odpowiednich kwalifikacji. Ale nie zmienia to mojego zdania o systemie preferencyjnym i tych punktach za bycie w RMN. Nie znaczy to, że nie zasłużył na miejsce na uczelni, ale całkiem możliwe, że zabrał je komuś jeszcze lepszemu. – Znowu wzruszył ramionami. – Szczęśliwie zajmujemy się całkiem odrębnymi dziedzinami. Semmelweis jest dość duży, żebyśmy na siebie nie wpadali. Chyba że wyjątkowo pechowym przypadkiem.

– Masz rację – stwierdziła. – Jest dość duży, by łatwo dało się unikać ludzi, których nie mamy ochoty spotykać. Ożeż! Popatrz, która godzina! Muszę gnać, bo inaczej spóźnię się na wykład!

Zerwała się i pobiegła, a po drodze zastanawiała się, co właściwie dojrzała w tym Iliescu, gdy pierwszy raz spotkała go na kampusie. Wydawał się jej interesującą osobą, na swój sposób nawet czarującą. Wyraźnie dobrze czuł się w roli bawidamka, ale potrafił też w dobrym stylu przyjąć odmowę, gdy jego zainteresowanie nie było odwzajemniane. Trzeba przyznać, że był też dobrze poinformowany, miał wyrobiony gust muzyczny i był całkiem dobry w łóżku.

Jednak pod tymi zaletami kryła się osobowość, którą można było określić jako egotyczną i zamkniętą na ludzi. Miał w sobie coś, co powodowało bolesny rozpad każdego związku. Nie żeby był słabym studentem; któregoś dnia mógł też zostać dobrym lekarzem albo co najmniej technikiem. Jak dotąd Allison nie rozumiała, dlaczego wybrał poślubnictwo, ale i z tym mógł sobie dać radę pod warunkiem wyjścia poza ograniczenia związane z uprzedzeniami i zaczepną impulsywnością.

Ona sama zdecydowała się już niemal na perinatologię, gdy doszła jednak do wniosku, że byłaby to dla niej zbyt wąska dziedzina. Sama w sobie wspinała, ale nie dająca szerokich perspektyw. Ostatecznie wybrała więc terapię genową i chirurgię genową, chociaż były to dziedziny, w których jej rodzina specjalizowała się od pokoleń. Podejrzewała nawet, że pewnie dlatego z początku tak buntowała się przeciwko tej tematyce. Zawsze była skłonna do buntu i tym razem doszła do etapu, który zaraz skojarzył się rodzinie z tą największą rebelią, kiedy to ciotka Jacqueline porzuciła szkołę, zmieniła nazwisko i wyemigrowała na Starą Ziemię. Allison nie chciała być „trudna”, jak określiła to jej matka, ale nie zamierzała też spełniać posłusznie cudzych oczekiwań w ramach poszanowania tradycji rodzinnych. Ostatecznie to było jej życie. To ona sama powinna decydować, co z nim robi, niezależnie od opinii, jaką mogła mieć o jej wyborach cała reszta Beowulfa. Poza tym życie pod dyktando, w przygotowanym przez rodzinę miejscu, z przygotowaną przez rodzinę rolą byłoby takie nudne, tak ograniczające. W pewnej chwili niewiele brakowało, by poszła w ślady brata i zrezygnowała z medycyny. To by dopiero był szok dla rodziców i dobry powód do staromodnego ataku apopleksji!

Ostatecznie jednak okazała się do tego niezdolna. Może i matka miała rację, mówiąc, że „ma we krwi” medycynę, chociaż było to bardzo

nienaukowe określenie, zwłaszcza w ustach kogoś, kto uchodził za jednego z czołowych genetyków Beowulfa. Gdy przyszło co do czego, Allison po prostu nie była w stanie odwrócić się plecami. Piękno ludzkiego ciała, a zwłaszcza złożoność i doskonałość genetycznego planu jego budowy przyciągały zbyt silnie. Chęć pójścia w ślady rodziców okazała się silniejsza niż frustracja wynikająca ze świadomości, że posłusznie zajęła przewidzianą dla niej niszę. Szczególnie przewrotny wydał się jej fakt, że uległa tak silnej fascynacji ludzkim genomem, iż nie umiała przeciwstawić się subtelnym (a czasem i wyrażanym wprost) namowom matki. Przypuszczała teraz, że wcześniejsze zainteresowanie perinatologią mogło być pośrednio tym, co przyciągnęło ją do Franza Iliescu. Czekający ją wymagające studia, z rodzicami nieustannie zaglądającymi przez ramię, on zaś był silną osobowością i zapowiadał się (jak wtedy to widziała) na świetnego położnika. Mieli więc sporo wspólnego!

Jednak cokolwiek zdecydowało wcześniej o tej fascynacji, zaczynało szybko ustępować. Allison coraz częściej myślała o wysokim poruczniku marynarki z Manticore, który wzbudził taką niechęć Franza. Każdy, kogo on nie cierpiał, był zapewne wart poznania. I było coś jeszcze. Na pewno wyróżniał się na kampusie, nie tylko z powodu munduru, który nosił cały czas, ale także wzrostu. Był zdecydowanie wyższy niż przeciętny mieszkaniec Beowulfa, podczas gdy ona niższa niż większość tutejszych. W sumie przerastał ją o dobre pół metra! Trudno byłoby też nazwać go przystojnym, chociaż ogólnie dobrze się prezentował.

Może chodziło o sposób, w jaki się poruszał? Chociaż wielki, nie był niezgrabny, mimo że przecież powinien. W jakiejś części wynikało to zapewne z mniejszej grawitacji, ale to nie mogło być wszystko. Allison zaczęła się zastanawiać nad jego profilem genetycznym. Gwiezdne Królestwo Manticore stosowało modyfikacje genetyczne. Wszystkie jego

planety były cięższe niż Beowulf, przy czym Sphinx był pod tym względem rekordzistą, Harrington zaś nie miał zwalistego i nadmiernie muskularnego ciała typowego dla kogoś, kto bez modyfikacji genetycznych musiałby od urodzenia znosić ciężenie o trzydzieści pięć procent wyższe niż przewidziane dla jego gatunku. To oznaczało, że jego rodzina została poddana tym modyfikacjom już ileś pokoleń temu. Jakiego typu to były modyfikacje? Czy chodziło o właściwy Quellhollow? Raczej nie; nie miał typowego dla tej zmiany koloru skóry. Mógł to być Meyerdahl, ale też Kismet i Cantrell. Nie żeby to było ważne, ale budziło jej zawodową ciekawość.

Nie spieszyła się już tak bardzo; przesadziła jednak, mówiąc Iliescu, że zaraz się spóźni. Miała czas, by rozmyślać nad swoim zaciekawieniem. Jej brat żartował z tego wielokrotnie. Jego pasją była dawna literatura, zwłaszcza autorzy z ery przedkosmicznej. Jednym z jego ulubieńców był autor nazwiskiem Kipling. Gdy jeszcze w dzieciństwie nazwał ją „Ricky”, spytała, skąd to przezwisko. Wyjaśnił, że chodziło o skojarzenie z dwoma ulubionymi bohaterami Kiplinga, kimś zwanym „druhem słoni”, kto cechował się szczególną ciekawością, oraz Rikki-Tikki-Tavim, którego motto brzmiało „Biegnij i szukaj!”. Allison nie wiedziała z początku, czy powinna się śmiać, czy może raczej obrazić, więc brat pożyczył jej obie opowieści, by sama zdecydowała. Uznała, że trafił w dziesiątkę.



Alfred Harrington szedł szybkim krokiem przez dziedziniec. Zawsze dobrze zapamiętywał mapy i nie tracił orientacji w terenie, co przydawało mu się i tutaj, na kampusie. Mimo to istniało ryzyko, że spóźni się na spotkanie z doktorem Pattersonem. Wcześniejsze laboratorium z doktor Mwo-chi trochę się przeciągnęło, jak to zdarza się czasem na początku

kursu, i pani doktor obiecała mu, że w razie potrzeby go usprawiedliwi. Biorąc pod uwagę, że Patterson miał opinię jednego z najbardziej ujmujących i wesołych wykładowców, zagrożenie było niewielkie, ale Alfred i tak uznał tę propozycję za wspaniałomyślną. I jeszcze...

– Och!

Alfred zamachał jedną ręką, by nie stracić równowagi, gdy drobna, ciemnowłosa i zaskakująco atrakcyjna dziewczyna wypadła jakby znikąd. Zupełnie jakby zmaterializowała się dopiero co za rzędem starannie przyszczyżonych krzewów z masą kwiatów na gałązkach i natychmiast stanęła na jego drodze. Alfred miał lepszy refleks niż zdecydowana większość ludzi wyrosłych przy zwykłej sile ciężenia, ale i tak nie był dość szybki, żeby zatrzymać się w porę. Zderzył się z dziewczyną na tyle mocno, że poleciała z impetem do tyłu.



Allison wydała całkiem autentyczny okrzyk zaskoczenia. Nie oczekiwała, że porucznik będzie szedł aż tak szybko, i nie wzięła pod uwagę jego masy i wzrostu. Był od niej o jedną trzecią wyższy, z solidną muskulaturą i silnym kośćcem, typowymi dla mieszkańców Sphinksa. Musiał chyba ważyć dwa razy tyle co ona. Do Allison dopiero teraz dotarło, że mogła znaleźć jakiś mądrzejszy sposób na „przypadkowe” zawarcie znajomości.

Nagle jednak dostrzegła, że jego ręka wystrzeliła do przodu i silne jak stal palce złapały ją za ramię. Nigdy nie widziała, by ktoś zareagował tak szybko. Te palce, jakkolwiek silne, były też łagodne w dotyku i bez najmniejszego wysiłku przytrzymały ją, nie pozwalając upaść na plecy.

– Przepraszam – powiedział Harrington z takim przejęciem, że przez krótki moment poczuła się winna spowodowania kolizji. – Zwykle patrzę,

dokąd idę, ale teraz się spieszyłem.

– Daj spokój! – Allison otrząsnęła się i odgarnęła prawą dłonią włosy z czoła. Harrington puścił tymczasem jej ramię. – To raczej moja wina. Wiem, że te krzaki zasłaniają widok każdemu, kto idzie do Priestly Hall. Powinnam zatrzymać się i spojrzeć, nim zza nich wyszłam.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Chyba wszystko w porządku, poruczniku... Harrington. – Udała, że dopiero co odczytała jego nazwisko z plakietki noszonej na piersi munduru. – Bez dwóch zdań z Manticore. Cześć, jestem Allison Chou – dodała, wyciągając dłoń.

Nie było to jej pełne nazwisko, ale tego nie musiał na razie wiedzieć. Na uczelni figurowała jako Chou, co mocno irytowało jej rodziców, zwłaszcza matkę, ale nazwiska traktowano na Beowulfie jako ważny element prywatności i nikt nie mógł zmienić jej decyzji. Allison podejrzewała, że nie wszyscy z grupy dali się zmylić, ale konsekwentnie pozostawała przy tej okrojonej wersji.

– Miło mi cię poznać, panno Chou. – Ujął jej dłoń i znowu mogła się przekonać, jak wprawnie kontrolował swoją siłę. Na dodatek jego dotyk był dziwnie miły...

– Alfred Harrington. I tak, jestem z Gwiezdnego Królestwa. Dokładniej ze Sphinksa.

– Wydawało mi się, że rozpoznałam akcent – powiedziała, starając się uspokoić. Nigdy jeszcze kontakt z kimś nie zrobił na niej takiego wrażenia. – Studiujesz tutaj?

– Tak. – Pokiwał głową i puścił jej dłoń. Ona odsunęła się tak powoli, jakby wcale nie miała na to ochoty. – Neurochirurgia. A ty?

– Genetyka. – Wzruszyła ramionami i cofnęła rękę. – Tradycyjna specjalność Beowulfa.

– Ciekawa sprawa – odparł. – Zwłaszcza dla nas, z Manticore, czy zwłaszcza ze Sphinksa. Dla nas to coś w naturalny sposób bliskiego.

– Zapewne.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, dlaczego głos porucznika brzmiał tak specyficznie w jej uszach. Miętko, jakby każde słowo było futrzaną łapą głaszczącą ją po głowie. Najwyraźniej nie robił tego celowo, ale znowu, było to miłe i wzmacniało łaskotanie, które ciągle czuła w dłoni. Nie znała dotąd tego uczucia i nie spodziewała się podobnych wrażeń. Ale na dodatek pod spodem, pod tą miękkością i ciepłem, znajdowała coś jeszcze. Coś ciemnego i smutnego. Zdawała sobie sprawę, że taka kombinacja jest nadzwyczaj dziwna, ale przez chwilę miała chęć jednocześnie zamruczeć z zadowolenia i wybuchnąć płaczem.

– Trochę więc pobędziesz na Beowulfie? – spytała całkiem bezwiednie.

Pokiwał głową.

– Przynajmniej dwa do trzech lat. Ale na Sphinksa nie jest daleko, gdy skorzystać z przejścia. Zawsze mogę złapać kilka dni wolnego i polecieć do domu. To nie jest wygnanie.

– Jasne, rozumiem.

Zaczynała czuć się głupio. To było takie miłe, po prostu stać tutaj i rozmawiać z nim, że aż dziwne. Po pierwsze, dlatego że prawie go nie znała. Po drugie, w związku z tym, że uganiali się za nią (niekiedy skutecznie) mężczyźni o wiele przystojniejsi od Harringtona. Po trzecie, ponieważ nie wiedziała, skąd brał się w nim ten mrok, który wyczuwała, i to budziło jej lęk. Po czwarte zaś dlatego, że cokolwiek ona przeżywała, jemu było to najwyraźniej obce.

– Cóż, wyraźnie spieszyłeś się dokądś, gdy na ciebie wpadłam – powiedziała. – Lepiej może goń tam, dokąd masz dotrzeć.

Odsunęła się o krok, on zaś spojrzał na nią z góry. Zawahał się chwilę, po czym pokiwał głową.

– Racja, lepiej pójdę – mruknął, ona zaś odniosła wrażenie, że to nie było wcale to, co chciałaby jej powiedzieć. – Może następnym razem nie wpadniemy na siebie tak gwałtownie.

– Może – przytaknęła i pomachała ręką, gdy odszedł długim i zgrabnym krokiem.

Uff, ale to było przedziwne, pomyślała, patrząc w ślad za nim i starając się zrozumieć cokolwiek z całej sytuacji. Przez lata swej dorosłości spotkała już wielu atrakcyjnych mężczyzn i bywało, że mocno ją przyciągali. Ostatecznie była z Beowulfa, a na dodatek bez fałszywej skromności mogła o sobie powiedzieć, że jest znacznie atrakcyjniejsza niż większość tutejszych kobiet. Ale nigdy jeszcze nie poczuła się przy kimś tak dobrze.

Podeszła do jednej z ocienionych ław i usiadła na niej ciężko. Harrington nie był dla niej ani bratem, ani swatem, jak powiedziałyby Jacques, przez co całe to doświadczenie było tym dziwniejsze. Wielu miało Allison za osobę aż nazbyt żywiołową i ona zgadzała się w pewnym stopniu z tą oceną, jednak czegoś takiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Zupełnie jakby powstała między nimi, i to już przy pierwszym spotkaniu, jakaś niezwykła więź. Głupio. Albo i gorzej, jak w tanim romansie. I jeszcze to mroczne coś. Teraz czuła to nawet lepiej; kojarzyło się ze smakiem żelaza na języku. Allison wzdrygnęła się. To nie była jej ciemność. To było obce i tym bardziej przerażające.

Zamrugła nagle, zatrzymując się przy tej myśli. Przerazające? Dziwne, owszem, ale przerażające? Dlaczego miałyby to przerażać? Paradne.

Wyprostowała plecy. Nie zamierzała poddawać się temu, chociaż z drugiej strony, nie wiedziała też, co mogłaby zrobić. Musiała się zastanowić, niemniej już teraz była pewna, że w poruczniku Harringtonie było znacznie więcej, niż dawało się rozpoznać na pierwszy rzut oka. W każdym razie, gdy chodziło o jej obszar zainteresowań. Ale lepiej bez pośpiechu, pomyślała. Może i była jak Rikki-Tikki-Tavi, ale tym razem powinna działać z wyczuciem i niespiesznie. Zdecydowanie niespiesznie. A skoro tak... skoro ma się już koneksje rodzinne, to grzech ich nie wykorzystywać, prawda?



– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – spytał zaintrygowany Jacques Benton-Ramirez y Chou, podsuwając siostrze krzesło. Potem obszedł stół i też zajął miejsce, po czym uniósł brwi. Allison uśmiechnęła się do niego.

Byli bardzo podobni, co nie powinno zdumiewać, jako że byli bliźniakami. Wprawdzie on był pięć, niemal sześć lat starszy od niej, ale na Beowulfie takie sytuacje zdarzały się o wiele częściej niż na innych światach, gdzie mniej pilnowano kontroli urodzeń. Był też trochę wyższy od niej, ale nikt, kto zobaczyłby ich razem, nie mógł mieć wątpliwości, że ma przed sobą rodzeństwo.

– Dlaczego zawsze zakładasz, że muszę mieć jakiś interes, żeby się z tobą spotkać? – spytała Allison.

– Nauka płynąca z doświadczenia – odparł, ponownie wywołując jej uśmiech.

– I wiele w ten sposób uzyskałam?

– Nie. Ale nie dlatego, że nie próbowałam.

– Dziewczyna musi się na kimś wprawiać – zaznaczyła Allison.

– Fajnie, że mogłem się do czegoś przydać – powiedział uprzejmym tonem Jacques. – Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, o co chodzi. – Wskazał na salę drogiej restauracji. – Żarcie w Madoce zawsze mi pasowało, ale ty ceniłaś je dotąd raczej nisko.

– Mam sporo zajęć w tym semestrze i muszę szukać michy gdzieś blisko uczelni – odparła, wzruszając ramionami.

– I ja też mam się dopasować, wymagając pełnej tolerancji od moich przełożonych?

– Nie przesadzaj, Jacques! Od kiedy tylko pamiętam, zawsze dokonywałeś cudów z czasoprzestrzenią swojej pracy. Nie mów mi, że twoi „przełożeni” łudzą się jeszcze, że uda im się to zmienić.

Zastanowił się nad jej słowami. Miała trochę racji, ale znacznie mniej, niż zapewne sądziła. Wiele z jego zabaw z czasoprzestrzenią miało swoje drugie dno, jego przełożeni zaś byliby zapewne zadowoleni, że ktoś patrzący z boku skłonny był uznać go po prostu za obiboka, potomka bogatej i wpływowej rodziny, który zabawiał się karierą w organizacji militarnej, nie traktując jej jednak zbyt poważnie. Był wprawdzie pewien, że wszystkich i tak nie miał szans oszukać, ale warto było próbować. Nawet ci, którzy powinni byli rozumieć coś więcej, nie mogli tak całkiem ignorować pozorów. Jeśli cała reszta miała go za dyletanta, to tym lepiej, bo tak też go traktowali... albo szukali pretekstów do takiego traktowania. Dla zachowania pozorów czekało go za kilka lat opuszczenie szeregów Zwiadu Biologicznego, przynajmniej oficjalnie. Nie cieszyło go to. Owszem, niejedną paskudną rzecz tam widział i w niejednej sam brał udział, jednak ogólnie rzecz biorąc, wykonywał robotę dającą szalenie wiele satysfakcji. Będzie mu brakowało współpracy z zespołami terenowymi i wyzwań, które się z tym wiązały.

– Chyba nie jestem skłonny się zgodzić z twoimi sugestiami co do mojego charakteru – rzekł. – Ale skoro tu jestem, to znaczy, że chcesz o czymś porozmawiać. Zatem...?

Ponownie uniósł brwi i już chciała odpowiedzieć, gdy tuż obok zmaterializował się kelner. Zrobił to bezszelestnie, jakby był istotą stworzoną z dymu. Madoka mieściła się w pierwszej dziesiątce albo dwudziestce restauracji Grendel (zależnie od tego, kto sporządzał listę). W znacznej mierze dzięki poziomowi obsługi. Oboje złożyli zamówienia, które kelner zanotował w swojej wytrenowanej pamięci, po czym napełnił im kieliszki i zniknął jak sen złoty.

– Co zaczęłaś mówić? – spytał Jacques.

– Chodzi o moją ciekawość – odparła. – Oczywiście mogłam po prostu zadzwonić, ale nie widzieliśmy się już od prawie miesiąca i to był dobry pretekst, by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Pokiwał głową z uśmiechem, świadom, że powiedziała samą prawdę. Byli zżyci ze sobą tak, jak często zdarzało się wśród bliźniąt, chociaż w bardziej złożony sposób, bo byli różnych płci. Gdy przebywali daleko od siebie, zawsze czegoś im brakowało, i niezmiennie odczuwali ulgę, gdy wreszcie mogli się spotkać. Tak jak teraz.

– A dokładniej?

– Chodzi o jednego studenta z Semmelweisa. – Wzruszyła ramionami. – Nie ode mnie, on jest na neurochirurgii, więc w sumie niezbyt się znamy. Ale spotkałam kogoś, kto zdaje się go nie cierpieć, i zastanawiam się, czy naprawdę ma po temu jakieś powody poza własnym rozdętym ego.

– A sama nie możesz tego sprawdzić? – spytał uprzejmie. – Nie wiedziałem, że stałaś się taka staroświecka.

– Mogłabym – odparła i spojrzała na niego krytycznie, chociaż całkiem bez ironii. – Pamiętam jednak, jak mój starszy brat ostrzegał mnie kilka lat temu, żebym może była bardziej ostrożna towarzysko. Nie pamiętam już, który to z moich facetów okazał się tak trefny, ale był taki...

Jacques zaśmiał się, uznając jej argument. Oraz fakt, że może był wobec Allison nadopiekuńczy. Niemniej jego siostra miała wybitnie ambiwalentne podejście do samego faktu bycia członkiem rodziny Benton-Ramirez y Chou. Rozumiała, że wysoka pozycja wiązała się z pewnymi obowiązkami służby publicznej, na przykład w polityce. Albo w medycynie. Rozumiała to, ale nie zamierzała podążać dokładnie przypisaną ścieżką. Niczym kot potrafiła wybierać własne drogi i bywała w tym równie żywiołowa. Nie przez beztroskę czy niedostatek szarych komórek. Uchodziła za wulkan energii, kogoś zdolnego cieszyć się równocześnie wieloma typami aktywności. Niejednego doprowadzało to do szaleństwa, zwłaszcza że za nic miała ostrzeżenia, iż jej rodzina niekoniecznie zawsze i wszędzie musi cieszyć się powszechną sympatią. Inna sprawa, że takie sytuacje zdarzały się naprawdę rzadko. Ród Benton-Ramirez y Chou był naprawdę szanowany na Beowulfie i to chyba mocno drażniło Allison. Rzecz w tym, że obecnie jego członkowie nie musieli robić już nic, żeby ten szacunek utrzymać. Allison uważała to za przykre, irytujące i niezasłużone i często głośno się zastanawiała, jak zdoła sobie z tym poradzić, gdy już skończy uniwersytet. Z drugiej strony, jej względna beztroska nie była bezpodstawna. Większość mieszkańców Beowulfa gotowa byłaby nieba jej przychylić. Poza garstką degeneratów, którzy trafiali się w każdym społeczeństwie, nikt nie był tu dla niej zagrożeniem.

Tyle że wszechświat nie kończył się na Beowulfie i pojawiało się coraz więcej powodów, dla których powinna jednak zachowywać ostrożność,

nawet jeśli tego nie cierpiała. Niestety, spora część z nich miała związek z jego działalnością, co wzbudzało w nim niemal poczucie winy.

– Zatem kto jest obiektem twojego zaciekawienia, Allison? – spytał w końcu.

– On jest ze Sphinksa – odparła. – Rosły gość i oficer RMN. Chyba porucznik, chociaż nie jestem pewna. Ma takie złote coś na kołnierzu. Ale nawet naszych stopni wojskowych nie znam dobrze. Dlaczego oni nie używają takich samych oznaczeń?

– Manticore czy nasze Siły Obrony?

– Jedni i drudzy!

– Bo marynarka jest starsza i ważniejsza i robi, co może, byśmy o tym nie zapomnieli – odparł z uśmiechem, w sumie jednak chcąc zyskać trochę na czasie. Naprawdę nie oczekiwał, że Allison spyta go o Alfreda Harringtona, i nie był wcale pewien, czy chciałby zachęcać ją do zacieśnienia tej znajomości. Nie żeby miał cokolwiek przeciwko Harringtonowi, oczywiście. Wręcz przeciwnie. Niemniej była to postać rzucająca się w oczy i zapewne niekoniecznie najbezpieczniejsze towarzystwo dla jego siostry.

– Nazywa się Harrington – powiedziała. – Skoro robisz taką sprawę z tego, z kim spędzam czas, a on jest akurat cudzoziemcem, przyszło mi do głowy, żeby spytać o niego... Może byś go dla mnie sprawdził albo jakoś tak.

– A liczysz się z tym, co ci przekazuję? – spytał, ale zaraz się uśmiechnął. – Mówiłem ci, że Ilescu to dupek i że w końcu cię wkurzy, prawda?

– Nie jest aż tak straszny, jak mówiłeś – odparła, ale Jacques tylko szerzej się uśmiechnął. Wzruszyła ramionami. – Dobrze, jest paskudny –

dodała. – Ale i tak przedstawiałeś go w jeszcze gorszym świetle, niż jest naprawdę.

– A, rozumiem. Dzięki za wyjaśnienie.

– Proszę. A wracając do rzeczy, sprawdzisz dla mnie Harringtona? Czy mam po prostu robić swoje. Bo wiesz, mam na to sporą ochotę.

– Nie wątpię. – Jacques zastanawiał się przez chwilę, po czym podjął decyzję. – Po prawdzie to trochę już o nim wiem.

– Taak?

Rozłożyła serwetkę i zaczęła bardzo starannie układać ją na kolanach. Poświęcała tej czynności naprawdę wiele uwagi.

– Tak. Odebrałem go z portu, gdy u nas wylądował, przeprowadziłem przez odprawę i zawiozłem na kampus.

Spojrzała niego uważnie i westchnęła. Znał ten wyraz twarzy. Miał nadzieję, że siostra uzna jego słowa za sygnał, by darowała sobie Harringtona, ale ona wyraźnie nie miała takiego zamiaru. Owszem, wszystko, co wiedział o poruczniku, przemawiało na jego korzyść, ale przypuszczał, że sam zainteresowany mógłby mieć inne zdanie na ten temat.

– Dlaczego ty?

– Ponieważ porucznik Harrington jest dość... interesującą osobą – odparł. – Interesującą dla mnie, że dopowiem.

Allison lekko wyduła wargi. W odróżnieniu od części członków rodziny wiedziała dość dobrze, czym zajmował się niekiedy jej brat w ramach Korpusu Zwiadu Biologicznego. Nawet jeśli znała tylko część prawdy, bo całej nie zamierzał jej wyjawiać, było tego dość, żeby właściwie zrozumiała jego słowa oraz to, że za całością mogło kryć się coś ryzykownego.

– Nie wiem o nim nic złego, Allison – dodał pośpiesznie. – Ogólnie rzecz biorąc, wszystko, z czym się zapoznałem, zdaje się świadczyć, że jest wyjątkowo dobrym człowiekiem. Zdarzyło się jednak, że wylądował w środku czegoś... mocno skomplikowanego.

– Co to było?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. – Skrzywił się. – I nawet bym nie chciał. Naprawdę nie mogę, Allison. Sprawa jest od dołu do góry tajna i nawet my nie znamy wszystkich szczegółów.

– A co możesz mi zdradzić? – spytała.

Znał swoją siostrę lepiej niż kogokolwiek innego i wyczuł brzmiącą w jej głosie determinację. Nie wiedział tylko, skąd się wzięła. Od początku nie wątpił, że jej zainteresowanie Harringtonem nie było tak niewinne, jak starała się to sugerować, jednak teraz odniósł wrażenie, jakby chodziło o coś więcej. Jakby naprawdę jej zależało, chociaż nie była pewna, na czym właściwie. Do czegoś takiego nie przywykł. Mocno go kusiło, by przerwać rozmowę w tej chwili. W pewne kwestie naprawdę wolał nie wchodzić. Harrington miał wrogów, którzy nie byli zapewne aż tacy głupi, by go ścigać, zwłaszcza tutaj, na Beowulfie, ale nikt nie mógł tego przecież zagwarantować. Jeśli zaś chodziło im coś po głowie i znali jego aktualne miejsce pobytu...

Niemniej Allison była jego siostrą.

– Zaciągnął się do Royal Manticoran Marines, gdy miał dziewiętnaście lat – powiedział w końcu trochę nieswoim głosem. – Dobrze sobie radził. W wieku dwudziestu trzech lat został sierżantem i dowódcą plutonu i korpus zastanawiał się nad zaproponowaniem mu kursu oficerskiego, gdy coś się zdarzyło. Nic związanego bezpośrednio z aktywnością korpusu. Harrington trafił jednak w sam środek czegoś paskudnego, czemu nie był w żaden sposób winien. I coś z tym zrobił. Zginęło wiele osób, on też był

poważnie ranny, ale gdy Manticore dowiedziało się o sprawie, przyznali mu Osterman Cross. – Spojrzał na siostrę. – To ich drugie najważniejsze odznaczenie za odwagę. Można zdobyć je tylko w walce.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż Jacques wzruszył lekko ramionami.

– Osterman Cross można przyznać wyłącznie rezerwiście albo podoficerowi i zwykle wiąże się to z propozycją awansu na oficera. To ostatnie bywa często odrzucane, co nikogo tam nie martwi. Wiedzą świetnie, jak ważna jest rola podoficerów, i nie pchają ich na siłę w górę, jak to dzieje się nagminnie w Marynarce Ligi. Niemniej propozycję przedstawiają. Tak też było w przypadku porucznika Harringtona, który jednak zgłosił dość niezwykłą prośbę. Zawniósł o przeniesienie do Royal Manticoran Navy i skierowanie do szkoły medycznej. W sumie niby zwykła sprawa, ponieważ u nich marynarka zapewnia korpusowi serwis medyczny, ale dziwne było, że poprosił o to ktoś tak dobrze sprawdzający się w akcji. Niemniej w tych okolicznościach i wzięwszy pod uwagę jego zasługi, przychylnie się do prośby. I w ten sposób ostatecznie znalazł się tutaj.

– A co takiego zrobił, że dostał medal? – spytała cicho Allison.

– Tego nie mogę ci zdradzić. Tajne. Manticore utajniło uzasadnienie.

Spojrzała na niego uważnie, zastanawiając się nad tym, co powiedział. I czego nie powiedział. Miał dostęp do wielu tajnych materiałów, niekiedy nawet takich, których nie powinien znać. Rozumiała jego stanowisko. Zapewne już teraz zbliżył się niebezpiecznie do granic tego, co wolno mu było przekazać. Co sam gotów był jej przekazać. I w tej samej chwili przypomniała sobie ten mroczny cień, który zalegał gdzieś w duszy porucznika Harringtona, i wzdrygnęła się lekko.

– Rozumiem zatem, że Franz mylił się całkowicie, zastanawiając się, czy porucznik Harrington zasłużył na przejście do Semmelweisa – powiedziała niemal normalnym tonem.

– Jeśli tak podejść do tematu, to chyba nikt nie zasłużył sobie na to bardziej – powiedział Jacques i zainteresował się przyniesionymi właśnie przystawkami.

Kelner rozstawił sałatki i miseczki z consommé, po czym wycofał się dyskretnie. Allison złapała za widelec i zerknęła na brata.

– Dziękuję – powiedziała. – Dałeś mi sporo do myślenia.



– Proszę. – Sojourner X podał Jacques’owi zapakowany czip. – Mam nadzieję, że się przyda.

– Zapewne nie zawadzi – przyznał Benton-Ramirez y Chou, spoglądając na wysokiego i potężnie zbudowanego byłego niewolnika.

Kiedyś zwrócił mu uwagę, że Sojourner Truth była kobietą, ale on wiedział o tym już wcześniej. Uznał, że imię Sojourner nadaje się równie dobrze dla obu płci. A przede wszystkim identyfikował się głównie z tym, co za nim stało. Dla Jacques’a zabrzmiało to w pierwszej chwili trochę dziwnie w zestawieniu z wyglądem olbrzyma, ale zaraz zrugął się w duchu, że pozwolił choć na chwilę ożyć uprzedzeniom. Świetnie przecież wiedział, że ocenianie ludzi po wyglądzie prowadziło wprost w pułapkę stereotypów.

Trochę się nawet zirytował. Po prostu był zły na siebie. Jeśli ktokolwiek na Beowulfie powinien być odporny na podobne bzdury, to właśnie członek rodziny Benton-Ramirez y Chou. Jego przodkowie odegrali kluczową rolę w uznaniu w Beowulfiańskim Kodeksie Etycznym Nauk Biologicznych broni biologicznej za wyjętą spod prawa. Po ostatniej ziemskiej wojnie byli zażartymi przeciwnikami czynionych przez Leonarda Detweilera

manipulacji, które miały doprowadzić do powstania „nowego człowieka”. Długo walczyli o zaliczenie broni biologicznej do broni masowego rażenia, co znalazło w końcu odbicie w edykcje eridiańskim. Byli też w awangardzie zwolenników zakazania niewolnictwa genetycznego, co w Lidze Solarnej udało się nawet wywalczyć, chociaż na razie tylko nominalnie. Ostatecznie doprowadzili do tego, że konwencja z Cherwell zrównała handel niewolnikami z piractwem, za oba przewidując tę samą karę. Beowulf wspierał ich twardo we wszystkich tych bataliach i mieszkała tutaj bez wątplenia największa populacja wyzwolonych niewolników. Odpłacali się nowej ojczyźnie patriotyczną postawą, która mogła (i pewnie powinna) zawstydić wielu rodowitych mieszkańców Beowulfa. Sporo kolegów Jacques’a z Korpusu Zwiadu Biologicznego to byli właśnie oni albo ich dzieci. Jednak mimo tego wszystkiego przyjął bezwiednie założenie, że ktoś wyglądający na roboczy model z katalogu Manpower ma zapewne obniżony poziom inteligencji. Prawda zaś była taka, że Sojourner obronił dwa doktoraty, jeden z fizyki, drugi z chemii, i wykładał oba przedmioty na Uniwersytecie Warszawskiej.

– Może nie zawadzi, ale nie przyniesie też pożytku, jeśli nikt się tym nie zajmie – odezwał się głębokim głosem Sojourner. – To nie może długo czekać. Jeszcze trzy miesiące, a te dranie zwiną interes, zabiją wszystkich zbytecznych świadków i zmienią lokal.

– Wiem – powiedział poważnie Benton-Ramirez y Chou. – Zrobię, co tylko będę mógł, dobrze o tym wiesz. Tyle że w Lidze prowadzi się ciągle wiele oficjalnych śledztw po tej sprawie na Haswell. Dwunastu żandarmów zginęło z rąk „nieznanych sprawców” w trakcie akcji w siedzibie handlarzy niewolników. I to w miejscu, gdzie w ogóle nie powinno jej być. Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek może nas wiązać z czymś tak odrażającym!

Jego żałobny ton pozostawał w sporym kontraście z szerokim uśmiechem. Ten jednak zaraz zniknął i Jacques wzruszył ramionami.

– Niestety, każdy, kto ma chociaż dwie sprawne szare komórki, może bez trudu wykombinować, kto mógł za tym stać. Pewnie nawet domyślają się, skąd miałem... skąd ktoś miał aktualne informacje na temat tej placówki. Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno będzie przekonać szefa do nowej akcji. Założywszy, że te dane potwierdzą wszystko, co nam się wydaje. A jeśli już, może chce uderzyć do tych w górze, by uzyskać oficjalną zgodę Rady Dyrektorów. Wiesz, ile czasu zabiera taka droga.

Sojourner skrzywił się z niechęcią, co w jego przypadku wyglądało dość przerażająco. Benton-Ramirez y Chou wiedział, że stał za tym prawdziwy gniew. Skierowany nie przeciwko niemu, ale silny niczym wichura i bardzo nieprzyjemny w odbiorze.

– Może więc powinniśmy poszukać mniej oficjalnej drogi – powiedział i Jacques wciągnął głęboko powietrze.

– Nic nie słyszałem – ostrzegł rozmówcę. – Nie, jeszcze nie teraz – dodał i Sojourner spojrzał na niego z uwagą.

Benton-Ramirez y Chou ugryzł się w język, przeklinając siebie za gadulstwo. Gdyby ktokolwiek z jego przełożonych musiał oficjalnie potwierdzić, że Jacques głośno przyznał się do związków z Baletem, konsekwencje byłyby surowe i natychmiastowe. Oczywiście wielu z nich wiedziało świetnie o tych związkach, ale śladu po tym nie było w dokumentach. Balet był bardzo drażliwym tematem, zwłaszcza w przypadku rozmów między Beowulfem a urzędnikami Ligi Solarnej ze Starego Chicago. Jacques był pewien, że Giuseppe Adamson, stały starszy podsekretarz spraw wewnętrznych, miał chociaż pośrednie dowody, że Korpus Zwiadu Biologicznego nie tylko utrzymywał kontakt z Baletem, ale współpracował z nim przy wielu akcjach. Mogły być wśród nich także dane

na temat planety Haswell, i to takie wskazujące na tożsamość zaangażowanych w tę działalność osób. Między innymi Jacques'a Bentona-Ramireza y Chou, wówczas jeszcze porucznika. Liga była mocno zainteresowana ludźmi, którzy strzelali do żandarmów, nawet jeśli ci żandarmi pracowali akurat jako ochroniarze na rzecz Manpower, strzegąc placówki niewolniczej na planecie, która oficjalnie zakazywała handlu ludźmi.

Cóż, wiedziałeś, że trafisz w szambo, zanim jeszcze się zapisałeś, pomyślał. A Balet dawał pewne wyjątkowe możliwości. Gdybyś uważał, że nie warto ryzykować, od początku trzymałbyś się z boku. Ale nie udawaj, że nigdy nie miałeś potem wątpliwości!

Niestety, Balet nie był uporządkowaną i w pełni hierarchiczną organizacją. Przypominał raczej gromadę sprzymierzonych, ale niezależnych kolektywów. Skupiał ludzi, których łączyła nienawiść do instytucji tak silnie kształtujących życie innych jak Manpower oraz do stosowanych przez tę korporację metod korumpowania polityków w obrębie Ligi Solarnej. Przywódcy Baletu próbowali czasem temperować co bardziej ekstremistycznych członków ugrupowania, ale efekty były mizerne, zresztą tak naprawdę chyba im na tym nie zależało. Biorąc pod uwagę, czego doznali niektórzy członkowie Baletu, albo jakie rzeczy widzieli, trudno byłoby oczekiwać, że będą skłonni do zachowywania umiaru w swoich działaniach. Te zaś przybierały niekiedy postać krwawych masakr, w trakcie których zabijano bez wyjątku wszystkich pracowników Manpower oraz ich kontrahentów. Balet rzadko przejmował się skutkami ubocznymi swoich akcji. Wielu członków i sympatyków organizacji, jak na przykład Sojourner X, rozumiało, że dostarczanie Manpower takich dowodów okrucieństwa Baletu prowadzi donikąd, ale chyba tylko boska interwencja mogłaby to zmienić.

– Przekażę to jeszcze dzisiaj po południu – zapewnił rosnącego przyjaciela, poklepując się po kieszeni, do której schował pakunek. – I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ruszyli sprawę, ale skłamałbym, twierdząc, że szanse są większe niż pół na pół. Jeśli twoja ocena co do tych trzech miesięcy jest trafna, mamy mniej niż sześć tygodni na uzyskanie autoryzacji, przygotowanie i ruszenie do akcji. To mniej niż zwykle, a teraz jesteśmy jeszcze po Haswell. Spróbuję, ale niczego nie obiecuję.

Sojourner przez chwilę spoglądał na niego w milczeniu, po czym pokiwał głową.

– Zrobisz, ile będziesz mógł – powiedział i położywszy Jacques’owi dłoń na ramieniu, ścisnął je lekko. – Wiesz, że zrobisz. Uważaj.

– Ty też – rzucił Benton-Ramirez y Chou.

Sojourner odszedł, odprowadzany spojrzeniem Jacques’a.



– Nie możemy po prostu kropnąć tego skurwysyna? – spytał Giuseppe Ardmore.

On i Tobin Manischewitz siedzieli przy biurku w tanim pokoju hotelowym i spoglądali na ekran komputera, na którym Sojourner X wędrował bez celu po ścieżkach parku Rosalindy Franklin. Ważniejszy był jednak dla nich trochę niższy mężczyzna, z którym ich cel rozmawiał. Wiedzieli, gdzie znaleźć Sojournera, gdyby znowu potrzebowali, ale nie był on tak ważny jak ten drugi. Tymczasem śledzony mężczyzna usiadł na ławce i zapatrzył się na jezioro, jakby naprawdę nic innego go nie obchodziło.

– Drań sprawia nam więcej kłopotów niż co najmniej trzech innych – ciągnął Ardmore. – A przecież nawet tutaj, na tym idealnym Beowulfie,

zdarzają się przestępstwa. Strzelić mu w łeb z pulsera, zabrać portfel i chrono, i już. Nieznani sprawcy i te rzeczy.

– Nie powiem, żeby mnie nie kusiło – przyznał Manischewitz, ale zaraz pokręcił głową. – W sumie bardzo mnie kusi. Niestety, publika może by uwierzyła w tych nieznanym sprawców, ale Korpus Zwiadu Biologicznego i Układowe Biuro Śledcze nie dałyby się oszukać. Dlatego nasza góra uznała, że nie będziemy go ruszać tutaj, na Beowulfie. Zbyt ważna z niego szyszka. Pozornie to tylko byle kapitanek Korpusu, ale koneksje rodzinne czynią go bardzo ważnym kapitanem. Jeśli załatwimy Bentona-Ramireza y Chou na Beowulfie, żadna siła nie powstrzyma ich wścieklej reakcji. Ba, nawet gdyby zginął przypadkiem, potrącony na skrzyżowaniu, też byłoby na nas.

– To co? – warknął Ardmore. – Mam na niego alergię.

– Słuchaj, nikt nie podniesie wielkiego wrzasku, jeśli załatwimy kilku, może nawet kilkunastu innych funkcjonariuszy Zwiadu. Owszem, będą wkurzeni i pewnie trochę nam dołożą przy okazji, ale zapiszą to po stronie kosztów prowadzenia tego interesu. Coś takiego może się zdarzyć, gdy wkurzysz olbrzyma w rodzaju Manpower. Jednak gdybyśmy dopadli Bentona-Ramireza y Chou, zwłaszcza tutaj, to byłoby całkiem co innego. Jego rodzina jest Beowulfem, Giuseppe. Sądzę, że nasi przełożeni obawiają się akcji skierowanej przeciwko któremuś z nich, bo nie chcą sprowokować rewanzu na o wiele wyższym szczeblu. Nikt z nich nie chce zostać celem dla Zwiadu czy ogólnie Beowulfa. Od siebie dodam, że zabicie go wywołałoby efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Rada Dyrektorów mogłaby zdecydować się na to, od czego on ich odwodzi, czyli na nawiązanie otwartych kontaktów z Bailetem.

– To dlaczego zawracamy sobie głowę śledzeniem go? – Ardmore wskazał z niechęcią na ekran pokazujący Bentona-Ramireza y Chou

siedzącego sobie na ławce z nogą założoną na nogę. – Nie powstrzymaliśmy Sojournera przed przekazaniem informacji. Nie zabijemy Bentona-Ramireza y Chou. Sojournera też nie. To co my tu, u diabła, robimy? Z całym szacunkiem dla góry i wszystkich – dodał z całkowitym brakiem szacunku w głosie – marnujemy czas i środki!

Manischewitz skłonny był przypuszczać, że spora część frustracji Ardmore'a brała się z faktu, że obaj mieliby się z pyszna, gdyby podpadli władzom Beowulfa. Zjawili się jako licencjonowani pracownicy Black Mountain Security, jednej z najstarszych ziemskich agencji ochroniarskich i detektywistycznych, jednak ich przykrywka nie wytrzymałaby uczciwego śledztwa, chociaż zasadniczo była nawet prawdziwa. Gość z Black Mountain, który ich zatrudnił i wyposażył w dokumenty, które znacznie ułatwiały podróże w obrębie Ligi Solarnej, w mgnieniu oka wyparłby się znajomości z nimi, gdyby Beowulf zaczął sprawdzać rzecz dokładnie i odkrył, kto był ich rzeczywistym pracodawcą. Zakładając oczywiście, że dowiedziałyby się o ich zatrzymaniu. Prawa obywatelskie były na Beowulfie czymś w rodzaju fetyszu, jednak nie pilnowano ich przestrzegania równie skrupulatnie w przypadku obcokrajowców pozostających na pensji korporacji Manpower.

– Nie wiem, czy to wszystko na nic, Giuseppe – odparł po chwili Manischewitz. – Jasne, góra nie będzie dążyć do eskalacji, która mogłaby objąć średni personel zarządzający, ale chyba ktoś tam ma powód, by dowiedzieć się czegoś o Bentonie-Ramirezie y Chou. Może więc zamierzają dać zgodę na jakąś akcję przeciwko niemu. Zaczynam nawet sądzić, że to całkiem prawdopodobne, o ile zatwierdzą rzecz jednogłośnie. Ostatecznie nawet Beowulf nie uderzy na oślep, bez solidnych dowodów na to, kto stoi za zabójstwem. Chociaż węszenie wokół zarządu może ściągnąć na firmę zbyt dużą uwagę Ligi. Założę się, że Adamson i reszta wyższych

urzędników z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mają serdecznie dość Beowulfa, ale jeśli ten uderzy w dobrze rozpoznane cele po zabójstwie Bentona-Ramireza y Chou, rząd jakoś to przełknie. Ostatnie, czego potrzebują, to dowody na działalność agentów Manpower na terenie Ligi, a Beowulf to jest Liga Solarna. Trudno powiedzieć, co jeszcze mogłoby z tego wyniknąć. Ale jeśli wpadną na sposób, który nie pozwoli Beowulfowi niczego nam udowodnić, to może się zdecydować. Problem w tym, że w sumie niewiele o nim wiemy. O nim czy o jego powiązaniach z Baletem. Jestem cholernie pewien, że Sojourner to nie jest jego jedyny kontakt. Nie mamy też pojęcia, jak bardzo jest ustosunkowany w rządzie czy Siłach Obrony. Wiemy, że brygadier Tyson i Hamilton-Mitsotakis cenią go wysoko, ale nie wszyscy w Siłach Obrony mają dobre mniemanie o „psach łańcuchowych” z Korpusu. Pozostaje dla nas tajemnicą, co myślą o nim przełożeni Tysona. Podobnie jak to, jakie ma kontakty z władzą cywilną! Gotów jestem się założyć, że ma to obstawione, biorąc pod uwagę pozycję jego rodziny. Nie przypuszczam, by ktokolwiek przyklepał operację usunięcia go bez wcześniejszego uzyskania odpowiedzi na te pytania. Musimy dowiedzieć się więcej o jego roli i powiązać to wszystko. Inaczej góra nie zdecyduje się na coś tak ryzykownego. Nawet wówczas, gdyby miała realną szansę odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia.

– A jak niby mamy to osiągnąć? – parsknął Ardmore. – Na razie nie mamy żadnej wtyki w Korpusie, a ich ochrona jest jeszcze szczelniejsza niż Rady Dyrektorów. Mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na jego spotkanie z Sojournerem, ale potrwa całe lata, nim zbierzemy potrzebne informacje. A on w międzyczasie narobi nam nowych kłopotów!

– Może zdołalibyśmy przekonać go, żeby sam nam o sobie opowiedział – zasugerował Manischewitz.

– Chyba cudem! – Tym razem Ardmore zareagował jeszcze ostrzej. – Próbowałem już kiedyś wyciągać informacje z tych drani z Korpusu. Są twardzi i mają lepszą odporność na prochy stosowane podczas przesłuchań niż ci z pierdolonej Marynarki Ligi. Poza tym każdy ma moduł samobójczy. Nawet jeśli góra każe nam go złapać i zdołamy jakoś to załatwić bez ściągania sobie na głowę glin czy tej ich agencji, nawet Korpusu, gdy odbiorą sygnał z wszczepu alarmowego, który nosi w ramieniu, to i tak nigdy nic z niego nie wyciągniemy.

– Widzisz? – spytał Manischewitz z paskudnym uśmiechem. – I dlatego ja tu dowodzę. Myślisz w prymitywnych kategoriach, Giuseppe. Nic, tylko brutalna siła. A ja, jeśli zdołam przekonać górę, to do czegoś znacznie bardziej subtelnego. Naszemu kapitanowi Bentonowi-Ramirezowi y Chou bardzo się to nie spodoba.



– Boże, ależ to paskudna broń – mruknął Alfred Harrington, patrząc na neurodestruktor leżący na stole laboratoryjnym. Poczł mdłości, tak jak wtedy, i sam się zdziwił, że zdołał dotknąć urządzenia bez drżenia dłoni.

– To prawda – zgodziła się Mwo-chi. Stała kilka metrów dalej, z rękami założonymi na piersi i ponurą twarzą.

– Nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak ktokolwiek mógł skonstruować tę broń, pani doktor – powiedział Alfred. Przyjrzał się neurodestruktorowi i odnotował, że zasilanie nie zostało podłączone. – Jest skuteczna przeciwko niechronionym celom na bliski dystans, ale pancierz bojowy całkowicie przed nią osłania. Na dodatek przy dystansie powyżej siedemdziesięciu pięciu metrów jej skuteczność maleje radykalnie także w przypadku nieosłoniętych celów. Przy stu pięćdziesięciu metrach równie dobrze można by świecić latarką.

– Zgadza się. – Mwo-chi przechyliła głowę. – Wspomniałeś wcześniej, że widziałeś ją w użyciu. Można spytać, gdzie?

– Nie mogę... nie mogę powiedzieć – odparł Alfred i spojrzał na lekarkę. – Przepraszam. Nie mogę o tym rozmawiać.

– Rozumiem. – Mwo-chi zmierzyła go spojrzeniem. – Ale wolałam spytać. Założę się, że nie została wtedy użyta przez oddział regularnego wojska?

– Zgadza się. – Alfred zmarszczył brwi, a Mwo-chi zaśmiała się ponuro.

– Nie mogła. Nie tylko dlatego, że jest zakazana konwencją denebską. Jak powiedziałaś, jest nieskuteczna na daleki dystans. Z bliska, owszem, kogo od razu nie zabije, tego na pewno uczyni niezdatnym... jak to się mówi? Do gotowości bojowej?

– Tak – odparł Alfred lekko nieswoim głosem i Mwo-chi zaraz pokręciła głową.

– To nie było pod twoim adresem – powiedziała łagodnym tonem. – Ani pod adresem twoich ludzi. Niemniej jakkolwiek może być zabójcza na mały dystans i wobec nieosłoniętych przeciwników, jest o wiele mniej użyteczna niż dawne klasyczne karabiny, o strzelbach laserowych i nowszych wynalazkach nie wspominając.

– Ciężka wersja ma większy zasięg – powiedział Alfred. – Widziałem, jak poraziła kogoś na odległość trzystu metrów. Ale ma pani rację, jest wtedy dwa razy cięższa niż działko, które sięga dziesięć razy dalej i nadal jest wtedy skuteczne przeciwko opancerzonej piechocie, a na dodatek ma taki celownik, że ślepy by nie chybił. Dlatego nie rozumiałem, po co opracowano tę broń i kto był na tyle pokręcony, że rozwinął produkcję seryjną.

– Pierwotnie to nie była broń – powiedziała Mwo-chi. Alfred spojrział ze zdumieniem na neurodestruktor. – Zaczęło się od tak zwanego neurobata. To był wynalazek Mesy. – Alfred przymrużył powieki. – Tak, Manpower. Mam tu gdzieś jeden, potem pokażę ci notatki na temat jego historii. Zasadniczo potrzebowali efektywnego narzędzia do utrzymywania dyscypliny. Gdy zobaczyli, jak bardzo jest skuteczne, zaczęli zastanawiać się, czy nie dałoby się przekształcić go w narzędzie do kontrolowania tłumu. Tak żeby, przyłożywszy niewolnikom po kilka razy neurobatem, zabić jeszcze kilku tym urządzeniem na oczach innych. Śmierć śmierci nierówna i pewnie wielu, którzy ryzykowaliby wobec pulsera, zawahałoby się, widząc, co ta broń robi z ludźmi. Zwłaszcza wiedząc, że wszystkich w promieniu dziesięciu czy dwunastu metrów spotka to samo.

Alfred zacisnął szczęki. Tak, teraz wszystko pasuje, pomyślał. Powróciły wspomnienia. Clematis, krzyki, dym... Ona ma rację. Ma rację co do reakcji ludzi. Gdybym wiedział, że czekali na nas z tym, nigdy bym...

Przerwał tok myśli. Było to trudne, ale dał radę. Wciągnął głęboko powietrze, aż płuca go zaboląły. Jeśli ten diabelski wynalazek był dziełem Manpower, to jego obecność na Clematisie nabiera sensu.

– Czy mogę spytać, dlaczego trzyma pani tę broń? – spytał, stukając w obudowę palcem.

– Z tego samego powodu, dla którego trzymam neurobat zamknięty w sejfie. By przypominały mi o korzeniach mojej nienawiści. – Nie zmieniając pozy, spojrziała na broń. – Mesa jest jak zły bliźniak Beowulfa. Robi wszystko, by obrócić w zło to, czego dokonamy. My próbujemy czegoś dokładnie odwrotnego. A ja mam świadomość swojego udziału w ich sukcesie, chociaż wiem, że to neurologi z Mesy wymyślili tę broń. Niemniej kojarzę, jaki typ stymulacji wybrali, a ten został opracowany u nas. Dlatego od dawna po cichu szukam sposobu, żeby odwrócić ten

proces albo naprawić jakoś zniszczoną tkankę nerwową. A to przypomina mi, dlaczego to robię. – Spojrzała Alfredowi w oczy. – Nie myśl więc, że nie rozumiem nic z tego, co cię gnębi. Mogę nawet przyznać głośno, że od dawna szukałam podobnie nawiedzonego asystenta, który pomógłby mi w tej robocie. Witaj więc, szalony Alfredzie.



Allison Chou siedziała w klimatyzowanym pawilonie na dziedzińcu uniwersytetu i wpatrywała się w ekran komputera. Tak naprawdę niewiele widziała, skupiona całkiem na czymś innym, z myślami bardzo daleko od nauki.

Minęły już trzy tygodnie od jej lunchu z bratem, a ona nie była ani o krok bliżej podjęcia decyzji niż wtedy, gdy dojadła deser podczas spotkania. To było do niej niepodobne. Tak naprawdę nie była wcale roztrzepaną, żywiołową i niepozbitą osobą, za jaką mieli ją rodzice. Owszem, rzadko się wahała czy próbowała długo sondować własne odczucia. Ufała swemu instynktowi i chociaż czasem się myliła, niemal nigdy nie przeżywała stanów niepewności.

Tym razem było inaczej.

Kątem oka dostrzegła ślad czerni i złota. Szybko podniosła głowę i zaraz zacisnęła wargi. Miała za sobą trochę przygód i co najmniej dwa pełne namiętności romanse, ale nigdy jeszcze nie czuła czegoś takiego jak teraz, gdy patrzyła na wysoką i atletyczną sylwetkę porucznika Harringtona idącego przez dziedziniec. Chodził tak płynnie i pewnie. Poruszyła nozdrzami, jakby wyczuwała coś jeszcze, jednak nie chodziło o zapach. Po raz pierwszy w życiu kogoś naprawdę się bała.

Chociaż nie, pomyślała. Nie chodziło bezpośrednio o niego. Bała się tego, co czuła, ponieważ nie rozumiała, co się z nią działo.

Nigdy jeszcze nie ciągnęło jej tak mocno do mężczyzny czy jakiegokolwiek innej osoby. Nawet teraz, gdy był co najmniej sześćdziesiąt metrów dalej, wywoływał błogie ciepło sprawiające, że chciałoby się mrużyć. Na pewno nie chodziło tylko o pociąg seksualny, chociaż samo odczucie było naładowane wręcz erotyzmem. Nie była to także fascynacja pięknym ciałem czy błyskotliwym umysłem. W sumie nie był przecież aż tak przystojny, co zaś do intelektu, to rozmawiała z nim ledwo chwilę i zabrakło okazji, by olśnił ją swym geniuszem. Nawet jeśli nim był. To było po prostu... miłe, chociaż takie określenie wydało się Allison zbyt anemiczne. To było tak, jakby nagle znalazła coś, o czym nawet nie wiedziała, że to zgubiła, spotkała starego przyjaciela, którego jakimś przypadkiem nigdy wcześniej nie знаła. Jakby odkryła właśnie sposób na uczynienie siebie kompletną. Już sama intensywność tego wrażenia, połączona z ciepłem i łagodnością, miała prawo wzbudzić co najmniej lęk. Oczywiście próbowała dociekać, ile z tego to zwykła gra wyobraźni czy autosugestia, a ile dzieje się naprawdę, i jak długo może potrwać coś tak efemerycznego, pozostając poza jej kontrolą i umiejętnością zdefiniowania.

Ale to nie było wszystko. Zostawał jeszcze ten mrok i on budził wręcz przerażenie. Wyczuwała w nim echa cierpienia i czającą się głębiej złość. Był jak ciemna chmura wisząca nad ziemią. Ale skąd ona przyszła i co oznaczała? Czy było to coś ukrytego w osobie Harringtona, jakaś trucizna na dnie jego serca? A może coś w niej? Coś, o czym dotąd nie wiedziała, wyzwolone nagle jego obecnością? Czy też może przeczucie, jakieś podświadome ostrzeżenie przed czymś, czego jej świadomość jeszcze nie wychwyciła? I w ogóle jakie prawo miał ten młody mężczyzna z innej planety, ktoś, kogo tak naprawdę jeszcze nie poznała, do zburzenia jej spokojnego i zorganizowanego życia, i to w sytuacji, gdy jak dotąd ledwie na nią spojrział?

Westchnęła, otrząsnęła się i spróbowała skupić uwagę na ekranie. Była już spóźniona z lekturą, a doktor McLeish nie należał zapewne do osób skłonnych uznać usprawiedliwienia typu: „Nie miałam czasu, bo wzdychałam do pewnego nieznanego”.



Alfred Harrington nawet nie zerknął w kierunku pawilonu, ale wiedział, że Allison tam jest. Zawsze wiedział, gdzie się znajdowała albo chociaż w którym kierunku należałoby pójść, by ją spotkać. I mocno go to niepokoiło.

Szedł dalej, nie zwalniając nawet kroku i nie zdradzając się, że cokolwiek wyczuł, chociaż wrażenie było tak silne, jakby Allison była częścią jego osoby. Zdumiewało go to zauroczenie i jednocześnie peszyło, gdyż nijak nie rozumiał jego natury.

A może to dlatego, że zetknąłeś się już z czymś bardzo podobnym? – pomyślał.

Zaraz odrzucił tę myśl, chociaż okazała się uparta i jakoś nie chciała odejść daleko. Może to i nic dziwnego, skoro urodził się na Sphinksie i był Harringtonem.

Dobrze, Harringtonem, ale przecież nie treecatem! – zbeształ się w duchu. Ona też była człowiekiem. On zaś nie powinien myśleć w ten sposób o kobiecie, której tak naprawdę wcale nie znał.

To wszystko było prawdą... ale to stwierdzenie niczego nie rozwiązywało.

Doszedł do akademika, wjechał wyciągiem na swoje piętro. W mieszkaniu zaraz wyszedł na balkon. Wziął elektroniczną lornetkę i spojrzał na dziedziniec. Tak, była w pawilonie i pracowała na kompie.

Alfred zacisnął wargi i odłożył lornetkę, czując się w tej chwili jak zwykły podglądacz, po czym opadł na fotel. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i potarł twarz dłońmi. Potem wyprostował się znowu i odetchnął głęboko.

To było przedziwne. Niestety, mimo przedziwności było również realne, on zaś nie miał bladego pojęcia, co z tym zrobić. Spotkał już kilka kobiet, które wybitnie go pociągały, ale nigdy w ten sposób, jakby ta druga osoba była jego zaginioną połówką. Dotąd podobne deklaracje kojarzyły mu się z podłymi romansami, jakie jego młodsza siostra Clarissa uwielbiała czytać, gdy miała trzynaście lat. Druga połówka? Dotąd nigdy o nikim tak nie pomyślał i nie oczekiwał, żeby mu się to zdarzyło. Miłość od pierwszego wejrzenia? Nie wierzył w coś takiego i nigdy tego nie zaznał. Teraz też nie. Cokolwiek to było, musiało być czymś innym... chociaż za nic nie potrafił odgadnąć, czym właściwie.

Nie bądź taki do przodu, podpowiedział mu wewnętrzny głos. Zawsze wierzyłeś swojej intuicji, prawda? Tak szczyciłeś się zdolnością do wyczuwania innych. Przez lata wygrałeś dzięki temu sporo partii pokera. A twoja rodzina od trzech stuleci zadaje się z treecatami, zgadza się? Musi być jakiś powód sprawiający, że aż tylu Harringtonów zostało przez ten czas adoptowanych przez kociaste. Może więc jesteś trochę odmieńcem?

Nonsens. Był dobry w odczytywaniu mowy ciała i podświadomych sygnałów, w naturalny sposób przekazywanych przez większość ludzi. Owszem, jakoś zawsze wiedział, gdy ktoś w jego oddziale miał kłopoty, potrzebował pogadać czy trzeba go było ustawić do pionu. Ale to nie miało nic wspólnego z „odbiorem pozazmysłowym”, a nawet jeśli, ona nie była z Harringtonów ani nawet ze Sphinksa. Nawet nie z układu Manticore!

I to ostatecznie, jak sam musiał przyznać, było dużą częścią problemu.

Westchnął z ponurą miną i znowu przetarł twarz. Jeśli on był... odmienny, gdyby okazało się, że dysponował pewnymi... szczególnymi zdolnościami, jakie miałyby prawo wykorzystywać je wobec kogoś? Ona na pewno nic nie podejrzewała, niczego nie czuła, ale jeśli... to czy to dlatego, że on na nią wpłynął? Nie marzył o roli złego czarnoksiężnika, rzucającego zaklęcia na ludzi. Jeśli miałyby cokolwiek do niego poczuć, niech będzie to naturalne, a nie związane z jakąś jego tajemniczą aurą czy emanacją!

Uśmiechnął się krzywo, zrozumiałwszy, do jakich dziwności doszedł. Z drugiej strony, dziwne czy nie, było to bardzo istotne. Przestał się uśmiechać. Tu krył się jeszcze jeden problem.

On sam. Nie był już przecież sobą. Kryło się w nim zło. Czasem czuł się wręcz jak potwór, skrywający swoją prawdziwą naturę pod gładką powierzchownością. Na dodatek ta maska, odgradzająca go od świata, była coraz cieńsza i bardziej przezroczysta. Clematis obudziło w nim potwora i dlatego uciekł z Korpusu, uciekł od słodkiej pokusy zabijania.

Spojrzał na swoje dłonie w taki sposób, jakby należały do kogoś obcego. Przypomnił sobie to gorące, oszałamiające pulsowanie krwi. To była choroba. Zaraza, której się bał bardziej niż wszystkiego, co mogło budzić w nim lęk. Ktoś o takim sercu nie powinien zbliżać się do innych. Był nieczysty... i niebezpieczny.

Znowu wciągnął głęboko powietrze, wstał i skierował się do kuchni. Tyle dobrego, że przy swoim metabolizmie mógł szukać pocieszenia w jedzeniu, ani trochę nie lękając się otyłości.



– I co? – spytał Giuseppe Ardmore i Tobin Manischewitz pokręcił głową.

– Nie jesteś uczennicą na pierwszej randce – powiedział surowym tonem.

Ardmore tylko prychnął.

– Może nie, ale i tak czekam z utęsknieniem na tę akcję. Jeśli została zatwierdzona, oczywiście.

Manischewitz znowu pokręcił głową. W sumie też wolałby się ruszyć, ale obaj wiedzieli, że nigdy nie zrobią tego bez wyraźnego rozkazu. Góra nie raz udowodniła, że zwykła karać przykładnie za podobne akty niesubordynacji.

Poza tym to on właśnie wyszedł z tym pomysłem, więc próba gaszenia zapachu Giuseppe była niekoniecznie na miejscu. Dlaczego więc tak bardzo się przejmował?

– Dziwnie osobiście podchodzisz do tej sprawy – zauważył głośno.

– Osobiście? Skąd ten pomysł?

– Bo jesteś taki niecierpliwy – odparł Manischewitz, pojmując w tej samej chwili, dlaczego entuzjazm Giuseppe tak mu się nie podoba. – Gównu mnie obchodzi cały ten klan Ramirezów czy Bentonów, ale ty zachowujesz się tak, jakbyś miał moskita z New Texas pod hełmem. A prawda jest taka, że jeśli cokolwiek spieprzymy i miejscowi będą mieli chociaż cień szansy na zidentyfikowanie nas, zanim porzucimy ciała i wydostaniemy się z Beowulfa, to będziemy tak martwi, że nawet najlepszy niuchacz DNA nie znajdzie nigdy naszego śladu. A jeśli ktoś zaczyna angażować się osobiście, z reguły zaczyna też myśleć dupą zamiast głowy i łatwo pójdzie na niepotrzebne ryzyko. Bardzo czegoś takiego nie lubię. O co ci więc chodzi z tym gościem?

– Po prostu go nie lubię, wystarczy? – powiedział po chwili Ardmore. – On i jego rodzina od wieków dokładają naszym i to mi się nie podoba.

I jeszcze ta jego arystokratyczna wyniosłość; jakby był mądrzejszy i lepszy niż my wszyscy. Jest jak wrzód na dupie, który, jeśli czegoś z tym nie zrobimy, z czasem będzie nabrzmiwał coraz bardziej. Jeśli rozgnieciemy jakiegoś Bentona-Ramireza y Chou, będę szczęśliwy. A zwłaszcza jeśli rozdepczemy jak robala tego tutaj. I nie zamierzam udawać, że jest mi to obojętne.

– Nie, to coś więcej. – Manischewitz usiadł na jednym z krzeseł i spojrzał surowo na współnika. – To jest coś osobistego i chcę wiedzieć co. Teraz.

Ardmore zmierzył go spojrzeniem, jednak tamten nie zamierzał ustąpić. Czekał. Nie miał nic przeciwko odrobinie osobistej motywacji, jeśli miało to pomóc w wykonaniu roboty, jednak zbyt silna albo zbyt osobista dobra była tylko przy łapaniu pcheł. Tymczasem każdy, najmniejszy nawet błąd popełniony podczas akcji na Beowulfie miałyby fatalne konsekwencje dla wszystkich jej wykonawców.

– Dobra – rzucił w końcu Ardmore i skrzywił się paskudnie. – Trzy lata temu, w New Denver, miałem... małe starcie z pieprzonym Korpusem.

– W New Denver? – Manischewitz aż przymrużył powieki. – Tym New Denver? Na Starej Ziemi?

– Nie, tym w Andromedzie! Oczywiście, że na Starej Ziemi.

– Co ty, u diabła, robiłeś na Ziemi?

Manischewitz był wręcz wstrząśnięty. Znał Giuseppe od blisko piętnastu lat, chociaż przed stworzeniem zespołu pracowali razem od okazji do okazji, ale nigdy w Układzie Słonecznym. Ich pracodawcy unikali jak ognia jakichkolwiek ryzykownych operacji w starym świecie. Genetyczne niewolnictwo było specjalnością podziemia gospodarczego Ligi Solarnej i dla światów centralnych oficjalnie nie istniało. Manpower dokładało

wszelkich wysiłków, by sytuacja nie uległa zmianie i nikt nie wyciągnął przypadkiem tematu.

– Gdyby góra chciała, żebyś o tym wiedział, sami by ci powiedzieli – rzucił Ardmore. Potem pokręcił głową. – Chciałeś wiedzieć, co mam prywatnie do tego dupka? Powiem ci! Byliśmy w New Denver po Fairmont-Solbakken!

– Mieliście załatwić Aurèle Fairmont-Solbakken? – spytał Manischewitz. Sytuacja prezentowała się coraz gorzej. Aurèle Fairmont-Solbakken była przewodniczącą delegacji Beowulfa w Zgromadzeniu Legislacyjnym.

– Oczywiście – odparł z uczuciem Giuseppe. – Beowulf wymógł decyzję o stałej obecności Floty Granicznej w układzie Lytton i ktoś na górze mocno się z tego powodu wkurzył.

Manischewitz nie od razu skojarzył, co to za układ, ale po chwili sobie przypomniał. Był to mały i strasznie biedny, nominalnie niezależny układ planetarny kilka lat świetlnych od układu Sasebo. Jeden terminal od Erewhon Junction. Czyżby...

– Chcesz powiedzieć, że nasi próbowali założyć tam bazę?

– Oczywiście! – parsknął Ardmore. – Ci z Erewhonu mają fioła na punkcie wszystkiego, co jest związane z handlem niewolnikami. Pewnie dlatego, że tkwią prawie dokładnie między Haven a Manticore. I stąd wymyślili sobie, że będą „pryncypialni”! Góra wykoncypowała, że mała i nierzucająca się w oczy placówka na Lytton pozwoli na wykorzystanie bliskiego Erewhon Junction, by przejść ich kontrolę celną bez... produktów na pokładzie. Skok, wyrzucenie ładunku w jakimś zakątku, na przykład w Silesii, i powrót na czysto przez Manticore Junction, wyjście w Erewhonie, zabranie świeżego ładunku na Lytton i dostarczenie go do dalszych sektorów, gdzie nikt nie zadaje pytań. Potem powrót, i tak znowu,

raz za razem. Na odcinku Erewhon–Manticore mogliby nawet brać jakiś całkiem legalny towar. Ale Beowulf musiał się wtrącić. Fairmont-Solbakken mocno naciskała na stałego podsekretarza i jestem prawie pewien, że uciekła się nawet do jakiegoś małego szantażu, ale w tym mogę się mylić. Na pewno wiem tyle, że Flota Graniczna posłała tam niszczyciel, i to na stałe. Tak więc góra postanowiła przekazać Beowulfowi konkretną wiadomość, a mój zespół miał ją doręczyć.

– I rozumiem, że nic z tego nie wyszło – zauważył Manischewitz.

– Gdyby wyszło, tobyś o tym wiedział – zgodził się z żalem Giuseppe. – Prawdę mówiąc, to była katastrofa. Wysłano nas jedenastu, włączając w to mnie i mojego partnera Gerlacha. Z całej grupy tylko ja wróciłem żywy. Beowulf jakoś się o wszystkim dowiedział i wysłał zespół specjalny Korpusu, który zaatakował w samym centrum New Denver. Ja byłem akurat na zwiadzie, gdy uderzyli. Gdy wróciłem, moich nie było i można by sądzić, że nigdy nie istnieli. Nie wiem, czy zabili wszystkich od razu, czy też może zabrali kilku do jakiegoś bezpiecznego lokalu, by nad nimi popracować. Wiem tylko, że zniknęli, a ten mały drań Benton-Ramirez y Chou, który „przypadkiem” urlopował akurat w New Denver, rozpłynął się w powietrzu i następnego dnia był nie do znalezienia. Tak więc owszem, mam osobisty powód. Czy to dla ciebie jakiś problem?

– Żaden, jak długo będziesz pamiętać, że ja tu dowodzę, i nie pozwolisz, żeby twoje osobiste sprawy przeszkodziły ci w należyтым wykonaniu roboty. Oraz weźmiesz sobie do serca, że w żadnym razie nie mamy go zabijać. Przynajmniej na razie.

– A tak, pamiętam o tym. – Ardmore uśmiechnął się złośliwie. – Bo wiesz co? Sądzę, że to nie zadziała. Moim zdaniem gość spróbuje być sprytny, a gdy się z tym rozpędzi, oboje zginą. I to mi pasuje, Tobin. Bardzo pasuje.



Allison Chou oddychała miarowo i głęboko, podczas gdy podeszwy jej butów wybijały rytm na żwirowej ścieżce. Zakręt był już blisko, za nim zaczynał się odcinek powrotny. Allison uwielbiała park Rosalindy Franklin, a zwłaszcza ścieżki do biegania. Park został założony prawie dwa tysiące lat wcześniej i obecnie rosły w nim prawnuki oryginalnych ziemskich dębów, zasadzonych przed dawnymi architektów krajobrazu. Wiele drzew miało pnie o średnicy przekraczającej dwa metry, z konarami rzucającymi głęboki cień na wijące się ścieżki. Biegło się tu prawie jak po dnie stawu, a wąskie promienie słońca atakowały co jakiś czas oczy. Parkowa brama przy bulwarze Watsona i Cricka była odległa ledwie o dwie przecznice od wynajmowanego przez Allison mieszkania. To było jej ulubione miejsce do biegania, bieganie zaś było jej ulubioną formą aktywności fizycznej, gdy musiała o czymś intensywnie porozmyślać.

Jakoś będziesz musiała sobie z tym poradzić i nie ma co chować głowy w piasek, pomyślała. Może to tylko jakaś luźna śrubka w głowie ci tak brzęczy i wystarczy ją przykręcić. Zawsze miałaś bujną wyobraźnię. Sama nie odgadniesz, skąd się to wzięło, i jedyny sposób, żeby coś wyjaśnić, to po prostu porozmawiać z nim. Spędź z nim trochę czasu, zamiast siedzieć i myśleć o nim. Nie musisz od razu robić do niego maślanych oczu i ciągnąć go do łóżka. Zbadaj sprawę, dowiedz się czegoś konkretniejszego, a potem zdecydujesz, czy pójść dalej, czy zapomnieć o wszystkim.

Potrząsnęła głową i wzniosła oczy do nieba. Jasne. Tylko tyle. Owszem, to miało sens, o ile cokolwiek miało sens w tych okolicznościach. Jednak nigdy dotąd nie spotkała się z podobnymi okolicznościami. I to było najgorsze i najbardziej przepęniało ją lękiem.

Przymknęła na sekundę powieki, a gdy je otworzyła, wszystko było nadal takie samo. Nadal mogłaby unieść dłoń i wskazać kierunek. Owszem,

odczucie było słabsze, ale to akurat nie dziwiło, skoro park był dość mocno oddalony od kampusu. To oznaczało, że cokolwiek to było, podlegało pewnym prawom. Na przykład związanym z odległością. Im bliżej kampusu znajdowała się, tym dokładniej była w stanie wyczuć, gdzie aktualnie znajdował się Alfred Harrington. Zupełnie jakby znajdowała się w jego polu grawitacyjnym.

I to jest to! – powiedziała sobie. Podsumowuje sprawę. Jasne, to mroczne coś cię przeraża, ale najgroźniejsze jest wrażenie, że straciłaś kontrolę nad swoimi emocjami. Coś dzieje się wbrew twojej woli i dlatego czujesz się obco. Nie tyle rozchwiałaś się emocjonalnie, co wpadłaś w rodzaj... emocjonalnego uzależnienia.

Pokonała zakręt i ruszyła z powrotem, starając się nie krzywić na myśl, że zdąży dokładnie w kierunku Harringtona. Zupełnie jakby był dla niej pomocą nawigacyjną. Wystarczy, pomyślała. Skończy bieg, weźmie prysznic, przebierze się i pójdzie na kampus, by zaprosić porucznika Harringtona na kawę czy herbatę. Usiądą razem przy stole i może wreszcie zdoła ustalić, ile z tego to produkt jej wyobraźni. Albo i nie.

A co zrobisz, jeśli to wszystko dzieje się naprawdę? – spytała sama siebie, ale nie znalazła odpowiedzi.



Alfred Harrington odpoczywał na leżaku, oczywiście na balkonie. Nogi oparł mało elegancko na balustradzie. Na stoliku obok stał kieliszek Alessandra Farms, rocznik 1819. Wino w stylu gewürztraminer było dla niego miłą niespodzianką, chociaż kosztowało sumę wręcz upiorną. Komponowało się doskonale sympatycznie z miejscowymi wędzonymi kiełbaskami oraz plasterkiem ostrego cheddara, który czekał na talerzyku obok kieliszka. Wino leżakowało w beczkach z miejscowego czerwonego

dębu, które wcześniej lekko opalono od wewnątrz, by dodać dymności bukietowi, w którym wyczuwało się ponadto nuty brzoskwini i liczi.

Uwagę skupiał zasadniczo na ekranie czytnika z notatkami z ostatniego spotkania z doktor Mwo-chi, chociaż jakaś część jego świadomości była oczywiście zajęta czym innym. Niczym igła kompasu kierowała się ku obecności tej drugiej osoby. Starał się ten kompas ignorować i chwilowo prawie mu się to udawało. Pomocny był fakt, że pani doktor mocno zaangażowała się we wprowadzanie go w swoje dotychczasowe badania, a im więcej dowiadywał się o jej pracach, tym bardziej był pod ich wrażeniem. Nie żeby jakikolwiek ich element oferował gotowe rozwiązanie problemu, który frapował ich oboje, ale Alfred czuł w głębi ducha, że prawdziwego rozwiązania najpewniej nigdy nie znajdą. Coś, co zostało tak dokładnie zniszczone, nie nadawało się do naprawy. Obecnie najlepszym sposobem wydawało się poszukiwanie lepszych metod wytwarzania syntetycznych nerwów. Ale może jednak istniał jakiś sposób skłonienia ludzkiego organizmu do pełnej regeneracji zniszczonej tkanki nerwowej?

Na pewno, pomyślał Harrington. Musi istnieć. Upił znowu trochę wina. Zwłaszcza że jest tak bardzo potrzebny.

Problem wiązał się z tym, że chociaż współczesna medycyna radziła sobie coraz lepiej z regeneracją kończyn, która nie udawała się tylko u niewielkiego odsetka populacji, nie oznaczało to pełnej kontroli nad procesem. Nie można było włączać i wyłączać dowolnie regeneracji kości, mięśni czy nerwów. Albo regenerowało się wszystko, albo nic. Dlatego właśnie niemal zdrowa noga, w której tylko drogi nerwowe zostały nieodwracalnie uszkodzone przez neurodestruktor, musiała być amputowana powyżej obszaru zniszczeń i wyhodowana od zera. Na razie było to najlepsze dostępne rozwiązanie, ale bezużyteczne, gdy chodziło o ciężkie uszkodzenia rdzenia kręgowego. Tutaj sięgano po transplantacje,

które jednak dawały dobre efekty tylko przy niewielkiej skali zniszczeń. Na dodatek nawet przy zastosowaniu najlepszych technik chirurgicznych zawsze dochodziło do jakiejś utraty funkcji. To, co sprawdzało się w przypadku ręki czy nogi, nie wystarczało w przypadku kręgosłupa. Sięgano też po syntetyki, zwłaszcza przy próbach leczenia urazów kończyn, ale jak dotąd nie były one pełnymi analogami naturalnych nerwów. I w tym przypadku niedostatki, które dawały się jakoś znieść w przypadku obwodowego układu nerwowego, stawały się poważnym problemem, gdy chodziło o kluczowe elementy tego układu.

A najgorsze wydawało się to, że neurodestrukторы nie były bronią punktowo celną. Atakowały układ nerwowy na szerokim obszarze, a na dodatek wzbudzone przez nie impulsy potrafiły biec dalej wzdłuż dróg nerwowych. I tak trafienie w nogę mogło doprowadzić do poważnego uszkodzenia rdzenia kręgowego, i to aż do poziomu dziesiątego kręgu piersiowego. Trafienie powyżej bioder było niemal zawsze śmiertelne albo oznaczało co najmniej poważne uszkodzenie mózgu.

Gdyby tylko zostawało tam coś na zaczątek odbudowy! Ale ta broń została tak zaprojektowana, by demolować ze szczętem kolejne neuryty, praktycznie je wyrywać. W takich razach nawet terapia genowa była bezużyteczna. Ale przecież musiał istnieć jakiś...

Czytnik przeleciał przez barierkę balkonu, kieliszek wina roztrzaskał się na posadzce. Alfred Harrington zerwał się z fotela i przez sekundę spoglądał na kampus, po czym obrócił się na pięcie, przebiegł przez mieszkanie i wygarnął zawartość z zabezpieczonej zamkiem daktyloskopijnym szuflady. Potem złapał jeszcze lekką kurtkę i runął do drzwi.

Trzy sekundy później jego dwóch sąsiadów znalazło się na podłodze, potraconych przez rosłego porucznika, gnającego na oślep ku wyciągowi.



Allison zeszła z roweru, którym jeździła głównie dla przyjemności, gdyż potrzeby kondycyjne załatwiała porannym bieganiem. Poza tym rower mogła zawsze zostawić w kampusowej przechowalni i było z nim mniej zamieszania, niż gdyby używała własnego samochodu czy taksówki. No i wczesna wiosna była w Grendel najprzyjemniejszą chyba porą roku i warto było się nią nacieszyć.

Wprowadziła kod i włączyła składanie. Ultralekkie kompozyty pamiętające zaczęły wyginać się, by zmienić się w poręczny pakunek o wymiarach teczki. Allison sprawdziła godzinę i z niejakimi wyrzutami sumienia, czując się jak stalkerka, poszukała rozkładu zajęć porucznika Harringtona. Jakoś udało się jej przekonać serwer uczelniany i uzyskać dostęp. Do czternastej nie miał żadnych zajęć, więc chyba powinien być wolny. Gdzie zaś przebywał, nie musiała sprawdzać. O ile nie doznała pomieszania zmysłów, powinien siedzieć w swoim pokoju w akademiku. Numer tegoż pokoju też uzyskała z uczelnianej sieci, chociaż poczuła się przy tym jeszcze paskudniej.

Przecież mogłabyś zadzwonić do niego jak człowiek, zamiast skradać się do drzwi, pomyślała. Skrzywiła się. Trudno. Ostatnimi czasy wszystko było jakieś dziwne. Nawet sny, które z każdą nocą stawały się coraz bardziej realistyczne i dosłowne. I jak miałyby zacząć w tej sytuacji rozmowę przez komunikator? „Cześć, poruczniku Harrington! Wiesz, mam taki problem, że od paru tygodni targa mną obsesja na twoim punkcie, i myślę, że jesteś niezłe ciacho. I nie podpuszczam cię, nic takiego! Słowo skauta, że chcę cię tylko zaciągnąć... Halo?”

Zaśmiała się do swoich myśli. Pewnie byłby mocno zdziwiony. Nie, tutaj była potrzebna rozmowa twarzą w twarzą, chociażby dla upewnienia się, że...

Coś uderzyło ją z tyłu. Było niematerialne, ale zabolęło jak cios pięścią. Otworzyła szeroko oczy, ale nic więcej nie zdołała zrobić. Nie panowała nad swoimi mięśniami i upadła, niezdolna nawet się osłonić. Uderzenie o chodnik też było bolesne i poczuła krew płynącą z pękniętej wargi.

Ogarnęła ją panika. Zaraz potem czyjeś ręce obróciły ją na wznak.

– Nic sobie nie zrobiła? – spytał ktoś. – Paskudnie upadła.

– A owszem – odparł ktoś inny zaniepokojonym tonem. Nie знаła tych głosów, ale jeden należał na pewno do osoby, której dłonie czuła na sobie. Spróbowała wyostrzyć spojrzenie, ale i w tym przypadku mięśnie nie chciały jej słuchać. Wszystko widziała rozmazane. Ktoś przyłożył chusteczkę do jej krwawiącej wargi.

– Pewne miała atak serca – powiedział jeden z głosów. – Ale wezwałem już... O, jest!

Coś zatrzymało się tuż obok z cichym jękiem antygravów. Potem poczuła więcej dłoni. Uniesiono ją i położono na czymś, po czym przypięto pasami. Wsunęto ją do jakiegoś pojazdu. Trzasnęły drzwi i znów ktoś się odezwał.

– Wyłącz ją na drogę. – Panika wezbrała jeszcze silniej, gdy coś musnęło jej ramię i świat odpłynął.



Alfred Harrington wyhamował przy bramie uczelni na Edgar Anderson Avenue. Rozejrzał się gorączkowo wokół, chociaż wiedział już, że jej tu nie ma. Oddalała się od niego ze stałą prędkością. Poczuł przypływ paralizującego strachu.

– Widziałeś tu młodą kobietę? – spytał chłopaka, pewnie w tym samym wieku, łapiąc go równocześnie za ramię. – Dokładnie tutaj, z minutę temu!

– Ej, co ty wyrabiasz...! – wykrzyknął tamten i skrzywił się z bólu, gdy Alfred nim potrząsnął. Wydawało mu się, że zrobił to łagodnie, ale pewnie i tak dość silnie. by pozostawić kilka siniaków.

– Widziałeś ją? – wycedził.

– Tak, widziałem! – rzucił tamten, patrząc na Harrisona jak na groźnego szaleńca. – Uspokój się! Co cię ugryzło?

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem! Jakaś kobieta miała tu atak serca czy coś. Upadła nagle na chodnik, dokładnie tam. – Pokazał dłonią. – Ale jakiś gość zaraz jej pomógł i wezwał ambulans.

– Ambulans? – Alfred zaniepokoił się jeszcze bardziej. Co mogłoby spowodować atak serca u całkiem zdrowej dziewczyny? To musiało być coś innego. – Jaki ambulans? Ze szpitala uniwersyteckiego, pogotowia czy jeszcze jakiś inny?

– Nie wiem! – jęknął nieszczęśliwy informator. – Po prostu ambulans, nie znam się na tym! Pomalowany na biało, z niebieskim światłem i syreną. Taki zwykły.

– Dokąd pojechał?

– Poleciał. Ślizgacze latają. Nie patrzyłem dokąd.

Alfred zdusił w sobie pragnienie, by urwać tamtemu łeb razem z płucami, i zamiast tego sięgnął po komunikator.

Ambulanse szpitala uniwersyteckiego pomalowane były w białe i niebieskie barwy uczelni. Większość innych szpitali, a było ich w mieście od groma, stosowała różne kombinacje kolorów. Białe były wozy Muncypalnego Pogotowia Medycznego. Oni zawozili ofiary wypadków do najbliższego szpitala, chyba że potrzebna była specjalistyczna opieka pourazowa. A tę zapewniał szpital Semmelweisa. Był nawet główną taką

placówką w mieście. Gdyby Allison tam trafiła, musiałby wyczuwać jej obecność za plecami, a nie daleko przed sobą.

– Powinieneś się leczyć, facet – powiedział mu sponiewierany tubylec, oddaliwszy się o kilka kroków, gdzie poczuł się widać bezpieczniej. Alfred ledwie zwrócił na niego uwagę; nie miał czasu na takie rzeczy, chociaż kto wie, może chłopak miał rację. To musiał być jakiś rodzaj obłąkania. Tak po prostu wiedział, że Allison była w poważnych tarapatach. A na dodatek uważał, że był w stanie wskazać kierunek, w którym właśnie się oddalała.

Znalazł w komunikatorze mapkę okolicy i przewinął ją dalej. We wspomnianym kierunku nie było żadnego szpitala. Tylko czy na pewno trafnie ten kierunek wyczuwał?

Wcisnął numer kampusowego pogotowia i poczekał cierpliwie, aż ktoś się zgłosi.

– Pomoc medyczna kampusu – odezwał się mężczyzna, widoczny na małym ekranie. – W czym mogę pomóc?

– Czy mieliście w ciągu ostatnich pięciu minut wezwanie do młodej kobiety? – spytał. – Zasłabła przy bramie od strony Edgara Andersona.

– Młoda kobieta? – Mężczyzna poszukał czegoś spojrzeniem i pokręcił głową. – Nie. Ostatnie wezwanie mieliśmy ponad dziesięć minut temu.

– I potem nic? – dopytał Alfred, ale mężczyzna tylko pokręcił głową. Porucznik zacisnął szczęki i zakończył połączenie.

Co, u diabła, miał zrobić? Był pewien, że Allison została porwana, ale nie miał żadnych dowodów, by móc kogokolwiek o tym przekonać. Nie potrafił podać nawet żadnego motywu, który uzasadniałby podobne przypuszczenie. Gdyby zeznał, że ktoś niemal całkiem mu obcy stał się ofiarą napaści i porwania, na dodatek w publicznym miejscu, spytany zaś o dowody powiedział, że to kwestia jego przeświadczenia... Niemal

słyszał, jak wyglądałaby wówczas rozmowa. „A dlaczego ktoś miałby porywać tę młodą damę, sir?” Przyjmujący zgłoszenie szybko doszedłby do wniosku, że rosły cudzoziemiec musi mieć nierówno pod kopułą. Może nawet zaprosiłby go na dłuższą rozmowę, żeby zastanowić się nad pełną diagnozą. A w tym samym czasie...

Wciągnął głęboko powietrze i zamówił taksówkę.



Jacques Benton-Ramirez y Chou zaklął pod nosem, słysząc sygnał komunikatora. Właśnie brał prysznic po wieczornym treningu i najchętniej by go zignorował. Jednak melodia wskazywała na Allison, a siostry nie wypadało lekceważyć. Oczywiście na dłuższą pogawędkę będzie musiała poczekać.

Woda przestała lecieć automatycznie w chwili, gdy otworzył drzwi kabiny. Złapał ręcznik i obwiązał go wokół bioder. Jego rodzina nie robiła tabu z nagości, ale Allison mogła dzwonić z publicznego miejsca i nie należało ryzykować. Oczywiście mógłby przyjąć połączenie wyłącznie w trybie audio, ale wolał, by siostra zobaczyła go mokrego. Niech wie, że wyszedł dla niej spod prysznica. Może poczuje się choć trochę winna.

Sięgnął do stacjonarnego komunikatora leżącego na stoliku obok łóżka i dotknął ikony odbioru, po czym zmarszczył lekko brwi. Nie nakładał żadnych ograniczeń, ale nie miał obrazu. Ktoś włączył tryb prywatny, możliwy do odbioru tylko przez aparat z wprowadzonym kluczem dekodacji.

– Czym mogę ci służyć, Alley?

– Słuchaj uważnie.

To był syntetyczny głos, i to kiepsko ustawiony. Tak, by każdy słuchacz z miejsca zorientował się, że to maszyna. Benton-Ramirez y Chou poczuł,

że serce zamarło mu w piersi.

– Kto mówi? – spytał.

Ktoś obcy nie miał prawa rozpoznać po jego głosie, że Jacques się boi. Był to głos łagodny, jakby sygnalizujący odprężenie. Jednak dla członków zespołu Bentona-Ramireza y Chou był to zawsze jasny sygnał, żeby sięgnąć po broń.

– Jestem kimś, kogo lepiej nie wkurzać, jeśli chcesz jeszcze zobaczyć tę młodą damę, do której należy ten aparat – odparł syntetyczny głos. – Skoro go używamy, to chyba wystarczający dowód, że mamy także jego właścicielkę.

Benton-Ramirez y Chou stał nieruchomo, z twarzą nie wyrażającą niczego szczególnego. Wiedział, że rozmówca mógł go widzieć, nawet jeśli sam nie miał zamiaru się pokazać.

– Słucham – powiedział.

– Niektórzy ludzie sporo przez ciebie wycierpieli, Bentonie-Ramirezie y Chou. Nie lubią ani ciebie, ani twojej rodziny i chętnie wyrządzą jej krzywdę, wiedząc, że sprawiłoby ci to ból porównywalny do tego, co sami odczuwają. Wolą jednak zachowywać się rozsądnie. Wystarczy, że dostarczysz im to, o co poproszą, a zapewne otrzymasz swoją siostrę z powrotem, i to w niemal idealnym stanie. Oczywiście mogę się mylić, ale jeśli nas nie posłuchasz, wówczas gwarantuję, że znajdziesz jej ciało porzucone gdzieś w bocznej uliczce. A nawet na iluś uliczkach, kawałek tu, kawałek tam.

Benton-Ramirez y Chou poczuł lodowaty dreszcz. Jedno już zrozumiał. Ktokolwiek porwał Allison, nie zamierzał oddać jej żywej, i to niezależnie od tego, co zrobi jej brat. Zapewne wstrzymają się z egzekucją, jak długo będą czegoś od niego chcieli, ale gdy przestanie być im potrzebny, na

pewno ją zabiją. Na Beowulfie porwanie i morderstwo pierwszego stopnia zagrożone były tym samym wymiarem kary. Kwestia jego powiązań z Korpusem czy Biurem nie miała już w tej sytuacji większego znaczenia. Zabiją Allison, by usunąć niepotrzebnego świadka oraz zranić całą jego rodzinę.

Oczywiście on też będzie zapewne już wtedy martwy, bo przecież również stanowiłby dla nich zagrożenie. Ale o tym oficjalnie nie będzie oczywiście mowy.

– Czego chcesz? – spytał.

– Początek będzie jak pierwsza randka – usłyszał. – Zaczniemy od czegoś drobnego, by sprawdzić, jak dobrze rozumiałeś nasze instrukcje. Masz podać rozpiskę personelu Korpusu Zwiadu Biologicznego przydzielonego do waszych ambasad i konsulatów w układach Posnan, Breslau, Sachsen, Saginaw, Hillman, Terrance, Tumult i Carlton.

Benton-Ramirez y Chou zazgrzytał zębami. Lista obejmowała wszystkie stołeczne sektory Konfederacji Silesiańskiej, która mimo wysiłków Royal Manticoran Navy oraz Imperialnej Marynarki stawała się ostatnio coraz ważniejszym węzłem przerzutowym i aukcyjnym niewolników genetycznych. Korpus od kilku lat też zwracał na Silesię szczególną uwagę, odnotowując systematyczne pogarszanie się sytuacji w tym względzie. Dobrze, że chociaż Manticore zrozumiało wreszcie, po co właściwie Ludowa Republika Haven zaczęła tak bardzo rozbudowywać swoją flotę. Wszystko zapowiadało, że tarcia między Gwiezdnym Królestwem a Haven przybiorą jeszcze na sile, chociaż już teraz nie wyglądało to ciekawie, biorąc pod uwagę, jak entuzjastycznie Manticore przyjmowało emigrantów z Haven, zwłaszcza tych wykwalifikowanych, uciekających przed skutkami nacjonalizującego ich umiejętności aktu prawnego. Ogłoszono go już sześćdziesiąt cztery lata temu, ale sporo potrwało, nim Gwiezdne Królestwo

Manticore przestało lekceważyć głosy „panikarzy” i uwierzyło, że Legislatorzy nie mówili prawdy o programie „robót publicznych” Ludowej Marynarki. Skutkiem tego RMN zaczęła ściągać do macierzystych układów coraz więcej jednostek, dotąd zaangażowanych gdzie indziej, by stworzyć jakąś przeciwwagę dla rosnącego niebezpieczeństwa.

– Na jakiej podstawie uważacie, że mogę mieć dostęp do takich informacji?

– Nie żartuj, kapitanie. Obaj wiemy, kim jesteś. Na pewno masz całą masę kontaktów, a poza tym musisz być przecież przeszkolony we włączaniu się do tak zwanych bezpiecznych baz danych.

– Takich informacji nie ma w żadnej konkretnej bazie danych. – Benton-Ramirez y Chou pokręcił głową. – Być może uda mi się zdobyć niektóre z nich, ale nie wszystkie. Przynajmniej nie bez wywoływania alarmu, że ktoś grzebie tam, gdzie nie powinien.

– To już twój problem, kapitanie. Czy raczej problem twojej siostry.

– A jaką mogę mieć pewność, że ona jeszcze żyje? – spytał ostrym tonem Benton-Ramirez y Chou.

– Racja. Poczekaj chwilę.

Minęło może czterdzieści pięć sekund. Potem...

– Jacques? – To był głos Allison. Drżał, jakby próbowała ukryć strach. – Jesteś tam, Jacques?

– Jestem, Alley!

– Kazali mi powiedzieć, że masz ich słuchać. Bo jak nie...

Przerwała i zamiast tego rozległ się jej wysoki, przeszywający krzyk. Ciągnął się nie wiadomo jak długo, na pewno krócej, niż wydawało się to Jacques’owi. Zakończył się nagle, jak ucięty nożem.

– Szkoda – powiedział syntetyczny głos. Blady Benton-Ramirez y Chou patrzył na komunikator. – Zemdlała wcześniej, niż oczekiwałem. Ale zawsze jest jutro, prawda, kapitanie? Lepiej ruszaj zdobyć te informacje. Jestem pewien, że jej będzie bardzo na tym zależeć.

Przerwał. Benton-Ramirez y Chou słyszał tylko swój głośny oddech.

– Skontaktujemy się jutro, by zapytać o postępy – dodał głos i połączenie zostało zerwane.



Alfred Harrington zmusił się, by wsiąść spokojnie na tylną kanapę taksówki. Przymknął oczy i skupił się na tropieniu tego, co było w tej chwili najistotniejsze. Chciał mieć pewność, że to nie była gra wyobraźni.

Nie miał pojęcia, co właściwie czuł ani skąd się to wzięło, ale było. Mógł wskazać dokładnie kierunek, w którym należało szukać Allison, a gdy się skoncentrował, to nawet więcej. Wrażenie było nieostre, ale silne, wręcz przytłaczające. Wiedział już, że dziewczyna przestała się przemieszczać, ale coś zmieniało się w jej emocjach. To był ponaglący sygnał.

Rosło w niej przerażenie. Strach typowy dla kogoś, kto był silny i znał dobrze swoje możliwości... i zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, jak bardzo jest bezradny. A potem pojawiło się coś jeszcze i to było nawet gorsze. Rozpaczliwe i nieme wołanie o pomoc, które rozpoznał, gdy przytłumiło wszystko inne, co dotąd odbierał.

Jego myśli ruszyły gonitwą pytań i spekulacji, ale zmusił je do posłuszeństwa. Zatrzasnął im drzwi wprawnym gestem sierżanta Korpusu, którym był jeszcze nie tak dawno, i zmusił się do chłodnego i logicznego rozważenia sytuacji.

Nie wiedział nic o porywaczach Allison i nie miał na razie na czym oprzeć planowania, strategii ani taktyki swojego działania. Nie wiedział też, jak skontaktować się z jej rodziną, chociaż pewnie uznaliby go za szaleńca, gdyby próbował z nimi porozmawiać. Albo i gorzej, uznaliby go za współodpowiedzialnego za jej zniknięcie. To samo dotyczyło kontaktów z przedstawicielami prawa na Beowulfie. Gdyby sprawdzili, na pewno szybko by się okazało, że ten „ambulans” nie zawiózł Allison do żadnego z tutejszych szpitali, chociaż tylko na tej podstawie raczej nie uwierzyliby od razu, że jakiś cudzoziemiec wie, gdzie mają jej szukać. Ba, on sam nie uwierzyliby w taką historię. Odruchowo przymknąłby takiego osobnika w przekonaniu, że może wiedzieć znacznie więcej, niż deklaruje, i to wcale nie na temat tajemniczej więzi emocjonalnej z obcą praktycznie osobą.

Co oznaczało, że chwilowo był zapewne jedyną osobą wiedzącą, że Allison popadła w tarapaty, i jako jedyny mógł spróbować podjąć jakąś akcję, by jej pomóc.

I to jak najszybciej, pomyślał. Nie wiedział, co jej robili, ale musiało to być coś paskudnego. Była przerażona, obolała, samotna i wedle jego rozeznania oprawcy mieli zamiar zabić ją w ciągu najbliższych pięciu minut.

Ostatnie stwierdzenie sprawiło, że zadrżał. Nie znał jej nawet, wymienili raptem kilka słów, nic ich nie łączyło... a sama myśl o tym, że mógłby ją stracić, okazała się chyba bardziej przerażająca niż wszystko, co złego wydarzyło się dotąd w jego życiu.

Dobrze. To znaczy, że musisz zabrać się do tego z głową, powiedział sobie.

Automatyczna taksówka czekała cierpliwie, gdy wywoływał nowe mapki w swoim komunikatorze. Sztuczna inteligencja gotowa była utrzymywać wóz cały dzień w bezruchu, byle licznik bił. W odróżnieniu od

ludzkich pilotów pozbawiona była ciekawości i nie przeszkadzała irytującymi pytaniami.

Wpatrywał się w wyświetlacz, z wprawą rozpoznając teren. Bez trudu wyznaczył kurs zgodny z tym, co wyczuwał.

Miasto było już ze sto kilometrów z tyłu, przed nim rozciągały się lasy z widocznymi tu i ówdzie domami ludzi, dla których życie wśród przyrody było atrakcyjniejsze niż ośrodki miejskie. Już to dawało pewne wskazówki na temat porywaczy Allison.

Sam pewnie wolałby ukryć się w takiej sytuacji w Grendel. Było wielkie, z milionami mieszkańców. Gdyby sama akcja poszła dobrze, wylądowałby potem w jakimś ustronnym miejscu, jak oni to najwyraźniej zrobili, i ukryłby się na ileś dni albo i tygodni gdzieś w tej metropolii, nie dając władzom prawie żadnej szansy na odszukanie go. Oczywiście o ile nie zrobiłby czegoś wybitnie głupiego, co zwróciłoby na niego uwagę. Tereny poza miastem pozornie oferowały więcej kryjówek, ale jako ktoś wychowany w lasach Sphinksa świetnie wiedział, jak wielkie to było złudzenie. Ludzka obecność o wiele bardziej rzucała się tu w oczy, budynki czy obozowiska były widoczne jak na dłoni, miejscowi zaś odruchowo zwracali baczną uwagę na każdy pojazd pojawiający się w okolicy. I tym samym na każdego obcego.

Ale porywacze i tak wybrali ten teren. O ile nie zachodził tu wariant, że dziewczynę porwał ktoś tutaj właśnie mieszkający, kto po prostu zabrał ją do siebie, to by oznaczało, że zależało im na sporej, pustej przestrzeni wokół. Czyli możliwości dostrzeżenia z dużym wyprzedzeniem, gdyby ktoś się zbliżał. Owszem, pierwszy wariant był możliwy, strach Allison mógł być związany z odkryciem, że znalazła się w rękach sadysty czy seryjnego mordercy, ale to z kolei nie pasowało do przebiegu wcześniejszej akcji. Została przeprowadzona zbyt sprawnie, wręcz profesjonalnie. Wywołany

domniemanym atakiem upadek, dobry samarytanin, który już na to czekał, i ambulans, który zjawił się w minutę. To oznaczało działanie zespołowe i starannie przygotowany plan. Samotny szaleniec odpadał. Zapewne chcieli czegoś od niej albo od osób, którym nie była obojętna, i zamierzali to dostać. Pierwszym, co przyszło mu do głowy, były oczywiście pieniądze, chociaż późniejsza ucieczka z okupem byłaby niełatwa. Poza tym nic nie sugerowało, żeby jej rodzina była szczególnie bogata. Alfred przeklął się w duchu za to, że nie zdobył żadnych konkretnych informacji na temat Allison. Wiedziałyby przynajmniej, kim są jej bliscy. Tyle że wcześniej kojarzyło mu się to z podglądactwem i uleganiem obsesji. W rezultacie znał tylko jej nazwisko, Chou. Na ile wiedział, bardzo częste na Beowulfie.

Po chwili doszedł do wniosku, że zapewne nie chodził jednak o pieniądze. Raczej o coś, co nie zostawiłoby możliwych do wyśledzenia elektronicznych śladów, jak było to z transferami środków płatniczych. Wielu techników nie było wcale bogaczami, za to miewali dostęp do danych, które dla innych osób mogły być wręcz bezcenne. Czipy z danymi można zaś było przekazywać z ręki do ręki, bez kontaktu z systemem bankowym. Nadal nie był skłonny wykluczyć całkowicie motywu finansowego, ale informatyczny z każdą chwilą wydawał mu się bardziej prawdopodobny.

W grę mógł wchodzić też motyw zemsty za cokolwiek. Jeśli tak było, porywacze zapewne nie planowali w ogóle uwolnienia porwanej. Ta myśl wywołała ponowne ukłucie lęku, więc czym prędzej ją odepchnął. Nie mógł sobie teraz pozwolić na podobne emocje.

Chociaż nie. To byli najprawdopodobniej zawodowcy, a to sugerowało, że nie zabiją jej od razu. Schronili się tutaj, żeby nikt nie zdołał podejść ich niezauważony. Mogli też szukać pełnej izolacji od świata, chociaż ta była dostępna także i w mieście. Wystarczyłoby znaleźć dość głęboką piwnicę.

Bardziej prawdopodobne, że chcieli stworzyć wokół swojej siedziby strefę obronną w wojskowym stylu. Czy też stylu, który oni mieli za wojskowy. Jeśli tak, to byłaby zła wiadomość. Ktoś, kto przeprowadził podobną akcję, raczej nie łudziłby się, że zdoła stworzyć obronę o wystarczającej sile ognia, by powstrzymać atak sił porządkowych Beowulfa, gdyby już dowiedziały się o porwaniu i poznały położenie kryjówki. Zatem strefa miała kupić im dość czasu, by bezpiecznie się ewakuować. A to oznaczało najpewniej likwidację zakładniczki. Albo i jej zabranie. Trudno powiedzieć.

Dobrze. Pierwszym krokiem powinno być odnalezienie Allison. Potem będzie zastanawiał się nad taktyką. A jak ją znaleźć, chyba wiedział.

Przełączył mapkę na wersję topologiczną i przyjrzał się terenowi okiem marine. Namiar na Allison był łatwiejszy do określenia niż odległość; nie miał jeszcze okazji przetestować swoich odczuć od tej strony, ale znalazł na mapie kilka leżących na tej linii miejsc, które wyglądały obiecująco. Musiał tylko poszukać sposobu na ustalenie tego właściwego.

– Kurs zero, trzy, pięć – powiedział kompowi sterującemu. – Leć tym kursem, aż nie zmienię polecenia.

– Oczywiście, sir – odparł radośnie wóz. – Czy życzy pan sobie oglądać kanał rozrywkowy podczas naszego lotu?

– Nie.

– Jak pan sobie życzy, sir. Przyjemnej podróży. Ajax Cabs dziękuje za wybór taksówki naszej firmy.



Jacques Benton-Ramirez y Chou zapiął kurtkę palcami, które zasadniczo powinny podzwaniać niczym kastaniety, poruszały się jednak całkiem pewnie. Jego oczy niczego nie wyrażały, chociaż w istocie bliski był paniki. Tyle że póki co miał na czym skupić myśli.

To była akcja Manpower. Musiała być, biorąc pod uwagę, na jakich informacjach im zależało. A to znaczyło, że jego siostra, jego bliźniacza siostra, znajdowała się w rękach tych, dla których gwałt i tortury były zwykłymi metodami zmiękczenia ludzi i których nie obchodziło, ilu trupów zostawia na swojej drodze. Co gorsza, mieli oni nie tylko zawodowe, ale i osobiste powody, by darzyć go nienawiścią, w naturalny sposób rozciągając ją także na jego rodzinę. Było całkiem prawdopodobne, że ktokolwiek dręczył Allison, czerpał z tego autentyczną przyjemność, podobnie jak i z eksponowania jej bezradności. I że zrobi to znowu, by zmusić go do posłuszeństwa, albo i bez konkretnego powodu. A na koniec zabije dziewczynę. To było całkowicie pewne.

Tylko co Jacques mógł z tym zrobić?

Przede wszystkim powinien trzymać się teraz jak najdalej od członków swojego zespołu. Być może Manpower nie miało ich rozpracowanych, ale należało raczej założyć, że znali ich i mieli obecnie pod obserwacją. Naturalną reakcją kogoś w jego sytuacji byłoby poszukanie wsparcia u osób, którym szczególnie ufał, niemniej jeśli tamci zobaczą, że ktokolwiek z jego zespołu podejmuje działanie wykraczające poza rutynę ostatnich dni, z miejsca założą, że to właśnie zrobił. I niemal na pewno zabiją Allison.

Ale to nie znaczyło, że w ogóle nie mógł kontaktować się z Korpusem. Musiał tylko starannie przemyśleć, z kim i jak.

Wyszedł z mieszkania, zamknął za sobą drzwi i skierował się do garażu. Bez wątplenia był obserwowany, ale w tej właśnie chwili robił coś, czego z pewnością po nim oczekiwali. Żeby zdobyć żądane informacje, musiał udać się do siedziby Korpusu w Camp Oswald Avery, jakieś trzysta kilometrów od Grendel. Próba ściągnięcia ich z domowego kompa wymagałaby uzyskania całego szeregu autoryzacji dostępu, co musiałoby

zwrócić czyjąś uwagę. Co innego przy wejściu do systemu z wewnętrznego terminalu.

Ponadto zyskiwał w ten sposób możliwość odbycia paru rozmów bez ryzyka, że zostanie podsłuchany.



– Cholera, nie cierpię, gdy mdleją tak szybko – rzucił Giuseppe Ardmore, rzucając neurobat w powietrze i łapiąc go z powrotem.

Allison Chou była wciąż nieprzytomna. Na wpół siedziała, na wpół leżała na krześle, do którego była przywiązana. Ardmore sprawdził z uśmiechem, czy na pewno oddycha. Nie miała na głowie kaptura ani nawet opaski na oczach, co dla jej brata byłoby jasnym komunikatem, że porywacze nie wypuszczą jej żywej. Sama mogła nie zdawać sobie z tego sprawy, ale wiedziała, że trafiła w gigantyczne bagno, które z każdą chwilą wciągało ją coraz głębiej.

Ardmore złapał ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu, by spojrzeć w twarz dziewczyny. Bez wątplenia była piękna i kto wie, może znajdzie się chwila przed końcem zabawy, żeby skorzystać i z tego. Jednak teraz...

– Naprawdę sądzisz, że coś nam przekaże? – spytał, nie odrywając głodnego spojrzenia od twarzy Allison Chou.

Tobin Manischewitz spojrział na kompana niemal obojętnie, jednak w duchu był mocno niezadowolony. Ardmore podchodził do akcji zbyt osobiście. Manischewitz nie zamierzał wpadać w hipokryzję i udawać, że nie wiedział, do czego się biorą, miał to jednak za koszt prowadzenia takiej właśnie działalności. Gdy pracowało się dla Manpower, skrupuły należało zostawić w domu, i Manischewitz zawsze się do tej zasady stosował. Wiedział też, że Ardmore lubi okrutne zabawy i dlatego właśnie był tak

skuteczny, gdy przychodziło do „mokrej roboty”, ale tym razem chyba za bardzo pofolgował swoim sadystycznym skłonnościom.

Pod pewnymi względami było mu to nawet na rękę. Cokolwiek by się wydarzyło, panna Benton-Ramirez y Chou i tak nie miała przetrwać operacji, brat zaś bardzo ją kochał, o czym wszyscy wiedzieli i co było łatwe do zauważenia. Jeśli cokolwiek mogło wpłynąć negatywnie na jego profesjonalizm i spowodować, że zacznie popełniać błędy, to właśnie strach o jej los. Manischewitz przypuszczał, że kapitan da im wszystko, czego zażądatają, o ile tylko nie będą domagać się informacji o strategii Korpusu Zwiadu Biologicznego czy danych tajnych wywiadowców. Chociaż to ostatnie może też, chociaż byłoby dla niego znacznie trudniejsze do zdobycia. Zwłaszcza że niezależnie od targających nim emocji musiał przecież wiedzieć, jak niewielką miał szansę na ujrzanie siostry żywej i jak nikły czy też żaden wpływ mogły mieć na to jego działania. Należało jednak oczekiwać, że da sporo, o ile zdoła sam siebie przekonać, że nie chodzi o dane krytyczne, wystawiające na strzał ludzi, z którymi pracował. No i jak długo będzie się łudził, że jednak uratuje w ten sposób życie siostrze.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że w jakiejś chwili otrzeźwieje, ale póki co przesyłanie mu materiałów pogładowych powinno skutecznie wytrącić go z równowagi. Jednak skuteczne mogły być tylko wówczas, jeśli były prawdziwe, co oczywiście bardzo pasowało Giuseppe. Starał się, jak mógł, by pokazać, do czego jest zdolny i co jeszcze mógłby zrobić z panną Benton-Ramirez y Chou.

Trzeba było tylko pilnować, by entuzjazm go nie poniósł i by nie zabił jej za wcześnie. Pan kapitan straciłby wtedy całą motywację do popełnienia zdrady stanu.

– Sądzę, że jeśli naprawdę mu na niej zależy, spełni przynajmniej pierwszych parę żądań – odparł Manischewitz po chwili. – Ale długo nie zdołamy go zwodzić. Gdy tylko zrozumie, że jej nie uratuje, wszystko się skończy. – Wzruszył ramionami. – Chociaż nie wiem, co wtedy zrobi. Gdyby wiedział, gdzie ona jest, mógłby spróbować czegoś bardzo głupiego, ale takiej szansy nie dostanie. Dlaczego?

– Bo ja nie wierzę w jego uległość – stwierdził Ardmore i przesunął powoli językiem po wargach. Był to dość obleśny gest. – Sądzę, że jakkolwiek bym nad nim pracował, nie dałby się przekonać. Raz może nam coś przekazać, ale nie będą to raczej prawdziwe informacje. Na to zresztą bardzo liczę – dodał, puszczając głowę Allison. Ze szczególnym wyrazem w oczach spojrzął na Manischewitza. – Naprawdę na to czekam. Gdy zobaczy w wysokiej rozdzielczości, co dzieje się z jego kochaną siostrzyczką, idę o zakład, że sam sobie strzeli w łeb.

Manischewitz pokiwał powoli głową. Sam też podejrzewał coś podobnego. Benton-Ramirez y Chou mógł okazać się niezdolny do zniesienia poczucia winy wywołanego śmiercią siostry. Istniała niemniej i taka możliwość, że będzie gotów poświęcić resztę życia na zemstę, niemniej Manischewitz wziął to pod uwagę już na etapie planowania. Benton-Ramirez y Chou miał zginąć podczas umieszczania ostatniej wiadomości w umówionej skrytce. Mała, zdalnie odpalana bomba i po krzyku. Nikt tutaj nie był aż tak głupi, by zostawiać Bentonowi-Ramirezowi y Chou najmniejszą choć szansę na zemstę.

– Tylko nie przesadz – powiedział Ardmore’owi. Tamten skrzywił się i Manischewitz pokręcił głową. – Spokojnie, będziesz miał szansę się wykazać. Po pierwszej porcji danych trzeba będzie ponownie go zmotywować. Jeśli jednak będziemy naciskać zbyt mocno już teraz, może się zbiesić albo zrobić coś wybitnie głupiego. Musimy to starannie

rozegrać, Giuseppe. – Spojrzał tamtemu w oczy. – A na twoim miejscu uważałbym z pakowaniem się w kadr. Sam wiesz, jak doskonale są obecnie techniki rozpoznania i obróbki materiałów wideo. Nigdy nie wiesz, co może cię wsypać.

– Spokojna głowa – rzucił z uśmiechem Ardmore i czule pogłaskał neurobat. – Zobacz tylko dziewczynkę i jej koniec. I możesz być pewien, że zadbam o odpowiednie zbliżenia jej oczu.



– Boże, Jacques! – wykrzyknął pułkownik Sean Hamilton-Mitsotakis, patrząc na stojącego w jego gabinecie kapitana. – Allison? Tutaj, na Beowulfie?

– A dlaczego nie? – spytał z wyrzutem Benton-Ramirez y Chou. – Bóg nie obiecywał, że będzie chronić moją rodzinę. Powinienem być o tym pamiętać. Zadbać, żeby była ostrożniejsza. Ale nie zrobiłem tego. To moja wina.

– Nie bądź głupi! – warknął Hamilton-Mitsotakis, próbując dojść do siebie. – Ostrzegalesz ją. I w odróżnieniu od innych członków waszej rodziny Allison miała niezłe pojęcie o tym, czym się zajmujesz. Obaj zaś wiemy, jakie są reguły. Dotąd nie działali na Beowulfie, podobnie jak my nie przeprowadzaliśmy akcji przeciwko członkom rodzin kierownictwa Manpower na Mesie.

– Zatem musieli zmienić jednostronnie reguły – odparł Benton-Ramirez y Chou i pułkownik pokiwał głową.

– A musieli, i obiecuję, że słono za to zapłacą. – Hamilton-Mitsotakis był głównodowodzącym sekcji grup do zadań specjalnych. To oznaczało, że odpowiadał między innymi za wyznaczanie celów do likwidacji i zatwierdzanie planów akcji. W swoim kompie miał specjalny folder

z danymi zarządu i udziałowców Manpower. Benton-Ramirez y Chou też znał jego treść. – Jednak póki co musimy ją odzyskać. Przypuszczam, że skoro do mnie przyszedłeś, masz pewnie jakiś pomysł?

– Niewiele wiem – przyznał Benton-Ramirez y Chou. – Użyli jej komunikatora, żeby łatwiej mnie przekonać i nie dać żadnego dodatkowego tropu, ale wyłączyli funkcję lokalizacji. To już sprawdziłem. Sama rozmowa przeszła przez co najmniej sto przekaźników. A na dodatek Allison ma w maszynie najlepsze oprogramowanie do chronienia prywatności, jakie jest dostępne na rynku. Sam pomogłem je wybrać. Nie da się zlokalizować jej aparatu, a to znaczy, że może być w dowolnym miejscu planety. Albo nawet i poza nią. Wiele retransmisji może maskować opóźnienie przekazu.

Hamilton-Mitsotakis pokiwał głową. Beowulf traktował prawa obywatelskie bardzo poważnie i od samego początku istnienia kolonii konstytucja ograniczała w wielkim stopniu możliwość pozyskiwania prywatnych danych. Każdy miał prawo do programów szyfrujących, ekranujących czy zapobiegających śledzeniu, przy czym pilnowano, by nie znalazły się w nich żadne boczne drzwi, nawet takie posiadające błogosławieństwo instytucji rządowych. Pułkownik popierał ogólnie ten porządek, ale czasem żałował, że Korpus Zwiadu Biologicznego nie posiada żadnych narzędzi do jego obejścia.

Co wiązało się z jeszcze jednym problemem.

– Przypuszczam, że nie zacząłeś starań o zgodę na obejście ustawy Prescottta-Chatwella?

– Nie sir, nie zacząłem. – Benton-Ramirez y Chou spojrział na niego zaintrygowany. – Czy to jakiś problem?

Ustawa Prescottta-Chatwella została uchwalona specjalnie w celu uniemożliwienia Korpusowi Zwiadu Biologicznego, który nie podlegał

Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, podejmowania działań w obszarze układu Beowulfa. Jej naruszenie było zagrożone karą do trzydziestu lat więzienia. Można było zawiesić jej obowiązywanie w szczególnych sytuacjach, jednak wymagało to zgody na poziomie Rady Dyrektorów. Na uzyskanie takiej zgody trzeba było czasu, a tego akurat nie mieli obecnie w nadmiarze.

Hamilton-Mitsotakis spojrział przeciągle na kapitana i powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

– Problem? Dlaczego niby problem? Biorąc pod uwagę, czego żądają od ciebie te dranie, to jest bez dwóch zdań bezpośredni atak na Korpus. W tej sytuacji mam prawo nakazać natychmiastowe rozpoczęcie działań w celu ograniczenia szkód. Gdy to zostanie już załatwione, będzie cała masa czasu na gierki prawne.

Na chwilę zapadła grobowa cisza. W końcu pułkownik się otrząsnął.

– Skoro nie możemy ich zlokalizować, co robimy? – spytał.

– Wszystko, co przychodzi mi w tej chwili do głowy, to gra na czas, sir – odparł Benton-Ramirez y Chou. – Sądzę, że zażądamy fizycznego przekazania nośnika z danymi, by w sieci nie został żaden ślad po ich transferze. Wątpię, by zorganizowali to przekazanie gdziekolwiek w pobliżu swojej bazy, ale będą mieli tradycyjny problem: ktoś taką przesyłkę musi podjąć. Co możemy zrobić, to zarządzić obserwację skrytki i śledzenie osoby, która weźmie nośnik. Zapewne zrobią to przez obcego, podstawionego człowieka, ale ostatecznie przesyłka ma do nich dotrzeć, więc jakiś kontakt będzie. Możemy tylko mieć nadzieję, że Alley przetrwa do chwili, gdy trafimy na kogoś, kogo zdołamy... przekonać, by wyjawiał nam miejsce jej pobytu.

Spojrzął przełożonemu w oczy. Chłodno, ale i ze smutkiem. Chłód wiązał się z pewnością, że jeżeli tylko dopadnie kogoś takiego, wówczas na

pewno pozyska pożądaną informację. Smutek – ze świadomością, że zapewne nigdy już nie zobaczy siostry.



Alfred Harrington wysiadł z taksówki i zamknął za sobą drzwiczki.

Kazał wylądować cztery i pół kilometra na zachód od celu, pod drugiej stronie pasma wzgórz, które zasłaniały go teraz przed porywaczami. Była więc szansa, że niczego nie zauważą, chociaż pewności mieć nie mógł. Wszystko zależało od tego, jakie systemy czujników rozmieścili w okolicy. Skoro aż tak starali się nie rzucać w oczy, były to zapewne w komplecie czujniki pasywne, co ograniczało oczywiście ich zasięg i skuteczność. Niemniej taksówkę mieli prawo dostrzec, gdy nad nimi przelatywała i skręciła na północny zachód. Potem zapewne zniknęła z ich pola widzenia. Automatyczny pilot podszedł do miejsca lądowania na minimalnej wysokości, która jednak musiała być w jego przypadku zgodna z przepisami. Nie chciał więc zejść poniżej dwustu metrów. Zgodził się jednak poczekać, gdy Alfred autoryzował swoją kartę za pomocą odciska kciuka. Zanosilo się na to, że zapłaci firmie taksówkowej sumę bliską miesięcznym dochodom podporucznika.

Zamierzał skorzystać z tej taksówki ponownie, tak przynajmniej zakładał plan. Nie był on w żadnym względzie precyzyjny i trudno było pokładać w nim większe nadzieje. Na razie mógł liczyć tylko na to, że źli chłopcy nie zauważą jego lądowania po drugiej stronie grani. Zatrzymanie taksówki na ziemi miało zaś zapobiec dodatkowo jej ostentacyjnemu startowi i powrotowi do miasta po kolejnego pasażera. Nawet jeśli dotąd o nim nie wiedzieli, to musiałyby wzbudzić zainteresowanie nawet mocno zaspanego obserwatora.

Niemniej przedzierając się przez gęstą i nieznaną mu roślinność i tak powtarzał sobie w duchu, że to czyste szaleństwo. Nie znał nazw tutejszych drzew i krzewów, ale był świadom, że prawa lasu wszędzie są podobne. Wiatr gnał ze wschodu ciemne chmury i w powietrzu pachniało deszczem. Gałęzie kołysały się coraz silniej, liście zawodziły swoje szumiące pieśni. Las żył po swojemu pośród wiecznego ruchu oraz woni mchów, kory i wilgotnej ziemi. Gdyby nie okoliczności, Alfred byłby zachwycony taką wędrówką. Znów byłby w swoim żywiole.

Allison była gdzieś przed nim. Zlokalizował jej obecność prostym manewrem, gdy lecąc od miasta, poczuł nagle, że znalazła się blisko za jego plecami. Taksówka przeleciała właśnie nad całkiem zgrabnym domkiem myśliwskim, wzniesionym bardzo daleko od jakichkolwiek innych zabudowań. Gdy kazał pojazdowi skręcić na zachód, stwierdził, że odczucie obecności Allison także uległo zmianie. W tej sytuacji nie miał wątpliwości. Allison musiała znajdować się w tym domku.

A jeśli nawet tak jest, to co zrobisz, zapaleńcze? – spytał siebie w duchu. Nie jesteś gliną. Nie jesteś już nawet marine. A nawet gdybyś był, nie jesteś obywatelem Beowulfa. Nie masz tu żadnej władzy, żadnych szczególnych praw! A nawet zostawiając to na boku, co możesz zrobić? Będziesz strzelać do każdego, kto ci się nawinie?

Skrzywił się, ale przypomniał sobie także motto Marine Corps: „Dasz radę!”. I te powtarzane niczym mantra przez każdego sierżanta zalecenia: improwizuj, modyfikuj plan, pokonuj albo obchodź przeciwności. Teraz był w sytuacji, gdy wszystko to mogło się przydać. I to nie pierwszy raz, jak również sobie przypomniał.

Ostatnia refleksja obudziła strach. I drżenie dłoni. Przystanął w głębokim cieniu potężnego drzewa, które przypominało trochę dąb, i wyciągnął ręce przed siebie.

Dość tego! – pomyślał, zaciskając dłonie w pięści. To nie jest Clematis!

Może i był gdzie indziej, ale czuł się tak samo jak wtedy i to go przerażało. Znowu stał się potworem. A właściwie był nim cały czas, czy chciał tego, czy nie.

Stał tak przez długie, ciągnące się niemiłosiernie sekundy, schwytyany w pułapkę między wspomnieniami i obawami przed tym, co dopiero miało nastąpić. Przez chwilę bliski był wręcz paniki. Nie mógł. Nie mógł tak znowu. Nie mógł tego wypuścić na świat.

Potem nagle poczuł coś tak silnego, że aż otworzył szeroko oczy. Allison musiała odzyskać przytomność. Była przerażona, a nawet gorzej. Alfreda ogarnęła nowa fala bólu, ale tym razem nie własnego. To był jej ból! A właściwie tylko echo bólu, ale i to wystarczyło, by poczuł się tak, jakby wibronóz przeniknął przez jego ciało. Zacisnął zęby. Wszelka niepewność przeszła bez śladu, już się nie wahał.

To była właściwa chwila, by uwolnić drzemiące w nim monstrum.



Tobin Manischewitz usłyszał krzyk dochodzący zza zamkniętych drzwi i pokręcił głową. W zasadzie należało tego oczekiwać, a na dodatek Ardmore miał rację z tym motywowaniem Bentona-Ramireza y Chou do współpracy, ale nie powinien przyciskać dziewczyny tak mocno już teraz.

O wiele łagodniejsze podejście też odniosłoby pożądany skutek.

Kolejny krzyk, ostrzejszy tym razem i wyższy, wywołał u niego skrzywienie ust. Manischewitz zastanowił się nawet, czy nie zajrzeć tam i nie powiedzieć Giuseppe, żeby wrzucił trochę na luz, ale po chwili zrezygnował z pomysłu. Ostatecznie to nie on miał odpowiadać za fuszerkę, gdyby dziewczyna zbyt wczesnie wyzionęła ducha, i nie było co

wkurzać Ardmore'a już teraz. Z drugiej strony w tych warunkach nie było szansy na spokojną pracę, wziął więc kompa i zszedł piętro niżej.

Jednak krzyki dosięgły go nawet tam.



Jacques Benton-Ramirez y Chou siedział w małym i całkiem zwyczajnym pokoju. Wiedział, że cała trzynastka zgromadzonych w sąsiednim pomieszczeniu mężczyzn i kobiet kończyła już sprawdzać sprzęt, ładować amunicję i zakładać skafandry bojowe. Żadne z nich nie należało do jego zespołu, ale z niektórymi pracował już wcześniej i wiedział, że można na nich polegać. Ci, którzy go obserwowali, nie mieli okazji znać tych ludzi.

Niezbyt wierzył, że znajdzie dla nich jakieś zajęcie, ale jeśli te skurwysyny, które porwały Allison, dadzą mu niechcący jakąkolwiek wskazówkę, gdzie ich szukać, gotów był rzucić cały zespół do walki i pieprzyć ustawę Prescottta-Chatwella. Jeśli mieliby wkroczyć do akcji, to tylko ostro i niespodziewanie, z miejsca dowalając tym z Manpower. Istniało poważne ryzyko, że Allison też zginęłaby podczas takiej chaotycznej strzelaniny, która mogła wtedy wyniknąć, ale i tak miałyby większe szanse na przeżycie niż w jakiegokolwiek innej sytuacji. Na przykład wówczas, gdyby zaskoczenie nie było pełne i dranie próbowaliby użyć jej w roli żywej tarczy.

Na razie jednak Benton-Ramirez y Chou mógł tylko siedzieć tutaj i czekać, aż syntetyczny głos powie mu, gdzie powinien dostarczyć wykradzione dane.



Alfred Harrington doszedł do skraju otaczającej domek myśliwski polany i tam się zatrzymał. Czuł się paskudnie wskutek kolejnych fal bólu i strachu, które docierały do niego za sprawą niezwyklej więzi z Allison. Nie wiedział, czy w zwykłych okolicznościach znalazłby ją tak łatwo. Czy ona wyczuwała jego? Trudno powiedzieć. Jeśli nawet, to obecnie cierpienie tłumilo w niej wszystko inne. Sama jednak wyraźnie emanowała błaganiem o pomoc, które było dla niego prawdziwą torturą. Musiał ją stamtąd wydostać. Jednak jeśli spróbuje po prostu wbiec do domu, osiągnie zapewne tylko tyle, że oboje zginą. Z drugiej strony, nie miał wiele czasu do namysłu. Tamci celowo sprawiali jej ból, chociaż nie potrafił odgadnąć dlaczego.

Pocieszał się myślą, że cała operacja wydawała się zbyt złożona, żeby jedynym jej celem było zamordowanie Allison. Do tego wystarczyłaby strzałka z pulsera, wystrzelona z przejeżdżającego auta. Możliwe jednak, że chcieli przede wszystkim zadać jej jak najwięcej cierpienia, i to już przerażało. Alfred nigdy nie bał się o siebie tak, jak teraz o nią. Tak czy siak, zapowiadało się na to, że nie zabiją Allison od razu. Nie mógł wiedzieć tego na pewno, ale tak podpowiadała logika. Niemniej jeśli zaatakuje na ślepo, wtedy nie będą się wahać ani czekać zbyt długo.

Na szczęście, gdy wybiegł z domu, był w cywilnym ubraniu. Planował przesiedzieć resztę dnia nad notatkami, nie wkładał więc munduru. Jeśli zobaczą go niespodziewanie, nie uruchomi to oczywistych skojarzeń. Prędzej pomyślą, że nawiedził ich jakiś wścibski sąsiad niż przedstawiciel prawa, i spróbują po prostu zbyć go jakąś historyjką. Gdyby się nie udało, wtedy pewnie gotowi byłiby zabić i sąsiada, ale powinien zyskać w ten sposób przynajmniej kilka chwil.

Jeszcze ważniejsze było to, że chociaż nie służył już w Marine Corps, umiejętności mu pozostały. Przystanął na chwilę, sięgnął pod kurtkę

i dotknął ukrytej pod lewą pachą kabury. W kwestii posiadania broni Beowulf był mniej tolerancyjny niż Gwiazdne Królestwo i dlatego Alfred przechowywał pulser pod kluczem. Z drugiej strony, było tutaj w tym względzie znacznie lepiej niż na przykład na Starej Ziemi – skoro był oficerem sił zbrojnych, mógł mieć broń, nawet jeśli reprezentował całkiem inne państwo i przyleciał jako student medycyny. W praktyce znajdował się jakby w szarej strefie i raczej nie musiał martwić się o konsekwencje, gdyby przyszło mu użyć tej broni.

Kabura była cywilna, ale pamiątkowa. Dostał ją od ojca na szesnaste urodziny i używał cały czas od tamtej pory, ale pulser był już armijnego wzoru. Alfred popracował nad nim wraz ze znajomym zbrojmistrzem, dostosowując długolufowy, trzymilimetrový model Descorso do swoich potrzeb. Broń otrzymała kolbę Shapiro, holocelownik Simpson & Wong 216, idealnie chodzącą automatykę, pod prawym ramieniem zaś Alfred nosił dwa dodatkowe magazynki. Descorso nie towarzyszył mu tak długo jak kabura, ale trochę już razem przeszli. Uzupełniał go przymocowany poziomo do paska od spodni wibronóz. Trzymał się na magnes i starczyło sięgnąć ręką do tyłu, by go chwycić. Obiema sztukami broni potrafił się świetnie posługiwać, ale to było też wszystko, czym w tej chwili dysponował. A nie wiedział przecież, co go tutaj spotka.

Pewne informacje zdołał jednak zdobyć. Gdy tylko znalazł domek, spróbował wyszukać coś na jego temat w sieci. Dopisało mu szczęście. Dom miał prawie trzysta lat i został zbudowany jako rodzaj inwestycji. Przez ostatni rok stał pusty, aż trzy miesiące temu ktoś go kupił. Sprawdziwszy transakcję, Alfred szybko wykrył, że kupujący był słupem. Firma, która go przejęła, zniknęła niedługo później. Zapewne zarejestrowano ją tylko na potrzeby tej transakcji. Jeszcze jedno

potwierdzenie, że porywacze Allison byli zawodowcami, a nie psychologami. W sumie dobry znak.

Dodatkiem do informacji na temat transakcji były plany domku, które nie zostały jeszcze usunięte przez agencję nieruchomości, chociaż sama oferta przestała być aktualna. Do tego dochodziła specyfikacja budowlana, a nawet krótka wirtualna podróż po wnętrzu, mająca unaocznic, ile to unowocześnień kryje się w wiekowym domu. Oczywiście filmik miał charakter reklamowy i daleko było mu do materiałów wywiadowczych, ale pozwalał nieźle zorientować się w rozkładzie pomieszczeń.

Z pamięci taksówki wydobył też rutynowe nagranie kursu i załadował je do swojego komunikatora. Dysponował więc ujęciami domku zrobionymi z lotu ptaka, chociaż wiele informacji z nich nie wydobył. Na parkingu stała furgonetka przypominająca sylwetką występujące na Beowulfie ambulans. Obecnie była biała, ale inteligentna farba pozwalała na dowolną zmianę kolorów, a jej przeprogramowanie było kwestią sekund.

Potem porównał jeszcze mapkę z oferty z danymi wydziału ksiąg wieczystych, a te zestawiał z obrazem terenu uzyskanym podczas przelotu nad parcelą i topograficzną mapą znalezioną w geograficznej bazie danych. Ta ostatnia była bardzo szczegółowa i nawet Służba Leśna Sphinksa nie miała lepszych. Dlatego właśnie wylądował ostatecznie na zachód od domku. Chodziło nie tylko o wzgórze – od tej właśnie strony las podchodził najbliżej głównego budynku, a dodatkowo przebiegał tam parów, zapewne koryto sezonowej rzeczki. Wił się między drzewami i przecinał otwarty teren, zbliżając się na siedemdziesiąt metrów do domku. Mapa informowała, że parów jest głęboki na ponad metr, a miejscami nawet na więcej niż dwa metry.

Alfred spoglądał na otwarty teren, porównując go z mapą. Między parowem a domem widział niewielki budynek kryjący odbiornik

energetyczny nakierowany na orbitalny przekaźnik mocy. W opisie poskąpiono konkretów na temat tego odbiornika, chociaż rozplątano się poetycko na temat wszystkich odnowionych i zmodernizowanych systemów domu. Niemniej budynek oferował zapewne jakieś schronienie na odcinku ostatnich siedemdziesięciu metrów. Zawsze to lepsze niż nic. O więcej trzeba będzie postarać się samemu.

Znowu dosięgła go fala cudzego strachu i cierpienia. Dość! – pomyślał. Pora przejść do czynów!



Światło zamrugało przelotnie. W innych okolicznościach Manischewitz pewnie nawet by tego mnie zauważył. Teraz jednak był spięty i wszystko, co odbiegało od normy, natychmiast zwracało jego uwagę. Rozejrzał się po pokoju, chociaż sam nie wiedział, czego właściwie szuka. Owszem, pomieszczenie było przestronne, z widokiem na zamglony łańcuch górski, wznoszący się daleko na północy. Ardmore też był daleko i odgłosy jego... zabawy nie przeszkadzały tak bardzo. Nic z tego nie tłumaczyło jednak, skąd wzięła się ta krótka przerwa w zasilaniu. Zaczął już wstawać, gdy drzwi się otworzyły. Do środka zajrzał Riley Brandão, trzeci w kolejności dowodzenia.

– Co jest? – spytał go Manischewitz, zanim tamten jeszcze otworzył usta.

– Nasz pierdolony odbiornik energii wysiadł – odparł Brandão.

– Dlaczego? – Manischewitz usiadł z powrotem i spojrzał podejrzliwie. Nagłe awarie sprawnego sprzętu były podczas takich akcji z zasady podejrzane.

– Chyba moduł śledzący się rozregulował – powiedział Brandão. – Panel diagnostyczny w kuchni podaje, że przestał namierzać satelitę. Sawney

poszedł już sprawdzić. Mówiłem, żeby od razu wymienić ten złom. Zamontowali go tutaj jeszcze przed moim narodzeniem.

Manischewitz opanował odruch i nie wywrócił oczami. Brandão uwielbiał powtarzać „a nie mówiłem” przy każdej okazji i celował w wieszczeniu wszystkich możliwych nieszczęść, by potem móc się tym pochwalić. Od tej strony był niezawodny i fakt, że jego ponure proroctwa bardzo rzadko się sprawdzały, nic praktycznie nie zmieniał, za to każda okazja, gdy zdarzyło mu się przypadkiem trafić, stawała się dla niego chwilą triumfu. Manischewitz był w tej chwili rozdarty między oczekiwaniem, że to naprawdę tylko awaria, a pragnieniem, by coś starło jednak ten zadowolony uśmiezek z gęby Brandão.

Niestety, tym razem naczelny malkontent zapewne się nie mylił. Odbiornik miał już swoje lata, a najprędzej mógł się zepsuć właśnie moduł śledzący, jedyna ruchoma część urządzenia. Jego zadaniem było nakierowywać antenę na najbliższego w danej chwili satelitę przekaźnikowego.

– Jak zapasowy? – spytał i Brandão wzruszył ramionami.

– Włączył się automatycznie. Ale ma tylko trzydzieści procent rezerwy.

Manischewitz pokiwał głową. Brandão był obecnie przypisany do kuchni, gdzie znajdowały się ekrany systemu monitorującego obejmującego najbliższą okolicę. Z początku próbowali montować czujniki ruchu, ale przy bogactwie miejscowej fauny, czasem całkiem sporej, nic z tego nie przyszło. Przystawili się więc na zwykłe kamery. Nie była to najlepsza zmiana, ale jak wskazał Ardmore, ich bezpieczeństwo opierało się przede wszystkim na założeniu, że nikt nie będzie ich tutaj szukał. Ostatecznie nie dysponowali wystarczającą siłą ognia, by odeprzeć prawdziwy atak sił specjalnych.

Monitory zamontowali w kuchni z tej prostej przyczyny, że tam najłatwiej było podłączyć je do istniejącego już systemu sterowania urządzeniami domku, umieszczonymi jeszcze przez poprzedniego właściciela. Miało to pewne wady, związane chociażby z faktem, że kuchnia miała tylko jedno okno, wychodzące do tego na cieplarnię, przez co nie było z niej widać, co działo się na zewnątrz. Reszta jednak działała, a dyżurujący Brandão od razu wiedział, co się stało.

Tyle dobrego, że rezerwowy odbiornik był nowy i mógł utrzymać zasilanie domu przez co najmniej tydzień, zatem nie musieli działać pośpiesznie. Jeśli nie zdołają naprawić głównego urządzenia, na co nie mieli raczej wielkich szans, wzięwszy pod uwagę skład zespołu, zostawało im co najmniej kilka dni na sprowadzenie ekipy serwisowej.

– Może starczy reset – powiedział Manischewitz. – A jeśli to coś więcej, przyślij Sawneya z dokładną informacją, gdy już się zjawi.

– Jasne.

Brandão skinął głową i zamknął za sobą drzwi, Manischewitz zaś wrócił do swojej roboty.



Idący do szopy z odbiornikiem Sawney Sugimoto zaklął pod nosem. Rzadko zgadzał się z Brandão, ale tym razem miał rację, duppek. Ten złom należało wymienić, zanim jeszcze wystawiono dom na sprzedaż. Ale nic dziwnego, że tego nie zrobiono. Takie urządzenia były dla ludzi jak dachy, o których mało kto myśli, jak długo nie zaczną przeciekać albo nawet się nie zawałą. Chociaż trzeba było przyznać, że odbiorniki energetyczne były wytrzymałe. Schemat ich budowy nie zmienił się od paruset lat, był więc dobrze sprawdzony i przez to niezawodny. Mogło więc chodzić o coś prostego, i lepiej, żeby tak było. Jeśli moduł śledzący nawalił, trzeba będzie

wymontować całość, i Sugimoto nie miał wątpliwości, komu ten zaszczyt przypadnie. Podobnie jak wiedział, dlaczego to jego posłano, by sprawdził awarię. A dokładniej, dlaczego Brandão wybrał właśnie jego. Mógł przecież posłać Möncha, Graziolę albo Zepedę. Mönch chociaż raz mógłby ruszyć dupę z wygodnej kanapy i zrobić coś pożytecznego. Ale nie. Był w końcu starym kumplem Brandão. A skoro był Sugimoto, to on został wezwany, chociaż akurat był najdalej. Niby drobiazg, ale drażniący. A Brandão specjalizował się w takich sztuczkach. Kiedyś się jeszcze doigra...

Doszedł do szopy i oparł strzelbę pulsacyjną o ścianę obok drzwi, żeby otworzyć zamek szyfrowy. Żaden z poprzednich właścicieli nie trudził się, by zmienić fabryczną kombinację cyfr, czyli 1-2-3-4. W sumie nic dziwnego. Kto miałby się tutaj włamywać? Takie odbiorniki nie były tanie, ale sprzedaż skradzionego nikomu nie przyszłaby łatwo, poza tym były ciężkie i trudne do ruszenia. Na co komu taki kłopot?

Drzwi otworzyły się i Sugimoto zamarł ze zdziwienia. W przeciwległej ścianie widniała wielka dziura, sięgająca niemal od sufitu do podłogi. Była szeroka na prawie metr i z tak równymi krawędziami, jakby ktoś przeciął kompozyt wibro...

Jakaś ręka objęła go z tyłu i złapała za przód kurtki. Ktoś pchnął go do środka i jednocześnie obrócił jak zabawkę. Zaraz potem poczuł żelazny uchwyt na gardle. Zareagował odruchowo, wyprowadzając kopniaka do tyłu i sięgając prawą dłonią do duszącego go przedramienia. Lewą ręką spróbował sięgnąć twarzy, a dokładniej oczu napastnika.

Jednak niewiele z tego wyszło. Potężne uderzenie obutej stopy trafiło go w łydkę tuż pod kolanem. Coś natychmiast strzeliło w stawie, powodując eksplozję bólu. Chciał krzyknąć, ale tracił już oddech i udało mu się tylko gardłowo zaskowyczeć. Lewa ręka niczego nie znalazła, za to obca dłoń

rozmiarów małej łopaty chwyciła go za kark. Była tak silna, że nic nie mógł zrobić, rozpoznał za to ten chwyt. Wystarczyłoby kilka kilo nacisku, żeby jego kręgosłup trzasnął w tym miejscu jak suchy patyk.

– Tak lepiej – rozległ się tuż za nim cichy i głęboki, ale też przerażający głos. – Teraz rozepnij lewą ręką pas z bronią. Prawą trzymaj tak, żebym cały czas ją widział. Nie cierpię skręcać komuś karku już na samym początku znajomości.



– Moduł śledzący znowu działa – zameldował Brandão, ponownie zaglądnąwszy do pokoju. – Cała diagnostyka świeci się na zielono.

Zdawał się być trochę niezadowolony, ale Manischewitzowi nie chciało się tego komentować. Pokiwał tylko głową.

– Pogadaj z Sawneyem przy zmianie dyżuru. Dowiedz się, co to było i co zrobił, że znowu działa. I czy naprawdę będziemy musieli wymienić całość. Wolałbym, żeby nikt nam się tutaj nie kręcił przez parę najbliższych tygodni.

– Jasne – rzucił Brandão i zniknął.



Alfred Harrington słuchał szumu modułu, ustawiającego antenę we właściwej pozycji. Pracował już normalnie; wystarczyło wyjąć śrubokręt, który go blokował. Równocześnie porucznik wpatrywał się lodowatym spojrzeniem w nieprzytomnego mężczyznę. Nadal nie wiedział dość o tym, co tu się właściwie działo, ale był już trochę lepiej poinformowany niż dziesięć minut temu. Żałował, że nie miał czasu, by dokładniej popracować nad więźniem, ale trudno. Tamten z początku nie chciał współpracować, a Alfred nie zamierzał naiwnie wierzyć we wszystko, co od niego usłyszy,

jednak sytuacja uległa zmianie, gdy wykręcił swej ofierze rękę tak silnie, że aż staw ramieniowy nie wytrzymał. Oczywiście nie było to w pełni zgodne z konwencją denebską, ale jego rozmówca nie przynależał do żadnych oficjalnych sił zbrojnych. Chociaż nawet gdyby było inaczej, Harrington raczej by się tym nie przejął.

Karabin pulsacyjny porywacza był wyposażony w wojskowy magazynek o dużej pojemności i już to jedno wskazywało na to, że obecni właściciele domku myśliwskiego nie są szanującymi prawo cywilami, za których wyraźnie chcieli uchodzić. Pulser noszony przy pasie dowodził tego samego. Jego posiadacz zaś, gdy już nabrał już ochoty na pogawędkę, powiedział może niewiele, ale było tego dość, by Alfred wiedział już z niemal całkowitą pewnością, kogo zdarzyło mu się spotkać.

Manpower. Od razu przypomniał sobie Clematis i skryta w nim bestia poruszyła się niespokojnie. Znowu Manpower. Tylko czego Manpower mogło chcieć od Allison Chou? Co czyniło ją tak ważną, że zorganizowali to wszystko? Cała galaktyka wiedziała o wzajemnej nienawiści Beowulfa i Mesy, agenci Manpower zaś raczej nie żywili złudzeń co do swego losu, gdyby zdarzyło im się wpaść w ręce wymiaru sprawiedliwości Beowulfa. Zakładając oczywiście, że mieliby w ogóle okazję stanąć przed tutejszym sądem.

Niestety z braku czasu nie miał szansy zgłębić tego tematu. Należało oczekiwać, że kompani wcześniej czy później zaczną szukać nieobecnego. Może nawet już za chwilę. Morderca z Manpower wiedział o tym równie dobrze jak Alfred i wyraźnie grał na czas. Przyznał, że porwali Allison w ramach realizacji jakiegoś większego planu, chociaż stwierdził, że nie wiedział, kto był jego ostatecznym celem. To akurat było całkiem możliwe. Gdyby to Alfred prowadził podobną operację, też zachowałby pewne szczegóły tylko dla siebie. Z drugiej strony, mężczyzna mógł kłamać, żeby

gadać cokolwiek, zanim ktoś zacznie go szukać. Dlatego Harrington dał sobie tylko dziesięć minut na przesłuchanie. Ile zdołał dowiedzieć się w tym czasie, to jego. Dlatego był bardzo natarczywy.

Dzięki wirtualnemu zwiedzeniu domu udało mu się przyłapać więźnia na dwóch kłamstwach, za które natychmiast boleśnie go ukarał. Było to dość, by facet przestał przesadnie fantazjować. Z drugiej strony Alfred musiał się hamować, żeby nie przesadzić z metodami przesłuchania. Bestia wierciła się coraz bardziej, pożywiana falami cierpienia płynącymi od strony domu. W pewnej chwili wyczuł, że Allison zaczęła chyba tracić przytomność, i to było jeszcze trudniejsze do zniesienia. Niemniej przysłała w końcu chwila, gdy musiał podjąć decyzję i ruszać dalej. Dotknął rękojęści wibronoża, który przeszedł przez kompozytową ścianę, krojąc ją jak masło. Ludzkie gardło stawiało zdecydowanie mniejszy opór.

Zacisnął palce na broni. Świerzbiły go. Pragnął raz na zawsze usunąć to ludzkie ścierwo. Smakował tę myśl. Była słodka i gorąca. Z każdą chwilą coraz bardziej kusząca, zwłaszcza że fale docierającego do niego bólu nie ustawały. To byłaby najłatwiejsza rzecz pod słońcem, bo przecież każdy, kto służył Manpower, a na dodatek brał udział w porwaniu Allison Chou, miał już wykupioną miejscówkę w piekle.

Jednak Alfred Harrington nie był na żołdzie Manpower. Był, musiał być kimś lepszym, ponieważ w przeciwnym razie...

Zaklął dla ulżenia frustracji i sięgnął po rolkę taśmy samoprzylepnej, leżącej w skrzynce narzędziowej pod ścianą szopy.



Giuseppe Ardmore odsunął się o krok i wyłączył neurobat. Nie przyszło mu to łatwo. Obliznął wargi, smakując głęboką i uzależniającą rozkosz płynącą z zadawania komuś bólu. Czy może wywoływania bólu, zwłaszcza

u kogoś takiego. Siostry Bentona-Ramireza y Chou. To było szczególnie słodkie przez pamięć New Denver. Musiał jednak uważać. Manischewitz byłby wkurzony, gdyby zabił ją zbyt szybko. Właściwie nic wielkiego by się nie stało i Manischewitz też jakoś by to przeboleł, ale sam Ardmore doszedł do wniosku, że lepiej poczekać. Chciał utrzymać ją przy życiu, jak długo się da, żeby wykorzystać także bardziej tradycyjne metody tortur, mogące nawet lepiej zmotywować pana kapitana.

Przypiął neurobat do pasa i podszedł do rejestratora z obiektywem wycelowanym w prawie nagą kobietę na środku pokoju. Przeglądanie materiału będzie niemal taką samą frajdą, pomyślał. I faktycznie lepiej nie wchodzić w kadr. Manischewitz miał rację – nawet najdrobniejsza informacja mogła naprowadzić na jego ślad. Chociaż obleczone w rękawicę dłoń, trzymająca neurobat, chyba jednak nie? Wolał podejść do tego optymistycznie.

Spojrzał jeszcze raz na swoją półprzytomną ofiarę i włączył odtwarzanie. Neurobat był tak ustawiony, by nie wyrządził żadnych nieodwracalnych szkód w układzie nerwowym, ale na skórze dziewczyny widniały liczne ciemne ślady, jej mięśnie zaś drgały spazmatycznie. Nagrał całą minutę tych efektów, świadczących jednoznacznie, że bat dopiero zaczynał swoją robotę.



Dzięki parowowi Alfred dotarł do szopy niezauważony, jednak dalsza droga biegła już po równym terenie, bez żadnej osłony. Uchylił drzwi i spojrzał na zewnątrz. Jeniec nie kłamał co najmniej w jednej sprawie, pomyślał, obserwując mężczyznę wylegającego się na szezlongu odległym o jakieś sześćdziesiąt metrów i trochę z boku od linii prostej, na której leżały szopa i dom. Obok stał stolik z parasolem przeciwsłonecznym.

Mężczyzna nie wyglądał na kogoś zachowującego szczególną czujność. Na stoliku ciemniało coś, co mocno przypominało butelkę z piwem. Gdyby któryś z ludzi Alfreda wylegiwał się tam w cieniu, zamiast trzymać porządnie wartość, powiedziałby mu do słuchu. Inna sprawa, że gość mógł być wyluzowany, ale nawet w tym stanie raczej nie przegapiłby dwumetrowego drągała idącego ku niemu przez trawnik.

Niemniej skoro siedział... Zapewne reszta znała go dość dobrze, by tego właśnie po nim oczekiwać. Na dodatek oparcie szeszlona wznosiło się ponad jego głowę. Co więcej, chmury były coraz bliżej, trochę się nawet ochłodziło i wiatr coraz gwałtowniej kołysał gałęziami. Las szumiał niczym coraz gniewniejszy ocean. A skoro tak...

Descorso idealnie leżał mu w dłoni. Alfred chwycił się lewą dłonią framugi, łokieć przycisnął lekko do uchylonych drzwi i oparł przedramię na swojej dłoni. Ani drgnęło. Wysunął lekko lufę pulsera, nakierowując czerwoną kropkę na punkt między oczami wartownika.

Jego własne oczy były w tym momencie spokojne i uważne. Bestia mruczała ze szczęścia. Odetchnął głęboko, wypuścił część powietrza i pociągnął za spust.



Riley Brandão skończył przygotowywać kanapkę z szynką i serem, wziął butelkę piwa z blatu i wrócił na swoje miejsce przed monitorami. Teoretycznie nie powinien ruszać się stamtąd nawet na sekundę i miał obserwować cały czas teren z taką czujnością, jakby los wszechświata od tego zależał. Ale przecież nikt nie miał szansy zbliżyć się do domu niezauważony przez któregoś z wartowników, pora lunchu zaś już dawno minęła i Riley był głodny. Wszechświat powinien przetrwać jakoś te kilka minut bez ścisłego nadzoru.

Mężczyzna zachichotał na tę myśl i sprawdził raz jeszcze panel diagnostyczny. Chciał się upewnić, że odbiornik nie zaczął znowu kapryścić. Działał, ale jak długo jeszcze? Stary kawał złomu, pewnie ledwie się trzymał. Manischewitz powinien był go posłuchać i wymienić sprzęt. Brandão poczuł przypływ satysfakcji na myśl, że znowu miał rację, ale zastanowił się też, dlaczego Sugimoto nie zameldował się jeszcze z wyjaśnieniem, co to była za awaria.

Pewnie wciąż jeszcze próbuje to ustalić, niezdarą jedną, pomyślał i parsknął pogardliwie. Nie przepadali za sobą nawzajem i Brandão był pewien, że tamten świetnie wyczuł, dlaczego został skierowany do tej roboty. Przyda mu się, pomyślał. Drań uważa, że wszystkie baby tylko o nim marzą. Taaa, jasne. Gdyby nie forsa, gównem by mu dały.

Wgryzł się w kanapkę z szynką i szwajcarskim serem. W zasadzie nie należało być tak małostkowym, pomyślał, ale w tym przypadku trudno. Gdy chodziło o kobiety, małostkowość była na miejscu, a Sugimoto powinien dostać za swoje. I dostanie, będzie jeszcze wiele okazji. Pożałuje, że się urodził. Brandão przełknął kęs kanapki i sięgnął po piwo. Pewnie ten jebaka Ardmore tak Sugimoto podpuścił. Jasne, na razie prościej było wyrównać rachunki z Sawneyem, ale któregoś dnia role się odwrócą, a wtedy...

Pechowo dla siebie, Riley Brandão nigdy jeszcze aż tak bardzo się nie pomylił.

Unosił właśnie butelkę do ust, gdy drzwi za jego plecami zaczęły się otwierać. Domek został wzniesiony w stylu rustykalnym i nawet drzwi były klasyczne, ze zwykłymi zawiasami, klamkami i bez żadnej automatyki. Butelka z piwem zawisała w bezruchu, a brwi Brandão zaczęły wędrówkę do góry. Nie wiedział, co dokładnie usłyszał czy może wyczuł. Ciche

skrzywienie zawiasów czy może delikatny prąd powietrza. Nie wiedział i nigdy już nie miał okazji, by to sprawdzić.

Gdy tylko Alfred Harrington otworzył drzwi stopą, kolba karabinu, którego Sawney Sugimoto żadną miarą już nie potrzebował, opadła niczym młot kowalski prosto na czaszkę Brandão, miażdżąc ją jak skorupkę jajka.



Alfred zamarł na ugiętych nogach pośrodku kuchni i nadstawił ucha. Nie mrugnął nawet okiem, gdy ciało mężczyzny osunęło się bezwładnie na podłogę. Głowa uderzyła głucho o posadzkę i krew rozlała się na kafelkach, sięgając wkoło karmazynowymi mackami. Porucznik poruszył tylko nozdrzami i czekał na jakikolwiek odgłos, jakiegokolwiek poruszenie.

Nic się nie zdarzyło. Po chwili wyprostował się. Kuchnię zlokalizował już wcześniej dzięki wirtualnemu spacerowi, Sugimoto zaś dorzucił do tego informację, że zewnętrzne systemy monitorujące zostały sprzężone z systemami domu. Nie ufał mu przesadnie, ale okazało się, że w tym przypadku porywacz nie kłamał. Niemniej w najbliższej okolicy było jeszcze ośmiu ludzi, on zaś był sam.

Z drugiej strony, miał nad nimi jedną zasadniczą przewagę: tę bestię, która pokazała już kły i domagała się oswobodzenia. To przez nią pomyślał o medycynie. Chciał raz na zawsze odebrać bestii możliwość wpływania na swoje życie. Obiecał to sobie. Nie dlatego, żeby uczynił coś złego wtedy, na Clematisie. Czuł, że bestia może zagrozić i jemu. Może zmienić go w siebie. A teraz, pomimo tej obietnicy, musiał ją uwolnić. Ale nie miał wyboru.

Wciągnął głęboko powietrze i na moment przymknął powieki. Allison była już spokojniejsza, ale słaba. Trwała na krawędzi omdlenia. Była tak blisko, że łatwo mógł wskazać, gdzie dokładnie się znajduje. Powyżej

i trochę na lewo. To była salka gimnastyczna, przypomniał sobie. Drugie piętro, wschodni kraniec budynku. Dostać mógł się tam trzema drogami, jednak dwie z nich prowadziły przez główny salon i obok kilku sypialni na parterze. Trzecia była dłuższa, ale tylne schody przylegały jedynie do dawnych pokoi służby. Raczej wątpliwe, by ktoś siedział tam w środku dnia. Mógł się mylić, ale to była najlepsza opcja.



Allison Chou uniosła z wysiłkiem głowę. Cała była obolała, ręce rwały ją jak połamane, ramiona zdrętwiały od utrzymywania ciężaru ciała. Ledwie cokolwiek kojarzyła, ale... coś nagle przebiło się przez rozpacz i poczucie beznadziei. Czuła to. Było coraz bliżej i skupiało uwagę właśnie na niej... płonąc przy tym strasznym, nieopanowanym gniewem.

Z trudem zebrała myśli. Nie miała najmniejszego pojęcia, czego ci ludzie chcieli od Jacques'a, ale zrozumiała już, że i tak ją zabiją. Po tym, co przeszła przez ostatnie dwie godziny, coraz bardziej pragnęła, by stało się to jak najwcześniej. Ale teraz coś się zmieniło. Sięgnęła do tego ostrza nienawiści, które z każdą chwilą czuła wyraźniej. Powinno ją przerazić, ale znała już straszniejsze rzeczy. Co więcej, ostrze nie było skierowane na nią, chociaż nie zjawilo się tu przypadkiem. Tego też była już pewna. Spojrzała w bok, na mężczyznę, który tak się nad nią znęcał. Nienawiść nadciągała niczym przypływ. Allison uśmiechnęła się lekko.



Alfred pokonał ostatni odcinek schodów. Szedł z karabinem wymierzonym cały czas w górę. Na szczycie skręcił w korytarz.



Allison zwilżyła językiem wargi. To już za chwilę. Nie mogła się mylić. Jej kat wciąż przeglądał nagranie, słyszała swoje własne krzyki. A na stole obok niego leżał pulser. Stanowczo zbyt blisko ręki mężczyzny.

– Proszę – wyszeptała. – Proszę... puśćcie mnie...

Usłyszał ją i uniósł głowę. Uśmiechnął się okrutnie jak głodny drapieżnik. Chyba ucieszył się, że odzyskała przytomność.

– Jasne, kochana. Puścimy cię – zakpił. Potem wziął do ręki neurobat i podszedł bliżej Allison. – Ale jeszcze nie teraz – dodał. Jęknęła, gdy włączył neurobat i urządzenie ponownie zamruczało, sygnalizując gotowość. Wciąż się do niej zbliżał, a tym samym oddalał się od pulsera. – Najpierw musisz nam pomóc – stwierdził z błyskiem w oku. – Ale spokojnie, w końcu odejdiesz.

– Proszę, nie! – jęknęła z przerażeniem, on jednak tylko się roześmiał i uniósł lśniąco matowo korpus neurobata.



Alfredem targnął nowy spazm przerażenia. Wiedział, że to było jej przerażenie, ale tym razem i on poczuł narastającą panikę gdy zrozumiał, że znowu dzieje się coś złego. Nie wiedział, co dokładnie, ale pojął, że musi się pospieszyć. Allison chyba... rozmyślnie prowokowała swojego kata!

W tej chwili przebywał jakby w dwóch światach równocześnie. W jednym biegł korytarzem, starając się jednak jak najciszej stawiać stopy, w innym gardło ścisnął mu strach. W obu szalała zaś ta sama bestia, wściekła teraz i głodna.



Giuseppe Ardmore odczekał długą chwilę, smakując widoczny w oczach Allison strach i rozkoszując się widokiem skurczów mięśni, których żadną

miarą nie była w stanie opanować. Próbowwała cofać się przed nim i przed cichym odgłosem pracy neurobata, dobrze już jej znanego narzędzia. Ardmore czuł swą siłę i uzależniająco słodkie poczucie władzy. Przechylił dłoń...

Za jego plecami rozległ się trzask otwieranych gwałtownie drzwi. Ardmore obrócił się i zamarł ze zdumienia na widok obcego mężczyzny, który był co najmniej o dwanaście centymetrów wyższy od niego i zbliżał się z karabinem pulsacyjnym w dłoniach.



Alfred Harrington, już stojąc w progu, był pewien, że ten widok będzie prześladować go do końca życia. Allison Chou wisiała przywiązana za nadgarstki na środku jasnego pomieszczenia pełnego przyrządów do ćwiczeń. Była prawie naga, lina wrzynała się w jej skórę, widać też było paskudne, ciemne ślady na sporej części ciała. Alfred poznałby je nawet wówczas, gdyby nie dostrzegł spazmatycznie drgających mięśni, które nie doszły jeszcze do siebie po zaaplikowanych razach.

Wiedział, czym je zadano, i to jeszcze zanim zauważył neurobat w dłoni rosłego i jasnowłosego mężczyzny stojącego między nią a drzwiami.

Alfred trzymał karabin przy ramieniu, ale cel znajdował się na jednej linii z Allison. Gdyby teraz strzelił, strzałki przebiłyby jego ciało i raziły również dziewczynę. Na twarzy tamtego odmalowało się skrajne zdumienie i niedowierzanie, a zaraz potem panika. Musiał jednak szybko się otrząsnąć i zrozumieć, dlaczego Alfred jeszcze nie strzelił. Obrócił się do drzwi, cały czas starając się wykorzystywać Allison jako osłonę. Kciukiem przełączył neurobat na śmiertelny poziom rażenia.

Alfred nie wahał się ani chwili. Z lodowatym błyskiem w oczach zrobił długi krok, i trzymając lewą dłoń zaciśniętą na kolbie broni, prawą pchnął

kolbę w dół, wykonując szeroki zamach.

Giuseppe Ardmore próbował krzyknąć, ale kolba trafiła go w żuchwę. Siła uderzenia była tak duża, że mężczyzna poleciał do tyłu i puszczał neurobat, wylądował na podłodze. Ból, który przy tym odczuł, był gorszy niż wszystko, co dotąd zdarzyło mu się poznać. Wymazał wszystkie racjonalne myśli, pozostawiając tylko nagi instynkt przetrwania. Podciągając się na rękach, Ardmore zaczął pełznąć na plecach ku drzwiom.

Alfred Harrington zrobił jeszcze dwa kroki i uniósł broń. Postawił mężczyźnie stopę na piersi, przyciskając go w ten sposób do podłogi. Poczł zaciskającą się na kostce dłoń, druga uniosła się w daremnym geście obrony albo może absurdalnym błaganiu o litość. Jednak Harrington nie był skłonny do litowania się. Nie tego dnia i nie wobec tego człowieka. Był wymiarem sprawiedliwości i zemstą... tego dnia był śmiercią.

Kolba karabinu pulsacyjnego trafiła Giuseppe Ardmore'a w sam środek czoła, spadła na niego niczym młot Thora, prowadzony silną ręką i wściekłością porucznika Harringtona.



Alfred spojrzł na trupa. W tym momencie odczuwał tylko żal. Żal, że nie może zabić tego osobnika ponownie. I jeszcze raz. Bestia ryknęła triumfalnie, domagając się nowych ofiar. Alfred nie miał nic przeciwko temu, by ją nakarmić.

Najpierw jednak przymknął powieki i zmusił się do wyciszenia. Odetchnął głęboko i zajął się tym, co w tej akurat chwili było najważniejsze.



Allison zwiesiła głowę, czując, jak osłabienie, strach i ból upominają się o swoje, jednak mimo ciemności, która chciała ją pochłonąć, poznała go. Wiedziała, wiedziała ponad wszelką wątpliwość, w kim płonął ten płomień nienawiści. Kto po nią przyszedł. Nie pojmowała, skąd ani jak mogła to wiedzieć, ale to już nie było ważne. Liczyła się tylko ta nagła świadomość, że żadna siła, niebiańska czy piekielna, nie była dla niego wystarczającą przeszkodą, by się tutaj zjawić. By ją odszukać.

– Alfred – wyszeptała, gdy jego ręce, silne, groźne, ale też delikatne, wyswobodziły ją z więzów i przytuliły. Wtedy jeszcze bardziej go poczuła. Nie знаła go, ale wiedziała już, że stała się dla niego najcenniejszą osobą we wszechświecie. Poddała się temu oczyszczającemu i gorącemu pragnieniu.



Alfred trzymał ją w ramionach. Była taka lekka. Jak ktoś tak drobny mógł jednocześnie znaczyć tak wiele? Więcej niż cała reszta wszechświata.

Zacisnął szczęki, czując niekontrolowane drgania mięśni Allison. Przytulił ją do siebie mocno. Czuł na policzku przepocone włosy, jej policzek zaś przy swojej piersi. Najchętniej trzymałby ją tak w nieskończoność, by koić jej ból, aż całkiem zniknie. Ale nie mógł. Teraz nie było na to czasu.

Posadził ją łagodnie na krześle. Nie było to łatwe, bo nie chciała go puścić, ale jakoś zdołał to zrobić. Potem otulił ją swoją kurtką, która była na nią o wiele za duża, ale dzięki temu porządnie ją osłaniała. Wziął karabin i zarzucił go sobie na ramię, a potem ponownie podniósł dziewczynę i delikatnie przewiesił ją sobie przez ramię. Na koniec sięgnął prawą dłonią po pulser i skierował się z powrotem ku schodom.



– Rinaldo, ty dupku – warknął Kuprian Grazioli, wychodząc zza rogu budynku. – Umawialiśmy się, że możesz się zrelaksować, ale nie zasypiać! Następnym razem odbieraj, gdy do ciebie dzwonię, bo w przeciwnym ra...

Urwał w pół słowa, pojmując nagle, dlaczego Rinaldo Mönch nie odpowiadał na wywołania i co to był za głuchy odgłos, który dał się słyszeć jakiś czas temu. Rozległ się tylko raz, ginąc niemal w szumie lasu, i Grazioli nie był wcale pewien, czy rzeczywiście coś słyszał. Zwłaszcza że dźwięk się nie powtórzył. Ale teraz wszystko stało się jasne.

Widział tylko tył oparcia szezlonga, ale i to wystarczyło. Biała wyściółka została wypchnięta przez całkiem spory otwór, pośrodku którego widać było wilgotną, czerwoną masę. Dokładnie na poziomie głowy. Ktokolwiek to zrobił, musiał użyć broni o dużej prędkości początkowej.

Grazioli sięgnął po komunikator i pobiegł w kierunku szezlonga.



– Tobin!

– Co? – Manischewitz uniósł głowę znad tabletu.

– Tu Kuprian. Rinaldo nie żyje! Ktoś strzelił mu z pulsera prosto między oczy!

– Co?! – Tobin zerwał się z krzesła. – Jesteś pewien?

– Tak, do kurwy nędzy, jestem pewien! – odpalił Grazioli. – Stoję nad nim. Łeb ma w strzępach. A wcześniej próbowałem połączyć się z Rileyem i też nie odpowiada.

Manischewitz zdrewniał. Jeśli Brandão milczał, to oznaczało, że ktokolwiek zabił Möncha, znajdował się już w domu. A co gorsza, wiedział dość, by w pierwszym rzędzie załatwić dyżurnego przy kuchennych monitorach.

Tobin nie mógł zebrać myśli. To przecież nie miało prawa się zdarzyć. Było po prostu niemożliwe! Nawet gdyby Benton-Ramirez y Chou poszedł od razu na samą górę i zdołał przekonać odpowiednie osoby do wyrażenia zgody na akcję Korpusu na Beowulfie, żadną miarą nie mogli tak szybko ich znaleźć!

Może jakoś wysłedzili sygnał? – pomyślał. Ale to było niedorzeczne! Sygnał poszedł na satelitę, a potem jeszcze dalej, z użyciem najlepszego oprogramowania w galaktyce! Był przekazywany przez tyle nadajników, że sam Bóg tak szybko by tego nie rozplątał. Chyba że ona ma jakiś znacznik, którego nie znaleźliśmy. Ale została sprawdzona. A nawet gdyby...

Wzdrygnął się. Jak to zrobili, było kwestią drugorzędną, ważniejsze, że jakoś im się udało. Jednak jeśli mieli na karku Korpus, to gdzie była reszta zespołu szturmowego? Oni nigdy nie ruszali w teren bez wsparcia. Korpus Zwiadu Biologicznego był wprawdzie zdolny do nietypowych akcji, ale preferował punktowe uderzenia z dużą siłą ognia, paralizującą ofiary, zanim te miały szansę pomyśleć o przeciwdziałaniu. Co więc się tu działo...?

Uruchomił kanał ogólny.

– Kontrola łączności! – rzucił i czekał bez ruchu na zgłoszenia wszystkich członków zespołu.

Zabrakło czterech: Brandão, Möncha, Sugimoto... i Ardmore'a.

Kurwa! Ten niby zepsuty odbiornik zasilania! Sukinsyn zastawił pułapkę, złapał jednego i skłonił do gadania. A potem wszedł jak do siebie, zabił Riley'a i...

Nagle dotarło do niego, co mogło oznaczać milczenie Giuseppe. Jeśli i jego dopadł, to pewnie zabrał...

Nie skończywszy myśli, chciał znowu zwrócić się do wszystkich, ale nagle dostał wywołanie od Kupriana Graziolego.

– Tobin! Ktoś wychodzi od tyłu z...

W tym miejscu głos się urwał. Manischewitz usłyszał wycie pulsera i krótki krzyk.

– Ktoś dostał się do domu i próbuje uciec! – warknął na ogólnym kanale. – Ktokolwiek to jest, kieruje się na zachód! Palacios, Tangevec, Mészáros, pilnujcie okolicy domu. Może próbować ruszyć wawozem. Jeśli tak, odstrzelić mu dupę. Reszta na werandę na tyłach. Zaraz tam do was dołączę!

Równocześnie otworzył szufladę biurka i złapał własny pulser.

– Ktokolwiek to jest, załatwił już czterech z nas, z Graziolim pięciu, tak więc uważajcie! Giuseppe dopadł zapewne jeszcze przed tym, gdy Grazioli znalazł Möncha ma więc ze sobą kobietę. Chcę ją z powrotem żywą, jeśli tylko się da, ale najważniejsze to załatwić tego skurwiela. Jeśli stracimy ją przy tym, to trudno.



Alfred zaklął, gdy mężczyzna stojący obok szezlonga poleciał do tyłu. Strzałka trafiła go tuż nad górną wargą, energia hydrostatyczna zaś sprawiła, że tył jego czaszki eksplodował odłamkami kości, grudkami masy mózgowej i fontanną krwi. Niestety, stało się to w chwili, gdy typ wrzeszczał coś do komunikatora. Porucznik zamarł, gdy chwilę potem ktoś krzyknął głośno między targanymi wiatrem drzewami na północ od niego.

Realną szansą na wydostanie się stąd z Allison i powrót do czekającej taksówki miałyby tylko i wyłącznie wówczas, gdyby porywacze do samego końca nie zorientowali się, że ktoś ich zaatakował. Niestety, właśnie stracił tę szansę.

Niewiele brakowało, a spróbowaliby czym prędzej ewakuować się do lasu, ale w tej samej chwili usłyszał przechodzącą nad swoją głową serię

strzałek z pulsera. Wyły w sposób charakterystyczny dla pocisków poruszających się z prędkością naddźwiękową. Zaklął znowu i zmienił kierunek. Obszedł szopę, żeby chociaż trochę osłaniała go przed ogniem z północy. Pomogło, bo następna seria przeszła bokiem, on zaś wykorzystał tych kilka cennych chwil, by dobiec do parowu.

Trzecia seria wbiła się w południowy stok zagłębienia, orząc po równi trawę, liście i ziemię, jednak strzelec nie widział już uciekających. Walił na ślepo, chociaż gdyby przypadkiem trafił, efekt byłby ten sam. Wiedzieli, gdzie ich szukać, ten drań na północy był zaś bliżej zachodniego krańca polany niż porucznik. Teraz wystarczy, jeśli pošlą jeszcze kogoś na wschodni i zaczną powoli zacieśniać krąg.

Ułożył delikatnie Allison na ziemi i zdjął zdobyczny karabin z ramienia. Dobrze, że jego poprzedni właściciel zadbał aż o trzy zapasowe magazynki. To znaczyło, że zapewne do samego końca obrony nie zabraknie mu amunicji.

Podpełzł do krawędzi parowu i ostrożnie wysunął głowę. Suche koryto strumienia było w tym miejscu głębokie na dwa metry, co i dobrze, ukształtowanie brzegu zaś sprawiało, że mógł prowadzić ogień we wszystkich kierunkach. Niestety, mógł pilnować tylko jednego podejścia naraz, a kolejna seria, która zawyła w górze, nadleciała już z innej strony. Ten strzelec znajdował się bardziej na wschód niż pierwszy. Alfred wychwycił ruch, gdy mężczyzna pobiegł na nowe stanowisko bliżej strumienia.

Porucznik trzymał karabin przy ramieniu. Wystarczyło nacisnąć lekko spust.

Biegący jakby zamarł w pół skoku, po czym opadł bezwładnie osiemdziesięcioma kilogramami martwego mięsa. Bestia warknęła triumfalnie. To już szósty. Przynajmniej wiedzą już, że trafili na wojnę.

Nagle pewna myśl przemknęła mu przez głowę. Że nieważne, ilu przeciwników zabije, jeśli i tak nie zdołają uciec. Że zawiódł i teraz oboje będą musieli zginąć.

Dość tego! – zbeształ się zaraz w duchu. Może i coś nie wyszło, ale na razie żyjecie! I tak trzymaj, idioto! I jeszcze...

– Alfredzie?

Drgnął, gdy Allison nagle zawołała go słabym głosem po imieniu.

– Tak, to ja – odezwał się zdumiewająco łagodnym tonem, ale nie śmiało obrócić głowy.

– Przyszedłeś... po mnie.

– Oczywiście. – Zastanawiał się przez chwilę, czy nie skłamać na temat ich sytuacji, ale szybko zrozumiał, że musiałyby wyczuć taką nieszczerłość.

– Ale teraz nie wygląda to za dobrze.

Ku jego zdumieniu zaśmiała się, chociaż krótko. Zaraz potem popłynęły łzy, bólu zapewne, a może i smutku wywołanego świadomością, że przyjdzie mu podzielić jej los.

– Łap! – krzyknął, wyciągając z kieszeni komunikator i rzucając go dziewczynie. – Wezwij gliny, niech kierują się na nasz sygnał. Może zdążą.

Wiedział, że niewielka była na to nadzieja, ale reakcja Allison ponownie go zaskoczyła. W wielkim podnieceniu zaczęła wybierać numer. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przeszkodziła mu w tym seria, która padła od strony domu. Odpowiedział ogniem i ktoś tam krzyknął, chociaż na pewno nie został trafiony. Za ścianami kryło się zapewne czterech do pięciu porywaczy, ale łatwiejszymi celami powinni być ci podchodzący od strony lasu. Alfred przeskoczył na wschodnią stronę, akurat w porę, by zobaczyć jednego z nich zrywającego się do biegu. Pozostali mieli go najpewniej

osłaniać, ale strzelali na ślepo, nie znając dokładnej pozycji porucznika. Zdołał wypuścić krótką serię.

Biegący wrzasnął i poleciał na ziemię z prawą nogą odstrzeloną w połowie uda. Alfred schował się i przemknął kilka metrów w lewo, podczas gdy strzałki zawyły nad jego poprzednią pozycją. Czekał, aż znowu uda mu się dostrzec jakiś cel.

– Jacques! – usłyszał za sobą głos Allison.



Jacques Benton-Ramirez y Chou nie rozpoznał numeru, z którego ktoś do niego dzwonił. Nie należał do Allison, ale być może porywacze postanowili z jakiegoś powodu zmieniać aparaty. Przyjął połączenie, ale nie zdążył niczego powiedzieć.

– Jacques!

– Alley?

Zesztywniał cały, zastanawiając się, po co znowu kazali jej odezwać się do niego. Bał się, że zaraz usłyszy krzyk. Jednak do jego uszu dobiegł odgłos, którego nie pomyliłby z żadnym innym. Zerwał się na równe nogi.

– Jacques, to ja! Kierujcie się na ten namiar! Jesteśmy w parowie niedaleko domku, ale zbliżają się do nas! Pospiesz się, Jacques!

– Alley!

Nie otrzymał odpowiedzi, ale połączenie nie zostało zerwane i w tle dały się słyszeć kolejne strzały z pulsera. Sporo strzałów.

– Sierzancie Brockmann! Ruszamy! – krzyknął Benton-Ramirez y Chou, otwierając drzwi do sąsiedniego pokoju. Zaraz potem pobiegł jako pierwszy do czekającego na nich lądownika desantowego.



Alfred znowu strzelił, chociaż nie do konkretnego celu, ale żeby zrobić cokolwiek. Przesunął się dalej w lewo. Oni zapewne oczekiwali go teraz raczej po prawej. Chociaż mógł się mylić...

Poczuł jakieś szarpnięcie z tyłu i zerknął przez ramię. To Allison wyciągnęła zza jego paska pulser, który należał kiedyś do jej dręczyciela. Uśmiechnęła się lekko, gdy na nią spojrział.

– Ty patrz w tę stronę, ja zajmę się drugą.

– Umiesz się tym posługiwać?

– Nie tak dobrze jak ty, ale brat zabrał mnie kilka razy na strzelnicę – odparła i znowu się uśmiechnęła, aż Alfredowi żywiej serce zabiło. – Poza tym innego wsparcia chyba akurat nie masz.

– To prawda – stwierdził, też odruchowo odpowiadając uśmiechem. – Tylko trzymaj nisko głowę i nigdy nie wystawiaj jej ponownie w tym samym miejscu.

– Tak, sir – odpowiedziała i odpełzła na drugą stronę parowu.

To było oczywiście kompletne szaleństwo. Dziewczyna trzęsła się jeszcze po niedawnych przeżyciach i tonęła niemal w zbyt dużej dla niej kurtce. Alfred był święcie przekonany, że bardziej godnej podziwu i pożądania kobiety już nigdy w życiu nie spotka.

Nie teraz! – coś krzyknęło mu w głowie. Nie teraz o tym! Bez wątpienia głos miał rację, ale cała reszta i tak była prawdą.

Alfred wysunął lekko głowę i dojrzał kątem oka jakiś ruch. Wkoło domku rosło co najmniej sześć dużych krzewów, przyciętych starannie na podobieństwo sylwetek miejscowych zwierząt. Za jednym z nich chyba ktoś się chował. Gdy zieleń znów się poruszyła i dał się zza niej dojrzeć kawałek czyjejś głowy, Alfred posłał tam serię i spora część liści zniknęła, za to z drugiej strony coś eksplodowało na czerwono.



Co to za skurwysyn? – zastanowił się ciężko wściekły Manischewitz, gdy stracili Emiliana Mina. Ciało leżało niecałe trzy metry dalej. Gość z bronią pulsacyjną zabił już Gualberta Palaciosą i Håkona Griogoriva. Razem z Minem dawało to ośmiu członków zespołu Manischewitza. A napastnika nikt dotąd jeszcze nie widział.

Poza tymi, którzy zginęli, poprawił się Manischewitz.

Zostało ich już tylko ośmiu i sytuacja zrobiła się gorzej niż paskudna. Na dodatek wszystko sugerowało, że tamten był kimś w rodzaju samotnego wilka, bo w innym przypadku zespół wsparcia dawno już by się do nich dobrał. Co nie oznaczało, że w ogóle nikt już się tutaj nie zjawi. Gość musiał mieć jakieś środki łączności i po wyjściu na otwartą przestrzeń pewnie już z nich skorzystał. Pytanie tylko, jak szybko zdoła kogoś ściągnąć, o ile w ogóle mu uwierzą. A jeśli uwierzą, ile czasu zajmie im dotarcie tutaj. To były bardzo istotne pytania, jako że obecnie siedział w bardzo nieciekawym dla nich miejscu. Owszem, blokowali go ogniem, on jednak miał w polu ostrzału parking z trzema ich pojazdami oraz rzekomym ambulansem. Strzelał zaś zdecydowanie za dobrze, by ryzykować dobiegnięcie do parkingu i próbę ucieczki.

Co za burdel! – pomyślał Manischewitz. Gość pewnie nie uwierzy, gdy mu powiem, że chcemy już tylko odlecieć. Ja bym nie uwierzył! A gdyby ktoś jednak wystartował i wszedł dość wysoko, by sięgnąć z pulsera dna parowu? Marzenie...

Mogli liczyć tylko na to, że zdołają jakoś go załatwić, zanim ktoś zareaguje na jego wezwania. Potem powinni już sobie poradzić. Agencja nie trzymała dyżurnego zespołu uderzeniowego, a jednym z powodów, dla którego kupili dom właśnie tutaj, była chęć znalezienia się poza obszarem

jurysdykcji sił policyjnych stolicy. Miejscowi byli raczej leśnikami niż gliniarzami. Nie byliby w stanie zmobilizować się dość szybko, a gdyby nawet, nie mieli ciężkiego uzbrojenia ani wyszkolenia na poziomie policji z Grendel czy funkcjonariuszy Agencji. Nadal więc mogli liczyć na w miarę bezpieczną ewakuację.

– O'Connor, zajdziesz go ze Schreiberem od północy. Poruszajcie się poza jego polem widzenia. Gdy przejdziecie parów, skontaktujecie się z Tangevekiem i Mészárosem. Musimy zaatakować go z obu stron, i to jak najszybciej. Zepeda, Yang i Meakin, wy dołączacie do mnie. Tylko trzymać nisko głowy!

Wszyscy potwierdzili odbiór rozkazów i Manischewitz mógł już tylko czekać, chociaż sekundy wlokły mu się niemiłosiernie. Jednak zbyt wielu ludzi, których znał, zginęło przez zbyt ni pośpiech i nie zamierzał powtórzyć ich błędu. Zwłaszcza w walce z tak dobrze strzelającym sukinsynem.



– Po tej stronie jest ich teraz więcej – oznajmiła Allison. – Przynajmniej o jednego. Może dwóch.

Jej głos brzmiał słabo i drżał. Alfred wiedział, że dziewczyna pozostaje przytomna tylko dzięki sile woli, determinacji i niebagatelnej odwadze.

– Chyba chcą spróbować ataku – powiedział spokojnie. – Jeden albo dwóch ruszy przez otwarty teren w naszą stronę, reszta będzie ich osłaniać. Na razie zostań, gdzie jesteś, ale gdy będą już blisko, przesuń się w bok, wyjrzyj i walnij raz a dobrze, po czym od razu się schowaj. Nie próbuj nawet sprawdzać, czy trafiłaś. Pewnie zalegną, gdy tylko usłyszą strzały, trafieni czy nie. Nie zostawaj tylko w jednym miejscu na tyle długo, by osłaniający mogli cię namierzyć. Jasne?

Allison obejrzała się na niego przez ramię, wyczuwając pod tym spokojnym głosem wielką troskę i jeszcze coś. Jakby przekonanie, że oto nadeszła najważniejsza chwila jego życia. Ta, dla której się urodził. Allison bardzo się to nie spodobało, ale była świadoma tego wielkiego pragnienia, by ją ocalić i wlać w nią jak najwięcej siły. I ta siła popłynęła. Mroczki przed oczami zniknęły, gdy zaczerpnęła głęboko powietrza, zastanawiając się, cóż właściwie tak przedziwnie ich połączyło.

– Jasne – odparła mocniejszym już głosem, bardziej pewna siebie niż jeszcze chwilę wcześniej.



– Jesteśmy na pozycji, Tobin – zameldował Terjo O'Connor.

– Dobra, on się nie rozdziwi, może pilnować tylko jednego kierunku naraz – powiedział Manischewitz. – Na trzy! Gotowi?

– Gotowi.

Manischewitz wciągnął głęboko powietrze i przyklęknął na jedno kolano za tym samym krzakiem, który nie zdołał osłonić Mina. Nie zamierzał jednak wychylać się już teraz. Wraz z Yangiem mieli zapewnić osłonę ogniową dla Rudiego Zepedy i Lazare'a Meakina.

Przynajmniej w pierwszej turze, pomyślał ponuro. Potem była jego kolej, by pobiec, czy podobało mu się to, czy nie.

– Raz – rzucił przez radio. – Dwa. Trzy! Biegiem!

Trzymając się nisko, wysunął się zza zieleni i nacisnął spust karabinu wyrzucającego dwieście pocisków na minutę.



Alfred dostrzegł pierwsze poruszenie na ułamek sekundy przed początkiem salwy i zanurkował odruchowo, odtaczając się na prawo, po czym podniósł się z bronią przy ramieniu i lodowatym spojrzeniem.

Strzałki przemykały z wyciem trochę ponad nim, ale miał chwilę, nim strzelający zdolają go zauważyć i zareagować, przenosząc ogień. I ta chwila starczyła, by odnaleźć cel, który znajdował się dokładnie w spodziewanym przez Alfreda Harringtona miejscu. Lazare Meakin dopiero przygotowywał się do biegu. Nie zdążył jeszcze całkiem wstać, gdy seria z trzech pocisków rozdarła mu pierś. Padł na ziemię, bez powodzenia próbując wydobyć z siebie krzyk, ale rozdarte i pełne krwi płuca nie dały mu na to szansy. Alfred schował się natychmiast, zanim jeszcze Manischewitz i Young zdążyli przenieść ogień.

Rudi Zepeda sprawdził tylko, co stało się z Meakinem, i rzucił się płasko na ziemię, chowając głowę za małym wybrzuszeniem terenu. Nie zdążył zrobić więcej niż cztery czy pięć kroków w kierunku parowu. Przyciągnął swój karabin i zaczął strzelać na oślep w kierunku przeciwnika.

Alfred usłyszał za sobą wizg pulsera i wyczuł przypływ determinacji Allison. Charakter przepływających między nimi emocji nie sugerował, by kogoś trafiła, ale gotowa była zabijać, i to wstrząsnęło porucznikiem. Nie było równie mroczne jak głód jego własnego morderczego potwora, ale na pewno równie silne.

Znowu coś poruszyło się przed nimi i wypuścił kolejną serię. Tym razem spudłował, a ogień otrzymany w odpowiedzi cisnął mu piach i kurz prosto w twarz. Jedna ze strzałek przeszła tak blisko jego głowy, że niemal ogłuszyła go falą uderzeniową. Osunął się na dno parowu, sięgając dłońmi do oczu. Zamrugał powiekami, by łzy wypłukały brud, potrząsając przy tym głową i modląc się w duchu, żeby tamci nie odgadli, jak bliscy byli sukcesu. Gdy zaczął już widzieć lepiej, ponownie wysunął głowę. Obraz

był lekko zamglony, jakby patrzył na wszystko przez nierówną szybę z krystoplastu. Znowu spróbował zamrużyć. Dostrzegł kolejne poruszenie i zareagował serią. Allison też wystrzeliła i po chwili dał się słyszeć rozziewający krzyk. Poczł jej mściwą satysfakcję, ale wiedział, że przeciwnik stopniowo zdobywa teren, podchodząc do nich z obu stron. Pozostawało mieć nadzieję, że nie dysponuje granatami.



Tobin Manischewitz zacisnął kurczowo szczęki, gdy Kazimierz Mészáros zameldował o śmierci Terjo O'Connora. Seria z pulsera odcięła mu prawą nogę równie sprawnie jak piła mechaniczna. W ciągu kilku minut wykrwawił się na śmierć. Ani Mészáros, ani Schreiber, partner O'Connora, nie mogli do niego dotrzeć, żeby chociaż spróbować pomóc.

Ich siły stopniały do sześciu ludzi, ale znaleźli się już czterdzieści do pięćdziesięciu metrów od parowu.

Jeszcze kilka minut, pomyślał ponuro Manischewitz, posyłając kolejną długą serię, która pozwoliła Youngowi pokonać jeszcze piętnaście metrów. Rzucił się na ziemię dokładnie we właściwej chwili. Następnym razem bierzemy granaty i nieważne, co nam napiszą w profilu misji, pomyślał. Ale już prawie. Tylko kilka minut, kilka skoków i dostaniemy ich.



Coś sprawiło, że Alfred uniósł głowę i spojrział w niebo.

Nigdy nie dowiedział się, co to było. Może intuicja, bo na pewno niczego nie słyszał. Obiekt nadlatujący z prędkością sześciu machów najpierw się widzi, dopiero potem słyszy. Jednak to spojrzenie wystarczyło, by zrozumiał najważniejsze.

Rzucił się do tyłu, złapał Allison, ściągnął ją na samo dno parowu i przykrył własnym ciałem. Zaraz potem świat eksplodował.



Tobin Manischewitz nie zdążył pojąć, co właściwie się wydarzyło.

W swoim kalkulacjach nie brał w ogóle pod uwagę, że pomoc może zjawić się na pokładzie lądownika desantowego. Używanie orbitalnych jednostek wojskowych w cywilnym obszarze powietrznym planety było surowo zakazane, podobnie jak przekraczanie przez nie prędkości dwóch machów. Lądowniki desantowe nie miały cywilnych transponderów ani systemów ostrzegających przed swoją obecnością, co było typowe dla pojazdów uprzywilejowanych. Ich kompy nie były w stanie przejąć kontroli nad autopilotami innych użytkowników przestrzeni, by na pewno uniknąć kolizji. Ten lot zaś z całą pewnością nie miał zgody na przecięcie cywilnego korytarza powietrznego w samym środku dnia i z prędkością przekraczającą sześć tysięcy kilometrów na godzinę. Każdy wojskowy pilot, który poważałby się na coś takiego, z miejsca wylądowałby przed sądem z perspektywą całkiem solidnego wyroku. O naganie, degradacji i grzywnie nie wspominając.

Manischewitz wiedział to wszystko. Znał przepisy nie gorzej niż Korpus Zwiadu Biologicznego. Problem jednak tkwił w tym, że Korpus miał je chwilowo w głębokim poważaniu.



Lądownik desantowy mknął, wyprzedzając znacznie gromowy huk wywołany jego przelotem. System celowniczy został podłączony na dziko do przekazu na żywo z jednego z satelitów systemu Sił Obrony Beowulfa. Wojsko niemal na pewno dałoby Korpusowi dostęp do swoich danych, ale

nie było czasu na oficjalne prośby, Korpus zaś od dawna słynął z... niekonwencjonalnych metod działania.

Jacques Benton-Ramirez y Chou zajął miejsce operatora systemów uzbrojenia. Z przejęciem śledził na ekranie walkę rozgrywającą się przy domku myśliwskim, i to już od momentu, gdy wystartowali, przyspieszając tak gwałtownie, że aż dziób i krawędzie natarcia krótkich skrzydeł rozgrzały się ponad normę. Gdyby nie moduły antygravitacyjne, przyspieszenie pewnie dałoby im popalić. Nikt nie był w stanie dotrzeć do miejsca walki szybciej niż oni, ale mieli do pokonania ponad pięćset kilometrów dzielących Camp Oswald Avery od domku myśliwskiego. Oznaczało to siedem minut lotu, jako że nawet lądowik desantowy nie mógł rozpędzić się bardziej w gęstej atmosferze, obraz zaś, który przekazywała im kamera satelity, mroził krew w żyłach. Benton-Ramirez y Chou nie miał pojęcia, kto jest z jego siostrą, ale jasno odczytywał sytuację. Dwoje schowanych w parowie ludzi miało przeciwko sobie dziesięciu podchodzących coraz bliżej napastników, siedem minut zaś znaczyło w czasie walki niewiele mniej niż wieczność.

Jednak Allison i jej towarzysz jakoś sobie radzili. Nie tylko trzymali tamtych na dystans, ale jeszcze systematycznie umniejszali ich liczbę. Gdy lądowik wszedł w łagodne nurkowanie, Benton-Ramirez y Chou sięgnął do spustu na uchwyty sterowania bronią.

Z uchylonej komory uzbrojenia wystrzeliły dwa pociski, które przyspieszyły zaraz do prędkości niedostępnej dla ich nosiciela. Wykonawszy kilka złożonych manewrów kursowych, rozpadły się, uwalniając ładunek dokładnie nad głowami ludzi wkoło parowu. W każdym przypadku były to cztery tysiące wyposażonych we własny napęd pocisków igłowych, które objęły polem rażenia dwa precyzyjnie zakreślone, owalne obszary, odległe z obu stron o dwadzieścia pięć metrów od brzegów

suchego koryta strumienia. Zaraz uniosła się stamtąd chmura kurzu i pyłu z drobno przemielonej ziemi, a gdy lądownik przemknął z hukiem nad polaną i skręcił, by wytracić prędkość, w obu strefach nie było już niczego żywego.



Allison Chou otworzyła oczy i ujrzała pastelowy sufit naznaczony odblaskami słońca. Gdy obróciła głowę, zobaczyła popiskujący sprzęt medyczny, co wyraźnie sugerowało, że musiała znaleźć się w szpitalu.

Przez chwilę leżała nieruchomo, wstrzymując nawet oddech, po czym wciągnęła głęboko powietrze i odetchnęła z ulgą, że nic jej nie zabolalo. Przymknęła znowu powieki i wargi jej zadrzały, a potem, ku własnemu sporemu zdumieniu, uśmiechnęła się szeroko.

Musisz zrewidować priorytety, pomyślała. Że nie boli, to świetnie, ale przede wszystkim mogłabyś zauważyć, że w ogóle żyjesz.

Ktoś siedzący tuż obok odchrząknął i obróciła głowę w lewo. Napotkała oczy, w których zbierały się łzy. Wyciągnęła dłoń do brata.

– Cześć – powiedziała zachrypniętym głosem, bo gardło miała trochę wysuszone, i zadrzała, przypomniawszy sobie, od czego ta chrypa. Jacques musiał coś dostrzec w jej oczach, bo ścisnął mocniej jej dłoń i pochylił się, by pocałować siostrę w czoło.

– Cześć – odparł zduszonym głosem i uniósł jej dłoń do swojego policzka. Potem pokręcił głową. – To był ciężki czas, Alley.

– Dla mnie też. – Wargi znów jej zadrzały, ale zaraz się uśmiechnęła. Po czym oczy jej się zwęziły. – To było Manpower, prawda?

– Tak. – Jacques opuścił jej dłoń na krawędź szpitalnego łóżka i odchrząknął. – Tak. Było.

– Czego chcieli?

– Informacji. Chcieli, żebym podał im dane osobowe wszystkich naszych ludzi pracujących przy ambasadach i konsulatach Silesii. – Skrzywił się. – Jestem pewien, że potem zażądaliby więcej, ale za pierwszym razem to było wszystko.

Allison domyślała się już wcześniej, że chodzi właśnie o coś takiego, ale szefowie Manpower musieli rozumieć, że Jacques nie mógł i na pewno nie chciał przekazać im podobnych informacji, i to niezależnie od losu, który by ją spotkał. Sam zapłaciłby za to gigantyczną, niszczącą cenę, ale pojmował przecież, co stałoby się z tamtymi ludźmi, ilu śmierciom byłby winien. Spojrzawszy w jego oczy, dostrzegła potwierdzenie swoich domysłów i jego rozpacz płynącą ze świadomości, że nie byłby w stanie jej uratować.

– To nieważne – powiedziała, uwalniając dłoń i przesuując palcami po jego twarzy. – Nieważne. – Pokręciła głową. – I tak by mnie w końcu zabili.

– Wiem – wyszeptał, zamykając oczy i przyciskając policzek do jej dłoni. – Od początku to wiedziałem. Po części chodziło o to, kim jesteś, po części to miała być wiadomość. – Uśmiechnął się przelotnie. – Widocznie na Starej Ziemi bardziej zaszedłem im za skórę, niż sądziłem. – Wciągnął głęboko powietrze. – Zawsze wiedziałem, że moja robota może zaszkodzić moim bliskim, nawet tobie, Alley, ale chyba nigdy w to naprawdę nie wierzyłem. Do teraz.

– To dlatego, że twoja robota jest tyle warta – powiedziała. – A skoro już tak rozmawiamy, pewnie powinnam bardziej uważać.

– Cóż – mruknął. – Mogę cię zapewnić, że Manpower nigdy już się do ciebie nie zbliży.

W jego oczach błysnęło coś budzącego lęk i Allison zmarszczyła pytająco brwi. Dojrzał to i zaśmiał się nerwowo.

– Jednego dostaliśmy żywcem. Leżał skrepowany w szopie. Trochę z nim porozmawialiśmy. Dzięki temu wiemy, kto zaplanował i autoryzował tę operację. Autor planu już nie żyje, osoby od autoryzacji zaś za kilka tygodni też będą martwe. Będzie to wymagało przeprowadzenia operacji na samej Mesie, zatem zapewne tam właśnie zaczniemy, od najtrudniejszych celów, resztę odławiając później. Możesz mi zaufać, Alley. Manpower właściwie odczyta tę wiadomość.

– Nie chcę, by ktokolwiek ryzykował... – zaczęła, myśląc o wszystkich niebezpieczeństwach wiążących się z operacją na Mesie, której służby bezpieczeństwa należały do najbardziej skutecznych i brutalnych w galaktyce. To, co jej się zdarzyło, było już dość okropne; gdyby ktoś z Korpusu zginął dla pomszczenia jej, byłoby jeszcze gorzej.

– Nieważne, czego chcesz – odparł głosem, który nie należał do jej brata, ale do kapitana Bentona-Ramireza y Chou z Korpusu Zwiadu Biologicznego. – I nie chodzi w tym nawet o ciebie. Owszem, trochę tak, nie myśl, że nie, ale cała historia zaczęła się wówczas, gdy próbowali zabić na Starej Ziemi Aurèle Fairmont-Solbakken. Zareagowaliśmy defensywnie, ale potem oni zwiększyli stawkę, atakując Korpus na Beowulfie, i to w taki sposób, byśmy jednoznacznie odczytali to jako eskalację. To już nam się nie spodobało i zamierzamy uświadomić im, że to był bardzo zły pomysł. Taki, który ściąga na pomysłodawców śmierć, i to niezależnie od tego, jak długo będziemy musieli ich ścigać.

– Naprawdę oczekujesz, że na tym się skończy? – spytała sceptycznie, ale on tylko uśmiechnął się chłodno.

– Manpower to nie Balet, Alley. Nie mają głębokiej motywacji związanej z walką z genetycznym niewolnictwem. W ogóle nie patrzą na

sprawy w ten sposób. Oni robią to dla pieniędzy. Nie obchodzi ich, ile osób przy tym zabiją czy okaleczą, bo dla nich ludzie nie są wartością. Są przedmiotami, które się wykorzystuje. Takimi, które można zawsze poświęcić i zastąpić. Jednak myślą tak tylko o innych. Uważają, że sami dzięki bogactwu, władzy i systemom bezpieczeństwa są bezpieczni na Mesie. Nieosiągalni dla tych, którzy mogliby chcieć się zemścić. Owszem, tę sprawę będziemy musieli wyciszyć, bo gdyby się rozniosła, mieszkańcy Beowulfa zapewne zażądałoby działania militarne. Uderzenia na Mesę. Wyobrażasz sobie, co by się działo wtedy w Lidze. Manpower też o tym wie i tym bardziej zrozumie naszą „odповідź”. Mają się za biznesmenów, a gdy się okaże, że koszt prowadzenia interesów na Beowulfie jest jednak za wysoki, wówczas z nich zrezygnują.

Allison spojrzała na niego. Wyczuwała w jego głosie głębokie przekonanie. Zapewne miał rację. Bardzo na to liczyła. Sama też czuła coś podobnego w głębi ducha. Zawsze pogardzała procederem genetycznego niewolnictwa, a teraz była to już jej osobista sprawa. Doświadczyła przynajmniej części tego, co od stuleci spotykało wiele milionów genetycznych niewolników. Rozumiała ich lepiej niż wcześniej, gdy podchodziła do tego z intelektualnym dystansem.

Jacques przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę. Potem pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Ale wystarczy na razie tych ponurych tematów. Poczekaj tutaj. Zaraz wracam.

Na co? – spytała w duchu, gdy Jacques wstał z krzesła i wyszedł na korytarz. Spojrzała na swoją szpitalną koszulę. Pewne rzeczy nie zmieniały się przez stulecia. Niby dokąd miałabym pójść? I to bez normalnego ubrania? Poza tym Jacques musi świetnie wiedzieć, że lekarze nie wypuszczą mnie tak łatwo, choćbym zaklinała się na wszystko, że świetnie

się czuję. Wcześniej przeprowadzą niezliczone testy neurologiczne i badania psychologiczne i potrwa wiele dni, nim ktokolwiek zająknie się, że można mnie wypisać...

Drzwi otworzyły się znowu i wszystkie myśli Allison uleciały nagle, gdy ujrzała wysokiego mężczyznę wchodzącego w ślad za Jacques'em do pokoju. Nagle zrozumiała, że cały czas był za ścianą. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ponieważ wydawało się jej to takie naturalne i oczywiste. Musiał tam być. Gdyby było inaczej, natychmiast odczułaby jego brak. Obecność zaś była jak bicie jej własnego serca, coś koniecznego do pełni istnienia, co zwraca na siebie uwagę tylko wtedy, gdy nagle znika.

I dlatego wcześniej miałam wrażenie, że moje życie było niepełne, pomyślała. Że równowaga była zaburzona. Po prostu był za daleko. Albo ponieważ żadne z nas nie wiedziało, co właściwie nam się zdarzyło.

Właściwie nadal tego nie wiedziała, ale zrozumienie straciło na znaczeniu. Może zresztą było to coś w ogóle niepojętego. Najważniejsze, że jest, pomyślała, uśmiechając się szeroko.

– Nie przypuszczam, byście mieli kiedykolwiek okazję oficjalnie się poznać – powiedział Jacques. – Alley, przedstawiam ci porucznika Karla Alfreda Harringtona z Royal Manticoran Navy. Poruczniku Harrington, pozwoli pan sobie przedstawić moją siostrę, Allison Carmenę Elenę Inéz Reginę Benton-Ramirez y Chou.

Uśmiechnął się przebiegle, gdy Allison zerknęła na niego groźnie, i położył dłoń na ramieniu rosnącego oficera.

– Nie będę nawet udawał, że rozumiem cokolwiek z tego, co Alfred mi opowiedział. Ale i nie muszę niczego rozumieć. Dla mnie ważniejsze jest to, co zrobił, i wiem, że nigdy nie zdołam mu się za to odwdzięczyć.

Spojrzał siostrze w oczy i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, poruczniku Harrington – powiedziała łagodnym tonem, wyciągając do niego dłoń. Dłoń oraz serce. – Dziękuję za uratowanie mi życia.

Ujął jej dłoń, jakby była dla niego największym skarbem wszechświata, i usiadł na krześle obok łóżka. Wpatrywał się w Allison ciemnymi oczami z taką intensywnością, jakby ciągle nie dowierzał, że widzi ją tutaj. Że naprawdę przeżyła. Zadrżała, czując, jak bardzo tego potrzebował. W innych okolicznościach, w innym czasie, innym miejscu, i gdyby o kogoś innego chodziło, ten głód jej obecności musiałby przerażać swoją intensywnością. Czy może wręcz obsesyjnością.

Jednak to nie było inne miejsce czy inny czas. Osoba też była właściwa i tym samym strach nie miał przystępu do Allison, ona bowiem czuła to samo. Zadrżała nie z obawy, ale ponieważ nagle to, kim się stała i dla kogo, nabrało największej wagi, chociaż było zaskoczeniem. Uczucie było żywiołowo silne, ale i pełne troski, ciepła i łagodności. Chciało się jej śmiać i płakać jednocześnie. Najchętniej objęłaby go i zasypała mu twarz pocałunkami. Grało w niej niczym wielki, kryształowy dzwon współbrzmiący z całym wszechświatem. Było to najbardziej uspokajające i naładowane jednocześnie erotyzmem doznanie, jakie dotąd stało się jej udziałem.

Nie wiedziała, jak długo po prostu wpatrywali się w siebie nawzajem. Wydawało się, że całą wieczność, ale i tak chwila skończyła się zbyt szybko, gdy on wciągnął głęboko powietrze i poprawił się na krześle. Nie wypuścił jednak jej dłoni.

– Allison Carmena Elena Inéz Regina Benton-Ramirez y Chou – powiedział niskim głosem, od którego brzmienia przeszedł ją dreszcz rozkoszy. – Wybacz, ale dotąd sądziłem, że nazywasz się po prostu Allison Chou. Gdybym wiedział, że jesteś z rodziny Benton-Ramirez y Chou, wiele

by to uprościło. Mógłbym zwrócić się do kogokolwiek tutaj o pomoc, mówiąc, że ktoś z was ma kłopoty. A przynajmniej mógłbym zadzwonić do twojego brata!

– Tak, to moje pełne nazwisko, Karl – odparła trochę groźnym tonem. – I coś, przed czym przez całe życie uciekałam – dodała łagodniej, przyznając się do czegoś, o czym mało kto wiedział.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego nadano mi tyle imion, tylko odwrotnie. Chciałam być sobą, nie kolejną z rodu Benton-Ramirez y Chou, pogrzebaną pod lawiną rodzinnej historii i tradycji. Teoretycznie nikt na Beowulfie nie śmiał zmuszać mnie do robienia czegoś, na co nie miałam ochoty, ale w praktyce cały czas byłam pod presją. Nie chciałam zostać zaprogramowana, zależało mi na świadomości, że moje decyzje będą naprawdę moje, Alfredzie. I nie chcę też być kimś w rodzaju medycznej ekscelencji. Chcę być po prostu sobą, dziewczyną imieniem Allison. Nie jestem podobna do Jacques'a. On nawet przez chwilę nie był skłonny spełniać oczekiwań rodziny i otoczenia. Uwierz mi, masa ludzi była ciężko rozczarowana, gdy odmówił pójścia na medycynę i wybrał karierę oficera, który na dodatek zdaje się nie traktować swoich obowiązków zbyt poważnie. Ale to dlatego, że tak naprawdę go nie znają. Nie wiedzą, co uczynił ze swoim życiem, co jeszcze zamierza. Mnóstwo ludzi go nie docenia, jednak to właśnie pozwala mu skupić się na tym, co jest dla niego ważne. Ja tak nie chcę. Chcę tego, czego chcieli na pewno pierwsi z rodu, pierwszy Benton, pierwszy Ramirez i pierwszy Chou, gdy wybrali medycynę. Chcę zostać lekarzem. Po prostu. Pracować jako lekarz i przyjmować pacjentów, bo to daje satysfakcję z pracy, którą się wybrało, a nie którą wybrać należało, bo wszyscy tego oczekiwali.

Przerwała, nagle uświadamiając sobie, że nigdy jeszcze tak dokładnie nikomu tego nie wyjaśniała.

Ze sobą włącznie, pomyślała. Nigdy nie znajdowałam na to słów. Może dlatego, że nigdy ich nie szukałam, aż do teraz, gdy chciałam przekazać to jemu. Musiałam mu to wyjaśnić, nawet gdyby nikt inny nie miał tego nigdy usłyszeć. Musiałam.

– Rozumiem – powiedział, ona zaś poczuła, że mówił szczerze. Że naprawdę rozumiał to jak nikt inny. Spojrzał na nią, ale po kilku chwilach odwrócił głowę, jakby nie mógł dłużej znieść głębi jej oczu. – Rozumiem – powtórzył głosem, w którym pobrzmiwała jakaś emocja. Dziwna i trudna do zidentyfikowania. – Rozumiem, ponieważ ja też uciekam.

Allison pojęła nagle, co to była za emocja. To był wstyd. Co gorsza, był on powiązany ze strachem. To była ta ciemność, którą już wcześniej w nim wyczuwała i która przerażała go nie mniej niż ją widok neurobata, jednak...

– Mylisz się – powiedziała łagodnym tonem. Zamarł i ścisnęła jego dłoń. – Wiem, czego się boisz, i wiem, że się mylisz.

Przez kilka chwil trwali nieruchomo, w całkowitej ciszy. W końcu znowu na nią spojrzął, ona zaś poczuła wzbierające w nim emocje.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że żadne z nich nie będzie nigdy zdolne okłamać drugiego. Cokolwiek by się między nimi działo, nie będzie podszyte pozorami czy oszustwem. Niemniej brak kłamstw nie oznaczał jeszcze, że to, w co któreś będzie wierzyć, zawsze okaże się prawdą. Czuła jego bunt. Jego pragnienie zduszenia tej bestii, zanim bestia zniszczy jego albo ludzi, na których mu zależało.

– Wiem, czego się boisz – powtórzyła i jeszcze mocniej ścisnęła jego dłoń, potrząsając nią lekko dla podkreślenia wagi swoich słów. – Nie mam pojęcia, skąd wiem, ale jednak wiem. I wiem też, że się mylisz.

– Nie – szepnął. – To ty się mylisz. Nie było cię tam. Nie widziałaś.

– Nie musiałam tam być – powiedziała. – Byłam z tobą teraz. Widziałam mężczyznę, który przyszedł po mnie, który mnie uratował. I wiem, że ten mężczyzna jest kimś lepszym niż wszyscy, których znałam dotąd. A znam go lepiej niż samą siebie, ponieważ widzę i czuję go jednocześnie całego. Ponieważ... nie, nie znajduję na to słów, ale przecież wiesz, Alfredzie, o czym mówię!

– Allison...

Zacisnął dłoń na jej palcach i po raz pierwszy odczuła jego prawdziwą siłę. Zabolało, ale to był dobry ból, a gdy spojrzał jej prosto w oczy, wiedziała już, co chciał powiedzieć.

– Przyniosłem śmierć wielu ludziom – odezwał się niepewnym głosem, a oczy miał ciemne jak próżnia kosmiczna. – Bardzo wielu. A innych jeszcze zabiłem osobiście. To było... Nie wiem, jak to powiedzieć. Jak oddać to uczucie...

Zadrżał. Położyła drugą dłoń na wierzchu tej, która miażdżyła palce jej pierwszej. Równocześnie dojrzała w jego oczach tego demona, z którym się zmagał.

– Musiałem – powiedział. – Musiałem to zrobić. Gdybym tego nie zrobił, jeszcze więcej ludzi by zginęło, nie tylko na Clematisie. Nie miałem wyboru i wiedziałem o tym, a to było coś, do czego zostałem wyszkolony. Ale zrobiłem to tak dobrze i sprawnie. Byłem jak maszyna. Wszystko inne zniknęło i był tylko ten jeden cel, ja zaś nigdy wcześniej nie czułem tak bardzo, że żyję. A nawet gorzej. Byłem głodny zabijania. Wiedziałem dokładnie, co robię, ale ani razu się nie zawahałem, nic we mnie nie drgnęło, nie pomyślałem o żywotach, które zabierałem. Pod koniec byłem pokryty, dosłownie pokryty cudzą krwią i zabiłem pewnie z tuzin takich, którzy próbowali się poddać. Jednak nie mogłem przestać...

W ciemnych oczach odbijało się teraz całe cierpienie jego duszy, nawiedzanej przez widma zabitych. Rozpoznała ten ból i zrozumiała go tak bardzo, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie wiem, co się stało na Clematisie. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. Ale wiem, co nosisz w sobie, Alfredzie. Dlatego właśnie poprosiłeś o przeniesienie do marynarki i szkoły medycznej?

– Jestem zbyt dobry w zabijaniu ludzi – wyznał bardzo cicho. – Zbyt dobry. Jeśli znowu uwolnię tę bestię, co uczyni? A jeśli sam się nią stanę? Czy ona stanie się mną? Nie chcę tak żyć, nie chcę z tym żyć. I dlatego uciekłem z Marine Corps. Dlatego chcę zaszyć się w medycynie, zamiast dawać upust temu, czym naprawdę jestem.

– I będziesz lekarzem – powiedziała z przekonaniem. – Może uciekasz od tego, co stało się na tym Clematisie, ale zmierzasz też ku temu, kim zawsze miałeś być. To nie jest tylko poczucie winy, nie wyłącznie poszukiwanie bezpiecznego miejsca i sposobu, by oswajać bestię i szukać odkupienia za żywoty, które przeciąłeś. Powiedz mi, że nie znajdujesz w tych studiach radości! Powiedz mi, że nie czujesz, że to jest twoje miejsce w życiu. Powiedz mi to. Siebie możesz okłamywać, ale mi nie skłamiesz.

Jego wargi zadrżały i Allison pokręciła głową.

– Jacques jest historykiem – powiedziała. – A nawet więcej niż historykiem, chociaż połowa rodziny ma go przez to za dziwaka. Należy do czegoś zwanego Stowarzyszeniem Twórczych Anachronizmów. Ma wielką bibliotekę pełną starych książek i opowieści wywodzących się jeszcze ze Starej Ziemi i powstałych w erze przedkosmicznej. Czytał mi je godzinami, gdy byłam jeszcze dzieckiem, a jedna z nich była o dziewczynie, która dla uratowania ojca zgodziła się zostać więźniem pewnej bestii. Tyle że bestia nie była naprawdę bestią. Był to zaklęty człowiek, który nie mógł powrócić

do dawnej postaci, jak długo ona nie zrozumiała prawdy o jego człowieczeństwie. To złamało czar. W dzieciństwie miałam to za piękną opowieść, ale teraz wiem, że było w tym coś więcej. To on musiał uwierzyć, że nie jest już potworem, nie jest tą bestią, za którą się miał. Troszcząc się o dziewczynę, przestał myśleć o swojej postaci, która tak go dręczyła i zmieniała jego duszę. A gdy ona dojrzała prawdę ukrytą za zasłoną pozorów, pozwoliła to dostrzec także i jemu.

Ponownie pokręciła głową. Z oczami pełnymi łez uniosła jego luźną nagle dłoń i przytuliła do swojego mokrego policzka.

– I to my, Alfredzie – powiedziała z uśmiechem. – Oboje uciekający, bo ja chcę być sobą, a ty boisz się bestii, która cię ściga. Ale to nie tak. Może ona i tkwi gdzieś w tobie, ale nie jest tobą. Panujesz nad nią i to dzięki niej uratowałeś mi życie. A nie przyszedłeś po mnie, bo szukałeś pretekstu, by zabijać. Zrobiłeś to, ponieważ jesteś dobrym i czującym facetem. Wiem to. A ty wiesz, co dostrzegam. Wiesz świetnie, ale zbyt długo byłeś z tą bestią całkiem sam. Zaufaj mi. Uwierz mi, kochany.



Alfred Harrington wpatrywał się w jej lśniące i mokre od łez oczy, wyczuwając jej niezachwianą pewność i głęboką wiarę. Coś pękło w nim, gdy nazwała go „kochanym”. Coś, co wydawało mu się trwałe i niezmiennie, rozwiało się jak dym i wiedział już, że Allison ma rację. Ma rację. Ten potwór, ta bestia była częścią jego samego, podobnie jak sama Allison. Mógł przestać czcić anioła śmierci, gdyż ona była srebrną kulą, przed którą demony pierzchały. Nie talizmanem czy magicznym zaklęciem, ale jedyną osobą w całym wszechświecie, która naprawdę wiedziała, kim był... oraz kim nie był.

Uniósł lewą dłoń, która nie zadrżała podczas walki na Clematisie, nie zadrżała też, gdy walczył na Beowulfie. Teraz trzęsła się, gdy dotknął palcami jej twarzy i pochylił się nad dziewczyną.

– Wierzę, Alley – wyszeptał. – Wierzę.

I w końcu się pocałowali.

DAVID WEBER



Idealny plan



Naprawdę nie przeszkadza mi, że wychodzisz, jak długo i twoja matka nie ma nic przeciwko temu, a ty spakujesz lunch i będziesz pamiętać, żeby nie spóźnić się na obiad.

– Oczywiście, że mówiłam mamie. Rozmawiałam z nią po śniadaniu, zanim wyszła do pracy. Powiedziała, że jej zdaniem to dobry pomysł. Inaczej bym ciebie nie pytała.

– Tak? – Jej ojciec przekrzywił głowę i spojrzał na nią sceptycznie dopiero chwilę później. Opóźnienie nie było typowe dla transmisji na większą odległość. Za nim widać było na ekranie ścianę jego gabinetu na pokładzie stacji kosmicznej *Hephaestus*. – Pamiętam chyba kilka sytuacji, gdy ten drobiazg uszedł twej uwagi.

Spróbowała przybrać pozę skrzywdzonej niewinności, czyściutkiej niczym świeżo spadły śnieg. Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.

– Dobrze, Honor. Idź i baw się dobrze. Ale uważaj!

– Tak, sir – odparła posłusznie i poczekała, aż ojciec zniknie z ekranu. – Ecie pecie – mruknęła, wywracając oczami. – Nie jestem już dzieckiem, tato.

Szczęśliwie połączenie rzeczywiście zakończyło się chwilę wcześniej. A co ważniejsze, przynajmniej z perspektywy Honor, ojciec nie spytał jej wprost, czy matka wyraziła zgodę. Szczerze wyznała, że rozmawiała z nią na ten temat przy śniadaniu i że nie usłyszała sprzeciwu. A reakcja matki była rzeczywiście całkiem pozytywna. Jedyne, co nie całkiem się zgadzało,

to że Honor nie wspomniała, iż zamierza wybrać się tam już dzisiaj. Ale w zasadzie to przecież niczego nie zmieniało, prawda? I to nie wina Honor, że mama była aż do lunchu zajęta przy pacjentach i zgodnie z surowo przestrzeganą zasadą nie można było jej w tym czasie przeszkadzać, o ile nie chodziło o coś alarmująco ważnego. A skoro to na pewno nie była „alarmująco ważna” sprawa, byłoby wręcz niepoważne, gdyby Honor próbowała zawracać jej teraz głowę podobnym szczegółem.

Wiedziała wprawdzie, że gdyby ktoś zaczął drobiazgowo analizować jej postępowanie, mógłby dojść do wniosku, że rozmyślnie wprowadziła oboje rodziców w błąd, ale z drugiej strony nikogo nie okłamała, przy odrobinie szczęścia zaś tata zapomni spytać mamę, jak dokładnie było z tą zgodą, i sprawa nie będzie miała dalszego ciągu.

Tak, jasne, pomyślała. A kiedy ostatni raz szczęście ci dopisało? – spytała sama siebie sardonicznie. Przy jej pechu istniały spore szanse, że zostanie potem uziemiona co najmniej na tydzień, ale to i tak nie byłaby zbyt wysoka cena. Jeśli w niczym się nie pomyliła, zagony purpurowych górskich tulipanów ponad tamą powinny kwitnąć już od kilku dni.

Honor nie wspomniała o nich rodzicom, ponieważ tak się składało, że mama uwielbiała górskie tulipany ponad wszystkie inne kwiaty Sphinksa, jutro zaś wypadały jej urodziny. Honor ułożyła cały plan, w którym wszystko zaczynało się od tortu czekoladowego (czyli w ulubionym przez jej mamę smaku), dążąc potem do punktu kulminacyjnego z udziałem oryginalnego wydania zebranych utworów poety Dzau Syung-Kai z szesnastego wieku po Diasporze. Wujek Jacques trafił na tę książkę na Beowulfie. Udekorowany bogato górkimi tulipanami stół w jadalni miał dopełnić efektu.

Skoro urodzinowy plan miał pozostać tajemnicą, Honor nie mogła powiedzieć za wiele o przygotowaniach do jego realizacji. Była głęboko

przekonana, iż gdyby to zrobiła, matka nie pozwoliłaby jej udać się tak daleko na łono przyrody bez dorosłej „osoby towarzyszącej”. Rodzice nie próbowali chorobliwie chronić córki przed całym złem tego świata i rzadko mieli coś przeciwko jej włóczęgom po lasach, o ile tylko nie oddalała się za bardzo od domu. Ojciec nalegał, by zawsze brała ze sobą pistolet, chociaż wychowana na wysoce cywilizowanym Beowulfie matka nie od razu przywykła do pomysłu, by dawać jedenastoletniej dziewczynce broń do ręki, mimo że Honor była starannie ćwiczona w strzelaniu już od dziesiątego roku życia. Inna sprawa, że oboje mieli własne pojęcie na temat tego, co znaczyło „daleko od domu”.

Głównie dlatego tak bardzo lawirowała w rozmowie z ojcem. Honor nigdy nie okłamywała rodziców, a gdy czasem próbowała, ojciec błyskawicznie się na tym poznawał, całkiem jakby umiał wejrzeć w jej głowę. Niemniej... filtrowanie prawdy nie było przecież kłamstwem. W interesującym Honor obszarze były dwie tamy, obie ze sporymi populacjami bobrów Sphinksa, ona zaś nie zadeklarowała przed komandorem Harringtonem, do której z nich zamierza się wybrać. Spodziewała się, że oboje rodzice odruchowo skojarzą jej słowa z tamą na strumieniu Sand Bottom, gdzie przez ostatnie trzy miesiące prowadziła szkolne obserwacje przyrody. Przeciwno takiej wycieczce żadne by nie zaprotestowało, w odróżnieniu od wyprawy do strumienia Rock Aspen. Ta druga tama znajdowała się prawie pięć kilometrów dalej, Służba Leśna Sphinksa donosiła zaś ostatnio, że tej jesieni niedźwiedzie górskie zaczęły wcześniej schodzić w doliny.

Honor rozumiała, że jej rodzice mogli być przeciwni akcji dokarmiania niedźwiedzi górskich, jeśli mieliby w tym celu poświęcić jedyną córkę. Z drugiej strony, nie zamierzała pchać się żadnemu niedźwiedziowi w paszczę. Wyrosła w tych lasach, łowiąc ryby i polując wraz z ojcem na

terenie rodzinnej posiadłości oraz oglądając ją z góry podczas szybowania na lotni. Owszem, nie znała każdego zakątka kwadratowego obszaru, którego każdy bok miał dwadzieścia pięć kilometrów, ale tak czy inaczej miała okazję przyjrzeć się większości spośród ponad sześćdziesięciu dwóch tysięcy hektarów, którymi dysponowała jej rodzina. Strumień Rock Aspen był jej zaś szczególnie dobrze znany, jako że tam właśnie ojciec najchętniej wybierał się na ryby. Wiedziała też, jak pilnować się przed szczególnie groźnymi przedstawicielami tutejszej fauny. Ostatecznie tradycja rodzinna zobowiązywała, ona zaś była prapraprawnuczką babci Stephanie. Pechowo się składało, że nie mogła dotrzeć do Aspen Rock na lotni, a to za sprawą drzew, które rosły tam nadzwyczaj gęsto (nie wspominając już o tych tulipanach, które zamierzała zebrać), ale jej osobisty moduł antygravitacyjny powinien w razie potrzeby unieść ją w górę w try miga, jak powiadał czasem wujek Jacques.

A gdyby plan A nie zadziałał, miała jeszcze plan B, i w związku z nim właśnie wydobyła z szafki na broń swojego Simpsona & Wonga. Nie przypuszczała, żeby naprawdę okazał się potrzebny, ale w obliczu gniewu rodzicielskiego, który ostatecznie i tak miał na nią spaść, chciała mieć w rękę argument, że zadbała o swoje bezpieczeństwo. Gdyby cokolwiek chciało ją zjeść, musiałoby najpierw przełknąć porcję klasycznych dziesięciomilimetrowych pocisków. Matka nie była zachwycona jej brataniem się z bronią, ale ojciec powinien trochę złagodnieć, widząc jej przezorność. Sam wolał posługiwać się pulserem, ale to on nauczył córkę strzelać i znał jej możliwości. Podczas zawodów pucharowych ligi młodzieżowej Twin Forks uzyskała już tytuł starszego eksperta i dwa lata z rzędu zdobywała Puchar Sheltona, uzyskując komplet 600 punktów. Wystrzelony z S&W pocisk o masie 19,5 grama poruszał się z prędkością 840 metrów na sekundę i był w stanie przekazać prawie 7 tysięcy dzuli

energii każdej nieprzyjaznej bestii. Owszem, przy dystansie wzrastającym do pięciuset metrów były to już tylko 3 tysiące dzuli, ale na taką odległość nie strzelało się przecież w samoobronie. Poza tym S&W był jej ulubioną bronią, i to nie tylko dlatego, że dwa lata temu dostała go od wujka Jacques'a na urodziny.

Wówczas broń była niemal równa długością jej wzrostowi, ale był to też czas, gdy Honor, na dobre czy na złe, wystrzeliła mocno w górę. Teraz zbliżała się do trzynastu lat standardowych i mierzyła niemal metr siedemdziesiąt. Była więc o trzydzieści centymetrów niższa od ojca, ale górowała nad matką. Oczywiście do poradzenia sobie z odrzutem S&W taki wzrost wystarczał w zupełności.

Honor powtarzała sobie, że wszystko jest w porządku, i starała się nie myśleć za wiele o tym, jak bardzo przerosła rówieśników. Nikt nie był pewny, skąd takie geny wzięły się w rodzinie, chociaż większość skłonna była wskazywać na pradziadka Karla. Honor uważała, że robili to na wyrost. Owszem, pradziadek był wysoki, prawie tak wysoki jak jej ojciec, ale poprzednie pokolenia osiągały wzrost tylko trochę powyżej średniego. Skąd zatem pradziadek Karl wziął ten komplet genów? Poza tym należało pamiętać jeszcze o wpływie genów matki, a cała rodzina na Beowulfie była raczej niska.

Skądkolwiek jednak się to wzięło i jakkolwiek mogło cieszyć męskich przedstawicieli rodu, dla trzynastolatki atrakcyjne nijak nie było. Po pierwsze dlatego, że ostatecznie mogła oczekiwać wzrostu rzędu metra dziewięćdziesięciu, a po drugie, ponieważ miała bardzo inteligentną, ale też uroczą, piękną, zgrabną i drobną matkę. Często się zastanawiała, czy doktor Harrington naprawdę nie mogła przekazać córce trochę ze swej urody? Albo przynajmniej dorzucić czegoś na ograniczenie tego typowego dla rodziny ojca wzrostu?

Dała sobie spokój z tymi myślami i wysłała wiadomość tekstową „Mamo, wychodzę!”, i sięgnęła po kurtkę. Potem zarzuciła S&W na ramię, sprawdziła pas z nożem i modułem antygravitacyjnym, wzięła znoszony plecak na drugie ramię i zdjęła z wieszaka swój ulubiony kapelusz. Tak wyposażona skierowała się ku drzwiom.



Na ile naraziłeś się dzisiaj Pieśniarce? – spytał przyjaźnie Ostry Nos, obracając się na gałęzi i wystawiając brzuch do słońca.

Dlaczego zakładasz, że musiałem się jej narazić? – spytał Śmiejący się Jasno, spoglądając na młodszego brata z gałęzi powyżej.

Ponieważ oboje obudziliście się w tym samym czasie – odparł Ostry Nos. – *A jeśli nie zrobiłeś jeszcze niczego, co by ją zirykowało, to bez wątpienia niebawem uda ci się tego dokonać.*

Śmiejący się Jasno strzelił ogonem, ale równocześnie bleknął ze śmiechu. Najmłodsza śpiewająca wspomnienia Klanu Jasnej Wody była córką siostry jego matki i uznawała za swój obowiązek temperować poczucie humoru Śmiejącego się Jasno.

I co rusz próbowała to robić.

Źle mnie oceniasz – powiedział po chwili Śmiejący się Jasno. – *Nie zrobiłem niczego, co mogłoby się jej nie podobać, od czasu, gdy udowodniłem Krzywemu Ogonowi, że jego zapasy złotoliścia nie były wcale tak dobrze schowane, jak mu się wydawało.*

Od tak dawna? – zdziwił się Ostry Nos. – *To przecież niemal pełna dłoń dni!*

No tak – stwierdził skromnie Śmiejący się Jasno.

I Krzywy Ogon podziękował ci za przysługę?

Jeszcze nie. Ale zrobi to, jak sędzę, gdy tylko sprawdzi wszystkie swoje kryjówki.

Ostry Nos pokręcił głową w geście, który Lud przejął dawno temu od dwunogów, z którymi przyszło mu dzielić ten świat. Śmiejący się Jasno był o prawie dłoń sezonów starszy od niego. Ostry Nos kochał brata, ale nijak nie pojmował, dlaczego reszta klanu też jest tak pobłażliwa dla dowcipnisia. Krzywy Ogon, który już niebawem miał zostać jednym ze starszych klanu, nie słynał z poczucia humoru. Jednak chociaż wszyscy chyba wiedzieli, kto dobierał się do jego zasobów złotoliścia, nikt nie próbował z tego powodu natrzeć uszu Śmiejącemu się Jasno. Bez wątpienia miało to wiele wspólnego z powszechną świadomością, że gdy rzecz się wyda, żartowniś odda wszystko co do ziarnka, Krzywy Ogon zaś będzie mógł się chwalić, że odkrył wszystkie schowki młodziaka. To, jakim sposobem Śmiejący się Jasno zdołał wynieść cały zapas złotoliścia i nie zostać przyłapany, pozostawało już jego tajemnicą, jedną z tych, z których był znany. Nie miał jednak oporów, by zostawić trochę śladów mających ułatwić Krzywemu Ogonowi rozwiązanie zagadki.

Nie wiem, jakim cudem przetrwałeś tak długo, bracie – powiedział Ostry Nos.

W każdym klanie potrzebny jest ktoś taki jak ja – odparł z rozbawieniem Śmiejący się Jasno. – Pilnujemy, żeby reszta nie popadła za bardzo w rutynę codzienności.

Bo drżymy ze strachu, co nas spotka w następnej kolejności.

Właśnie to powiedziałem!

Raczej pomyślałeś.

Śmiejący się Jasno znowu prychnął z rozbawieniem, po czym zeskoczył na gałąź obok brata i też się na niej wyciągnął.

Tyjesz i lenistwo cię dopada, braciszku. Może powinieneś wybrać się dziś ze mną. Trochę ćwiczeń dobrze ci zrobi, a może dzień w moim towarzystwie przyda ci poczucia humoru.

A dokąd się wybierasz? – spytał podejrzliwie Ostry Nos. Jego brat był jednym z najlepszych zwiadowców Klanu Jasnej Wody, co było zresztą kolejnym powodem, dla którego tolerowano jego dziwne poczucie humoru, to zaś, co dla niego było spacerkiem przez gaje drzew sieciowych, dla kogoś mniej wprawnego mogło być ciężką przeprawą.

Niezbyt daleko – rzucił Śmiejący się Jasno. – Tylko do Grzmiącej Mgły. Znaczący Kory i Wiatr Pamięci poprosili mnie o sprawdzenie, czy strumień jest bogaty w pływające stworzenia i czy nasiona zielonoigłowców oraz szarych drzew wystarczająco już wyschły przy tej pogodzie. Z czyjąś pomocą uwinę się z tym szybciej – dodał poważniejszym tonem.

Ostry Nos poruszył wibrysami, słysząc, że Grzmiąca Mgła płynie niedaleko od ich gniazda, ale zadanie otrzymane przez Śmiejącego się Jasno bez wątplenia należało do istotnych. Zbliżała się pora zmiany liści i niebawem wiatr od gór miał przynieść pierwszy śnieg. Nasiona drzew były ważnym i do tego smacznym dodatkiem do pożywienia Ludu w czasie, gdy ziemia była skuta lodem. Ostry Nos musiał przyznać, że zaproszenie stanowi dlań wyróżnienie. Wprawdzie cieszył się sławą świetnego myśliwego, nie otrzymywał jednak zadań tropicielskich. Wiedział, że to po części z racji młodego wieku; ostatecznie był o połowę młodszy niż Śmiejący się Jasno. Perspektywa spędzenia dnia z bratem była atrakcyjna. Wprawdzie chodziło o zadanie raczej rutynowe, nawet jeśli bardzo ważne, ale Ostry Nos i tak mógł się sporo nauczyć przy takim przewodniku. A poza tym mimo różnicy wieku zawsze byli sobie bliscy.

Bez wątplenia będziesz musiał mnie pilnować, żebym się nie zgubił – powiedział po chwili, po czym westchnął i zerwał się na równe łapy. –

Pójdę. I oka z ciebie nie spuszczę.



Komentarze, które słyszała czasem od matki, sugerowały, że dla kogoś urodzonego poza Sphinksem takie poranki były zdecydowanie zimne. Jej ten dzień wydawał się co najwyżej chłodny i dlatego szła z rozpiętą kurtką, ciesząc się ostrym powietrzem. Dzięki suchej pogodzie opadłe liście trzeszczały jej pod stopami głośniejsz niż zwykle, gdy mijała sośniaki i czerwone świerki. W sumie nie było jednak aż tak źle. Co cztery do pięciu lat, czyli co dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat standardowych, trafiał się na Sphinksie rok na tyle suchy, że lasy płonęły od byle iskry. Honor nie miała okazji tego widzieć, ale ojciec owszem, i zawsze przestrzegał ją przed używaniem otwartego ognia, zwłaszcza w końcówce lata. Obecne prognozy przewidywały jednak większe niż zwykle opady śniegu, co powinno pomóc w przyszłym roku. Dla Honor niewiele to znaczyło z braku większego porównania. Z dwóch zim, które przyszło jej przeżyć, pierwszej w ogóle nie pamiętała, bo urodziła się w jej połowie. Ta miała być dopiero trzecia.

I pewnie ostatnia spędzona w domu, pomyślała i zwolniła trochę kroku, by rozejrzeć się wkoło i odetchnąć chłodnym powietrzem pachnącym tym wszystkim, co znała od urodzenia. Wiedziała, że będzie jej tego brakowało, ale realizacja marzeń miała swoją cenę, ona zaś miała marzenia już wtedy, gdy jako mała dziewczynka siadywała ojcu na kolanach.

Nie wiedziała, skąd właściwie się wzięły. Może był to wpływ ojca, chociaż nie kusilo jej nigdy, by wzorem rodziców wybrać karierę medyczną. Poza tym on był dopiero trzecim, a jedynym w kilku ostatnich pokoleniach przedstawicielem rodziny służącym w Royal Manticoran Navy. Na dodatek wcześniej był w marines i dopiero potem został przeniesiony do marynarki wojennej. Raz, gdy była młodsza, spytała go,

jak do tego doszło, ale nie odpowiedział. To było niezwykle, ponieważ rodzice zawsze odpowiadali na jej pytania. Honor pomyślała, że musi chodzić o coś trudnego, z czym wolał poczekać, aż córka będzie starsza. Albo może nawet w ogóle to przemilczy. Ojcom to się zdarzało, zwłaszcza wobec córek. W sumie było to nielogiczne, bo to on przecież nauczył ją, jak oprować zwierzynę. Miała wtedy dziesięć lat i od dwóch wiedziała już, jak patroszyć ryby. Zaczynała jednak rozumieć, że istnieje wielka różnica między zabiciem gęsi Baxtera czy jelenia a zabiciem człowieka.

Dwa lata temu znalazła medale ojca i wtedy dowiedziała się, że Osterman Cross był drugim najwyższym odznaczeniem przyznawanym w Gwiezdnym Królestwie i że można było otrzymać go wyłącznie za wyjątkowo bohaterskie dokonania na polu walki. Szybko odkryła także, że było to odznaczenie tajne, w każdym razie nigdzie w oficjalnych zapiskach nie było ani słowa o tym, w jaki sposób czy gdzie dowódca plutonu Alfred Harrington z Royal Manticoran Marine Corps zasłużył sobie na tak wysokie odznaczenie. A do tego otrzymał jeszcze trzy paski informujące o ranach odniesionych podczas walki. Na pewno nie odniósł tych ran jako lekarz RMN i jeśli wolał poczekać z rozmową na ten temat, aż jego córka trochę podrośnie, z pewnością miał do tego prawo. Honor miała nadzieję, że któregoś dnia usłyszy całą historię, choćby dlatego, by móc lepiej zrozumieć wymogi służby, którą dla siebie zaplanowała. I nie miała nic przeciwko ćwiczeniu cierpliwości w tej kwestii.

Matka nie wydawała się zachwycona planami córki, ale nigdy nie próbowała jej od nich odwodzić. Kariera wojskowa nie lokowała się zbyt wysoko wśród wyborów uznawanych za atrakcyjne wśród przedstawicieli klasy wyższej Beowulfa, ale w odróżnieniu od wielu innych światów służby mundurowe cieszyły się tam sporym poważaniem. Wujek Jacques służył kiedyś w Korpusie Zwiadu Biologicznego, który mimo niewinnej nazwy

był tak naprawdę jedną z najlepszych w Lidze Solarnej formacją sił specjalnych. A matka Honor zawsze wspierała wybory brata i męża.

W przypadku Honor była po prostu speszona tym, jak wcześniej i z jakim zdecydowaniem jej córka podjęła decyzję. Oraz tym, jak dokładnie już rzecz zaplanowała. Nie raz o tym rozmawiały i matka sugerowała zawsze, by Honor poczekała może jeszcze trochę, przynajmniej do chwili gdy będzie miała dziewięć czy dziesięć lat, z postanowieniem, co będzie robić przez resztę życia. Bycie ambitnym to nic złego, podkreślała, podobnie jak umiejętność planowania przyszłości, ale pewnych decyzji nie należało podejmować zbyt szybko. Honor słuchała jej w takich chwilach z politowaniem. Przecież jeśli wiedziało się już, jaka przyszłość jest tą upragnioną, logiczne było jak najwcześniejsze podjęcie działań w celu realizacji planów. Doktor Harrington mruzczała wtedy pod nosem coś o „siłach natury”, „uparciuchach” i „skrajnych wartościach rozkładu statystycznego” (a czasem jeszcze dodawała „całkiem jak jej ojciec!”), ale w sumie musiała zgodzić się z wywozem córki. Wszystko to świadczyło o tym, jak bardzo matka ją kochała... oraz że była dość rozumna, by wiedzieć, kiedy się nie odzywać. Może miała też nadzieję, że Honor jeszcze z tego wyrośnie, ale jeśli nie, zamierzała wspierać ją w tym wyborze równie zdecydowanie jak jej mąż.

Honor bardzo ceniła taką postawę, nawet jeśli nie miała pojęcia, skąd wzięło się u niej zainteresowanie historią marynarki wojennej. Owszem, dość wcześnie dowiedziała się, jak bardzo Gwiazdne Królestwo jest zależne od bezpieczeństwa szlaków handlowych wiodących do Manticore Wormhole Junction, i tym samym jak ważna jest zapewniająca to bezpieczeństwo silna flota. A do tego dochodziła jeszcze fascynacja odległymi słońcami i planetami, innymi narodami i ich kulturami. Może i z gruntu romantyczna, taka, z której naprawdę się wyrasta,

doświadczywszy na własnej skórze rzeczywistości, ale pozostawało faktem, że Honor od zawsze chłoneła wszystko, cokolwiek mogła tylko znaleźć na temat dawnych zmagania floty, nie tylko tych kosmicznych, ale także morskich, z czasów toczonych w erze przedkosmicznej wojny na Starej Ziemi. I wiedziała, wiedziała na pewno, że chce poczuć kiedyś pod swoimi stopami pokład okrętu wojennego; chciała służyć w ten sposób swojemu królowi. To było dla niej ważne w szczególny sposób i sama nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak właśnie jest.

Jednak takich poranków jak ten miało jej w tej wymarzonej przyszłości brakować i dlatego starała się teraz chłonać całą sobą urokliwy klimat swojego świata. Stąd się wywodziła i to miejsce miało na zawsze zostać dla niej najważniejszym. Wiedziała, że nawet niektórzy mieszkańcy Sphinksa, o tych z Manticore nie wspominając, mieli ludzi w rodzaju jej rodziny za barbarzyńców z lasu, i to takich zapóźnionych cywilizacyjnie, skoro pozwalali dwunastoletnim dziewczynkom chodzić samopas po kniei i jeszcze dawali im broń do ręki. Jednak ludzie tak rozumujący mieszkali zwykle w miastach, Honor zaś myślała z politowaniem o jednostkach gotowych wybrać takie życie i świadomie rezygnujących z cudownych doznań w podobne poranki tylko dlatego, że coś mogło tu czasem człowieka obwarczyć. Ale cóż, to była już ich strata.

Dość tego, pomyślała, uśmiechając się. Za cztery do pięciu lat pójdiesz do akademii. I co z tego? Podróż między Manticore a Sphinksem zajmuje tylko kilka godzin, będziesz więc mogła przylatywać do domu. Tata też nie odciął się od Sphinksa, gdy wstąpił do Marines. Wszyscy dorastają i każdy musi zdecydować, co dalej robić ze swoim życiem. Ty przynajmniej wiesz już, co wybrać.

Otrząsnęła się z tych myśli i sprawdziła GPS. Ojciec nalegał, by nauczyła się znajdować drogę tylko za pomocą kompasu. Dowodził, że

komunikator zawsze może się zepsuć czy też można go zgubić, dobrze więc jest znać też inne sposoby łapania orientacji, od rozpoznawania, z której strony pnie drzew są bardziej omszałe, począwszy, bo przecież kompas też może gdzieś się zapodziać. Honor jednak wolała wiedzieć dokładnie, gdzie właśnie się znajduje. Szybko ustaliła, że do celu zostały jej jeszcze trzy kilometry, należało więc przyspieszyć kroku.



Nasiona zielonoigłowca są już chyba dobre – powiedział Ostry Nos.

Owszem, ale jest ich mniej niż zwykle – zauważył Śmiejący się Jasno, przekazując bratu obraz tego samego miejsca z poprzednich pór zmiany liści. – I popatrz tam, na drugi brzeg strumienia, gdzie jest cały zagajnik szarych drzew zupełnie bez nasion.

Ostry Nos przystanął i skierował nos, któremu zawdzięczał swe miano, we wskazanym kierunku. Przechylił z uwagą głowę, po czym zastrzygł wibrykami.

Masz rację – powiedział. – Dlaczego tak jest, jak sądzisz?

Nie jestem pewny. – Śmiejący się Jasno owinął ogon wokół gałęzi powyżej, by się tam podciągnąć. Potem złapał się kory dwiema parami tylnych kończyn, jedną z przednich przesuwając po wibrykach. – Rozmawiałem o tym wczoraj ze Znaczą Kory i Wiatrem Pamięci. W tym roku mieliśmy mniej wiatrów od równin i mniej deszczu. Może to jest powód. Ale pewnie powinniśmy podziękować też kornikom i zjadaczom liści.

To niedobrze – odparł z powagą Ostry Nos. – Klanowi zabraknie nasion na czas lodu. Ale dlaczego korniki i zjadacze liści tak bardzo rzuciły się teraz właśnie na nasiona?

Bo pewnie było za mało przemykaczy, by je zjadały – zasugerował Śmiejący się Jasno po chwili namysłu. – Widziałem już coś podobnego w suchych porach, które omal nie przechodziły w czas ognia. Bez wystarczających opadów deszczu pośrodku pory zielonych liści przemykacze zakładają mniej gniazd i mają mniej młodych. A gdy tak się dzieje, korników i zjadaczy liści robi się o wiele więcej.

Ale pora śniegu i lodu to zmieni? – spytał z obawą Ostry Nos i Śmiejący się Jasno poruszył nerwowo ogonem.

Pewnie tak. Zimno i lód wymrozi korniki i zjadaczy liści i jeśli w porze błota będzie dość deszczu, przemykacze wrócą w większej liczbie i zjedzą jaja tamtych, zanim cokolwiek zdąży się z nich wykluć. Obawiam się jednak, że te zielonoigłowce i szare drzewa zostały zbyt mocno objedzone. Nie wiem, czy przetrwają porę śniegu.

I dlatego właśnie Znaczący Kory i Wiatr Pamięci chcieli, żebyś udał się nad Grzmiącą Mgłę, prawda? – spytał Ostry Nos.

Owszem – przyznał Śmiejący się Jasno. – Dwie dłonie temu był tu Tropiciel Wiatru. Polował na korniki, ale wydało mu się, że nasion jest dziwnie mało. Miałem to sprawdzić i widzę, że rzeczywiście.

Starszy brat emanował powagą, gdy tak wpatrywał się w skryte w wodnych oparach jezioro u stóp wodogrzmotu. Strumień nie był tu szeroki, może na trzy dłonie długości ciała, gdy tak gnał dnem doliny, ale był głęboki, i to mimo wyjątkowej w tym sezonie suszy. Było w nim sporo pręgowanych pływaków, czasem dłuższych nawet niż przeciętny przedstawiciel Ludu, i ich łapanie bywało ciekawym wyzwaniem. Najłatwiej było robić to właśnie przy wodogrzmotach, gdzie było płycej. I gdzie w powietrzu wisiało zawsze sporo wodnej mgiełki, której strumień zawdzięczał swoją nazwę. Ciekawe, pomyślał Śmiejący się Jasno, że nawet

przy suszy wilgotny oddech strumienia służył dobrze okolicznym drzewom. Także tym chorym.

Czy to zagrozi przetrwaniu klanu w czasie lodu? – spytał Ostry Nos.

Chyba nie. – Śmiejący się Jasno znowu przesunął palcami po wibrysach. – *Ta okolica w jest w gorszym stanie niż cokolwiek na naszym terenie. Teraz, gdy wiemy już o tym kłopotcie, najpierw zbierzemy nasiona właśnie tutaj, by uratować ich resztę przed zjadaczami liści, ale drzewa w wielu innych miejscach mogą nie być tak objedzone. Przynajmniej na razie.*

Ostry Nos byłby szczęśliwszy, gdyby brat nie dodał końcowej uwagi, ale cieszył się, że może mu pomóc, nawet jeśli w praktyce niewiele z tej pomocy przyszło, w odkryciu czegoś, co było tak istotne dla klanu.

Popatrz tam – powiedział nagle Śmiejący się Jasno. – *Czujesz?*

Ostry Nos zerknął we wskazanym kierunku i aż zamiótł ogonem, dojrawszy idącego ku nim bezszelestnie przez las dwunoga.

To Tańcząca w Chmurach! – zauważył. – *Co ona robi tak daleko od gniazda bez swego rodzica?*

Chyba coś niedozwolonego – stwierdził z rozbawieniem Śmiejący się Jasno. – *Wczuj się bardziej w blask jej umysłu. Bardzo przypomina mi w tej chwili ciebie z tamtego dnia, gdy wydawało ci się, że wymknąłeś się niepostrzeżenie z gniazda!*

Ona nie powinna tu chodzić – powiedział Ostry Nos, ignorując uwagę brata. – *To nie jest bezpieczne miejsce.*

Jest młoda, ale umie o sobie zadbać – odparł Śmiejący się Jasno i wyciągnął się wygodnie na gałęzi, po czym wsunął złożone dłonie pod brodę i wpatrzył się w dwunoga. – *Widziałem już kiedyś, jak używała gromowego kija. Śnieżny łowca albo nawet zabójczy kiel szybko pożałowałyby ochoty na przekąskę* – dodał z wyraźną aprobatą.

Gdyby wiedziała, że coś na nią czyha, to pewnie tak – stwierdził z uporem Ostry Nos. – Ale ona jest dwunogiem! Ma ślepy umysł i słaby nos. I cały Lud wie, że oni bywają na dodatek prawie głusi.

Tak? – Śmiejący się Jasno aż przekrzywił głowę. – W takim razie trochę dziwne, że śnieżni łowcy i zabójcze kły już dawno zaczęły bać się dwunogów, a dwunogi ich, nie sądzisz?

Przyznałem przecież, że najpewniej da sobie radę, jeśli w porę dostrzeże napastnika. Obawiam się tylko, że może dostrzec go za późno.

Och, sądzę, że szybko by się zorientowała – powiedział z namysłem Śmiejący się Jasno. – Nie wczuwałem się w blask jej umysłu przez prawie połowę zmian sezonów, ale teraz jest w niej sporo ze zwiadowcy. Sam sprawdź. Ten dwunóg czuje wszystko wokół siebie prawie tak samo jak ktoś z naszych. A blask jego umysłu jest znacznie silniejszy niż przy ostatnim naszym spotkaniu.

Ostry Nos spojrział podejrzliwie na brata, a potem sięgnął myślą do umysłu dwunoga. Gdy poczuł to samo co Śmiejący się Jasno, aż postawił uszy. Ten blask był tak silny, że głębsze wnikanie w niego mogłoby być wręcz bolesne. I brat miał rację. Ten młody dwunóg naprawdę widział drzewa i góry tak samo wnikliwie jak dobry zwiadowca.

Nie miałem pojęcia, że aż tak się zmieniła – powiedział do Śmiejącego się Jasno po chwili. I z wyraźnym szacunkiem. – Jest bardzo silna, nawet jak na kogoś z klanu Postrachu Zabójczego Kła.

I bardzo podobna do ojca – dodał Śmiejący się Jasno. – Pamiętam go, gdy był w jej wieku. Był bardzo silny! Wszyscy wiedzą, że potomkowie Postrachu Zabójczego Kła zawsze mieli jasne umysły, ale w Głęboko Zakorzenionym i Tańczącej w Chmurach jest jeszcze coś podobnego do barw i tonów znanych mi z pieśni o Wrogu Ciemności. Nie dokładnie to samo, ale coś zbliżonego, jeśli chodzi o... wyrazistość czy precyzję

spojrzenia. Oni dostrzegają i czują więcej, Ostry Nosie. I sądzę, że blask ich umysłów może być silniejszy niż wszystkich, którzy żyli przed nimi.

Zdumiony Ostry Nos zamrugał i znowu spojrział na dwunoga. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, a gdyby nawet próbował, pewnie nie zauważyłby tego co Śmiejący się Jasno. Wszystkie młodziaki w Klanie Jasnej Wody od małego słuchały wspomnień o Postrachu Zabójczego Kła i cudownym blasku jej nieustraszonego umysłu oraz silnej ponad wszystko więzi, która połączyła ją ze Wspinającym się Szybko. To była jedna z najwspanialszych i zarazem najtragiczniejszych historii klanu, ponieważ gdy Postrach Zabójczego Kła odeszła, Wspinający się Szybko podążył za nią w ciemność. Żyła bardzo długo jak na dwunoga, ale nikt z Ludu wtedy jeszcze nie wiedział, jak krótkowieczni są przybysze.

Gdy ponownie spróbował wysondować blask umysłu młodej istoty, musiał przyznać, że Śmiejący się Jasno miał rację. To było tak, jakby słońce nagle opuściło się poniżej koron zielonoigłowców, oślepiając każdego, kto zanadto się zbliżył. Ostry Nos nigdy nie czuł pokusy, by związać się z jakimś dwunogiem, nawet z klanu Postrachu Zabójczego Kła, który był szanowany i uwielbiany przez cały Lud. Jednak teraz miał ochotę skąpać się w tym blasku i pozostać w nim na zawsze. Przyciągał go tak samo, jak płomienie kusiły nieodparcie cały nocny latający drobiazg.

To naprawdę córka Postrachu Zabójczego Kła, chociaż dzieli je wiele pokoleń. I nie tylko dlatego, że ona też tańczy w chmurach – powiedział cicho Śmiejący się Jasno. – Znam blask umysłu Postrachu Zabójczego Kła z naszych pieśni. Wiele razy ich słuchałem. A ona... ona będzie tak samo silna i tak samo wiele uczyni. Może nawet więcej. Tak to czuję...

Zastanawiałeś się kiedyś nad związaniem się z dwunogiem? – spytał Ostry Nos i jego brat bleeknął cicho z rozbawieniem.

Nie, braciszku. Gdybym o tym myślał, pewnie skorzystałbym z okazji, by związać się z jej ojcem, gdy tylko wydorósł. Ich blask jest porażający, ale żyją tak krótko. Zbyt wiele różnych rzeczy chcę jeszcze zobaczyć na tym świecie, by stracić je przez zwiążanie się z dwunogiem, nawet tak młodym jak ona. Poza tym, chociaż jest jak córka Postrachu Zabójczego Kła, jest też córką Głęboko Zakorzonego i tak samo jak jego kuszą ją inne światy, ja zaś należę do tego. Mogę być zwiadowcą, ale nie chcę go opuszczać.

Ostry Nos poruszył zgodnie ogonem, zastanawiając się przy tym nad słowami brata. Pamięć blasku umysłu Postrachu Zabójczego Kła płonęła wciąż jasno w pieśniach Klanu Jasnej Wody. Ona faktycznie należała do tego świata. Zdarzało się jej czasem go opuszczać, i Wspinający się Szybko podróżował wtedy z nią, po czym wracał z pieśniami spod innego całkiem nieba, ale zawsze wracała. To było miejsce, za którym tęskniła, tutaj biło jej serce. Nie wszyscy jej potomkowie byli tacy sami, niemniej...

Spojrzał z namysłem na Śmiejącego się Jasno i starszy brat odwrócił głowę w jego kierunku. Nastawił przy tym uszy, oczekując pytania.

Skąd ta pewność, że ona marzy o innych światach? – spytał w końcu i Śmiejący się Jasno zastrzygł z zaskoczenia uszami.

Jak możesz w to wątpić? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – *Nie czujesz, jak nawet teraz żegna się z tym światem?* – Spojrzał znowu na dwunoga. – *To nie stanie się jutro ani nawet pojutrze, ale ona odleci. I nie wie, czy wróci. To samo wyczuwałem w jej ojcu.*

Nie, nie czuję – odparł Ostry Nos. – *Może blask jej umysłu jest po prostu zbyt jaskrawy. Niemniej Wiatr Pamięci powiada, że masz silniejszy głos myśli niż większość samców, no i jesteś zwiadowcą.* – *Wszyscy wiedzieli, że zwiadowców wybierano spośród tych, którzy potrafili najlepiej i najdalej ogarniać świat wokół.* – *Może dlatego czujesz ją lepiej niż ja.*

Możliwe – mruknął Śmiejący się Jasno. – Nasz klan żyje od pokoleń obok Klanu Postrachu Zabójczego Kła, a ja jestem starszy od ciebie.

No i na dodatek obaj byli potomkami Wspinającego się Szybko, jak pomyślał Ostry Nos, chociaż to samo dotyczyło też wielu innych z klanu. Dlatego nie sądził, żeby to wszystko wyjaśniało. Wszyscy zwiadowcy i myśliwi z Klanu Jasnej Wody czuwali nad bezpieczeństwem Klanu Postrachu Zabójczego Kła. Nawet ci, którzy nigdy nie związali się z żadnym dwunogiem, mieli go za rodzinę. Zawsze chronili ich na terenie swego klanu i Tańcząca w Chmurach nie była tu wyjątkiem. Wprawdzie nikt się z nią nie związał, ale wielu doświadczyło wspólnych lotów, którym zawdzięczała swoje imię. Podobnie jak Postrach Zabójczego Kła uwielbiała tańczyć na falach wiatru i poświęcała się temu bez reszty, kąpiąc się wtedy w czystej radości. Każdy, kto się z nią zabierał, doświadczał tego wyraźnie. Trudno było nie uwielbiać młodej za jej entuzjazm i zaangażowanie.

Ale istniała też mroczna strona tej przygody, o której Śmiejący się Jasno nie mógł zapomnieć. Dwunogi z Klanu Postrachu Zabójczego Kła żyły tak krótko, mniej niż połowę tego czasu, który dany był członkom Ludu. Tym bardziej należało ich cenić, bo jak podawały pieśni, niektórzy odchodzili, zanim udało się ich dobrze poznać. Dlatego też trzeba było dobrze ich strzec, gdy krążyli po terenach klanu. Jednak choć wszyscy poczuli się do tego, by chronić „swoich” dwunogów, nikt inny nie wyczuł jeszcze tego co Śmiejący się Jasno. Albo co wydawało mu się, że wyczuł.

Oni są zmienni – powiedział. – Głęboko Zakorzeniony odleciał stąd dawno temu, zanim jeszcze się urodziłem, ale jest tutaj znowu, a nawet zapuścił głębokie korzenie.

Tak, ale za jaką cenę. Nie wiem, co się z nim działo, gdy był daleko, ale wrócił głęboko zraniony. To dodatkowo wzmocniło blask jego umysłu, ale wtedy jeszcze nie potrafił tak się zakorzenić. To stało się później, gdy wrócił

ponownie, razem z Roześmianą Tancerką. To ona uczyniła go znów jednością. Oni są związani ze sobą tak głęboko, jak bywa to między partnerami z Ludu. Nie widzą tyle i nie czują tak wiele, ale nie są też całkiem ślepi jak inni spośród dwunogów. Ich miłość płonie żywym ogniem. Obawiam się, że gdyby Głęboko Zakorzeniony nie spotkał Roześmianej Tancerki...

Śmiejący się Jasno urwał nagle i Ostry Nos zmrużył oczy, domyślając się, co brat pozostawił niedopowiedziane.

Ale dość gapienia się na dwunoga! – odezwał się zdecydowanie. – Mamy jeszcze sporo do załatwienia, nim ruszymy z powrotem do gniazda. Ruszaj się. Jeszcze zrobię z ciebie zwiadowcę, Ostry Nosie!



Honor nie była pewna, co właściwie sprawiło, że zauważyła te dwa treecaty.

Szaro-kremowa sierść zapewniała im idealny kamuflaż, podobnie zaś jak wszystkie kotowate, również i one były zdolne trwać długo w całkowitym i typowym dla drapieżników bezruchu. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy uprzejmie do nich nie zagadać. Nawet wśród mieszkańców Sphinksa byli jeszcze tacy, którzy wątpili w inteligencję tych stworzeń, ale Honor do nich nie należała. Przeczytała dziennik Stephanie Harrington i wspomnienia ponad dziesięciu innych Harringtonów adoptowanych przez treecaty w ciągu ostatnich trzystu lat. Nie miała żadnych wątpiwości, że kotowate były co najmniej tak samo bystre, a może nawet bystrzejsze niż wielu ludzi, których dotąd spotkała. Na dodatek wiele z nich rozumiało standardowy angielski lepiej niż niektórzy posługujący się tym językiem od urodzenia. Dla Honor to był już koronny dowód na inteligencję treecatów. Zapiski Stephanie Harrington uświadomiły jej, jak frustrujący był dla niej

brak bezpośredniej komunikacji z Lionheartem. Przypuszczenie Stephanie, że kotowate są telepatami, tylko podkreślało ich zdolności umysłowe, skoro nie znając języka mówionego, potrafiły zrozumieć jego istotę i nauczyć się go rozumieć.

Nie była jednak pewna, czy te dwa treecaty na pewno by ją zrozumiały, a skoro same utrzymywały dystans, narzucanie się im byłoby raczej nieuprzejmym niż przyjaznym gestem. Poza tym te lasy należały bardziej do nich niż do niej. Majątek Harringtonów zaliczał się do skromnej grupy posiadłości nadanych we wczesnym okresie kolonizacji, które niemal wcale nie zmieniły się przez stulecia. Od czasów Richarda i Marjorie Harringtonów kolejne pokolenia rodu dbały, by zachować lasy maksymalnie dziewiczymi. Ostatecznie treecaty były tu wcześniej i niezależnie od starań, by je chronić, nadal miały wszelkie prawo do tego, by samodzielnie decydować o tym, kiedy i z kim chcą nawiązać kontakt.

Kiedyś, gdy Honor była młodsza, zastanawiała się czasem, jak by to było, gdyby któryś z nich zdecydował się ją adoptować. Nikt nie wiedział, co przyciągało konkretnego kotowatego do konkretnego człowieka, ale członkowie rodu Harringtonów byli adoptowani przez treecaty częściej niż ludzie z jakiegokolwiek innej rodziny na Sphinksie. Niemniej cokolwiek to było, zawsze to kotowate wybierały ludzi, nigdy odwrotnie.

Inna sprawa, że Honor była bardzo zdziwiona faktem, że do adopcji w ogóle dochodziło, gdy dowiedziała się, jak długo treecaty żyją w swoim naturalnym środowisku. Ludzie nie od razu odkryli, że przeciętny czas życia kotowatych sięgał stu pięćdziesięciu lat standardowych. Potrwało też, nim ktokolwiek się zorientował, że żaden treecat nie zdołał przetrwać śmierci swojego ludzkiego partnera. Skoro mimo to decydowały się one na takie związki, musiały być gotowe na wielką ofiarę. Ile razy Honor o tym pomyślała, zawsze łzy napływały jej do oczu i na nowo zaczynała się

zastanawiać, jak silny musiał być impuls skłaniający treecaty do dokonania adopcji.

Tyle dobrego, że teraz jest prolong. Ciekawe, czy one rozumieją, ile to zmienia? Wprawdzie tata należy do pierwszego pokolenia poddanego prolongowi w naszej rodzinie, ale czy miały okazję zauważyć, że niektórzy ludzie żyją obecnie dłużej? Pewnego dnia to oni zaczną zostawać sami po odejściu swoich treecatów. Czy wtedy zmieni się podejście kotowatych do adopcji?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania, ale też nie przejmowała się tym specjalnie. W jej przypadku nie były aż tak istotne. Miała częstszy kontakt z treecatami niż niemal cała reszta ludzkości, a mimo to żaden jej nie wybrał. Chociaż owszem, lubiły ją. Potrafiła rozpoznać po cechach charakterystycznych co najmniej dziesiątkę spośród futrzaków. Zwłaszcza te, które czasem zabierały się z nią na wycieczkę lotnią. Jednak żaden z nich nie spojrzał jej w oczy tak, jak Lionheart spojrzał na Stephanie.

No i dobrze, pomyślała sobie, przystając na chwilę i patrząc w ślad za odchodzącymi po gałęziach treecatami. Ich miejsce jest tutaj, na Sphinksie. To nie byłoby w porządku, gdybym musiała zabrać któregoś z nich gdzieś na inną planetę. Nie wiem przecież nawet, czy one mogą znieść długą rozłąkę z klanem, taką na rok albo i dłużej. A nawet jeśli, jakie mam prawo tego żądać? Poza tym jeśli istnieje coś, co mogłoby pięknie popsuć moje plany, to właśnie treecat!

Od czasu, gdy treecat adoptował Królową Adrienne, Royal Manticoran Navy zmieniła przepisy i pozwalała na pobyt treecatów na pokładach okrętów wojennych, a nawet na stanowiskach bojowych. Honor podejrzewała jednak, że mało kto w marynarce był z tego powodu szczęśliwy. Regulaminy mogły mówić swoje, ale na pewno lepiej było nie stawać przed komisją z treecatem na ramieniu. Zwłaszcza gdy było się

córką właściciela majątku ziemskiego na Sphinksie. Owszem, posiadanie takiego ojca jak komandor Alfred Harrington było z kolei czynnikiem zwiększającym szanse, ale zapewne nie na tyle, żeby przeważać kontrargument pod postacią związanego z kandydatką treecata. Dodatkowym minusem była stosowana przez RMN praktyka kierowania adoptowanych na stanowiska w podwójnym układzie Manticore, tak by w razie potrzeby mogli łatwo powrócić na Sphinksa. Tego akurat w regulaminach nie zawarto, ale zasady ściśle przestrzegano. Co było zresztą zrozumiałe. Honor mogła tęsknić za służbą w RMN, ale urodziła się na Sphinksie i troskę o treecaty miała wręcz w genach. Nijak nie byłaby skłonna protestować przeciwko czemuś, co było obliczone na ich korzyść.

Niemniej gdy się o tym dowiedziała w wieku jedenastu lat, całkiem porzuciła już myśl o związaniu się z treecatem. Nawet gdyby trafiła się taka sposobność, musiałaby odmówić, jeśli miała kiedykolwiek objąć dowództwo i wybrać się do tych odległych gwiazd, o których marzyła. Oczywiście wiedziała, że i bez tego ma niewielkie szanse na podobne stanowisko. Etaty dowódców były nieliczne, w przeciwieństwie do znamienitych rodzin, które miały swoich potomków w marynarce. I to oni zmonopolizowali praktycznie te zaszczyty. Niemniej skoro i tak żyła już marzeniami, dlaczego miała się w nich ograniczać?

Odczekała, aż treecaty znikną całkiem między kołysanymi wiatrem liśćmi, i wciągnęła głęboko powietrze. Pod drzewami snuła się chłodna mgła wodospadu Jessica, muskając jej policzki tak łagodnie, jakby był to pożegnalny dotyk treecatów. Była jak oczyszczający eliksir. Przez chwilę Honor podziwiała wodę spadającą z gromowym hukiem z wysokiego na dziewięćdziesiąt metrów urwiska, po czym odwróciła się i ruszyła dalej, w kierunku wznoszącej się w dole strumienia tamy bobrów Sphinksa i rosnących w jej pobliżu tulipanów górskich.



Nasion jest mniej, ale pływaków jakby więcej! – zauważył Ostry Nos, gdy biegli po drzewach sieciowych.

I owszem – odparł Śmiejący się Jasno. – *I chyba są większe niż zwykle.* – Zatrzymał się, by spojrzeć na rozchodzące się na wodzie kręgi pozostawione przez mordy pływaków, polujących przy tamie budowniczych jezior na nieostrożny latający drobiazg. – *Pewnie wyrosły takie, bo mogą lepiej się odżywiać, skoro przemykaczy jest akurat tak mało. Więcej latającego drobiazgu zostaje dla nich.*

Nie ma tego złego, co by na dobre komuś nie wyszło – powiedział i trochę się zawstydził, gdy wyczuł rozbawienie brata. Naprawdę nie chciał odzywać się jak senior pouczający młodziaka!

Masz rację – powiedział po chwili Śmiejący się Jasno tonem przeprosin. – *Ale chodźmy. Musimy sprawdzić, jak radzą sobie budowniczowie jezior. Ostatecznie ich łatwiej jest złapać niż te pływające pasiaste bestie.*

Ale nie zawsze bezpiecznie – przypomniał Ostry Nos, przekazując w myślach obraz ostrych zębów budowniczego, który jako dorosły osobnik był większy i sporo cięższy niż ktokolwiek z Ludu. Wprawdzie w razie zagrożenia budowniczowie chowali się zwykle pod wodą, ale w razie wielkiej potrzeby gotowi byli walczyć, przyparci do muru zaś potrafili być naprawdę niebezpieczni.

Nikt nie obiecywał nam bezpieczeństwa na tym świecie – stwierdził sentencjonalnie Śmiejący się Jasno. – *Sztuką jest tylko pamiętać o tym również wówczas, gdy niebezpieczeństwo jest daleko.*

Ostry Nos machnął ogonem na znak, że całkiem się z tym zgadza, i pomaszrowali dalej. Liście wirowały w powietrzu, opadając na tafłę

jeziora. Było ich więcej niż zwykle o tej porze, co także świadczyło o suszy. Na dodatek niektóre gałęzie nad nimi zdawały się obumarłe.

Korniki tutaj żerowały – powiedział, wskazując w górę, i wyczuł przytaknięcie brata.

Te szare przedkładają smak drzewa sieciowego ponad wszystkie inne. I wżerają się głębiej niż ich pobratymcy. Starajmy się zapamiętać, które gałęzie są najslabsze. Myśliwi powinni wiedzieć, że trzeba szczególnie uważać.



Honor skrzywiła się, mijając czerwony świerk, którego błękitno-zielone liście przyjmowały już barwę żółtą albo brązową. Spotykała się z tym coraz częściej i zanotowała w pamięci, by przekazać informację o tym Służbie Leśnej Sphinksa. Wszędzie dostrzegała ślady żerowania żuków podkorowych oraz świdraków, czego zapewne należało oczekiwać po tak suchym lecie. Jezyki skalne i jaskółki wyżynne, które normalnie ograniczały ich populacje, założyły w tym roku znacznie mniej gniazd. Ich rozród był związany ściśle z czynnikami klimatycznymi i spadał zawsze podczas suchego lata. Zapewne dlatego, że głównych gatunków owadów, na których żerowały, też było mniej. Niestety, cokolwiek było prawdą na całym Haley Land, tutaj, w mikroklimacie strumienia, wyglądało inaczej. Wilgoci było dość, by owady nie miały problemów z rozmnażaniem się, drzewa zaś wychodziły na tym fatalnie. Honor dostrzegała też ślady żerowania mrówek grzybiarek oraz kleszczy nalistnych.

Oczywiście wszystko to było częścią naturalnego cyklu biologicznego planety i Służba Leśna Sphinksa rzadko stosowała w podobnych przypadkach opryski środkami owadobójczymi, ale chętnie gromadziła

dane o takich zjawiskach. Zwłaszcza gdy chodziło o świdraki, które były najgroźniejszymi niszczycielami drzew w całym ekosystemie.

Ciekawe, czy te dwa treecaty zjawily się nad strumieniem właśnie z tego powodu? – pomyślała. To coś bardzo ważnego dla nich, zwłaszcza przed zimą. Miałoby sens, gdyby pilnowały podobnych miejsc. Mam nadzieję, że nie zabraknie im żywności tej zimy!

Wiedziała, że czasem tak się działo. Była to szczególnie trudna kwestia dla każdego, kto zajmował się treecatami. Jeśli któryś z nich pokazał się w stacji Służby Leśnej i poprosił o pomoc, zawsze ją otrzymywał pod postacią żywności i opieki medycznej, jednak już stulecia temu zdecydowano o nieingerowaniu w życie kotowatych poza wyjątkowymi sytuacjami w rodzaju klęsk żywiołowych. Ciężka zima nie zaliczała się do tej kategorii, o ile nie dochodziło do skrajnego wygłodzenia populacji treecatów, i Honor zasadniczo rozumiała, dlaczego tak jest. Zbyt gorliwe oferowanie pomocy oznaczałoby uczynienie treecatów zależnymi od ludzi, co musiałoby z kolei doprowadzić do nadmiernego wzrostu populacji i katastrofy demograficznej. Oczywiście rodzice Honor karmili do syta każdego treecata, który pokazał się pod drzwiami ich domu. Nowina o tym dawno się już rozeszła, dlatego zimą mieli średnio jednego gościa tygodniowo. A skoro tak, dbali o to, by zawsze mieć gdzieś w chłodni zapas selera naciowego.

Przed tamą bobrów Sphinksa strumień rozlewał się szerzej. Były to stworzenia długie na pół metra i ważące do sześćdziesięciu kilogramów, pnie zaś czerwonych świerków, sośniaków i górskich orzeszników jasno dowodziły ich umiejętności. Podobnie jak czterołape ziemskie bobry, od których wzięły swą nazwę, zwykły ścinać drzewa na swoje tamy wiosną albo latem, po czym sezonowały je przez jesień i zimą. Potrafiły powalić pnie sięgające średnicą trzydziestu centymetrów, chociaż zwykle wybierały

mniejszą zdobycz, budowały też kanały służące spławianiu budulca w pobliże tam. Pod pewnymi względami były najbardziej destruktywnym gatunkiem fauny Sphinksa i nawet mała ich grupa potrafiła spustoszyć solidny kawał lasu. Z drugiej strony, stworzone przez nie jeziora były korzystne dla gospodarki wodnej. Poza tym bobry Sphinksa wspomagały wzrost palikowców.

Z jakiegoś powodu same w ogóle ich nie ruszały. Nie chodziło o zawarte w drewnie toksyny, chociaż te występowały w miejscowej florze jako broń chroniąca przed pasożytami i niektórymi większymi zwierzętami, w tym czasem i bobrami. Najwyraźniej palikowce im po prostu nie smakowały, za to ich zwyczaj wyżerania wszystkiego innego, co rosło nad brzegami strumieni i jezior, sprawiał, że palikowce mogły się bujniej rozrastać, z czego treecaty były oczywiście zadowolone.

Szkoda, że to samo nie dotyczy świdraków, pomyślała Honor, wyszukując drogę między składowanymi przez bobry pniami. Z drugiej strony, gdyby nie było tu palikowców, pewnie mogłabym przylecieć lotnią, oszczędzając sobie tego łążenia!

Przez kilka minut próbowała przekonywać samą siebie, że latanie jest atrakcyjniejsze niż piesza łążega, ale niewiele jej z tego wyszło. W końcu prychnęła rozbawiona.

Gdy dochodziła do drugiego końca jeziora, zobaczyła pstrąga lamparciego, wyskakującego wysoko z wody, by złapać jakiegoś owada. Nie był to największy okaz, jakiego spotkała – niektóre potrafiły dorastać do osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu centymetrów długości – ale sztuka i tak była spora. Tej jesieni warto będzie zaglądać tu na ryby.

Rozejrzała się wkoło, łapiąc orientację w okolicy, i dostrzegła błyskające w dali między drzewami czerwone plamy. Dobrze, że żadne bydłatka nie

zjadły jej tulipanów! Teraz musiała jeszcze obejść resztę jeziora i naciąć kwiatów, a potem mogła ruszyć z powrotem do domu.



Ostry Nos zamarł nagle i uniósł niespokojnie głowę.

Śnieżni łowcy! – powiedział i wyczuł zdumienie brata. Sam też był zaskoczony, jednak Śmiejący się Jasno odniósł się do sprawy spokojniej. – *Nie oczekiwałem ich tutaj już teraz* – wyjaśnił po chwili i jego brat zastrzygł zgodnie uszami, przyjmując takie wyjaśnienie początkowego zdumienia.

To rzadka sprawa – przytaknął. – *Przypuszczam, że przez suszę łowy w górach wychodziły im gorzej niż zwykle. Dlatego już teraz zeszły w dolinę. Ale my mamy swoje do zrobienia.*

Nieco ostrożniej ruszyli dalej. Śnieżni łowcy, podobnie jak zabójcze kły, były stworzeniami zbyt ciężkimi, by skutecznie ścigać kogoś z Ludu na drzewie, przy czym przejawiały mniejszą terytorialność niż zabójcze kły. Nie znaczyło to, że nie były gotowe pożreć każdego, kogo zdołałyby złapać, a przy tym rozmiarem ustępowały tylko zabójczym kłom. W tym momencie dwa z nich stały zanurzone po barki w jeziorze. Po chwili jeden rzucił się dalej, złapał paskowanego pływaka i ruchem łba cisnął go na brzeg.

Już wiemy, co tu robią – powiedział Śmiejący się Jasno i Ostry Nos wyczuł nagle jego zaniepokojenie. – *Mają młode, które urodziły się poza porą lęgów.*

Ostry Nos przytaknął, patrząc na dwa średnio zaradne i względnie niewielkie jeszcze młodziaki, przedzierające się przez zarośla do szamoczącego się pływaka. Złapany silnymi szczękami, został błyskawicznie rozdarty na dwie nierówne części, przy tym ten młody, który dostał mniejszą, pisnął nieszczęśliwie.

Obawiam się, że łowienie ryb może nie być tutaj aż tak obiecujące, jak myśleliśmy – zauważył Śmiejący się Jasno i Ostry Nos mógł się jedynie z nim zgodzić. Samotny śnieżny łowca mógł zjeść wiele sztuk pływaków w ciągu jednego dnia, para z młodymi zaś miała szanse szybko ogołocić z nich nawet tak duże jezioro.

Jednak nawet jeśli to zrobią, ich młode nie miały wielkiej szansy na przetrwanie pory lodu. Były jeszcze za małe, by przespać najgorszy czas.

Ostry Nos siedział nieruchomo na gałęzi i przyglądał się śnieżnym łowcom z pewnym współczuciem. Te istoty były nieco bystrzejsze niż zabójcze kły. Oba dorosłe osobniki zdawały sobie mgliście sprawę, że ich potomstwo nie dożyje raczej cieplejszej pory. Wyczuwał ten niepokój w blasku ich umysłów. Bez konkretnych myśli, którymi mogłyby się podzielić, ale nawet śnieżni łowcy mieli emocje. W tym przypadku była to złość wywołana perspektywą prawie nieuniknionej utraty potomstwa.

To smutne – powiedział do brata.

Jeśli będą miały szczęście, śnieg spadnie późno i wtedy młode zyskają szansę.

A jak często śnieg się spóźnia?

Rzadko – przyznał Śmiejący się Jasno. – A jeśli w górach jest rzeczywiście tak trudno o zdobycz, kolejni śnieżni łowcy zjawią się tu niebawem ich śladem. A wtedy będą musiały walczyć o teren... i w obronie młodych. Mogą trafić nawet na zabójczego kła.

Ostry Nos aż położył uszy po sobie. Gdyby ktokolwiek chciał kiedyś przyrównywać śnieżnych łowców do Ludu, powinien zobaczyć, jak łatwo przychodziło im zjadanie młodych. Zabójcze kły zaś pożerały oczywiście wszystko, co tylko się nawinęło. Na dodatek dochodził jeszcze problem związany z faktem, że taka para śnieżnych łowców mogła szybko ogołocić

ze zdobyczy cały teren łowiecki klanu, i to w porze, gdy rodziło się coraz mniej zwierzyny.

Starsi nie będą szczęśliwi, gdy o tym usłyszą – zauważył Ostry Nos.

Gratuluje przenikliwości, bracie – rzucił Śmiejący się Jasno. – Nie wyobrażam sobie niczego, co bardziej mogłoby ucieszyć sąsiednie klany!

Może – odparł Ostry Nos. – Ale póki co proponowałbym ostrzec Tańczącą w Chmurach, żeby miała się na baczności.

To bardzo dobry pomysł, bracie. Bardzo dobry – zgodził się Śmiejący się Jasno. – Chociaż byłoby prościej, gdyby potrafiła po prostu usłyszeć głosy naszych umysłów.

Nie można mieć wszystkiego.

Zapewne nie, ale zawsze można pomarzyć – stwierdził Śmiejący się Jasno trochę nieobecny głosem, jakby myślami był już gdzie indziej. Z początku Ostry Nos nie rozumiał, co działo się z bratem, ale potem pojął i aż postawił ogon. Śmiejący się Jasno szukał blasku umysłu Tańczącej w Chmurach.

Przy takiej odległości był to raczej dziwny pomysł, nawet w przypadku łowcy... ale jeszcze dziwniejsze było to, że Śmiejący się Jasno znalazł to, czego szukał.

Nadchodzi z tego kierunku – powiedział, wskazując chwytną dłoń. – Jest po tej samej stronie jeziora co śnieżni łowcy.

To chodźmy jej na spotkanie – zaproponował Ostry Nos i skoczył lekko na sąsiednią gałąź drzewa sieciowego.



Honor przeszła w bród przez kanał wykopany przez bobry ileś lat temu. Był już mocno zamulony i niedługo miał całkiem zniknąć, ale nadal trudno

byłoby go przeskoczyć. Musiała ostrożnie wejść do wody, która sięgała jej do połowy łydki, dobrze ponad cholewki butów, a na dodatek śliskie dno wymagało starannego stawiania stóp. Balansowała więc z bronią na ramieniu, żeby nie upaść. Wylądowanie twarzą w wodzie byłoby zarówno nieprzyjemne, jak i upokarzające.

Chociaż i tak nikt by tego nie zobaczył, dodała w myślach. A jeśli zdołam wrócić do domu przed mamą, to będę mogła jeszcze się przebrać i umyć do czasu...

Uniosła gwałtownie głowę, gdy jakiś dźwięk przebił się przez szmer wiatru i szelest liści. Było to coś kojarzącego się jej z rozdieraniem płótna. Nigdy nie słyszała czegoś podobnego, ale nagle zrozumiała, co to było. Czowała, co się działo, i czym prędzej wygramoliła się na brzeg kanału.



Ostry Nosie!

Ostrzeżenie Śmiejącego się Jasno rozległo się za późno. Jego brat skoczył na solidnie wyglądającą gałąź, która jednak rozpadła się pod nim, ledwie na niej wylądował. Szkodniki wgryzły się w drewno, żłobiąc w nim tyle tuneli, że gałąź nie miała prawa wytrzymać. Młody treecat poleciał w pustkę.

W locie próbował jeszcze złapać się ogonem innej gałęzi, która znalazła się prawie na jego drodze, i przez moment Śmiejący się Jasno myślał, że wszystko będzie dobrze. Okazało się jednak, że Ostry Nos lepiej by zrobił, nie sięgając tej drugiej gałęzi, która też okazała się za słaba. Masa spadającego ciała oderwała ją od pnia i kawał drewna poleciał w ślad za Oстрыm Nosem, który wylądował dosłownie kilkanaście kroków od młodych niedźwiedzi górskich. Ten bliższy cofnął się przerażony i pisnął głośno, wzywając rodziców na pomoc. Zaraz potem gałąź spadła wprost na

Ostrego Nosa, który także zapiszczał boleśnie, czując, jak ciężar miazdży jego środkową obręcz miednicową.

Dorośle niedźwiedzie górskie drgnęły, słysząc wezwanie młodych. Te odsunęły się wprawdzie od rannego Ostrego Nosa, ale niewiele to znaczyło, skoro duże rzuciły się w stronę brzegu. Oczywiście przede wszystkim w celu obrony potomstwa, ale należało oczekiwać, że nie pogardzą też niespodziewaną przekąską.

Śmiejący się Jasno zbiegł po pniu drzewa sieciowego, nawet w pośpiechu starając się kontrolować każdy krok. Jeśli zdoła pierwszy dobiec do brata, pomoże mu schronić się gdzieś wysoko...

Nie! – zawołał Ostry Nos. – *Nie mogę ruszać łapami! Nie dam rady się wspiąć!*

Starszy brat zaprotestował stanowczo, ale Ostry Nos zebrał już siły i zaczął czołgać się w kierunku pnia szarego drzewa, ściętego przez budowniczych i pozostawionego tu do wyschnięcia. Miało średnicę równą połowie długości ciała Ostrego Nosa, który przecisnął się jakoś między sterczącymi gałęziami i znalazł nawet niszę pod pniem, w którą zdołał się wcisnąć. Śmiejący się Jasno odbierał ból targający ciałem brata, jednak ten nadal był całkiem przytomny.

Nie ma sensu, byśmy obaj tu zginęli – powiedział, gdy pierwszy z dorosłych śnieżnych łowców zaczął przedzierać się przez gałęzie szarego drzewa. – *Zostań, gdzie jesteś!*

Śmiejący się Jasno wiedział, że jego brat ma rację, ale w tej chwili niewiele to dla niego znaczyło.

Nie! – odkrzyknął. – *Nie zostawię cię!*

Nie rób tego! – wrzasnął w myślach Ostry Nos. – *Ani mi się waz!*

Ale było już za późno. Śmiejący się Jasno skoczył cały wściekły z gałęzi drzewa sieciowego prosto na grzbiet bliższego śnieżnego łowcy.



Honor była jeszcze z siedemdziesiąt metrów od sceny wydarzeń, gdy dojrzała treecata skaczącego z palikowca. Nawet po najeździe bobrów zostało tu jeszcze dość zarośli, by zasłaniały jej resztę, ale w sumie nie musiała tego widzieć. Wiedziała, co się stało. Jakimś cudem to wiedziała.

Serce podeszło jej do gardła, gdy kremowo-szary obrońca wylądował pewnie na grzbiecie niedźwiedzia górskiego. Wielkie stworzenie było prawie na trzy metry długie i musiało ważyć z pół tony. Zaskowyczało, gdy pazury treecata przebiły mu skórę, która była jednak nie tylko twarda, ale też pofałdowana, z grubą warstwą tłuszczu pod spodem. Kotowaty mógł zranić olbrzyma, ale nie był w stanie go pokonać, i sam dobrze o tym wiedział. Honor też to zrozumiała, ponieważ w tej właśnie chwili nagle poczuła w głowie jego obecność i wiedziała to samo co on. Że za kilka chwil przyjdzie mu zginąć.

Niedźwiedź górski zaczął krążyć w kółko, porzucając chwilowo tego drugiego treecata, o którym Honor także wiedziała już dość, a przede wszystkim to, że jest ranny i ukrywa się pod powalonym pniem. Drugi niedźwiedź był coraz bliżej, tymczasem pierwsza bestia spróbowała najpierw dosięgnąć napastnika pazurzastymi łapami, przed którymi treecat zgrabnie się uchylał, potem zaś warknęła sfrustrowana i rzuciła się na bok. Honor serce omal nie stanęło, gdy pojęła, że niedźwiedź chciał przetoczyć się na grzbiet i zmiażdżyć treecata ciężarem swego wielkiego cielska.



Śmiejący się Jasno słyszał rozpaczliwy protest Ostrego Nosa, ale ledwie go odnotował. Jego świat skurczył się do tego jednego miejsca, w którym ostre pazury na końcach silnych dłoni i stóp rozdzierały skórę śnieżnego łowcy. Jakimś sposobem udawało mu się unikać ciosów potężnych łap, które były jednak za blisko, żeby porządnie się zamachnąć. Słyszał piski bólu dzikiej bestii, gdy przemykał z grzbietu na jej szyję, stamtąd między przednimi łapami na brzuch, całkiem jakby biegał po pniu drzewa.

Nie miał czasu na zastanowienie, co właściwie robi. Reagował tylko spontanicznie i improwizował, żeby nie zginąć, jednak w całym tym szaleństwie nagle ujrzał siebie jakby z zewnątrz, cudzymi oczami. Dzięki temu zorientował się w porę, że śnieżny łowca chce przetoczyć się na grzbiet, i w ostatniej chwili zdołał z tegoż grzbietu umknąć.



Broń jakby sama znalazła się w rękach Honor.

Zupełnie nie pamiętała, kiedy właściwie po nią sięgnęła. Nie pamiętała, kiedy przesunęła bezpiecznik ani kiedy uniosła S&W do ramienia. Ale jakoś to wszystko zrobiła. Jednocześnie dowiedziała się o sobie czegoś, czego wcześniej nawet nie podejrzewała.

Była całkiem spokojna. Owszem, panika, przerażenie i lęk o treecaty też w niej były, ale chwilowo całkiem z boku, jakby bez znaczenia. Dłonie jej nie drżały, oddech miała prawie normalny, a myśli jasne.

Nie dostrzegła, w jaki sposób treecat uniknął zmiżdżenia, ale wiedziała, że mu się udało. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Na chłodno, precyzyjnymi ruchami przeniosła punkt celowania z niedźwiedzia górskiego, którego treecat zaatakował, na tego drugiego, który dostrzegł już miejsce lądowania rannego treecata i zmierzał w jego kierunku.



Śmiejący się Jasno krzyknął z bólu, lądując na ziemi.

Uniknął zmiżdżenia, ale jedna z łap napastnika zahaczyła go na tyle mocno, że złamała mu chyba kilka żeber i cisnęła wysoko w powietrze. Poleciał bezwładnie niczym szyszka pacnięta w zabawie przez młodziaka. Drugi raz zaboląo, gdy wylądował na jakimś głazie, łamiąc chyba przednią kończynę. Była bezwładna i całkiem bezużyteczna. Zdołał jednak jakoś się pozbierać i pokazał zęby, gotów do obrony. Akurat w porę, by dojrzeć pierwszego śnieżnego łowcę, którzy rzucił się na niego z otwartą paszczą.



Odrzut broni sprawił, że uderzyła Honor w ramię. Była w idealnej pozycji strzeleckiej, ze zwierzyną ustawioną bokiem do niej, i wiedziała dokładnie, gdzie powinna celować. Jasna kropka celownika Brownfield Holographic zatrzymała się dokładnie w połowie odległości między ramieniem i przednią miednicą bestii. Honor jeszcze przed naciśnięciem spustu wiedziała, że pocisk trafi dokładnie tam, gdzie trzeba. Wążący 19,5 grama ładunek przeszył odłamkami płuca i serce niedźwiedzia, w jednej chwili powalając go na ziemię, prosto na ten sam głaz, na którym wylądował wcześniej treecat.

Pozostały przy życiu dorosły niedźwiedź zawył wściekle, opuścił łeb i zaszarżował na nowego przeciwnika. Stawianie czoła takiej bestii na ziemi nie było wyzwaniem, o którym większość myśliwych skłonna byłaby marzyć. Jednak palikowce rosły w górze zbyt gęsto, żeby Honor mogła użyć swojego modułu i wznieść się wystarczająco wysoko. Przeliczyła więc z chłodną precyzją kąt strzału i prędkość celu. Próbowanie uników nie miałoby sensu, stała więc nieruchomo, starannie nakierowując punkt celowania na czaszkę niedźwiedzia. Zrozumiała jednak, że nawet pocisk z tak potężnej broni mógł zrykoszetować po grubej kości, i coś

powstrzymało jej palec w chwili, gdy zaczęła już naciskać spust. Zamarła na chwilę tylko, na ułamek sekundy, czując, że coś właśnie do niej dotarło. Coś, czego nigdy nie zaznała, ale z miejsca rozpoznała. A zaraz potem bestia uniosła łeb i ryknęła, rozdziawiając paszczę. Palec prawej dłoni sam nacisnął na spust.

Pocisk minął zuchwę i trafił dokładnie w sam środek piersi. Ryk przeszedł w kwilenie i bestia zachwiała się, postępując do przodu już tylko siłą bezwładu, nie kontrolując swoich ruchów. Honor bez trudu zeszła jej z drogi, cały czas wodząc za niedźwiedziem lufą broni. Ten minął ją na ostatnich nogach i padł na ziemię w drgawkach. Próbował jeszcze wstać, by jednak zabić tę dziwną istotę, ale gdy tylko trochę się unióśł, Honor wpakowała mu z odległości pięciu metrów drugi pocisk w prawe ucho, by definitywnie zakończyć już sprawę.



Śmiejący się Jasno! Śmiejący się Jasno!

Głos umysłu przywrócił go do przytomności, chociaż potrwało chwilę, nim połapał się, że to Ostry Nos go wołał. A skoro wołał, to musiał żyć. Jeszcze moment później dotarło do niego, że skoro słyszał wołanie brata, to sam musiał pozostawać przy życiu, chociaż zasadniczo nic z tego, co właśnie zaobserwował, nie było możliwe. Ostatnie, co zapamiętał, to że łowca zabity przez Tańczącą w Chmurach zatoczył się prosto na niego. Próbował odskoczyć, ale nie zdążył. Poczul się tak, jakby całe drzewo zważyło mu się na głowę, a dalej była już tylko ciemność.

W końcu zdołał otworzyć oczy i odkrył, że leży owinięty cienkim, ale wyjątkowo ciepłym kocem. To był koc dwunogów, zrobiony z jednego z ich magicznych materiałów. Potem zauważył, że lewą przednią kończynę ma usztywnioną patykiem, przyklejonym do sierści klejącą się taśmą,

używaną powszechnie przez dwunogów, gdy trzeba było coś do czegoś przymocować. Na koniec zaś dotarło do niego, że ten koc z nim w środku leży na kolanach dwunoga. Uniósł więc spojrzenie i... napotkał piwne oczy tego dwunoga...



– ...koordynaty – powiedziała Honor do rangera Służby Leśnej Sphinksa, którego twarz widziała na wyświetlaczu swojego komunikatora. – Jesteśmy jakieś sto osiemdziesiąt metrów na północ od tamy bobrów poniżej wodospadu Jessica na strumieniu Rock Aspen. Potrzebuję weterynarza specjalizującego się w treecatach. Mam jednego treecata ze złamaną przednią łapą i połamanyimi żebrami, który stracił na jakieś dziesięć minut przytomność. I drugiego ze zmiażdżoną środkową obręczą. Może mieć też obrażenia wewnętrzne, zatem pospieszcie się, proszę. I może przyślijcie też kogoś, żeby zabrał niedźwiadki.

Honor pomyślała, że jej głos brzmiał zdecydowanie zbyt spokojnie jak na kogoś, kto siedział pomiędzy dwoma martwymi niedźwiedziami górskimi, z parą ciężko rannych treecatów i osieroconym rodzeństwem młodych bestii, które wciąż jeszcze próbowały zrozumieć, co właściwie się stało, na dodatek.

– Wet już w drodze – oznajmił ranger McIntyre. Honor słabo go знаła, ale pamiętała dobrze ze szkolenia survivalowego, które prowadził. Wydawał się wtedy całkiem przyjazny i odetchnęła z ulgą, gdy właśnie jego twarz ujrzała, gdy odebrał połączenie. – Powinnaś zobaczyć jego wóz za jakieś piętnaście minut – kontynuował McIntyre. – Ale może wyjaśnimy to sobie raz jeszcze, panno Harrington. Mówisz, że zabiłaś tam dwa niedźwiedzie górskie, zgadza się?

– Wiem, że to nie sezon – odparła tonem obrony. – Ale nie miałam wielkiego wyboru. Chciały zabić treecaty, a potem pewnie dobrałyby się i do mnie.

– Och, to akurat rozumiem – rzucił McIntyre. – Nie rozumiem natomiast, co robiłaś tam sama. Przypuszczam, że nie powiedziałaś rodzicom o swojej wyprawie?

– Powiedziałam! – oburzyła się Honor. – Chociaż może nie wszystko – dodała, gdy ranger wyraźnie jej nie uwierzył. – I wszystko byłoby dobrze, gdyby treecaty nie wpadły w tarapaty.

– O, tego jestem pewien – mruknął McIntyre tonem, który sugerował coś wręcz przeciwnego. Potem odetchnął głęboko i pokręcił głową. – Chociaż tak sobie myślę, że w sumie chyba nie powinienem się dziwić powtórce tej skandalicznej historii, zwłaszcza w twoim wykonaniu!

Honor osłupiała. Nie mogła przypomnieć sobie niczego w swym dotychczasowym życiu, czym zasłużyłaby sobie na podobne potraktowanie. Siedziała więc tylko i tuliła do siebie rannego treecata owiniętego w koc i patrzyła na wyświetlacz. Drugi treecat wydał się zbyt ciężko ranny, żeby próbować go ruszać, wycięła więc tylko nożem kawał pnia, pod którym leżał, i okryła go swoją kurtką.

– Proszę nie patrzeć na mnie jak skrzywdzona niewinność, młoda damo! – rzucił z irytacją McIntyre. – Mam na myśli tradycję twojej rodziny!

Honor zamrugała i nagle zrozumiała, o co chodziło rangerowi. Ale przecież to nie miało żadnego sensu! Nie została adoptowana przez treecata i nawet wcale tego nie chciała! Starła się tylko pomóc i...

Popełniła ten błąd i spojrzała w dół.

Ujrzała parę trawiastozielonych oczu, jaśniejszych i ciemniejszych jednocześnie niż jakiegokolwiek morze. Bezwiednie zanurzyła się w tej

zieleni, zanurkowała w niej jak w bezdennej głębi. I w tej samej chwili poczuła coś jeszcze. A właściwie kogoś, kto sięgnął i dotknął jej myślą. Myśl ta była wyraźna niczym rozbrzmiewający tuż obok głos, chociaż nie odbierała go uszami. Był i jednocześnie go nie było, jak coś wyobrazonego, ale bardziej realnego jednocześnie niż cała znana jej rzeczywistość. Nic nie pasowało do tego, co Stephanie Harrington opisała kiedyś w swoim pamiętniku... ale jednocześnie było dokładnie takie jak w jej wspomnieniach.

Ale ja nie mogę zostać adoptowana, szepnęło coś w głębi jej ducha. To wszystko zepsuje, wszystkie moje plany, wszystkie...

Głos zamilkł, całkiem bez znaczenia wobec tego drugiego głosu, który był ciszą. Marzenia nadal trwały, i nadzieje, i cała determinacja... po prostu będzie musiała wprowadzić kilka zmian, bo teraz jej marzenia były bogatsze o to jedno. O to, bez którego żadne inne marzenie nie miałyby już sensu.

Ranger McIntyre nadal coś mówił, ale Honor już go nie słuchała. Myślami była z kimś innym. Przesunęła palcami po jedwabistych i pędzelkowatych uszach treecata... jej treecata, jakby były one czymś najcenniejszym w całym wszechświecie.



A tak się zarzekałeś, że nigdy nie zwiążesz się z dwunogiem – rozległ się naznaczony bólem i słabszy niż zwykle, jednak trochę rozbawiony głos Ostrego Nosa. – Zdaje się, że taki był twój plan?

Poczekam, aż wyzdrowiejesz, braciszku – odparł Śmiejący się Jasno. – A gdy będziesz już zdrowy, zapłacisz mi za to.

To nie był mój pomysł! – zaprotestował Ostry Nos, nie kryjąc jednak miłości, którą żywił do brata. Wzajemnej zresztą. – Mówiłem ci, żebyś nie

atakował tego śnieżnego łowcy! A ty okazałeś się na tyle głupi, by nie posłuchać mojej rady. I to nie moja wina, że gałąź pękła.

Może nie, ale to i tak nic ci nie pomoże. Od żartów to ja tutaj jestem i nie życzę sobie, by ktokolwiek żartował ze mnie. Czy ty, czy cała reszta świata. I nie mów mi, że cieszysz się już na myśl, że będziesz miał co opowiadać naszej Pieśniarce!

Ostry Nos bleeknął z rozbawieniem, naznaczonym jednak ukłuciem bólu, i sięgnął czule do blasku umysłu brata. Śmiejący się Jasno zawsze miał silny głos, ale teraz płonął on jaśniej niż odblask słońca na wodzie i z każdą chwilę stawał się potężniejszy.

Przykro mi, że twoje plany się posypały, starszy bracie – powiedział łagodnym tonem. – Ale myślę, że jeśli chodzi o Tańczącą w Chmurach, to miałeś rację. Ona jest prawdziwą córką Postrachu Zabójczego Kła... tak jak ty jesteś synem Wspinającego się Szybko. Oni wzlecieli wysoko, ale ty... ty wzleczisz jeszcze wyżej.

Chyba tak – odparł Śmiejący się Jasno, strzygąc uszami na dźwięk nadlatującej maszyny dwunogów. Skądś wiedział, że przybywa w niej uzdrowiacz, wezwany przez jego dwunoga, ale to było nieistotne. Na razie kąpał się w radości, która płonęła w niej i otulała go ciepłem odpornym na cały lód i śnieg tego świata. – Chyba tak – powtórzył. – Bo jest wiele światów, a Tańcząca w Chmurach chce je wszystkie zobaczyć. Trochę to potrwa, ale w końcu dopnie swego, bo ona nie wie, co to porażka. Więc zobaczy je, a ja zobaczę je wraz z nią i Lud otrzyma pieśń, której nigdy nie zapomni.

JOELLE PRESBY



Obowiązkowa służba wojskowa



Midszypmen Claire Bedlam Lecroix z Graysona przytknęła dłoń do płytki przy wejściu do trzeciego pomocniczego hangaru remontowego GNS *Ephraim* i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś stosownego do wymierzenia kilku ciosów. Zewsząd spoglądały na nią kpiąco same twarde powierzchnie. Ostatecznie zwinęła w tobołek dopiero co odebraną paczkę i ułożywszy go na blacie, uderzyła kilka razy pięściami w miękką materię.

Nie dało jej to satysfakcji porównywalnej z tą odczuwaną przy rozchlapywaniu wody w basenie na wyspie Saganami. W trujących oceanach Graysona nikt nie pływał, ale dla tych z Manticore, wychowanych na czystych i bezpiecznych planetach, taki basen był czymś całkiem naturalnym. Claire czuła się świetnie w ich społeczeństwie, które było odwrotnością jej świata. Bawiło ją, gdy grała w swojej wyobraźni rolę oficera mężczyzny, chociaż czuła, że w sumie jej płeć nie miała tam najmniejszego znaczenia. Co innego tutaj, na pokładzie *Ephraima*, gdzie co rusz powtarzała w myślach: „Tak, cioteczko Jezzy, wiem, że powinnam być mądrzejsza”, „Tak, Lucy, marzenia są zwodnicze, ostrzegając mnie przed powrotem do rzeczywistości”.

Sprawdziła raz jeszcze, czy na pewno zamknęła drzwi. Nie chciała, by ktokolwiek przyłapał ją na mówieniu do siebie w ataku frustracji. Wymierzyła tobołkowi jeszcze kilka ciosów.

Gdy chodziło o wymagany trening, Claire unikała zajęć na pływalni z obawy, że patron Burdette, albo jeszcze gorzej, cioteczka Jezzy usłyszeliby przypadkiem o nieprzyzwoicie obcisłych kostiumach

kąpielowych, które noszono tam całkiem bez żenady. Zamiast tego posłuchała porady Lucy i zapisywała się na kolejne kursy samoobrony. W ten sposób nauczyła się walczyć, ale pływała nadal wyłącznie „rozpaczliwcem”, czyli dzięki bezładnemu machaniu wszystkimi kończynami.

Ephraim nie miał basenu, powrót zaś na rodzinną planetę nie okazał się wcale tak szczęśliwą chwilą, jak Claire oczekiwała w momencie ukończenia studiów na wyspie Saganami. Ci z Manticore dostali od razu swoje przydziały i mogli spokojnie wypatrywać awansów na stopień podporucznika, podczas gdy ona musiała zameldować się na *Ephraimie* i trafić tu do działu utrzymania właśnie w czasie, gdy załoga okrętu zawałała koleje inspekcje. Ta paczka, którą tak maltretowała, zawierała jej mundur podporucznika. Mundur, którego może nigdy nie będzie miała okazji włożyć. Odetchnęła głęboko, otrząsnęła się i rozpakowała paczkę, żeby sprawdzić, na ile pogniotła swój uniform.

Mundury Marynarki Graysona były prezentem od żon patrona Burdette. W skład kompletu wchodziły pełne zestawy, wszystkie ze spódnicami, które Claire trzymała teraz w drżących dłoniach. Oczywiście, jakżeby inaczej. Żony takiego patrona znały przecież tylko najdroższe sklepy i nie wyobrażały sobie, że kogoś może nie być stać na krawca, by dostosować strój do swoich wymiarów. Pokładowe przepisy dotyczące ubioru przewidywały wzory nowych, odpowiednio skromnych spódnic, jednak fundatorki daru wiedziały, jak sobie z tym poradzić. Spódnice miały rozcięcia dające pełną swobodę ruchów przy zerowej grawitacji, ich końce zaś miały być wsunięte w cholewki butów tak samo, jak chowało się nogawki spodni. Tyle że w obecnym stanie taka końcówka wypełniłaby cały but, nie zostawiając już miejsca na stopę.

Być może szlachetne damy założyły, że od czasu otrzymania munduru midszypmena Claire magicznym sposobem dorównała wzrostem admirał Alexander-Harrington? Niezbyt interesowały się losem mieszkańców domeny, a jeszcze mniej mogły wiedzieć o rodzinie Bedlamów. I w sumie miały podstawy sądzić, że ktoś, kto był już prawie oficerem, będzie miał z czego zapłacić za skrócenie i obrębienie spódnic. Claire też oczekiwała, że tak będzie; ostatecznie minęło już prawie półtora roku od promocji jej rocznika 1920 na wyspie Saganami.

Znowu odetchnęła głęboko, starając się opanować wściekłość. Dzięki Testerowi sprawdziła stan konta ze stacji w mesie kawalerów, zamiast dowiedzieć się wszystkiego dopiero przy próbie zapłacenia krawcowi, który z miejsca uznałby ją za osobę niezdolną do spłacenia jakiegokolwiek kredytu. Wystarczyłoby mu jedno spojrzenie na jej skórę ze śladami kiepsko zaleczonego w dzieciństwie nowotworu, żeby uznać ją za odstępczynię i tym samym kogoś bez zdolności kredytowej.

Sklepiarze mieli zwykle sporo z kaznodziejów krążących po ulicach Burdette i ostrzegających ludzi przed podążaniem za fałszywymi bogami bogactwa i dostatku, ale ludzie rzadko brali to do siebie. Ostatecznie tacy odstępcy kończyli zwykle w samotności i upadku w miejscach w rodzaju Birdies Club. Nie zdarzało im się prowadzić intratnych interesów orbitalnych. Przecież nie zasłużyli na to, skoro odwrócili się od testu, zamiast stawić mu czoło. Chyba że można jakoś zyskać wybaczenie, błagając o wyznaczenie własnego testu? Claire bardzo na to liczyła.

Przelotnie zastanowiła się nad poproszeniem o pożyczkę którejś z kuzynek z Birdies, ale szybko porzuciła tę myśl. Nie wiedziała, czy dałaby radę wypłacić się w terminie, a na dodatek nie chciała, by reszta rodziny dowiedziała się, że w ogóle ma pojęcie, że takie dziewczyny były w ich rodzinie. Mogła liczyć na Lucy, która ciągle miała w sobie ten gniew,

który kazał jej kiedyś opuścić domenę, chociaż ich wspólna kuzynka Mary zła mała się i wróciła do domu.

Co gorsza, Mary z przykrą regularnością dostawała teraz napadów skruchy za grzechy i wyznawała je każdemu, kto chciał słuchać. Nie tylko własne zresztą. „Wszyscy” sprowadzali się z reguły do osoby Lucy, ale Claire nie chciała ryzykować kolejnej fali rodzinnych oskarżeń.

Gdyby to cioteczka Jezzy stała za całkowitym wyczyszczeniem konta Claire, to miałoby jeszcze jakiś sens. Oczywiście mógł zrobić to też jej kuzyn Noah. Claire zazgrzytała zębami i spróbowała przekonać samą siebie, że nastoletni senior rodu miał prawo do pewnych przywilejów.

Noah zgodził się na jej pracę poza domem i bez komentarzy podpisywał wszystkie konieczne przedłużenia terminów. Kim była, by wykorzystywać jego młody wiek przeciwko niemu?

Claire starannie ułożyła mundury na czystszy kawałku blatu i zastanowiła się nad samodzielnym skróceniem spódnic. Narzędzia, którymi dysponowała, były przewidziane do cięcia znacznie oporniejszych materiałów niż zwykła tkanina i w sumie nie okazało się to trudne. Gdy było już po wszystkim, zebrała ścinki. Było ich całkiem sporo i pomyślała nawet z uśmiechem na ustach, żeby zaproponować je Lucy jako materiał na jeden z jej kostiumów tanecznych. Ale Mary i tak nie zrozumiałaby żartu i zaraz chciała taki sam, oczywiście długi do kostek. Klub nazwałby to mundurem midszypmena i chłopcy na widowni byliby zachwyceni.

Claire wepchnęła skrawki do kosza na śmieci.



Otrzymawszy nagłe wezwanie, Claire prawie bez tchu stawiała się w wyłożonym boazerią sekretariacie przed kabiną służbową pierwszego oficera. Zdążyła przed dwoma innymi oficerami, którzy też byli na

rozpisce. Zastępca oficera taktycznego nadbiegł ostatni. Spojrzał na nią i lekko wydał wargi.

– Czy miała pani ostatnio jakąś wpadkę, o której powinienem wiedzieć?

Spróbowała odpowiedzieć mu bez pełnego złości cedzenia przez zęby.

– Nie wiem, dlaczego zostaliśmy wezwani, sir.

Z korytarza wyłonił się oficer pomocniczy, który zaraz wyciągnął chustkę i otarł czoło. Był w szytym na miarę szaro-zielonym garniturze, pasującym do koloru jego oczu i podkreślającym siwe nitki w jego czarnych włosach. Oficer wyraźnie schodził właśnie z pokładu, skoro był w cywilnym ubraniu. Widać chciał zrobić na kimś wrażenie. *Ephraim* dostąpił wątpliwego zaszczytu przyznania dodatkowego etatu inżynierskiego, stworzonego przez Dział Kadr z myślą o usprawnieniu usuwania awarii gnębiących nieustannie jednostkę. Pomocniczy mrugnął do niej żartobliwie i klepnął taktycznego w ramię.

– Claire jest zbyt porządna, by sprawiać kłopoty. Założę się, że pierwszy chce tylko załatwić jakiś drobiazg.

Miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Przebiegła w myślach listę swoich potencjalnych grzechów: była do tyłu z ilomaś elementami kursu na podporucznika (dobra, była z tym bardzo do tyłu), niosła niedawno paczkę, a jakiś pijak pomylił ją z Lucy.

Pijany przeprosił przez oficera dyżurnego, gdy tylko wytrzeźwiał, jej kuzynki zaś nie rozpowiadały o łączących je więzach krwi. Nie mówiły o tym nawet oficerowi pomocniczemu, który należał do dających najhojniejsze napiwki.

A te zaległości? Dlaczego niby pierwszy miałby zacząć przejmować się tym właśnie teraz?

Musiało chodzić o ten mundur. Claire zerknęła na insygnia, na które tak naprawdę jeszcze nie zasłużyła. I może nigdy nie zasłuży. Czyżby pierwszy miał jej za złe, że dostała tę paczkę?

Jasne, mógł mieć. Mógł rozzłościć się tak samo jak wówczas, gdy midszypmen Harris dostał od dawnych szkolnych kumpli paczkę zawierającą zdjęcia kobiet tej samej bez wątpienia profesji co Lucy i Mary.

Obaj mężczyźni stojący obok zabijali czas pogodną rozmową, wyraźnie nieświadomi niepokoju Claire. Zastępca taktycznego pozwolił sobie na uśmiech, ale spoważniał, gdy tylko na nią spojrział. Skorzystał z okazji, by spytać pomocniczego, skąd ta przebieranka. Z ich pogawędki wynikało, że tamten miał spotkać matki potencjalnych narzeczonych i oprowadzić je po stoczni Blackbird. Rzucił nawet Claire przelotny uśmiech, na który odpowiedziała, chociaż pewnie ćwiczył tylko przed zbliżającym się spotkaniem.

Taktyczny jeszcze bardziej zmarszczył czoło i teraz Claire się uśmiechnęła. Od kiedy jego żony ujawniły wszem i wobec, że nie są zadowolone z dochodów porucznika i mają obiekcje co do dzielenia tej sumy z trzecią jeszcze żoną, jego uprzejme relacje z młodą midszypmen, która była nominalnie pod jego opieką, stały się dość napięte.

Co to kwestii męsko-damskich, Claire starała się jak najdobitniej dać do zrozumienia, że interesuje ją wyłącznie podniesienie kwalifikacji do poziomu, który dałby jej szansę na przeniesienie do stoczni. W tej sytuacji uwagi żon pierwszego, że Claire nie prezentuje się na tyle dobrze, żeby zostać żoną oficera, też mogły pomóc, chociaż poza tym były ciężko wkurzające. Gdyby taktyczny miał mniejszą skłonność do kieliszka, nie gadałby tyle, że wszystkie kobiety tak samo wyglądają w ciemności, albo szeptałby trochę ciszej to, co potem pijany w sztok midszypmen Harris

powtarzał na całe gardło. Zaproszenie do następnego etapu dotyczyło lepszych od Claire, co w tych okolicznościach prawie sprawiło jej ulgę.

Z drugiej strony, praca wśród samych mężczyzn była dla Claire sporą odmianą na lepsze po młodości spędzonej w domenie Burdette, gdzie jak na całym Graysonie na każde trzy dziewczynki rodził się jeden żywy chłopiec. Doktor Allison Harrington, matka sławnej admirał Alexander-Harrington, znalazła na to lekarstwo, ale miało ono pomóc dopiero następnym pokoleniom. Nic nie mogło przywrócić do życia martwych braci Claire.

Mężczyźni z Graysona niezmiennie oczekiwali po niej, że będzie polować na męża, ale sami nie patrzyli tak oceniająco na innych jak graysońskie kobiety. Chociaż nie, patrzyli. Ale to było co innego. Midszypmen ostatecznie był od tego, by nieustannie podnosić swoje militarne kwalifikacje.

Lucy i Mary, tańczące w Birdies, były bliskie całkowitego odcięcia się od rodziny, jednak zawsze w wolne dni przed wyjściem z klubu na ulicę upinały włosy i malowały się. Spotykani tam mężczyźni patrzyli z potępieniem na każdą kobietę, która pokazywała się publicznie, nie dbając o swój wygląd. Claire raz wyszła bez makijażu, ale być może nie została uznana za kobietę.

Odruchowo stanęła na baczność, widząc, że drzwi do kabiny pierwszego się otwierają. Uśmiech widoczny zwykle na twarzy pierwszego dzisiaj gdzieś zniknął, zastąpiony jakimś nerwowym tikiem przy lewym oku. Obaj oficerowie też stanęli na baczność.

Claire próbowała się uśmiechnąć, ale miała wrażenie, że tylko pokazała zęby. Przesunęła językiem po wargach, gotowa do wstępnej pogawędki, ale zacisnęła usta, widząc spojrzenie pomocniczego.

– Co to jest? – spytał pierwszy oficer, wskazując na jej pakunek.

Zaczęła złożone wyjaśnienia, jak to żony patrona wysyłały jej od czasu do czasu mundury. Teraz, po wprowadzeniu nowych przepisów mundurowych też to zrobiły, ale na mundurze były insygnia podporucznika...

Pierwszy przerwał jej uprzejmym gestem. Taktyczny wciągnął powietrze, gotowy włączyć się oskarżycielskim tonem, ale na razie tylko wodził oczami między pierwszym a Claire.

Pierwszy wskazał na drzwi do swojej prywatnej łazienki.

– Proszę iść się przebrać.

Z technicznego jakby uszło powietrze i tylko zamrugał zdumiony.

Po chwili Claire wróciła z dwiema pozostałymi spódnicami owiniętymi w mundur midszypmena.

Mężczyźni pochylali się nad biurkiem pierwszego, podpisując jakieś dokumenty. Miny mieli nieszczególne. Pierwszy chodził w tę i z powrotem po swojej kabinie.

Obok drzwi leżały dwie torby. Jedna była na tyle zatłuszczona, że wyglądała jak torba Claire. Coś ścisnęło ją w żołądku. *Ephraim* miał następnego dnia opuścić stocznię. Skoro nie przydzielono jej dotąd kabiny, złożyła je w pustej szafce w hangarze numer trzy. Tak, to były bez wątpienia jej torby, ktoś musiał przynieść je do kabiny pierwszego.

Oficerowie skończyli studiować dokumenty i pierwszy przystawił na nich pieczętkę dowódcy. Claire przełknęła ciężko ślinę. Coś tu było bardzo nie tak. Kapitan Ayres przebywał akurat na urlopie, nikt nie odwołał go na razie ze stanowiska, a pierwszy od razu wysyłał dokumenty, nie zostawiając kapitanowi szansy na ich przejrzanie.

Potem obrócił się do Claire i wyciągnął dłoń.

– Gratulacje z okazji awansu, pani podporucznik.

A więc to były dokumenty zatwierdzające jej niezasłużoną promocję. Od razu poszły do Działu Kadr. Techniczny gapił się w ścianę, pomocniczy zdobył się na słaby uśmiech. Wygłosiła jakieś podziękowanie, które na pewno nie miało wojskowej formy. W środku była cała rozedrgana. Ostatni raz, gdy ktoś na tym okręcie dostał awans na podporucznika, odbywało się to uroczyście, a potem było jeszcze przyjęcie w mesie. A kapitan Ayres wygłosił przemowę o tym, ile to trzeba się napracować, żeby zostać porucznikiem.

Pierwszy zakaszłał.

– Jutro zamelduje się pani na pokładzie *Manasseha*.

Dodał jeszcze pospiesznie coś o obawach kapitana wobec kobiety na pokładzie podczas służby w próżni. Wyjaśnił, że kapitan Ayres domagał się przeniesienia Claire na stałe do stoczni Blackbird, ale skoro do transferów kwalifikowali się wyłącznie oficerowie, nadać bieg sprawie będzie można dopiero teraz. Był pewien, że zostanie rozpatrzona pozytywnie, zanim jeszcze ten drugi okręt opuści stocznię, chociaż kapitan Greentree nie cenił wypoczynku i nie rozumiał, ile można zyskać, kierując okręt co jakiś czas do remontu albo przeglądu.

Techniczny spojrział na nią z czystą złością i nawet pomocniczy był jakiś nieswój. Przez chwilę zastanawiała się, czego właściwie jej zazdrościli.



Podporucznik Claire Bedlam Lecroix opuściła swój pierwszy okręt bez jakiegokolwiek ceremoniału.

Stała sama ze swoimi torbami w hali przylotów na pokładzie modułu Alpha, centralnej części rozbudowanej stoczni Blackbird. Z lewej strony regularny wahadłowiec do Blackbird Bravo przyjmował na pokład kolorową zbieraninę zwykłych pasażerów i ludzi w mundurach marynarki,

udających się do rozrywkowych przybytków sekcji B. Lucy i Mary miały w swojej kwaterze nad klubem w B3 dość miejsca, by skombinować dla Claire jakieś łóżko, ale wyleciałaby ze służby, gdyby ktoś ją tam zobaczył i oczywiście pomyślał swoje.

Powrót do kabiny kawalerskiej był zapewne niemożliwy, skoro rano zeszła z pokładu i kwesura przepisała ją już gdzie indziej. Urzędnicy nie cierpieli kombinacji z dodatkowym przekazywaniem obciążeń i mogli albo ją odesłać, albo kazać wpisać opłatę obciążeniową do jej akt. Claire wolała pozostać w ich archiwach anonimowym numerem, zamiast ryzykować ich „troskę” i być może złość. Zatargała swoje bagaże do hali, gdzie znajdowały się bramki przypisane między innymi *Manassehowi*, i modliła się, by mieli tam jakąś wolną kabinę.

Czekała na wahadłowiec, zaciskając mokre dłonie na ciężkiej tkaninie spódnicy. Czuła strumyki potu spływające jej po plecach. Prymitywnie obrębione poły wrzynały się jej w kostki, ile razy się poruszyła. W duchu upominała się, że powinna przestać wywijać nogami jak oczekująca napiwków kelnerka i zachowywać się bardziej jak lady Harrington.

Gdy pracowała w restauracji cioteczki Jezzy, kelnerka była z niej żadna. W marynarce też niewiele lepiej sobie radziła, ale tu chociaż płacili porządniej. Claire powtarzała to sobie jak mantrę, by wytrzymać jedną turę. Spłacić Saganami i zwolnić się, by poszukać pracy w przemyśle kosmicznym. Gdzieś, gdzie przyjmowali kobiety. Dzisiaj jednak musiała tylko znaleźć jakieś lokum z dala od pokoju nad klubem.

Odbicie dostrzeżone w chromowanej ścianie sprawiło, że zastygła z wytrzeszczem oczu. Nie. Chociaż tak, to był on. Kapitan Matheson Ayres, dowódca GSN *Ephraim*. Stał obok niej i trochę z tyłu z dziwnym uśmiechem na wargach. Nie po raz pierwszy zastanowiła się, jakim cudem dostał pełnego kapitana, skoro dowodził tylko niszczycielem.

Zmusiła się do zachowania spokoju, chociaż jej myśli goniły jedna drugą.

– Czy zostawiłam coś na pokładzie *Ephraima*, sir?

Zaraz skrzywiła się w duchu. Nie mogła mieć niczego swojego na niszczycielu. Gdyby kapitan dowiedział się, że korzystała z szafki w mesie bosmańskiej, by trzymać tam lunch i zapasowe elementy munduru, pewnie zaraz wzięłby bosmana w obroty.

Ayres tylko zaśmiał się na jej słowa. Nie interesowały go takie drobiazgi. Bo i czemu by miały? Wiódł raczej proste życie. Tylko odstępcy w rodzaju Claire występowali przeciwko naturalnemu porządkowi. To musiał być dla niego szok, że w ogóle próbowała, ale teraz zjawił się czemuś i miała jeszcze jedną sposobność. Uśmiechnęła się do niego niczym do nieuprzejmego klienta.

Starła się opanować drżenie kącików warg, które psuło ten uśmiech. Wewnętrzny głos podpowiadał, że to właśnie nieumiejętność radzenia sobie z klientami sprawiała, że cioteczka Jezzy trzymała ją na zapleczu, przy naprawie zmywarek, chociaż mówiła, że to ze względu na dryg, który Claire miała podobno do sprzętów kuchennych.

Otworzyła trochę szerzej oczy, próbując jednocześnie przydać odcień nadziei swojemu głosowi.

– Musiał się pan chyba rozmyślić, sir. Nie będę przecież żadnym kłopotem. Sprawdziłam schematy instalacji wodociągowej okrętu po tym, gdy oficer pomocniczy powiedział mi o kosztach dodania kobiecej kabiny i toalety...

Kapitan skrzywił się, jakby doleciał go jakiś smród. Claire zająknęła się lekko, ale nie przerwała.

– Bo wie pan, sir, to byłoby niestosowne, gdyby młodszy oficer korzystał z toalety dla wizytujących okręt oficerów flagowych.

To nie działa, pomyślała. Ale przecież nie mogła się poddać.

Jej zdradziecki umysł nalegał na powtórkę z dawnych błędów nawet wtedy, gdy zaczęła opisywać, jakim modyfikacjom można by poddać okręt, by wykroić trochę prywatnej przestrzeni dla młodszego oficera, który był akurat kobietą.

Wszystkie nieporozumienia i naruszenia protokołu w kontaktach z oficerami *Ephraima* i ich żonami mieszały się jej w głowie ze wspomnieniami z czasu pracy u cioteczki Jezzy, która zawsze trzymała ją na zapleczu. Czy była to restauracja, czy wózek na ulicy, czy stoisko. Claire naprawiała sprzęt i pilnowała, by nic nie zniknęło. Na salę trafiała tylko przy rzadkich okazjach, gdy naprawdę nie było żadnego kelnera na zmianie albo goście nazbyt dopisywali. Wtedy szła, by rozmawiać z klientami, próbować zbierać zamówienia, napełniać kufle albo sprzątać ze stołów. Ale mniejsza o dawne błędy; teraz musiała spróbować przekonać kapitan Ayresa, by zabrał ją z powrotem, by mogła stawić czoło testowi pomimo dodatkowych międzyludzkich problemów, które boski Tester dodał do tego, co spotykało każdego mężczyznę i każdą kobietę.

Zakończyła konkretami.

– Tak więc wzięłam plan trzeciego zapasowego i pomyślałam, że dałoby się urządzić toaletę w dodatkowym schowku za szafką medyczną i wpasować tam jeszcze pryczę i szafkę służbową. I to by nawet nie kosztowało wiele austinów. W sumie oszczędności płynące z użycia tego drugiego dystrybutora zapasów żywnościowych, jak pokazał to panu parę miesięcy temu, z nawiązką by to pokryły. – Poprawiła błędny uśmiech. Zakończ mocnym akcentem. To bardzo ważne, cioteczka zawsze to

powtarzała. – Zatem mam zająć z powrotem moje miejsce na pokładzie *Ephraima*? Nie chciałabym opóźnić wylotu.

Kapitan Ayres tylko wywrócił oczami.

Potem spojrzał gdzieś ponad głową Claire.

– Cześć, Phin. Przyszedłem, żeby osobiście cię przeprosić.

Obejrzała się szybko przez ramię i zrobiło się jej zimno. Kilka kroków dalej stał całkiem zwyczajnie wyglądający starszy bosman z trochę poczochną czupryną i lekko haczykowatym nosem, ale Ayres nie mówił do niego, tylko do komandora, wysokiego i dobrze zbudowanego mężczyzny, który wyglądał, jakby właśnie zszedł z plakatu werbunkowego. Nosił ciemnoczerwony mundur ze złoceniami, mundur Protector's Own. W rękę trzymał teczkę z wyszytym emblematem GNS *Manasseh*, na rękawach miał trzy złote kręgi, co kłóciło się z jego młodą twarzą i jedwabistym blaskiem krótko przyciętych włosów. Na plakietce na jego piersi widniało „Greentree, Phineas”.

Claire zatkało. Ten przewspaniały oficer w barwach domeny Mayhew Protektora Benjamina IX musiał być dowódcą *Manasseha*.

Kapitan Ayres odpowiedział na jego salut.

– Mam nadzieję, że przekażesz moje przeprosiny także Elsabecie i Annette Marie. Wiem, że moja Jennie była przerażona, gdy Dział Kadr przysłał mi... – Tutaj wskazał na Claire, ale miłosiernie zachował dla siebie epitet, którym zamierzał ją określić. – Powiedziałem komendantowi stacji, żeby znalazł jej jakieś zajęcie z dala od moich chłopców. Willard nawet się postarał, ale słyszałem, że jacyś cudzoziemcy z Protector's Own się do niego przyczepili. Bez obrazy, Phin, wiem, że ty nie jesteś taki jak oni. Po prostu noszą akurat twój mundur.

Bosman stał w półregulaminowym „spocznij” i patrzył obojętnie w sposób typowy dla podoficerów mających za sobą lata służby i nauczonych ignorować każdą wymianę zdań między oficerami, chociaż lekkie drgnienia powiek sugerowały, że jego zdaniem ta akurat odbiega od standardów wojskowej uprzejmości.

Kapitan Ayres przerwał tylko dla nabrania oddechu.

– Niełatwo jest być dzisiaj normalnym oficerem Marynarki Graysona.

Claire przebiegła w myślach listę jednostek GSN i Protector’s Own, którą zapamiętała jeszcze w akademii. *Manasseh*, podobnie jak *Ephraim*, nie miał żadnego szczególnego przydziału, nie należał do elitarnej eskadry podległej bezpośrednio Protektorowi Benjaminowi Mayhew. To oznaczało, że Phineas Greentree został tylko wypożyczony z Protector’s Own, by uzupełnić braki kadrowe GSN.

Komandor Greentree wysłuchał z uprzejmym i opanowanym uśmiechem wszystkiego, co kapitan Ayres miał do powiedzenia na temat przeniesienia Claire czy nawet jej istnienia na tym padole. Na wyspie Saganami był midszypmen nazwiskiem Greentree, jak sobie przypomniła. Niżej od niej i też z Graysona. Claire zgrzytnęła zębami na myśl, że znowu miała trafić na okręt dowodzony przez kogoś zainteresowanego zachowywaniem tradycji rodzinnych.

Familia Bedlamów dość już oberwała w imię utrzymania tradycji i tym samym rozwinęła sporą rezerwę wobec tematu. Egalitarne zasady służby sprawdzały się może czasem w Królestwie Manticore i pięknie mówiono w nich na wyspie Saganami, ale cioteczka Jezzy nauczyła Claire, że lepiej nie wierzyć w bajki.

Kapitan Ayres dość często powtarzał, że jego zdaniem kobiety nie powinny wkładać munduru. Jego rodzina służyła jeszcze pod kapitanem Hugh Yanakovem i brała udział w podróży kolonizacyjnej na Graysona,

zatem Ayres wiedział, co mówi. Fakt, że wszystkie rody Graysona wywodziły się z tamtego statku, który przyleciał tu pilotowany głównie przez automaty i z załogą oraz pasażerami w stanie hibernacji, nie był przy tym brany pod uwagę, Claire zaś nie próbowała poruszać tematu. Wiedziała już, że byłby to daremny wysiłek.

Ayres doznał wreszcie do finału.

– I nie traktuj jej gadania zbyt poważnie. Obserwowałem ją. Nie dopuściła do siebie żadnego z moich chłopców, chociaż miała propozycje. Ani oficerów, oczywiście, chociaż na to pewnie się nastawiła i niektórzy mieliby nawet zabawę, gdyby jednak. Jest strasznie naiwna. To, co słyszałeś, że to była jej propozycja urządzenia gniazdko miłosnego na pokładzie okrętu. Naiwna. Sądzi, że ktoś byłby na tyle głupi, żeby pozwolić jej na spanie w osobnej kabine midszypmena, gdzie nie dałoby się jej porządnie pilnować.

– Midszypmena? – spytał komandor Greentree, przenosząc spojrzenie na Claire. – Nie ma pani właściwego munduru czy jest jednak podporucznikiem?

Claire była pewna, że jej twarz przybrała już szkarłatną barwę.

– Ja... bo... – Spojrzała na kapitana Ayresa, który zachował na tyle przyzwoitości, by chociaż lekko się zarumienić.

Wzruszył ramionami w zdecydowanie niewojskowy sposób i machnął ręką na Claire.

– Sama się prosiła, Phin. Nie zamierzałem zatrzymywać jej na pokładzie, ale był już czas. Większość z jej grupy dostała stopień podporucznika i kadry też pytały. Chcieli wyjaśnienia, dlaczego nie otrzymała awansu podczas pierwszego roku służby, żeby dać to do jej akt. No to trzeba było coś zrobić. Myślałem, że jeśli wszyscy we flocie

będziemy trzymać sztamę i nie awansować tych biednych dziewczyn, które wpakowano w całe to bagno, no to rodziny będą musiały w końcu je zabrać i wyprostować im życiorysy. Mój pierwszy wpadł na ten pomysł, że gdyby została na Blackbirdzie, z czasem mogłaby zostać przesunięta do działu... rozrywkowego. Ale żeby w ogóle zacząć, musiała awansować na oficera, bo innych transferów nie ma. No i tak... – Wzruszył ramionami. – Przepraszam. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, Phin. Zawsze możesz ją zdegradować.

– Twój pierwszy. Jasne – powiedział komandor Greentree przez zaciśnięte wargi. – Sir.

Claire zrobiło się niedobrze. Dowódca *Manasseha* wyglądał na równie wściekłego jak niedawno techniczny.

– Czy pełniła pani chociaż wachty? – W małym akcie miłosierdzia komandor Greentree przestał odgrywać gwiazdę mediów, ale Claire była bardziej pod wrażeniem tego, z jakim brakiem szacunku potraktował kapitana Ayresa. Potem przypomniała sobie jednak, że druga żona dowódcy *Ephraima* to Jennie Greentree Ayres, co oznaczało, że wszystko zostawało w rodzinie i nie było się czemu dziwić.

Kapitan Ayres nie zauważył w tej rozmowie niczego szczególnego.

– Wachty? Oczywiście, że nie. Ten awans był tylko na papierze. Nie miałem pojęcia, że odmówi podpisania wniosku o przeniesienie i będzie chciała dalej służyć na okręcie.

Claire zamrugała zdumiona. Nie przypominała sobie, żeby odmówiła złożenia jakiegoś podpisu. W ogóle niczego dziś rano nie dostała do podpisania. Co mógł nagadać o niej pierwszy?

– Każda normalna kobieta zrozumiałaby, że nie możemy pozwolić jej łązić, dokąd wola i ochota, jak robią to na Manticore. Sam wiesz, jakie one

czasem miewają pomysły. W łóżku to nawet dobre, ale na pokładzie się nie sprawdza.

Kapitan Ayres w końcu zmęczył się tematem. Komandor Greentree chyba na to właśnie czekał. Usłyszał jeszcze jedne niezręczne przeprosiny za zrzucanie problemu na barki szwagra, chociaż to Williard miał się wszystkim zająć w ramach działu utrzymania Blackbirda. I byłby właściwą osobą, skoro czuł się rzecznikiem cudzoziemskich zwyczajów zaprowadzanych przez Protektora.

Ostatecznie Ayres skłonił głowę, ostatni raz przeprasząc, i odszedł.

Komandor Greentree spojrział na Claire. Chyba trochę zbyt oceniająco. Rozluźnił mięśnie twarzy, by nie zgrzytać zębami albo nie skrzywić się mimowolnie. Może chodziło o jej brzydotę i ślady raka skóry, leczonego bez wielkiej troski o późniejszy wygląd pacjentki. I tak wyglądała nie najgorzej jak na kogoś biednego z domeny Burdette, gdzie oferty małżeństwa nie były dość obiecujące, żeby jej rodzina ryzykowała pożyczkę na operacje plastyczne.

– Dlaczego nie nosi pani chociaż makijażu? – spytał jej nowy dowódca.

Oczywiście, że nosiła. Ale niewiele to dawało. Claire uśmiechnęła się w pokorny sposób, którego nauczono ją w domenie.

– Nic mam nic na swoje usprawiedliwienie, sir.

Komandor Greentree spojrział ze złością na oddalającego się szwagra.

– Proszę zgłosić się do działu medycznego w sprawie podstawowej kuracji. Jennie ciągle pisze o tym Elsabecie, wiem więc, że mają tam dermatologa, chociaż zdaniem Jennie poczekalnia nie dorasta do tego, co mamy w domenie.

Claire otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Greentree ciągnął dalej:

– Nie możemy pozwolić, aby ci z Manticore doszli do wniosku, że każemy naszym służyć z niezaleczonymi obrażeniami odniesionymi podczas służby. I to takimi, z którymi łatwo można sobie poradzić. A swoją drogą, co się stało? Przewróciła się pani w maszynowni?

Claire spłoniła się na sugestię, że była tak niedbała. Ostatni raz miała nawrót nowotworu w wieku pięciu lat.

Greentree pokręcił głową.

– Ale mniejsza z tym. Naucz się pani. Dopilnuję tego. Ale teraz proszę zająć się swoim wyglądem. Ekspozowanie śladów dawnych błędów nikomu nie służy. Słyszysz pani?

– Aye, sir. – Tyle tylko udało jej się wykrztusić. Gotowa byłaby wyjaśnić nieporozumienie wynikłe z mylnych założeń dotyczących jej powierzchowności, ale w tej chwili wolała wykorzystać sposobność, by upomnieć się o coś innego. – Kiedy mam zgłosić się na wachtę, sir?

– Jaką wachtę?

– Oficerską.

Komandor Greentree poruszył nerwowo nozdrzami.

– Jest pani oficjalnie podporucznikiem. Przypuszczam, że grupa zaszeregowania też została już zmieniona. Jeśli nie, mój pierwszy się tym zajmie. Tak czy siak, zgodnie z dokumentami przeniesienia podpisanymi przez kapitana Ayresa melduje się pani jako podporucznik. Ale musi się pani jeszcze tego nauczyć. Proszę nie upadać zbyt często na twarz przy ludziach. Zajmiemy się pani przekwalifikowaniem i pewnie zaczniemy od wacht. – Skrzywił się lekko i mruknął pod nosem nazwisko swego szwagra. Zabrzmiało jak przekleństwo. – I proszę nie oczekiwać ode mnie awansów – dodał tonem nawykłym do wydawania rozkazów.

Claire udało się zapanować nad twarzą. Ostatecznie komandor Greentree machnął ręką na znak, że mają wsiadać. Bosman Wallens też się z nimi zabrał. Mając wreszcie okazję do rozmowy bez udziału dowódców, Claire przedstawiła się i spytała, do kogo na pokładzie powinna się zgłosić, by przydzielono jej miejsce do spania. Bosman od razu poinformował ją, jaki otrzymała przydział, wręczył naszywki okrętu, które powinna umieścić na swoim mundurze, i dał nowego służbowego kompa ze schematem jednostki oraz materiałami do nauki. Claire najchętniej by go uściskała.



Atmosfera podczas lotu była swobodna na tyle, że Wallens zabawiał Claire anegdotami na temat załogi i spytał nawet o jej rodzinę i domenę. Claire ominęła kwestie cioteczki Jezzy i Noaha i zamiast tego opowiedziała o patronie Burdette.

Bosman zapunktował u niej, gdy bez mrugnięcia okiem przyjął wzmiankę o zgasłym tragicznie lordzie Williamie Fitzclarensie, patronie Burdette. Lord Burdette dał najgorszy pokaz niewłaściwego zachowania patrona w najświeższej historii i wyzwiał na pojedynek patronkę Harrington, reprezentującą Protektora Benjaminą. Wyzwał i przegrał. Z fatalnym dla siebie skutkiem.

Nowy patron Burdette, Nathan Fitzclarens, reprezentował inne podejście. Wysyłał kobiety na wyspę Saganami. Demonstrował w ten sposób pojednanie z Protektorem Benjaminem IX oraz pośrednio z admirał Harrington. Nie krył jednak, że nie oczekuje wcale po trzech wyznaczonych przez siebie kobietach, by ukończyły akademię. Za cenniejszą miał możliwość wpisania sobie tej akademii do papierów, bo przecież każda z nich będzie oczywiście chciała jak najszybciej założyć rodzinę. Była to więc przysługa z jego strony, uprzejmość wobec ojców tych kobiet, za którą

same kobiety powinny być wdzięczne. Claire, która dobrze pamiętała rady cioteczki Jezzy, nie dodała w tym miejscu, że wobec braku ojca, który już nie żył, oraz większości kobiet w rodzinie Bedlamów, wciąż niezamężnych, rolę głowy rodu pełnił jej młody kuzyn Noah.

Lord Burdette uzasadniał swoje postępowanie twierdzeniem, że przecież nikt nie może oczekiwać po kobietach z Graysona, że zaczną nagle zachowywać się jak Harrington. Ona była istotą cudowną, wyrastającą ponad swoją płęć, admirałem obu flot, czyli zarówno Królewskiej Marynarki, jak i Marynarki Graysona, i żadna kobieta nie mogła jej dorównać. Była nawet patronką. Lord Nathan nie potrafił więc mówić o niej inaczej, skoro został tak wychowany, by z czią traktować każdego patrona. Nawet teraz, po wielu latach, wciąż zdawał się utrzymywać ten poziom patosu.

Claire dopiero na Saganami zrozumiała, o co chodziło w tamtym pojedynku. Oglądała wysokiej jakości transmisję na żywo, którą emitowano na ogólnoplanetarnym kanale. Pojedynek skończył się hańbiącą śmiercią patrona Burdette oraz powszechnym zakłopotaniem. To było coś, co trudno było wytłumaczyć dzieciom. Istniały lepsze nagrania, ale wśród nienawykłych do prawdziwej walki studentów uczelni wojskowej najbardziej popularne było to szczególnie krwawe. Kamerę nie najlepiej ustawiono i niewiele było słycać poza epitetami, którymi lord Burdette obrzucał patronkę Harrington, i pewnie mało kto by je lubił, gdyby nie ostatnie sekundy. Plecy patrona wypełniały niemal cały kadr, dając dobry widok na dwanaście cali stalowego ostrza, które dokonało dekapitacji lorda po potężnym zamachu Harrington.

Pozostałe dwie kandydatki z domeny Burdette opuściły krótko potem wyspę Saganami. Rodziny znalazły dla nich coś lepszego. Claire widziała

potem jedną z nich, gdy szła z mężem, starszą żoną i kilkorgiem dzieci. Claire została w akademii. Nie śmiała zrobić inaczej.

Wstępna propozycja przewidywała uzyskanie pełnego etatu w Marynarce Graysona i wszystkich należnych dodatków za służbę w próżni. Gdy Claire została przyjęta na wyspę Saganami, mając perspektywę uzyskania patentu oficerskiego, jeśli ukończy studia, ciocieczka Jezzy i cała reszta rodziny zaraz wdała się w dyskusję, czy Claire nie powinna jednak zrezygnować, gdyby akademia okazała się zbyt surowym miejscem dla wrażliwej kobiety. Kobiety były dość jednomyślne. Może zrezygnować, jeśli nie wytrzyma, ale wracając, będzie musiała poszukać sobie innej rodziny.

Tester dawał przeciętnemu rodowi porównywalną szansę raz na siedemnaście pokoleń. Jeśli krewne rozumiały z grubsza, dokąd Claire miała trafić, chociaż pewnie one wysłałyby... Ale cóż, może faktycznie nie było w rodzinie nikogo lepszego. W każdym razie Claire nie miała prawa tego spieprzyć.

W rodzinie Bedlamów od pokoleń nikt nie zdobył średniego wykształcenia. Claire nie przypominała sobie nawet, by ktokolwiek próbował. Jeszcze niedawno byli rodziną Lecroix, ale ojciec Claire zginął w wypadku przemysłowym, gdy miała dziewięć lat. Jak w większości rodzin, nie było u nich wielu mężczyzn. Gdy zginął, jego siostry były już zamężne i nosiły inne nazwiska.

Bedlamowie w ogóle byli tacy sobie. Nie pomagało także i to, że Claire była jedynym dzieckiem. Jej matka próbowała, jak mogła, i te trzy razy nawet się jej udało, ale bracia Claire urodzili się martwi. Lekarstwa, kuracje i matki zastępcze, to wszystko było dostępne, ale dla bogatych. Pensja technika na farmie żywności w domenie Burdette nie miała prawa na to wystarczyć.

Ale w Marynarce Graysona to było standardem. Pensja i pakiet zdrowotny. Nie trzeba było nawet należeć do elitarnego Protector's Own. Było dla wszystkich. Bedlamowie długo roztrząsali to w najdrobniejszym szczególe i zachwycali się tą zmianą. Nawet Noah dał się ponieść radości.

Claire słyszała, że rodzina chciała ulokować go w Marynarce Graysona. Stawił opór. Claire nawet mu się nie dziwiła. Grayson Space Navy to była praca. Noah zaś był nawet miły, ale nigdy nie robił więcej, niż absolutnie musiał. A poza tym lubił stąpać po ziemi, nie mając, jak to określił, nieskończonej pustki pod stopami. Claire dla odmiany bardzo się podobało, że tak wiele pustki odgradzało ją od skażonej ciężkimi metalami powierzchni planety.



Na *Manassehu* okazało się, że plakietka Claire wisi już na drzwiach przydzielonej kabiny. Była lśniąca, ze starannie wygrawerowanymi literami. Uff, co za ulga. Dopiero po chwili Claire przeczytała napis widniejący poniżej: podporucznik Cecelie Rustin.

Sploniała się. Słyszała o tej dziewczynie; była na Saganami rocznik niżej. Na wyspie studiowała cała masa obywateli Graysona, ale w większości mężczyzn. Kobiet tylko garstka. Mimo to chłopcy jakby ich nie rozróżniali, przypisując im zbiorowo wszystko, cokolwiek zrobili indywidualnie. Przedstawiciele własnej płci nigdy nie traktowali w tak ogólny sposób. Claire próbowała sobie przypomnieć, o co ją oskarżano, przypisując jej sprawki Rustin. Ale teraz pamiętała tylko, że dziewczyna była rok niżej.

Niemniej awansowała już na podporucznika. Przykre i upokarzające dla Claire. Musiała się wykazać, skoro tak szybko dostała awans.

Claire liczyła pospiesznie w myślach. Nawet jeśli Rustin należała do tych, którzy od początku interesowali się przyszłym przydziałem,

i wykorzystywała przerwy w nauce, by spędzać je na okręcie i jak najlepiej go poznawać, mogła tu być co najwyżej połowę tego czasu, który Claire zabrało dojście do awansu. Wściekła i zawstydzona weszła do swojej nowej kabiny, niemal klinując się z torbami w drzwiach.

Czy Rustin była w tej drużynie triatlonowej, która wygrała niespodziewanie, wyprzedzając zwykle zwyciężających zawodników z ciężkich planet? A może kuła jak szalona, zapisując się na dodatkowe kursy i wiecznie zamęczając wykładowców pytaniami, które nie miały nic wspólnego z materiałami do egzaminów?

Spryciara Rustin siedziała przygarbiona przy swoim terminalu, plecami do drzwi. Kabina była zdecydowanie mała. Claire ogarnęła ją spojrzeniem, szukając miejsca na swoje bagaże, i wtedy Rustin się poruszyła.

Z szerokim uśmiechem, który Claire z miejsca uznała za nieszczerzy, przywitała ją uprzejmie i wdzięcznym ruchem zerwała się z krzesła. Musiała mieć to wyćwiczone. Claire oczekiwała, że zaraz usłyszy łomot krzesła przewracającego się na metalowy pokład, jednak Rustin tylko sięgnęła ręką za siebie i przytrzymała je. Trafiła bez pudła, nawet nie próbując się obejrzeć.

Claire też uśmiechnęła się odruchowo i coś tam odpowiedziała, ale Rustin tokowała radośnie przez kilka minut, jaka to jest zachwycona, że na pokładzie wreszcie pojawiła się druga kobieta, bo dobrze mieć przyjaciółkę, chociaż chłopaki z załogi też są oczywiście przyjaciółmi, jednak to nie to samo, bo więź między kobietami zawsze jest szczególna, a przynajmniej tak mówi komandor Greentree.

Wzmianka o zdecydowanie zbyt przystojnym komandorze sprawiła, że Claire zacisnęła usta i Rustin zamilkła. Wyglądała na zmieszaną, jakby nie czuła chwilowo tej „szczególnej więzi”. Jednak gdy Claire rozluźniła się, Rustin uspokoiła się i wznowiła werbalną ofensywę.

Claire szybko doszła do wniosku, że w zasadzie nie musi jej odpowiadać, i zajęła się poszukiwaniem wolnych szafek, żeby się rozpakować i złożyć torby. Rustin zareagowała natychmiast, ledwie zobaczyła, że jej nowa współlokatorka rozpina pas pierwszej torby. Otworzyła wszystkie puste szafki, a potem także swoje, proponując, że w razie gdyby Claire chciała je zająć, przeniesie rzeczy.

Gdy doszły do faktu, że Rustin jest z wcześniejszego rocznika, na chwilę zrobiło się trochę niezręcznie, ale krótki uśmiech Claire zażegnał kryzys i Rustin zaraz zaczęła narzekać, jak to trudno jest midszypmenowi, gdy okręt przebywa w stoczni i brakuje okazji do poznawania systemów pokładowych. A potem gładko przeszła do komandora Greentree. Była to spora ekwilibrystyka, ale Claire nie próbowała nawet szukać logiki w jej wywodach. Rustin wierzyła najwyraźniej, że to jej dowódca poprosił Dział Kadr o przydzielenie jeszcze jednej kobiety na jego okręt.

Teoria, że kobiety winny żyć w grupach, współgrała doskonale z małżeńskimi doświadczeniami komandora Greentree. Jego pierwsza żona, Elsabeta, była podobno bardzo nieszczęśliwa, gdy przyszło jej pełnić rolę jedynej małżonki wschodzącej gwiazdy marynarki wojennej. Drugie małżeństwo, z Annette Marie, zdecydowanie zmieniło ich życie na lepsze.

Niemniej i tak doszło do niejakiego pomieszania ról, które Rustin opisała tylko pośrednio. Jak Claire już zauważyła, jej współlokatorka miała zwyczaj topić istotne, ale delikatne kwestie w całym morzu słów. Jednak z tego, co udało się jej wyczytać między wierszami, wynikało, że chociaż to od starszej żony wszyscy oczekiwali wypełniania obowiązków towarzyskich, młodsza małżonka miała ku temu o wiele lepsze predyspozycje i ogólnie lubiła taką aktywność, podczas gdy Elsabeta wolała zostawać w domu, najchętniej z kotem albo książką. Tym zaś, którym się to nie podobało, gotowa była dosypywać sproszkowanych

kocich odchodów do herbaty, gdyby musiała ją podawać podczas wymuszonych na niej popołudniowych spotkań dam z towarzystwa.

Claire zdołała wtrącić kilka pytań. Tak, kocie odchody to nie był wymysł Rustin, potwierdzały to co najmniej trzy znane jej osobiście żony innych oficerów. Ponadto, jak odkryła Rustin, wszystkie one, poza Elsabetą, były zdecydowanie do wymanewrowania, chociaż w komplecie starały się zdobyć laury mistrzyń publicznego patroszenia wrogów.

Claire, która miała już skatalogowane wszystkie spontaniczne rumieńce pojawiające się na kremowej twarzy Rustin, jak i sposoby, w jaki jej blond loki próbowały co rusz wymknąć się spod kontroli, była już prawie pewna, że Klub Żon *Manasseha* okrzyknął podporucznik Cecelie Rustin wrogiem numer jeden, i to zapewne już w chwili, gdy szanowne żony pierwszy raz miały okazję ją ujrzeć. Czysty instynkt samozachowawczy połączony z perspektywą nieuniknionych długich rozstań musiał zrodzić w nich nienawiść wobec tej dziewczyny. Nie dość, że ich małżeństwom zagrażały kurwy ze wszystkich planet znanego wszechświata, to jeszcze pojawiła się kobieta mająca towarzyszyć ich mężom w tych podróżach. Claire zrobiło się nawet w pewnej chwili przykro, że klub żon *Ephraima* tak łatwo zaakceptował jej obecność na pokładzie.

Gdy Claire kończyła układać mundury w szafkach, Rustin była uprzejma zachwycić się wykończeniem spódnic za pomocą przemysłowej taśmy. Potem pokazała towarzyszce wyrafinowany zestaw do szycia w rodzaju tych, które Claire widywała u żon patrona Burdette podczas obowiązkowych wizyt.

Były to przedmioty zbytku, które służyły do marnowania czasu na coś, co w kilka sekund można było zrobić maszyną. Prawdziwe artystki używały ich do szycia jedynych w swoim rodzaju kreacji, noszonych przez najmodniejsze żony patronów. Rustin zaraz wyjęła taśmę ze znakiem

najlepszej pasmanterii Graysona i przełożyła ją do drugiej ręki, gotowa od nowa obrębić spódnice.

Claire wyjęła jej nożyczki z ręki.

Te mundury były zbyt drogie. Nie mogłaby patrzeć, jak leworęczna szwaczka amatorka będzie się nad nimi pastwić z użyciem narzędzi przewidzianych dla osób praworęcznych. I jak bierze się do cięcia materiału bez wcześniejszej przymiarki. Rustin przyjęła to bez urazy i wspomniała nawet, że jeden komplet munduru całkiem sobie w ten sposób spaprała. Dopiero potem matka przysłała jej zestaw do szycia i dwa dodatkowe mundury, by mogła się czegoś nauczyć.

Claire zachichotała na myśl, że jakaś rodzina mogła być na tyle bogata, żeby kupować aż dwa mundury i dawać je córce do ćwiczeń, zamiast zadbać o profesjonalne wykończenie...

Jej współlokatorka odparła, że chodziło o naukę niezależności. Uszedł jej uwagi fakt, że otrzymywanie takiego wsparcia od rodziców nie miało z niezależnością wiele wspólnego. Claire wolała się nie przyznawać, że w jej przypadku środki płynęły w drugą stronę.

Po rozpakowaniu rzeczy Claire podjęła walkę z systemem łączności okrętu, by wypełnić polecenie dowódcy w sprawie terapii dermatologicznej. Rustin wtrącała się i nawiązała połączenie ze swojej konsoli. Wprowadzając kod, wyjaśniła, że prywatne połączenia pozapokładowe były obciążane opłatą i chociaż sprawy medyczne zaliczano do zawodowych, prywatna rozmowa z służbowego terminalu była w ciasnym wnętrzu okrętu tylko teoretycznie możliwa do przeprowadzenia.

Na pytanie, kiedy przyjdzie rachunek, by Claire mogła zapłacić swoją część, Rustin zareagowała śmiechem. Powiedziała, że nie ma o czym mówić, bo to będzie i tak drobiazg wobec znacznie droższych wiadomości, które wysyłała co tydzień matce.

Potem wyszła, by zapewnić współlokatorce chwilę prywatności. Claire uśmiechnęła się do zamkniętych drzwi. Tym razem szczerze. Jej nowa znajoma była miłą, chociaż mało rozgarniętą osobą. Gotowa była jej pomóc, nawet jeśli oznaczałoby to obrębianie od nowa wszystkich jej mundurów.

Claire wywołała klinikę i dotarła do znużonego dermatologa, który zwiększył rozdzielczość obrazu i obejrzał ze wszystkich stron jej twarz, a nawet dojrzał bliznę na wierzchu prawej dłoni. Potem przesłał recepty prosto do modułu medycznego *Manasseha*, by mogła sama odebrać lekarstwa. Mruknął coś o rzeźnikach bawiących się w pediatrów i dodał, że za kilka tygodni wygląd jej skóry znacznie się poprawi. Gdy Claire spytała go z wahaniem o cenę, wyraźnie się zmieszał.



Przedstawienie nowemu szefowi, nerwowemu porucznikowi Loydowi, przeszło szybko i gładko. Przeczytał pełen raport na temat awarii sprzętu na *Ephraimie* i bardzo mu zależało, żeby *Manasseh* nie musiał spędzić równie wiele czasu w stoczni. Zadał kilka pytań technicznych. Szybko okazało się, że o radiacyjnych odkształceniach metalu wiedział tylko tyle, że występowało. Oraz że istniały procedury minimalizujące to ryzyko i wydłużające żywotność urządzeń. Był jednak oficerem taktycznym, więc Claire nie winiła go za brak kompetencji w tej kwestii. Rozumiał przynajmniej, że maszynaria okrętu jest ważna, i chciał, by ktoś pilnował jej stanu, żeby wytrzymała trochę dłużej, niż trwać będzie jego tura operacyjna.

Wywiad przeprowadził w mesie, do której w trakcie zaglądały inne osoby. Niektóre komentowały, część zadawała istotne dla nich pytania. Pod koniec zjawiał się też pierwszy oficer i rzucił kilka pytań na temat taktyki.

Claire nie miała pojęcia, po co to wszystko. Spytała nowego przełożonego.

Porucznik Loyd wyjaśnił jej zaraz, że pierwszy będzie ją szkolić, aby podnieść jej umiejętności taktyczne i przeprowadzi z nią kilka symulacji, by lepiej poznała możliwości sprawnego okrętu typu *Joseph*, na którego pokładzie teraz się znajdowała. Pierwszy prychnął i dodał, że symulacje można odpracować nawet w stoczni, po czym spojrzał surowo na Claire i oznajmił, że od teraz nic nie będzie usprawiedliwiało spadku jej poziomu wyszkolenia.

Potem pierwszy położył na blacie kompa i przewinął jej akta do miejsca, gdzie znajdował się formularz oficjalnej promocji na podporucznika. Podpisany już przez wszystkich oficerów, którzy wcześniej zaglądali do mesy i zadawali swoje pytania. Poklepał się po kieszeniach i rozejrzał niespokojnie wkoło. Claire podała mu wyjęte z kieszeni pisadło. Pierwszy zaraz je złapał i złożył ostatni podpis na dokumencie, a obok przyłożył swój kciuk.

Loyd i pierwszy oficer wstali. Claire też się zerwała, zgodnie z odruchami wyrobionymi w akademii.

Gdzieś z lewej strony rozległ się czysty tenor komandora Greentree, proszącego pierwszego o wręczenie mu plakietki z herbem okrętu. Claire pogratulowała sobie w duchu, że jednak nie zawsze łatwo się rumieniła. Ten człowiek był po prostu wspaniały.

Według słów Rustin miał dwie żony. Jednak przy pensji komandora z pewnością mógł sobie pozwolić na trzecią, o ile sam tego chciał, oczywiście, i o ile dwie pierwsze żony tolerowałyby nową. Szanowne damy z Burdette na pewno uczepią się tego tematu. Greentree zdawał się nie zauważać, jak pilnie odwracała od niego głowę, by nie pozwolić sobie na spojrzenia zbyt jednoznacznie oceniające sylwetkę komandora. Dawanie

dowódcy do zrozumienia, że się go lubi, byłoby fatalnym posunięciem. Chociaż gdyby nieświeżo pachniał albo miał paznokcie z czarnymi obwódkami jak kapitan Ayres, byłoby łatwiej.

Mesa wypełniła się oficerami *Manasseha*, Claire zaś nadal pilnowała się, aby nie patrzeć na swojego dowódcę. Rustin pomachała jej z kąta, unosząc zaraz wysoko kciuki i uśmiechając się szeroko. Pewnie musiała się powstrzymać, żeby nie skakać z radości, ale wyspa Saganami na pewno ją czegoś nauczyła.

Oficer kadrowy nie dostał z *Ephraima* zapisu przysięgi oficerskiej Claire, o czym komandor Greentree poinformował zainteresowaną na tyle głośno, że wszyscy musieli to słyszeć. Ironiczny uśmiezek dowodził, że znał sprawę od podszewki. Dział Prasowy stoczni też nie był w stanie zlokalizować nagrania odpowiedniej jakości, by wysłać jego kopię do domeny Burdette, gdzie wspomnieliby o tym w wiadomościach. Zatem jeśli Claire nie ma nic przeciwko lekkiemu nagięciu regulaminu, zaraz zarządzi odpowiednią ceremonię tutaj, na *Manassehu*. Rustin miała już w rękę insygnia midszypmena, gdy skinął na nią, by przypięła je do kołnierza i ramion Claire.

Potem odesłał ją z powrotem do kąta i zarządził początek nagrywania. Pierwszy wydał komendę „Bacność!” i odczytał rozkaz Marynarki Graysona, upoważniający midszypmena Claire Bedlam Lecroix do przyjęcia stopnia podporucznika oraz wszystkich obowiązków i powinności wynikających z mianowania na oficera GSN. Z polecenia komandora Phineasa Greentree, dowódcy GSN *Manasseh*.

Nazwisko Ayresa zostało całkowicie pominięte, ale Claire nie przypuszczała, żeby kadrom go brakowało. Po prostu cofną się w zapisach i podmienią dane.

Claire stanęła na baczność, gdy komandor Greentree przyjmował jej ślubowanie. Raz jeszcze przysięgła wierność i lojalności Graysonowi, Protektorowi Benjaminowi Mayhew IX i urzędowi Protektora. Wypełni swój obowiązek wobec Boga i narodu i zawsze będzie dążyć do zwycięskiego przejścia testów, które wymogi służby postawią na jej drodze. Słowa były tak znajome, że musiała się bardzo starać, żeby nie pomylić ich z tekstem popularnej modlitwy za Protektorat Graysona albo ślubowania wierności domenie Burdette.

Komandor Greentree uśmiechnął się szeroko. To nie było w porządku. Ktoś tak przystojny powinien wiedzieć, ile kłopotu może tym sprawić kobiecie. Claire zwinęła skryte w butach palce u stóp, by jakoś się opanować. Stało się to trudne, zwłaszcza gdy poczuła zapach jego wody po goleniu. To ostatnie zdarzyło się, gdy przypinał jej insygnia podporucznika.

Rozejrzała się po mesie, starając się nie zastanawiać, jak by się czuła, gdyby ten mężczyzna zapinał jej naszyjnik zamiast tych wojskowych drobiazgów. Chyba byłaby wtedy szczęśliwa. Tak, byłaby.

I co z tego, że szanowne damy z domeny Burdette martwiły się, że Claire nigdy nie znajdzie męża, nawet jako trzecia żona, skoro ciągle będzie pełnić służbę na pokładzie tego czy innego okrętu? To byłby dla niej koniec. Ostatecznie miała stopień, miała całkiem solidne wykształcenie uzyskane w dobrej uczelni, znała się na napędach, tak głównych, jak i pomocniczych. Owszem, jednostki handlowe używały innych siłowni, ale fizyka była ta sama. Mogła bez trudu doksztąpić się w cywilnych systemach.

Armatorzy obsługujący połączenia wewnątrzukładowe mogli jej nie zechcieć, ale byli jeszcze inni, latający do Yeltsin Star, którym młoda kobieta na pokładzie nie będzie wadziła. I kto wie, mogła nawet spotkać kogoś poszukującego żony na wspólne wyprawy. Gdyby uzyskała certyfikat

z kontroli tranzytowej Graysona, oznaczałoby to dla męża oszczędności na załodze.

Plan był z tych wysnutych na zimno, ale w sumie mógł zadziałać. GSN przykładało coraz większą wagę do wyszkolenia. Akurat symulacje bojowe nie miały większego znaczenia dla jej planu, ale na *Ephraimie* łatwo było ich uniknąć. Tutaj powinno być podobnie. I nawet gdyby Claire musiała zmarnować na nie trochę czasu, to dalej było to o niebo ciekawsze niż praca na zmywaku, gdy lokal musiał dopiero zarobić na części zamienne do zmywarki.

Ceremonia dobiegła końca wraz z oklaskami zainicjowanymi przez pierwszego. Na jego znak oficerowie podchodzili kolejno, gratulując jej awansu i witając na pokładzie. Pytali przy tym o czas spędzony na Saganami i tak dalej. I chyba nawet słuchali, o co kto pytał, bo tylko co piąta osoba się powtarzała.

Midszypmeni i młodszy oficerowie ograniczyli się do prostych gratulacji albo słów „witam na pokładzie”.

Rustin ją uściskała. Claire odwzajemniła się jej niezgrabnie i zerknęła wokół w poszukiwaniu malkontentów. Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyła oficera kontaktowego Royal Manticoran Navy, mocno zbudowanego mężczyznę, który musiał chyba kiedyś wiele ćwiczyć, i to utrzymując odpowiednią dietę, ale potem się zaniedbał. Patrzył jakoś dziwnie, jakby zaczepnie. Na Graysonie pasowałby z wyglądu ledwie na midszypmena, z tą okrągłą twarzą, ale skoro był porucznikiem komandorem, to znaczyło, że został na Manticore poddany prolongowi. Przyjrzała mu się ponownie, ale doszła do wniosku, że wyraz jego twarzy nie mógł być wyrazem dezaprobaty, skoro nikt w mesie na niego nie reagował.

Komandor Greentree trącił pierwszego łokciem. Zbyt wielki gwar utrudniał zrozumienie konkretnych wypowiedzi, ale było jasne, że dowódca cieszył się z drugiej pani oficer na pokładzie i żartował z obaw pierwszego, czy na pewno zdołają wyrobić do siebie siostrzane podejście.

Claire nie miała rodzeństwa, co było dość rzadkie na Graysonie, ale zdarzało się czasem. Słyszało się o tym głównie w bogatych rodzinach. Chyba że wiązało się z czymś wstydliwym, jak wiodąca do rozwodu niewierność, wydziedziczenie, tragiczna śmierć i tak dalej.

Następna osoba podchodząca z gratulacjami musiała dosłyszeć część komentarzy dowódcy. Padło pytanie, jak jej rodzeństwo przyjmie nowinę o awansie siostry?

– Jestem jedynaczką, sir – odparła Claire z wymuszonym uśmiechem. Na *Ephraimie* zdołała ukryć to przed załogą.

Porucznik spojrzał na nią, wytrzeszczając oczy.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, przerywanej przez Rustin, która stała tylko kilka kroków dalej i zaraz odwróciła się do Claire.

– Ale teraz ma mnie i bardzo się z tego cieszę – powiedziała radosnym tonem, jednak zdumiewająco stanowczo. Czyżby uważała, że jej zadaniem jest chronić innych, chociaż swojego życia przed cudzym wścibstwem nie była w stanie ocalić?

Claire otrząsnęła się i spojrzała na następnego w kolejce. Potem pogadała na osobności z Rustin o jej motywacjach i zastanowi się, czy jej potencjalna przyjaciółka może jednak zdolna jest sama wiązać sobie buty.

Tym następnym był porucznik Loyd. Zmarszczki na jego czole sugerowały, że słyszał ostatnią wymianę zdań i pewnie różne spekulacje co do rodziny Claire. Jego delikatny uśmiech mógł być zarówno wyrazem

chęci wyjaśnienia sprawy, jak i puszczenia jej w niepamięć i uspokojenia podwładnej.

Claire stała się czujna. Jeśli chodziło o to drugie, nie musiał się trudzić. Claire nie wierzyła już w możliwość spokojnego czy nawet beztrudnego spędzenia czasu w większym towarzystwie.

Porucznik Loyd zapowiedział żartem, że podczas najbliższych ćwiczeń floty zabije ze dwa razy oficera taktycznego z *Ephraima* w zemście za zaniedbania w szkoleniu Claire. Wywołało to sporą wesołość w ich kące mesy. Chyba wszyscy tutaj mieli wysokie mniemanie o umiejętnościach taktycznych Loyda i wcale nie uznali jego słów za próżną przechwałkę.

Poprzedni z jej rozmówców cofnął się i zaproponował, żeby *Manasseh* wystawił Claire jako reprezentantkę załogi, by sama mogła załatwić *Ephraima*.

Propozycja została przyjęta wręcz owacyjnie.

Claire skrzywiła się trochę na jednoznaczną sugestię, że jej poprzedni okręt tak dalece nie dorównywał *Manassehowi* w kwestii poziomu wyszkolenia, że nawet świeżo upieczony podporucznik mógłby wystąpić przeciwko porucznikom i komandorom porucznikom z tamtej załogi i naprawdę wygrać. Co oni tu robili, mieszkali w tych symulatorach czy jak? Komandor Greentree był oficerem Protector's Own, co oczywiście sporo wyjaśniało, i na pewno bardziej dbał o szkolenie załogi, ale żeby aż taka różnica? Claire była przekonana, że kapitan Ayres dbał o to, by jego porucznicy i komandorzy porucznicy spędzali w symulatorach regulaminowe cztery godziny tygodniowo.

Porucznik Loyd kończył monolog na temat tego, jak to Claire zabłyśnie jako wspianiały taktyk, najlepszy w tej specjalności podporucznik z domeny Owens od czasu Abigail Hearn.

Komandor Greentree zapodział gdzieś swój uśmiech z plakatu i jego twarz niczego teraz nie wyrażała. Bosman musiał już mu przekazać coś ze swojej rozmowy z Claire.

– Po prawdzie to nie jestem z Owens, sir – powiedziała, czując kolejną aferę wiszącą w powietrzu. – Jestem z domeny Burdette.

Kilku oficerów powtórzyło informację tym, którzy siedzieli dalej, i teraz wszyscy niemal obecni w mesie wpatrywali się w nią ze skrajnym zdumieniem na twarzach.

Pierwszy stojący w przeciwległym kącie przerwał milczenie.

– To ciekawe, porucznik Lecroix. Pani biogram, przekazany nam z *Ephraima*, w ogóle pomijał tę kwestię. Musi nam pani powiedzieć, jakim cudem ktoś z domeny Burdette znalazł się w akademii Saganami?

Claire przełknęła ciężko ślinę, starannie porządkując myśli. Musiała udzielić wyjaśnień, nie zdradzając jednocześnie niczego, co zostałyby źle odczytane, czy tutaj, czy w jej domenie. Im mniej powie, tym lepiej, ale ta grupa nie zadowolili się byle odpowiedzią. Po pierwsze musiała ominąć kwestię pojedynku. Nie, upomniała się w myślach. Nie oszukuj się. To była próba zabicia admirała Harrington. Spojrzenia obecnych świadczyły jednoznacznie, że oni też tak to postrzegali. Że celem tamtego pojedynku było zamordowanie niezwyklej kobiety, która włożyła mundur Graysona, by ich bronić.

– No... – Pięknie, Claire, błyskotliwy początek wypowiedzi. – Lord Burdette był tak uprzejmy, by wyznaczyć mnie na kandydata do akademii, sir.

Przerwała, słysząc, jak jedni wyjaśniali drugim, że chodzi o Nathana Fitzclarence'a, kuzyna Williama, który objął urząd po jego śmierci.

Porucznik Loyd patrzył na Claire z uchylonymi ustami, jakby zastanawiał się, o co spytać, nie posyłając jednocześnie podwładnej na kolejne pole minowe. Najlepiej by było, gdyby całkiem zmienił temat.

– Skąd mu się to wzięło? – spytał w końcu.

Claire najchętniej weszłaby w ścianę.

– Rok wcześniej patron Owens wysłał Abigail Hearn – odparła. – Protektor zdawał się to aprobować. – Zarumieniła się mocno. – Nie znam się na polityce, sir, ale tamtego roku lord Burdette wybrał same kobiety. Różnie to oceniano i czasem mówiono nawet przykre rzeczy, ale lord Burdette powiedział, że mamy spróbować, a gdyby okazało się to ponad naszą... wrażliwość, to sam pomoże nam dobrze wyjść za mąż. Ale dodał też, że chodzi mu o pokazanie dur...

Komandor zakaszła lekko i Claire zorientowała się, że omal nie użyła zwrotu „durny Benjie”, tak popularnego w jej domenie za poprzedniego patrona.

– Że chodzi o pokazanie Protektorowi Benjaminowi, że kobiety Graysona nie są takie jak patronka Harrington.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Nawet Rustin nie wiedziała chyba, co powiedzieć.

– Zgubiłem się – oznajmił w końcu porucznik Loyd. – Została pani wysłana na Saganami z poleceniem, by zrezygnować ze studiów? Zatem dlaczego wyszło inaczej?

Claire opanowała chęć, by zgromić go spojrzeniem. Niewiele brakowało, a pięć lat wojskowego wychowania poszłoby w ką.

– To dobra praca.

Porucznikowi aż żuchwa opadła, ale zaraz się uśmiechnął. Obrócił się do komandora i pierwszego i zawołał do nich tak, by wszyscy słyszeli:

– To dobra praca, kapitanie.

Claire musiała się opanować, by nie wbić spojrzenia w kapitana. Na wszelki wypadek wolała trzymać się porucznika Loyda.

– Zwyczajny mieszkaniec domeny nie może tak łatwo rezygnować z dobrej pracy. – Jej w zamierzeniu spokojna odpowiedź nabrzmiała jednak wyczuwalną złością i dała się słyszeć chyba w całej mesie, chociaż Claire starała się niemal szeptać. – Mam bliskich na utrzymaniu... – Nie dokończyła, by nie wygłaszać żadnych inwektyw pod adresem trzęsących domeną rodzin, i spojrzała błagalnie na porucznika. – Nie mogłam porzucić dobrej kariery tylko dlatego, że czyimś zdaniem była dla mnie za trudna.

Trudna praca? – pomyślała jednocześnie ze wstrzymywaną złością. Co te dupki na górze mogą wiedzieć o trudach pracy?

Porucznik Loyd stał przed nią i trząśł się ze śmiechu. Wyraźnie wziął jej złość za wyraz specyficznego poczucia humoru.

Minęło kilka minut, nim ktoś otrząsnął się na tyle, by zadać następne pytanie. Teraz już wszystkie dotyczyły domeny Burdette. Nikt nie zauważył, że sytuacja była dla Claire co najmniej niezręczna i na pewno nie zabawna. Wszyscy mieli to za świetny żart.

Większość komentowała kwestię, że „nie można tak niszczyć mieszkańca domeny”. Claire uświadomiła sobie z wolna, że inni oficerowie też myśleli o sobie w ten sposób i identyfikowali się z nią, chociaż na pewno mieli koneksje rodzinne przerastające wszystko, czym dysponowała familia Bedlamów. Z jej perspektywy byli w ten sposób jakoś spowinowaceni z patronami, ale jeśli mieli zamiar duchowo ją adoptować, kim była, żeby się sprzeciwiać? Postanowiła to później przemyśleć. Bo przecież mogli też szydzić z niej w jakiś przemyślny sposób, którego nie ogarniała.

Porucznik Loyd stanął obok i nie odszedł, gdy reszta oficerów zaczęła znowu podchodzić z gratulacjami. Gdy spojrzała na niego, wyjaśnił z uśmiechem, że chce na własne uszy usłyszeć wszystko, co może jeszcze wyjawić ich nowy oficer, żeby nie być skazanym na późniejsze relacje z drugiej ręki.

Sam też zadawał pytania, jeśli ktoś nazbyt przypierał Claire do muru. Zachowywała czujność, nie wiedząc, co może kryć się za tą opiekuńczością, ale nie wyczuła niczego, co zwiastowałoby chęć przejęcia nad nią kontroli. Pilnował raczej, by nikt naprawdę jej nie dokuczył, korzystała więc z tego i starała się odzyskać spokój.

Za ostatnim z oficerów Graysona stał komandor porucznik z Manticore. Podszedł z tak sztuczną miną, jakby miał się za popularnego aktora. Miał jednak miły uśmiech i zdawał się nie podzielać ogólnego rozbawienia, które ogarnęło mesę. Przedstawił się jako porucznik komandor Kevin Lockhart („Ale mów mi Kevin”) i powiedział, żeby Claire zgłosiła się później do niego w sprawie zatwierdzenia wacht.

Rustin odprowadziła go pogardliwym spojrzeniem.



Claire zaznaczyła na swojej rozpisce kolejne zaproszenie od Klubu Żon *Ephraima* i starając się ignorować szczebiotanie Rustin, rozmyślała o tym, co ostatnio wydarzyło się w jej dziale. Współlokatorka była w świetnym humorze i niemal chodziła po ścianach od czasu, gdy jej dział otrzymał prawie idealne oceny podczas zawodów w strzelaniu z broni laserowej. Komandor Greentree też był z tego zadowolony, a jego dobry nastrój oczywiście przenosił się na oficerów i załogę. Dowódca sprawnie ukrywał swoje gorsze humory, by nie wpływały na całokształt służby, jednak każde jego działanie, albo i brak działania, miały na tyle silny związek z życiem

na pokładzie, że nawet sama jego osobowość musiała mieć znaczenie. Claire pomyślała, żeby wykorzystać może ten pozytywny czas dla przedłożenia prośby o dwa tygodnie urlopu. Mogłaby wtedy odbyć zaawansowany kurs z systemów podtrzymywania życia na statkach handlowych. I jeszcze zdążyłaby podejść do egzaminu. Tak naprawdę poszła nawet dalej i złożyła ten wniosek. Pierwszy nie kiwnął jednak palcem w tej sprawie, wydrukowała więc wszystko i osobiście udała się do dowódcy w godzinach jego urzędowania. Odmówił.

Teraz patrzyła w ekran i starała się nie płakać. I nie rozpaczać. Znowu było jak na *Ephraimie*, z tą tylko różnicą, że tam nie czułaby się rozczarowana. Tutaj pozwoliła sobie na brak czujności. Rustin przygotowywała kolejny list do młodszej siostry, nie było więc istotne, na ile Claire zwracała uwagę na jej gadaninę czy odpowiadała. Siedziała z odwróconą twarzą, żeby nie było widać łez.

W ramach udawania, że coś jednak robi, zaczęła sprawdzać pocztę. Nie wprowadziła jeszcze do kompa numeru swojego konta, by cokolwiek wysłać, ale wiedziała, że niebawem będzie musiała to zrobić. Cioteczka Jezzy prosiła o trochę wyższy przelew w tym miesiącu, by móc kupić najmłodszej kuzynce łóżeczko. Jakimś sposobem ukryła przed Noahem, że Claire otrzymała awans, i tym samym podwyżkę, ale w zamian chciała dostawać od czasu do czasu trochę więcej. Noah wydał to, co zaplanowała w budżecie na nowe dziecko, żeby kupić sobie motor poduszkowy, więc Claire musiała ją wspomóc.

Doradziła też Claire sprawdzenie, czy bank w domenie Harrington naprawdę zakładał konta do wyłącznej dyspozycji kobiet. Odmawianie Noahowi dostępu do pieniędzy, które prawnie do niego należały, byłoby przestępstwem, ale z drugiej strony chodziło o środki, które Claire otrzymywała od GSN, ustanowione zaś przez Protektora Benjamina prawo

Graysona przewidywało, że kobieta może posiadać własność prywatną. Nie jej wina, że domena Burdette ciągle stała na stanowisku, że wszystkie dochody i zobowiązania kobiety były własnością jej prawnego opiekuna. W ten sposób dwie zasady nakładały się w sposób, którego Protektor Benjamin zapewne nie przewidział, a Noah mógł rozporządzać ich wspólnym kontem. Sposób, w jaki to robił, musiał chyba mieć coś wspólnego z naukami jego najnowszego zastępczego ojca, pewnego diakona kościoła.

Claire wytarła nos. W tej chwili żałowała, że nie została na *Ephraimie*.

Ktoś zastukał do drzwi i Rustin uniosła głowę, odrywając się od listu.

Claire obejrzała się, niepomna na mokrą od łez twarz. Szybko wytarła oczy i chciała wstać, ale Rustin machnęła w jej stronę ręką i sama się zerwała, by otworzyć.

Uchyliła drzwi tylko trochę, blokując wejście. Claire nie widziała, kto stał po drugiej stronie, ale poznała głos porucznika Loyda.

Obmyła twarz, chociaż odgłos płynącej wody mógł zdradzić, że jednak jest w kabinie. Rustin próbowała zatrzymać porucznika, twierdząc, że Claire jest niedysponowana. Nie wyjaśniła, że po prostu płakała.

Porucznik Loyd nie dał się przekonać. Claire nie oczekiwała innego przebiegu zdarzeń. Jej współlokatorka naprawdę się starała, ale jak zwykle była nieskuteczna. Wręcz dziwne, że porucznik nie odepchnął jej, żeby wejść. Może zresztą sądził, że Claire jest nieubrana. Zamiast tego zawołał przez drzwi:

– O piątej w centrum bojowym!

Rustin próbowała ją wybronić, ale Claire uznała, że nic nie wskóra.

– Aye, sir – odkrzyknęła. Zabrzmiało żałośnie, ale na to nie mogła już nic poradzić.

W końcu porucznik musiał chyba pójść, gdyż Rustin wróciła i zmieniła się zaraz w demona ruchu. Rozprostowała mundur Claire, oczyściła go z pyłków i w końcu dała jej opakowanie kropli do oczu. Przezroczysty płyn w cudowny sposób usunął zaczerwienienie spojówek i opuchlizna wokół oczu stała się ledwie widoczna.

Potem Rustin uścisnęła ją i wyrzuciła za drzwi na spotkanie z pułapkami tego dnia. Starsi oficerowie nigdy nie poszukiwali podporuczników w ich kabinach bez ważnego i z reguły nieprzyjemnego powodu. Claire pomyślała zaraz o ostatnim zatwierdzeniu wachty uzyskanym od komandora porucznika Lockharta i aż zadrżała.



Idąc do centrum bojowego, przypomniała sobie, że nie zabrała osobistego kompa, ale gdy poklepała się po kieszeni z przodu munduru, odkryła, że komp tam był. Razem z pisadłem, dodanym przez Rustin. Na oprawce była nazwa firmy należącej do jej rodziny. Claire starannie schowała przyrząd, by go nie zgubić. Dalej szła szybko i przed wejściem do centrum bojowego zderzyła się z komandorem porucznikiem Lockhartem.

Impet został złagodzony przez lekkie cofnięcie się oficera, który jakby czekał tam na nią. Wyciągnął rękę w stronę Claire, gdy chciała zrobić krok w tył, i objął ją z chichotem, po czym złapał za tyłek i uszczypnął.

Claire rąbnęła go pięścią w splot słoneczny, aż zatoczył się do tyłu, przeklinając ją przy tym i grożąc, że wycofa wszystkie swoje podpisy złożone na zatwierdzeniach odbytych wacht.

Claire przygryzła wargę i po prostu się cofnęła. Nie wiedziała, co by się stało, gdyby powiedziała o tym komandorowi Greentree. Na pewno nic dobrego.

Lockhart znowu się uśmiechnął i rzekł, żeby przysłała do jego kabiny, gdy będzie gotowa przeprosić. Potem odwrócił się energicznie i odszedł, nucąc pod nosem popularną melodię z klubu nocnego. Claire zrobiło się niedobrze.

Porucznik Loyd stał w progu centrum bojowego. Był blady. Claire aż zdrętwiała, rozumiejąc, co musiał zobaczyć. W końcu wciągnął głęboko powietrze.

– Musimy powiedzieć o tym kapitanowi – stwierdził.

Claire znowu poczuła mdłości.

– Nic nie powiem. Niezależnie od tego, co przekaże pan kapitanowi. Nie powiem.

Porucznik poczerwieniał ze złości, tak jak można było oczekiwać, ale nie próbował jej grozić.

Claire cofnęła się pod ścianę, jakby szukała osłony. Nie przypuszczała, żeby porucznik zaczął zachowywać się napastliwie; nigdy się do tego nie posuwał. Niemniej i tak się cofała, aż potknęła się o niską skrzynkę podłączeniową.

Loyd złapał ją za ramię i podtrzymał, po czym zaraz zabrał rękę, jakby bał się poparzyć Claire. Odsunął się, unosząc pojednawczo dłonie.

– Pani porucznik, to jest tak popierdolony temat, że nie wiem, od czego zacząć. Mieliśmy spotkać się w całkiem innej sprawie. Zamierzałem powiedzieć pani, że jeśli chce zachować tę „dobrą pracę”, musi zacząć ją wykonywać, miast bawić się tylko w wojsko. – Przymrużył oczy. – Ale najwyraźniej nie miałem pojęcia, co wyrabia się w moim dziale. Zaczniemy więc od tego.

Claire skrzyżowała ręce na piersi i przygarbiła się jednocześnie. Udało się jej trochę zasłonić biust, ale nie do końca. Cała spięta czekała, co tym

razem przyniesie jej kolejna chwila, gdy straciła panowanie nad sobą.

Porucznik zanurkował do centrali bojowej i rzucił serię rozkazów, po której kilku podoficerów pobiegło gdzieś korytarzem.

Claire czekała w progu, by nie zostać zbyt daleko od innych ludzi, zanim jeszcze się dowie, co właściwie zamyślił zrobić Loyd.

Zza rogu korytarza wyłonił się idący szybkim krokiem bosman Wallens. Zwolnił zaraz, jakby akurat tędy przechodził i postanowił zajrzeć, co nowego.

Gdy wszedł do centrum bojowego, Claire podążyła za nim. Loyd wskazał jej fotel.

Bosman usiadł obok niej, chociaż wyraźnie nie za blisko, też przodem do porucznika. Wyjął swojego kompa i zajął się swoimi sprawami.

Porucznik Loyd usiadł i potarł dłońmi czoło. Potem zaczął mówić.

– Dobrze, pani porucznik Lecroix. W zasadzie miała pani stać na baczność podczas tej sesji, moją rolą zaś miało być wydzieranie się na panią, że nie przeprowadza pani planowanych symulacji, chociaż kapitan kazał pani nadrobić zaległości, gdy otrzymała pani awans. Miała pani zostać stosownie ukarana, obiecać zwalczenie lenistwa i spędzić kilka następnych godzin na rozwalaniu wrogich okrętów. Podobnie jak jutro i przez następnych parę tygodni. Tak żeby z czasem była pani zdolna zniszczyć w walce jeszcze jakiś inny okręt poza własnym. Ale zdarzyło się, co się zdarzyło. – Wskazał w stronę wejścia. – Dlaczego po prostu nie kopnęła go pani w jaja?

Bosman nie odciął się jednak całkiem od świata, bo drgnął gwałtownie.

Claire przygryzła wargę.

– To jest ta chwila, gdy powinna pani coś powiedzieć – odezwał się cicho porucznik.

Claire przygarbiła się jeszcze bardziej. Na pewno nie miała inteligentnego wyrazu twarzy, ale nie umiała dobrze nad sobą panować, gdy była atakowana.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, sir – spróbowała starym sposobem.

– Pierdolona akademia – rzucił porucznik. Nie spodziewała się takiej reakcji. Potarł skronie i westchnął.

Claire patrzyła na niego i czekała, aż znowu spróbuje coś z niej wydusić. Nie można wygrać w takiej sytuacji, ale zawsze jest szansa chociaż na zachowanie godności.

Porucznik też na nią spojrział. Nie przerywał milczenia, chociaż nie starał się nawiązywać pojedynku, kto pierwszy opuści oczy. Sam zerkał co rusz w bok.

– Tak się nie da – szepnęła Claire.

Porucznik uniósł pytająco brwi.

– Bo tak... – zaczęła Claire, próbując mówić normalnym głosem. – Gdy ktoś robi coś takiego... – Spojrzała czujnie na bosmana Wallensa, zastanawiając się, czy zacznie domagać się wyjaśnień czy dowodów, ale w ogóle nie zareagował. – Gdy to się dzieje, to gdyby chodziło o obcą osobę, mogłoby nawet podziałać. O ile kopnęłoby się mocno i nie chybiło, a coś takiego trudno jest ćwiczyć. Jednak obcy rzadko tak się narzucają. Zwykle są to ludzie, których się zna i codziennie widuje. Oni przyjmą zwykłe uderzenie i nie zrobią z tego sprawy. Ale gdyby zareagować mocniej i sprawa by wypłynęła, to byłoby już bardzo źle. – Claire zamilkła, żeby nie powiedzieć za wiele. To akurat nie były jej przemyślenia, tylko coś, co usłyszała od cioteczki Jezzy. Tego ją nauczyła.

Porucznik pokręcił głową.

– Będziemy musieli popracować nad pani taktyką, pani porucznik.

Claire oparła łokcie na blacie i splotła dłonie.

– Nie.

Porucznik prychnął i znowu uniósł brwi.

– Normalnie nie dałbym pani teraz spokoju. Powinna pani to wiedzieć, ale sądzę, że to nie był dla pani normalny dzień. Czy powie pani prawdę?

Claire przełknęła ciężko ślinę, niepewna, czy właśnie wszystkiego nie popsowała. Bosman nadal udawał kompletną obojętność i pochłonięcie pracą.

– Przepraszam za to, co powiedziałam na korytarzu – odparła, ponownie spoglądając na porucznika.

Loyd uniósł brwi i czekał.

Claire najpierw się zmieszała, ale nagle pamięć jej wróciła.

– Sir – dodała z rumieńcem na twarzy.

– Przeprosiny przyjęte – odparł natychmiast. – I nadal upieram się przy pracy nad taktyką.

Claire pokręciła głową.

– Domyślam się, że ma pan dobre intencje, ale do czego konkretnie pan zmierza, poruczniku?

– Taktyka to kontynuacja polityki, tyle że innymi środkami. Walka i wygrywanie. Na przykład wojen dla naszego kraju. Albo po prostu coś. Na tym polega nasza praca, a przecież staramy się wykonywać ją jak najlepiej, prawda?

Claire znowu przygarbiła plecy. I jeszcze przymknęła powieki.

– Gdy Lockhart zamelduje o mnie komandorowi Greentree, a zrobi to, wtedy wylecę. Może tylko z tego okrętu, może w ogóle z GSN. – Zadrzała.
– Tu nie ma miejsca na taktykę, sir. Nigdy nie było. Najlepsze, czym mogę

się zająć, to maszyny. Jeśli zdobędę porządną praktykę inżynierską, znajdę zatrudnienie w cywilu. Taktyka mi w tym nie pomoże.

– Proszę – mruknął porucznik. – Saganami jednak nie podziałało w pani przypadku. – Wyprostował się. – Teraz będzie darmowa część edukacyjna w wykonaniu starszego oficera. Jak na pewno pani wie, wszystkie rady można podzielić na dwie grupy, prawda?

Claire pokiwała głową i też wyprostowała się w fotelu.

– Prawda, sir.

– Zatem zaczniemy od części nieformalnej. Może w ten sposób dotrze do pani zakutego łba, że lubię panią i chcę, by została pani dobrym oficerem. Chociaż nawet gdyby było inaczej, to i tak nie miałyby znaczenia, ponieważ kapitan zdecydował już, że zostanie pani dobrym oficerem. Jak może pani zauważyła, nasz kapitan nosi nazwisko Greentree. Sporo ludzi o tym nazwisku służy w naszych siłach zbrojnych i z reguły są to twardziele. Ale przy naszym Greentree to mięczaki. Zauważyła pani, jakie spodnie nosi? Właśnie. Dostał się do Protector's Own, ponieważ chciał studiować sztukę wojenną u takich ludzi, jak Alfredo Yu, Harriet Benson-Dessouix czy, rzecz jasna, Honor Harrington. I przyjęli go. Co mówi jeszcze więcej, bo do Protector's Own przyjmują tylko najlepszych. Przechodząc zaś do części oficjalnej. Gdy rusza się trudne sprawy, należy zawsze zebrać pełną dokumentację, na tyle przy tym przekonującą, że gdy już się kopie, to skutecznie. Na przykład wykopując ze służby. Zasadniczo nie rozmawia się z podwładnymi o wadach ich przełożonych, ale cóż, w tym przypadku ja też jestem młodszym stopniem. Jeśli zaś chodzi o konkrety, skierujemy sprawę do SOMO.

Claire spojrzała znowu na Wallensa. Robił swoje. Może zresztą naprawdę pracował nad czymś, a resztą nie był zainteresowany, bo nie pierwszy raz uczestniczył w takich półformalnych spotkaniach.

– To jest... Stowarzyszenie Ochrony Młodszych Oficerów, sir?

– Właśnie. W zasadzie kupa darmozjadów, którzy są fatygowani, gdy ktoś próbuje uratować swoją dupę po zrobieniu czegoś wyjątkowo kretyńskiego. Ale od czasu do czasu naprawdę się przydają. Jak teraz. Bo tak się akurat składa, że mamy już materiały na pana Lockharta, a nasz dowódca szuka od jakiegoś czasu gwoźdźcia do jego trumny. I od nas go dostanie. Czy raczej od pani, a ja o tym zamelduję. W sumie żal mi go, bo jego małżeństwo na Manticore się rozpadło, a jemu wydaje się, że dziewczyny z Graysona to inny gatunek kobiet niż te z Królestwa. W sumie pewnie nie tyle polował, ile szukał pocieszenia. Niemniej jeśli będziemy mieli pecha, zostanie na pokładzie jeszcze przez parę tygodni. Jeśli szczęście nam dopisze, wysadzimy go przy najbliższej okazji.

Claire poczuła ogarniającą ją falę ulgi... połączonej ze skrajnym zdumieniem, że nie zostanie ukarana za próbę obrony.



Oceniając rzecz według kryteriów porucznika Loyda, *Manasseh* okazał się szczęśliwym okrętem. Wieczorem pierwszy przystanął pod drzwiami kabiny Claire, by porozmawiać o długiej sesji, którą spędziła w symulatorze, raz za razem ginąc z rąk różnych przeciwników. Porucznik przejrzał zapisy tych walk i przekazał swoje uwagi, wyjaśniając przyczyny kolejnych porażek.

Miał też materiał z popisem Lockharta. Loyd nagrywał akurat sesję taktyczną odbywającą się w centrum bojowym i incydent z udziałem oficera Manticore także się nagrał. Widać było większość tego, co działo się za otwartymi drzwiami, ścieżka dźwiękowa zaś obejmowała całość zdarzeń. Pierwszy aż się zarumienił i nie potrafił spojrzeć Claire w oczy, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak tamten próbował ją obmacywać, a potem

uśmiechnął się, uderzony. Potem potrzebował tylko odcisku jej kciuka jako potwierdzenia, że to ona właśnie była widoczna na nagraniu. Na koniec przekazał namiary na Stowarzyszenie Ochrony Młodszych Oficerów, gdyby Claire chciała wnieść formalną skargę.

Rustin była w głębi kabiny i studiowała szczegóły manewru dokowania, więc Claire zdecydowała się spytać o jeszcze jedno.

– Sir, uderzyłam starszego stopniem oficera. Dlaczego nie zostanę w związku z tym postawiona w stan oskarżenia?

Pierwszy tylko pokręcił głową.

– Nie słyszałem tego. Co pani powiedziała?

Claire spróbowała raz jeszcze, ale i tym razem pierwszy jej nie usłyszał.

Chciała spróbować trzeci raz, ale powstrzymała się.

– Co jeszcze jest na taśmie? – spytała ostatecznie.

Pierwszy włączył odtwarzanie. Widać było, że porucznik Loyd wstał szybko i podszedł do drzwi, zasłaniając korytarz. Słychać było chrząknięcie Lockharta i jego groźby. Pierwszy wzruszył ramionami.

– Teoretycznie dałoby się wnieść skargę zgodnie z prawem wojennym, ale żaden graysoński admirał by jej nie przyjął, nikt inny zaś nie jest uprawniony do rozpatrywania takiej skargi. Dowódca też miałby możliwość ukarania pani, ale uważa, że powinna pani skupić się teraz na symulacjach i nie ma co zawracać pani głowy drobiazgami, których Sąd Admiralicji nie byłby nawet skłonny rozpatrywać.

Claire zamrugała.

– Ma pan świadka... – zaczęła, pojmując jednak, że porucznik Loyd albo pominął ten fragment w swoim raporcie, albo uzgodnił jego usunięcie z pierwszym.

– Egzamin na starszego technika floty handlowej to łatwizna. Zdałaby go pani już po pierwszym roku akademii – dodał jeszcze na odchodnym pierwszy. – Dam pani przepustkę, żeby mogła pani zmarnować trochę czasu na zabezpieczenie sobie cywilnej kariery, ale dopiero wtedy, gdy podciągnie się pani porządnie z symulacji i przestanie nabierać się na głupie reklamy!

Claire przypomniała sobie o kursie, który miał skutkować wydaniem certyfikatu. Z myślą o nim prosiła wtedy o urlop. Ale przecież informacja o nim była wiarygodna! Już chciała zaprotestować, gdy dotarło do niej, że nie sprawdziła, kto organizował ten kurs i kto miał wydawać te certyfikaty. Może to faktycznie była tylko reklama czy inny materiał sponsorowany? Chwilowo wydawało się jej to mało ważne.

Zastanawiała się, czy nie powinna odezwać się już kilka tygodni wcześniej, zamiast znosić zachowanie Lockharta. Wyglądało na to, że na tym okręcie można było polegać nie tylko na bosmanie.

Kolejne popołudnie, a potem cały ranek znowu spędziła nad symulacjami, podczas gdy *Manasseh* przygotowywał się do dokowania w kiepsko wyposażonej stacji orbitalnej nad Masadą. Minęło kilka dni, od kiedy ostatni raz przeglądała logi utrzymania systemów i testów kontrolnych. Jeśli bycie oficerem oznaczało „walkę z okrętem”, jak przedstawiali to pierwszy i porucznik Loyd, jej zadaniem w tej batalii było przypominanie innym oficerom o terminach przeglądów oraz zapewnianie załodze środków, czasu i umiejętności do takiej konserwacji niszczyciela, żeby ten nie rozpadł się w nadprzestrzeni na skutek korozji radiacyjnej. Szczęśliwie materiały konstrukcyjne były już na tyle zaawansowane, że sama struktura okrętu wydawała się bezpieczna.

Tuż przed dokowaniem Rustin przejęła wachtę na mostku. Claire zatrzymała symulację, by podejrzeć jej poczynania na ekranie centrum

bojowego, gdzie pełnił z kolei wachtę porucznik Knutson, będący szefem Rustin. On chciał się przekonać, jak jego podwładna poradzi sobie z manewrem. Równocześnie dział ogniowy zaczął ćwiczenia z namierzania celów, praktykując na wszystkim, co tylko znajdowało się w okolicznej próżni. Krzyżujące się komendy trochę rozpraszały Claire, choć w podobnych sytuacjach ćwiczebne zabijanie wrogich celów było po prostu normą. Kapitan Ayres miałby poważne obiekcje, czy godzić się na wykorzystywanie obiektów sojuszników, zwłaszcza że jeden z krążowników RMN miał zabrać porucznika komandora Lockharta, oszczędzając *Manassehowi* podróży na Manticore, ale komandor Greentree wyraźnie nie miał podobnych rozterek.

Porucznik Knutson przerwał sesję i włączył głośniki. Rustin powtarzała standardowe polecenia kolejnych manewrów. Bez potwierdzania przez stację. Zielone znaczniki sygnalizowały, że kanały łączności były drożne, zapisy logowe zaś, gdy cofnęli się aż do zmiany wachty, także to potwierdzały.

Nagle Knutson przymrużył powieki i złapał się konsoli. Okręt jęknął i zadrżał przeciągle. Claire zerwała się z ogarniętego wibracją fotela i natychmiast odkryła, że pokład i ściany zachowują się podobnie. Cały okręt się trząsał. Porucznik powiedział coś do swojego mikrofonu, Claire zaś przebiegła spojrzeniem ekrany, by ustalić, co właściwie się dzieje, które systemy odmawiają posłuszeństwa i co należy natychmiast wyłączyć.

Knutson poruszył kamerą zewnętrzną i aż gwizdnął, ściągając zaraz do monitora gromadę podoficerów. Powiększony obraz ukazywał lśniąca metalicznie smugę na burcie. Niszczyciel otarł się o jeden z wysięgników stacji.

– Będzie ślad – powiedział z uśmiechem.

Jeden z podoficerów pokręcił głową.

– Nie słyszałem ze stacji ani jednej odpowiedzi na nasze wywołania zapowiedzi manewrów dokowania.

Porucznik aż parsknął.

– Byli bardzo rozmowni do chwili, gdy porucznik Rustin objęła wachtę. Przypomnimy im to z brutalną szczerością, jeśli spróbują narzekać. Często próbują tej sztuczki z milczeniem, gdy po drugiej stronie słyszą kobietę, a na dyżurze są sami miejscowi, bez nadzoru z Manticore. Ponoć kapitanowie z RMN tak układają wachty, by zawsze podchodzić tu z męską obsadą. – Wzruszył ramionami. – Ale po kilku ostatnich dniach wątpię, by kapitan miał ochotę się z nimi pieścić.

Podoficer uśmiechnął się w odpowiedzi i zainteresował się uszkodzeniami stacji.

– To nauczy geniuszy z Masady, by zawsze słuchać mamusi.

Porucznik pokiwał zgodnie głową i zaryzykował opinię, że odpowiedzialny za kolizję oficer wyleci z roboty za nieprecyzyjne naprowadzanie jednostki z użyciem wysięgników dokujących.

Niszczyciele typu Joseph nie były dostosowane do dokowania bez wysięgników. Teoretycznie dawało się to zrobić, ale nikt tego nie próbował poza symulacjami.

Claire spojrzała raz jeszcze na uszkodzenia stacji i zastanowiła się, na ile *Manasseh* oberwał. Niemniej alarmy kontroli uszkodzeń milczały, zatem nie mogło być źle.

Porucznik zażądał raportów o uszkodzeniach, ale sądząc po błysku w jego oku, wiedział już, co usłyszy. Raporty nadeszły niemal natychmiast. Uszkodzenia ograniczały się do szramy biegnącej przez pół długości kadłuba. Kosmetyczna sprawa. Cywilna konstrukcja stacji zbudowanej

przez cywilnych podwykonawców z Masady nie mogła równać się z graysońską stalą wysokiej jakości.

Wróciwszy do kabiny, Claire starała się jak najlepiej wyjaśnić ciężko zmartwionej Cecelie Rustin, że komandor nie ma do niej pretensji. Uściskała ją nawet, przekonując, że to nie była jej wina.

– Ale zarysowałam nasz okręt – powtarzała dziewczyna raz za razem. – Pierwszy raz to robiłam i zarysowałam.

Stacja na orbicie Masady okazała się tak brudna, jak można było tego oczekiwać po obsadzie, która uważała, że za sprzątanie się nie płaci, ale jednocześnie nie chciała wpuszczać kobiet na stację. Cecelie wróciła po paru godzinach przepustki zirytowana barami, w których nie chciano sprzedawać niczego kobietom. Claire tylko wzruszyła ramionami; też kiedyś się to jej zdarzyło. W domenie Burdette wciąż istniało trochę takich miejsc, ale były też inne. Jednak biedna Cecelie wzięła rzecz bardzo do siebie.

Manasseh odcumował od stacji bez dalszych incydentów. Tym razem Claire pełniła wachtę. Szczęśliwie jej współlokatorka nie była zazdrosna. Dyżurny z doków zachowywał się uprzedzająco uprzejmie i odpowiadał bez opóźnień. Claire zastanowiła się, czy mniej ustosunkowany oficer niż komandor Greentree byłby w stanie tak postawić na baczność dowódcę stacji. Być może lecąc z kimś innym, zostaliby obciążeni grzywną za kontynuowanie manewru dokowania mimo braku stosownej łączności z kontrolą cumowania. Idiota, który był wtedy na służbie, nie polecił im wprowadzić przerwania podejścia, ale... Różnie można było to interpretować. Ona pewnie zareagowałaby tak samo jak Rustin. Chociaż oczywiście lepiej jest słyszeć potwierdzenia i widzieć, jak wysięgniki się im podporządkowują.

Następnego dnia grafik wacht zapewnił jej prawie całą dobę wolnego, którą wykorzystała najpierw na symulacje, a potem na przejrzenie logów niekrytycznych systemów, które zaliczano zazwyczaj do rezerwowych.

Szybko odkryła, że lekarz okrętowy zaniedbał rutynową kontrolę nanosyntezatora. Oznaczyła go, przypominając odpowiedzialnemu za urządzenie o terminie kontroli. Chciała jeszcze dopisać datę, do kiedy powinno to zostać zrobione, ale jej palce zawisły nad klawiaturą. Pewnie zirytowałyby tym ogólnie kompetentnego i doświadczonego lekarza, skasowała więc notatkę.

Potem, gdy przeglądała sieć logistyczną w poszukiwaniu najszybszego sposobu sprowadzenia części zamiennych, przypomniała sobie, że urządzenia nie zawsze psują się właśnie wtedy, gdy chce się je wyczyścić. Tylko tym razem tak wyszło.

Próbowała przekazać przez porucznika Loyda przeprosiny dla pierwszego, że harmonogram kontroli nie wyglądał najlepiej, ale jej szef tylko wywrócił oczami.

– Sprzęt się psuje, pani porucznik.

– Ale, sir, właśnie! Powinnam uwzględnić to w planie utrzymania, żeby części zamienne były pod ręką.

– I walki też powinniśmy unikać, jak długo nie dostaniemy części zamiennych? – Porucznik potarł dłonią usta, jakby chciał ukryć uśmiech. – To okręt wojenny, pani porucznik. Na takiej jednostce to i owo czasem się psuje. To całkiem normalne, zwłaszcza że nie latamy tak ostrożnie jak liniowce.

Potem skierował jej myśli na inne tory, dorzucając kilka sugestii poprawienia wyników podczas symulacji.

Nim minął tydzień, wśród załogi zaczęły się przypadki grypy żołądkowej, wywołanej najpewniej brudem, z którym zetknęli się na stacji.

Porucznik Loyd wezwał ją do swego łóżka boleści i wyjącał, że następnym razem ma prawo dokonać pełnego serwisu medyka, tak by zapamiętał to na całe życie.

Szczęśliwie części przyszły szybko i Claire mogła przystąpić do naprawy nanosynteźatora. Lekarz zerkał jej przez ramię, a kolejka pacjentów czekała za drzwiami na leki. Zaraz potem zaczęła się hurtowa kuracja.

Przez resztę dnia pierwszy wzywał kolejne sekcje załogi do szpitalika.

Późnym popołudniem lekarz zjawił się w centrum bojowym i Claire zamarała.

– Tylko proszę nie mówić, że znowu się zepsuł.

– Nie, ma'am. – Rozejrzał się, jakby oceniał odległość dzielącą go od podoficerów siedzących przy innych stanowiskach. Odprężył się, widząc, że są zbyt zajęci, by go słuchać. – Chodzi o porucznik Rustin, ma'am.

Claire zdjęła słuchawki, by lepiej go słyszeć.

– Podczas dzisiejszych badań pytałem wszystkich o samopoczucie. – Ściszył głos, ściągając tym na siebie uwagę kilku osób. – Ona powiedziała, że ją boli, ale nie potrafiła określić, czy to grypa żołądkowa, czy kobiece sprawy.

Claire dopiero po chwili skojarzyła, że chodziło mu o menstruację. Gdy o niej mówił, koniuszki jego uszu zrobiły się dziwnie czerwone.

– Rozumiem – odparła i czekała na jakieś wyjaśnienie, dlaczego medyk poruszył ten temat.

Jeden z siedzących niedaleko podoficerów był właśnie z działu artyleryjskiego Rustin. Claire zauważyła, że zsunął jedną ze słuchawek

częściowo na bok.

Medyk przygryzł wargę.

– No bo przecież boli cały czas.

– Nie, tydzień w miesiącu. Czasem półtora tygodnia.

– Nie rozumie pani – powiedział, patrząc na nią błagalnie. – Poprosiła mnie o środki przeciwbólowe, ale odmówiłem.

– Dlaczego? – spytała ze zdumieniem Claire.

– No bo nie wydawało mi się to potrzebne. Moje siostry nigdy nie wspominały, żeby musiały coś brać. Pani też o nic nie prosiła, od kiedy zjawiała się na pokładzie.

– Co? – To było nie do pojęcia. Medyk chciał, by pomogła mu ustalić stan zdrowia Rustin. – Doktorze, proszę dać jej te środki.

– No dobrze, zajmę się tym. – Jego uszy znowu się zaczerwieniły. – Czy pani też ich potrzebuje?

Claire opanowała chichot. Gość był naprawdę zakłopotany.

– Nie, dziękuję – odparła z uśmiechem.

– Ale dlaczego?

Claire pokręciła głową.

– Bo ludzie są różni, doktorze.

Krótko potem załoga zaczęła przezywać Cecelie Rustin „Twardzielką”, gdy rozeszło się, że cierpiała cały czas podobnie, jak im się zdarzyło przy grypie żołądkowej. Medyk został obsztorcowany, wszelako bez złości, za początkową odmowę podania środków przeciwbólowych lubianej pani oficer, przy czym dział maszyn zawiązał niezwyklej sojusz z działem artyleryjskim. Medyk nie miał innego wyjścia, jak obiecać, że to się już

więcej nie powtórzy, i dodatkowo, że będzie pilnował swojego planu przeglądów.

Claire obserwowała to wszystko ze skrywaną wesołością. Ostatecznie jej współlokatorka doszła do siebie. Była twardsza, niż mogło się wydawać. Claire zaś była pod wrażeniem, jak łatwo załoga *Manasseha* adaptowała się do nowej sytuacji. Gdyby Noah tak potrafił i zdołał zostać lekarzem. Wymogi pokładowego życia sprawiły, że zapomniała o wielu przykrych sprawach.

Porucznik Loyd zaczął wprowadzać innych oficerów do symulacji Claire. Ona sama wolała nawet siedzieć przy konsoli kontroli uszkodzeń niż przy konsoli bojowej. Z właściwego sobie miejsca mogła nadzorować systemy okrętu, robiąc, co tylko w jej mocy, żeby mógł dalej walczyć. Ktoś inny mógł zajmować się w tym czasie atakowaniem i obroną. Claire włączała się, gdy okręt oberwał i trzeba było obejść uszkodzenia.

Jej szef nalegał wciąż, by siedziała raczej na głównym stanowisku, ale pierwszy zaplanował już, że podczas najbliższych ćwiczeń floty będzie odpowiadać właśnie za kontrolę uszkodzeń. Ćwiczenia miały odbyć się zaraz po ich powrocie do układu Yeltsin.

Zgodnie z raportami floty, *Ephraim* znowu przebywał na Blackbirdzie. Niemniej te manewry miały być przeprowadzone właśnie na symulatorach, zatem załoga siostrzanego *Ephraima* nie miała szansy przed nimi uciec.



Ogłuszający sygnał alarmu bojowego wyrwał Claire z głębokiego snu. Stoczyła się z koi i sięgnęła po swój skafander roboczy. Wbijając się w niego, czekała w półśnie na komunikat, że to tylko ćwiczenia.

Nie doczekała się.

Dopięła ostatni zamek, otworzyła drzwi kabiny i pobiegła do maszynowni. Załoga tłoczyła się w przejściach i na korytarzach. Wszyscy, którzy nie byli akurat na wachcie, zmierzali na swoje stanowiska. Przeskoczyła przez właz maszynowni, zauważając, że ludzie są równie przejęci i zatroskani jak ona, ale ogólnie panował porządek. Nie było też śladu strachu, no i wszyscy zjawili się na czas. Gdy tylko dopadła swojej konsoli, zaraz założyła słuchawki.

– Do wszystkich. Mówi kapitan.

Głos rozlegał się na wszystkich kanałach i Claire odnotowała przelotnie, jak spokojnie brzmiał. Ta ulga nie trwała długo.

– Wróciliśmy do normalnej przestrzeni w celu dokonania ćwiczeń nawigacyjnych – ciągnął komandor Greentree. – Jesteśmy trochę ponad trzydzieści minut świetlnych od Uriela, ale nie odbieramy sygnałów z boi nawigacyjnych stacji. Nie otrzymaliśmy też odpowiedzi na nasze wywołania w nadświetlnej. Być może przesadzam z ostrożnością – dodał z cichym śmiechem – ale Protektor życzy sobie, żebyśmy dbali o jego okręt, dlatego pozostaniemy przy procedurach alarmu bojowego do czasu, aż ustalimy, co się dzieje. A gdy już okaże się, że to tylko lenie z Blackbirda coś zawaliły, postawię wam pierwszego drinka w barze. Proszę wrócić do obowiązków.

Claire usłyszała, jak porucznik Loyd zameldował na kanale dowódczym o pełnym przyspieszeniu przy podejściu do stacji. Chwilę potem poinformował o wystrzeleniu dronów i coś ścisnęło ją w żołądku. Te ptaszki były drogie, dowódca kazał wysłać tylko dwa, by spojrzeć z bliska na Blackbirda. Claire przełączyła obraz i zobaczyła, że jej szef miał na ekranie okna odliczające czas do chwili, gdy drony dotrą do celu. Pierwszy miał iść cały czas z maksymalnym przyspieszeniem i przejść jak najbliżej stacji oraz Uriela. Drugi został zaprogramowany na hamowanie, stąd miał

być na miejscu godzinę po pierwszym. Dwóch techników przełączyło swoje konsole, by widzieć to samo co operatorzy dronów w centrum bojowym. Tak samo jak podczas ćwiczeń mieli czuwać, czy nie okażą się potrzebni. Claire dodała ich kanał do dźwięku w swoich słuchawkach.

Przez następne dwie godziny tylko czekali.

Operator pierwszego drona krzyknął coś i zaczął przeklinać, gdy część ikon na jego ekranie nawigacyjnym zajaśniała czerwienią.

– Nie można zlokalizować następujących boi: Blackbird Alpha, Blackbird Bravo, Węzeł 2A, Blackbird Charlie, Węzeł 3A...

Tekst na ekranie przewijał się szybko, ale i tak było widać, że sporo brakowało. Potem na dole ekranu zapalił się nowy komunikat, tym razem na żółto, z listą odnalezionych boi. Claire nie od razu się w niej zorientowała.

– Kapitanie, mamy meldunek z drona numer jeden – oznajmił operator. – System boi stacji orbitalnej Blackbird doznał rozległych uszkodzeń. Większość pomocy nawigacyjnych milczy. Te nadal działające znajdują się poza swoimi właściwymi pozycjami. Niektóre poruszają się w sposób, którego nie da się sensownie wytłumaczyć. Tych, które milczą, jakby w ogóle nie było.

– Dron numer dwa, czterdzieści osiem minut do zasięgu czujników – zameldował sąsiedni operator.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dobrze – odezwał się komandor Greentree. – Czekam na kolejne meldunki.

Przekaz wizyjny z pierwszego drona zawierał głównie ciemność, chociaż pracochłonna obróbka obrazu pozwoliła dojrzeć rozrzucone chaotycznie smugi, które mogły być fragmentami stacji.

Drugi dron ukazał wszystko z przerażającymi detalami. To, co powinno przedstawiać się jako misterna sieć modułów stacji, zmieniło się w splątane fragmenty konstrukcji, z obłokami rozproszonych drobnych szczątków krążących na przypadkowych orbitach. Szczegółowy skan ujawnił, że część z nich oddalała się w kierunku Uriela albo w próżnię. Na powierzchni księżycy widać było świeże ślady upadków, rozpoznawalne nawet dla tych, którzy nawykli śledzić raczej własne uszkodzenia niż zniszczenia zadane przeciwnikowi.

Ciszę przerwał operator podający matowym głosem szczegółowy meldunek.

Claire dała go na prawą słuchawkę, lewą pozostawiając na inne kanały. To nie mógł być wypadek. Rozległość zniszczeń wskazywała na to, że ostrzelana została nie tylko część stoczniowa i instalacje wojskowe, ale także moduły mieszkalne, nawigacyjne i stacja wahadłowców tranzytowych, gdzie mogli przeżyć jacyś rozbitkowie.

Na zewnętrznych częstotliwościach słychać było paniczne wywołania cywilnych jednostek na orbicie Graysona.

Sieć dowodzenia *Manasseha* też nie milczała, gdy Claire i jej ludzie zaczęli podawać wstrząsające szczegóły dotyczące zniszczeń. Stacja została całkowicie zmieciona. To był podstępny atak, napastników zaś nie było już w układzie.

Doszło do niego sześć godzin przed wyjściem niszczyciela z nadprzestrzeni i nie mieli z kim walczyć. Gdyby musieli szykować się do boju, Claire rozesłałaby swoich ludzi w najbardziej krytyczne miejsca. *Manasseh* nie potrzebował tego. Ale szczątki stacji tak.

Claire wystukała wiadomość do porucznika Loyda i wysłała ją, nadając niski priorytet: „Sir, zalecam obsadzenie wahadłowca numer jeden. Moi technicy mogą prowadzić operację poszukiwawczo-ratowniczą”.

Chwilę potem nadeszła odpowiedź. Z najwyższym priorytetem.

„Zgoda. Przeprowadzić. Wziąć medyka”.

– Przygotować hangar do startu – powiedział pierwszy na kanale dowodzenia. – Gotowość do wystrzelenia wahadłowca numer jeden. Medyk zamelduje się w hangarze do operacji poszukiwawczo-ratunkowej.

Claire zerwała się z fotela i odrzuciła słuchawki.

– Czas na nas! Biorę zespół naprawczy numer jeden. Podwójna porcja powietrza, będziemy dużo wychodzić. Szefie, potrzebuję wszystkich pakietów podtrzymywania życia, które uda się panu znaleźć. Idziemy.



Gdy oddalili się od *Manasseha*, zobaczyli pierwsze fragmenty stacji ze stopionymi i zastygłymi ponownie niby płatki kwiatów częściami konstrukcji i obłokami ulatniających się gazów. Żaden okręt nie miałby prawa przetrwać takich zniszczeń. Stacja też nie.

Pilot odwrócił się od ekranu i spojrział na Claire.

– Tam. – wskazała na największy fragment wraku z boją awaryjną. – Proszę dopasować rotację, na ile się da. Użyjemy lin z wahadłowca i zobaczymy, czy kogoś odnajdziemy. Jest chyba dość duży, by dać szansę rozbitkom.

Jej technicy przeszli przez śluzę z przyczepionymi optymistycznie do pasów pakietami podtrzymywania życia i przypięli swoje liny do kadłuba. Fragment okazał się całkowicie pozbawiony powietrza. Claire nakierowała ich na szczelinę w ścianie. Po muralu poznała, że były to pomieszczenia popularnej restauracji. Goście i obsługa leżeli skłębieni pomiędzy stołami albo pod ścianą, która przy nagłym przyspieszeniu stała się podłogą.

Z drugiej strony, tam gdzie kiedyś znajdowało się zachęcająco szerokie wejście i podium szefa sali, stał ukryty dyskretnie przed spojrzeniami klientów transponder awaryjny. Zamontowany zapewne po to, by zaalarmować ochronę stacji, gdyby wieczorny tłum gości nazbyt się zagęścił. Claire stwierdziła, że uruchomił się automatycznie przy spadku ciśnienia. Ręczny przełącznik był w neutralnym położeniu.

Uruchomiła funkcję nagrywania, mającą w założeniu służyć do skrytej rejestracji, gdyby zdarzyły się jakieś kłopoty.

– Rozhermetyzowana sekcja B2 zbadana przez zespół z wahadłowca należącego do GSN *Manasseh*. Brak żywych rozbitków. Stwierdzono obecność szczątków dwudziestu trzech osób. – To powinno zapobiec ponownemu przeszukiwaniu tego fragmentu wraku.

Nie mogła po prostu wyłączyć transpondera. Należało oczekiwać, że rodziny będą chciały odzyskać szczątki.

Dała zespołowi znak, że wracają do wahadłowca.

Zorientowała się, gdzie byli. Trochę z boku od głównej masy wirujących szczątków, gdzie znajdowała się zapewne sekcja B3 i Birdies. Poprosiła o powiększenie obrazu. Zobaczyła tylko drobne kawałki konstrukcji. Resztę przesłoniły jej łyzy.

– Lecroix, tu *Manasseh* – odezwał się komandor Greentree. – Melduj o wynikach, over.

– Nie znaleźliśmy żywych rozbitków, sir – powiedziała zdławionym głosem, zdumiewająco jednak wyraźnie, gdy wziąć pod uwagę spływające po policzkach łyzy. – Jesteśmy w drodze do drugiego obiektu. Prosimy o koordynowanie poszukiwań i podawanie lokalizacji prawdopodobnych miejsc, gdzie mogą być ofiary.

– Dobra robota. Będziemy wam przekazywać namiary. Meldować na bieżąco. Nadciąga już więcej jednostek.

Manasseh kierował ich od jednego fragmentu stacji do kolejnego, ale wszędzie znajdowali tylko zwłoki, o czym meldowali w drodze do następnego celu. Czasem ciała nie były nawet zmasakrowane, ale zawsze brakowało powietrza. Kazała technikom zostawiać zmarłych. W wahadłowcu nie było dość miejsca na ciała.

– Nie możemy zwolnić – powiedziała zespołowi, wciąż mając nadzieję, że jednak odnajdą kogoś żywego. – Może jednak – dodała, podsycając ich nadzieję.

Prawie zadziało. Jej ludzie podsuwali różne możliwości.

– Czasem trafia się kieszeń powietrzna.

– Ktoś mógł być w skafandrze. W tych stocznich wielu pracowało na zewnątrz. Część na pewno akurat miała zmianę.

– Tak. I przecież masa ludzi nosiła ze sobą maski na twarze.

Claire kiwała głową, wdzięczna za wsparcie. Dobrze, że musieli zostawiać ciała we wraku. Teraz w każdym z nich widziała zwłoki Lucy i Mary, nawet w męskich.

Nagrywali obraz, by ułatwić późniejsze odzyskiwanie ciał, ustalali koordynaty orbitalne i ruszali dalej. Wiele godzin później, według zegara wahadłowca aż dwanaście, *Manasseh* nie podał kolejnego namiaru, tylko nakierował ich na kurs powrotny.

Podczas krótkiego przelotu starszy technik przekazał im wiadomości od innych zespołów. Gdy tylko niszczyciel przerwał ciszę radiową, został wywołany przez cztery wahadłowce kursujące na co dzień między segmentami stacji. Podczas ataku wszystkie były akurat w drodze i szczęśliwie uniknęły trafień rozpedzonymi szczątkami. Przyjęły też na

pokłady ocalałych robotników z pochylni stocznioowych, którzy starali się prowadzić własną operację ratunkową.

Cudownym zrządzeniem losu cywilna stocznia wypuściła ostatni statek kilka dni temu, budowę następnego zaś miała zacząć dopiero za kilka tygodni. Ci z robotników, którzy pozostali na stacji, przenosili swoje rzeczy na nowe miejsce pracy. Skafandry też wchodziły w skład ich wyposażenia, a te najłatwiej było przetransportować na sobie. Ich pochylnia dostała tylko jedno trafienie i chociaż duża dziura w poszyciu nie nadawała się do szybkiej naprawy, zniszczeń było względnie niewiele. Stocznia floty nie miała tyle szczęścia. Żaden z budowanych czy wyposażanych okrętów nie ocalał. Z opisu wynikało, że pociski zostały nakierowane przede wszystkim właśnie na nie oraz na moduły produkcji uzbrojenia, które dostały nawet więcej trafień.

Liczba uratowanych rozbitków wynosiła czterdzieści trzy osoby, *Manasseh* zaś zyskał cztery dodatkowe jednostki do poszukiwań.

– Hej, mamy tu kogoś żywego! – To był pewnie wahadłowiec ze stoczniowcami.

Serce Claire zabiło żywiej w piersi i najchętniej zawróciłaby wahadłowiec. Ale tamci mieli już wprawę, a w razie potrzeby dowódca miał kogo wysłać im na pomoc.

– Rozumiem, panie Cuoio – odezwał się komandor. – Gdzie znaleźliście rozbitków? Czy potrzebujecie wsparcia? Over.

– Och, przepraszam. Tak, na księżycu. Jedna z baz na Blackbirdzie odbiera sygnał. Chwila. Nasz gość z marynarki mówi, że to sygnały Morse'a. Nie wiem, co to znaczy, ale ktoś tam żyje i coś stuka. I cała masa złomu leci im na głowy. Macie jakieś działa?

Gość z marynarki okazał się starszym porucznikiem, który zaraz skonfiskował mikrofon i szybko wyjaśnił sytuację. Duży fragment konstrukcji zniszczył niedaleką stację, ale nie rozpadł się całkowicie i osłonił swoją masą inną stację przed kolejnymi szczątkami. Ale teraz leciały tam następne fragmenty i wskazana byłaby pomoc wahadłowców, by zmieniły ich trajektorię. Nie uważał, co powtórzył dwa razy, by konieczne było użycie uzbrojenia przez niszczyciel.

– Potwierdzam, poruczniku – odparł dowódca. – Wahadłowce w drodze. Proszę lądować. Oczyszczymy wam niebo na tyle, żebyście byli bezpieczni.

Claire wysłuchiwała listy ocalonych, którą Cuoio podał im z prawdziwą przyjemnością. Starła się rozpoznać jakieś nazwiska pamiętane z czasu, gdy *Ephraim* przebywał w stocznii.

Świeża załoga czekała na nich w hangarze. Wszyscy z mokrymi twarzami, ale skupieni. Zaraz załadowali się do wahadłowca, by sprawdzić systemy i ruszać z powrotem na miejsce katastrofy. Odlecieli z prędkością, która na pewno nie była regulaminowa, ale stojący przy drzwiach hangaru komandor Greentree nie próbował ich powstrzymać.

Zamiast tego poprosił Claire, by usiadła. W hangarze było tylko jedno krzesło, dla technika obsługującego wahadłowiec. Gładka zwykle twarz dowódcy poznaczona była zmarszczkami. Claire zdała krótki raport.

– Widziałam te szczątki. Nie mam złudzeń. Moje kuzynki mieszkały w sekcji B3. Nie planowały wakacji, bo za to nie płacą. Lucy i Mary. Na pewno zginęły.

Komandor Greentree przymknął na chwilę powieki.

– Współczuję. – Chyba chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował.

Claire przechyliła głowę.

– Nie wiedział pan o moich kuzynkach? To co jeszcze... – Nagle zrozumiała. – *Ephraim*. Jego remont znowu się przedłużał.

– To poszło szybko – powiedział komandor. – Musiało. Jednostki w stoczni dostały bezpośrednie trafienia.

Pokiwała głową i tym razem nie opanowała już łez.

– Niektórzy z załogi mogli być na przepustkach albo szkoleniach – powiedział Greentree.

Claire spojrzała na niego i zacisnęła usta. Większość ośrodków szkoleniowych też mieściła się w stoczni.

– Albo w domach – dodał.

Ścisnęło ją w gardle. Jakoś wróciła do swojej kabiny, gdzie Cecelie złożyła jej cicho kondolencje i dała coś do zjedzenia. Dopiero teraz dotarło do Claire, że Jennie Ayers też mieszkała na stacji. Kapitan Ayers ścigał ją tam, gdy jego okręt był w stoczni. Odszukała na biurku elegancko wydrukowane na kremowym papierze zaproszenie na spotkanie Klubu Żon *Ephraima*. Wynajęły klub oficerski na specjalny lunch. Właśnie dzisiaj. Nogi się pod nią ugięły.

Nie tylko Mary i Lucy. Pewnie też cała załoga *Ephraima* oraz żony załogantów. Wszyscy oni zmienili się w dryfujące w próżni, zamrożone ciała. Albo rozdrobnione szczątki. Gdy przyjdzie czas, pozbierają ich po kawałku. Claire zwymiotowała, niezdolna teraz pamiętać, że kogokolwiek z nich kiedyś nienawidziła. Nawet Lucy i Mary. Czy powiedziała im kiedyś, że je kocha? Nie pamiętała. Znowu zgięła się nad umywalką.



Manasseh jeszcze przez kilka dni spychał z kursu albo niszczył fragmenty stacji zagrażające instalacjom na powierzchni księżyca. Rodziny

poległych błagały o zwrot szczątków bliskich. Ostatni, których udało się odnaleźć żywych, to byli dwaj robotnicy ze stoczni. Pracowali akurat w skafandrach na zewnątrz. Znalezione ich ponad cztery dni temu. Od ataku minęło pięć dni.

Claire zagłębiła się w symulacjach taktycznych. Na miejscu pojawiły już kolejne jednostki, podejmując własne poszukiwania. Stworzono pierścień obronny wokół układu. Claire otrzymała dzień wolny, który przespała.

Obudziła się półprzytomna, słysząc sygnał wywołania z terminalu, który dodatkowo błyskał światłkami. Ktoś dzwonił do niej z dołu. Z domeny Burdette. Włożyła czysty mundur i odebrała.

Ujrzała starszego duchownego w ciężkiej od zdobień sutannie, który skłonił głowę i przywitał się w typowy dla swego stanu sposób.

– Z błogosławieństwem, dziecko boże. Niech Tester wesprze tve wysiłki i wzmocni twego Protektora.

Obok wielebnego siedział Noah i wpatrywał się uważnie w ekran.

Claire kojarzyła tego kaznodzieję z młodych lat. Zawsze starała się go unikać. Nieustannie próbował umoralniać innych ludzi, nigdy tak naprawdę ich nie wysłuchując. Pełna szacunku postawa kuzyna musiała oznaczać, że ten właśnie człowiek był ostatnio dla niego jak ojciec. Wybierał już gorzej. Spróbowała domyślić się, po co do niej dzwonił.

– Dobry wieczór. Dzień dobry? – Zamrugła powiekami.

Wielebny trącił Noaha.

– Cześć, Claire-Claire. Jest popołudnie.

Wielebny znowu go trącił.

– A ty wracasz do domu.

– Co?

Nic nie rozumiała.

– Nadeszła pora skruchy – powiedział duchowny.

– Claire – odezwał się znowu Noah. – Wiesz, naprawdę mi przykro. Nie powinienem w ogóle cię tam posyłać. Wiem, że tego nie cierpisz, że to była pomyłka. Nigdy nie powinnaś tam trafić, zwłaszcza do akademii na Manticore. Więc wiesz, uczyniłem spowiedź, i możesz wracać już do domu.

– Co mogę?

Wielebny pokiwał aprobująco głową.

– Młoda panno, twój opiekun właśnie poinformował cię, że cofa pozwolenie na twoją pracę poza domem. Wrócisz do swojej rodziny najbliższym dostępnym wahadłowcem.

Oszołomiona Claire pokręciła głową.

Wielebny westchnął i zamknął oczy.

– Miłosierny Testerze. Obroń nasze serca w tych ciemnych czasach chciwości i grzechu. Naucz nas znaleźć miejsce w domostwie. Pobłogosław tę córkę, którą tu oto widzisz. Przydaj łagodności jej kamiennemu sercu i otwórz je na twą prawdziwą chwałę. – Zaczerpnął powietrza. Claire miała nadzieję, że to już koniec.

Ale nie.

– Niech łuski opadną jej z oczu, by mogła dojrzeć grzechy twego ludu. By zrozumiała swój grzech i poszukała odrodzenia w twej świętej obecności. By mogła rozpoznać niegodziwość naszych władców, przeciwko którym jest nasza święta zemsta.

Noah otworzył jedno oko. Claire nie mogła znaleźć słów. W ustach jej zaschło, tak długo trzymała je otwarte.

– Testerze, ulecz to serce, by odwróciło się od kurewstwa zgasłych kuzynek. – Noah spojrział na nią przerażony, gdy wielebny nazwał Mary i Lucy kurwami. A przecież one tylko tańczyły. Tańczyły dla pieniędzy

samotnych mężczyzn, którzy nie potrafili poradzić sobie z rozłąką ze swymi żonami.

Wielebny kontynuował modlitwę.

– Wybacz jej grzech dumy i zawiści. Wybacz jej tak, jak rodzina jej wybaczła. Wróć twą córkę do domu, na łono rodziny.

Claire nadal nie mogła wykrztusić ani słowa. Sięgnęła do konsoli i zakończyła połączenie.

Cecelie stała po drugiej stronie kajuty i patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.



Claire poszła do centrum bojowego, żeby trochę pomyśleć w spokoju, i trafiła na porucznika Loyda przeglądającego zapisy ataku uzyskane z logów wahadłowców oraz nielicznych ocalałych sensorów. Pokazywały grad pocisków i śmierć. Wywoływały zdradzieckie łzy. Emocje byłyby dobrą wymówką, by wykopać ją ze służby, w to Claire nie wątpiła. Teraz, gdy nie było Blackbirda, przemysł kosmiczny Graysona mógł popaść w wieloletnią recesję. Musiałaby wracać do domeny Burdette. Opanowała mdłości. Jak mogła być tak nieczuła? Tylu ludzi zginęło, a ona opłakiwała kres swoich marzeń.

Porucznik Loyd uniósł głowę i zatrzymał nagranie. Skinął na nią, by usiadła.

Claire nosiła teraz chusteczki w kieszeni munduru. Sięgnęła po jedną. Torby na wymioty nie wyjmowała.

– Mam pewien problem, sir.

Porucznik zaśmiał się ponuro.

Claire też uśmiechnęła się odruchowo. Tak, to było dziwaczne mieć jeden problem w sytuacji, gdy całe zaplecze Grayson Space Navy zostało obrócone w perzynę, jej naród został brutalnie zaatakowany przez nieznanego wroga, a niemal połowa mieszkańców planety domagała się krwi, chociaż nikt nie wiedział jeszcze, czyja by to miała być krew.

– To problem rodzinny, sir.

Porucznik szybko otrzeźwiał.

– Czy Lockhart... – zaczął.

Claire nie od razu domyśliła się jego intencji.

– Nie. Żadna cięża ani nic w tym rodzaju. Mój nastoletni opiekun prawny wybrał sobie niewłaściwą osobę do roli ojca i to zrodziło problem.

Teraz porucznik nie rozumiał. Zaintrygowany przekrzywił głowę.

Claire opanowała chęć, by westchnąć. Ludzie nie pojmowali, jakie kłopoty stwarzało prawo, gdy było się wobec niego bezradnym. Wyjaśniła, jak doszło do tego, że Noah podpisał zgodę na jej studia w akademii i pracę poza domem. Opisała też sprawę z kontem.

Porucznik uniósł brwi.

Z rumieńcem na twarzy Claire opowiedziała, jak to zataiła wzrost żołądu związany z awansem. Na koniec wspomniała o wezwaniu wielebnego z domeny Burdette, by nawróciła się na wartości rodzinne, i że Noah zamierzał cofnąć zgodę na jej pracę poza domem.

Porucznik nie opuścił brwi.

– Niezwykłe – powiedział po dłuższej chwili i pokręcił głową. – Niewiarygodne.

Claire poczuła potrzebę przypomnienia, dlaczego do niego przyszła.

– Powiedział pan, żebym mówiła panu o problemach, gdyby się pojawiły. Że po to są szefowie działów.

Porucznik aż parsknął.

– Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie mówił takich rzeczy. – Pokręcił głową. – Nie mam pojęcia... – Nagle znieruchomiał. – Chociaż to powinno zadziałać. Słyszałaś, jakie są nasze najnowsze rozkazy?

Claire potarła czoło, mgliście przypominając sobie odprawę przed przejściem na Graysona, ale potem spała wiele godzin i straciła orientację, co działo się na pokładzie.

Jej szef wzruszył ramionami.

– W mesie na pewno już o tym plotkują. Na Graysonie mamy podjąć VIP-a. To będzie Michael Mayhew. Zabieramy go wraz ze sztabem na Manticore. Po tym ataku Protektor woli pewnie podróżować na pokładzie okrętu wojennego niż swoim jachtem.

Loyd przerwał na kilka chwil rozmowę, by skontrolować wejście *Manasseha* na orbitę planety.

Gdy manewr został zakończony, na całym okręcie rozległ się głos komandora Greentree.

– Niebawem przyjmiemy na pokład znamienitego przedstawiciela rodziny Mayhew. Proszę przywitać go i okazać wsparcie jego sztabowi tak, jakbyśmy gościli Protektora. Wierzę, że dostarczycie mi powodów do dumy. Zostaliśmy zaatakowani i jak już wiecie, ponieśliśmy ciężkie straty. Protektor wysyła swojego brata do królowej Elżbiety, by rozmawiać z nią o tej nowej wojnie, i wybrał *Manasseha*, by odbyć tę podróż. Wrogowie Graysona i Manticore muszą zostać ukarani. To jest pierwszy krok na tej drodze.

Załoga obecna w centrum bojowym zareagowała spontanicznym aplauzem.

Ceremonia powitania przeszła bezboleśnie. Mayhew wszedł na pokład w towarzystwie nielicznej świty. Reszta jego sztabu była ciągle zajęta na Graysonie i miała dotrzeć na niszczyciel później, gdy załoga przygotuje już dla wszystkich miejsca.

Szyje wyciągające się nad konsolami odpowiedziały Claire, że dostojni goście nie udali się do kabin, tylko ruszyli na zwiedzanie okrętu. Komandor Greentree służył im za przewodnika. Gdy dotarli do centrum bojowego, przedstawił całą wachtę z imienia i nazwiska. Grupa przystanęła. Michael Mayhew zamienił kilka słów z podoficerami i uściśnął im dłonie, tak by pewnego dnia mogli opowiadać o tym wnukom.

Poruszał się z wprawną elegancją, nigdzie nie przystając na zbyt długo. Nie chciał, by ktokolwiek poczuł się niezręcznie w jego towarzystwie.

Claire przygotowała sztuczny uśmiech, gdy podał jej dłoń.

– Porucznik Lecroix – powiedział. – Miło mi panią spotkać. Komandor Greentree chwalił panią za udział w akcji ratowniczej.

– Dziękuję, sir.

Potem nagle wszystko się zmieniło.

– Proszę więc opowiedzieć mi o pani kuzynie Noahu.

Claire zerknęła na swojego szefa. Wieści szybko się rozchodziły.

– Sir, mój kuzyn jest głową mojej rodziny w domenie Burdette. Podpisał zgodę na moją pracę poza domem, gdy dostałam się do akademii na Saganami, ale teraz chce wycofać tę zgodę.

– Tak słyszałem. Ale czy patron Burdette rozumie, na czym polega służba wojskowa na Graysonie w czasie wojny?

– Sir, to inicjatywa mojego kuzyna oraz pewnego duchownego, który ma chyba na niego ostatnio duży wpływ. Patron w ogóle nie jest w to uwikłany.

– Ale to on stworzył takie prawo – powiedział Mayhew, a jego napięte rysy sugerowały, że uważa patrona za odpowiedzialnego za wszystkie skutki stanowionego przez niego prawa. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym wciągnął głęboko powietrze. – Czy zechce pani towarzyszyć mi do mesy?

Claire była tak ogłupiała i zdenerwowana, że bez protestów dała się zaprowadzić do mesy i ledwie do niej dotarło, że siwowłosa kobieta, który szła w ślad za Mayhew, to Elsabeta Greentree, żona komandora i członkini rady prawnej Mayhew. Wydało jej się dziwaczne, że brat Protektora uznał za stosowne zająć się jej problemem, zwłaszcza w takim czasie, ale Mayhew i Elsabeta zasypywali ją pytaniami o Noaha, rodzinę Bedlamów i system prawny domeny Burdette.

Claire była w stanie odpowiedzieć w dwóch pierwszych przypadkach, chociaż wolałaby milczeć. O trzeciej sprawie nie miała większego pojęcia, ale w sumie było to bez znaczenia. Goście sami szybko ściągnęli potrzebne materiały ze swojej biblioteki.

Jasna czupryna Cecelie wychynęła zza rogu akurat na chwilę wystarczającą, by jej właścicielka zdążyła uśmiechnąć się ciepło i ogarnąć całą grupę spojrzeniem. Potem zniknęła, Claire zaś wiedziała już, kto tu był największą plotkarą. Marynarka wojenna nie była wcale lepsza od rodziny, gdy chodziło o planowanie komuś życia bez pytania go o zdanie.

Przetarła oczy, by usunąć z nich obraz twarzy Mary i Lucy, nakładający się na obraz znajdowanych ciał, których widma zdawały się krążyć po mesie. Elsabeta snuła już plan nie tylko pozbawienia Noaha zwierzchności nad Claire, ale także zmuszenia go do oddania zagarniętych pieniędzy. Powoływała się przy tym na historyczne prawo mówiące, że każdy oficer staje się dżentelmenem, który zgodnie z prawem domeny Burdette nie może

być osobą zależną, zatem dysponowanie środkami Claire przez kuzyna jest bezprawne.

Mayhew słuchał tego ze sceptycznym wyrazem twarzy.

Inni członkowie delegacji ustawili się wkoło, jakby tocząca się rozmowa była niezbędnym elementem przygotowań do wizyty na Manticore.

Claire zakaszłała, by ściągnąć na siebie uwagę.

– Proszę o wybaczenie, ale moje drobne problemy nie są aż tak ważne. Chcę powiedzieć, że sojusz z Manticore to coś nieporównanie większej wagi. – Przełknęła ciężko ślinę. Nie wiedziała, jak powinna zwracać się do gości, zaryzykowała więc wojskowy sposób. – Sir, ma’am, chciałabym dotrzeć do lorda Burdette, o ile będzie to dla mnie możliwe. – Komandor Greentree zajął się skutecznie Lockhartem, gdy dowiedział się o jego postępkach. A co, jeśli jej patron nie wiedział po prostu, co wynika ostatecznie ze stosowania jego prawa? Coś podpowiedziało jej, że jeśli nie wiedział, to musiał być idiotą, który nie potrafi kierować się rozumem. Uciszyła ten głos.

Mayhew przesunął palcem po wargach, skrywając lekki uśmiech. Claire zastanowiła się, czy nie palnęła gafy. „Sir” sprawdzało się w wojsku wobec ludzi, których tytułów zwykle się nie znało.

– Panie Mayhew – spróbowała raz jeszcze. – To mój patron skierował mnie na wyspę Saganami i tak dalej. Wydaje mi się właściwe, by dać mu szansę naprawienia tej sytuacji. Sądzę, że to powinno być jego zadanie.

Uśmiech wyrwał się na wolność, szeroko rozciągając usta Mayhew.

Teraz rozmowa potoczyła się z udziałem Claire. Elsabeta chciała wysłać Noahowi pozew, ale Mayhew zasugerował, by rozwiązania prawne trzymać na razie w rezerwie. Claire nalegała na telefon do domeny Burdette, by móc zapisać się na audiencję u patrona, gdy wróci z Manticore. Zamierzała

bezlitośnie poprosić Rustin o pożyczkę na opłacenie tej rozmowy. Tyle przynajmniej była jej winna po tym publicznym praniu brudów rodziny Bedlamów.

Komandor Greentree zaoferował swój gabinet, by mogła zadzwonić od razu. Elsabeta zaproponowała, że wypunktuje cały kontekst prawny.

Szczęśliwie miejsca było tam zbyt mało, by wszyscy mogli pójść z nimi. Przed ekranem zasiadł jedynie Mayhew w towarzystwie Claire, a komandor Greentree i Elsabeta usiedli z boku. Mayhew wprowadził prywatny kod, dzięki któremu uzyskał połączenie z domeną Burdette bez tych wszystkich obrazów powitalnych i automatycznych pytań o cel prośby o kontakt z patronem Burdette.

Odebrała trzecia żona patrona i zrobiła to naprawdę szybko. Zdumiała się, widząc Mayhew, ale uśmiechnęła się szeroko, dostrzegając Claire. Zaraz rzuciła kilka słów o tym, jak pięknie te nowe spódnice na niej leżą.

Claire podziękowała za komplement i za podarunek. Ciężki materiał wcale nie ciemniał od dotyku jej spoconych dłoni.

Na ekranie pojawiła się jeszcze starsza kobieta, z zaciśniętymi mocno ustami, w której Claire rozpoznała jedną z matek rodziny patrona. Przywitała się krótko z Mayhew i spojrzała niechętnie na Claire.

– Panno Lecroix – odezwała się. W domenie Burdette nie uznawano wyższości stopni wojskowych nad tradycyjnymi określeniami pozycji kobiety. – Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego chociaż minęło już ileś miesięcy, od kiedy otrzymałaś od mojej synowej nowe mundury, nie doczekaliśmy się żadnego podziękowania. – Zacisnęła usta tak mocno, że linia warg prawie zniknęła z jej twarzy.

Claire pomyślała, by wymówić się niedawną tragedią, ale w przyływie desperacji powiedziała prawdę.

– Nie miałam za co ich obrębić, o wysłaniu listu nie wspominając.

Starsza pani ponownie ujawniła swoje wargi, z boków ekranu zaś pojawiły się także dwie pozostałe synowe. Widać wszyscy byli ciekawi, co takiego Claire miała do powiedzenia.

Tester jeden wiedział, czy ktokolwiek posłał też po patrona. Starsza pani ucięła lawinę pytań i zajęła miejsce na ławie. Poklepała ją, dając znak, by synowe do niej dołączyły.

– Czy to znaczy, że twój ojciec odszedł niedawno, kochana?

Claire zaśmiała się.

– Och, nie. Tata zginął, gdy miałam dziewięć lat, i mama nie radziła sobie bez niego. Zostałam wychowana przez jej siostry. Poza tym nasza rodzina nie miała nigdy szczęścia do ciąż. Zwłaszcza gdy chodziło o chłopców. Głową naszej rodziny jest mój kuzyn Noah. – Claire świadomie pominęła temat częstych w jej rodzinie ciąż pozamałżeńskich.

Starsza pani zdawała się to rozumieć bez wyjaśniania szczegółów.

– Czy to nie ten Noah Bedlam, który kilka lat temu spowodował spore zamieszanie, próbując pływać łodzią motorową po stawie z uprawami?

Claire widziała, jak synowe starszej pani potwierdzają, że to właśnie ta rodzina. Uprzejmie nie wspomniały, kim był ojciec Noaha. W dokumentach sprawy musiało jasno widnieć „ojciec nieznany”.

Przymknęła oczy.

– Tak, była jakaś sprawa z rozbiciem łodzi. Nie znam szczegółów, bo przebywałam wtedy na wyspie Saganami. Wiem tylko, że moje konto midszypmena dopiero po dziesięciu miesiącach zaczęło wykazywać dodatni bilans. Potem dowiedziałam się, że mogę zablokować w banku możliwość robienia debetów na koncie. Domyślałam się, że tamta sprawa skończyła się grzywną?

– I to bardzo wysoką – przyznała starsza pani. – Staw został skażony. Wcześniej Noah musiał próbować tę motorówkę na otwartych wodach, przeniesienie się zaś na staw było efektem niepokoju rodziny o jego zdrowie i ryzyko związane z pobytem w toksycznym środowisku. – Wzruszyła ramionami. – Wiem, że obwiniał matkę za ten pomysł, gdy sędzia spytał go, dlaczego to zrobił.

Claire mimowolnie prychnęła śmiechem.

– To mogła być prawda – powiedziała i znowu ścisnęła materię spódnicy, by ukryć drżenie dłoni, po czym spróbowała wrócić do tematu. – Czy sądzi pani, że mogłabym porozmawiać w jakiejś chwili z patronem, ma’am? Chciałam poprosić o zmianę mojego statusu. Pragnę być osobą prawnie niezależną. Noah chce, bym zrezygnowała ze służby, ale to przecież nie jest dobry na to czas. Mam tutaj zobowiązania szkoleniowe. I jeszcze Blackbird. I zapewne jesteśmy w stanie wojny.

Starsza pani zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie możemy na to pozwolić. Przykro mi, kochana, ale to ustanowiłoby straszny precedens. – Zerknęła w bok. – Nie patrz tak na mnie, lordzie Mayhew. Mamy już dwa wnioski o prawną niezależność, od panny Lucy Bedlam i panny Mary Bedlam. Zgodnie z tym, co podały, pracują jako artystki, ale niecałe sześć tygodni temu panna Mary uczyniła pełne skruchy wyznanie, że tak naprawdę są...

– Striptizerkami – podpowiedziała Claire. – Tańczyły w klubie dla panów, zwanym Birdies. Nie udało mi się odnaleźć ich ciał.

Damy z domeny Burdette spojrzały na nią z osłupieniem.

Mayhew pierwszy doszedł do siebie i poklepał Claire po zaciśniętej pięści.

– Bardzo współczuję.

Claire puściła spódnicę i potarła skroń.

– Dziękuję. Brakuje mi zwłaszcza Lucy. Noah chętnie korzystał z ich pieniędzy, ale wolał myśleć, że klub płacił im za bycie kelnerkami. Oczywiście to nie była prawda. Klub nie potrzebował kelnerek. – Spojrzała na trzy damy. – Pracowały w Blackbirdzie.

– Czy chciałybyś oskarżenia kuzyna o stręczycielstwo? Jestem pewien, że to akurat jest zakazane we wszystkich domenach Graysona. – Mayhew założył ręce i spojrzał na najpierw na Claire, potem na starszą panią.

Claire zbladła. Nie miała pojęcia, jakim wyrokiem było zagrożone podobne przestępstwo, ale gdyby Noah trafił do więzienia, rozbiłoby to rodzinę. Mógłby nawet zostać stracony. Odebranie kobiecie godności przez zmuszenie jej do prostytucji było na Graysonie traktowane jak zbrodnia.

– Nonsens – powiedziała starsza pani i uniosła dłoń. – Te dwie młode kobiety już nie żyją i nie godzi się kłać imienia zmarłych. – Znowu zacisnęła mocno usta, zadając kłam swoim słowom. – Tak czy siak, ostatnie otrzymane przez nas dokumenty nazywają je artystkami. Udowodnienie, że robiły coś innego, graniczyłoby z niemożliwością. Albo że pracowały tam nie z własnej woli czy za wiedzą głowy rodziny. Miały zgodę na pracę, już to sprawdziłam. Jest tam mowa o pracy kelnerek w całkiem innym miejscu. Nazywało się chyba Siłownia.

Druga żona spłonęła rumieńcem. Musiała wiedzieć, co to naprawdę było. Ciekawe skąd?

Claire potrząsnęła głową.

– To jest to samo miejsce, madame. Podobnie bary przy uczelniach nazywa się niekiedy „Biblioteką”. Siłownia Birdies. Bywalcy mówili Birdies, żonom zaś powiadali, że idą do Siłowni. Ale zmieniając temat, czy mogłaby pani dopilnować, żeby moja cioteczka Jezzy otrzymała

wiadomość o ich śmierci? Nie było mnie stać na rozmowę z nią czy resztą rodziny. Wiedzą, że Lucy i Mary są na liście zaginionych, i mogą jeszcze mieć nadzieję, ale ja brałam udział w akcji ratunkowej. Widziałam to. Nie ma nadziei. Nie będzie więcej uratowanych. Zwłaszcza z tej części stacji, gdzie mieścił się klub.

Mayhew zachowywał kamienną twarz. Istnienie klubów dla panów nie było czymś, o czym rozmawiało się zwykle w mieszanym towarzystwie. Mayhew radził sobie z tym, ignorując temat, damy z Burdette zaś udawały w tej chwili, że tu go nie ma.

Claire znowu ścisnęła połą spódnicy.

– Miałam nadzieję, że uda się nam uniknąć tak niezręcznego tematu, madame. Proszę przekazać swojemu synowi, że jestem wdzięczna za wyznaczenie do służby. Byłam zaszczycona, czując się córką domeny Burdette, ale teraz będę musiała wystąpić o obywatelstwo w jakiejś innej domenie.

Zmusiła się, by nie spojrzeć na Mayhew. Jeśli teraz ją potępi, żaden patron jej nie przyjmie. Jeśli zaś będzie jeszcze przez kilka chwil siedział tylko i milczał...

Starsza pani uniosła brwi i zerknęła na Mayhew. Nagle posłała jedną z synowych po patrona. Czy było to wezwanie posiłków w celu pokonania upartego poddanego, czy może skutek decyzji, że lepiej będzie uwolnić buntownika, by nie dopuścić do dalszych szkód?

Claire powtórzyła swoją prośbę o uwolnienie.

– Madame, mam zobowiązania wynikłe z służby. Proszę tylko...

Damy zniknęły i zamiast nich pojawił się lord Nathan Fitzclarence siedzący na tle pieczęci domeny Burdette wyrzeźbionej na ścianie gabinetu. Patron pochylił się i przyjrzał się im uważnie.

– Tak, tak. Zadała już pani swoje pytania. Teraz moja kolej.

Czy śledził cały czas przebieg rozmowy, czekając na wyjaśnienie, co Mayhew robi w towarzystwie kobiety z jego domeny, i to na jego prywatnej linii? Sądząc po reakcji Mayhew, zapewne tak.

– Przyjemnego poranka, Nathanie. Miło, że do nas dołączyłeś.

Claire pochyliła głowę w skromnym ukłonie.

– Niech Tester was błogosławi, patronie.

Lord Burdette machnął prawą ręką, jakby uznał, że to nie chwila na ceremonialne zwroty.

– W niezłe bagno mnie wpakowałeś, Michaelu.

Mayhew uniósł brwi, sugerując, że on akurat nikogo w nic nie wpakowywał.

Claire poczuła, że się rumieni, jak zwykle, gdy sprawy jej rodziny stawały się publicznymi.

– To nie jest wina Noaha, że nigdy nie miał ojca. – Spojrzała na obu mężczyzn, jakby rzucała im wyzwanie. – Nie wiedział, jak dorosnąć. Nikt go tego nie nauczył. A to wasza wina. Gdybyście pozwolili kobietom żyć dorosłym życiem, mogłybyśmy nim pokierować. A tak z chłopca stał się od razu dyktatorem bez szansy nauczenia się czegokolwiek na własnych błędach. Takich, które nie wpędziłyby połowy rodziny w długi i nie zmusiły moich dwóch kuzynek do rozbierania się w klubie na Blackbirdzie tylko po to, żeby spłacić ten dług. Zginęły przez to, a teraz niektórzy patrzą na nie z góry, jakby miały jakiś wybór. – Clare uświadomiła sobie, że przemawiała niekoniecznie jak oficer. Zaryzykowała spojrzenie na Mayhew i potem znów na patrona. – Nie mogę opuścić domeny legalnie, regulamin GSN zaś nie pozwala na obchodzenie prawa, zatem może być pan spokojny, sir. Moje życie legło w gruzach, ponieważ jeden pasożytujący na innych idiota

zagrał na poczuciu winy mojego kuzyna i skłonił go do cofnięcia zgody na moją pracę poza domem.

Obaj mężczyźni milczeli. Claire znowu zbierało się na mdłości.

– A mogło być tak bardzo inaczej, patronie. Tester mi świadkiem, że cioteczka Jezzy, Lucy, Mary i reszta, wszyscy byli przekonani, że wysyłając mnie do akademii, chciałeś uratować nas wszystkich. To miało wydzwignąć nas z upadku.

Patron Burdette poruszył się niespokojnie.

Claire zamilkła, skupiając uwagę na fałdzie spódnicy na kolanie. Może po zwolnieniu ze służby pozwolą jej zatrzymać mundury. Mogłaby wkładać je na świąteczne parady, by pamiętać, kim przez krótki czas była.

– Mógłbym zagwarantować ci prawną niezależność, ale nie bardzo wiem, co mógłbym zrobić dla reszty twojej rodziny. Gdyby był w niej chociaż jeden silny mężczyzna...

Na nowo ożywiona Claire otworzyła usta i słowa same się znalazły.

– Oddaj ich mnie, panie – poprosiła i niemal uklękła. – Od półtora roku kieruję całym działem technicznym i radzę sobie na tyle dobrze, że zrobili mnie oficerem. Moja rodzina to teraz sześć, może osiem osób. To zależy od tego, kto jeszcze był na Blackbirdzie. Znam ich. Jeśli będę mogła wziąć swój los we własne ręce, to i z nimi dam sobie radę.

Mayhew mruknął coś o tym, że każdy mężczyzna trafia na swój własny test. Claire zazgrzytała zębami, a lord Burdette pokiwał powoli głową.

– Przypuszczam, że mogę uczynić cię strażnikiem Noaha i w ten sposób opiekunem całej rodziny, która mu podlega. Ale jak sobie z tym poradzisz? Przecież przez większość czasu nie będzie cię na miejscu. Tak nie można opiekować się rodziną.

Kątem oka Claire zauważyła, że komandor Greentree i Elsabeta jakby trochę się zjeżyli.

– Zrobię to, co od wieków praktykowane jest w naszej marynarce. Wyznaczę cioteczkę Jezzy, by zastępowała mnie w domu. Po tej turze operacyjnej zaś odejdę ze służby – dodała, po części do siebie. – Chciałam pracować w stoczni, ale najpierw będę musiała pewnie pomóc ją odbudować. Musimy dopaść tych, którzy nam to zrobili. Kimkolwiek są nasi wrogowie, wiedzieli, jak ważna była stacja. Inaczej uderzyliby na planetę. Ale możemy odbudować stację i zrobimy to. Powinni byli skierować rakiety na Graysona. Nie wiedzieli, jak wielki błąd popełniają. Niektórzy w mojej rodzinie są całkiem zdolni. Noah mógłby pójść do szkoły handlowej. Albo nawet się zaciągnąć. Nauczyłby się paru pożytecznych rzeczy, z których mógłby być dumny. Może założylibyśmy firmę, która wzięłaby udział w odbudowie stacji. Marynarka Graysona będzie tego potrzebować i domena Burdette chyba też?

– Owszem. – Patron Burdette zdobył się na uśmiech. – Twój certyfikat zostanie przysłany wraz z najbliższą paczką od moich żon. I gratuluję awansu, pani porucznik.



Jasne korytarze niszcyciela na odcinku z kabiny kapitańskiej do kabiny Claire pełne były zwyczajnego ruchu, niemniej albo Cecelie ograniczyła swoje plotkarstwo tylko do tych osób, które mogły być pomocne, albo załoga nie miała nic przeciwko temu, żeby Claire została prawną opiekunką nastolatka. W każdym razie nikt nie reagował dziwnie na jej widok. Może istnieli chłopcy zdolni należycie zadbać o rodzinę. Może. Ale Noah na pewno nie był jednym z nich.

Claire nagrała wiadomość dla cioteczki Jezzy i zapisała ją. Rustin miała pożyczyć jej dość pieniędzy, żeby dało się to wysłać. Tester wiedział, że nie mogła oczekiwać od cioteczki, by zapłaciła przy odbiorze bez zastawiania wyposażenia restauracji. Niemniej Claire i tak nadal nie pozbyła się wątpliwości. Lord Burdette mógł się jeszcze rozmyślić. Ona mogła popełnić błąd gorszy niż wszystkie przewiny Noaha.

Gdy wróciła do mesy, zastała tam Cecelie, komandora Greentree i Elsabetę rozmawiających z ożywieniem o możliwych skutkach uczynienia kobiety opiekunką rodziny dla prawa domeny. I co jeszcze będzie mogło z tego wyniknąć, jeśli sędziowie domeny uznają decyzję za precedens.

Porucznik Loyd przywitał Claire z uśmiechem i zaproponował jej miejsce obok współlokatorki.

Claire opadła na miękkie krzesło ze sztywnym oparciem i skinęła głową w podziękę za gratulacje przekazane przez Elsabetę.

– Claire, co jest? – spytała zaniepokojona jej poważną miną Cecelie. – Przecież twój patron się nie wycofa, prawda? Byli świadkowie, nie może.

Claire potrząsnęła głową i otuliła się ramionami.

– A jeśli coś spieprzę? Moja rodzina nie należy do łatwych. Nie są jak wyszkolona załoga, gotowa wykonywać rozkazy, jak długo oficer nie udowodni, że jest ostatnim idiotą.

Komandor Greentree i porucznik Loyd wymienili pełne zrozumienia spojrzenia.

– Dasz sobie radę – zapewnił dowódca.

– Oczywiście. – Cecelie uśmiechnęła się i humor jej wrócił. – Powinnaś usłyszeć te zwariowane historie, które mój szef opowiada o rodzinach oficerów. Mówi, że jestem nudna, bo nie mam żadnych żon, które

przepuszczalyby moje pieniądze, ani dzieci, które musiałabym wysłać do szkół.

– No i oczywiście klub żon zawsze rozciąga swoją opiekę także na dalszą rodzinę – powiedziała Elsabeta. – Będziemy tutaj, gdy tobie przyjdzie ścigać piratów, flotę Haven czy kogo tam jeszcze.

– Zespół dowódczy wspiera też w sprawach rodzinnych – dodał komandor Greentree. – Nie widzę żadnego powodu, dla którego twoja rodzina miałaby zostać z tego wykluczona.

– Pomożecie mi? – spytała ze zdumieniem Claire, rozglądając się po mesie. Gdy spojrzała na ich twarze, wiedziała już, że może im zawierzyć.

Porucznik Loyd uśmiechnął się do niej.

– Jak powiada hasło rekrutacyjne marynarki: „Zaciągnij się. Zrobimy z ciebie mężczyznę”.

W cyklu *Honor Harrington* dotychczas ukazały się książki:

- Placówka Basilisk
- Honor królowej
- Krótka, zwycięska wojenka
- Kwestia honoru
- Honor na wygnaniu
- Honor wśród wrogów
- Więcej niż Honor
- W rękach wroga
- Honor ponad wszystko
- Nie tylko Honor
- Popioły zwycięstwa
- W służbie miecza
- Królowa niewolników
- Wojna Honor cz. I i II
- Światy Honor
- Cień Saganami
- Za wszelką cenę cz. I i II
- Zarzewie wojny
- Bitwa o Torch
- Misja Honor
- Piękna przyjaźń
- Zrodzone w boju
- Zwiastuny burzy
- Czas ognia
- Cień wolności

- Wojny treecatów
- Początki